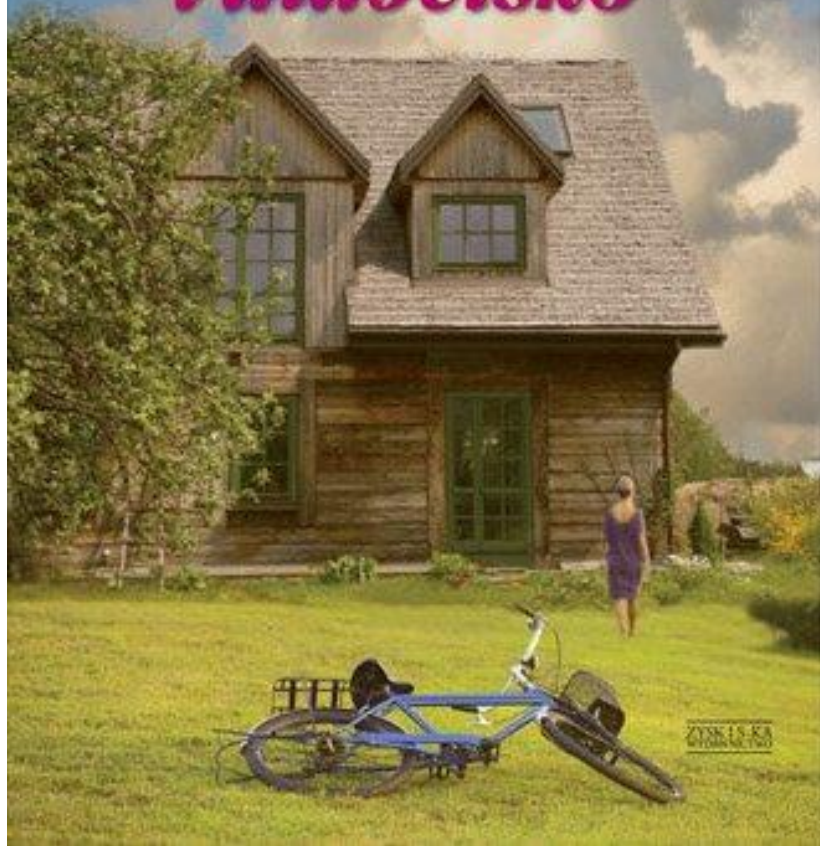


BEATA KĘPIŃSKA

SIELSKO *i diabelsko*



BEATA KĘPIŃSKA

SIELSKO
i diabelsko

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © by Beata Kępińska, 2011
All rights reserved

Projekt okładki
Agnieszka Herman

Redaktor
Bogusław Jusiak

Redaktor techniczny
Teodor Jeske-Choiński

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-843-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

1. JAK ZNALAZŁAM SIĘ W TYCH STRONACH

– Co ty właściwie teraz robisz i jakim cudem znalazłaś się w tamtych stronach? – zapytała Grażyna, moja szkolna koleżanka, do której dotarłam za pomocą portalu Nasza Klasa po trwającej ćwierć wieku przerwie w naszych kontaktach.

– Jestem tu trochę chyba za karę, że kolejny raz udało mi się zrealizować swoje młodzieńcze marzenia. Tak jakoś mam, że gdy moje pragnienia stają się realiem, jakoś szpetnie się przepoczwarzają. A może po prostu nie umiem być wdzięczna Najwyższemu i ciągle tylko grymaszę. Teraz żyję jakby w zawieszaniu i głównie czekam na rozwiązanie kluczowej sprawy naszego bytu. Ale poza tym mam wakacje, więc nie jestem zbyt zajęta – odpowiedziałam enigmatycznie, ale szczerze.

– Mówisz jakoś dziwnie. Wykręcasz się od odpowiedzi?

– Nie, raczej sygnalizuję, że odpowiedź jest skomplikowana i wymaga dużo cierpliwości ze strony pytającego. Czy jesteś na to przygotowana? Nic ci się nie przypali?

– Coś ty, nie gotuję w domu. Mam apartament z kuchnią w otwartym planie, więc zapachy i para, mimo najlepszych wyciągów, rozchodzą się po całym domu. Nie mam zresztą dla kogo gotować.

Teraz powinnam zapytać, dlaczego jest sama, ale to nie takie proste. Mogę dotknąć jakichś bolesnych ran. Nie, lepiej nie ciągnąć tego tematu przez telefon. Kiedy siedzi się na wprost kogoś, można się łatwiej zorientować, czy temat jest drażliwy, czy ma się do czynienia z osobą poturbowaną przez los, czy też z wygodnym singlem.

– Może lepiej spotkajmy się u mnie – zaproponowałam. – To tylko niespełna dwieście kilometrów od Warszawy. Możesz u mnie prznocować, choć uprzedzam, warunki są raczej spartańskie. Jest jednak piękne lato, u nas szczególnie urokliwe, i to się liczy.

– Znakomity pomysł! Nie mam już urlopu. W maju byłam na

Majorce, teraz muszę się dusić w mieście. Chętnie zrobię sobie wypad na weekend.

Podalam Grażynie dokładny adres mojej nieszczęsnej, sprzedawanej obecnie przez samorząd gminny szkoły, w której od kilku lat zamieszkuję z rodziną. Umówiliśmy się w najbliższą sobotę i natychmiast opadły mnie wątpliwości. Z tego, co Grażyna mówiła, wynika, że wiedzie dostatni żywot pracownika zatrudnionego przez międzynarodową korporację. Pełnymi garściami korzysta ze wszelkich udogodnień i zdobyczy cywilizacji, jakie może zaferować stolica.

Co ona sobie o nas pomyśli, kiedy zobaczy tę łazienkę? Sanitariaty niestare, ale mimo moich zabiegów wyglądają na zaniedbane. Z kranu bowiem kapie raczej błoto niż woda, i to tylko wówczas, gdy straż zaopatrzy beczkowitzem szkolną studnię. W rogu kuchni, bynajmniej nie dla ozdoby, stoją na stałe dwa plastikowe wiaderka, z którymi chodzi się po wodę zdatną do picia. Kilka domów dalej mieszkają dobrzy ludzie, którzy posiadają jedną z nielicznych czynnych jeszcze we wsi studni i użyczają życiodajnego płynu wszystkim sąsiadom. Inne studnie dawno już powysychały. Plany budowy wodociągu są, ale nie mają szczęścia do realizacji.

Widok z okna mamy piękny, lecz trzeba patrzeć od razu w dal, na wełniastą zieleń lasów porastającą zbocza pobliskiego pasma gór. Tuż pod naszym balkonem bowiem buczy i zieje ciężkim smrodem urządzenie zwane ekologiczną oczyszczalnią ścieków. Ścieków do przerobu ma nie za wiele. Wody przecież wciąż brakuje, więc toalety w całkiem nowym budynku szkolnym na ogół są zamknięte. Na taką okoliczność tuż obok stoi, niczym relikwiarz przeszłości, pobielony, drewniany, tradycyjny wychodek i odorem konkuruje z oczyszczalnią.

Przypomniałam sobie teraz, jak Grażyna pierwszy raz była u mnie, jeszcze na początku ogólniaka. Mieszkałam blisko szkoły, więc zabrałam ją kiedyś do domu, gdy wypadła nam wolna lekcja. Dziewczyna była zauroczona naszym mieszkaniem. Z nabożną czcią rozglądała się wokół, dotknęła błyszczącego pianina, jak małe dziecko spróbowała poślizgu na wyfroterowanym przez babcię parkiecie salonu. Kiedy zajrzała do łazienki, nie mogła się nadziwić jej wielkości. Wpadła w zachwyt nad naszą przedwojenną wanną o wymyślnym kształcie, nad solidnymi kurkami z porcelany oraz kranami z mosiądzu. Nie zauważyła natomiast przykopconych ścian, popękanej terakoty i całej reszty mankamentów naszej wiekowej, zagraconej siedziby. Od czasu tej wizyty odnosiła się do mnie z

wielką estymą, jakbym co najmniej była przedstawicielką starej arystokracji.

Nie uważałam wówczas, by nasze lokum mogło się wydać komuś imponujące. Raczej zazdrościłam koleżankom zamieszkującym małe, przytulne, nowoczesnie urządzone mieszkanie blokowe, gdzie ciepła woda z elektrociepłowni płynęła bez ograniczeń, a kaloryfery grzały jak szalone. W naszej starej, przedwojennej kamienicy wszystko było zimne, ciemne i ponure. Poręcze, winda oraz resztki architektonicznych ozdobników świadczyły o dawnej świetności tego domu, który jakimś cudem ocalał z wojennej pożogi, ale dla mnie w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia.

Do szafu doprowadzał mnie kopcący i wybuchający gazowy piecyk, którego nikt już nie umiał wyregulować. Piękne kafłowe piece zostały już wtedy wprawdzie przerobione na elektryczne piece akumulacyjne, jednak z powodu oszczędzania prądu dawały zawsze za mało ciepła, by ogrzać wysokie, przestronne pokoje i sprostać ciągłej wymianie powietrza, którą zapewniały stare jak świat okna. W ocenie swego mieszkania byłam niezwykle praktyczna, choć tak w ogóle praktyczna raczej nie bywam. Grażyna natomiast od razu umiała ocenić prawdziwą elegancję i smaczek naszego lokum.

Grażka bardzo chciała zostać moją przyjaciółką, ale przeszkadzała jej Gośka, z którą przyjaźniłam się już od najmłodszych klas podstawówki. Gośka była bardzo zaborcza i przedsiębiorcza. Grażyna twierdziła, że ona świadomie izoluje mnie od innych ludzi, żeby mieć mnie wyłącznie dla siebie. Gośka za to twierdziła, że Grażyna jest wsiowym prymitywem i zupełnie do nas nie pasuje. Obrażała się na mnie i robiła mi istne sceny zazdrości, gdy na przekór naszej snobistycznej klasie zaczęłam kolegować się z Grażką. Polubiłam tę skromną i ambitną dziewczynę od pierwszego wejrzenia.

Grażynka pochodziła ze wsi, z okolic Warki, gdzie jej rodzice mieli jakieś hektary sadów czy krzewów ozdobnych. Dokładnie nie pamiętam. Do podstawówki chodziła na wsi, a potem rodzice postanowili, że córka powinna skończyć dobre liceum w stolicy, gdyż to ułatwi jej wstęp na studia i przyszłą karierę. Ta poważna i tak różna od nas dziewczyna wydała mi się bardzo sympatyczna, naturalna i spontaniczna, zwłaszcza w początkowym okresie naszej licealnej nauki, gdy była jeszcze trochę zagubiona i nieporadna.

Potem poznała moc pieniędzy, w które zaopatrywali ją troskliwi rodzice, i nabrała pewności siebie, a może nawet swego rodzaju cierpkiego cynizmu. Zawsze jednak podziwiałam jej rozsądek i

upartą wspinaczkę wzwyż. Pracowała nad sobą, nieustannie coś czytała, czegoś się uczyła. Na początku była bardzo przeciętną uczennicą, a skończyła szkołę jako prymuska. Zmieniła swój sposób mówienia i ubierania się. Szybko wykorzeniła gwarowe naleciałości w słownictwie i wymowie. Miałam w tym swój udział, przyznam nieskromnie. Grażyna zawsze trzymała się trochę na uboczu klasy, która początkowo okazywała jej lekceważenie, a potem zabiegała o jej względy. Klasowi cwaniacy myśleli, że będą mogli korzystać z jej forsy i samodzielnego mieszkania, które wynajęli czy nawet kupili jej rodzice, ale Grażka miała swój rozum.

Z całej klasy to ja byłam chyba z nią najbliższą, choć zawsze między nami stała Gośka, której Grażyna nie tolerowała. Uważała, że Gośka jest fałszywa i wredna. Wykazała się w tym wypadku wyjątkową intuicją. Gośka właśnie taka była, czego boleśnie wkrótce doświadczyłam na własnej skórze. Nie wiem dlaczego, nie zbliżyłam się wtedy bardziej z Grażyną, a raczej oddaliłam od wszystkich koleżanek. Może Grażyna już wówczas nikogo nie potrzebowała, a może zbyt pochłonęły mnie sprawy domowe, które akurat też się bardzo pokomplikowały? Potem zaczęłam studia i zaraz wyszłam za mąż, więc wskoczyłam jakby w całkiem nowy świat i nie widywałam nikogo z klasy. O Grażynie, która usiłowała mnie swego czasu ustrzec przed rozczarowaniami, także zapomniałam. Zapewne chciałam zapomnieć, bo nie lubię, jak mi ktoś wytyka: „a nie mówiłam?”.

Teraz ta dawna koleżanka miała się zjawić ponownie w moim życiu. Cieszyłam się z tego, a jednocześnie odczuwałam jakiś rodzaj tremy, jakby Grażyna miała przyjechać na inspekcję, rozliczyć mnie z tego, co osiągnęłam. Dziecinnie uważała niegdyś, że dzięki lśnącemu parkietowi ułożonemu w misterną mozaikę i stojącemu w salonie instrumentowi dobrej marki, okazałej bibliotece oraz masie obrazów na ścianach mam prawo czuć się elitą. Ona do tej elity, już będąc w liceum, pracowicie dążyła. Nie powiem, że po trupach, ale bardzo konsekwentnie.

Dla mnie z kolei status finansowy Grażyny był czymś, o czym mogłam tylko pomarzyć. Owszem, jadalśmy w domu na co dzień na resztkach barwionych kobaltowym błękitem serwisów Rosenthala, które zostały uratowane z upaństwowionego, rozszabrowanego i zdewastowanego przedwojennego majątku rodziny ojca, ale ciągle doskwierał nam brak pieniędzy. Chodziłyśmy z siostrą ubrane odlotowo dzięki jej artystycznemu zmysłowi i babcinej pracowitości, ale nigdy, na przykład, nie otrzymywałyśmy kieszonkowego.

Grażynę za to stać było na prawdziwą elegancję, na kreacje z Mody Polskiej i Telimeny oraz kosmetyki z Peweksu. To były wyznaczniki luksusu w tamtych czasach.

Początkowo dziewczyna spod Warki, ubrana w plisowaną spódniczkę ze sztywnej elany i anilanowy cukierkowaty sweterek z wyrabianymi bąbelkami, ciekawie przyglądała się wystawom, oglądała żurnale i pytała moją siostrę Zytę, wówczas już studentkę ASP, co sądzi o różnych fasonach i zestawieniach. Wkrótce odzież przywiezioną z Warki i wyśmiewaną przez klasowe plotkary Grażyna zamieniła na nowe, eleganckie ciuchy. Choć nie była pięknoscią, zadawała szyku na szkolnych zabawach, podczas wyjść do teatru i na prywatkach, na które zaczęto ją zapraszać. Ona sama nigdy nie przyjmowała nikogo prócz mnie w swoim mieszkanku, które było zwykłą, skromnie urządzoną blokową kawalerką na dziesiątym piętrze wieżowca. Takie mieszkanie stanowiło jednak wówczas przedmiot westchnień i nieosiągalnych marzeń wielu młodych ludzi.

Raz tylko byłam z Grażką u jej rodziców na wsi. Wtedy w szkołach wczesną jesienią co roku mieliśmy dni wolne od nauki na tzw. wykopki. Były takie komunistyczne głupoty, z których nawet się cieszyliśmy. W każdym razie w drugiej klasie pojechałam do Grażyny niby to kopać ziemniaki, których w jej włościach, nawiasem mówiąc, wcale nie uprawiano. Poznałam jej tłusciutką i rumianą mamę i wysokiego, barczystego tatę o twarzy ogorzalej od słońca i bielutkim czole stale osłoniętym czapką zdejmowaną tylko przy jedzeniu. Ci tajemniczy krezusi – badylarze – okazali się prostymi, pracowitymi i wielce zaradnymi ludźmi.

Ojciec chwalił się, że jako prywaciarz dobrze sobie radzi dzięki kooperacji z państwową spółdzielnią. Dziwiło mnie, że choć jest przecież swego rodzaju kapitalistą, to ustrój komunistyczny bardzo mu odpowiada. Mój ojciec twierdził, że władza ludowa zniszczyła jego rodzinę, która przed wojną ciężką, uczciwą pracą dorobiła się całkiem sporego majątku. Czuliśmy się wciąż przez tę władzę inwigilowani, tłamszeni i dyskryminowani. Mojego tatę najpierw aresztowano, potem wyrzucono z uczelni, a w końcu dostał tak zwany wilczy bilet i pracował tylko czasami dorywczo. Utrudniano mu też sprzedaż obrazów, a jeśli zrobił jakąś wystawę, prasa pisała o nim okropne rzeczy. Zyta nie dostała punktów za pochodzenie przy rekrutacji na studia i ja też nie miałam na to szans. Ojciec Grażki, prosty człowiek, był bardzo zadowolony ze swego życia, a mój utalentowany i wykształcony wciąż narzekał. Jak to jest? – pytałam

samą siebie. – Czy to faktycznie wina ustroju, czy nieumiejętność przystosowania się do warunków, jak stale krzyczy moja mama?

– Ja tam swojej córce mogę dać wszystko. Wykształcę ją, zapłacę za różne kursy i prywatne lekcje języków. Pójdzie na handel zagraniczny i będzie już swobodnie podróżować po świecie. Bo mnie to po co? I tak się z nikim nie dogadam – ojciec Grażyny planował w szczegółach jej przyszłość, a mnie zrobiło się przykro, że ze mną nikt nie wiąże żadnych wielkich nadziei. – Mógłbym już właściwie zbudować dom w Warszawie i tylko z doskoku nadzorować produkcję sadzonek – chwalił się dalej. – Lepiej jednak być rolnikiem. Grażka będzie miała punkty za pochodzenie i stypendium. W gminie dadzą zaświadczenie, że mam mały dochód z hektara.

Pamiętam, jaka byłam zachwycona jego mądrością i zapobiegliwością. Mój tata był zupełnie inny.

Rodzice Grażyny mieli duży piętrowy, murowany dom, a całe ich życie toczyło się w tzw. brudnej kuchni. Była ona brudna tylko z nazwy. Wszystko w niej tak naprawdę lśniło czystością, a deski podłogi były wręcz wyszorowane do białego. Z kuchni, znajdującej się w suterenie, nie można było dostać się na wyższą kondygnację inaczej niż po zewnętrznych schodach, które prowadziły na wysoki parter. Tam z ganku przez mały korytarzyk wchodziło się do następnej kuchni, wcale chyba nieużywanej, z której wiodły drzwi do dwóch pokoi. W jednym z nich sypiali gospodarze, a w pokoiku obok ich jedynaczka. Po pracy wszyscy myli się w kuchni na dole i, bez względu na pogodę, maszerowali na zewnątrz budynku, aby dotrzeć do łoża na dzień zaścienionego masą ogromnych poduszek, na szczycie których siedziała wystrojona śpiąca lala. Ten przedziwny dom posiadał też trzeci poziom. Tam właśnie znajdowała się łazienka, duma ojca mojej koleżanki. Reszta pomieszczeń na tym piętrze była w tak zwanym stanie surowym zamkniętym. Czekala pewnie na Grażkę i jej przyszłego męża. Na ten trzeci poziom prowadziły znów z podwórka oddzielne, zewnętrzne schody. Mnie ten rozkład mieszkania nawet jako kilkudniowemu gościowi wydał się uciążliwy, ale domownicy nie mieli do niego żadnych zastrzeżeń.

Czas spędzony w Wiśniówce dał mnie i mojej nowej koleżance okazję do długich nocnych rozmów. Grażyna nie rozumiała, dlaczego, posiadając, według niej, tak wiele atutów towarzyskich, jestem nieśmiała, zupełnie nieprzebojowa i mało ambitna.

– Wiesz, Asiu, gdybym to ja wyglądała tak jak ty... – zaczęła

Grażyna. – Gdybym miała twoje zdolności literackie i taką orientację w sztuce i literaturze, byłoby mnie widać na wszelkich konkursach i akademiach. A ty coś tam skrobiesz do szuflady i boisz się, żeby ktoś się o tym nie dowiedział. Jaki to ma sens? Na lekcjach odpowiadasz tylko, kiedy cię wyciągną. Głos w dyskusji zabierasz w gronie nie większym niż trzy osoby.

– No ładnie, od dziewczyny dowiaduję się, że mam oszałamiającą urodę – zaśmiałam się głośniejsz, niż bym chciała. – Wolałabym to słyszeć od chłopaków. Naprawdę tak bardzo widać moją nieśmiałość? A ja myślałam, że się dobrze maskuję. Najbardziej na świecie boję się zaczerwienić, a zawsze, gdy wypowiadam się przy większej liczbie osób, to się czerwienię. Poza tym mnie się rzadko udaje powiedzieć coś, z czego byłabym zadowolona, czy zachować się właściwie. Zawsze coś mi wyjdzie nie tak i potem żałuję, że się wychyliłam.

– Niemądra jesteś albo udajesz. Czego tu się bać? Baby są najczęściej zazdrosne i kąśliwe, ale faceci patrzą na ciebie maślanymi oczyma i co byś nie powiedziała, zawsze im się podoba. Nawet fizyk stwierdził ostatnio, że masz niewykorzystany potencjał, mnie za taką samą odpowiedź zjechał, że nie mam zielonego pojęcia.

– Już to wykułam, ale nie zgłoszę się do odpowiedzi dobrowolnie.

– I oceny nie poprawisz? Powinnaś mieć przecież lepszą średnią. A stać cię na najlepszą.

Miła była ta wiara koleżanki w moje możliwości. Grażka dziwiła się też, że moi rodzice nie dają mi pieniędzy za dobre stopnie.

– Moi już od pierwszej klasy dawali mi drobne za piątki – mówiła z dumą. – To było moje kieszonkowe. Teraz stwierdzili, że muszę już sama zapracować na lepsze życie. Za trójce mogę żyć jak nędzarz, ale czwórki i piątki są sownie nagradzane, nie mówiąc już o jakichś dodatkowych wyróżnieniach i nagrodach w konkursach. Tata potrafi być hojny, ale i okrutnie konsekwentny.

– Moja mama zawsze powtarza, że jestem leniwa po ojcu – powiedziałam. – Trudno walczyć z własnymi genami. Miała ambicje zrobić ze mnie primabalerinę, ale jakoś nie wyszło. W szkole mam się uczyć i tyle. A tata ma z założenia wrogi stosunek do wszelkich instytucji naszego państwa, więc i szkołę traktuje jako zło konieczne. Właściwie to jemu zawdzięczam niezłą orientację w filozofii, sztuce, a także literaturze. Ja i moja siostra już jako kilkuletnie dziewczynki bywałyśmy słuchaczkami jego poważnych

wykładów. Pozbawiono go kontaktu ze studentami, a potem nie mógł uczyć nawet w liceum plastycznym, to nas, że tak powiem, czasem wykorzystuje. Jest prawdziwym człowiekiem renesansu i ma wiedzę z bardzo wielu dziedzin. Mama wolałaby, żeby znał się choć trochę na zarabianiu pieniędzy, ale jego, jako prawdziwego artystę, takie przyziemne rzeczy nie interesują. Najgorsze jest to, że na uczone wywody na ogół zbiera mu się późnym wieczorem i niestety mama lub babcia, pilnujące dyscypliny w domu, brutalnie przerywają jego cenne monologi i zaganiają nas do łóżka, wpływając tym samym na powstanie luk w naszej edukacji. Sama rozumiesz, że oceny szkolne dla mojego ojca nie mają żadnej wartości.

– Opowiedz mi jeszcze trochę o swojej rodzinie. Moja jest taka zwyczajna – domagała się gorączkowo Grażka.

– Zapewniam cię, że wolałabym mieć taką zupełnie normalną, nudną rodzinę. U nas wciąż się gotuje jak w niewygasłym wulkanie. Awantury wybuchają po kilka razy w tygodniu. Gdyby nie nasza cudowna babcia, która gwarantuje nam niezbędne do rozwoju minimum bezpieczeństwa, chyba miałybyśmy z siostrą psychiczne odchyły.

– Naprawdę? Tata pije? – Grażka wpatrywała się we mnie z uwagą i współczuciem. – Mój też za kołnierz nie wylewa, ale nie tak często, jak inni we wsi, i nigdy się nie awanturuje.

– Nie. Mój pije raczej niewiele, ale już ci mówiłam, jest artystą. Po prostu nie potrafi być odpowiedzialnym ojcem i mężem.

– No a mama?

– Mama była artystką i dla niego, a właściwie dla nas, zrezygnowała z kariery baletowej. Tańczyła jeszcze po urodzeniu siostry, ale po moim przyjściu na świat została instruktorką tańca w domu kultury, prowadzi jeszcze szkołkę baletową w spółdzielni mieszkaniowej i rytmikę w jakichś ogniskach szkolnych. Żeby utrzymać nas i ojca, pracuje jak wyrobnik i do wszystkich o wszystko ma pretensje.

– O co się kłóć? Już się nie kochają? – Grażka pytała o rzeczy, nad którymi nigdy się nie zastanawiałam.

– A diabli ich wiedzą. Chyba początkowo bardzo się kochali, awantury między nimi wybuchaly z powodu zazdrości i cholerycznego usposobienia mamy. Ona była kiedyś bardzo piękna, taka pełnokrwista brunetka. Ojciec, nie wiem, czy wiesz, jest malarzem. To przystojny mężczyzna, za którym kobiety szalały i nadal szaleją, a on chętnie z tego korzysta. Życie dla kobiet jest niesprawiedliwe, bo mężczyznom lata nie odbierają powodzenia. Tata zawsze umiał

pięknie mówić i pisać. Imponuje czytaniem i różnorodnymi zdolnościami, a w pewnych kręgach także niezłomnością poglądów, do tego jest, w przeciwieństwie do mamy, opanowany i dystyngowany. Mama pewnie myślała, że trafił jej się ideał mężczyzny, ale w zderzeniu z trudami naszej rzeczywistości okazał się nieprzystosowanym do życia marzycielem i safandulą.

Pamiętam, jak ćwierć wieku temu opowiadałam tej obcej w gruncie rzeczy dziewczynie o moim dziś już nieżyjącym ojcu, który nienawidził komuny i często niestety dawał temu uczuciu upust w różnych gremiach. Potem z domu zabierało go kilku smutnych panów, a mama musiała go wyciągać z aresztu przy pomocy jego własnego kuzyna, który był wysoko postawionym oficerem Służby Bezpieczeństwa. Tata udawał zawsze obrażonego. Dąsał się, że nie dane mu było i tym razem zostać męczennikiem. Nie szczędził też mamie słów pogardy. Wygadywał, że „brata się ze swołoczą i zdrajcami ojczyzny”. Wtedy mama z powodu takiej niewdzięczności małżonka wpadała w furię i wyrzucała go z domu. Ponieważ miała iście włoski temperament, w naszym mieszkaniu rozgrywały się sceny rodem z włoskiego realizmu filmowego. Bywało, iż rzeczy taty wylatywały przez okno, a widzów takich reality show nigdy nie brakowało. Wstydziłyśmy się potem wychodzić z siostrą na podwórko, co w sumie miało dobry wpływ na nasze oceny, gdyż więcej czasu poświęcałyśmy na lektury i naukę.

Częściej jednak powodem awantur między rodzicami bywały kobiety, które przynosiły tacie natchnienie. Natchniony pracował tak intensywnie, że nie widywałyśmy go tygodniami. Wówczas mama nie wyrzucała z domu jego rzeczy, tylko sama stawiała w oknie, a mieszkaliśmy na trzecim piętrze, i groziła, że wyskoczy. Trzymałyśmy ją wtedy z siostrą za nogi i ryczałyśmy wniebogłosy. Babcia w takich momentach najczęściej mdlała i przyjeżdżało pogotowie.

Trzeba przyznać, że nie było to łatwe ani bezstresowe dzieciństwo, choć mama wszystko, co robiła, robiła wyłącznie dla naszego dobra. Myślała o nas nieustannie, wynajdywała nam różne dodatkowe zajęcia, żebyśmy mogły rozwijać nasze rzekome czy faktyczne talenty. Strasznie chciała, żebym uczyła się tańczyć. Musiałam także jeździć figurowo na łyżwach, choć stale się przeziębiałam. Niestety, jak wspomniałam, odziedziczyłam lenistwo po tacie i nic z mojej baletowej ani łyżwiarskiej kariery nie wyszło. Potem trochę tego żałowałam. Nigdy nie widziałam mamy tańczącej na scenie, nagradzanej oklaskami. Taniec kojarzył mi się raczej z jej

zmęczeniem, z katorżniczą wręcz pracą nieprzynoszącą większych korzyści ani przyjemności. Nic więc dziwnego, że nie ciągnęło mnie do żmudnych ćwiczeń. Byłam zresztą zbyt nerwowa i nieśmiała.

Siostra też nie została pianistką, choć ładnych kilka lat męczyła siebie, nas oraz instrument, ćwicząc zapamiętałe gamy. Jej jakoś mama tego nie wypomina. Zyta nie mogła zostać pianistką, bo podły ojciec i ja, jego nieodrodna córka, pozbawiliśmy ją tej możliwości. Ja wciąż rozstrajałam fortepian, grając pupą. Tak, tak, pamiętam, jak przeprowadzałam dzieciaki z podwórka i tyłkami bębniłszy o klawiaturę. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko, że nie miałam wówczas więcej niż cztery lata i z wielu względów nienawidziłam wprawek muzycznych mojej siostry. Mama i babcia uzbierały jakimś cudem pieniądze na nowe pianino i ojciec dostał polecenie zakupu tego instrumentu. Niestety, wrócił do domu rozpromieniony z ogromnym motocyklem marki BMW. Miałam wtedy nie więcej niż pięć lat, a od razu wiedziałam, jak to się skończy. Tata znów na długie miesiące zniknął z naszego życia.

Rodzice rozchodzili się i schodzili, oskarżali, ośmieszali i ranili na naszych oczach, nie bacząc na to, jakie ślady ich awantury pozostawią w naszej psychice. Na szczęście, jak już wspomniałam, miałyśmy normalną babcie, która mimo własnego tragicznego życia potrafiła zachować niezwykłą pogodę ducha. Prowadziła dom pachnący szarlotką, opowiadała nam bajki i jeszcze piękniejsze od bajek prawdziwe historie z czasów przedwojennych. W barwny, interesujący sposób przedstawiała nam zawikłane ludzkie losy, które powinnam kiedyś opisać.

Taką nieuporządkowaną lawinę wspomnień wywołał u mnie ten niespodziewany telefon Grażyny. Pamiętałam doskonale treść naszych rozmów, jakby to było wczoraj, nawet niektóre sformułowania, których używałam, wtajemniczając ją w nasze rodzinne sprawy. Grażyna wiedziała o mojej rodzinie wiele. Teraz też pewnie będzie chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło w ostatnim ćwierćwieczu. Powinnam przygotować sobie streszczenie naszej sagi rodzinnej, żeby uniknąć chaosu. Mam nadzieję, że sama zechce mi opowiedzieć także o sobie i swojej rodzinie. Tym razem nie dam się zbyć jej tradycyjnym stwierdzeniem: „U mnie nic ciekawego”. W najbliższy weekend będziemy miały wyjątkowe warunki do pogaduszek. Mój mąż ma wtedy dyżur w pogotowiu, a dzieci wyjechały już na Mazury do jego rodziców.

Cieszyła mnie ta wizyta, ale bałam się też niemożliwego do uniknięcia powrotu bolesnych wspomnień. Teraz jestem szczęśliwą

żoną i matką cudownej pary bliźniąt, a moja dawna koleżanka pewnie zapamiętała mnie jako porzuconą dziewczynę Rafała, naszego wspólnego szkolnego kolegi. Jeśli nie da się inaczej, zmierzę się i z tym tematem, bo dotąd raczej udawało mi się go wypierać z umysłu. Uświadomiłam sobie, że w gruncie rzeczy czekam na Grażkę jak na jakąś oczyszczającą siłę i chcę ją zasypać własnymi historiami. Muszę się jednak liczyć z tym, że nie jest to już podłotek ciekawy tak zwanych życiowych opowieści, a dojrzała, pewnie taktowna kobieta, która niekoniecznie będzie mnie wypytywać o jakieś stare dzieje. Jeśli tego nie zrobi, będę w głębi duszy rozczarowana. Sama też bardzo chciałabym dowiedzieć się o niej jak najwięcej, ale mam obawy, żeby moje pytania nie okazały się niedelikatne. Porządkowałam mieszkanie i nie mogłam doczekać się jej przyjazdu.

2. SPOTKANIE PO LATACH

Złocista toyota zatrzymała się przed szkołą, unosząc ze żwiru chmurę kurzu, która powoli popłynęła w kierunku moich świeżo umytych okien. Z samochodu wysiadła elegancka kobieta w nienagannie skrojonym szarym kostiumie. Miała rude, doskonale obcięte włosy i okulary słoneczne w niebanalnej, twarzowej oprawie. Gdybym się nie spodziewała przyjazdu Grażyny, nigdy bym jej nie poznała. Wyglądała najwyżej na trzydzieści lat. Mogłam ją obejrzeć z bliska, nie będąc od razu zauważona, gdyż stałam na balkonie naszego służbowego mieszkania, które znajdowało się na tzw. wysokim parterze budynku szkolnego. Grażyna, wysiadłszy z auta, przeciągnęła się i z zachwytem popatrzyła na panoramę gór, następnie powiodła spojrzeniem po otwartym na oścież wychodku i, westchnąwszy głęboko, zaciągnęła się powietrzem, które było mieszaniną cudownego aromatu pokrytych kwieciami ogromnych lip i paskudnego smrodku oczyszczalni.

– Kraina kontrastów, co? – odezwałam się z wysokości mojego balkonu.

– Dokładnie – odpowiedziała i odrzuciwszy w tył włosy, zaśmiała się serdecznie, ukazując przy tym śnieżnobiałe zęby i całe dziąsła.

Teraz dopiero zobaczyłam w tej bizneswoman dobrze ukrytą dawną Grażkę. Zbiegłam na dół, żeby ją powitać. Rzuciłyśmy się sobie w objęcia, jakby te minione lata nie oddaliły nas, a raczej zbliżyły do siebie.

– Witaj! Fantastycznie wyglądasz! Co za elegancja! – wykrzykiwałam, obciążając bezskutecznie króciutką, bawełnianą bluzeczkę, żeby zakryć kolorowe kryształki, które były niezbyt pożądaną przeze mnie ozdobą moich nabytych niedawno w szmaciuchu dzinsów.

– Ty się nic nie zmieniłaś. Nawet fryzurę masz taką samą – odpowiedziała, cmokając mnie Grażyna, a ja wiedziałam, że to niezupełnie jest komplement, bo puszczone na topielicę włosy nie bardzo pasują kobiecie po czterdziestce.

Zrobiłyśmy taki harmider, że dzieci grające w piłkę na boisku z drugiej strony szkoły przybiegły zobaczyć, co się stało. Kłaniały mi

się teraz po kolei i ciekawie przyglądały mojemu gościowi, jakby to był przybysz z innej planety. Dziewczęta taksowały strój i kosztowne dodatki, a chłopcy z uznaniem dotykali auta. Zaglądali do wnętrza, żeby sprawdzić markę radia i jakość tapicerki. Wszystko chyba wypadło znakomicie, bo któryś z nich rzucił w moim kierunku krótkie zdanie:

– Mogłaby se pani kupić taką gablotę, bo ta pani corsa to już trochę stara. Mój wujek też ma takie auto, tylko jeszcze lepsze.

– O, twój wujek to wszystko ma lepsze, tylko kiedyś tu przyjechał polonezem – zgasił krytykanta młodszy kolega.

– Bo do roboty to ma poloneza na gaz, wiesz, gnoju? A jak ci się nie podoba, to ci, kurwa, zaraz przyłożę!

I miłe aniołki poczęły się tłuc i ostro rzucać mięsem. Musiałam ich przywołać do porządku. Wygłosiłam małe okolicznościowe kazanko na temat wulgaryzmów. Chłopcy elegancko nas przeprosili i poszli dalej grać, a dziewczęta oddaliły się w stronę śmierdzącej oczyszczalni, gdzie jeszcze przez chwilę stały i szeptały coś sobie na ucho. Od strony boiska dolatywały odgłosy kopania piłki i znowu te same słowa ogólnie uznawane za nieprzyzwoite.

– Urocza scenka, co? – uśmiechnęłam się do zszokowanej nieco Grażyny.

– Uczysz ich? Przecież to małe dzieci, i żeby tak bez żadnego zażenowania przy nauczycielu...

– Już w tej szkole nie uczę. Teraz pracuję w gimnazjum – wyjaśniłam. – Tam to byś dopiero posłuchała. To nawet nie jest brak szacunku z ich strony, to po prostu oswojenie się z łaciną podwórkową od urodzenia. Takim językiem mówią ich tatusiowie, mamy, starsze rodzeństwo, a nawet ostatnio i media. Jaki więc ma być ich język? Ja się nie dziwię i rozumiem, że kiedy są spontaniczni, te słowa jako pierwsze cisną im się na usta – tłumaczyłam moich sympatycznych skądinąd rozmówców. – Tylko nie mów mi, że w twojej firmie białe kołnierzyki nie klną.

– Nie, no klną, ale...

– Im się akurat dziwię i potępiam – powiedziałam dobitnie. – Ale wejdźmy już do środka, bo po tylu latach niewidzenia nie będziemy tu chyba dyskutować o brutalizacji języka?

Grażyna wyciągnęła z bagażnika pokaznych rozmiarów skórzany nesesor i natychmiast zaczęła się tłumaczyć:

– Nie martw się, nie zamierzam u ciebie mieszkać do końca wakacji. Zawsze wożę ze sobą pół łazienki i jedną trzecią szafy, bo lubię być przygotowana na każdą ewentualność.

– Ewentualnie przejdziemy się w stronę góry, do lasu, i na tym chyba katalog atrakcji się skończy – powiedziałam z pewnym zażenowaniem.

Zła byłam na siebie, że zachowuję się, jakbym się wstydziła swojego statusu, jak uboga krewna, która roztrwonila swój majątek, a przecież mimo wielu niedogodności lubię to miejsce i ludzi i na pewno nie chciałabym wracać znów do żadnego dużego miasta. Jednak im Grażyna wchodziła dalej do mieszkania, tym mocniej spuszczałam głowę i kuliłam się w sobie.

– Macie duże mieszkanie i świetny rozkład – pochwaliła to, co dało się pochwalić. – Chyba od niedawna tu mieszkacie? – zapytała, dając delikatnie wyraz temu, że nasza siedziba robiła wrażenie niewykończonyj.

Ściany były jak pomalowane białą emulsją, na podłogach okropne szkolne gumoleum i meble, które były zbieraniną gratów z różnych czasów i mieszkań naszych krewnych i znajomych. Ten prawdziwy lamus nie był jednak wynikiem naszej abnegacji, tylko wędrownego życia i poczucia tymczasowości, które zamieszkało w nas od jakiegoś czasu.

Zaraz na wstępie musiałam zapoznać Grażynę z naszą sytuacją sanitarną.

– Grażka, pamiętaj, jeśli po odkręceniu kranu usłyszysz groźne syczenie czy parsknięcia, zwiewaj, bo twój markowy kostium może zostać paskudnie pochłany rdzawoburą cieczą, którą my nauczyliśmy się nazywać wodą. Takie numery robią nam rury zapowietrzone z powodu ciągłego jej niedostatku – instruowałam.

Przestraszona, na wszelki wypadek odsunęła się natychmiast od umywalki. Popatrzyła na mnie uważnie i nawet nie zapytała, jak możemy tak żyć, po prostu przebrała się w dżinsy i koszulkę, a następnie zaproponowała spacer do lasu, za co byłam jej bardzo wdzięczna.

– Wiesz, rzadko mam teraz kontakt z prawdziwą wsią, a czasem bardzo do niej tęsknię – powiedziała, wciągając głęboko powietrze pachnące wyłącznie lipami i łąką, gdy odeszliśmy już na bezpieczną odległość od szkoły. – Moi rodzice nie żyją od kilku lat – kontynuowała. – Kiedy przeniosłam się do Warszawy, zmusiłam ich do zamieszkania w bloku blisko mnie. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej, bo nie dawali już sobie rady na wsi. Ojciec był za stary, żeby nauczyć się być kapitalistą w kapitalizmie. Ich gospodarstwo popadło w ruinę. W mieście szybko zgaśli, a ja nawet nie zauważyłam, że moje „sadzunki” się nie przyjęły, tak byłam zajęta

swoją karierą. Mam wyrzuty sumienia.

– Ja z kolei mam wyrzuty sumienia, że wciągnęłam rodzinę w realizację jakichś dziecinnych planów, które powstały w mojej głowie chyba pod wpływem lektury pozytywistycznych nowelek. Na stare lata uczę dzieci w wiejskiej szkole, a mój mąż jest dyrektorem tutejszego gminnego ośrodka zdrowia. Moi teściowie znienawidzili mnie za to, a i moja własna matka wytyka mi brak odpowiedzialności w kwestii edukacji dzieci.

– A ty czujesz się szczęśliwa i spełniona? – zapytała Grażyna, patrząc mi badawczo w oczy.

– I tak, i nie – odpowiedziałam wykrętnie.

– Nie jest to odpowiedź człowieka szczęśliwego.

– Ja chyba nawet lubię to, co robię, ale nie za bardzo nadaję się na siłaczkę, a tu, jak widziałas, żyje się nielekkko. W dodatku nasza sytuacja nie jest stabilna.

– Zaskoczyłaś mnie. Czy dobrze zrozumiałam, że obawiacie się o pracę? I twój mąż też? A w dużych miastach dramatycznie poszukują specjalistów. To może wrócić?

– Nie, już chyba nie chcemy nigdzie wyjeżdżać i donikąd wracać, ale może będziemy zmuszeni. Wiesz, szkoła, w której mieszkamy, została sprzedana przez samorząd i za dwa miesiące musimy się wyprowadzić.

– Dają wam jakieś inne mieszkanie?

– To było najlepsze z mieszkań, którymi dysponuje gmina. Jak sama zauważyłaś, metraż i rozkład świetny, bo dostaliśmy na zachętę nawet bibliotekę szkolną jako dodatkowy pokój. Poprzedniemu wójtowi zależało na sprowadzeniu kogoś z zewnątrz, gdyż ludzie skarżyli się na pijaństwo i łapówkarstwo w ośrodku. Mieszkanie oglądaliśmy w wakacje. Nie było jeszcze tej okropnej oczyszczalni z jej wyziewami. Ścieki szły chyba do szamba, a może zwyczajnie do rowu. Wtedy wszystko jeszcze było możliwe. Nie mogliśmy przewidzieć, że z oszczędności czy z powodu nadużyć nad częścią mieszkalną nie ocieplono stropu. Zimą sufit pokrył się szronem, a w pokojach było jedenaście stopni. Nie przyszło nam też do głowy, żeby sprawdzić, co leci z nowych, lśniących kranów. Zresztą wtedy byliśmy tak podnieceni pięknymi widokami i perspektywą zamieszkania w tym cudnym, ustronnym miejscu, że prawdopodobnie, gdyby nam powiedziano, iż właśnie dla nas z kranu cieknie uzdrawiająca borowina, a wodę będziemy mieli tylko w określonych godzinach, też byśmy to kupili. Słowem, wszelkie wady naszej nowej siedziby wyszły wkrótce po przeprowadzce.

Wójt obiecywał, że wszystko zmieni, naprawi, urządzi, ale najpierw za szybko przyszła zima, potem brakowało funduszków, a wreszcie stracił stanowisko w trakcie kadencji w wyniku kompromitującej bójki z przewodniczącym rady. Wójt wygrał wprawdzie na pięści, ale przegrał w sądzie i konkurencja objęła rządy. Zaczęła od wycinania ludzi poprzednika i niszczenia wszelkich śladów jego działalności. Szkoła, w której mieszkamy, jest prezentem byłego wójta dla mieszkańców rodzinnej wioski za to, że jak jeden mąż głosowali za nim. Nowy wójt zarządził budowę nowej szkoły w sąsiedniej wiosce, bo on tam mieszka. Dwie szkoły obok siebie w czasie niżu demograficznego to lekka przesada, więc naszą można śmiało zlikwidować. Jeśli sądzisz, że brak wody miał tu jakieś znaczenie, jesteś w błędzie, gdyż ten problem dotyczy prawie całej gminy.

– No, to przedstawiłaś mi w skrócie polskie piekielko samorządowe. Ale wracając do waszej sprawy, co zamierzacie dalej? Chyba można tu kupić jakiś dom w okolicy? A może lepiej wróćcie znów do miasta, bo jak sobie tu wyobrażasz kształcenie dzieci?

– Właśnie głównie ze względu na dzieci wolelibyśmy nie zmieniać radykalnie naszego miejsca zamieszkania. Mają tu przyjaciół i znajomych. Chodzą do dobrego liceum w Kielcach. Trochę już nawędrowaliśmy się po Polsce i nie tylko. Nie zamierzamy znów rzucać wszystkiego, bo pojawiły się jakieś trudności. Nie ma miejsc idealnych. Zrozumiałam to niedawno i mam zamiar zmieniać raczej rzeczywistość wokół siebie, a nie miejsce zamieszkania. Tak się moje losy potoczyły, że jestem młodą stażem nauczycielką, choć niektóre koleżanki z mojego rocznika myślą już o emeryturze. Wydaje mi się, że odnalazłam się w tym zawodzie. A mój mąż też na pewno jest tu potrzebny, choć jego rodzice uważają, że został zdegradowany zawodowo i pogrzał swoją karierę, żeby realizować moje głupie pomysły.

– A dzieci naprawdę nie zaprzepaszcza tu swojej przyszłości? – zapytała znowu.

– Teraz szkoły wiejskie mogą dać lepszą edukację i wychowanie niż przepełnione i zdominowane przez agresję szkoły w dużych miastach. Nasi wychowankowie doskonale radzą sobie na studiach, bo często mają większą motywację niż dzieci miejskie. Wszystko zależy od zdolności ucznia i jego chęci do nauki. Nie zauważyłam, żeby nasze dzieci miały jakieś kompleksy z tego powodu, że mieszkają na wsi. Szczerze mówiąc, nie mamy jeszcze gotowego

planu, jak błyskawicznie zdobyć nowe lokum. Sprawa sprzedaży szkoły jest bardzo świeża. Wcześniej były jakieś plotki, ale nie sądziliśmy, że to stanie się tak nagle. Nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać z dziećmi, gdyż one zaraz po rozdaniu świadectw wyjechały na Mazury. Przez telefon nie chcemy ich niepokoić. W dyskusję włączyliby się dziadkowie i niepotrzebnie podgrzewali atmosferę. Dzieci znów nasłuchałyby się o swojej mamie nie najlepszych recenzji. Jak już wspomniałam, nie jestem ulubienicą teściów.

Przeszliśmy już kilka kilometrów i wciąż mówiliśmy o mnie. Postanowiłam przejąć inicjatywę.

– Tak cię zagadałam, że nie podziwiasz nawet widoków. A ja też jestem ciekawa, co działo się z tobą przez te wszystkie lata.

– U mnie to naprawdę nic ciekawego – powiedziała Grażyna jak zwykle i miałam wrażenie, że czas się cofnął i znów mamy po kilkanaście lat.

– Musisz mi opowiedzieć o sobie wszystko w sposób usystematyzowany. Najlepiej zacznij od końcówki szkoły – poradziłam.

– Mówisz, żeby zacząć od momentu, kiedy wycofałaś się z życia klasowego po przejściach z Goską i Rafałem? – zapytała.

– Ja wtedy dużo chorowałam i w domu też mieliśmy obłęd – zaczęłam się tłumaczyć. – Nie myśl sobie, że historia z Rafałem pozbawiła mnie chęci do życia. To była moja pierwsza miłość, ale bez przesady. – Uświadomiłam sobie, że znów mówię o sobie, więc szybko się wycofałam. – Ale co ty robiłaś? Nazwiska, adresy, kontakty. Dawaj!

– Powinam się wytłumaczyć, dlaczego wtedy, gdy było ci ciężko, mnie przy tobie nie było. Tuż przed maturą byłam już właściwie nieobecna duchem w szkole, bo szykowałam się na wielką wyprawę do Austrii, a potem miałam jechać aż do Australii.

– Co ty mówisz?! – Stałam zaskoczona. – Nikt nic o tym w szkole nie wiedział.

– Rozumiesz, że nie mogłam nikomu o tym mówić, bo wszystko było nielegalne i ściśle tajne. Do tej pory nie znam kulis tej mojej ucieczki do lepszego świata. Wymyślił ją i opłacił tata. Ale nas taki jeden gość, z którym wszystko załatwiał w najgłębszej tajemnicy, zrobił w konia. Dobrze jeszcze, że nie wylądowałam w burdelu. Tata chciał dla mnie wszystkiego, co najlepsze. Wtedy jakoś tak nagle zrozumiał, że PRL nie jest państwem, które kiedykolwiek stanie się rajem dla naszego pokolenia. On nie był głupi, zauważył, że komuna zaczyna się sypać. Zrobiła się moda na

ucieczki na Zachód, więc postanowił przeschmuglować mnie za granicę. Facet z naszej wsi pojechał do Austrii na jakieś szkolenie i opowiadał cuda o tych, którym się udało z obozów dla uchodźców wyjechać do Stanów, Kanady czy Australii. Namówił ojca, żeby dał mu kupę kasy, a on przeprowadzi mnie z Czechosłowacji do Austrii, a potem dalej wyśle do Australii. Przeprawa przez czechosłowacką granicę wcale nie była trudna, chociaż emocje, owszem, wielkie. Nie byłam jedyna, szli z nami nawet starsi, sympatyczni małżonkowie. A może mnie się wtedy wydawało, że oni są starsi? Dla mnie horror zaczął się już na miejscu, w Wiedniu. Okazało się, że ten facet prowadzi szemrane interesy z Turkami i raczej nie zamierza wysłać mnie na antypody, gdzie czekała daleka rodzina mamy. Planował zarobić na mnie na miejscu lub wysłać mnie z Turkiem do Niemiec, do burdelu. Dałam sobie radę dzięki perfekcyjnej znajomości języka, o której ojciec na szczęście nie poinformował mojego „dobrodzieja”. Podśledzałam jego rozmowę z Turkiem. Mówił, że trzeba mnie trochę oswoić i przerobić, bo jestem nie za ładna. Możliwe jednak, że dziewica, a za taką więcej wezmą, lepiej zatem postępować ostrożnie. Uciekłam od niego i nie wiedząc, co ze sobą począć, chodziłam od kościoła do kościoła w centrum Wiednia. Był to dzień powszedni, w tych zabytkowych obiektach spotykałam głównie turystów. Nie wiedziałam, do kogo zwrócić się o pomoc. Wreszcie spostrzegłam w konfesjonale jakiegoś księdza staruszka. Podeszłam nieśmiało i powiedziałam, jaki mam problem. Okazał się bardzo konkretny i energiczny. Zaraz dostałam od niego adres wiedeńczyków związanych z Kościołem katolickim, którzy pomagali dziewczynom w podobnych wypadkach. Załatwili mi miejsce w takim jakby internacie. Dostałam pracę. Na początku sprzątałam, a potem się usamodzielniałam i zaczęłam nawet studiować ekonomię. Z ludźmi, którzy mi pomogli, koresponduję do dziś i mam wobec nich wielki dług wdzięczności. Jestem pod wrażeniem ich szczerzej, niemalże ewangelicznej pobożności i dobroci. Wielu Polaków ma negatywne doświadczenia z kontaktów z Austriakami, ja mogę powiedzieć, że zawdzięczam im życie i dzisiejszą karierę. Kiedy wróciłam do Polski w latach dziewięćdziesiątych, byłam już kimś i mogłam przebierać w ofertach pracy. Teraz znam jeszcze dwa, oprócz niemieckiego, języki obce, mam doświadczenie zawodowe, masę kursów i podyplomówek. Czuję jednak już na plecach oddech młodych, zniecierpliwionych oczekiwaniem na to, by zająć moje miejsce. Czekają jak sępy na moje potknięcie, na moje zmęczenie, zmarszczki i nadwagę, bo jest o co walczyć. A młodzi

języków uczą się teraz od przedszkola, a na studia zagraniczne jadą jak do innego miasta. I wszystko chcą od zaraz, szybko, bo ich świat jest szybki. Ja jeszcze nie mam zadyszki i dają sobie radę w tym wariackim tempie, a może nawet je lubię, ale chyba też rozumiem ciebie. Streściłam ci już moje całe ćwierćwiecze, a teraz ty zaczynaj od początku.

– Nie, kochana, na razie starczy. Biegnijmy z powrotem, bo zaczyna kropić i coś mi się zdaje, że słyszałam daleki grzmot, a odeszliśmy spory kawał od domu. Uważaj tylko, żeby nie skrócić nogi! Teren jest nierówny i sporo tu osuwających się kamieni! Gonisz! – krzyknęłam i klepnąwszy po dziecinnemu Grażkę w ramię, puściłam się wąską, krętą ścieżką w dół, schodząc ze szlaku i próbując skrócić drogę, gdyż burza w środku lasu na stoku góry może być śmiertelnie niebezpieczna.

Pędziłyśmy jak szalone. Wkrótce duże, ciepłe krople deszczu zamieniły się w chłoszczące z wiatrem zimne strugi, a pomruki grzmotów zastąpiły syczące i trzaskające nad naszymi głowami pioruny. Młode drzewa wyginały się konwulsyjnie, a stare naginały z wyraźnym wysiłkiem, trzeszcząc przy tym złowrogo. Przeskakiwałyśmy rowy, ślizgałyśmy się na mokrych głązach i nie bacząc na nic, przedzierałyśmy się przez chwytające nas jak wnyki krzaki jeżyn i malin.

Wystartowałam ostro i początkowo wydawało mi się, że będę musiała czekać na prowadzącą życie mieszczaucha Grażynę, ale niebawem poczułam brak tchu w piersiach i nieprzyjemne uczucie jakby mdłości i skurczu żołądka. Pomyślałam sobie, że to panika i zwolniwszy nieco, starałam się głębiej oddychać. Wciąż miałam jednak wrażenie, iż powietrze nie zawiera dostatecznej ilości tlenu i nadal odczuwałam duszność. Musiałam się zatrzymać. Z pewnym zażenowaniem w głosie powiedziałam do nadbiegającej właśnie Grażyny:

– Chyba za słabo dbam o formę albo strach mnie sparaliżował i nie mam już siły.

– Zbyt ambitnie się wyrwałaś – powiedziała wcale niezasapana Grażka. – A tak w ogóle... ćwiczysz coś? Biegasz? Ja chodzę na siłownię i dwa razy w tygodniu na basen, biegam, jak pogoda pozwala, a poza tym często robię wypadki na narty.

– No tak, a ja w najlepszym wypadku spaceruję. Siedzę całymi dniami nad zeszytami albo przed komputerem i oto rezultat. Już mi trochę lepiej, więc chodźmy prędzej – nadrabiałam miną, a teraz poczułam jeszcze ból lewego ramienia.

– Jesteś pewna, że już możesz? – spytała Grażka, przyglądając mi się badawczo. – Wyglądasz jakoś blado. Miałaś wcześniej jakieś problemy z sercem?

– Problemy sercowe miałam jeszcze w ogólniaku, ale ty akurat o nich wiesz. Jednak kiedy poznałam mojego męża, na szczęście mogłam o nich zapomnieć – obróciłam wszystko w żart.

– Miałaś szczęście, że trafiłaś na porządnego człowieka. Ale powiedz szczerze, myślisz czasem o Rafale? Czy twój mąż go trochę przypomina, czy jest zupełnie innym typem? – dopytywała Grażna.

– Daj spokój, Grażka. Pioruny nad głową wałą, ja omal nie umieram ze strachu, a ty mi każesz robić wyznania i analizy. Mojego męża poznałaś przecież na naszej studniówce. Był partnerem Agaty. Pamiętasz ją chyba? Była dość ładna, ale strasznie gadatliwa i wylewna. Miała przydomek Kobieta Saper. Chłopcy jej raczej unikali.

– No pewnie, że pamiętam Kobietę Saper! Ale żebyś mnie zabiła, to nie wiem, jak wyglądał jej partner ze studniówki. I co, odbiłaś jej go wtedy? Myślałam, że byłaś wciąż jeszcze załamana po rozstaniu z Rafałem, i bałam się, że w ogóle nie przyjdiesz na studniówkę. A ty mówisz, że już zaczęłaś nową historię? Chyba cię jako takiej flirciary nie znałam.

– To nie tak. Byłam wtedy faktycznie w tragicznym dole, ale postanowiłam udawać, że dla mnie to wszystko było niewiele znaczącym zadurzeniem. Pokazywałam, że zaraz się otrząsnęłam i jestem już normalnie radosna. Wiesz, to upokarzające okazywać swoje cierpienie facetowi, który już ściska na twoich oczach inną. Agata namówiła mnie, żebym zgodziła się na towarzystwo jej kuzyna, studenta medycyny, którego naraiła rodzina. Ona jednak poprosiła go, żeby przyprowadził dla niej swojego kolegę, bo zabawa z kimś blisko spokrewnionym wydaje się nieciekawa. Kuzyn Agaty przyciągnął mojego Krzysia, szantażując go, że nie da mu jakiegoś skryptu, i ten straszny kujon tylko dlatego zgodził się iść do ogólniaka na studniówkę. Ale był potwornie drętwy i naburmuszony, zupełnie jak ja. W sumie na początku Agata bawiła się ze swoim kuzynem, a ja i Krzys siedzieliśmy głównie przy stoliku i toczyliśmy jakieś ogólnikowe dysputy.

– To miałaś równie udaną studniówkę jak ja. Mnie tata załatwił syna sąsiadów. Pamiętasz jego frak i krawat? Drugiego takiego pajaca nie było. Myślałam, że się popłaczę i nie wejdę z nim na salę. Jednak tata, który go przywiózł, po prostu nas wepchnął. Ja głupia

wcześniej się przyznałam, że nie wybieram się na studniówkę, bo nie mam z kim, i tata zrobił na wsi istny casting. W końcu wybrał na podstawie zdjęcia syna sklepowej. Według niego chłopak był jak malowany: sto osiemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu, ponad stówa w kłacie, włos na Wodeckiego. Ściągnął go aż ze Śląska i był pewien, że będę zachwycona. Wyszliśmy z balu bardzo wcześnie, a ten czereśniak chciał mnie jeszcze zaciągnąć do hotelu, który opłacił dla niego mój tata.

– Przy naszym stoliku po jakimś czasie, jak to się mówi, pierwsze lody zostały przełamane i potem było całkiem fajnie – kontynuowałam swoje wspomnienia. – Kuzyn Agaty przyniósł skądś wysokoprocentową oranżadę i zaczął nam podlewać, aż zrobiło się wesoło i ruszyliśmy w tany. Okazało się, że Krzys świetnie tańczy. Poczułam się na całkowitym luzie, zwłaszcza że wiedziałam, iż nigdy więcej się już nie spotkamy.

– Ale on się zakochał od pierwszego wejrzenia i zaraz ci się oświadczył. A potem żyli długo i szczęśliwie – zaśmiała się Grażka, ukazując wybielone zęby. – Tak? Zaczęło się jak piękna bajka?

– Wcale nie. Nie zapominaj, że Krzysztof był partnerem Agaty, więc jako człowiek dobrze wychowany odwiózł ją po balu do domu. Chyba przy pożegnaniu zaproponował wszystkim spotkanie, żeby wspólnie obejrzeć zdjęcia, ale ja, kobieta po przejściach, stanowczo odmówiłam. Nie nalegał więc i tak skończył się nasz balowy epizod.

– No to skąd wzięły się na świecie wasze dzieci i tak w ogóle?

– Zawsze mówię, że co nad kimś wisi, to na niego spadnie, więc już przed maturą wylądowałam w szpitalu z ostrym wyrostkiem. Pamiętasz? Zabrali mnie ze szkoły. Nie miałam nawet własnej bielizny, kapci ani przyborów toaletowych. Byłam tam jak sierota, gdyż mama z babcią wyjechały właśnie do sanatorium, a siostra jako asystent scenografa pojechała z ekipą do Bułgarii kręcić pierwszy w swoim życiu film. Telefony działały wtedy beznadziejnie i szybką formą komunikacji była depesza. Nasze dzieci już chyba nie wiedzą, co to takiego – wtrąciłam. – Uznałam, że wysłanie ze szpitala do sanatorium telegramu mogłoby spowodować u babci zawał, więc powiedziałam lekarzom, iż mieszkam sama i nie mam nikogo bliskiego – kontynuowałam. – Patrzyli na mnie trochę ze współczuciem, a trochę podejrzliwie. Salowe przyniosły mi seksownie powydzieraną koszulę, która co chwilę wszystkim zainteresowanym i tym niezainteresowanym także ukazywała moją kształną młodzieńczą pierś. Kończyło się to giezłeczko w połowie pośladeków, więc konieczny był szlafrok. Dali mi tak koszmarną

ścierę, że nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Takie wówczas były warunki w stołecznej klinice akademickiej. Koło łóżka zamiast kapci stały moje krótkie, czerwone kozaczki. Po prostu bieda z nędzą. Na stole operacyjnym dowiedziałam się, że będzie to pokazowa operacja dla studentów, a w dodatku nie dostanę narkozy, tylko znieczulenie nadoponowe, czyli będę całkiem przytomna. Po chwili zostałam odarta z czci, wyżej wspomnianej garderoby, a także z takich ludzkich uczuć jak wstyd. Pan docent miał dowcip na poziomie wojskowego trepa. Mówił do studentów, którzy wianuszkami otoczyli stół operacyjny, że wziął mnie poza kolejką, żeby chłopaki popatrzyli sobie na młodą skórkę. Mnie pocieszył, że postara się, aby szew był mało widoczny, żebym mogła jeszcze uprawiać striptiz. Swoją drogą, zastanawiam się, dlaczego większość zabiegowców to chamy. Nie reagowałam wcale na te błyskotliwe żarty. Byłam zresztą trochę otumaniona „głupim Jasiem”. Popatrzyłam po twarzach studentów i studentek, bo i takie były, choć w mniejszości, i zobaczyłam, że wszyscy rżą z dowcipów utytułowanego konowała. Wszyscy oprócz jednego osobnika, w którym natychmiast rozpoznałam mojego studniówkowego partnera. Stał przy mojej głowie i szepnął: „Nie przejmuj się. Nie ma się czego wstydzić, tu sami medycy. On jest pozbawiony wrażliwości, ale zna się na tej robocie. Jak będzie coś nie tak, to mi powiedz”. Uśmiechnęłam się blado, ale zrobiło mi się lżej. W chwilę później postawiono mi przed nosem parawanik z jakiejś białej tkaniny, z której prosto w moje nozdrza uleciało pełno kłaczków. Poczułam potworne, nie do zniesienia łaskotanie w nosie. Niestety ręce, jak to zwykle bywa podczas operacji, miałam przywiązane do stołu. Nie miałam innego wyjścia, musiałam poprosić jedynego znajomego i życzliwego mi osobnika o podrapanie mnie po nosie. Trochę się zdziwił, ale nie odmówił. Prośbę tę powtarzałam jeszcze wielokrotnie podczas przeciągającej się szkoleniowej operacji, aż w końcu mój drapacz powiedział: „Spróbuj może wytrzymać, bo masz już nos jak marchewka”. To mnie dobiło, w dodatku docent zaczął się bardzo gwałtownie szarpać z moimi wnętrznościami i miotać przekleństwa. Mnie zaś zrobiło się jakoś niebiesko i fioletowo i odpłynęłam. Okazało się, że źle znoszę dolargan i gwałtownie spadło mi ciśnienie. Podobno przez moment nawet było groźnie i żartowniś się wystraszył. Obudziłam się pod tlenem, bardzo wypoczęta i niewiele początkowo pamiętałam z tej operacji. Następnego ranka na swojej szafce szpitalnej znalazłam przybory toaletowe i słodkiego pluszowego misia. Miś miał na sobie

zrobiony z ligniny kitel i coś w rodzaju maseczki chirurgicznej na pysiu, na szyi karteczkę z napisem: „Niektórzy są całkiem sympatyczni w tym zawodzie”. Okazało się, że to prawda. Krzysiek opiekował się mną naprawdę fantastycznie. Mój pobyt w szpitalu skończył się, zanim mama z babcią wróciły z sanatorium, więc Krzysiek odwiedzał mnie w domu. Co ci jeszcze mogę powiedzieć? Dalej było już typowo... miłość.

– Ale skąd pomysł z tym ślubem tak szybko?

– No, wcale nie tak szybko, jakby się zdawało. Chodziliśmy ze sobą prawie rok. Jak się ludzie kochają, to chyba naturalne, że chcą być razem. Wtedy nie było w zwyczaju mieszkać ze sobą na próbę. Nie było koedukacyjnych akademików, istniało jeszcze coś takiego jak opinia publiczna, szczególnie ważna dla dziewczyny. Myślę, że trafił mi się mężczyzna wychowany trochę po staroświecku, który te rzeczy rozumiał. Jestem za to wdzięczna jego rodzicom, choć oni nie byli nigdy zachwyceni wyborem syna. Mieli po prostu swoją kandydatkę na synową, ale to już inna i mało znacząca sprawa.

– Ale super, piękna i romantyczna historia. Wzruszyłam się. Szkoda, że nic poza własnym wstydem z powodu tego tępego osiłka nie pamiętam z naszej studniówki. I twojego Krzysia też nie.

– W domu pokażę ci zdjęcia, to może skojarzysz, a teraz chodźmy szybciej – powiedziałam, sapiąc z wysiłku, ale nie mogłam zanadto przyspieszyć kroku, więc wlekliśmy się dalej w milczeniu w strugach deszczu przez mokre chaszcze.

Po powrocie obmyliśmy się z leśnego błota błotem domowym i zasiadliśmy do późnego obiadu. Przygotowałam wszystko wcześniej, a teraz szybko podgrzałam. Grażynka nawet po takiej eskapadzie nie była głodna. Nie mogła zjeść normalnie mojej cudownej lazanii, bo nie łączy białka z węglowodanami. Wydziałała trochę mięsa, a po godzinie zjadła porcję surówki. Ja zaś spałaszowałam za nią i za siebie, bo apetyt mam z wiekiem niestety coraz lepszy.

– Bardzo ci zazdroszczę, że możesz tak wszystko jeść. Zawsze byłaś szczupłą, a ja walczyłam z nadwagą. Wiesz, że w czasach szkolnych to nawet piłam ocet i porządnie schudłam? Ale zaczęły mi się różne problemy ze zdrowiem i się przestraszyłam. Teraz dużo ćwiczę i nieustannie jestem na diecie. Mnie nic nie przychodzi łatwo. Ja wszystko muszę w życiu wypracować albo odcierpieć. Zoperowałam sobie nos. A właściwie pierwsze były uszy, potem nos. Koszmarne przeżycie. Kilka razy już robiłam dermabrazję. Botoks to już wśród moich znajomych rutyna, więc też nie odstaje.

Zastanawiam się jeszcze nad paroma drobiazgami. Wiem, że tobie może wydawać się to śmieszne. Ty urodziłaś się ładna, a ja musiałam na urodę zapracować – powiedziała Grażyna z goryczą w głosie.

– Nie przesadzaj. Trochę zmieniłaś rysy twarzy, ale nie przypuszczałam, że to stąd. Efekt jest rewelacyjny! – powiedziałam szczerze. – Czuję się przy tobie jak kocmołuch. Jesteś młodą, atrakcyjną laską. Możesz każdego poderwać. Dobrze, że nie masz takich dużych dzieci jak moje. Nie da się ukryć lat, gdy dryblas sto dziewięćdziesiąt wzrostu basem powie ci „mamo”.

– No właśnie, nie mam dzieci, nie mam z kim mieć dzieci i czasem zdarza mi się, że podrywają mnie dzieci. To jest bez sensu.

– Nie mów mi, że zostałaś skazana na samotność. Przecież jesteś jeszcze młoda, atrakcyjna, inteligentna, niezależna finansowo i w ogóle masz same atuty.

– Chyba właśnie za dużo atutów. Faceci się takich boją. Zresztą w naszym wieku nie ma już facetów do wzięcia. Większość sensownych jest zajęta, a ja nie mam zamiaru wchodzić komuś w paradę. Nie zaufałamby mężczyźnie, który dla mnie rzuciłby żonę i dzieci. Za jakiś czas zostawiłby mnie dla innej. Zdarzają się safandule życiowe, które chętnie by się mnie uczepliły, ale ja nie chcę być niczym wielbłądem. W pracy podrywają mnie gówniarze, bo mają nadzieję na awans. Nasz prezes chętnie by ze mną sypiał, ale bez zobowiązań. Zresztą kiedyś, gdy byliśmy na równorzędnych stanowiskach, myślałam, że coś nas łączy. Dowiedziałam się któregoś dnia, że interesują go otwarte związki. „Bycie singlem ułatwia karierę”, powiedział. No i miał rację. Teraz mam innego szefa. Ten nie jest singlem, ale w niczym mu to nie przeszkadza. Ja nadal jestem singlem i mimo że kwalifikacje mam lepsze niż dwaj moi ostatni prezesi razem wzięci, nie zostałam prezesem, bo jestem kobietą. Nie mam też już szansy na miłość. Żeby się zakochać, trzeba być ufnym, znaczy naiwnym, a ja już tego nie potrafię. Faceci szukają rozrywki, forsy, furtki do kariery albo mamuśki, która o nich zadba, gdy oni będą sobie używać na boku. Wolę być sama.

Słuchałam tej perory nieco przerażona. Moja rówieśnica wyglądała dziesięć lat młodziej ode mnie, a w duchu była zgorzkniałą staruchą.

– Musiałaś mieć jakieś traumatyczne przeżycia – powiedziałam wstrząśnięta. – A może obracasz się w kręgu niewłaściwych ludzi? Może to środowisko związane z twoją pracą jest takie?

– A ty nie miałaś traumatycznych przeżyć? Pamiętam, jaką

byliście z Rafałem fantastyczną parą. Młodzi, szczęśliwi, zapatrzeni w siebie i tacy piękni. Kiedy na was patrzyłam, pozbywałam się mojej wrodzonej, czy może zaszczepionej przez ojca, nieufności. Patrzyłam na twoje szczęście i myślałam, że ja też spotkam kogoś takiego. Może nie tak pięknego jak Rafał, bo sama nie jestem piękna, ale takiego, co będzie na mnie patrzył właśnie tak, jak on na ciebie. A potem to wszystko okazało się bańką mydlaną. Dał się oмотać takiej wrednej suce, która w dodatku udawała twoją przyjaciółkę. Wiesz, co się z nimi dzieje? Podobno...

– Słuchaj, Grażka, nie chcesz mi chyba wmówić, że moja nieudana młodzieńcza miłość miała wpływ na twoje życie? Ja owszem, bardzo przeżywałam tę historię z Rafałem, bo to był podwójny zawód, w miłości i przyjaźni, ale widocznie w niebie nasze losy były tak zapisane. Mam udane życie i nie rozpatruję, co by było gdyby. Wtedy mi się wydawało, że tego bólu nie zniosę. W domu też mieliśmy kolejne odejście ojca, które tym razem moja mama odbierała zupełnie inaczej. Zdawała sobie sprawę, że tym razem wpadł, że naprawdę zaangażował się uczuciowo z młodą siksą i, jak to powiedziałaś, „wredną suką”. Teraz myślę, że jej ból musiał być dużo gorszy od mojego, bo rozpadła się jej rodzina, bo ona nie była już młoda i wchodziła w klimakterium, a przede wszystkim poświęciła mu całe swoje życie. Ja oczywiście przeżywałam wszystko bardzo silnie, bo nastolatki tak mają. Chciałam umrzeć. Ale nie targnęłabym się nigdy na życie. Marzyła mi się śmiertelna choroba, która skróciłaby moje męki. Wymyślałam takie łzawe sceny, jak leżę w trumnie, a Rafał rozpacza i nienawidzi Goški. Taka dziecinada. Teraz z dystansu mogę ci ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że nie straciłam w tej miłosnej awanturze nic, nawet cnoty, a zyskałam doświadczenie życiowe i może dlatego potrafiłam docenić zalety Krzyśka.

– Z tą cnotą to chyba wciskasz mi ciemnotę. Chodziliście ze sobą prawie cały ogólniak i nic? Który chłopak by to wytrzymał?

– Więc, jak widzisz, nie wytrzymał i poszedł do innej.

– No tak – zgodziła się.

– Grażynko, napijemy się kawy na balkonie? Przestało padać i zobacz, jak góra niesamowicie paruje. Mamy sprzyjający wiatr od wychodka w stronę lasu. Zobacz, jak tu pięknie! – zmieniłam temat, gdyż poczułam się skrępowana własną szczerością.

Grażyna o tej porze nie piła kawy, tylko ziołową herbatę, którą na szczęście przywiozła ze sobą. Usiadłyśmy w wiklinowych fotelach i patrzyłyśmy na unoszące się w wielu miejscach nad lasem

smużki pary, które na tle granatowego nieba wyglądały jak dym z setek ognisk.

– To czarownice palą pod kotłami – powiedziałam. – Będą warzyły czarodziejskie ziołka i eliksiry. A potem namaszcą się, przedzierzną w piękne panny i będą kusić zbłąkanych wędrowców. Może nawet rozpalą jeden wielki ogień i urządzą sabat. Dostaną od szatana wytyczne i nocą cicho odlecą na miotłach. Możemy siedzieć i obserwować, bo któraś na pewno przeleci w pobliżu.

– Pisziesz teraz baśnie dla dzieci? Właściwie zawsze marzyłaś, że będziesz pisarką, i co?

– Jakoś zawsze brak mi czasu i zacięcia. Mama ma rację, jestem leniwa i niewytrwała. Po sprawdzeniu kupki zeszytów mam wstręt do liter. Układałam w myślach tysiące powieści i scenariuszy, na ogół przy zmywaniu albo prasowaniu, ale potem musiałam się chwycić bardziej absorbujących umysł zajęć i zapomniałam, co tam nawymyślałam. Gdybym miała prawdziwy talent, nie zaznałabym spokoju i musiałabym pisać kosztem rodziny i wszystkiego. Może więc lepiej, że go nie mam. A te swoje niewielkie zdolności wykorzystuję do pisania scenariuszy do szkolnych przedstawień. Sprawia mi to wielką frajdę. W ten sposób oswoiłam sobie szkołę, bo wiesz, że nigdy nie przepadałam za tą instytucją.

– No właśnie, zdziwiłam się, że jesteś nauczycielką. Naprawdę zaskoczyłaś mnie też tą wsią. Początkowo myślałam, że mieszkacie w jakimś superdomu, gdzieś pod miastem, jak to teraz jest w modzie. A tu się okazało, że to Judym ze Stasia Bozowską. No, po prostu niewiarygodne! Nie chce mi się wierzyć, że wy tak z wyboru.

– Przecież zsyłek i nakazów pracy już nie ma. Nikt nas nie zmuszał, ale było szereg wydarzeń, które doprowadziły nas do takiej decyzji. Czy jestem szczęśliwa? Zależy jak kiedy. Tak chyba ma każdy, wyłączając nieuleczalnie chorych, skazanych i depresyjnych. A ty jesteś szczęśliwa?

– Mam chyba wiele powodów, ale może jestem w kategorii depresyjnych. Dawaj te swoje zbiory zdjęć, niech poznam przyczyny, dla których podjęłaś decyzję o dobrowolnym zagrzebaniu się w tej urokliwej dziurze.

– Mówisz jak moja mama i siostra, które prawie co tydzień przyjeżdżają uzalać się nade mną i zwożą jeszcze całe wycieczki swoich znajomych, żeby popatrzyli na piękne widoki i moje szaleństwo – powiedziałam ze śmiechem. – A ja, żeby zrobić im wszystkim herbaty, muszę dwa razy lecieć z wiaderkiem po wodę. Teraz też cię przeproszę i skoczę po nią, żebyśmy miały na rano.

– Pójdę z tobą. Wiesz co? Dobrze, że ci tę szkołę sprzedali, bo będziesz musiała poszukać innego rozwiązania. Ziemi chyba jest tu pod dostatkiem. Kupuj działkę i buduj dom, jeśli życie tu ci odpowiada i chcesz być siłaczką – powiedziała Grażyna, wyciągając fachowo wiadro ze studni.

– Okej, lubię, jak ktoś za mnie decyduje – zaśmiałam się.

Tej nocy wypiliśmy prawie wiaderko herbaty oraz pół butelki whisky (Grażyna) i trzy czwarte ajerkoniaku (ja) oraz obejrzałyśmy prawie wszystkie zdjęcia mojej rodziny z ostatniego ćwierćwiecza. Grażyna, tradycyjnie już, poznała całą prawdę o mnie, a ja o niej w zasadzie nie dowiedziałam się więcej, niż powiedziała mi na wstępie.

3. MAMINA INSPEKCJA

Nad ranem miałam uzasadnione mdłości i ból gardła od nieustannego gadania. Moja droga koleżanka wciąż była świeżutka, jakby whisky, którą wchłonęła, była sokkiem grejpfrutowym. Adwokat rozwiązał mi jęzor, a Grażyna pytała jak prokurator o wszystko. Ciekawe, że bardziej nawet niż moje przeżycia interesowała ją historia ostatniej miłości mojego ojca, o której nieopatrnie jej wspomniałam.

– Mówiłaś, że kiedy twoja miłość skończyła się potokiem łez wylewanych ukradkiem w łazience, twój ojciec na dobre zostawił mamę. Przecież to ona zawsze go wyrzucała – indagowała Grażyna.

– Bo do tamtej chwili za każdym razem tak było. Wędrowni taty z walizką na trasie pracownia – dom trwały przeszło dwadzieścia lat. Ich dwudziesta trzecia rocznica ślubu zaczęła się bardzo przyjemnie. Tata przyniósł kwiaty i odświeżył młodzieńczy portret mamy. Babcia upiekła tort, a absztyfikant siostry przyniósł wino i nowe płyty. Była też Ewka, bardzo głośna i rozrywkowa koleżanka Zyty ze studiów. Ewka była trochę starsza od Zyty, bo przyszła na ASP po jakichś studiach nauczycielskich. Tata popisywał się erudycją, a mama tańcem. Koleżanka Zyty od początku robiła słodkie miny do naszego taty. Babcia szepnęła do mnie w pewnym momencie: „Po co Zytka przyprowadziła tę ulicznicę?”. Zdziwiłam się trochę, gdyż nigdy nie słyszałam, żeby nasza babcia wyrażała się o kimkolwiek źle. Oglądaliśmy jeszcze potem nasze rodzinne fotografie, które na nieszczęście wyciągnęłam z szuflady. Mamę wspomnienia nie nastrajały najlepiej. Nie potrafiła się nawet w takim dniu powstrzymać od przykrej uszczypliwości. Kolega Zyty pierwszy się zreflektował, że pora iść do domu. Chciał zabrać ze sobą Ewkę, bo razem przyszli, i ona stwierdziła, że dziś musi jechać w innym kierunku, gdyż pilnuje mieszkania cioci podczas jej nieobecności. Tata jako dżentelmen natychmiast się poderwał i zaproponował, że on odprowadzi pannę Ewunię i przy okazji wyprowadzi psa. Pamiętam jak dziś, że powiedział „pannę Ewunię”, co mnie niezmiernie rozśmieszyło, bo było takie staroświeckie i w ogóle do niego nie pasowało. Zawsze raczej zachowywał się jak nasz kolega, o co mama miała do niego pretensje. W nocy usłysza-

łam pod drzwiami skomlenie naszego sznaucera, więc go wpuściłam. Tata przyszedł do domu bez słowa dopiero po kilku dniach, starając się unikać naszych spojrzeń, i zaczął pakować swoje rzeczy. Tym razem mama była blada i nie odezwała się ani słowem. Babcia siedziała w kuchni, a łzy płynęły jej po policzkach. Wszystko było inaczej i czułam, że tym razem skończy się też inaczej. Podeszłam do ojca i zapytałam: „Czemu nam to robisz?”. „Jak sama kogoś pokochasz, to zrozumiesz” – odparł melodramatycznie i wydał mi się starszy, jakiś pokurczony i wręcz groteskowy. Nie spytał nawet, czemu mam czerwone oczy i czy płakałam z jego powodu. Bał się chyba spojrzeć mi w oczy. Nie przyszło mu do głowy, że mnie też ktoś zrobił takie samo świństwo jak on mamie. Bardzo go wtedy potrzebowałam, ale takiego, jaki był przedtem. Wówczas myślałam bardziej o sobie niż o mamie. Wydawało mi się, że ona jest przyzwyczajona, że świetnie radzi sobie sama. A ja nie miałam nawet z kim porozmawiać. To tacie zawsze zwierzałam się najchętniej. Jego rady nie były podszyte dydaktyzmem i potrafił się wczuć w sytuację. Straciłam wtedy zaufanie do wszystkich mężczyzn.

– No i co, był szczęśliwy z tą nową żoną? – spytała Grażka.

– Sielanka trwała tak mniej więcej do końca jej studiów. Od początku nie krępowała się zbytnio jego osobą. Wiem to z pierwszej ręki. Zaraz po dyplomie pracowała w filmówce razem z naszą Zytą. Szybko urzekła swą urodą reżysera, chyba jeszcze starszego od mojego ojca. Któregoś dnia zadzwoniła do zamężnej już Zyty, żebyśmy zajęły się ojcem, bo jest poważnie chory i nie chce się leczyć. Poszłyśmy do jego atelier i zastałyśmy go w oplakanyim stanie. Był strasznie chudy i pomarszczony. Wygadywał takie rzeczy, że obawiałyśmy się, czy nie zwariował. Twierdził, że Ewka od dłuższego czasu go podtruwała, bo miała kochanków. Zawiozłyśmy go gwałtem do szpitala. Wkrótce znałyśmy diagnozę: rak wątroby w końcowym stadium.

– A co z tą Ewką? Nie zajmowała się nim wcale? – Grażyna była wyraźnie wstrząśnięta moją opowieścią.

– W jego pracowni nie znalazłyśmy już jej rzeczy, ale też nie było tam prawie w ogóle obrazów ojca i różnych cennych przedmiotów. Nie kontaktowała się z nami więcej, a my też jej nie szukałyśmy. Mama kazała przywieźć ojca ze szpitala do naszego domu. Z mieszkania zrobiło się małe hospicjum, bo od dwóch miesięcy moja kochana babcia również umierała na nowotwór. Zyta nie mieszkała już z nami. Rodzice jej męża mieli dom w Aninie, więc młodzi

zamieszkali z nimi. Spodziewała się dziecka. Mieli z Kaziem konflikt serologiczny i ciąża była zagrożona, niewiele więc mogła nam pomóc. Ja też byłam już po ślubie. Studiowałam i dorabiałam jako fotomodelka. Mój mąż pracował wtedy na Banacha. Robił specjalizację i musiał się dużo uczyć. A do tego brał co drugi dzień dyżur, aby zarobić na nasze utrzymanie i na wynajem małej kawalerki, gdyż w tej sytuacji nie było dla nas miejsca u mamy. Mama pracowała jeszcze zawodowo, więc możesz sobie wyobrazić, jak jej było ciężko. Nie skarżyła się nigdy. Pielęgnowała ojca praktycznie bez słów. Kierowała do niego tylko niezbędne zdania i rzeczowe polecenia. W stosunku do babci też nie była zbyt wylewna, jakby się bała, że ta zechce poruszyć z nią temat taty. Ale babcia była wyjątkowo taktowna. Udawała, iż wcale nie wie, że w pokoju obok leży jej marnotrawny zięć. Mój Krzys był dla naszej rodziny prawdziwym darem losu. Oprócz wiedzy medycznej i anielskiej wprost dobroci oraz cierpliwości wykazał się także zdolnościami organizatorskimi. Sporządził nam grafik, według którego wymienialiśmy się na dyżurach przy chorych. Nie wolno było się spóźnić, bo cały grafik się walił. Chwilami jednak wszyscy byliśmy u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej.

– No tak, całe szczęście, że los zesłał ci medyka. Rafał byłby znacznie mniej przydatny. Słyszałaś o tym, że zostawił Goškę, gdy stwierdzono u niej jakieś odchyły psychiczne? – Grażyna wtrąciła ni w pięć, ni w dziewięć, a ja zignorowałam te jej rewelacje.

– Kiedyś moja córka zapytała, czy nie żałuję wesołego studenckiego życia, bo jako mężatka zapewne nie korzystałam z niego w pełnym zakresie – ciągnęłam.

– I co jej odpowiedziałaś? – spytała Grażka.

– Prawdę. Ja co dzień błogosławiłam to, że Krzysztof już po kilku miesiącach naszej bliższej znajomości podjął za nas oboje decyzję i stwierdził, iż w sytuacji, gdy ja zaczynam studia, a on kończy, powinniśmy wziąć ślub. Musiał szarpać się ze swoimi starymi, którzy spodziewali się, że synek jedynaczek zaraz po studiach wróci na Mazury i przejmie schedę po ojcu, też medyku. Już podczas pierwszej wizyty dali mi odczuć, że jestem intruzem w ich poukładanym świecie. A w końcu dowiedziałam się o istnieniu niejakiej Ani, którą Krzysztof powinien zgodnie z ich życzeniem poślubić, tylko że ja weszłam w paradę.

– Nie mów mi, że ten twój ideał uwiódł i porzucił jakąś babkę?

– Nie. No skąd – zaprzeczyłam skwapliwie. – Z Anią bawił się jeszcze w piaskownicy. Jego matka i matka Ani są przyjaciółkami.

Ania za nim poszła na medycynę i wszystko zmierzało do szczęśliwego finału, gdy nagle...

– Nie żartuj! W dzisiejszych czasach ludzie próbowali aranżować swoim dzieciom małżeństwo? To jak w Indiach albo u muzułmanów. Powiedz coś więcej o swoich teściach – nalegała.

I znów się rozgadałam na dobre. Zrobiłam rys psychologiczny z dygresjami.

– Jest wiele powodów, dla których darzę rodziców Krzysztofa szacunkiem – zaczęłam. – Są poważni i odpowiedzialni. Ale, niestety, mają tę wadę, że zawsze wszystko wiedzą najlepiej i nie znoszą sprzeciwu, skoro zawsze mają rację. Ten zakłęty krąg powinien wyjaśnić wszystko. Ich życie było zaplanowane, głęboko przemyślane, póki na horyzoncie nie pojawiłam się ja. No cóż, nawet rozumiem ich rezerwę wobec mojej osoby. Rezerwa to najwłaściwsze słowo.

– A twoja teściowa ma jakiś zawód czy tylko całe życie przy mężu?

– Ma, oczywiście, że ma. Teściowa jest filologiem klasycznym. Zaraz po studiach pracowała jako lektor łaciny na Akademii Medycznej, gdzie wówczas studiował mój teść. Jest starsza od niego i uważa, że powinien jej słuchać w każdej sprawie. Po ślubie teściowa opuściła stolicę i zamieszkała z mężem na Mazurach. On bardzo szybko awansował na dyrektora powiatowego szpitala. Ona zaś zajęła się nauczaniem łaciny w liceum, w którym wkrótce też została dyrektorem. W mieście są znani i szanowani, zasłużenie zresztą. Ale zawsze chciało mi się śmiać, gdy, na przykład, szliśmy razem do kościoła. Oni po ulicach nie chodzili, a kroczyli. Mieli w sobie więcej dostojeństwa niż królowa Anglii. Inna rzecz, że w czasach ich aktywności zawodowej doktor i nauczyciel byli prawdziwymi autorytetami. Mój Krzyś był idealnym dzieckiem, dobrze się uczył, miał zainteresowania, którymi można było pochwalić się znajomym i realizował rodzicielski plan na życie, który powstał prawdopodobnie już przed jego poczęciem. Dobrzy i zapobiegliwi rodzice wybrali mu też przyszłą żonę. Już widzę moją teściową przyglądającą się z lubością małej Ani, która pod jej bokiem bawiła się z Krzysiem w szpital. Mam nadzieję, że nie bawili się w doktora, gdy mama spuściła ich z oka – wtrąciłam z uśmiechem i sprawdziłam, czy Grażyna słucha jeszcze.

– Wyobrażam sobie, jacy musieli być na ciebie wściekli – wtrąciła, dając znak, że nie zmogła jej moja gadanina.

– Anię nawet kiedyś spotkałam u Krzysia w akademiku, lecz

nie zwróciłam na nią specjalnie uwagi. Nie miałam pojęcia o istnieniu tego planu. Podczas mojej pierwszej wizyty u teściów zostałam przez nich gruntownie przepytana, przemaglowana i przetestowana na różne tematy. Wypadłam fatalnie. Ocenę z komentarzami poznałam dopiero po kilku latach, gdy zamieszkałam z teściami na Mazurach. Wszystko wypaplała mi ich gosposia. Teściowa stwierdziła, że jestem niesympatyczna, zarozumiała i mało elokwentna, a w dodatku ubrałam się jak głupia. W kwestii stroju doradzała mi Zyta, która była i nadal jest projektantem scenografii i kostiumów. W cieniutkim, haftowanym kożuszku i ludowej chuście wyglądałam, jej zdaniem, modnie, stylowo i niebanalnie, ale w oczach przyszłych teściów jak prosta wieśniaczka. Prawdziwym skandalem okazało się jednak życie, a właściwie rozkład pożycia, czyli rozwód moich rodziców. Zostałam poinstruowana, że ten kompromitujący fakt musi pozostać tajemnicą dla całej bliższej i dalszej rodziny oraz wszystkich znajomych. Szczerze mówiąc, byłam oszołomiona i zdziwiona. Jadąc z Warszawy na Mazury, przebyłam zaledwie dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód, a miałam wrażenie, że odbyłam podróż w czasie i znalazłam się w dziewiętnastym wieku. Ale z kolei właśnie tym archaicznym poglądom moich przyszłych teściów i w sumie ich przyzwoitości oraz oryginalnemu obszernemu swetrowi, autorstwa mojej Zytki, zawdzięczam to, że rodzice Krzysztofa nie wyrazili wówczas swego zdecydowanego weta wobec matrymonialnych planów syna. Walnęli mu na osobności kazanko, że nie tak go wychowali, że okazał się skrajnie nieodpowiedzialny i teraz niech sobie pije piwo, którego nawarzył. A on nawet nie domyślił się, że podejrzewali nas o zmajstrowanie dzidziusia. Na zaproszenie do Warszawy, które przekazałam im w imieniu mamy, odpowiedzieli wymijająco i rozstaliśmy się chłodno.

Ślub w stylu folk odbył się wiosną. Zyta nas właściwie przebrała, a nie ubrała na tę okazję, bo nadal przeżywała fascynację ludowymi motywami. Moje koleżanki bardzo mi zazdrościły sukni haftowanej w czerwone maki i wianka z polnych kwiatów. Teściowie mimo wielu oporów stawili się na ślubie. Potem zgodzili się wpaść na kieliszek szampana do domu weselnego. Zostali jednak trochę dłużej, bo mój tato, który przyszedł na ślub bez Ewki, udawał singla i rzucił czar na moją teściową. Trzeba przyznać, że od tego momentu moje stosunki z teściami miały szanse stać się znośniejsze.

– Ale wspominałaś coś, że mieszkaliście z Krzyśkiem u jego rodziców. Odważna byłaś. Ja bym nie wytrzymała z nimi ani jed-

nego dnia.

– Chciałam przełamać tę niechęć i myślałam, że mogę przekonać ich do siebie. Krzys zrobił specjalizację. Ja na ostatnim roku miałam niewiele zajęć na uczelni, zostało mi tylko dokończyć i obronić pracę magisterską. Krzys przekonał mnie, że dobrze byłoby wyjechać z Warszawy i zgodnie z życzeniem jego rodziców zamieszkać na Mazurach. Myśleliśmy o dzieciach. Teściowie ucieszyli się, że synek chce do nich wrócić. Przez moment zrobiło się miło. Dałam się, głupia, namówić na mieszkanie w ich przestronnej willi. Nie przyjechałam jednak etatu polonistki w szkole, w której dyrektorowała teściowa. Sama znalazłam redakcję rolniczego tygodnika i stałam się szalejącym po pegeerowskich polach reporterem. Krótko trwał ten mój romans z rolnictwem, gdyż niebawem pegeery upadły, a wraz z nimi moje pismo oraz cały ten peerelowski burdel. Czas spędzony w domu moich teściów wspominam jako czyściec na ziemi. Czułam się jak przybysz z innego kręgu kulturowego, który stale popełnia jakieś gafy. Wiecznie coś miano mi za złe, ale nikt o tym otwarcie nie mówił. Moja praca była traktowana jako mocno wstydlive zajęcie. Zdobycie nagrody za reportaż o eksperymentalnej hodowli bydła było przez kilka miesięcy obśmiewane przez teściów podczas odwiedzin ich gości. Stale musiałam słuchać o wyjątkowości doktor Ani, jej subtelności i pokrewieństwie dusz z moim mężem. Teściowa w swojej szkole rozprawiała o mojej ewentualnej bezpłodności. Byłam podobno nawet podejrzewana o dokonanie aborcji naszego domniemanego pierworodnego. W niewielkim mieście ludzie są tak ze sobą powiązani, że wcześniej czy później człowiek się dowiaduje, co o nim ktoś inny mówi, choć wcale o to nie zabiega. Dziwisz się, że pewnego dnia, gdy nadarzyła się okazja, uciekłam stamtąd aż na drugą półkulę?

– Jak to uciekałaś? Zostawiłaś swego Krzysia? Nie wierzę!

– Oczywiście, że nie, ale to znowu skomplikowana historia, więc opowiem ci ją jutro. Trzeba się choć chwilę przespać – wymamrotałam i wkrótce już chrapałam.

Padłyśmy obie na rozłożoną wcześniej dla Grażyny kanapę, gniotąc nieco rozrzucone wokół fotografie. Około południa mnie pierwszą zbudził odgłos samochodu zajeżdżającego na wyżywiany parking pod naszymi oknami. Może jakiś pacjent do Krzysia? – pomyślałam i zerwałam się, aby ucywilizować swój wygląd. Spojrzenie w lustro dobiło mnie zupełnie. Słyszałam, że przy samochodzie ktoś się strasznie kokosił, trzaskały drzwi i kłapa bagażnika. Żwir szurał pod drepczącymi wkoło auta nogami.

Założyłam szlafrok i pomyślałam, iż wyjdę na balkon i uprzedzę, że lekarza nie ma. Po co mają chorego taszczyć po schodkach. Nagle usłyszałam zniecierpliwiony głos mojej mamy.

– Mówiłam ci, żebyś nie brał żadnych kwiatów, ale ty jesteś taki staroświecki. Przecież nie przyjechałeś starać się o moją rękę, tylko poznać młodszą córkę. Jeszcze się uparłeś na tę strelicję i zobacz, kwiat odpadł. Mamy teraz udekorowanego badyła – besztala kogoś, jak to zwykle ona.

Jak nastolatka rzuciłam się na stojące na stole i wokół kanapy opróżnione nocą szkło i krzyknęłam:

– Grażka, wstawaj! Moja mama przyjechała!

Grażynie udzielił się mój popłoch. Szybko wyskoczyła z łóżka i zaczęła mi pomagać w zatarciu śladów „przestępstwa”. Gdy mama z eleganckim starszym panem zadzwoniła do drzwi, pokój wyglądał już w miarę schludnie, tylko my byliśmy jeszcze rozmęciani.

– No tak, mogłam się tego spodziewać, południe, a ta w pizamie – rodzicielka zaczęła łącać, całując mnie jednocześnie z dubeltówki. – Przecież do waszego domu przychodzą pacjenci, powinnaś być przygotowana o każdej porze dnia i nocy.

– Sugerujesz, że powinnam spać w ubraniu? Czy lepiej w ogóle zrezygnować ze snu? – zapytałam zaczepnie.

– Ona udaje, że nie wie, o co mi chodzi – mama patrzyła na mnie rozpromieniona i jednocześnie kręciła głową z dezaprobatą.

– Może mnie przedstawiś? – spytał nieśmiało stojący obok niej dżentelmen, który dźwżył w jednej ręce udekorowaną łodygę, a w drugiej należący do niej piękny kwiat.

– To jest mój kolega z uniwersytetu – powiedziała od niechcenia mama i chyba zawiodła jego nadzieje tą zdawkową prezentacją, bo całując mnie w rękę, sam zaczął tłumaczyć.

– Nazywam się Euzebiusz Latoń i mam przyjemność uczęszczać z pani mamusią na zajęcia Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Ot, taka tam zabawa dla staruszków. Z pani mamusią zaprzyjaźniliśmy się nieco...

– Euzebiusz, nie nudź! Nie stój w drzwiach! Widzę, że zięcia nie ma. Na dyżurze? Dzieci na Mazurach? Łóżko w salonie rozebrane... No dobrze, że nie zastałam cię z jakimś gachem, tylko z...

– Mamo, pozwól – przerwałam jej. – To jest Grażyna Kowalik, moja koleżanka z liceum. Pamiętasz? Trochę trudno ją poznać, bo zmieniła się w pięknego łabędzia. Na pewno kojarzysz Grażkę.

– Tak, tak. To pani Grażynka?! No, naprawdę, nie pomyślałabym nigdy... No widzisz, jak kobieta dba o siebie, to wygląda. A ty?

– mama znowu mnie zaatakowała.

– Ależ pani Asia też wygląda czarująco, jeśli wolno mi się wtrącić. Taka naturalna w tym negliżu – pan Euzebiusz przyglądał się z lubością mojej rozchełstanej pizamie, która ukazywała chyba więcej, niż bym sobie życzyła.

– Dziewczyny, ubierajcie się, bo ten stary satyr zaczyna się ślinić – powiedziała bez ogródek mama, a pan Euzebiusz spiekl raka jak pensjonarka.

Pomyślałam sobie, że mama wcześniej nie była aż tak szorstka i bezpośrednia, i trochę mnie to razi, zwłaszcza w zestawieniu z jej szarmanckim kolegą. Ale jest to chyba jej nowy sposób obrony przed światem. Chce udawać twardszą, niż jest. Powinnam mieć dla niej więcej wyrozumiałości, lecz to takie trudne.

Żeby sprzątnąć pościel z kanapy, zebrałam rozrzucone w nocy zdjęcia i położyłam na stole. Mama natychmiast zaczęła je zachłannie przeglądać, jakby ich nigdy wcześniej nie widziała. Położyła przed sobą te z Afryki, do których wczoraj jeszcze z Grażką nie dotarłyśmy. Przerzucała je przez chwilę i powiedziała z westchnieniem:

– Wiecie, co ja przeżyłam, jak ta wariatka postanowiła wyemigrować do RPA? Opowiadała pani? Widziała pani te zdjęcia? – zwróciła się do Grażyny. – Ja już Euzebiuszowi coś niecoś na ten temat mówiłam.

Jak na kolegę ze studiów, ten Euzebiusz sporo wie – pomyślałam sobie i powiedziałam głośno:

– Streszczałam Grażce całe dwadzieścia pięć lat, ale akurat, jak doszłyśmy do Afryki, zmorzył nas sen. Dobrze, że wybrałaś te zdjęcia, to mi ułatwi dalszą opowieść. Ale teraz zrobię coś do jedzenia. My nie jadłyśmy jeszcze śniadania, a ty i pan Euzebiusz też pewnie coś przekąsicie po podróży.

– Ja tylko napiję się kawy! – krzyknęła Grażyna, wychylając się z łazienki, gdzie pobiegła zrobić sobie makijaż.

Uwijałam się jak w ukropie i wkrótce zastawiłam stół naszymi wiejskimi wiktuałami: jajami prosto spod kury, twarogiem owarzanym przeze mnie osobiście na sitku, miodem z miejscowej pasieki i konfiturami made in moja kuchnia. Byłam z tego wszystkiego» bardzo dumna. Lecz cudowna śmietanka zebrana ze świeżego mleka, które już od rana stało w bańce przed drzwiami, okazała się dla Grażyny i mamy za tłusta. Twaróg też wyprodukowałam z pełnego mleka, więc odsunęły go ze wstrętem. Jaja zostały zakwalifikowane jako trucizna, a konfitury, jako słodkie bomby kalo-

ryczne, pominięte milczeniem. Między mamą i Grażyną zaczęła snuć się nić porozumienia. Ja zaś uśmiechałam się do sympatycznego Euzebiusza, który pałaszował podane wiktuały, jednocześnie je zachwalając.

– Mam jeszcze normalną wędlinę ze sklepu. Chcecie? – spytałam zrezygnowana.

– Ależ nie rób sobie kłopotu – powiedziała Grażyna. – Mówiłam ci, że ja rano tylko kawę.

– Mnie wystarczy pomidory i ogórki, bo chociaż nic nie jem, kilogramów wciąż mi przybywa – dodała mama, chcąc zapewne zwrócić uwagę na swą nienaganną sylwetkę.

– Ależ, Celino, ty masz idealną wagę i wymiary. Prawda, że Celnika wygląda jak dwudziestolatka? – Euzebiusz patrzył na mamę z nieklamany uwielbieniem.

– Tak, z tyłu liceum, z przodu muzeum. Nie podlizuj się i sam uważaj, co jesz. Jesteś za ciężki i dlatego bolą cię stawy – mama okrutnie zganiła swego adoratora.

– Masz rację, jak zwykle – powiedział biedny Euzebiusz i otarł usta serwetką. – Ale wracając do państwa wyjazdu do Afryki, jeśli nie jestem zbyt wścibski, interesuje mnie państwa motywacja. Rozumiem tych, co emigrowali w czasach komuny, ale państwo wyjechaliście już z wolnej Polski, jeśli się nie mylę.

– Powodów było wiele, ale żaden polityczny. Może tylko taki, że wcześniej mogliśmy wyłącznie pomarzyć o wyprawach zagranicznych, a po osiemdziesiątym dziewiątym już można było te marzenia zrealizować. W Polsce zaczynało się nowe życie, ale wiele rzeczy też się kończyło. Ja akurat pracowałam w tygodniku, który przestał istnieć z dnia na dzień. Z kolei nad szpitalem, gdzie był zatrudniony mąż, zawisła groźba przekształcenia go w zakład dla przewlekle chorych.

– Ty nie mydl nam wszystkim oczu, tylko przyznaj, że uciekłaś od teściów – wtrąciła mama, ujawniając bezpardonowo główną przyczynę, dla której zaczęłam snuć marzenia o wyjeździe i stopniowo urabiać do tej idei Krzysia.

– Może najlepiej będzie, jeśli odpowiesz za mnie, bo, jak zawsze, wszystko wiesz lepiej – powiedziałam z irytacją.

– Jesteś zła, bo to prawda – mama nie dawała za wygraną. – Trzeba było zwyczajnie powiedzieć mężowi, że nie zgadzasz się na mieszkanie u jego rodziców, a nie wlec się na drugą półkulę, narażając na niebezpieczeństwa jego, siebie i dzieci.

– Mówiłaś, że Krzysztof wyjechał pierwszy – milcząca od

dłuższej chwili Grażyna włączyła się do rozmowy. – Zostawił cię z malutkimi dziećmi? Kiedy w końcu urodziły się te wasze bliźnięta? To są dzieci Krzysztofa? – pytała zupełnie już zdezorientowana.

– Pewnie, że Krzysia. Oj, tam się urodziły – próbowałam wyjaśnić Grażynie, ale mama znów mi przerwała.

– Rodziła dzieci w szpitalu dla czarnych. Narażała je na AIDS i różne inne świństwa, których nie sposób wyliczyć. No, powiedzcie szczerze, czy ona jest normalna? – mama uwielbia takie wieloosobowe sądy nade mną.

– Dobrze, zgadzam się z tobą. Nie jestem normalna – mówiłam coraz głośniejszym głosem, bo mnie wkurzyła.

Miało być tak przyjemnie, a mama znów wprowadza zamęt. Dlaczego ja się tłumaczę z mojego życia przed jakimś jej, pożałuj Boże, kolegą? Dlaczego ona wpada do mnie bez uprzedzenia? Kocham ją, kiedy jest daleko, ale żyć z nią nie mogę – myślałam, zbierając ze stołu naczynia drżącymi ze zdenerwowania rękami.

– Nie zabieraj wszystkiego, tylko dorób nam kawy i podaj ciasto. Trochę kalorii na pewno mnie i pani Grażynie nie zaszkodzi – stwierdziła nieoczekiwanie propagatorka odchudzania. – A Euzebiusz może nie jeść. On już przeholował z tymi konfiturami. To idź szybciej do kuchni, a ja tu wszystko opowiem, jak naprawdę było.

Ręce mi opadły. Nie ma na nią rady. Teraz choćbym dostała ataku apopleksji, ona wyłoży słuchaczom wszystko po swojemu. Żeby jej przeszkodzić, musiałabym ją unicestwić. Poczłapałam więc zrezygnowana do kuchni. Nie upiekłam żadnego placka, gdyż zaplanowałam na deser jogurt mrożony z truskawkami. Dobrze, że zawsze mam zapas mrożonych jogurtów na wszelki wypadek, więc starczy też dla niespodziewanych gości. Zajęłam się szykowaniem słodkości, a mama nadawała:

– Mój zięć to nigdy by nie wpadł na taki wariacki pomysł, jak emigracja do Afryki. To spokojny i normalny facet, choć, jak na mój gust, trochę ciapowaty. Moja córunia była sprężynką. Teściowie nigdy jej tego nie wybaczą. Krzyś jest jedynakiem i to był dla nich wstrząs. Dla mnie zresztą też. Myślę, że Aśka dostawała już fizia. Mieszkali u teściów i zbyt długo po ślubie nie mieli dziecka. Ona ciągle zachowywała się jak nastolatka i wymyśliła dziecinną przygodę. Spodziewała się pewnie, że będzie głaskać lwy i słonie spacerujące pod domem, a Murzynka Bambo nauczy czytać.

Musiałam przyznać jej w duchu, że tak właśnie było. Mama oczywiście ma skłonność do przesady, ale zna mnie jednak bardzo dobrze.

– Kiedy więc wyjeżdżał, myślałam nawet, że to może dobrze. Niech jedzie, oderwie się od swojej nadopiekuńczej rodzinki, sprawdzi się jako lekarz i w ogóle. Jak mu wszystko wyjdzie, to Asia po jedzie do niego, zwiedzą piękny kawałek świata. On zarobi, a ona może zacznie coś pisać, bo przecież w tej gazecie udowodniła, że ma trochę zdolności. A potem wrócą i kupią mieszkanie albo zbudują dom, gdzie będą chcieli. I wreszcie postarają się o dzieci. Ale nikt nie przypuszczał, że oni jadą na stałe. Aśka czekała kilka miesięcy na wszelkie papiery i ukrywała przed nami, że zamierzają emigrować.

Kiedy wniosłam pucharki z jogurtowymi delicjami, mama opowiedziała już o moich perypetiach porodowych, o potwornej przestępczości, ale także o urokach krajobrazu RPA. Z dumą pokazała zdjęcia naszego domu z basenem i ogromnym ogrodem. Jeszcze trochę, a scharakteryzowałyby także faunę i florę tej części Afryki oraz dokonała analizy socjologicznej wielorasowego i wielokulturowego społeczeństwa tego dziwnego kraju. W wielu miejscach bezwiednie cytowała fragmenty moich listów pisanych do niej stamtąd.

– Chyba mam naprawdę talent pisarski, bo przecież mama zna to wszystko z moich relacji, a opowiada, jakby sama tam była i przeżywała to wszystko – zażartowałam.

– A ty myślisz, że ja nie przeżywałam? Rozpaczalam, że nie zobaczę was więcej, że nie poznam nigdy moich wnuków. A jak już zaczęłaś pisać o tych problemach politycznych, o zbliżających się wyborach, to nie miałam chwili spokoju. Wtedy nawiązałam bliższe kontakty z rodzicami mojego zięcia. Wszyscy nalegaliśmy na ich powrót.

– Tam wcale nie było tak dramatycznie, jak mama przedstawia – powiedziałam. – Żyliśmy naprawdę luksusowo, ale tęskniliśmy strasznie za krajem i rodziną. Faktycznie, te wszystkie zagrożenia istniały, ale w Polsce też jest pełno bandytów i nie trzeba wiele, żeby stracić życie. A jeżdżenie samochodem po naszych drogach to nie szaleństwo? Dopiero zabicie przez Polaka jednego z przywódców czarnej ludności naprawdę nas przeraziło, a w naszych rodzinach w kraju spowodowało potworną panikę. Mieliśmy wtedy wrócić, ale poza jakimiś pogrózkami wypisanymi na polskim kościele nie odczuliśmy większych skutków tej historii, więc pozostaliśmy dalej i tęskniliśmy coraz bardziej.

– A co wreszcie sprawiło, że wróciliście? – spytała Grażyna.

– Chyba to, że trzeba było posłać dzieci do szkoły. Zdaliśmy

sobie sprawę, iż rozpoczęcie tam edukacji będzie oznaczało, że one oddalą się od nas, stracimy z nimi kontakt. Krzysztof radził sobie w RPA świetnie. Pracował w szpitalu uniwersyteckim i pewnie stać by nas było z czasem na dobre, prywatne szkoły dla dzieci. Ale mnie nagle opanował straszliwy lęk, że jeśli jemu się coś stanie, ja nie zapewnię im nic. Myślałam o tym coraz częściej i miałam do siebie pretensje, że nie potrafię w tych warunkach być jego partnerem, a w razie czego oparciem dla dzieci. Nie mogłam zasnąć, dopóki Krzys nie wrócił z dyżuru. A bywało, że wracał w środku nocy, bo taki tam był idiotyczny system. Wiedziałam, że jedzie przez miasto, nie zatrzymując się na czerwonym świetle na skrzyżowaniach, gdyż w nocy to zbyt niebezpieczne i wszyscy tak robią. Bandyty bowiem, żeby ukraść samochód, po prostu zabijali na skrzyżowaniu kierowcę. Mieliśmy w domu broń, trzymetrowe ogrodzenie, alarmy, firmy ochroniarskie i psy, ale wciąż żyliśmy w niepewności. Czulałam się jak więzień w areszcie domowym. Nie odważyłabym się na spacer z wózkiem czy psem po okolicy. Dzieci nie mogły tam same po prostu pobiec do kolegów mieszkających w pobliżu. Nie było nawet chodników, więc nie przewidywano takich sytuacji. Kiedy dzieci poszły do przedszkola, dopadła mnie chyba depresja. Nic mnie już nie cieszyło. Krzys wyczuł to doskonale. Zaczął organizować nasz powrót, nagrywać pracę i mieszkanie w Polsce.

– Musi cię ten twój mąż bardzo kochać, że tak wszystko robi dla twoich zmiennych kaprysów – zauważyła Grażyna z pewną nutką zazdrości.

– Jeśli myślisz, że łatwo go było przekonać do wyjazdu z kraju, to się mylisz – powiedziałam.

– Euzebiusz, śpisz?! – krzyknęła raptem mama, gdyż głowa jej adoratora niebezpiecznie zbliżyła się do opróżnionej filiżanki. – No weź tu dziadka z wizytą, to ci wstydu narobi.

– Ależ, Celinko, ja wcale nie śpię – Euzebiusz oprzytomniał błyskawicznie. – Po tej wspaniałej kawce jestem pokrzepiony i czuję się jak młody bóg. Może pójdziemy na spacer? Zrobiliśmy pani taki niespodziewany nalot i może przeszkadzamy? – sumitował się.

Spojrzałam na zegarek. Zaproponować im wspólne pójście do kościoła? – zastanowiłam się przez chwilę. Mam jeszcze mszę wieczorną. Mama nie jest zbyt gorliwą katoliczką. Grażyna niegdyś była, ale teraz mogło się to zmienić. Powiedziałam jednak:

– Macie zamiar święcić dzień święty? To za kwadrans zaczyna się msza w naszym kościele.

– Szczerze mówiąc, liczyłam, że przejdziemy się do tego za-
bytku na górze – powiedziała Grażyna.

– Świetny pomysł! – Mama poderwała się jak mała dziewczynka i już stała w drzwiach. – Ale czy ty tam dojdiesz, Euzebio?

– No wiesz, Celino! Traktujesz mnie jak jakiegoś zmurszałego grzyba. Nie jest chyba ze mną tak źle? – oburzył się kolega mamy. – Jak to daleko?

– O, zobacz, niedaleko, tylko że dość wysoko. Ale skoro czujesz się jak młody bóg, to nie ma sprawy – mama dalej pastwiła się nad biednym staruszkiem.

– Tam msza jest później. Mamy jeszcze przeszło godzinę i spokojnie dojdziemy – pocieszyłam biedaka.

Grażyna zniknęła znów w łazience i wyszła w szalowym lni-
nym ubranku i eleganckich butach na niskim obcasie. Faktycznie
była przygotowana na każdą okoliczność. Ja nie miałam czasu
nawet się umalować. Zebrałam włosy w kitkę, wskoczyłam w
nieśmiertelne dzinsy i adidaski i byłam gotowa do drogi.

– Pani Grażyno, wygląda pani przepięknie, tak elegancko, a
Aśka jak zwykle. Ona myśli, że ma naście lat – mama znów przy-
pięła się do mnie.

Nie chciałam już się irtować przed mszą, więc przyśpieszyłam
kroku. Pan Euzebiusz uchwycił się mojego ramienia i próbował mi
dotrzymać kroku.

– Niech się pani tym wcale nie przejmuj, co mamusia mówi.
Ona bardzo panią kocha i chce podkreślić, jaka pani jest naturalna.
Ja już wspominałem, że mnie... – zabrakło mu tchu i musieliśmy
trochę zwolnić.

– Proszę się oszczędzać i mniej mówić, trzeba wyrównać od-
dech – poinstruowałam go, a sama też zaczęłam dyszeć. – Potem
będzie bardziej stromo, nie da pan rady, jak już się pan zmęczy.
Mama też trochę udaje zucha, gdyż wcale nie ma takiego zdrowego
serca, a stawy jakie ma zużyte od tego wieloletniego tańca i cwi-
czeń... – zdradzałam mamine tajemnice, gdyż Euzebiusz wydał mi
się bardzo sympatyczny i taki przez nią sponiewierany.

W lesie pachniało grzybami, szumiały zielone liście, śpiewały
ptaki, brzęczały owady i było tak cudnie. Trochę drażnił mnie ostry
zapach wody toaletowej starszego pana, więc byłam szczęśliwa, gdy
na stromym podejściu porzucił mnie i wziął pod pachę mamę, pod-
trzymując ją z troską na ostrych i śliskich kamieniach. Ona przyjęła
to też z niejaką ulgą, gdyż mogła udawać, że to z jego powodu
tempo wyprawy zaczyna się ślimaczyć. Poganiała go i strofowała, a

on znosił to z pokorą i wyrozumiałością. Pomyślałam o moim ojcu, który już od tak dawna nie żyje. Między nim a mamą nigdy nie było takiego ciepłego porozumienia, tylko nieustanne tango. Emocje stale sięgały zenitu. Potem on popełnił harakiri, łącząc się z Ewką. Może, gdyby dane im było się razem zestarzeć, teraz wszystko stałoby się łatwiejsze i mogliby tak razem iść pod górę, wspierając się wzajemnie. Przyjeżdżałoby do mnie, on rozkładałby sztalugi i malował, a ona patrzyłaby z zachwytem. Ceniła w nim bowiem artystę, choć wiecznie krytykowała człowieka.

Rozmarzyłam się. Przemknęło mi przez myśl, że my z Krzysiem mamy dużo większe szanse razem się zestarzeć, nie tylko dlatego, że jesteśmy bardziej powściągliwi i opanowani, ale również dlatego, że on szanuje wartości chrześcijańskie, które zdołał zaszczerpić i mnie. Tego nie dali mi moi rodzice, a jemu jego tak, więc powinnam być im wdzięczna. Poczułam się nieco wzruszona tą konstatacją i postanowiłam myśleć o nich cieplej i jeszcze dziś wieczorem zadzwonić.

Gdy wreszcie wyszliśmy na otwartą przestrzeń i oczom naszym ukazały się prastare mury kościoła, wszyscy umilkli i spoważnieli, nawet moja mama. Po mszy Grażyna uparła się, aby zaprosić nas wszystkich na obiad do znajdującej się z drugiej strony góry restauracji. Początkowo nie chciałam na to przystać, bo w domu obiad był już podszykowany. Przechodząc obok knajpy, poczułam jednak smakowite zapachy i głód po spacerze, więc sama tam skręciłam. Pan Euzebiusz rzucił się na tłustą golonkę, jakby nie jadł od tygodnia. Mama poddała druzgocącej krytyce jego wybór i sposób jedzenia, ale nawet to nie było mu w stanie popsuć przyjemności skonsumowania zakazanego przez lekarzy i zdrowy rozsądek przy-smaku. Ja zamówiłam też niezbyt zdrowego, tradycyjnego schaboszczaka. Mama i Grażyna dziobały jakąś rybkę z rusztu, słodząc sobie nawzajem tak, iż można by pomyśleć, że jedna drugą podrywa.

– Naprawdę można pani pozazdrościć wyglądu i energii. Ma pani takie młodzieńcze ruchy i młodzieżowy styl ubierania się. Chciałabym tak wyglądać w pani wieku – mówiła Grażyna, spoglądając mamie w oczy.

– Pani Grażynko, gwarantuję, że będzie pani wyglądać o niebo lepiej. Mnie życie nie rozpieszczało jak moich córek. Musiałam być dzielna, bo nie miałam na kogo liczyć. Ojca nie znałam, gdyż przed moim urodzeniem, w trzydziestym dziewiątym, trafił w ręce NKWD i ślad po nim zaginął. A mama, jak tylko sięgnę pamięcią,

zawsze była chora. Jakiego miałam męża, to chyba pani coś niecoś wie. Moje córki mają cudownych mężów, to ich nie potrafią docenić. Asia swojemu nie pozwoli nigdzie zagrzeć miejsca, a Zytka chyba zdradza tego swojego poczciwego Kazimierza – mama mówiła coraz głośniejsze o naszych rodzinnych i bardzo osobistych sprawach. Policzki oraz czubek nosa zrobiły jej się intensywnie czerwone. Na pewno po winie skoczyło jej ciśnienie, pomyślałam z niepokojem.

– Zytka jest kobietą z temperamentem i pracę ma taką z artystami, że czasem trudno jej się dziwić – kontynuowała tymczasem mama.

– Ciekawe, dlaczego ty nie byłaś taka wyrozumiała w stosunku do własnego męża, a córeczkę tak łatwo rozgrzeszasz? – spytałam złośliwie.

– Bo był fajtłapą. Zdradzać też trzeba umieć. Czy słyszałaś, żeby Zyta kiedyś przyznała się do czegoś takiego? Kazio prawie nakrył ją w łóżku z takim jednym popularnym aktorem, a ona mu się w oczy wyparła. Moja córka jest zaradna i zdolna. Kazio wie, że wygrał los na loterii. Dzięki jej kontaktom jego firma zdobywa kontrakty. Świetnie sobie radzą. Nie to co Asia i Krzyś.

– My też nie jesteśmy petentami opieki społecznej – warknęłam urażona.

– Ale teraz przez te przeprowadzki mieszkacie jak margines społeczny – odcięła się mama. – Widzi pani, ona się denerwuje, bo ja wszystko mówię, jak jest. Nie patrzę, że to moja córka czy wnuczka. Asia ma świetne dzieciaki, no z Patrykiem trzeba trochę ostrzej, ale Zytce nie udało się wychowanie córki.

Mama znalazła w Grażynie wdzięczną słuchaczkę i nie wiadomo, czy przed wieczorem skończy charakterystykę rodziny – pomyślałam, spoglądając na zegarek. Odwróciłam twarz do słońca i postanowiłam przynajmniej trochę się opalić, jeśli już mam tu siedzieć i słuchać setny raz jej trafnych diagnoz i racji.

– Wiktoria, tamta wnuczka, jest zdolna i ładna, ale sama nie wie, czego chce. A od czasu jak zaczęła studiować, to już w ogóle nie można z nią dojść do ładu. Mówi, że poszukuje sensu życia, ale robi to w tak dziwnym towarzystwie, iż wątpię, czy go znajdzie. Już w liceum były z nią kłopoty. W któreś wakacje przystała do wyznawców Kriszny. Matka i ojciec jeździli za nią po Polsce, żeby ją sprowadzić z powrotem do domu, a ona dziwnie ubrana sprzedawała jakieś koraliki oraz ichnią biblię. Twierdziła, że jest szczęśliwa. Potem pokutowała i leżała krzyżem w kościele. A teraz znów

powyrzucała z domu wszelkie krzyżyki i święte obrazy, gdyż, jak twierdzi, nie może żyć w ciągłym poczuciu winy, że ktoś oddał za nią życie.

Mama zajęła się córką Zyty, a o niej można długo gadać, więc znów wyłączyłam się na jakiś czas. Miałam swoje problemy. Narzekałam na mieszkanie w szkole, ale teraz nie będę miała nawet takiego. Lokale proponowane przez gminę to okropne nory, a sąsiedzi jeszcze lepsi – myślałam.

– Wiktoria jest dziwna – kontynuowała mama. – Ma taki wieczny niepokój w duszy. Może to po ciotce, bo Aşkę też stale coś gna – mama znów mnie zaatakowała.

– No to już przesadziłaś – zaperzyłam się okrutnie. – Sensowniej byłoby poszukać przyczyn zachowania Wiktorii w wychowaniu i atmosferze domowej, a nie mnie, Bogu ducha winną, obarczać jej dziwactwami!

– Tak, tak, ona jest trochę dziwna, ale czyż nie jest rozkoszna? – odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć pan Euzebiusz.

– A kiedyś ty ją, stary satyrze, zdążył poznać? Jak byliśmy u Zytki, Wiktoria była w Paryżu. No patrzcie państwo starego lowelasa! „Czyż nie jest rozkoszna?”. Twoją prawnuczką mogłaby być! – mama bez litości wymyślała Euzebiuszowi, a jego oczy zrobiły się smutne i okrągłe ze zdziwienia.

– Celino, o kim ty mówisz? Jaka prawnuczka? Ja myślałem o tobie, kochana.

– Pan Euzebiusz chyba na chwilkę się zdrzemnął – próbowałam załagodzić sytuację.

– Ja?! Niemożliwe! – obruszył się do żywego. – Jak ja bym mógł zasnąć w trakcie rozmowy, i to jeszcze w towarzystwie tak pięknych kobiet? Wykluczone! Nie jestem jeszcze takim starym piernikiem. Może najwyżej aparat mi się wysunął i coś źle usłyszałem. To o kim była mowa?

– Mówiła pani, że Asia mieszka w trudnych warunkach – Grażka zignorowała to pytanie i zmieniła temat. – Całkowicie się z panią zgadzam. Ja bym na jej miejscu zapłakała się na śmierć, gdyby mi przyszło biegać z wiaderkiem po wodę i myć się w takim błocie. – Grażyna wyraźnie chciała poużalać się nade mną, ale ja na to nie miałam najmniejszej ochoty.

– No nie mów, że twoja mama nigdy nie chodziła z wiaderkiem po wodę – powiedziałam nieco zirytowana. – Przepraszam cię, ale pamiętam, że jak przyjechałam do was, łazienka była nową inwestycją, nie całkiem jeszcze wykończoną. Czy twoja mama była kobietą

nieszczęśliwą?

– To były inne czasy. Teraz mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Grażynę chyba trochę wkurzyła ta moja wycieczka do jej dzieciństwa, ale nie dała po sobie poznać.

– No właśnie, ludziom w Warszawie zdaje się, że wszędzie już dotarła cywilizacja... – chciałam zacząć swój wywód, ale Grażyna mi przerwała.

– Przecież widzę, że tu ludzie też mają piękne domy, a w nich na pewno eleganckie łazienki...

– Tak, mają, ale często w określonych porach dnia przed tymi pięknymi domami wystawiają wiaderka, kociołki i beczki, bo straż dowozi im wodę. Nie używają pralek automatycznych ani zmywarek. Generalnie nasz region ma problemy z zaopatrzeniem w wodę i mój los nie jest tu jeszcze taki najgorszy.

– Pani Grażynko, ja to stale jej powtarzam, że na własne życzenie wpakowała siebie i rodzinę w ten grajdoł – mama próbowała od początku zacząć obwiniać mnie o cywilizacyjne cofnięcie całej mojej rodziny, lecz tym razem przerwałam jej zdecydowanie.

– No dobra, z tym mieszkaniem w szkole nie wyszło najlepiej, ale teraz i tak coś musimy zmienić. Szkoła jest sprzedana i już.

Kelnerka zaczęła sprzątać talerze z naszego stołu. Grażyna poprosiła o rachunek i nagle ni z tego, ni z owego zagadnęła ją:

– Nie wie pani, czy jest tu gdzieś w pobliżu jakiś ładny dom do sprzedania? Tylko żeby miał wszelkie media, czyli woda, gaz itd.

– Takiego nie ma na pewno, bo u nas ani kanalizacji, ani gazu jeszcze nie ma, a wodociąg tylko w niektórych wsiach – odpowiedziała z uśmiechem kelnerka. – Ale dzięki Unii niedługo to się zmieni. Już kopia. A pani podoba się u nas? Bo zdaje mi się, pani nietutejsza? Rodzina pani doktorowej? A chciałaby pani domek na lato czy chce pani tu zamieszkać na stałe?

– Nie, to nie dla mnie. Trzeba szybko znaleźć jakiś porządny dom dla doktora, bo szkoła sprzedana i doktor jeszcze od was znów do miasta ucieknie.

– Jak wójt szkołę sprzedał, to pewnie coś dla doktora załatwi. Kiedyś dawniej lekarze w ośrodku mieszkali, ale pan dyrektor sam zlikwidował te mieszkania i zarządził rozbudowę ośrodka.

– Moja koleżanka w Warszawie w nieruchomościach pracuje i ponosi ją temperament zawodowy – przerwałam paplaninę kelnerki.

– No to już poszło w gminę – powiedziałam z rezygnacją, gdy dziewczyna odeszła wypisywać rachunek. – Będą teraz wszyscy dyskutować i nam doradzać, a my nie mamy pieniędzy na kupno

domu.

– Od czego są banki i kredyty? – Grażyna nie widziała żadnego problemu.

– Braliśmy już kredyt na dom w Afryce i spłacaliśmy go kilka lat. Potem ceny nieruchomości tak spadły, że po sprzedaży domu i rozliczeniu się z bankiem wróciliśmy bez grosza – westchnęłam ciężko.

– A co z tym kredytem, który wzięliście na mieszkanie w Łodzi? – spytała mama.

– To było jeszcze jakieś mieszkanie w Łodzi? – zacięła się Grażyna.

– Tego pani jeszcze nie słyszała? – Mama znów uważała się za osobę najbardziej uprawnioną do roztrząsania naszych życiowych decyzji. – Po tej Afryce mogli przecież poszukać sobie pracy w Warszawie i zamieszkać ze mną albo już w ostateczności wrócić na Mazury. Ale gdzież tam, wymyślili Łódź i od razu wzięli kredyt na mieszkanie. Zięć był tam zastępcą dyrektora takiego dużego szpitala, no... – Mama spojrzała na mnie, żebym jej podrzuciła nazwę, którą zapominała.

– Nieważne, było, minęło – chciałam uciąć tę rozmowę i jak najszybciej wyjść z restauracji, gdyż zauważyłam, że kelnerka podzieliła się nowiną o poszukiwaniu przez nas domu z kilkoma osobami i siedząca obok nas para, wyraźnie z nią zaprzyjaźniona, przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Poczekaj, musisz wiedzieć, co z tą Łodzią. Czy twój mąż miał jakąś zawodową wpadkę i dlatego jesteście w tej dziurze? – Grażyna spojrzała na mnie jak Sherlock Holmes.

– A mówiłaś, że ci się tu podoba – odparłam jej atak.

– Bo to ładna dziura, ale dziura – Grażyna była nieustępliwa.

Jeśli nie wyjaśnię jej wszystkiego, gotowa dojsć do wniosku, że Krzys ma naprawdę coś na sumieniu – pomyślałam. Swoją drogą to ciekawe, jak ludzie rozumują według pewnych stereotypów. Nie chce im się, zasmarkanym warszawiakom, pomieścić w, głowie, że ktoś dobrowolnie opuszcza to ich cudowne, a w gruncie rzeczy co dzień przeklinane, bo kompletnie nieprzejezdne, miasto, aby zamieszkać w ustronnym, malowniczym miejscu, nawet za cenę pewnych niewygód. Grażyna w dodatku jest bardzo świeżą warszawianką, tym bardziej więc jej postawa wydała mi się wkurzająca.

– No, to co z tą Łodzią? Wyjaśnij pani Grażynco, bo ja już też się w tym wszystkim nie mogę połapać – dopingowała mama.

– Ojej! Mówiłam ci, Grażka, że Krzysztof przed wyjazdem z RPA nagrał sobie pracę. Właśnie jego kolega ze studiów został dyrektorem w łódzkim szpitalu i potrzebował zastępcy. Nie myśleliśmy wtedy o tym, że ten kolega od zawsze aktywny politycznie obejmuje posadę z politycznego rozdania. Zresztą nawet gdybyśmy się nad tym zastanawiali, też nie mielibyśmy oporów, bo jego poglądy były raczej zbliżone do naszych. Ja dostałam bardzo nieciekawą, ale mało absorbującą pracę korektorki, dzieci chodziły do szkoły. Myśleliśmy że nasza sytuacja zaczyna się stabilizować, więc wzięliśmy kredyt, żeby wykupić mieszkanie, które wynajęliśmy. Ale przyszły wybory i zmiana partii rządzącej. Nasz kolega musiał opuścić stanowisko, a wraz z nim jego zastępca, czyli Krzyś, który do żadnej partii nie należał. Nie wiem właściwie, dlaczego musiał, ale dla wszystkich to było oczywiste, że nowy dyrektor przychodzi z nowym zastępcą. Na dodatek mieszkanie, które kupiliśmy, jak nam się wydawało, po okazyjnej cenie od miasta, zostało nam bezprawnie sprzedane. Już trzy lata toczy się postępowanie w tej sprawie, a my wciąż spłacamy za nie kredyt.

– To ma być życie usłane różami? Pani Celino, to ciąg koszmarnych nieszczęść! – Grażyna była wyraźnie wstrząśnięta. – Ja się wcale nie dziwię, że zaszyliście się w tej głuszy między prostymi i uczciwymi ludźmi, gdzie lekarz i nauczycielka jeszcze coś znaczą.

– Znów myślisz stereotypami, którymi ja się kierowałam w swojej naiwności, namawiając Krzysia do udziału w konkursie na dyrektora ośrodka – powiedziałam z pobłażliwym uśmiechem. – Widzisz, nowe czasy szybciej zmieniały mentalność ludzi, niż zdołały dotrzeć do nich gaz, woda i kanalizacja. Chodźmy stąd wreszcie, bo niektórym już rosną uszy w ramach przyśpieszonej ewolucji.

Do domu wróciliśmy autobusem, bo staruszkowie spuchli i za nic w świecie nie byliby w stanie podejść nawet łagodnym zbochem z powrotem na szczyt, a tym bardziej zejść jeszcze stromizną do domu.

Z pewną ulgą pożegnałam późnym popołudniem moich gości. Miałam teraz dużo czasu na zrobienie porządku i wypoczynek. Krzyś wracał do domu dopiero następnego dnia po pracy. Zaraz po skończonym w pogotowiu dyżurze zaczynał przyjmowanie chorych i dyrektorowanie w ośrodku zdrowia. Niejednokrotnie zastanawiałam się, jak długo on tak wytrzyma. Ale dyżury w pogotowiu, zwłaszcza niedzielne i świąteczne, są nieźle płatne, a nam pieniędzy trzeba coraz więcej. Dzieci kończą niedługo naukę w szkole śred-

niej, będą, mam nadzieję, studiować. No i chyba nie ma wyjścia, musimy kupić jakąś chałupinę. Ale naprawdę chałupinę, bo na dom, o jakim mówiła Grażyna, nie będzie nas stać. Obawiałam się, że zanim zdolam Krzysioowi coś wyjaśnić, już jutro zgłoszą się do niego ludzie z ofertą kupna domu. Może być wściekły i będzie miał rację. Ja naprawdę nie miałam zamiaru podejmować bez niego jakichkolwiek decyzji. Tak jakoś samo wyszło.

4. ROZRABIAMY

Moje obawy się sprawdziły. Wieść o tym, że jesteśmy zainteresowani kupnem domu, obleciała gminę lotem błyskawicy i dotarła do mojego męża.

– Kobieto, znów coś uknułaś?! A ja, jak zwykle, dowiaduję się ostatni.

Krzyś, wróciwszy wreszcie do domu po prawdziwym maratonie dyżurowym i dziwnej rozmowie z wójtem, był skonany i rozdrażniony.

– Ja naprawdę nic nie wymyśliłam, tylko tak samo wyszło – tłumaczyłam się mętnie.

– Jak mogło coś takiego wyjść samo? Nie rób ze mnie głupka.

– Kotek, nie denerwuj się. Wszystko ci wytłumaczę – zaczęłam mu chaotycznie streszczać sens rozmów prowadzonych w tej nieszczęsnej knajpie Pod Sosnami. – Też byłam wściekła, że Grażyna bez uzgodnienia z nami robi takie rzeczy. Ona nie zna tutajszego środowiska. Nie chciała przecież nic złego. Jest tylko trochę zbyt przedsiębiorcza, jak na nasze potrzeby. Zresztą, tak czy siak, musimy coś w sprawie naszego lokum postanowić, a ona tylko przyśpieszyła te działania – paplałam, głaszcząc Krzysiove posiwiąle już porządnie skronie.

– Wójt i Żęgorek, właściciel tej knajpy, żyją w cudownej symbiozie – tłumaczył Krzyś. – Wójt wsadził mi go nawet do rady społecznej i Żęgorek zawsze jest kontra każdemu mojemu działaniu. Zdaje się, że oni mają jakiegoś kandydata na moje stanowisko. Niewykluczone też, że nasza szkoła poszła pod młotek, żeby łatwiej się mnie pozbyć.

– Boże, nie wiedziałam, że masz takie trudności.

– Wójt wezwał mnie dzisiaj i zaczął wprowadzić coś cieniować, że można naszą część mieszkalną wydzielić z budynku szkoły i on nam załatwi zakup tego po bardzo preferencyjnej cenie.

– Dobre sobie, najpierw sprzedał i nie zapytał, czy jesteśmy zainteresowani. Filantrop się znalazł. Pomagać nam chce?

– Nie ładź się, ta dobroć ma swoją cenę.

– Jak dużą? Coś ci już sugerował?

– Jasne. On się nie bawi w subtelności. Powiedział mi, że

chciałby, żebym zatrudnił w ośrodku kilku specjalistów z warszawskiej kliniki, którzy czasami będą do nas wpadać i konsultować trudniejsze przypadki. On już wszystko z nimi obgadał, łącznie ze stawkami, które zaakceptowali. Spojrzałem na stawki, według których miałem wynagradzać tych tajemniczych specjalistów, i mnie zamurowało. Wójt się kapnął, że coś mi nie pasuje. Zaczął od razu nadawać, że to jasne, iż specjaliści tej klasy nie przyjadą do naszej dziury za grosze. Przypomniałem sobie, że jego żona ostatnio leczyła się w warszawskiej klinice i panu wójtowi żal było forsy na dowody wdzięczności, więc postanowił się doktorom zrewanżować kosztem naszego budżetu. Tylko że ja powinienem to firmować. Dodatkowo chce złapać punkty u wyborców. Już rozgłosił po gminie, że ludzie na miejscu będą mieli dostęp do znakomitych specjalistów. Powiedziałem, że najlepszy nawet lekarz nie pomoże, gdy będzie musiał leczyć dobrym słowem lub przez nakładanie rąk. Nam brakuje pieniędzy na badania podstawowe. Byłem jeszcze ciekawy, jak często za te horrendalne, jak na nasze warunki, płace warszawskie sławy będą nas odwiedzać. Odpowiedział rozbijającą, że w wolnych chwilach.

- Odmówiłeś?
- To oczywiste.
- No to mamy wojnę. On ci tego nie daruje.
- Uważasz, że powinienem się zgodzić?!
- Nie, broń Boże. Tylko co dalej? Oboje jesteśmy od niego zależni. Może trzeba znów zajrzeć do „Gazety Lekarskiej” i planować przeprowadzkę.

– A co, przestało ci się już tutaj podobać? Kochanie, nie przerażaj mnie, znów cię gdzieś gna?

Krzyś się uśmiechał i przyjemnie głaskał mnie po karku. Ale sprawa naprawdę jest poważna. Wójt to człowiek, który nie znosi sprzeciwu. Gdyby był carem, wycinałby swoich przeciwników wraz z ich krewnymi i powinowatymi, przynajmniej do czwartego pokolenia.

– Ależ skąd! Nadal uważam, że tu jest pięknie – zaćwierkałam, udając bez troskę. – Potrafię tylko błyskawicznie przystosowywać się do nowych sytuacji. To ponoć cecha ludzi inteligentnych.

– No to dobrze, że jesteśmy zgodni w tym względzie. Mnie też się tu podoba – powiedział Krzyś, spoglądając w stronę gór. – Szykujmy się zatem do wojny. Bez walki się nie poddamy.

– Takiego cię kocham. A mama mówi, że jesteś ciapowaty, ona wcale cię nie zna.

– Moja teściowa tak o mnie mówi?! Komu? Pewnie nagadała wczoraj tej twojej przyjaciółce. Czuję, że będzie też wojna w rodzinie, ale póki co, chodźmy w tym wojowniczym nastroju do sypialni, bo czuję, że testosteron mnie zalewa.

Ten wieczór mimo wszelkich zmartwień i Krzysiwego zmęczenia spędziliśmy uroczym. Jedliśmy smakołyki, które naszykowałam na przyjazd Grażyny, popijaliśmy dobrym winem, hasaliśmy w negliżu, a nawet bez niego, po pustym mieszkaniu i czuliśmy się jak młode, bezdzietne małżeństwo. Krzyś nawet żartował, że powinniśmy zrobić sobie dzidziusia. Nasze bliźniaki niebawem już naprawdę wyfruną z domu i będzie nam smutno samym, we dwoje, jak dziad i baba. Miałam jednak nadzieję, że aż tak brzemienisty w skutki nasz uroczony małżeński wieczór nie będzie, gdyż byłoby to wielką nieodpowiedzialnością powoływać do życia nowego członka rodziny w sytuacji, gdy grozi nam bezdomność.

Byliśmy już nieźle wstawieni, gdy snuliśmy plany kupna domku z ogródkiem, a nawet całego gospodarstwa rolnego.

– Będziemy tu tkwić wbrew wójtowi i całemu światu – mówiłam w zapale.

– Wywałą mnie z ośrodka, to będę jeździć w pogotowiu i tylko prywatnie leczyć ludzi. Wójt może mi nagwizdać – odgrażał się Krzyś, machając widelcem.

– A ja, jako były redaktor rolniczego czasopisma, czyli prawie agronom, będę uprawiać żyto, pszenicę i to, na co akurat będzie koniunktura. Zajmę się hodowlą. Przecież uwielbiam zwierzęta. Zawsze marzyłam o tym, żeby mieć krowę, konia, kozę i kota. Popatrz, wszystko na „k”. Dziwne, no nie? – śmiałam się, jakby było z czego.

Już miałam zadeklarować, że więcej nie przekroczę progu szkoły i nie sprawdzę żadnego zeszytu, gdy Krzyś zgarnął mnie do sypialni, bo chciał sprawdzić, czy jako chłopka zrobiłam się bardziej jurna.

Rano było mniej optymistycznie.

– Słuchaj, naprawdę chcemy pakować się w jakiś domek i kolejny kredyt? – zapytał Krzyś, wychylając się z łazienki z pianką do golenia na twarzy, bo znów w kranie nie było wody.

– Wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia. Ty to na pewno jeszcze gdzieś pracę znajdziesz, ale ja już raczej nie. Polonistów jest jak psów – powiedziałam zupełnie poważnie.

To był jakiś wyjątkowy fart, że dyrektor gimnazjum, z wykształcenia wuefista, marzył o nauczycielu, który poprowadzi

mu teatrzyk szkolny i załatwi sprawę wszelkich akademii. Zgłosił się do mnie, gdy moi uczniowie z podstawówki w Wojkowicach zaczęli zdobywać nagrody na przeróżnych konkursach i przeglądach teatrzyków szkolnych. Trochę się bałam, że ze swoim słabym głosem i jeszcze słabszym charakterem stanę się w gimnazjum ofiarą rozwydrzonych wyrostków. Nie czułabym się dobrze z koszem na śmieci na głowie. Przyjęłam tę propozycję dopiero wtedy, gdy w naszej małej szkółce wprowadzono naukę w klasach łączonych. To zapowiadało cofnięcie się do początków ubiegłego wieku.

W gimnazjum okazało się nie tak źle. Uczniowie oczywiście są różni, więc bywa różnie, ale raczej lubię to, co robię. Jestem natomiast pewna, że lubię szkołę bez uczniów. Mam fajne koleżanki i dyrektor też jest w porządku. To on właśnie dał mi cynk, że szkoła, w której mieszkamy, będzie sprzedana. Poluje z wójtem i wiedział o wszystkim wcześniej nawet niż dyrektorka likwidowanej szkoły.

– Tak, do ciebie wójt też się pewnie przyczepi, jeśli będzie chciał nas wykurzyć – rozważał Krzyś. – Uważaj, żebyś tylko nie dała wciągnąć się w jakąś intrygę.

– „O mnie się nie martw...” – zaśpiewałam. – Zwolnić szeregowego nauczyciela dyplomowanego nie jest tak łatwo.

– No, chyba że się upijesz w pracy lub wdasz w romans z uczniem – żartował Krzyś.

– „Wszystko zdarzyć się może...” – zanuciłam fragment starego przeboju. – Na razie piłam cały weekend i miałam jeszcze wczoraj szewski poniedziałek. Zanim skończą się te wakacje, niewykluczone, że wpadnę w alkoholizm i będę prosić uczniów pod sklepem o złotówkę – ciągnęłam żartobliwy nastrój. – Romans z uczniem odpada. Nie lubię niedojrzałych mężczyzn, a moi uczniowie nawet się jeszcze nie kwalifikują do kategorii mężczyzn. Obraziliby się na śmierć.

– Ale twojemu dyrektorowi powinienem się chyba bliżej przyjrzeć. Dużo o nim mówisz.

– Też jest przecież młodszy ode mnie i to go dyskwalifikuje. Wiesz co? Niedługo wszyscy będą młodszy ode mnie – odkryłam nagle tę przerażającą prawdę.

– Co ty mówisz?! Ja bym się nigdy nie odważył. – Krzysiek zaczął mnie obcałowywać i wytarł o mnie całą piankę.

O mały włos nie rozpętaliśmy wojny na poduszki, ale telefon z sekretariatu wójta przerwał nam zabawę i spowodował, że Krzysztof wezwany na cito popędził do Urzędu Gminy bez śniadania.

Mnie następny wakacyjny dzień zleciał błyskawicznie. Mimo

pięknej pogody nawet nie wystawiłam nosa na dwór. Przejrzałam oferty nieruchomości w naszym regionie, żeby mieć rozeznanie w cenach. Sprawdziłam i porównałam kredyty hipoteczne we wszystkich bankach. Na wszelki wypadek sięgnęłam też do „Gazety Lekarskiej”, ale poważnych ofert pracy dla internisty, czyli takich z mieszkaniem, właściwie nie było. Lekarzy różnych specjalności kusily za to ogłoszenia o pracy w Irlandii i Wielkiej Brytanii. Podawano od razu zarobki, więc tak z ciekawości przeliczyłam i nie powiem, były kuszące. A co to! – powiedziałam buńczucznie w duchu. – Mój mąż nie musi tak ciężko harować za marne grosze. I nie musi użerać się z pazernymi, cynicznymi samorządowcami, którzy gminę traktują jak własne dominium. Może jechać za granicę, tam mieć spokój i zarabiać godnie.

Zaraz potem jednak dopadły mnie wątpliwości. Dzieci przed maturą, a ja myślę o emigracji? Wykluczone. Znowu dostałabym tam depresji. Wysłać go samego? To okrutne i ryzykowne.

Moje rozmyślania przerwała Grażka. Dzwoniła, żeby podziękować za gościnę i biła się w piersi, że trochę narozrabiała, wysunawszy się przed orkiestrę. Kajała się i w razie czego obiecała nam pomoc, łącznie z finansową. Przyznam, że mnie tym mile zaskoczyła.

– Musisz mi podać dokładne namiary akt sprawy tego łódzkiego mieszkania, a ja postaram się skonsultować z którymś z naszych prawników – powiedziała. – W firmie stale mamy do czynienia z wykupem gruntów i nieruchomości, musimy więc zatrudniać prawników w tym wyspecjalizowanych. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Dzięki. Też mam taką nadzieję, a nawet czuję przyjemną ekscytację, że znowu się coś w naszym życiu nowego zaczyna dziać. Nie lubię stagnacji – powiedziałam i poczułam przypływ entuzjazmu.

Ledwie zdążyłam na obiad usmażyć naleśniki i rozmiksować do nich truskawki, gdy zjawił się Krzyś, również nastawiony optymistycznie.

– Wiesz, wójt chyba zrezygnował z tych specjalistów. Może się nie orientował, że taki numer nie przejdzie.

– A po co cię wezwał?

– Właściwie to nie wiem. Był dziwnie przymilny. Aha, już wiem, chciał mnie namówić na polowanie, ale się wykręciłem brakiem czasu.

– Mam nadzieję, że mu nie powiedziałaś, co myślimy o

mordowaniu biednych zwierząt? – zapytałam, obawiając się zbyt-
niej szczerości męża.

– No, szczerze mówiąc, powiedziałem coś takiego, że żona by
mi nie wybaczyła i raczej oskubała mnie, a nie kaczkę, którą bym
przyniósł.

– No tak, najlepiej wszystko zwalić na żonę. Ale dobrze, niech
już tak będzie. A ja mam ci mnóstwo wiadomości do przekazania.
Cały dzień myszkowałam w Internecie i już jestem obeznana w
cenach domów i warunkach kredytów. Musimy tylko dokładnie
obliczyć naszą zdolność kredytową. Poza tym Grażyna dzwoniła i
ofiarowała swoją pomoc.

– Zaczyna mnie niepokoić ta tajemnicza Grażyna. W czym ona
może nam pomóc?

Zreferowałam mężowi poranną rozmowę z koleżanką. Był bar-
dziej sceptyczny niż ja. Nie wierzył, że jakiś dobry prawnik zajmie
się naszą sprawą z polecenia Grażyny. Trzeba by utopić kupę
pieniędzy, a my ich teraz szczególnie nie możemy wydawać.

– Wójt powiedział mi dziś, że sprzedaż budynku naszej szkoły
jeszcze wcale nie jest przyklepana, i wrócił do tego, że możemy
starać się o wykup naszej części. Cieniował nawet, że za pieniądze
gminne on naszą część ociepli, a wodociąg będzie za jakieś dwa lata
doprowadzony do wsi w ramach unijnych inwestycji. Może jest to
opcja do rozważenia?

– Wiesz co, jesteś naiwny jak dziecko. On cię chce kupić i
trzymać w szachu.

– Też mi to przeszło przez myśl.

– Staraj się zachować niezależność, żeby nikt nie łączył ciebie z
jego osobą i żebyśmy mu niczego nie zawdzięczali. Nigdy nie
czulibyśmy się w tym budynku jak u siebie. Nie chcę na zawsze tej
oczyszczalni i boiska pod oknem. Niech spada ze swoimi propozy-
cjami i elitarnym kołem morderców zwierząt. Sami wynajdziemy
sobie jakiś cudowny domek i się uniezależnimy od wszystkich.
Przecież od początku, jak tylko tu się przeprowadziliśmy,
zakładaliśmy, że mieszkanie w szkole jest tymczasowe, no nie?

– Moja bojowa żono, nie mość się na kanapie, tylko chodź ze
mną na spacer. Pantoflowe biuro nieruchomości już zadziało.
Pokażę ci dom, który jest podobno do sprzedania. Podjedziemy
samochodem. To jest z drugiej strony Swarowic. Dostałem
informacje z drugiej ręki, więc nie wszystko musi się zgadzać.
Wiesz, jak tutejsi ludzie konfabulują. Może się okazać, że ktoś nie
sprzedaje, a właśnie kupił itp.

Natychmiast opadła ze mnie poobiednia senność i po błyskawicznym zapięciu włosów w kok stałam na progu gotowa do zakupu domu tak, jakby to była nowa i niezbyt droga sukienka.

– Tylko nie nakręcaj się zanadto, bo jak chłop zobaczy twoją rozpromioną minę, zaraz cena poszybuje w górę – upominał Krzyś.

– Nie mam się czym podniecać, przecież jeszcze nie wiemy, ile dadzą nam kredytu i czy w ogóle dadzą – zauważyłam przytomnie, ale w żołądku czułam motyle, które podobno towarzyszą uczuciu zakochania.

Mam chyba jakieś dewiacje emocjonalne. Inne kobiety pewnie mają coś podobnego, gdy nawiązują romans i chciałyby, a boją się. Pamiętam, że podobnie się czułam, podejmując w swoim życiu te wszystkie decyzje o przeprowadzkach. Kiedy kupowaliśmy dom w RPA i oglądaliśmy z agentką dziesiątki domów, żyłam jak w transie.

Bez trudu odnaleźliśmy polecany nam dom. Jego architektura wskazywała, że był to budynek stosunkowo niedawno wystawiony. Zaniepokoiło mnie jego położenie. Stał na rozstaju dróg, niezbyt szerokich, ale za to często używanych, także przez ogromne, ciężkie tiry.

– Tu nie moglibyśmy mieć psów ani kotów, bo wszystkie ginęłyby tragicznie – stwierdziłam.

– No, to jest poważny argument – Krzyś próbował się ze mnie nabijać. – Pamiętam, że o wyborze domu w Afryce zadecydowała urokliwa buda, do której i tak nasz pies nigdy nie wszedł.

– Buda była fajna, a pies rozpaskudzony, bo mieszkał z nami pod jednym dachem – warknęłam. – Nie mów mi, że dobrze czułbyś się w domu tak położonym. Przecież tu nawet spać nie można spokojnie.

– Przesadzasz. Zobacz, z tyłu jest całkiem ładna działka.

– Za wąska. Przypomina mi półwysep z tymi jezdniami z trzech stron. Wracamy.

– Jak już tu przyjechaliśmy, poszukajmy właściciela, żeby obejrzeć w środku.

– I kto tu jest napalony? Widzę, że jesteś skłonny kupić pierwszy lepszy dom.

– Nie jestem wcale skłonny go kupić, ale chcę go zobaczyć.

Kierując się wskazówkami sąsiadów, trafiliśmy do właściciela nieruchomości. Wyrażnie się ucieszył. Mimo upału założył wełnianą czapkę na głowę, wziął pęk kluczy i poszedł z nami do pułstego domu. Po drodze opowiadał o tym, ile to pracy i jakie mate-

riały włożył w ekskluzywne wykończenie. Spodziewaliśmy się luksusów i obawialiśmy się, że cena będzie dla nas zbyt wysoka. Kiedy facet otworzył drzwi, oczom naszym ukazał się przedziwny widok. Ogromny salon zasypany był stertą ziarna, po którym harcowały w najlepsze gryzonie. Szczury wcale się nie spieszyły naszym gwałtownym wtargnięciem. Nie jestem histeryczką i nie wrzeszczę na widok małej myszki, ale ta ilość gryzoni, w tym głównie szczurów, sprawiła, że zamknęłam ze wstrętem drzwi. Zauważyłam jeszcze tylko, że schody, korytarze i chyba ten zasypany ziarnem pokój są wyłożone ohydnyymi pomidorowymi kafelkami, które widocznie według właściciela miały stanowić to ekskluzywne wykończenie.

Facet się zorientował, że nie oprowadzi mnie po swoim domu, a i mój mąż nie przejawiał już zbytnej ochoty do dalszego oglądania, więc powiedział uspokajająco:

– To nic takiego. Wyłożę trutkę i za parę dni ich nie będzie. Ten dom wystawiłem, bo mi pieniądze na koncie traciły na wartości. A ziarno wysypałem, bo co będę sprzedawał, jak takie słabe ceny w skupie – tłumaczył.

– Jasne. Tak to chociaż zwierzątka się pożywią – zaśmiałam się trochę nerwowo.

– A ile pan chciałby za ten dom? – spytał Krzyś.

– No, z dwieście pięćdziesiąt by trzeba wziąć. To tak jak dla pana doktora, bo jakby tak się obcy kupiec trafił, a jeździł tu taki z Radomia, to za mniej niż trzysta nie sprzedam.

– Dziękujemy panu – powiedziałam, żeby zakończyć tę bezsensowną rozmowę.

– Naradzimy się z żoną i dam panu znać – dodał Krzyś zupełnie niepotrzebnie.

– Ale pani jeszcze nic nie widziała – chłop nie odpuszczał. – Wyżej jest piękna kuchnia, cała w takich samych kafelkach. A w łazience są takie podobne kafelki, tylko bardziej w buraczek i złoty szlak na górze. Za tydzień przyjechać, panie doktorze, to już ich, psia mać, nie będzie. Za tydzień.

– Dobrze. Dziękujemy – powiedziałam, fałszywie się uśmiechając.

Chciałam być jak najprędzej najdalej stąd, gdyż wydawało mi się, że coś zaczęło skakać mi po łydkach i kąsać. Czyżby pchły? – pomyślałam z przerażeniem i zobaczyłam, że Krzyś też się schyla i drapie po nogach. Spojrzałam w dół. Na moich stopach wyraźnie zobaczyłam kilka czarnych punktów i poczułam ugryzienie już

wysoko na udzie.

– My właściwie mieliśmy się przejść na spacer, a tam widzę ładny zagajnik. Chodźmy tam szybko! Aa... pan już wróci sam, dobrze?

Schwyciłam dłoń Krzyśka i odciągnęłam go od samochodu. Zatrzasnęłam drzwiczki i ciągnęłam go jak oszalała w kierunku kępy drzew.

– Co ci jest? Siku ci się chce? Coś gorszego? – Krzyś stawał lekki opór.

– Pchły! Nie możemy z tym wejść do samochodu. Nie czujesz, jak chłają?

– Coś czuję. Wracamy piechotą? A co z samochodem?

– Faceci są jak dzieci – stwierdziłam. – Musimy się tego świństwa pozbyć. Zdejmujemy ubranie i wytrzepiemy w tym lasku.

– Myślisz, że to wystarczy? – spytał Krzyś z powątpiewaniem.

– Mam nadzieję. Szybciej.

Iglaste drzewka nie były wystarczająco wysokie, a do tego rosły w zwartej grupie, jak to sosnowy młodnik, więc dostanie się do jego wnętrza było czynem bohaterskim. Krzyś się opierał. Stwierdził, że woli tępić pchły w samochodzie, niż doznać poważnych obrażeń, wdzierając się do środka iglastego zagajnika.

– Jak się z tego nie otrzepiesz, nie wpuszczę cię do samochodu ani do mieszkania – zapowiedziałam groźnie, stojąc już podrapana między drzewkami i zdejmując bohatersko kolejne części garderoby.

Wytrzepałam wszystko z ogromnym zapamiętaniem, zmieniłam miejsce, żeby insekty mnie znów nie dopadły, i zaczęłam się ponownie ubierać, przyglądając się uważnie zakładanym rzeczom, czy coś po nich jeszcze nie skacze. Krzyś stanął na skraju zagajnika, przysunął się tyłem do drzewek i guzdrał się, wyłapując poszczególne egzemplarze insektów. Wreszcie, zrezygnowany, zdjął spodnie i zaczął je trzepać. Powiesił je następnie na gałęzi i opuścił slipy. Wówczas zza pagórka na łące raptownie wyłonił się jakiś facet.

– Dzień dobry, doktorze! – zawołał z daleka. – Co to, tu się pan opalał? A nie za późno już czasem? – tłumił złośliwy uśmiezek.

Na dźwięk jego głosu wskoczyłam w sukienkę, a bieliznę trzymałam w ręku. Gość zauważył moją szamotaninę w zaroślach, ale chyba mnie nie znał albo nie mógł rozpoznać, więc zadowolony, że złapał kogoś powszechnie znanego i szanowanego w gminie w dwuznacznej sytuacji, odezwał się:

– Niech się pani nie krępuje, człowiek jest tylko człowiekiem.

Ja nic nie widziałem, nic nie wiem.

Mrugał do Krzysia porozumiewawczo i uśmiechał się głupekowato, więc wypadłam z iglaków jak bomba, gubiąc po drodze trzymane w dłoni desu, które zawisły triumfalnie na sprężynującej spod moich nóg gałęzi, i wrzasnęłam:

– Nic pan tu nie zobaczył ciekawego! Jestem żoną doktora. Niech pan nie sądzi ludzi według siebie!

– Żona nie żona, co mnie to obchodzi – facet był coraz bardziej ubawiony. – Można i z żoną chodzić do lasu, jak taka potrzeba, ale tam dalej jest starszy las, to byłoby wygodniej.

Mąż włożył już spodnie, zdjął spokojnie moje majtki z gałęzi i z uśmiechem odezwał się do gościa:

– To nie jest tak, jak pan myśli. Owady nas oblażyły. Oglądaliśmy dom Białka i on ma tam szczury, myszy i jakieś pchły, wszy czy coś takiego.

Teraz facet roześmiał się już całą gębą.

– Och, ja przepraszam, ale widzę parkę rozebraną, to co miałem myśleć. Doktor nie doktor, każdy chłop skorzysta, jak mu baba da. Ja tam pani doktorowej nie miałem okazji poznać. A ten Białek jest strasznie chytry. A jak to mówią, chytry dwa razy traci. Jemu się wy daje, że jest najmądrzejszy. On tego domu nie sprzedaje, bo stamtąd każdy ucieka tak jak państwo. Zapaskudził chałupę i za drogo chce.

Zniecierpliwiona pociągnęłam Krzysia w kierunku samochodu, bo źle się czułam z gołym tyłkiem. Mąż spokojnie żegnał się z facetem. Tamten wyciągnął do niego rękę, a on przelożył flegmatycznie moje majtki do lewej dłoni i potrząsnął serdecznie to wyciągnięte wielkie łapsko. Wyrwałam swoje desu i pośpiesznie zajęłam miejsce w samochodzie. Do mojego męża to nieraz trzeba mieć naprawdę żelazne nerwy – pomyślałam, próbując wyobrazić sobie, jak to wszystko wyglądało z boku.

Wynik pierwszej rozpoznawczej wyprawy nie był zachęcający. Do domu wróciłam zła i naburmuszona. W dodatku miałam wrazenie, że wciąż coś łązi po mojej skórze i mnie gryzie. Krzys kazał mi przestać o tym myśleć i najlepiej się rozluźnić. Zaproponował kolację i piwo na balkonie. Noc była cicha i piękna, niebo rozgwieżdżone, a wiatr szczęśliwie wiał od nas do oczyszczalni, więc mogliśmy się rozkoszować spokojem i napojem.

– Wiesz, fajnie byłoby mieć domek z werandą gdzieś tu niedaleko naszej góry i siedzieć w letnie wieczory z rodziną i przyjaciółmi – powiedział Krzys. – Ta sytuacja wyjdzie nam na dobre. Teraz uświadomiłem sobie, że dojrzałem do kupna lub budowy

domu.

– Tylko jak my podołamy temu finansowo?

– Może dostanę jakąś podwyżkę. W końcu mamy w ośrodku dobre wyniki, a teraz w związku z jego rozbudową mam więcej zadań. Wójt wie, że jestem uczciwy. Myślę, że nabrał do mnie szacunku i, jak widać, szuka ze mną porozumienia.

– Obyś miał rację – powiedziałam i zabrzmiało to jakoś zło-wrogo.

– Bo wykraczesz. – Krzyś poszedł po następną butelkę.

Cieszyłam się, że mąż z optymizmem patrzy w przyszłość, bo na ogół była to moja domena. Mój optymizm często okazywał się, niestety, nadmierny. Tak było w przypadku tego cholernego łódzkiego mieszkania, za które raty wciąż spłacaliśmy, a nie mogliśmy się go pozbyć. Miałam jednak w głębi serca niepokój wynikający z tego, iż słyszałam w szkole opinię pewnej koleżanki o wójcie.

– On nigdy nie odpuszcza – powiedziała. – Ze swoimi siostrami procesuje się o taką chałupinę, że aż wstyd. A sąsiad twierdzi, że mu truje psy, bo sikają na tuje, które posadził przy płocie.

Powiedziałam o tym mężowi, ale nie przejął się zbytnio, bo złocisty płyn z dodatkiem chmielu podziałał uspokajająco. Ja także o pchłach zapomniałam. Przyjemnie szumiało mi w głowie. Który to już dzień z kolei? – pomyślałam trochę niespokojnie.

– Po ilu dniach dorosły człowiek może wpaść w ciąg alkoholowy? – zapytałam Krzysia.

– To bardzo indywidualna sprawa. Zależy od psychiki. A co, czujesz, że jutro będziesz już szukać okazji? – Krzyś przytulił się do mnie i było mi miło.

– Może tak być, bo bardzo mi dobrze – odparłam.

– To znaczy, że jutro będziesz musiała sama kupić sobie piwko imbirowe, bo już się skończyło, a ja mam dyżur. Zdaje się, że w domu jest tylko butelka whisky, której nie zdążyła wypić twoja koleżanka.

– To będzie najlepszy test. Jeśli sięgnę po whisky, muszę się leczyć. Zdaje się jednak, że najpierw wypiję perfumy i płyn do mycia szyb. Bardzo nie lubię whisky. Szkoda, że znów masz dyżur. Smutno mi tak samej. Ciekawe, co tam robią nasze dzieci. Dziadki jakoś nie dzwonią ze skargami.

– Nie wywołuj dziadków... A co do dyżuru, to muszę ciężko pracować, żeby rodzina miała gdzie mieszkać. Muszę też wystąpić do wójta o podwyżkę. Idziemy spać. Jutro znów będę ostro walczyć o byt, podczas gdy ty będziesz się wylegiwać i zbijać baki. I gdzie tu

sprawiedliwość?

No i wywołałam dziadków... Zasnęliśmy jak niemowlęta pierwszym snem, gdy nagle zadzwonił telefon. Krzysztof był pewien, że to ktoś do niego. Już mamrotał, że taki jego lekarski los, ale w słuchawce usłyszał niski dostojny głos swojej mamy. Spojrzał wymownie na zegar, który właśnie wskazywał dziesięć minut po północy. Wzniósł błagalnie oczy ku niebu i położył się z telefonem tak, żebym mogła wszystko słyszeć.

– My się cieszymy, że wnuki do nas przyjeżdżają – mówiła wolno i wyraźnie, widać musiała być mocno zdenerwowana. – Nigdy nie robiliśmy z tym problemu. Mieszkamy w atrakcyjnej turystycznie miejscowości...

– Na litość boską, co się stało?! – przerwał jej Krzyś.

– Nie denerwuj się, synku. Jeszcze nic takiego się nie stało, ale może...

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że dzwonisz o tej porze, żeby słać uroki Mazur. – Krzysztof chyba pierwszy raz był wobec swojej mamy tak obcesowy. – Mamo, ja jestem między dyżurami i właśnie udało mi się zasnąć.

– To daj słuchawkę Joannie, a ty się nie denerwuj i idź spać.

– Jesteś niesamowita! Dowiem się wreszcie, o co chodzi?

Dzieci całe i zdrowe?

– Tak, ale to już nie są dzieci i nie można ich tak puszczać samopas. Ja wiem, że ty ciężko pracujesz, ale Joanna mogłaby się pofatygować.

– Uzgodniłiśmy, że przyjadą same właśnie dlatego, że nie są już małymi dziećmi. W tamtym roku też przecież u was byli sami. Co się stało? Daj może tatę, bo słyszę go gdzieś z tyłu – Krzyś z trudem hamował wściekłość.

– Proszę bardzo, skoro nie chcesz z własną matką rozmawiać, mogę dać słuchawkę tacie. Ja tylko zawsze muszę mieć do was wszystkich cierpliwość: do ciebie, twojej cudownej żony i dzieci, których nie miał kto wychować. Ja też miałam syna, ale się nim zajmowałam i nie było z tobą nigdy żadnych kłopotów. Do Dominiki też nic nie mam. Ona jest poważna i odpowiedzialna, jak ty, ale z Patrykiem musicie coś zrobić, póki nie jest jeszcze za późno.

– Jest okropnie późno, a ja wciąż nie wiem, co przeskrobał mój syn. Może daj mi go do telefonu, jeśli jest w stanie...

– Ach, więc już wiesz, że on może nie być w stanie? To wcześniej też tak bywało? I wy nic się nie przyznaliście, tylko przysłaliście mi to kukulcze jajo, żebym to ja się z nim męczyła?

Wychowywać dzieci musicie sami. Ja, mimo moich kwalifikacji i sprawdzonych zdolności, nie zdołam tego zrobić w ciągu paru tygodni.

– Mamo, błagam, powiedz, co się stało albo pozwól mi z nim porozmawiać, bo zaraz eksploduję.

– No to proszę, niech sam się pochwali – teściowa, sapiąc ze złości, oddała słuchawkę Patrykowi.

– Ojej, nic się nie stało. Wypiłem z kolegami piwo, a babcia robi wielkie halo.

– Jak to, piłeś alkohol i uważasz, że nic wielkiego się nie stało? – Krzysztof był wzburzony i wybudzony już całkowicie. – Jakim prawem wzięłeś do ust alkohol?

Dzieci alkoholików na ogół zostają alkoholikami – pomyślałam z przerażeniem, wspominając moje ostatnie ekscesy i, jak zwykle, poczułam się winna całej sytuacji i nieuchronnie zbliżającej się degrengoladzie syna. Postanowiłam udać się razem z nim zaraz po powrocie z wakacji do stosownej poradni.

– Tato, nie przesadzaj, co to za alkohol, jedno piwo – Patryk starał się zbagatelizować sprawę. – Nawet nie poczułem. Przecież ja za parę miesięcy będę pełnoletni. Moi wszyscy koledzy...

– Nie obchodzi mnie, co twój koledzy. Ty masz przestrzegać zasad, które ustaliliśmy. One cię obowiązują w domu, u dziadków, w szkole i w każdym zakątku na ziemi. Rozumiesz?! Tak właśnie działają zasady.

Krzysztof rozmawiał z synem w sposób bardzo zasadniczy i byłam mu za to bardzo wdzięczna, bo przecież wiedziałam, że tak trzeba. Ja bym zapewne tak nie potrafiła. Zaraz znalazłabym w sobie mnóstwo powodów, dla których mój syn nie jest doskonały i jednocześnie tyle samo usprawiedliwień dla niego. Krzysiek zbesztiał Patryka spokojnie i rzeczowo, bo nie ma tego wiecznego poczucia winy, które mnie bezustannie towarzyszy i które podsycza we mnie stale moja mama i teściowie. Czy ja się w ogóle nadaję do wychowywania dzieci? – myślałam, wsłuchując się w dalszy ciąg ostrej rozmowy ojca z synem.

Babcia w końcu poczuła się na tyle usatysfakcjonowana, iż sama wstawiła się za wnuczkiem i wyprosiła dla niego okres próbny, po którym pozostanie na dalszy ciąg wakacji lub wróci bezapelacyjnie do domu.

– Dziękuję ci, synku, za interwencję. Masz rację, pobyt Joanny u nas nic by nie zmienił, a nawet mógłby wszystko skomplikować – mówiła teściowa. – Patrykowi potrzeba silnej ręki i ja się postaram,

żeby ją odczuł. Przepraszam za ten nocny telefon. A twoja żona śpi oczywiście? A ty musisz zajmować się wszystkim – syknęło i popłynęło jadem ze słuchawki.

– Wolałabym spać i nie słyszeć tych złośliwości – warknęłam przez ramię męża.

– Mamo, sorka, ja bym już wolał wrócić niż... – zawołał dramatycznie Patryk, gdy usłyszał mój głos.

– Dość tego! – zaatakowała go babcia. – Przyda ci się trochę dyscypliny! Pamiętasz, co powiedział ojciec? A teraz marsz do łóżka i jutro dzień zaczynasz od pracy w ogrodzie. I pamiętaj, bez pracy nie ma kołaczy! – teściowa wyraźnie była w swoim żywiole.

– Dobranoc, mamu – Krzysztof szybko się rozłączył, zawiął w kołdrę i za chwilę już chrapał.

Tę cudowną łatwość zasypiania wyrobił sobie na dyżurach w pogotowiu. Wykorzystywał każdą sposobną chwilę na wypoczynek, aby następnego dnia w pracy w miarę dobrze funkcjonować. Ja zaś prawie do rana wierciłam się w łóżku, rozpamiętując każde słowo. Byłam wściekła na Patryka, że znów dał plamę, i to właśnie u dziadków, choć tak go prosiłam, żeby zachowywał się przyzwoicie. Z drugiej strony żal mi go było, bo teraz będzie już do końca świata wysłuchiwał tyrad babki. Żeby tylko nie zbuntował się i nie zwiął – pomyślałam z przerażeniem. Ja bym pewnie na jego miejscu dała dyla stamtąd. Babunia patrzy tylko w Dominisnę, bo podobna do tatusia. Poczułam, że gdzieś tak bardzo, bardzo głęboko chciałabym, aby choć raz Dominika zrobiła jakiś niegroźny numer. Przeraziło mnie to odkrycie i do świtu wymyślałam rzeczy, których Dominika w żadnym wypadku nie powinna robić w ramach utrzymywania równowagi przestępstw w rodzinie.

5. MAŁY BIAŁY DOMEK

Na kilka dni zapanował błogi spokój. Krzysia bardzo ten stan cieszył, a mnie, pomną słów wieszczki: „przed burzą zawsze bywa chwila ciszy”, trochę niepokoił. Dzieciaki regularnie wysyłały esemesy, że jest okej, i babcia tego nie prostowała. Znaczy było okej. W ośrodku pacjentów było mniej, więc spokojnie i nienerwowo. A nawet wójt, według mojego męża, stopniał jak masło. Chyba od panujących ostatnio upałów.

Obejrzeliliśmy też kilka narajonych nam przez uprzejmych ludzi domów, ale okazały się koszmarnie. Zwłaszcza jeden, którego właścicielka robiła wrażenie strasznie nerwowej. Wcale jej się nie dziwię. Ja też, żyjąc wśród amarantowych ścian i patrząc na trawiastozielony sufit misternie ozdobiony gipsowymi białymi stiukami, dostałabym fisia. Dom miał w dodatku błękitną elewację upstrzoną mnóstwem żółciutkich kolumniek. Jego wnętrze zaś stanowiła istna płatanina małych pokoików i dziwnych korytarzyków. Budowany był z przeznaczeniem na agroturystykę, jednak właścicielkę denerwowali ludzie. Wrzeszczała na nich i na nic im nie pozwalała. Reżim był ponoć gorszy niż w sanatorium. Cisza nocna o dwudziestą drugą, żadnych dzieci, żadnych zwierząt, żadnych głośniejszych imprez. Nie dziw, że goście się nie garnęli i jeszcze ktoś zamieścił w Internecie druzgocącą opinię o jej pensjonacie. Potem uciekł od niej mąż i znalazła się w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Dom można byłoby więc kupić naprawdę tanio. Ale jak tu kupić, kiedy nic mi się w nim nie podobało?

– Nie za bardzo wybrzydzasz, moja droga? – spytał Krzysztof, gdy prawie siłą wyciągnęłam go z tego kolorowego snu wariata. – Przecież te stiuki można zbić, a ściany pomalować normalnie. Pomyśl o cenie.

– Po co nam tyle klitek i cztery łazienki?

– Rozbicie kilku ścianek działowych to też chyba niewielki koszt. Dom jest nowy i czysty. Zastanówmy się, co w nim zmienić i ile to może kosztować – przekonywał mąż.

– Malowanie, zbijanie ozdóbek, rozwalanie ścian... Lepiej już zbudować nowy. A poza tym to nie jest szczęśliwy dom – odparłam, nie mogąc znaleźć chwilowo lepszego argumentu.

– No, to jest poważny zarzut. Teraz jeszcze, oglądając dom, będziemy wypytywać rodzinę o jej historię? Czarno widzę szansę na kupno czegokolwiek, bo w tej części kraju ludzie są prawdziwą kwintesencją polskości, każdy więc jest niezadowolony ze swego losu.

– Możesz sobie ironizować, ale ja w takim koszmaku dla siedmiu krasnoludków mieszkać nie będę i już – zakończyłam dyskusję.

W weekend Krzys miał znów maraton dyżurowy. Siedziałam sama i nawet niespecjalnie chciało mi się iść na spacer do lasu. Gdybym miała chociaż psa – rozmarzyłam się – to na pewno dużo bym z nim spacerowała. A tak tłuszcz mi się na brzuchu odkłada, a ja siedzę w dusznym mieszkaniu w środku lata. Samotne łażenie po lesie nie jest ani przyjemne, ani bezpieczne.

Zadzwoiłam do Grażyny. Była nad morzem na jakiejś firmowej imprezie integracyjnej. Zbyła mnie dość chłodno.

– Strasznie się guzdrzecie z tym domem. Nie możecie tak wybrzydzać, bo trzeba zdążyć z ewentualnymi poprawkami przed zimą. Na uparte go to jeszcze by można postawić jakąś kanadyjkę. Rozglądajcie się też za czystą działką. Więcej inicjatywy i zaangażowania – dawała wytyczne i poganiała nas jak swoich podwładnych w firmie. – Zadzwoię w tygodniu. Teraz chwytam słońce i okazję – roześmiała się jakoś obco i wydawało mi się, że nawet wulgarnie.

Zatelefonowałam do mamy i znów usłyszałam połajanki.

– Co u dzieci? – spytała.

– Chyba dobrze. Rozmawiałam z nimi trzy dni temu i...

– Trzy dni temu rozmawiałaś z dziećmi?! – przerwała mi, krzyżąc. – Co z ciebie za matka! Zadowolasz się esemesami? Twoja teściowa ma dużo racji.

Na tym skończyła się rozmowa z moją rodzicielką i nie zdążyłam nawet zapytać, co u niej. Wiedziona wyrzutami sumienia wzmocnionymi przez głos matki zadzwoniłam do teściów spytać, jak się dzieci sprawują. Zmilczałam złośliwości, że wreszcie sobie o nich przypomniałam, i wysłuchałam z pewną przyjemnością peanów na temat Dominiki, która, jak wiadomo, jest odbiciem Krzysia. Potem teściowa jakby mimochodem poruszyła temat nowego towarzystwa Patryka.

– Po ostatniej reprimendzie ojca Patryk wraca do domu o wyznaczonych porach i zawsze musi mi chuchać, więc wiem, że nie pije, ale znajoma widziała go z narkomanami... – teściowa zawiesiła

głos. – Nie wiem, może powinnam kupić w aptecce jakieś testy? W naszym mieście wszyscy aptekarze nas znają, więc trochę się krępuję. Na pewno w domu też mieliście już z nim takie problemy. Trzeba było nas uprzedzić, przeszkolić, jak postępować w takich wypadkach, dać testy. Ja nie mam takich doświadczeń, za moich czasów tego nie było.

Teściowa gadała w stylu „o tempora, o mores!”, wsadzając między wiersze szpile pod moim adresem, a ja poczułam, jak nogi zrobiły mi się miękkie w kolanach i w głowie zaczęło huczeć. Jacy narkomani?! Dlaczego ona tak spokojnie o tym mówi? Dlaczego nawet nie zadzwoniła, a niedawno robiła problem o jakieś piwo?

– Muszę już kończyć – przerwałam dość brutalnie uzalenie się teściowej nad losem jej biednego syna, który wpadł w szpony kobiety nieodpowiedzialnej. – Dziękuję za opiekę i zaangażowanie mamusi. Postaram się dowiedzieć, o co chodzi.

– A jak ty się niby z takiej odległości dowiesz? – teściowa sapła z oburzenia.

– Zadzwońię do dzieci na komórkę i mi wyjaśnią – odpowiedziałam.

– Niemożliwe, żebyś była tak naiwna. Udajesz, żeby odsunąć ten problem od siebie, a potem Krzyś znów będzie się ze wszystkim sam borykał.

Wyłączyłam się, bo nie chciałam powiedzieć o jedno słowo za dużo. Najpierw telefon do Dominiki. Ona pierwsza powinna coś zauważyć. Dzieci są w tych sprawach bystrzejsze niż my. Nie odbiera. Nagrywam prośbę o kontakt. Kręcę się w kółko po mieszkaniu. Może zadzwonić do Krzysztofa? Nie, lepiej mu głowy nie zawracać w pracy. To na pewno jakaś podpucha teściowej i wszystko zaraz się wyjaśni. Dominika wciąż nie dzwoni. Próbuję więc do Patryka. Też tylko poczta głosowa. Czym, u diabła, tak zajęte są moje dzieci na wakacjach, że nie mogą odebrać telefonu? – zaczynam się wściekać. Jak bym teraz wsiadła w samochód, to przed północą dotarłabym na Mazury – pomyślałam desperacko i wtedy zadzwoniła Dominika, cała rozszczębiotana.

– Co tam, mamuś, bo halsujemy właśnie w kierunku przystani. Uczę się... Łaaa!...

Kontakt się urwał. Boże, co się stało?! Może przez ten nieszczęsny telefon wpadła do wody? Ale przecież ona dobrze pływa, więc nawet jeśli wpadła, nie musiało stać się nic złego – uspokajałam samą siebie. Wyobrażnia podsuwała mi jednak następujący obrazek: moja córka walnięta w głowę bomem nieprzytomna wpada do

wody. Dzwonię do niej ponownie, lecz nie odbiera. Dzwonię do Patryka i znów to samo. Samochód stoi pod oknem, ale jutro będzie Krzysztofowi potrzebny, więc nie mogę tak po prostu mu go zabrać. Jazda na pewno jest bez sensu. Ale co się dzieje z moimi dziećmi? Ta teściowa naprawdę musi mieć żelazne nerwy, jak oni tak co dzień idą nad jezioro czy Bóg wie gdzie jeszcze.

Nagle dźwięk telefonu wrywa mnie z zadumy. Dzwoni Patryk, lecz słyszę głos Dominiki.

– Ale się narobiło. Komórka wpadła mi do wody. Właśnie Patryk po nią zanurkował. To co chciałaś?

– Do diabła z komórką, niech on wyłazi z tej wody! I najlepiej wracajcie już do domu.

– Co ci, mamus? Skąd ta histeria? Nareszcie jest super. Znajomi Patryka mają taką starą łajbę i uczą nas żeglować.

– No właśnie, znajomi Patryka. Czy on się już wynurzył?

– Tak. Ale będzie schodzić w dół już trzeci raz. Dno jest niezbyt czyste. Sorka, mamo, zadzwonię na swój numer, to mu będzie łatwiej – i rozłączyła się.

Można oszaleć. Ale jeśli Dominika zadaje się z tymi samymi ludźmi co Patryk, to albo nie są narkomanami, albo ją też wciągnęli i nic się od niej nie dowiem. Czemu ona była taka podniecona? Patryk nurkuje po jakichś środkach, nie odczuwa zmęczenia i lęku, i...

– Dość tych głupot! – powiedziałam głośno do siebie. – Dominika jest mądrą dziewczynką, a Patryk też nie jest aż taki głupi.

Znów telefon.

– No widzisz, wszystko w porządku. Mój brat jest wielki. Mam telefon i jesteśmy już na lądzie. Dzwonisz, bo babcia cię znów nastraszyła? Współczuję Patolowi, chłopak ma tu przechlapane. Babcia zmobilizowała swoje koleżanki i teraz emerytowane nauczycielki śledzą go na każdym kroku. Już nikt z tubylczej młodzieży nie chciał się z nim zadawać, bo mieli stale na ogonie wścibskie stare baby. Dobrze, że przyjechali ci z ośrodka leczenia uzależnień i Patryk się z nimi zakolegował, a ja przy okazji skorzystam.

– Co to za ludzie?

– Trochę od nas starsi. Zapaleńcy. Pracują z narkomanami.

– To są byli narkomani? Czy są w trakcie leczenia? – starałam się pytać w miarę normalnym głosem.

– Mamus, wyluzuj, bo dostaniesz zawału. Najstarszy Jarek jest terapeutą. Może został terapeutą po jakichś własnych doświadczeniach. Tak się często zdarza, ale nic o tym nie wiemy. Za krótko się

znamy na takie wynurzenia. Jest z nim jeszcze para studentów psychologii. Chłopak jest super, ale zajęty. Jego dziewczyna też jest fajna, ale wolałabym, żeby jej nie było. A ten czwarty też niczego sobie, ale okazało się, że to kleryk. Za tydzień przyjedzie tu grupa uzależnionych, takich już po odwyku. To ma być obóz w nagrodę za dobre sprawowanie, utrwalający prawidłowe nawyki i zachowania w świecie bez narkotyków.

Poczułam, jak kawał skały zwałił mi się z serca z łoskotem, który »usłyszała moja córka na dalekich Mazurach.

– Już w porządku? – zaświergotała. – Nie przejmuj się nadawaniem babci. Teściowe tak mają – powiedziała moja kochana, do świadczona nastolatka. – Nie zamierzam być niańką swojego brata, ale jakby się coś naprawdę działo, to bym wam powiedziała albo jemu nawtykała. Spoko. On niepotrzebnie z babcią zadziera. Klóci się z nią o ciebie. A co to da? Tłumaczyłam głąbowi, żeby potakiwał i wyreżyserował jakiś numer, jak mój ze Swetoniuszem.

– Co to za historia ze Swetoniuszem? Nic o tym nie wiem.

– Kiedyś cały dzień padało, więc zaczęłam przeglądać bibliotekę dziadków. Słyszę, że idzie babcia, to złapałam pierwszą z brzegu księgę i czytam. A babcia na to, że mój ojciec też bardzo interesował się historią i Swetoniusza przeczytał chyba w moim wieku. Wzięłam tego Swetoniusza, położyłam przy łóżku i robię dobre wrażenie. Jak będzie padało, to może nawet poczytam. Znalazłam tam parę ciekawych rzeczy. Na razie nie mam czasu w dzień, a wieczorem padam. Za to Patol, jeśli coś czyta, to chodzi z tym do kibelka. Babcia zaczęła już cieniować, że to może brzydkie pisemka, a on babci na złość powiedział, że wszyscy chłopcy się tym teraz interesują i on jest normalny. Naprawdę miał ostatni numer „Entera”. I tak z nim stale. Do doktor Ani, która zjechała na urlop do Polski, bo teraz pracuje gdzieś za granicą i przyszła babcię odwiedzić, nie chciał nawet wyjść i się przywitać. A wiesz, jak babcia jest czuła na punkcie tej niedoszłej taty. A teraz, jak tamta pracuje za granicą, to już w ogóle. Po prostu tak jej wazelinuje, że masakra. Ja tam błysnęłam elokwencją. A co, niech sobie nie myśli, w końcu mam matkę polonistkę. A Patol jest jeszcze strasznie dziecinny.

– Nie wiem, w kogo ty się, moja spryciaro, wrodziłaś. Na pewno nie w swoich rodziców. Bądźcie rozsądni i ostrożni i bawcie się dobrze. My z tatą latamy teraz oglądać domy, bo chyba trzeba będzie się stąd wyprowadzić.

– Znów gdzieś wyjeżdżamy? Dajcie spokój! Ja już się

przyzwyczaiłam. Nie mam zamiaru zmieniać szkoły. Nie chcę...

– Posłuchaj, szukamy domu w okolicy. Nic się więcej w naszym życiu nie zmienia. Może wreszcie znów będziemy mieszkać w cywilizowanych warunkach. Jest trochę problemów z kredytem, ale skromny domek może uda nam się kupić.

– Super, zaraz powiem Patolowi, to się ucieszy. Może wrócimy wcześniej, żeby pomóc wam wybrać i przy przeprowadzce?

– Za bardzo wybierać nie ma w czym. To nie jest Warszawa. Boję się, że już obejrzelśmy wszystko, co jest aktualnie do sprzedania w pobliżu. A przeprowadzka na pewno was nie minie.

Po tej rozmowie spłynął na mnie błogi spokój. Wzięłam się do robienia przetworów. Wieczorem poszłam z bańką po mleko i pogadałam na ławeczce z sąsiadką, trochę o dzieciach i trochę o chorobach. Ona jest strasznie schorowana. Potrzebna jej nowa nerka. Najmłodszy syn chce jej oddać swoją, gdyż mają zgodność tkankową czy coś takiego. Kobieta twierdzi jednak, że nie mogłaby żyć ze świadomością, iż naraża go na niebezpieczeństwo, a ona i tak ma tych chorób więcej, zatem nie ma sensu dla niej się poświęcać. Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym od własnego dziecka przyjąć nerkę. Też mi się wydaje, że nie, ale jak mówi poetka: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono” (chyba tak to było u Szymborskiej). Strasznie mi jej żal, to znaczy sąsiadki oczywiście, nie Szymborskiej. To taka miła i serdeczna osoba. Cała ich rodzina pozytywnie odbija od miejscowych kłótników. A może ja tych pozostałych krzywdzę, może mało ich znam? Żal mi będzie tego sąsiedztwa i tej panoramy za oknem. Właściwie wszędzie tu jest pięknie, ale ze szkolnych okien rozciąga się wyjątkowo fantastyczny i niczym nieprzysłonięty widok na czarny od porastającego go lasu masyw górski. No tak, jeszcze trochę, a dojdę do wniosku, że mi tu dobrze i nic nie trzeba zmieniać. Moje dzieci już wyraźnie boją się zmian.

Mąż wrócił w poniedziałek po pracy zmęczony i tyleż ubawiony, co zniesmaczony podchodami, jakie zaczynają wobec niego stosować ludzie wójtka.

– Wyobraź sobie, siedzę w gabinecie przy dziesiątej kawie i podpieram się rękami, żeby nie zasnąć. A tu zamiast pacjenta wpada ten ryży grubas, co ci go ostatnio w kościele pokazywałem, ten Kośmider. Wyciąga zza pazuchy połówkę i trochę wędliny w obrzydliwym papierze, na zagrychę. Mówi, że tak sobie pomyślał, że ja tu tak z daleka od centrali siedzę sam. Zagaja, że pewnie mam dużo pracy i nawet z nikim nie mam okazji pogadać o takich róż-

nych rzeczach, co się w gminie dzieją. Niektórzy mówią, że się wywyższam, ale to pewno plotki. On wie, że ja jestem swój chłop, i proponuje brudzia. Niedobrze mi się zrobiło na widok tej wymęczonej w upale kiełbasy, którą machał mi przed nosem. Już go miałem zrugać, ale pomyślałem, że może chłopina chce dobrze, tylko nie wie, jak do tego podejść. Nie chcę, żeby myśleli, że nimi pogardzam, bo tak nie jest. Oni zachowują się według sprawdzonych wzorów. Może ja naprawdę nie nadaję się do gminnej rzeczywistości?

– Tylko mi nie mów, że wypiełeś z nim tego brudzia.

– Nie, nie mogłem przecież. Przeprosiłem, że nie tu i nie teraz. Powiedziałem nawet, że możemy być na ty bez tej ceremonii, ale się obraził.

– I chwała Bogu. Nie wierzę mu za grosz. Będzie udawał brata łatę, a za chwilę naśle ci policję, że pijany doktor urzęduje w ośrodku.

– O tym to nawet nie pomyślałem, ale wiesz, że walczę o zwolnienie tego alkoholika Ciastonia. Najpierw domagali się, żebym coś z nim zrobił, bo ludzie mówią... Zauważyłem, że ulubione zwroty naszych władz gminnych to: „coś zrobić” i „są głosy” albo „ludzie gadają”. Żeby jednak „coś zrobić” z trunkowym doktorem, trzeba go złapać, jak przyjmuje po pijanemu. Pacjenci psioczą, ale nie zadzwonią i nie zawiadomią. Jeździłem tam do Lipiek kilka razy, lecz wszystko na oko było w porządku albo doktora po prostu nie było, a później dostarczał jakieś zwolnienia. Kiedy wreszcie udało mi się go przyłapać, pojechał zaraz na leczenie. I teraz radni i wójt apelują do mojego sumienia, żeby nie wyciągać wobec Ciastonia żadnych konsekwencji, bo przecież trzeba dać człowiekowi szansę – mówił Krzysztof, zjadając łączywie późny obiad.

– Nie daj się zwieść pozorom poczciwości, bo to nie są prostaczkowie, ale cwani wyjadacze, którzy wiedzą, po co stawiali wódkę wyborcom i wozili ich swoimi samochodami do głosowania. Rozbudowujesz ośrodek, a to świetna okazja, żeby pogmerać przy przetargach, więc zachodzą cię z każdej strony – powiedziałam.

– Przekonają się, że nie mają szans, i dadzą spokój – mój Krzyś wykazywał naiwny optymizm.

– Oj, boję się, że już na ciebie zagieśli parol – wieszczyłam złowrogo.

– Uniezależnimy się przez kupno domu i mogą nam nagwizdać. No to co, masz jakieś nowe obiekty do oglądania?

– Niestety nie, i to mi chyba odebrało optymizm.

– A ja mam. Pielęgniarka środowiskowa jeździ do takiej pani, którą wkrótce dzieci mają zabrać na stałe do Stanów. Domek jest malutki, ale można go rozbudować.

– No to kończ ten deser i jedziemy.

– Okrutna żono, padam ze zmęczenia. Dom nie ucieknie do jutra. Pani Krysia obiecała najpierw porozmawiać z tą pacjentką, bo ona jeszcze nic nie mówiła o chęci sprzedaży, tylko sąsiedzi coś przebąkują. Może rodzina ma już jakiś plan, może ktoś tam zamieszka? Trzeba sprawdzić.

Mąż wkrótce zasnął snem sprawiedliwego, a dla mnie zaczęły się godziny próby. Nie chciał mi powiedzieć, gdzie ten domek stoi, i nie pozwolił się nakręcać, bo może nic z tego nie wyjdzie. Ale dla mnie było to niewykonalne. Do rana miałam już w umyśle widok tej chałupki, jej urokliwego otoczenia i koncepcje rozbudowy. Kiedy Krzys wstawał do pracy, byłam nieprzytomna. Westchnął tylko, że zazdrości nauczycielom wakacji, i pocałował mój zaspany pysior, pojechał do ośrodka.

Myślałam, że pośpię, lecz zadzwoniła mama. Ona zawsze lubi załatwiać wszystkie sprawy z samego rana i dzwoni do mnie wcześnie, zwłaszcza w wakacje, żebym się nie leniła. Tym razem nie chodziło jej o mnie, tylko o Euzebiusza.

– Dzwonię do ciebie, bo Zyty nie ma, a muszę się wygadać, inaczej mnie zaraz złość rozsadzi. Ty wiesz, że ten stary dziadyga chyba kogoś ma?

– Jaki stary dziadyga? – spytałam zaspana.

– No jak to jaki?! Euzebiusz oczywiście!

– Wydaje ci się. Wyglądał na bardzo zapatrzony w ciebie.

– Taaak? Miglanc jeden, dobry aktor z niego. Jeździ do jakiejś do Krakowa i mówi, że to kuzynka. Ciągłe opowiada, jakie ma mieszkanie, jakie meble, jakie bogate przyjęcia robi na jego cześć. Dziwna kuzynka, o której nie wie nawet, czy jest wdową, czy rozwódką.

– A bardzo ci na nim zależy?

– Coś ty! W ogóle. Ale nie zniosę, żeby mnie kolejny facet wykorzystywał i robił w konia. Niby taki safandula, tu mnie emalbluje i jeszcze się w Krakowie mości. Za majątkiem się rozgląda pewnie. U mnie też talerze Rosenthala pod światło oglądał. Ja go potrzebuję tylko od czasu do czasu, do towarzystwa. Pojechać gdzieś na wycieczkę, iść na kawę, i to wszystko. Nie zniosłabym takiego starego pryka w domu na stałe. Wiesz, tak to on musi trzymać fason. A gdybym z nim wzięła ślub, to by chciał, żebym koło

niego skakała. Już by tylko stękał.

– Może cię przejrzał i chce sobie jeszcze z kimś ułożyć życie. Ludzie się boją samotności.

– Niech sobie układa, ale ja już go do domu nie wpuszczę. W gruncie rzeczy to czy ja wiem, co to za facet? Może to jakiś oszust matrymonialny? A może nawet złodziej? No tak, byłam z nim w banku i tak chętnie wypełniał mi przelew. Nie miałam okularów. A jak się wypytywał, ile mam na tym koncie. Dobrze, że nie mam majątku, bo jeszcze by mi gardło poderznął. Tak, to wredny typ, bardzo łasy na pieniądze.

– Teraz to już trochę przesadziłaś. Ale myślałam, że jesteście w większej zażyłości. I faktycznie uważaj, komu podajesz numer konta. Może upoważnij Zytę, żeby ci takie sprawy załatwiała.

– Zyta to sama musi uważać, co się dzieje z jej kontem. Kazio gotów jest dać każdą sumę swojej córeczce. A ona nie będzie miała skrupułów i może któregoś dnia ograbić ich dla jakiejś sekty albo subkultury.

– Chyba już trochę spoważniała. A Kazio nie musi żony okradać, bo sam nieźle zarabia.

– Ale Kazio też może wdać się w jakiś romans, a potem ktoś go może szantażować. Zyta wciąż wyjeżdża, a lichy nie śpi. Tacy są mężczyźni.

– To raczej Zyta, chyba po ojcu, ma problem z wiernością. Po co wymyślasz takie scenariusze? Nie wszyscy mężczyźni zdradzają swoje partnerki, zapewniam cię – mówiłam do mamy, jakbyśmy zamieniły się rolami.

– No, może twój Krzysztof nie, ale jemu właśnie czegoś brakuje.

– Widzę, mam, że jesteś skazana na wiarołomnych mężczyzn, bo kręcisz się w zaklętym kręgu. Prawdziwy mężczyzna zdradza. Nie jest prawdziwym mężczyzną, jeśli nie zdradza. Ja na szczęście mam zupełnie inne problemy. Myślę teraz o kupnie domu. Mój mąż coś wie o jakimś domku do kupienia, a nie chciał mi nic więcej powiedzieć, żeby nie zapeszyć. Czas leci, a ja nie mogę zacząć działać i to mnie wkurza prawie jak zdrada.

– A skąd on ma tę informację?

– Od pielęgniarki.

– To czemu ty sama jej nie zapytasz? Weź sprawy w swoje ręce, bo będą się wlekle, a w końcu mu przeciekną.

– Może masz rację, mam teraz wolną głowę, to coś może przyspieszę. A ty rozejrzyj się za innym facetem na tym waszym

uniwersytecie.

– Nie ma mowy, ja mu tak tego nie odpuszczę! – Wojowniczo nastawiona mama odłożyła słuchawkę.

I bądź tu, człowieku, mądry w sercowych sprawach staruszków. Emocje są nie mniejsze niż u nastolatków, ale w grę wchodzi też względy merkantylne. Chociaż, jak się tak zastanowić, to dzisiejsza młodzież też nierzadko jest materialistycznie nastawiona do życia. Przecież kto nie ma markowych ciuchów, ten się nie liczy w towarzystwie tzw. ludzi.

Rozmowa z mamą, jak zwykle trochę wkurzająca, a trochę rozbijająca, dała mi jednak bodziec do działania. Wskoczyłam na rower i pojechałam do ośrodka zdrowia. Pani Krysia chętnie podała mi adres i wytłumaczyła, jak dojadę do interesującego mnie domku.

– Niech pani zapuka do okna – doradziła – i powie, że od doktora, to panią wpuści, bo tak to jest bardzo ostrożna. Może czasem być z tyłu, w sadzie, to trzeba wejść śmiało na podwórze. Może też za stodołą zbierać maliny. Strasznie boleje, że nie ma już sił i wszystko się marnuje. Za życia jej męża to tam były nawet inspekty i wszyscy od nich kwiaty kupowali, bo w gminie kwiaciarni wtedy nie było.

Jechałam z góry jak na skrzydłach. Wszystko, co powiedziała pani Krysia, brzmiało bardzo zachęcająco. Niezbyt daleko od centrum gminy, w bok od głównej drogi, na niewielkim wzniesieniu stał mały murowany domek. Z przodu miał drewniany ganeczek i ładny ogródek. Widok na podwórko całkowicie zasłaniał wysoki parkan i solidna brama. Zgodnie z instrukcją zapukałam do okna, ale nikt nie zareagował. Postukałam do drzwi, również bez odzewu. Walałam w bramę, też na próżno. Być może właścicielka siedziała w sadzie, ale nie widziałam możliwości dostania się na tyły tego domu.

Poszłam jednak wzdłuż wysokiego parkanu, żeby zajrzeć przynajmniej na podwórko, jeśli znajdę w jakiejś desce choć dziurę po sęku. Jakież było moje zdziwienie, gdy odkryłam, że ten wysoki płot ogradza dom tylko z dwóch stron, a cały tył jest otwarty na świeżo skoszoną łąkę i obsiane dojrzewającym zbożem pola. Za łąką w stronę domu rósł dość młody jeszcze sad z drzewkami niskopiennymi. Tuż za stodołą znajdował się srodze zarośnięty różnymi krzewami i pokrzywami sad z drzewami starszej generacji, których wzrost dawno wymknął się spod kontroli. Granicę między jednym a drugim sadem stanowił malinowy chruśniak, malowniczy jak w wierszu Leśmiana. Czerwone, ogromne, soczyste owoce

wygrzewały się w słońcu, pachniały na odległość, kusiły, wabiły roje pszczół i os, które unosząc się nad nimi, śpiewały im psalm pochwalny. Moje palce same zaczęły chwycić dorodne owoce i splamione sokiem niby krwią bezwiednie i jakoś dziwnie namiętnie wkładały je do moich własnych ust z powodu braku na podporządkowaniu ust kochanka. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym teraz pod krzakiem spostrzegła niepozorną postać notariusza z Hrubieszowa splecioną w grzesznym, miłosnym uścisku ze swą namiętną żoną, panią stomatolog, jeśli dobrze pamiętam. O, w takiej scenarii powinno się z uczniami omawiać poezję Leśmiana – przyszło mi do głowy.

– A czego pani tu szuka? – usłyszałam skrzeczący głos, ale staruszkę przycupniętą na małym stołeczku ujrzałam dopiero, gdy weszłam w następny rząd malin.

Przylapaną na gorącym uczynku, bezczelnie oblizałam palce i powiedziałam:

– Ale pycha! Szukam chyba właśnie pani. Dowiedziałam się, że podobno chce pani sprzedać ten domek – zagrałam *va banque*.

– A od kogo to pani słyszała? Skąd pani jest? Ja pani nie znam.

– Jestem żoną doktora Zalewskiego. Szukamy z mężem niewielkiego, niezbyt drogiego domu, bo musimy się wyprowadzić z mieszkania służbowego w szkole – chciałam jakoś zręcznie pominąć nazwisko informatora, więc usiłowałam ją zagadać. – Nie wiem, czy pani słyszała, że szkoła w Wojkowicach już jest zlikwidowana, a budynek jest sprzedany i ma służyć jako hurtownia.

– Mnie to już szkoły nie interesują. Ale to przecież nie tak dawno ta szkoła była wykończona! Pamiętam, wszyscy się składaliśmy, a kto mógł, to i pracą służył. I co, już ta szkoła niedobra? Zebrania było gdzie robić. A i na wesela niektórzy wynajmowali, ale to trochę wcześniej, bo teraz, za tego wójta, już chyba nie wolno było. Jak to tak, sprzedali z ludźmi? – Staruszcze głowa się trzęsła i jej jasne oczy patrzyły na mnie z bezradnym niedowierzaniem, jakby to jej kazano się wyprowadzać, a nie mnie.

– I tak myśleliśmy o budowie domu, bo mieszkanie w szkole jest zimne i wody wciąż brakuje. Teraz zależy nam na czasie, więc budowanie od podstaw odpada.

– Moja córka jest w Ameryce i już dawno chciała mnie wziąć do siebie, ale ja zwlekałam, bo staremu to najlepiej na swoich własnych śmieciach – staruszka się rozgadała. – Myślałam, że umrę i jej nie będę robić kłopotu, a tu Pan Bóg takie choroby zsyła, że ja coraz bardziej niedołączna i innych ludzi potrzebuję, a serce wciąż bije i

śmierć nie przychodzi. Nogi bolą i chodzić nie mogę. O wszystko sąsiadów prosz, to już obrzydnie, tak na cudzej łasce. Sąsiedzi dobrzy, nie powiem marnego słowa. Jak mnie choroba na wiosnę przycisnęła, to mi pomagali, ale też przebąkiwali, żeby im zostawić to wszystko i jechać. Córka mówi, że dom zniszczyje i na zatrąę pójdzie, że trzeba sprzedać. A państwo sami jesteście czy macie dzieci?

– Mamy dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. Duże, już chodzą do liceum.

– To moja chałupina nie za mała dla was? Jakże się tu państwo pomieszczą? Mam tylko dwa pokoiki. Kuchnia jest duża i sień też szeroka. Pilnowałam, żeby mi budowali tak, aby się z trumną można było obrócić.

– Ile ten dom ma lat? – przerwałam jej.

– A czterdzieści.

– To była pani w kwiecie wieku i o trumnie pani myślała?

– Ano tak. Przecież każdy umrzeć musi. A jak moja mama zmarła, jeszcze mieszkaliśmy na komornym, to przed domem my ją do trumny wkładali, bo się w sieni trumna nie zmieściła. A tu trumną z moim mężem, co to już siedem lat jest, jak nie żyje, obracali my, jak chcieli.

Zauważyłam, że nasza rozmowa nieoczekiwanie wpadła w jakąś grobową otchłań, a mnie zachciało się śmiać, bo, nie wiem dlaczego, wyobraziłam sobie żałobników wykręcających młynki z trumną w sieni małego domku. Żeby więc nie wybuchnąć śmiechem i nie ciągnąć tego makabrycznego tematu, wpakowałam do ust całą garść nazbieranych w czasie pogawędki malin i poprosiłam o pokazanie mi domu, bo chciałam się zorientować, czy się w nim zmieścimy.

– E, pani to pewno żartuje z tym domem. A gdzieżby tam doktor w takiej chałupce mieszkał? Tam pod Lipkami, ta, co turystykę prowadziła, sprzedaje ponoć piękny dom. To rozumiem. Ale mój? Tak na wakacje, jak to sobie kupują, siedlisko, teraz to po nowemu nazywają. Ale na cały rok dla rodziny doktora, jeszcze z dwójką dzieci, to nawet nie przystoi. Mój zięć w Ameryce też jest lekarzem, a córka była ekonomistką, ale poszła tam na studia pielęgniarские i teraz z mężem pracuje, i zadowolona. Ale oni to mają wielki dom. Osiem sypialni, a łazienek do tego... A wszystko takie eleganckie. Na filmie tylko widziałam. Ja mówię, że to już przesada na dwoje ludzi aż osiem sypialni. A ile sprząęania! Ale córka powiada, że tak trzeba, żeby się z doktorem liczyli.

– No cóż, u nas się tam z doktorami nie liczą – westchnęłam. – Możemy więc sobie kupić malutki domek. A raczej właśnie dlatego jesteśmy zmuszeni kupić sobie taki malutki, czterdziestoletni domek. Pokaże mi go pani? Ja mam trochę dziwny gust i muszę pani powiedzieć, że widziałam ten dom pod Lipkami i nie chciałabym go darmo, a pani domek już na pierwszy rzut oka bardzo przypadł mi do serca.

Staruszka popatrzyła na mnie z powątpiewaniem, zatrzęsła mocniej głową i z trudem wstała z zydelka. Podparła się sękatym kijem i podała mi koszyczek świeżo zerwanych malin.

– Na – powiedziała, co miało być zachętą. – Widzę, że pani smakuje, a ja nie mam co z tym robić. Do skupu za daleko na moje nogi.

Podziękowałam i podreptałam za nią przez wnętrze stodoły otwartej na oścież i przez podwórze do domku, który z tyłu obudowany był po obu stronach przybudówkami, tak że wydawał się większy niż od frontu. Od tyłu do domu wchodziło się przez jedną z przybudówek, która prowadziła do małej sionki, a ta dopiero do reprezentacyjnego korytarza, tego, co to trumna... itd. W korytarzu były drzwi do całkiem nowoczesnej łazienki, dużej, widnej, ładnej kuchni i większego pokoju. Mniejszy znajdował się za kuchnią.

Uderzyło mnie to, że domek wyglądał bardzo świeżo i czysto. Zapewne został wyremontowany z myślą o sprzedaży. Trochę szkoda, bo będziemy musieli tu nabrudzić, rozbudowując go. Pewne rzeczy można jednak spokojnie pozostawić, jeśli uda się ich nie zniszczyć. W kuchni stary chlebowy piec był świetnie wkomponowany w wykafelkowane już nowocześnie ściany. Podobała mi się łazienka w spokojnym beżu z brązowymi wykończeniami. Na podłodze lśniły lakierowane deski z jasnego drewna. Meble i obrazy na ścianach wyraźnie odzwierciedlały gust starszej pani, ale to akurat nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

– Córka niedawno założyła mi centralne ogrzewanie i kazała zrobić tę łazienkę, bo powiedziała, że wstyd w dwudziestym pierwszym wieku żyć bez łazienki. Nie chciałam, bo na co mi to wszystko, ile ja jeszcze żyję, ale się uparła.

– Bardzo ładna łazienka i dom naprawdę mi się podoba. Ciekawe, czy można tu będzie dostawić piętro, czy strop to wytrzyma. A jest tam jakiś stryszek na górze?

– Jest i nawet mój mąż urządził tam pokój na lato. Nie prowadziliśmy tam ogrzewania, bo nie było po co. Do mnie tu już nikt nie przyjeżdża ani latem, ani zimą.

– No jak to nikt, a dzieci?

– O, z dziećmi to tyle, co przez telefon sobie pogadam. Jedno i drugie daleko. Syn może kiedy wróci, ale mieszkać tu nie będzie nigdy.

Nie miałam śmiałości spytać, co robi jej syn, lecz wydawało mi się, że po tych słowach starsza pani posmutniała.

– A co tu można i jak dobudować, najlepiej powie pani Marian. To chrześniak mojego męża. Na budowlanca się zna jak mało kto. Firmę z braćmi założył i od roboty nie może się opędzić. On tu u nas od małego, jeszcze z moim mężem nieboszczykiem wszystkie remonty i naprawy robił. A ten dom jego ojciec stawiał. Ale jego jeszcze na świecie nie było.

– Myślę, że bez architekta się nie obejdzie, bo będziemy robić wszystko legalnie, z pozwoleniami.

– To jak już państwo chcecie. Ale Marian najlepiej doradzi. Jak wyjdziemy przed dom, pokażę pani, gdzie on mieszka.

– Bardzo chętnie skorzystamy z pomocy pana Mariana. Rozumiem więc, że pani jest zainteresowana sprzedażą domu? Teraz pozostaje kwestia ceny i jak szybko moglibyśmy tu zamieszkać. Oczywiście, jeśli pani pozwoli, przyjadę tu jeszcze z mężem, ale myślę, że jemu też się tu spodoba.

– Dam pani telefon do córki, bo ja to czekam, aż ona zadzwoni. Sami się tam już dogadacie. Pani powie, że trzeba dla doktora szybko to mieszkanie, i na pewno nie będzie za drogo. Ja nie chcę o pieniądzach gadać, bo mi się jeszcze te stare z nowymi myślą.

Uroczą staruszką wygramoliła się ze mną na ganek, pokazała zielony dach domu Mariana, który majaczył za rzeką na wzgórzu, przypomniała o koszyczku malin i narwała mi naręczę kwiatów, ponieważ wyraziłam swój zachwyt na ich widok.

Jednak kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Wstałam dzięki telefonowi mamy i dzięki niej podjęłam energiczne działania. Nie znam jeszcze ceny tego miłego domku, ale moja kobieca intuicja mówi mi, że to jest to. Teraz muszę szybko ugotować coś pysznego, żeby właściwie nastawić Krzysia, a potem odpowiednio mu wszystko przekazać. Malinki na deser i jeszcze dobra informacja z banku, że sto tysięcy kredytu mogą nam dać. Szkoda, że nie ma z nami dzieci. Lubię z nimi wszystkimi przeżywać takie chwile.

Wiaderko z wodą było lekkie jak piórko. Podskakiwałam po drodze. Ulubione przez Krzysia kopytka zagniotłam nie wiadomo kiedy. Kotleciki – palce lizać. Suróweczka z młodziutkiej kapusty. Wszystko gotowe, tylko Krzysia nie ma.

Wrócił wieczorem. Przepraszał, że nawet nie zadzwonił, ale nie miał głowy. W ośrodku szaleją dwie kontrole. Wyrwywają sobie nawzajem dokumenty. Rozpanoszyli się wszędzie i nie liczą się z tym, że trzeba pacjentów przyjmować. Władzą do gabinetu bez pukania – po prostu sodoma z gomorą. Krzyś nic nie jadł, bo odebrało mu apetyt. Na wieść, że byłam w tym domku, zareagował nieprzytomnie.

– W jakim domku? Nie wiem w ogóle, o czym mówisz. Tak myślę, jakich jeszcze instrukcji nam brakuje. Chyba wszystkie były kupowane. Dziewczyny miały je pozawieszać. Nie sprawdzałem ni gdy takich głupot, czy wisi na przykład instrukcja mycia rąk.

– Ale instrukcję używania pisuaru to nawet przyniosłeś do domu.

– Bo to było prawdziwe kuriozum. W kabarecie by takich jaj nie wymyślili.

– Ciekawe, z czyjej inspiracji te dwie kontrole się u was zjawiły? – powiedziałam.

– Myślisz, że ktoś ich nasłał? Babka z sanepidu coś sugerowała, że chyba nie mam tu przyjaciół i nie mogę się zaaklimatyzować. Zaprzeczyłem, powiedziałem, że wręcz przeciwnie, czujemy się tu oboje z żoną świetnie. Pewnie chciała mi dać do zrozumienia, że musi mnie skontrolować na czyjeś życzenie lub na skutek skargi.

Krzysztof obejrzał wiadomości na kilku kanałach i padł. A ja poczułam się tak bardzo samotna. Z mamą na tym etapie nie należało jeszcze rozmawiać. Zaraz chciałaby wszystkim dyrygować, a tak naprawdę w wielu dziedzinach już nie nadąża. Zyta była daleko z ekipą filmową na zdjęciach, więc pochłaniało ją raczej budowanie sztucznego świata. Zresztą problemy bytowe i inne tego typu przyziemne sprawy w jej rodzinie załatwiał Kazio, więc nie wiem, czy byłaby w stanie skupić się na tak drobnej rzeczy, jak mały wiejski domek, którego zakup nas zadłużył powyżej uszu. Do Kazia też nie chciałam dzwonić. On się strasznie lubi mądrować i popisywać wobec Krzysia swoją zaradnością finansową.

Dotarło do mnie, że mieszkamy na wsi już parę lat, a nie mamy tu żadnych przyjaciół. Owszem, mamy dość dobrych znajomych, z którymi zdarzało nam się miło pobalować, ale nie nazwałabym ich przyjaciółmi. Po pierwsze, nie znamy się na tutejszych koligacjach rodzinnych, które są jak macki ośmiornicy i odgrywają w gminnych układach ogromną rolę. Krewniacy często się ze sobą żrą, ale wobec obcych potrafią utworzyć jednolity front. Można bardzo łatwo chlapanąć coś przy kimś, a potem mieć pół gminy szwagrów i róż-

nych kuzynów przeciwko sobie.

Dobrze, że znalazłam na Naszej Klasie Grażynę, ale jej świat jest bardzo odległy od naszej gminnej rzeczywistości. Właściwie to my w pewnym sensie zamieniłyśmy się miejscami, z tą różnicą, że ona świetnie czuje się w wielkomiejskiej dżungli, a ja jestem wszędzie jakby nie u siebie. Może właśnie kupno domu stanie się taką kotwicą? – była to moja ostatnia przytomna myśl przed zaśnięciem.

6. DECYZJA

Kontrole szalały w ośrodku cały tydzień i z Krzysiem nie było praktycznie kontaktu. Wracał późno, opowiadał o zawiłościach prawnych jakichś decyzji, które na zdrowy rozum wydawały się zupełnie proste. Ale, jak się potem okazało, przy ich podejmowaniu wcale nie należało kierować się rozumem, gdyż rozum i dobra wola to chyba wrogowie naszego systemu administracyjnego. Mąż był zmęczony i zniechęcony, stale narzekał. Nigdy przedtem go takiego nie widziałam. Nawet w Afryce, gdy naprawdę bywało ciężko i niebezpiecznie, uśmiechał się i mówił: „Lubię swój zawód, bo moja praca ma sens”. Teraz stwierdzał, iż większość swojej energii poświęca na użeranie się z biurokracją, a nie po to kończył studia medyczne. Marzył już o weekendowym dyżurze w pogotowiu, żeby wreszcie poczuć się lekarzem. Nie miałam sumienia zmuszać go do obejrzenia domku pani Józki Kozłowskiej.

– Spuszczam się w tej sprawie całkowicie na ciebie – powiedział z uśmiechem sugerującym chyba podtekst erotyczny, ale było to wszystko, na co w tej dziedzinie mogłam aktualnie liczyć. – Przecież oboje dobrze wiemy, że będzie tak, jak zadecydujesz – dodał z rezygnacją.

– To dosyć wygodna postawa. W ten sposób, jak wielki garb, noszę na sobie całą odpowiedzialność za kluczowe decyzje w naszym życiu.

– Ależ nasze życie jest wspaniałe właśnie dzięki twoim decyzjom – żartował dalej i już zawijał się w kołdrę.

– Powiedz to twoim rodzicom albo mojej mamie – próbowałam jeszcze z nim rozmawiać.

– To nasze życie, a nie ich – odparł ziewając. – À propos moich rodziców, co słychać u naszych dzieci?

Zanim skończyłam opowieść o nowych znajomościach naszych pociech i kontrowersjach, jakie budzą u jego mamy, mój drogi małżonek spał już snem sprawiedliwego. Wątpię, czy nasze życie, a zwłaszcza pożycie jest ostatnio tak bardzo udane. Nie ma co, czas leci i trzeba wziąć sprawy w swoje ręce. Nastawiłam budzik na trzecią w nocy i zadzwoniłam do Nowego Jorku, do córki pani Józki. Dobrą chwilę tłumaczyłam, kim jestem i o co mi chodzi. Nie mogły-

śmy się z początku dogadać. Pani Zatoń, z domu Kozłowska, zamiast mnie spokojnie wysłuchać, wciąż próbowała zgadywać, kto dzwoni i w jakiej sprawie. Wreszcie do niej dotarło, iż nie jestem opiekunką społeczną ani inną osobą, która chce ją zawiadomić o fatalnym stanie zdrowia jej mamy, lecz amatorką na domek w Zalewicach.

– Naprawdę udało się pani przekonać moją mamę?! – krzyczała wprost z radości. – Nie mogę w to uwierzyć. Od kilku lat błagamy ją oboje z bratem, żeby ze mną zamieszkała, a ona konsekwentnie odmawia, mimo że ma już ogromne problemy z poruszaniem. Czy to znaczy, że jest z nią aż tak bardzo źle? – zaniepokoiła się nagle.

– Z tego co wiem, jest nawet lepiej, niż było, bo wrzodziejąca rana od żylaka się zagoiła. Zastałam pani mamę zbierającą maliny. Mam wrażenie, że sprzedaż domu potraktowała jako przysługę, którą może nam zrobić, i dlatego się zgodziła.

– No tak, to cała mama, dla siebie nic, ale dla innych gotowa nawet z domu się usunąć. Czy wymieniła sumę, za którą chcemy sprzedać dom? Bo wie pani, ona nawet zakupów sobie nie robi, więc z pieniędzmi już...

– Tak mi też powiedziała. To bardzo miła i naprawdę rozsądna staruszka. Chciałabym wiedzieć, na jaką sumę wyceniliście państwo dom.

– Do tego domu należy też ziemia, prawie dwa hektary. Wszystko jest zapisane na mamę. Nieruchomość jest czysta, to znaczy niezadłużona, i nie ma żadnych służebności. Posiada też księgę wieczystą, co na wsiach jest nadal rzadkością, więc wszelkie formalności można będzie załatwić szybko.

– Ale jaka jest cena? – pytałam z drżeniem w głosie, bo bałam się, że kwota, którą zaraz wymieni, pozbawi mnie wszelkich złudzeń.

– No, myśleliśmy z mężem o stu tysiącach, ale przyjmijmy, że jest to suma do negocjacji.

– Szczerze mówiąc, jest to maksymalna kwota, którą bank zgodził się nam pożyczyć – sypałam jak na spowiedzi i czułam, że Krzysz byłby bardzo ze mnie niezadowolony. – Nas właściwie nie interesuje zakup ziemi. Domek jest bardzo mały i ma już swoje lata. Gdyby tę ziemię zbyć komuś z sąsiadów, może cena byłaby niższa. Musimy mieć jeszcze pieniądze na dobudowanie piętra.

– Nie. Podział tej nieruchomości nie wchodzi w grę, bo to cała masa formalności, za które trzeba słono płacić. Albo więc państwo decydują się na całość, albo szukamy kogoś innego. Teraz, kiedy

mama wyraziła zgodę, będzie można dać anons do gazety i do Internetu.

Muszę przyznać, że pani Zatoń była bardzo rzeczowa i spokojna. Dodała jeszcze, że negocjacje mogą dotyczyć najwyżej kilku procent. Wieści były o tyle dobre, że możemy dom na pewno kupić. Niestety, nie będzie go już za co rozbudować, i to jest gorsza wiadomość. Zasnąć już nie mogłam. Nabrałam pewności, że ten dom kupimy, a skąd weźmiemy pieniądze na jego rozbudowę, to się zobaczy – pomyślałam jak zwykle w takich wypadkach. Właściwie tak wyglądały wszystkie moje życiowe plany – duży margines na improwizację i wiara, że będzie dobrze. Krzys podda moje życzeniowe myślenie miażdżącej krytyce, a następnie ulegnie mojej sile sugestii.

Mój mąż, ofiara kontroli, wyszedł do pracy rano, wcześniej niż zwykle, z ciężkim sercem i taką teczką. Wyjątkowo wcześniej zadzwoniła też Grażyna.

– No jak tam wasze sprawy? Co się nie odbywasz? – zaczęła.

– Mam domek. Nie chcę dużo, ale dla nas i tak za wiele – odpowiedziałam.

– No to co, kupujecie czy nie?

– Krzysztof go jeszcze nie widział.

– Jemu się nie spieszy? Czy twoja mama nie ma przypadkiem racji?

– Nie, nie ma – powiedziałam wściekła. – Krzys ma urwanie parasola w pracy. Pewnie mu jakaś menda kontrole nasłała. Przyjedź, zobaczysz chałupkę, ocenisz...

– I co? Veni, vidi, vici? Nie jestem Juliuszem Cezarem, więc przybyć i zobaczyć mogę, ale zdobyć nie – zażartowała Grażka.

– Dobra. Jestem bardzo ciekawa. Chętnie też poznałabym wreszcie twojego Krzysia.

– Niestety znów weekend ma dyżurowy. I tak prawie do końca wakacji.

– To nawet nigdzie nie wyjeżdżacie?

– Przecież my cały czas jak na wakacjach: czyste powietrze, czysta woda...

– O, tak. To akurat sprawdziłam na własnej skórze.

Pośmiałyśmy się i umówiły tym razem na sobotę, bo w piątek Grażyna miała zamówioną kosmetyczkę. Przy okazji pomyślałam z zazdrością, że tej to dobrze. Właściwie też mogłabym się kiedyś wybrać do miasta i zadbać o siebie, ale teraz szkoda pieniędzy. Proszę, proszę, na starość robię się skąpa. Trochę posprzątałam,

trochę poczytałam, pokręciłam się po mieszkaniu bez celu, a wreszcie schwyciłam aparat fotograficzny i pojechałam na rowerze do „naszego” domku. Tak już o nim myślałam. Pani Kozłowska siedziała tym razem na drewnianych schodkach ganeczku. Ucieszyła się na mój widok.

– Córka już do mnie dzwoniła skoro świt. Mówiła, że jeśli dla państwa za drogo, to będzie się rozglądać za innym kupcem. Tak mówiła, cha, cha... – starsza pani się zaśmiewała, a ja poczułam się bardzo nieswojo.

– No tak, trochę ten dom dla nas za mały, więc w rozbudowę trzeba sporo zainwestować – postanowiłam się targować. – Wójt zaproponował mężowi wykup naszego mieszkania i może rozpatrzymy tę opcję.

– Ja już się o wszystko wypytałam sąsiadki, która była woźną w tej waszej szkole w Wojkowicach. Teraz też płacze, bo straciła pracę. Wiem, jakie luksusy gmina wam zapewniła. Niech Bóg broni tam zostawać. Będzie pani miała swój dom, swoje podwórko i nikt pani łaski nie będzie robił. A z naszym wójtem to lepiej w żadne interesy się nie wdawać. Ja znam pani męża, bo tu do mnie z wizytą przyjeżdżał. To porządny człowiek. A takim trzeba pomagać. I podobno pani ma bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. To tak jak ja. Córce powiedziałam, że tylko wam sprzedam ten dom, że inaczej się stąd nie ruszę. Muszą się zgodzić na waszą cenę. Dla nich to żadna krzywda, im tylko ptasiego mleka brakuje. A była pani już u Mariana? Niech go pani łapie. Wrócił dopiero co z Niemiec i jeszcze się ludzie nie zwiedzieli.

Nie wierzyłam własnym uszom, właścicielka sama zabiega o niższą cenę i targuje się z własną rodziną. Tego jeszcze chyba nie było. Musimy kupić ten dom. Jest nam przeznaczony. Co ona mówiła o bliźniętach?

– Pani też ma bliźnięta? I tak jak ja, syna i córkę? A syn jest tu na miejscu czy też gdzieś wyjechał? Czy z nim również trzeba uzgodnić cenę? – zasypałam ją pytaniami.

– Mój syn jest na misjach w Afryce. Poszedł do klasztoru i wyjechał do Nigerii. Tak się boję o niego, bo tam chrześcijan i księży mordują. Ale on mi tylko każe się modlić i mówi, że będzie, co Bóg zechce. No to się modlę. Już dzisiaj Różaniec i Koronkę do Miłosierdzia w jego intencji zmówiłam. Jego tam pieniądze i majątki nie interesują, chyba że z przeznaczeniem na misje, on ubóstwo ślubował.

– Jestem pełna podziwu dla takich ludzi i dla ich rodziców, że

tak umieli dzieci wychować. Ja też drzę o moje dzieci, chociaż wyjechały tylko na wakacje do dziadków. Rodzice męża mieszkają na Mazurach, więc mają tam dużo atrakcji związanych z wodą. A woda, jak wiadomo, bywa bardzo niebezpieczna. Nastolatki czasem mają szalone pomysły. A poza tym mogą wpaść w złe towarzystwo. Ale to wszystko głupstwa w porównaniu z lękiem, który pani musi odczuwać.

– A wie pani, że może nawet kiedyś bardziej się o niego bałam. Miał trudny charakter i stale się pakował w różne kłopoty. W szkole też nie mieli z nim lekko. Córka zawsze była wzorowa, a on nawet się specjalnie uczyć nie chciał.

– Jakbym słuchała o moim synu – powiedziałam zdumiona. – Ale mój syn na pewno duchownym nie zostanie. Ogłosił nam, że nie chce chodzić do kościoła. Stale z nim jakieś awantury.

– Wydorosłeje. Znajdzie swoją drogę, tylko modlić się za niego trzeba i powierzyć Panu.

– Chciałam zapytać, czy mogłabym zrobić trochę zdjęć? – zmieniłam temat, bo jakoś nie za bardzo umiem mówić w takich klimatach, choć przecież myślę podobnie. – Mąż taki zajęty, że nie ma kiedy ze mną przyjechać, a i reszcie rodziny też chciałabym przesłać.

– A proszę bardzo, tylko niech pani jakoś wytłumaczy, że tu niedołęga stara mieszka i nie wszystko jest tak elegancko.

– Naprawdę podziwiam, jak pani sobie radzi i utrzymuje wokół siebie taki porządek – powiedziałam zupełnie szczerze i zaczęłam robić fotograficzną dokumentację wnętrza domu i obejścia.

Pani Kozłowska w tym czasie pokuśtykała do sadu i znów nazbierała dla mnie koszyczek malin. Dodała jeszcze trochę świeżutkich jajeczek prosto spod kurek. A taka była szczęśliwa, że może mnie obdarować, iż nie miałam sumienia odmówić.

– A tą amerykańską ceną niech się pani nie przejmuje. Ile oni tam chcą? – zapytała, stojąc już na ganku.

– Sto tysięcy – odpowiedziałam.

– Tu nie Nowy Jork. Niech im pani powie, że połowę tego możecie dać.

– To już byłoby nieuczciwe.

– No dobrze, to krakowskim targiem spotkacie się w połowie – pani Kozłowska uśmiechała się figlarnie. – Marian im najlepiej powie, ile teraz za taki dom u nas można dostać.

Pożegnałam się z nią serdecznie, jak z rodziną, i pomyślałam, że chętnie kupiłabym ją razem z domem. Było w niej coś, co przypo-

niało mi moją babcie, najbliższą mi osobę na świecie, która nigdy nic nie chciała dla siebie.

– Ja nigdy nie będę miała wnuków. Córka nie może mieć dzieci. Tak bym chciała poznać pani dzieci – powiedziała jeszcze na koniec pani Kozłowska.

– To się na pewno da zrobić – odrzyknęłam, wskakując na rower.

Teraz należałoby poznać wreszcie tajemniczego Mariana, który wszystko wie i we wszystkim, co tyczy się budownictwa, mi może pomóc – postanowiłam. Wpatrzona w zielony dach wskazany mi wcześniej przez panią Kozłowską, dotarłam krętą, wąską drogą do pokrytego owym dachem dużego, ale nie całkiem jeszcze wykończonego, choć już zamieszkanego domu. Z podwórka, na którym stało kilka wyraźnie powypadkowych aut z zagraniczną rejestracją, wypadła na mnie sfera ujadających kundelków. Za nimi zaś ze ścierką do naczyń w ręce podążyła okrąglutka starsza pani.

– Do budy! Do budy! – krzyczała i okładała niesforne zwierzęta ścierką po grzbietach. – Znów te dzieciaki otworzyły furtkę. Do budy!

– Czy mieszka tu pan Marian Gaik? – spytałam przyparta do ogrodzenia przez ujadającą sforę, oganiając się torbą z jajkami, które już być może zmieniły się w jajecznicę.

– Tak. Dobrze pani doktorowa trafiła. Józefa mówiła, że pani jedzie w naszą stronę.

– Jak to mówiła? – zdziwiłam się.

– No popatrzyła przez okno i zadzwoniła. Józia Kozłowska to moja siostra cioteczna – wyjaśniła.

Okrąglutka kobieta mogła być trochę młodsza od pani Kozłowskiej, ale twarz miała bardziej pomarszczoną, mocno opaloną i wesołą. W ruchach była żwawa i mimo sporej tuszy pełna wdzięku.

– A Mariana tylko patrzeć. Usiąść sobie i poczekać. On już wszystko wie i powiedział, że trzeba zaraz papiery poskładać o pozwolenie na rozbudowę, a potem można już sobie spokojnie, pomalutku budować.

– Ale ja jeszcze nie zdecydowałam... – Poczułam, że tracę panowanie nad sprawą, a ten dom kupi się i rozbuduje sam.

– To nic. On to pani wszystko wyjaśni. Poczekać, pani doktorowa, bo ja muszę dokończyć obiad. Dzisiaj Marian i chłopaki nie pracują na żadnej budowie, do siana poszli i zaraz wrócą głodni. Poczekać.

Kobieta otarła usta ścierką, którą przed chwilą wywijała po brud-

nych jak nieszczęście i zapewne zapchlonych kudełkach psów, i prawie tanecznym krokiem pobiegła do domu. Poddałam się. Oparłam rower o kute czarne ogrodzenie wymyślnie złożone w niektórych miejscach. Usiadłam na wskazanej ławeczce i postanowiłam poopalać się w oczekiwaniu na Mariana.

Śmieszyla mnie stosowana na tym terenie powszechnie forma zwracania się do drugiej osoby w bezokoliczniku tworzącym swoisty tryb rozkazujący. Chyba bardzo skuteczny tryb rozkazujący, bo minuty leciały jedna za drugą, a ja wciąż siedziałam i czekałam. Powinnam również szykować obiad i poprosić, aby ów miejscowy guru budowlanki skontaktował się ze mną, jeśli jest zainteresowany robotą. Ale żeby nawiązać znowu kontakt z matką Mariana, musiałabym wejść na podwórko pełne psów, które tym razem mogłyby ostrzej zabrać się do moich spodni albo nawet łydek. Czekałam więc grzecznie na Mariana, nie mając jeszcze świadomości, że oto właśnie w moim życiu zaczyna się epoka czekania na Mariana.

Zjadłam już połowę koszyka malin i opaliłam sobie nos tak, że wyglądał jak malina, a Marian, którego „tylko patrzeć”, nie przychodził. Słońce zniżyło się nieco, a upał stał się dokuczliwszy. Wstałam więc wreszcie i chwyciłam zdecydowanie kierownicę mojego roweru, aby udać się do domu. Drapiące się zapamiętałe i pozornie rozleniwione bestie z podwórka podniosły natychmiast straszliwy raban. Okrągła Marianowa mamuśka wyjrzała przez okno i przekrzykując wrzawę, coś mi próbowała przekazać. Rozłożyłam bezradnie ręce na znak, że nic z tego nie rozumiem, więc znów ze ścierką wypadła przed dom i wtedy usłyszałam.

– Marian dzwonił, żeby na niego nie czekać, bo pojechał po drzewo do tartaku. On sam do pani zajrzy, jak tylko będzie miał czas. Może jutro, a może w niedzielę.

No tak – pomyślałam – teraz będę przez dwa dni uwiązana w domu, żeby nie minąć się z Marianem.

– Może wzięłabym numer telefonu do syna i się z nim skontaktowałam? – wrzasnęłam przytomnie.

– Ja nie znam jego numeru. Komórka leży tu u mnie, bo syn nie nosi jej przy sobie. Dzwonił od kuzyna – odwrzeszczała ona.

To po co w ogóle ma komórkę? – pomyślałam, ale nie chciało mi się nic więcej wrzeszczeć, więc wyraźnie się ukloniłam i odjechałam żegnana straszliwym ujadaniem. Zdążyłam wrócić do domu tuż przed powrotem męża. Zaimprovizowałam błyskawiczny obiad. Mąż był rozentuzjzmowany i nie zwracał uwagi na to, co je. Kontrole się zakończyły i w zasadzie nic nie znalazły.

– Co właściwie miałyby znaleźć? Jeśli człowiek jest uczciwy, to czemu miałyby obawiać się kontroli? – powiedziałam.

– Właściwie tak powinno być, ale u nas te wszystkie przepisy są tak sformułowane i w dodatku stale się zmieniają, że nie masz pewności, czy postępujesz właściwie. Zawsze coś się znajdzie, co jest nie tak, ale na szczęście były tylko drobiazgi, na przykład z moim zatrudnieniem.

– Ładny mi drobiazg! Co ty mówisz?! – przestraszyłam się.

– Bo dopatrzyli się, że jestem powołany na dyrektora, a nie na lekarza.

– Co za wariactwo! To się rozumie samo przez się.

– No, teraz nie jest już to takie oczywiste jak kiedyś. Dziś dyrektorem ośrodka może nie być lekarz, a na przykład ekonomista lub prawnik. I szczerze mówiąc, szkoda mojego czasu na te papierowe zajęcia.

– Ale poprawiłeś tę swoją umowę?

– Muszę się dokładnie dowiedzieć, jak to powinno wyglądać, bo przecież chyba nie mogę sam siebie zatrudnić. To byłby absurd.

– A ten inspektor ci nie powiedział?

– W zasadzie nie. On się w ogóle dziwnie zachowywał. Sprawiał wrażenie, że boi się ze mną rozmawiać. Siedział głównie w gminie i kazał sobie dostarczać różne dokumenty. A o tym angażu szepnął mi konspiracyjnie na korytarzu, prawie w drzwiach do toalety.

– Myślisz, że przykazali mu szukać haków na ciebie, a on ci sercem sprzyjał?

– Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych. Bardziej prawdopodobne, że po prostu facet jest dziwny. Widzisz, mam zaproszenia na gminny festyn. Jutro mam dyżur, ale ty z Grażyną mogłybyście iść.

– Fajnie, przyjeżdża Bajm – ucieszyłam się, ale zaraz dodałam: – Szkoda, że cię z nami nie będzie.

– To nie moje klimaty. Wójt zaprosił mnie też po oficjalnych uroczystościach na obiad do Żęgorka.

– Może faktycznie niedobrze z tym dyżurem, bo on gotów się obrazić, że go unikasz.

– Mnie ten dyżur jest na rękę. Mam przynajmniej wytłumaczenie, a nie czułbym się dobrze przy jednym stole z wójtem i jego klakierami. Po każdym kontakcie z nimi mam wrażenie, że usiłują mnie wciągnąć w coś lepkiego i cuchnącego. Uwierz mi, tak jest lepiej. Ja się dobrze czuję, gdy leczę ludzi, a udawanie miejscowego

notabla wcale mi nie wychodzi.

– Pewnie masz rację. Ale dopilnuj, żebyś zmienił tę swoją umowę o pracę. Kto wie, co może być wykorzystane przeciwko tobie. A ja zrobiłam duże postępy na drodze do uniezależnienia się od wójta. Domek jest zaklepany i obfotografowany. Wystarczy jeszcze się trochę potargować i spisać umowę.

W tym momencie z detalami zrelacjonowałam mężowi wszystkie rozmowy i wykonałam fachowy pokaz slajdów z komentarzem. Gdzieś tam wspierałam się rysowaniem planów sytuacyjnych. Gdyby mój uzdolniony ojciec widział te bohomazy, popłakałby się ze śmiechu. Najważniejsze jednak, że Krzys miał już w wyobraźni całkowity obraz naszej inwestycji wraz z planami rozbudowy. Ale wyobraźnię chyba miał za słabą, bo podchodził do sprawy bez przekonania i entuzjazmu.

– Ten dom jest za mały – mówił. – Jak sobie wyobrazasz całą naszą rodzinę w dwóch pokojach? Jak każdy zacznie słuchać swojej muzyki, to zwariujesz.

– Wyrzucę te wszystkie samograje, bo muszę mieć przecież warunki do sprawdzania zeszytów.

– No widzisz? Sama widzisz, że każdy musi mieć swój pokój. Nasze dzieci też są już za duże, aby je wpakować w jedną izbę.

– To będą warunki przejściowe, stan wyjątkowy. Czekam właśnie na budowlanica, który powie, czy moje pomysły są możliwe do realizacji.

Krzys był przerażony tym, że swoim konsultantem mam zamiar uczynić kogoś, kto skończył tylko zawodówkę. Przykazał mi, że bym się wstrzymała z decyzjami, aż on to wszystko przemyśli i będzie miał więcej wolnego czasu.

– To przyjdzie zima – zakpiłam nie fair. – Nie będziemy mogli nawet przenieść się na dworzec jako bezdomni, bo w naszej gminie dworca nie ma. Tu trzeba decydować już – mówiłam coraz głośniejszym głosem – byłam coraz bardziej wkurzona.

– Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł, a nie kupowaniu domu.

Zanosilo się na awanturę, ale na szczęście zadzwonił telefon. Odebrałam. To była córka pani Kozłowskiej. Zaniepokoiły ją żądania matki, która stanowczo domagała się zmniejszenia ceny domu o połowę. Tłumaczyłam, że absolutnie nie wywierałam żadnej presji na jej rodzicielkę. A tak w ogóle muszę ją przeprosić, bo chyba nie dojdzie do transakcji, gdyż mąż twierdzi, że dom jest dla nas zdecydowanie za mały, rozbudowa zajmie sporo czasu i pochłonie

dużo pieniędzy, a my potrzebujemy nowego mieszkania od zaraz. Pani Zatoń zamilkła na chwilę, a potem zaczęła mnie namawiać do kupna domu, proponując nam nawet zamieszkanie w nim tuż po zapłaceniu zadatku. Wyznała, że ona właściwie za kilka dni przyjeżdża i zabiera matkę. Wszelkie formalności załatwiła dawno i czekała tylko na jej zgodę. Zaoferowałam jej sześćdziesiąt tysięcy w dwóch ratach i natychmiast przystała.

Krzyś przysłuchiwał się całej rozmowie, ale nie włączył się do negocjacji, siedział naburmuszony.

– Widzę, że już zupełnie nie liczysz się z moim zdaniem. Szastasz pieniędzmi, których nie mamy. Można było jeszcze ponegocjować i może by spuściła więcej. Nie umiesz się targować, to się do tego nie bierz.

– Mówiłam ci, jaka jest sytuacja. Myślę, że ta cena jest uczciwa dla obu stron, z małym przechyłem na naszą. Ważne jest, że będziemy mogli wpłacić tę sumę w ratach. To nas urządza, bo teraz zostanie trochę kasy na najpotrzebniejsze prace. A potem się zobaczy – zakończyłam w swoim stylu, zacierając ręce.

– Wiesz, daj mi jeszcze zastanowić się nad tymi planami i zdjęciami – powiedział Krzyś, który wyraźnie kapitulował. – Może to ma nawet sens, co mówisz. Taka rozbudowa etapami byłaby chyba możliwa i finansowo łatwiejsza. – Mąż rozłożył z powrotem na stole laptopa i moje nieszczęsne szkice.

Krzysztof zapomniał już o muchach w nosie i pretensjach i wyraźnie wciągnął się w temat. Nie bacząc na to, że następnego dnia rankiem ma rozpocząć czterdziestoosmiodziesiętny dyżur, snuł ze mną plany i modyfikował z lekka moje wizje. Nie było już wątpliwości, że kupujemy. Sprawę przypieczętowałam stwierdzeniem, iż ten dom jest nam przeznaczony.

– Tak? A jaki to znów omen widziałaś? A może nawiedził cię duch babci? – żartował mąż, myjąc już zęby przed snem.

– No pomyśl tylko, gdzie powinien mieszkać pan Zalewski z rodziną?

– Nie mam pojęcia.

– A jak się nazywa wieś, w której kupujemy dom?

– Zalewice! – odkrywczco zawołał Krzyś.

– No widzisz! Zalewski z Zalewic. Brzmi jak Maćko z Bogdańca albo jeszcze lepiej.

– Albo Erazm z Rotterdamu. Tak nawet wolę. Tym, muszę przyznać, całkowicie mnie przekonałaś. Nawet powiedziałbym, że obezwładniłaś – zaśmiał się Krzysztof, który naigrawał się z mojego

magicznego myślenia.

7. MARIAN

Mariana poznałam w najbardziej leniwej porze dnia, gdy siedziałyśmy z Grażyną przy poobiedniej kawie, to znaczy ona przy zielonej herbacie. Nagle rozległo się jednocześnie dzwonienie i łomot do drzwi. Otworzyłam przerażona, że coś się stało i gwałtownie potrzebny doktor. Ujrzałam przed sobą uśmiechniętego, niewysokiego, młodego człowieka, który, nie przedstawivszy się, wtargnął prawie do środka i zacierając ręce, ochoczo zawołał:

– No to co, bierzemy się ostro za robotę?!

W pierwszej chwili myślałam, że facet mnie z kimś myli. Ale zanim zdążyłam zadać jakieś pytania wyjaśniające sytuację, już się rozsiadł nieproszony przy stole i oglądał nasze wieczorne szkice.

– Fajny domek, no nie? – zwrócił się do Grażyny. – Można z nim dużo zrobić. Najważniejsze, że działka szeroka i nie trzeba się ograniczać. Ciocia mi mówiła, że się śpieszycie z przeprowadzką, to będziemy budować i jednocześnie załatwiać papiery. Ciocia jeszcze jako właścicielka złoży wniosek o pozwolenie na rozbudowę. Nie musimy zmieniać obrysu domu, to nie trzeba geodety. Wykorzystamy te przybudówki, tak jak tu planowaliście. Papierami zajmie się mój kuzyn, który pracuje w starostwie powiatowym. Właściwie jest po prawie administracyjnym, ale skończył też niedawno budownictwo na politechnice i ma wszelkie uprawnienia. Zrobi projekt i pochodzi za pozwoleniami. Zrobimy go kierownikiem budowy, żeby mu się to opłacało. Gra?

Rozłożyłam bezradnie ręce na znak, że nie mam zielonego pojęcia.

– Gra i buczy, proszę pani! Nie pierwsza i nie ostatnia nasza budowa. Tu nie będzie problemów, bo dom znam i ciotka godzi się na wszystko. Zanim pani załatwi kredyt i u notariusza, możemy już działać – klasnął w dłonie i zatarł je ponownie.

Marian tryskał pozytywną energią, co powinno napawać optymizmem, a mnie raczej przeraziło. Wszystko dzieje się strasznie szybko. My to właściwie niewiele ryzykujemy – myślałam gorączkowo. Znacznie więcej ma do stracenia pani Kozłowska. To jej dom, a to ona tak naprawdę rozkręciła całą sprawę. Nie daliśmy zadatku i możemy się w każdej chwili wycofać. Tylko na co czekać?

Przecież wszystko idzie po naszej myśli. Krzys nie widział jeszcze tego domu, a ja już mam zamawiać projekt? A jeśli on będzie miał jakieś zastrzeżenia? Czy moje zbyt szybkie działanie nie obróci się przeciwko nam? A może to cwana rodzinka, która omotała nierozgarnięte niemoty i wciska nam jakąś lekko odpicowaną rudere? – przemknęło mi przez myśl, ale zaraz odegnałam tę podłą insynuację.

Pozostawała jeszcze kwestia poddania się dyktatowi rwącego się do dzieła Mariana. Czy iść na skróty, jak doradza ten narwaniec, czy postępować krok po kroku zgodnie z prawem? – pytałam samą siebie. Postępując zgodnie z procedurami, należy się liczyć, że do naszego domku wprowadzimy się nie wcześniej niż za dwa lata. Nie mamy więc innego wyjścia, tylko podążać ścieżką wskazaną nam przez Mariana i jego kuzynka. Być może wiedzie ona na krawędzi prawa, a może nawet jest tylko sznurową kładką przerzuconą nad przepaścią. Trzeba jednak zamknąć oczy i ruszyć za Marianem – postanowiłam.

Marian tymczasem gadał jak najęty i wychwalał się przy tym pod niebiosa. Przedstawił całkiem sensowną i zgodną z moimi przemyśleniami koncepcję prac, czym rozwiął wiele z moich wątpliwości. Obie z Grażyną byliśmy wkrótce pod jego ogromnym urokiem. Gdy już prawie nas zahipnotyzował i potakiwałyśmy zgodnie na wszystko głowami, zadzwonił do swojego kuzyna, owego świeżo upieczonego inżyniera.

– Jacek, jest sprawa. Masz teraz chwilę? Wpadłbyś do szkoły w Wojkowicach. Jest klient, jest robota. Trzeba będzie zaprojektować i popilotować rozbudowę domu ciotki Józi. Nie, ciotka sprzedaje. To czekam, okej?– mówił do swego kuzyna, a następnie zwrócił się do mnie: – Może pani zrobić kawki. Za jakieś dziesięć minut powinien być.

Poszłam posłusznie wstawić wodę i słyszałam, jak Grażyna wypytuje Mariana o firmę i zakres robót, który wykonuje. Zanim przyjechał pan Jacek, dowiedziałam się, że Marian tylko tak młodo wygląda, w rzeczywistości ma już wieloletnie doświadczenie w swoim fachu. Jest ponadto ojcem trójki dzieci, a najstarsza córka w przyszłym roku kończy gimnazjum, czyli mam jeszcze szanse ją uczyć. Marian pracuje razem ze starszymi braćmi, ale on jest szefem. Pojeździł trochę po świecie. Pracował na budowach w Anglii, Irlandii, Niemczech i Norwegii. Zrobił wiele różnych kursów, na koszt Urzędu Pracy, gdyż stale figuruje jako bezrobotny.

– Nie muszę firmy rejestrować, bo mam ubezpieczenie w

KRUS, bracia też – mówił zupełnie szczerze. – Dlatego ceny mamy konkurencyjne, a wykonawstwo to sama pani zobaczy. Ciotka nam już przykazała, że ma być elegancko, jak dla doktora.

– Cena czy wykonanie? – zapytałam.

Nie otrzymałam odpowiedzi, bo właśnie podjechał oczekiwany pan Jacek. Samochód, mówiąc językiem młodzieżowym, miał dość wypasiony. Sam również przedstawiał się okazale. Miał pewnie ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ze sto dwadzieścia kilo wagi. Urodę raczej południowca. Gdy się uśmiechał, pokazywał piękne, białe zęby, a uśmiechał się często. Czarnymi oczami tupał na Grażynę, a znacznie mniej uwagi poświęcał pokazywanym przeze mnie prowizorycznym planom. W ogóle zauważyłam, że obaj panowie zwracają się raczej do niej, a przecież to ja jestem tu inwestorem. Poczułam się nieco dotknięta. Pomyślałam w tym momencie o moim mężu, który został całkowicie zmarginalizowany, i przypomniałam o jego istnieniu pozostałym uczestnikom narady.

– Na kiedy mógłby pan zrobić jakiś prowizoryczny szkic, żeby obejrzał go mój mąż? – spytałam czarnookiego inżyniera.

– Za jakieś dwa tygodnie – odparł, nie odrywając oczu od mojej koleżanki.

– Na głowę upadłeś?! – zrugął go w gorącej wodzie kąpany kuzynek. – Jutro wieczorem szkic, a za dwa tygodnie cały projekt. Ewentualnie elektrykę i hydraulikę potem dołączymy, jak Zdzichu i Robek skończą. Wszystko teraz odkładasz, panny na bok i tylko ta robota dla ciebie istnieje, bo ciocia Józia prosiła. Dobra?

– Jakie panny, jakie panny? – Opalona twarz inżyniera oblała się szkarłatnym rumieńcem, a spłoszone czarne oczy spojrzały błagalnie na Grażynę, żeby nie wierzyła Marianowi.

Grażyna uśmiechnęła się zalotnie i powiedziała:

– Skoro nie ma pan, jak zasugerował kuzyn, ważnych obowiązków, to bardzo prosimy o pośpiech i odsunięcie wszelkich rozrywek na inny czas.

– Ja... ja... ja nie mam, oczywiście – pan Jacek aż zaczął się jąkać z wrażenia. – A, a pani też jutro będzie? – Inżynier, choć na pozór nieśmiały, okazał się jednak bardzo przedsiębiorczy.

– Nie, ale postaram się być za dwa tygodnie. – Grażka spojrzała nań przeciągle i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Takiej jej nigdy jeszcze nie widziałam. Do końca rozmowy z panami Gaikami była ożywiona i dowcipna. Poderwała się z miejsca, by dorobić nam kawy, a przy okazji zaprezentowała całą swą atrakcyjną sylwetkę. Kokietyjnie odrzucała włosy i już właściwie

nie uśmiechała się, ale śmiała coraz radośniej, szczerze ukazując piękne zęby.

Marian zobowiązał się do załatwienia wszelkich formalności w gminie, gdzie w stosownym dziale pracuje jego kolejna krewna. Ustaliliśmy honoraria obu panów, co wymagało ode mnie męskich decyzji. Podjęłam je z kobiecą niefrasobliwością. I w ten sposób mojemu mężowi w zasadzie pozostała tylko kwestia sfinansowania tego, co namotałam.

– Wpadłaś w oko temu inżynierkowi – odezwałam się do Grażyny, gdy zostałyśmy same. – Ale go uwodziłaś.

– Oj, nie żartuj! – fuknęła. – Ja tylko chciałam go zmotywować i wam pomóc.

– Chyba nie tylko.

– Jest dużo młodszy ode mnie, więc odpada.

– Wcałe tego nie widać. Jemu to widocznie nie przeszkadza, bo parł prosto do celu.

– Może on z tych, co ich kręcą starsze panie z doświadczeniem?

– Nie przesadzaj z tą starszą panią, a on nie jest aż tak młody.

Chyba jest w sam raz dojrzały do stałego związku – mówiłam pół żartem, pół serio, a Grażyna zaczęła się denerwować.

– Do stałych związków to oni wszyscy jakoś się nie palą. Ten zapuścił sobie brzuch i straszny z niego casanova.

– No, ciała może ma trochę za dużo, ale za to jakie gorące spojrzenie i co za uśmiech.

– Jest sympatyczny, ale mówiłam, że za młody.

– Taki duży, ciepły miś, przytulanka na długie, zimowe wieczory – zaśmiałam się serdecznie.

Na balkonie właśnie suszyłam ogromnego pluszowego słonia, który był niegdyś ulubioną zabawką moich pociech, wyprałam go, gdyż zamierzałam wydać dzieciom sąsiadów. Teraz schwyciłam wilgotnego, monstualnego pluszaka i rzuciłam nim w kierunku Grażki. Mokry słoń okazał się cięższy, niż przypuszczałam, i zamiast poszybować ponad stołem, prześliznął się po jego blacie, siejąc zniszczenie w niesprzątniętej jeszcze zastawie. Klapnął tuż obok Grażyny na kanapie, pozostawiając mokry ślad dokładnie w miejscu, na którym siedział przed chwilą pan Jacek.

– Ale świntuch! – krzyknęła Grażka, podnosząc go z udawanym obrzydzeniem.

Zaczęłyśmy się śmiać jak dwie wariatki i kulać po podłodze oraz rzucać w siebie poduszkami i innymi maskotkami, które wciąż jeszcze znajdowały się w pokoju Patryka i Dominiki.

Grażyna wyjechała późno. Nie mogliśmy się ze sobą dość nagadać, a śmiałyśmy się potem dosłownie ze wszystkiego. Było nam dobrze i radośnie. Czuliśmy się jak podlotki. Przez moment zapomniałam, że mam męża i prawie dorosłe dzieci oraz że przed kilkoma godzinami podejmowałam takie poważne decyzje.

Przez to szaleństwo nie usłyszałam nawet, kiedy dostałam esemesa od córki. Przeczytałam go dopiero przed północą, gdy kładłam się spać. Dominika wysłała go o dwudziestej pierwszej. Pisała: „Mamo, przygotuj się na następną aferę. Patryk jest już spakowany i chce nocnym pociągiem wracać do domu. Tym razem poszło o kościół”. On może być już w drodze – pomyślałam z przerażeniem. Na telefon do dziadków za późno. Dlaczego nie zadzwonili sami, nic się nie poskarżyli? Czy oni w ogóle wiedzą, że on wybiera się do domu? Zadzwonię do niego i zaraz będę wiedziała, co zamierza – pomyślałam, ale Patryk nie odbierał. Na szczęście Dominika czuwała.

– No nareszcie – powiedziała z wyrzutem. – Nie wiedziałam już, co robić. Patol śpi snem sprawiedliwego, a ja mam zepsute wakacje przez tego świra i jeszcze w nocy nie dajecie mi spać.

– Przepraszam, córeczko, ale powiedz, co się stało.

– Babcia postanowiła wybrać się z nami do kościoła i kazała Patolowi się przebrać, żeby wyglądał przyzwoicie, a poza tym przyczepiła się do jego włosów. Patol oczywiście odmówił dokonania jakichkolwiek zmian w swoim wyglądzie. Powiedział, że nie pójdzie z nią do żadnego kościoła. Dodał też, że dziwi się, jak ja mogę z nią siadać w tych stalach przy ołtarzu. Przecież to obciach. Tam siedzą ci, którzy nie przychodzą do kościoła się modlić, a jedynie się pokazać. Babcia wpadła w histerię. Dziadek musiał ją lekować. Nie będę ci przytaczać całej wymiany zdań, dość, że do kościoła wcale nie poszli, ani on, ani babcia. Patol wykrzykiwał, że jest wolność sumienia i jego wiara to jego sprawa i takie tam. Dziadkowie zdecydowali, że ma natychmiast wyjechać.

– Ale co, pogodzili się w końcu? Udało ci się go zatrzymać? - Przeprosił ich?

– Coś ty. Mówisz, jakbyś Patola nie znała. Zgodził się tylko poczekać na mnie do jutra, bo powiedziałam, że będę się potem sama bała jechać tym nocnym pociągiem. Tu jest teraz tak fajnie, a ja muszę przez tego przygłupa wracać.

– To może zostać, a on niech wraca sam, ale w dzień, autobusem. Wyjedziemy po niego do Kielc. Chyba lepiej będzie, jeśli on już nie będzie dziadków męczył, ale twoja obecność jest dla nich

przyjemnością.

– Nie, słowo się rzekło. Bez niego nie będzie tak fajnie. On jest głupol, ale zawsze z nim raźniej. Będę próbowała jutro załagodzić sprawę, żebyśmy nie wyjeżdżali pogniewani, ale nie wiem, czy coś wskóram. Zadzwoń, mam, do niego, żeby przeprosił babcię, to ona mu zaraz wybaczy.

– Moja kochana, mądra córeczko, tak się cieszę, że cię mam. Zadzwonię do niego i do babci. A teraz śpij dobrze, aniołku.

Właściwie to cieszę się, że wracają. Tyle się teraz będzie działo i chciałabym z nimi na bieżąco wszystko dyskutować. Na pewno wniosą jakieś cenne uwagi do projektu. To przecież mądre dzieci. Patryk może nie całkiem rozsądny, ale za to myśli niestereotypowo, a to bywa czasami bardzo przydatne. Tak kiedyś wyczytałam w mądrej książce dla menedżerów. Oj, stęskniłam się za moimi pociechami, teraz to do mnie dotarło. Jutro wieczorem już będą – cieszyłam się. Lecz na dzień mojej duszy nie tylko tlił się, ale wręcz palił już dużym płomieniem niepokój. Jutro wszak muszę zadzwonić do teściowej i ta świadomość powoli zabijała we mnie wszelką radość, nie dała mi spać, a raniem doprowadziła wręcz do rozpaczy.

A może ten telefon mógłby załatwić Krzyś? – pomyślałam tchórzliwie przy śniadaniu i zaraz sięgnęłam po słuchawkę. Krzyś jednak był nieskory do wszelkich rozmów, wściekły i bardzo zajęty. Obawiam się, że to już u niego przechodzi w stan przewlekły. Zdołałam mu tylko przekazać, że musimy wieczorem odebrać dzieci z dworca, a wcześniej moglibyśmy iść do banku, jeśli przyniesie zaświadczenie o zarobkach. Pomamrotał coś o więzieniu za długi i się rozłączył.

Jestem dorosła, nawet bardzo dorosła, bardziej dorosła, niż bym chciała – mówiłam sama do siebie, spoglądając na telefon jak na przedmiot tortur. A swoją drogą, kiedy tak dorosłam? Nieważne. Więc jestem osobą dorosłą i niczego się nie boję, dlatego wystukałam numer teściów i powiedziałam na jednym oddechu:

– Dzień dobry, mam, słyszałam, że Patryk znów sprawił ci przykrość swoim postępowaniem, nad czym ubolewam, więc uważam, że to dobrze, iż wraca już do domu, i jego siostra, która postanowiła mu towarzyszyć, także, bo ty masz prawo do spokoju na stare lata, a on w domu też bardzo się przyda, gdyż jesteśmy w trakcie finalizowania zakupu domu i wkrótce będziemy się przeprowadzać...

Może pociągnęłabym jeszcze trochę, ale tchu mi brakło, a w

uchu zawarczało złowrogo:

– Co?!

– No tak, kupujemy dom i będziemy go trochę rozbudowywać, więc prawie dorosły syn powinien nam pomóc. Makarenko uważał, że najlepsze jest wychowanie przez pracę. Prawda?

– Ach, to już chcesz tam na stałe mojego syna przywiązać domem? – teściowa zignorowała moją świątłą informację o Makarence, choć ją pewnie w tym duchu kształcono. – Nawet do nas nie zadzwonił, żeby się podzielić tą wiadomością. Taki wykształcony lekarz, specjalista, z doświadczeniem zagranicznym – nadawała, jakby pisała synkowi curriculum vitae – w gminnym ośrodku zdrowia. Jaka to strata dla społeczeństwa!

– Nie zadzwonił, bo pewnie bał się takiej właśnie reakcji. A w gminie też mieszkają ludzie i mają prawo do dobrego lekarza. Zresztą powiatowy szpital też jest chyba poniżej jego poziomu. A u nas klimat lepszy niż na Mazurach. Zaprosimy mamusię i tatusia, jak się tylko trochę urządzimy – powiedziałam przymilnie i nie czekając na następne wzdychania i biadolenia, rozłączyłam się.

Wieczorem mogłam już utulić moje „maleństwa” do snu. Wysłuchałam ze zdziwieniem pochodzących z ich ust diametralnie różnych relacji tych samych wydarzeń i stworzyłam sobie z nich, mam nadzieję, w miarę obiektywny obraz. Przekazałam im w skrócie reportaż z naszych zmagania z zakupem upolowanej nieruchomości i przy okazji dokonałam podsumowania, które wypadło całkiem pomyślnie. Tempo mamy niezłe. Kredyt w zasadzie załatwiony. Notariusz umówiony. Majster budowlany gotowy i chętny do pracy. Szkic domu bardzo zgrabny, a wkrótce powinien być gotowy cały projekt. Pozwolenia się załatwiają, więc właściwie wszystko gra i buczy – jak powiada Marian. Powinnam skakać z radości, że tak szybko i gładko to idzie, ale... Zawsze jest jakieś ale.

Martwił mnie stan Krzysia. Wciąż taki nieobecny, niecierpliwy, jakby niezadowolony z błyskawicznych postępów całej akcji. Może on kogoś ma? – przemknęła mi przez głowę taka myśl, ale zaraz ją odegnałam. Wiem, jak destrukcyjna może być podejrzliwość i zazdrość. On sam tłumaczył się ciągle złą atmosferą w pracy. Czuł się ponadto zamotany, zaplątany i nienadążający za mną i Mariannem. Kiedy wieczorami próbowałam go czasami na siłę włączyć do ustaleń, nie udawał nawet zainteresowania. Na szczęście był ugodowy. Miałam jednak do niego trochę pretensji, że zrzuca na moje barki większość decyzji. Z drugiej strony czułam, że skoro on jest teraz przepracowany, a ja mam wolny czas, powinnam go odciążać.

Dzieci zostały wciągnięte we wszystko i były żywo zainteresowane.

Chodziliśmy teraz trochę jak w transie. Zabierałam też dzieciaki do pani Kozłowskiej. Staruszka nie mogła się napatrzeć na Dominikę, a i do serca Patryka znalazła jakiś klucz. Do pierwszej wizyty zmusiłam go wprawdzie szantażem. Pani Józia, widząc, jak z nudów przewraca wymownie oczami, podsunęła mu zbiór widokówek i zdjęć, które przysłał jej z misji syn. Patryka tak to wciągnęło, że obiecała mu poszukać w spakowanych już rzeczach jeszcze jego listy.

– Nie wiem, czy powinienem czytać listy syna – powiedział Patryk.

– Bez skrupułów, dziecko. Tam nie ma nic osobistego. Najwyżej, że mnie kocha i całuje, ale to chyba normalne w relacjach matki i syna – uspokoiła go staruszka. – A zobaczysz, jakie ciekawe i niebezpieczne miał przygody. Mógłby książkę napisać.

Dominika dostała kompletny ludowy strój z naszego regionu, w którym pani Józia za młodu występowała w zespole folklorystycznym. Była nim zachwycona i od razu go przymierzyła. Było jej do twarzy w czerwonej chusteczce i koralach, które postanowiła wykorzystać także do czarnej, modnej tuniczki. Pani Józia zaśpiewała mocnym i dźwięcznym głosem kilka weselnych przyśpiewek, trochę pikantnych i wesołych, a Dominika zaczęła podskakiwać do rytmu. Mimo bolących nóg i zdezelowanego kręgosłupa staruszka instruowała Dominikę, jak tańczyć, a i sama podrygiwała zabawnie. Mnie na koniec wręczyła zeszyt, w którym spisała legendy i opowieści funkcjonujące na tym terenie, a nigdzie dotąd niepublikowane. Zegnała się z nami ze łzami w oczach.

– Taka jestem szczęśliwa, jak na was patrzę. Jesteście tacy młodzi, śliczni i weseli – mówiła do moich dzieci. – Tak bym chciała mieć takie wnuki. Jutro przyjeżdża moja córka, a w piątek już wyjeżdżamy. Mam całe życie spakować w jedną walizkę, a resztę się rozda i spali. Córka mówi, że tam wszystko mi kupi nowe, ale ja tego nowego już nie potrzebuję. – Usta i ramiona staruszki zaczęły się trząść, a w oczach ukazały się łzy.

Obie z Dominiką przyłgnęłyśmy do niej, a Patryk stanął nad nami z opuszczonymi bezradnie rękami i chyba także wytarł łzę.

– A nie moglibyśmy tak pani adoptować jako trzeciej babci? – zapytał jak mały chłopiec.

– To jest bardzo dobra myśl – podchwyciła Dominika. – Budujemy przecież duży dom i jeden pokój będzie dla pani.

Teraz już pani Józia rozzłochała się na dobre.

– Moje aniołki, dziękuję wam za dobre serce. Ależ ja jestem niewdzięczna. Mam kochającą córkę, która się o mnie troszczy, a narzekam. Pewnie, że tych wszystkich starych kłopotów nie można ciągnąć za morze. Jestem stara i głupia, a niejeden młody mi zazdrości tej podróży i opieki, jaką będę miała. Już nie płaczę. Ale do was, dzieciaczki, mam prośbę, czy moglibyście czasem polecieć na cmentarz do mojego męża i zapalić mu świeczkę?

– Jasne! – dzieciaczki odkrzyknęły chórem.

Na strychu swego domu pani Józia miała istne skarby, których nie powstydziliby się niejedno muzeum regionalne. Obiecaliśmy zająć się nimi, odświeżyć i ustawić w pokoju, który będzie oczekiwał na nią, na wypadek, gdyby nie podobało jej się za oceanem. Dość niefrasobliwie wzięliśmy na siebie też wywiezienie wszelkich kłopotów nagromadzonych w licznych szopach, szopkach, kurniku, oborze, stodole i wspomnianych już wcześniej przybudówkach, które państwo Kozłowscy gromadzili przez większą część swojego żywota. Wzbogaciło się na nas przedsiębiorstwo zajmujące się wywózką śmieci, a wynajęci przez nas ludzie pracowali cały tydzień tylko przy odgracaniu posesji.

Pani Józia wyjechała już bez łez, ale z twarzą ściśniętą, oczami przygasłymi i sercem chyba popękanym na drobne kawałki. Jej córka była chłodna i rzeczowa, zachowywała się raczej jak doskonała, profesjonalna pielęgniarka, a nie osoba, której dom rodzinny właśnie przechodzi w obce ręce. Lata spędzone w Ameryce widać już wycisnęły na niej swe piętno.

8. DZIECIAKI I RESZTA

Mieliśmy już dom, ale nie mogliśmy się w nim pomieścić. Dzieci wpadły więc na pomysł podzielenia rodziny. One miały jeszcze do końca wakacji zostać w mieszkaniu służbowym, a ja z mężem zabraliśmy swoje łóżko oraz część gratów i zasiedliśmy już nasz nowy nabytek. Miałam trochę wątpliwości, lecz dzieciaki zachwycone perspektywą wolnej chaty i braku stałej rodzicielskiej kurateli znalazły tyle argumentów za takim właśnie rozwiązaniem, że poległam. Musiałam być zresztą na miejscu i pilnować robót. Miałam jeszcze teraz pod opieką dwójkę nowych „dzieci”, które wymagały stałej uwagi i wychowania. Namówiłam bowiem męża do kupna parki słodkich, małych berneńczyków, które miały nam w przyszłości strzec domostwa, a od zaraz umilać życie. Najpierw zaczęły je komplikować.

Marian, którego rodzinna ekipa wzięła się już ostro do demontażu daszków i różnych zbędnych elementów w przybudówkach, doradził nam, abyśmy najęli kilku niefachowych pomagierów, którzy pod jego światłym kierunkiem wykonają ogrodzenie wokół domu, powiększając podwórko o stary i nowy sad.

– Pieski będą bezpieczne i materiały też – mówił. – Nie ma co złodziei kusić. A pani też będzie się pewnie czuła, jak mąż pójdzie na dyżur.

Szczerze mówiąc, nie myślałam do tego momentu o jakimś zagrożeniu, ale przyznałam mu rację i tak też zrobiliśmy. Marian przyprowadził jakichś dwóch gości. Jednego zareklamował jako świetlanego. Świetlanym nazywany jest w naszej okolicy człowiek, który jest w kościele odpowiedzialny za zaopatrzenie ołtarzy w świece. Zbiera na ten cel datki, a także nosi świece, sztandary i feretrony podczas procesji. Byłam więc zadowolona, że to ktoś godny zaufania. O drugim mój mistrz nie mógł albo nie chciał nic powiedzieć. Wytłumaczył im, co i jak mają robić. Pośredniczył w ustalaniu dniówki. Następnego dnia świetlany z kumplem przyszli elegancko o świcie do pracy i zajęli się kopaniem rowka pod wyłewkę na podmurówkę.

Marian ani jego bracia nie przyszli. Mąż miał dyżur tego dnia i nie wracał po pracy do domu. Postanowiłam więc pojechać do

Wojkowic, ugotować tam dzieciom obiad i przy okazji spakować znów trochę rzeczy, żeby je przetransportować do Zalewic.

W mieszkaniu zastałam śpiącego niezwykle mocno Patryka. Wydawało mi się, że w pokoju rozchodzi się woń przetrawionego alkoholu. Na podłodze przy tapczanie stał karton soku pomarańczowego i niedojedzony jogurt. Pokój Dominiki był nienagannie posprzątany, a na blacie kuchennym znalazłam kartkę, w której informowała brata, że jedzie do Eweliny i nie wie, czy wróci na noc. Ewelina, szkolna koleżanka Dominiki i Patryka, mieszkała w Kielcach, niby z rodzicami, a tak naprawdę była europejską sierotą. Kilka lat temu jej rodzice załapali się do pracy w Niemczech i tylko czasami, na ogół na święta, wpadali do domu. Nie przepadałam za tą dziewczyną, bo wydawała mi się przedwcześnie dojrzała, zrozumiiała i kuta na cztery nogi. Budziła jednak także mój szacunek tym, że miała aspiracje. Chciała skończyć studia i znakomicie się uczyła. Obawiałam się nieco jej destrukcyjnego wpływu na Dominikę, ale przyjaźniły się już półtora roku i nic niepokojącego w zachowaniu córki nie zauważyłam. Nasza pociecha potrafi być rozsądna i, jak to się dziś modnie mówi, asertywna. Mogła jednak za sprawą Eweliny znaleźć się w sytuacji, w której rozwój wypadków nie będzie zależał od niej. Kiedy jest się tak młodym, jak one, nie umie się przewidywać takich rzeczy, jest się ufnym we własne siły i w stosunku do innych ludzi.

Z miejsca poczułam, że robię się wściekła. Ściągnęłam brutalnie z łóżka Patryka i kazałam mu chuchać. Nie myliłam się, gówniarz znów pił alkohol.

– Myślałam, że mam do czynienia z dorosłym człowiekiem, że możemy cię traktować po partnersku, a ty potrzebujesz jeszcze opieki, która stale musi cię pilnować! – wrzeszczałam.

– Oj, mam, jedno piwko. Mówisz sama, że jestem dorosły, to o co ten raban?

Patryk przeciągał się leniwie i nie wydawał się specjalnie poruszony moją reprimendą.

– Dopiero co tata ci tłumaczył, że obowiązują cię zasady, których nie wolno łamać. Zgadzałeś się z nim.

– Ja się wcale nie zgadzałem, tylko go uprzejmie wysłuchałem, bo nie miałem innego wyjścia. Przecież się nie upiłem. Co to za picie, jedno czy dwa piwa? Chcesz, żeby koledzy traktowali mnie jak dziwadło? Ja i tak w tej szkole dla kujonów, do której mnie wysłaliście z Dominiką, czuję się okropnie. A jeszcze przed kolejnymi tutaj mam uchościć za dupka, co to nawet z nimi nie pogada?

- A gadaj, ile chcesz, ale nie przy piwie. Kup sobie sok.
- Nie będę wtedy dla nich wiarygodny. Już teraz są nieufni i chyba nie do końca mają mnie za swego.
- I ty masz zamiar tak im udowodnić przynależność do ich grupy? Czy to na pewno jest grupa, o którą ci chodzi? Większość z nich teraz pije, a potem się żeni, często z przypadku, bo pije. Następnie biją żony i zanim się obejrzą, ich synowie już piją. I tak w koło.
- Ty też patrzysz na nich jak na strażników? A to są fajni ludzie. Czasem bardzo zdolni. Nie kończą dobrych liceów i raczej nie będą studiować na renomowanych uczelniach dla snobów, ja też chyba nie, ale czy to ma być jedyne kryterium ich wartości?
- Ładnie przemawiasz. Mógłbyś zostać politykiem, jednak lepiej niech cię Bóg zachowa od takiej kariery. Wielkie słowa, a chodzi o zwykłe piwko, które śmierdzi w całym pokoju i zatrąca twój młody organizm. Jeśli chcesz kogoś wyrwać z tego zakłętą kręgu, musisz podać mu rękę i go stamtąd wyciągnąć, a nie sam łądować się jak mucha na lep. I miej świadomość, że wszystkim i tak nie pomożesz. Na ludzi wyjdą tylko ci, którzy sami tego chcą. Wiesz przecież, o co mi chodzi, nie raz to już wałkowaliśmy przy innych okazjach. Gdybyśmy nie potrząsnęli tobą już w gimnazjum i nie udaremнили wspólnych z koleżkami wagarów, teraz nie byłbyś w tym liceum i twoje perspektywy byłyby znacznie gorsze.
- Nie widzisz, że ja nie pasuję do tego liceum? Nie wiem, czy je w ogóle zdołam skończyć.
- Zdołasz, zdołasz. Tylko musisz chcieć i się uczyć. Szkoda, że tak słabo przykładasz się do tej pory. Masz już opinię obiboka. Chociaż w sumie może teraz będą cię jeszcze więcej cisnąć i to wyjdzie ci na dobre. Twoja wychowawczyni poznała się na tobie znakomicie. Mówiła, że stać cię na wiele, gdy czujesz nóż na gardle.
- Chyba będziesz musiała mi co rano ten nóż przystawiać, żebym poszedł do szkoły. Nie mam tam przyjaciół. Moi koledzy zostali tu w zawodówce i technikum. Jak mnie stamtąd wywałą, wrócę do nich.
- Nie przypuszczałam, że jesteś taki dziecinny. I co niby robiłbyś w zawodówce? Nie masz takich praktycznych zdolności. Teraz musiałbyś zaczynać od pierwszej klasy. I co byś wybrał? Zawód kucharza? A może lepiej masarza? To musi być cudowne, stać cały dzień przy stole w hipermarkecie i wycinać schaby zimnym tuszem.
- Ty to oczywiście wynajdujesz ekstremalne przykłady. A Damian będzie tuningował samochody. Już przez wakacje zatrudnił go brat Karola. Zarobił kupę kasy...

– I stawia takim biedakom jak ty piwo? Zbieraj się. U nas na budowie też możesz spróbować pracy fizycznej i umów się z Marianem, że będziesz pomocnikiem, to może coś zarobisz.

Dominice też się dostało za samowolkę. Zadzwoiłam, kazałam jej wracać i zająć się domem. Była trochę naburmuszona, ale powiedziała, że zaraz wsiądą z Ewelina w autobus i będą za godzinkę. Nie zapraszałam żadnej Eweliny. Nie chciałam się jednak z córką handryczyć, bo Ewelina mogła usłyszeć i byłoby jej przykro, a to w gruncie rzeczy biedna, samotna dziewczyna.

Byłam na rowerze, więc, nie czekając na Patryka, wróciłam do nowego domu, gdzie miałam nadzieję zastać pracującą przy budynku spóźnioną brygadę Mariana oraz zajmującą się ogradzaniem terenu brygadę pomocniczą. Już z daleka zaniepokoiły mnie jakieś krzyki. Okazało się, że świetlany ze swoim kumplem podczas mojej nieobecności wykopali niewielki rowek i poczuli się zmęczeni. Widać pełny relaks mogą uzyskać tylko przy drinku, więc skoczyli po pół litra, które obalili błyskawicznie. Szukali mnie podobno, bo spodziewali się kawy i drugiego śniadania. Niestety, ja zupełnie nieświadoma nie dopełniłam swoich obowiązków. Panowie poczuli się sfrustrowani i przeszukali naszą piwniczkę. Pani Józia przez zapomnienie, a może dla nas w prezencie, pozostawiła tam kilka butelek nalewki z czarnego bzu. Owoce zaostryły ich apetyt i gniew, a alkohol zamiast rozluźnić i rozweselić, podniósł ciśnienie, zwłaszcza świetlanemu.

Kiedy wjechałam na podwórko, zobaczyłam zataczającego się grubego i czerwonego jak burak świetlanego. Kopał nie rów, ale szpadel, który stanął mu na drodze, i zwoje siatki. Z jego ust płynęły potoki przekleństw, z których mniej więcej zrozumiałam, że on pierdoli taką robotę, bo nie jest chuj, żeby stać godzinami i czekać, aż mu jakaś głupia pizda da obiad. To tylko drobny fragment okazałej tyrady, której w wielu miejscach nie mogłam niestety pojąć z powodu braków w uzębieniu świetlanego, mojej słabej znajomości kuchennej łąciny i nieosłuchania z miejscową gwarą. Drugi pracownik z racji mniejszej wagi i, co za tym idzie, odporności na działanie alkoholu leżał już w wykopanym uprzednio fragmencie rowka i mamrotał coś całkowicie nieskładnie. Mariana i jego braci nadal nie było.

Przez chwilę rozważałam możliwość wezwania policji, a może nawet pogotowia, bo świetlany wyglądał, jakby za chwilę krew miała mu wytrysnąć przez pory w skórze. Postanowiłam najpierw jednak poszukać Mariana, żeby to on zainterweniował. Jego ko-

mórka milczała jak zazwyczaj. Wskoczyłam znów na rower i po chwili byłam przed królewską bramą jego rezydencji, gdzie tradycyjnie napadła mnie sfora kundelków. Tym razem byłam jednak bardziej zdeterminowana. Chwyciłam pompkę od roweru, groźnie nią pomachałam i dopadłam drzwi wejściowych domu. Niestety były zamknięte i na nic zdało się moje łomotanie, wyraźnie nie było nikogo. Odwrót był trudniejszy. Psiaki osaczyły mnie z trzech stron i napięte czekały na to, iż odsłonię tyły. Z widokiem pompki widać już się oswoiły, bo moje gwałtowne ruchy wywoływały tylko groźne powarkiwania. Trzeba było wziąć ze sobą kielbasę – pomyślałam.

Nie wiem, jak długo stałabym tak przyparta do muru, gdyby nie powrót z pola do domu córek Mariana. Powiedziały grzecznie dzień dobry, odpędziły psy, postawiły pod murem duże grabie i zagadały:

– Pani do taty? Tata się spodziewał, że będzie go pani szukać, ale musiał jechać.

– Gdzie musiał jechać? Czy coś się stało? Jakaś choroba? Wypadek? – dopytywałam naprawdę przejęta. – Dlaczego nie zadzwonił?

– Mówił, że pani będzie się denerwować, a oni za parę dni wrócą. Już mają wszystko nagrane – powiedziała starsza.

– Co mają nagrane? Gdzie jest tata? – Zorientowałam się, że moje współczucie było cokolwiek na wyrost.

– No, pojechali do Niemiec położyć strzechę z trzciny na budynkach, które stawia wujek – dodała.

– Wujek jeszcze tak dobrze tego nie umie. Tata powiedział, że panią te parę dni nie zbawi, a poza tym nie ma pani wyjścia i musi na niego poczekać – młodsza dziewczynka była rozbrajająco szczerą.

– A będzie mnie pani teraz uczyła w gimnazjum? – starsza zmieniła zręcznie temat.

– Jeszcze tego nie wiem. Dowiem się na pierwszej radzie. A wy pomagałyście przy sianie? – zapytałam.

– Można się fajnie opalić i wyrabia się mięśnie – uśmiechnęła się faktycznie opalona jak Mulatka starsza.

– Aga mówi, że cycki od tego robią się jędrne – mała znów mnie zaskoczyła swoją szczerością. – Ja jeszcze nie mam cycków, ale jej pomagam.

– Głupia! Nie mówi się cycki – zganiała siostrę Aga.

– A ty to jak niby mówisz na cycki? – zdziwiła się mała.

Odjechałam do domu gnana przez jazgoczące kundle i złe przeczucia dotyczące dalszej współpracy z Marianem. Ale jak słu-

nie zauważył, nie miałam innego wyjścia, tylko czekać. Na podwórku panowała już przyjemna cisza, a po moich zbuntowanych robotnikach nie było śladu. Na schodach siedział mój nieletni syn i zaśmiewał się w kułak.

– No i co, pani inwestorko, zetknęła się pani z folklorem we współczesnej odsłonie? Dobrze, że mamy jeszcze tamto mieszkanie, to może ubłagamy wójta, żeby nas stamtąd na zimę nie wyrzucił, bo coś mi się zdaje, że ta budowa trochę się przeciągnie.

– Widziałeś tych pijusów? – zapytałam retorycznie. – Wynieśli się sami?

– Ależ skąd! Nadal domagali się swoich praw pracowniczych i byli skłonni rozpocząć w tym rowie strajk okupacyjny.

– I co, powiedziałaś, że ich zakopię własnymi rękami w tym rowku? Tego nawet rowem nazwać nie można.

– Coś w tym rodzaju. Przemówiłem do ich rozsądku w jedy-
nym znanym im języku.

– Co im powiedziałaś?!

– Jesteś pewna, że chcesz to ode mnie usłyszeć?

– Jasne! – krzyknęłam niecierpliwie.

– Dobra, ale ostrzegalem. Cytuję: „Spierdalać stąd, bo jak zawołam chłopaków, to będzie za późno. Dostaniecie takie grzmoty, że wam jaja odpadną”. Koniec cytatu.

– Chyba faktycznie wolałabym tego nie słyszeć. Czy oni wiedzieli, o których chłopaków ci chodzi?

– Nie sądzę. Ale myśleli o jakichś groźnych, bo mimo huraganowego wiatru wiejącego im w twarz, zwiłali się bez zwłoki.

Zaczęliśmy się oboje z Patrykiem śmiać. Zarzuciłam mu ręce na szyję i ucałowałam mojego dzielnego obrońcę. Nawet nie zastosował żadnego uniku, przygarznął mnie ciepło do siebie i kiwając głową, powiedział:

– No widzisz, maleńka, wyrósł ci już obrońca.

Faktycznie byłam przy nim mała, choć wzrost mam raczej słuszny. Nie zauważyłam, kiedy stał się taki duży i na tyle dojrzały, że nie uciekał w popłochu przed ramionami i pieścizotami matki.

– Wiesz co, może ja zapytam chłopaków z budowlanki, czy nie ogrodziliby nam tej ponderosy? To chyba żadna filozofia – powiedział.

– Myślę, że to dobry pomysł. Szkoda, że Marian teraz jakiś czas będzie nieosiągalny, bo ktoś powinien tego dzieła doglądać.

Stanoło na tym, że Patryk będzie szukał chętnych do pracy, a ja majstra, który choć z doskoku kierowałby młodymi.

Na podwórko wpadły dziewczyny w towarzystwie Tomka, kolegi ze szkoły. Wyciągnęły go z domu, bo nie chciało im się jechać autobusem. Tomek miał przy okazji przetestować nowiutkie, cudowne bmw rodziców. Mało się znam na samochodach i uważam, że nieważne, jak wehikuł wygląda, byle jeździł niezawodnie. Ale ta gablotka zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Cudowny lakier w kolorze burgunda i kremowa skórzana tapicerka, a wszystko pachnące i błyszczące.

Sam Tomek był raczej skromnym i dobrze wychowanym młodym człowiekiem, z kindersztubą, tak rzadką w naszych czasach. Lubiłam go za tę skromność. Dzisiaj wydał mi się bardziej wyluzowany i pewny siebie. Pomyślałam, że to właściwie dobrze, bo było mi go zawsze żal, gdy dziewczyny traktowały go z pewnym lekceważeniem. Teraz na zmianę zaglądały mu w oczy i uśmiechały się powabnie. Chyba jednak coś w tym jest, że samochód to w pewnym sensie atrybut męskości faceta. Tylko że ten akurat był jedynie w czasowym użytkowaniu Tomka i dobrze byłoby to dziewczynom uświadomić, zanim się o niego pobiją.

Spojrzałam na zegarek i wpadłam w popłoch, że nic nie zrobiłam na obiad, a Krzys powinien już wrócić z pracy. Dziewczyny stwierdziły, że mogą zrobić sos do spaghetti, a Tomek tymczasem skoczy do sklepu po makaron. Przysłałam na to bez wahania. Wstawiłam gar wody, dałam dziewczynom patelnię i kosz pomidorów, które wczoraj przyniósł nasz nowy sąsiad z przeciwnika, i udałam się po zioła na grządki obsiane jeszcze i pielęgnowane ręką pani Józki. Po trzech kwadransach wszystko było gotowe i zaczynało stygnąć, a Krzysztofa wciąż nie było. Postanowiłam podać obiad, a Krzysowi ewentualnie potem podgrzać. Humory dzieciakom dopisywały. Ubabraliśmy się w czerwonym sosie i chichraliśmy się z byle czego. Przez chwilę nawet zapomniałam, że cholerny Marian urwał się za granicę i nie wiadomo, kiedy wróci. Dobrze, że nie rozebrał nam jeszcze dachu, bo z zachodu zbliżała się fala opadów.

Nagle zjawił się przed nami Krzysztof. Nie usłyszeliśmy nawet warkotu podjeżdżającego pod dom samochodu, taki robiliśmy harmider. Nasze psy stróżujące siedziały pod stołem i zbyt były zajęte gryzieniem nas po kostkach, więc nie dały żadnego sygnału. Krzys był blady, jakiś przygarbiony i postarzały. Przez dobrą chwilę patrzył jakby oszołomiony na nasze uśmiechnięte gęby, ruchem głowy i gestem ręki pokazał, że nie będzie nic jadł i poszedł do mniejszego pokoju, który tymczasowo pełnił rolę naszej sypialni.

Przy stole zaległa głucha cisza. Wszyscy wiedzieliśmy, że coś

się stało.

– Mamo, ja pozmywam i pojedziemy do Wojkowic. Daj znać potem, o co chodzi – powiedziała Dominika.

– Ja zostanę i będę kopał dalej ten rów. Wiesz, jakby coś, to wołaj – powiedział Patryk.

Weszłam do pokoiku. Krzysztof, nie rozebrawszy się, padł w garniturze na łóżko, co było zupełnie do niego niepodobne. Leżał na wznak i ręce miał rozrzucone, podobnie jak Patryk rano. Wpatrywał się tępo w sufit, a w zaciśniętej dłoni dzierzył nadal wypchaną dokumentami teczkę. Wyglądał makabrycznie.

– Co się stało? – zapytałam cicho.

– Wywalili mnie na pysk – odpowiedział jeszcze ciszej.

– Jak to? Przecież nie mogą tak bez powodu.

– Powód to się zawsze znajdzie, jak się chce. Żebyś widziała tę listę zarzutów. Nawet złodzieja ze mnie zrobili.

– Jak to?! Przecież są jakieś sądy pracy. Musi być sprawiedliwość. Nie można tak...

– Sądy są. A jak wygląda sprawiedliwość, doświadczymy na własnej skórze. Opowiem ci wszystko po kolei, ale potem, bo teraz mam chyba gorączkę i dreszcze.

– Zrobię ci herbaty. Rozbierz się – mówiłam, wyjmując mu z ręki teczkę, którą ścisnął nadal zupełnie nieświadomie, i rozpinając na nim ubranie.

Nie pomyślałam nawet jeszcze o kredycie ani o cholernym domu, który uwięził nas w tej gminie odległej od szpitali i innych normalnych placówek medycznych. Byłam pewna, że wszystko musi się wyjaśnić i dobrze skończyć, bo mój mąż jest uczciwy i pracował sumiennie. Nie ma się czym przejmować, sąd to wszystko wyprostuje. Żeby tylko Krzysztof się nie rozchorował z tego zmartwienia.

Rozebrałam go i otuliłam kołdrą jak małe dziecko, zrobiłam gorącej herbaty i lunęłam do niej zdrowo nalewki, której nie zdołali wypić zbuntowani robotnicy. Krzysiovi po pierwszym łyku zaparło dech w piersiach i oczy wyszły nienaturalnie na wierzch. Ale ja zdecydowanym gestem nakazałam mu pić dalej, więc się podporządkował i wkrótce na twarzy wykwitły mu rumieńce, a oczy zaszyły mgiełką. Zasłoniłam okno i wyszłam na palcach do kuchni. Krzys spał, a ja chciałam się obudzić.

9. NIE PASUJESZ DO NAS

Z chaotycznych i fragmentarycznych relacji męża, a także niektórych znajomych zapewniających mnie o swym poparciu i oburzeniu postępowaniem wójta oraz jego kliku odtworzyłam sobie mniej więcej przebieg i przyczyny odwołania Krzysia z funkcji dyrektora.

Wójt starannie wyreżyserował przedstawienie. Dał cynk do prasy i telewizji regionalnej. Załatwił paru etatowych rozrabiaczy. Przygotował stek anonimowych donosów i uwagi pokontrolne, które interpretował w bardzo pokrętny sposób. Mój mąż był całkowicie zaskoczony i czuł się oszołomiony, jakby dostał obuchem w głowę. Kiedy na moment oddano mu głos, zaczął najpierw odnosić się do zarzutów zawartych w anonimach. Nie miało to żadnego sensu, bo przecież były to listy pisane na zamówienie wójta lub nawet jego autorstwa. Przeszedł potem na moment do spraw zawitych prawnie, dla większości nieciekawych i niezrozumiałych. Zresztą wtedy klakierzy wójta zrobili zamieszanie i wydawali okrzyki bardziej pasujące do walk bokserskich niż do sesji rady gminy. Kiedy więc w programie lokalnym pokazano fragment jego wyjaśnień, nie sposób było pojąć, o co mu chodzi. Bez sprzeciwu, przy kilku głosach wstrzymujących się odwołano więc dotychczasowego (wylonionego w konkursie) dyrektora Gminnego Ośrodka Zdrowia w Swarowicach Wielkich, a powołano nowego. Nowym był stary i znany wszystkim poczciwy moczymorda, zwolniony niedawno przez mojego męża, który teraz triumfował nad swym spiewieranym „krzywdzicielem”.

Krzyś następnego dnia, gdy się wyspał, wykazywał jeszcze wolę walki, a przynajmniej miał chęć do jakichś negocjacji z wójtem.

– Przecież ja nie muszę być dyrektorem – mówił przy śniadaniu. – Szczerze mówiąc, potwornie tego nie lubiłem. Niech mnie tylko zatrudnią normalnie jako lekarza i będę całkiem szczęśliwy. Ja nie jestem chory na władzę ani pamiętliwy. On wie, że to wszystko bzdury, bo sam je powymyślał. Przecież na co dzień spotykałem się z sympatią pacjentów.

I poszedł pełen optymizmu i ufności. Przytoczył mi potem niemal dosłownie obłudnie przyjacielską perorę wójta.

– Mnie to właściwie pan nie przeszkadzał – powiedział jowialnie wójt. – Ma pan wprawdzie trudny charakter, ale nie z takimi dawałem sobie radę. Stracił pan stanowisko, bo tak wynikało z arytmetyki głosowań. Nie zabiegał pan o radnych i z nikim nie chciał się pan zadawać ani słuchać niczyich rad. Za bardzo uwierzył pan takim słowom, jak „samodzielny” i „samorządny”. Sam pan chciał zatrudniać, sam przeprowadzać przetargi. Sam i sam. A tak nie wolno. Ja jestem wójt i lepiej wiem, co komu w gminie potrzeba. Ja jestem stąd i lepiej rozumiem tutejszych. Musimy dbać o nasz gminny biznes, bo z tego mamy podatki i to są nasi wyborcy. Zatrudnianie to też polityka. Każdy przetarg to dyplomacja. Niby taki inteligentny człowiek, a nie rozumie prostych rzeczy. Pana zatrudnił poprzedni wójt nie dla pana kwalifikacji, bo, mówmy szczerze, co tu za kwalifikacje u nas potrzebne. On też uprawiał politykę. Ja chciałem panu pomóc, rzucałem panu koła ratunkowe, a pan się wywyższał. Teraz zbiera pan owoce swojego postępowania. Sam pan widzi, że nie pasuje do nas. I po dobroci ostatni raz panu radzę, niech pan wraca, skąd pan przyszedł. Będzie pan się odwoływał do sądu pracy? I bardzo dobrze. Ale tu też pan przegra. Z nami pan nie wygra. I proszę pamiętać moje słowa i nie wydawać na adwokatów. Sprzyjam panu całym sercem, ale tu się pan nie sprawdził.

W Krzysiu się zagotowało, ale powściągnął emocje. Gdy jednak w gazecie przeczytał, że winien jest niegospodarności i nadużyć, postanowił w sądzie walczyć o swoje dobre imię, a do redakcji pofatygował się od razu. Ku swemu zdumieniu spotkał się tam z wyjątkowo życzliwym przyjęciem. Autor artykułu wysłuchał go i przejrzał dostarczone dowody niewinności, kiwał głową ze zrozumieniem. Przepraszał, że być może sam uległ pewnej manipulacji i postara się wszystko naprawić. Krzysztof wrócił rozbrojony i usatysfakcjonowany. Od tego dnia zaczęliśmy codziennie kupować ową gazetę i czekać na sprostowanie. Ukazało się po pięciu tygodniach na przedostatniej stronie, jako krótka wzmianka drobnym drukiem i z całą pewnością nie zostało już przeczytane przez tych, którzy dowiedzieli się z pierwszej strony gazety, że ich doktor to zwykły złodziej.

A ja, durna optymistka, wciąż nie potrafiłam martwić się o naszą przyszłość. Czułam, że to tylko przejściowe kłopoty, że wszystko będzie dobrze. Nie mogłam jedynie znieść tego, co zrobiono mojemu mężowi. Był zdruzgotany, skopany, zachowywał się prawie jak ofiary gwałtu. Stracił poczucie własnej wartości i w sobie zaczął

szukać winy. Unikał ludzi, nawet nas, najbliższych. Miałam wręcz wrażenie, że się wstydzi dzieci, jakby zawiódł ich zaufanie. A to przecież nie on powinien się wstydzić.

Dzwonił i jeździł po okolicznych ośrodkach, prosząc zaprzyjaźnionych dyrektorów o pracę, ale nagle nikt nie potrzebował lekarza, nawet na kilka godzin dziennie. Trudno powiedzieć, czy uwierzyli w prasowe doniesienia, czy też nie chcieli mieć u siebie kogoś, kto nie potrafił dogadać się z własnym wójtem. W Kielcach była możliwość zatrudnienia się od zaraz w jednej z osiedlowych przychodni, lecz pensja była bardzo niska. Kiedy doliczyliśmy koszty dojazdu i wzięliśmy pod uwagę to, że Krzyś nie zdążyłby na dyżury do pogotowia, musieliśmy ten wariant odrzucić.

Na szczęście Krzysztof miał bardzo mało czasu na rozpamiętywanie swojej sytuacji. Dni, oprócz szukania pracy, wypełniały mu liczne zajęcia gospodarskie i praca na budowie, w którą się teraz naprawdę zaangażował. Chodził za Marianem, który wraz z braćmi wrócił już na ojczyzny łono, i pytał o wszystko, robił z nim różne ustalenia i kosztorysy. Praca w takich wypadkach jest najlepszym antidotum. Ale jeszcze lepiej niż wizyta u psychoterapeuty podziałało na niego mądre zdanie Mariana:

– Doktorze, a pierdolić ich!

– A pierdolić ich! – Krzyś z zażenowaniem powtórzył za Marianem i zaczęliśmy się wszyscy śmiać jak szaleni.

Unikałam ostatnio kontaktów z rodziną i Grażyną, bo nie chciałam o tym wszystkim rozmawiać. Ale Grażka dorwała mnie w końcu i wprosiła się na siłę. Chciała być przy tym, jak pan Jacek z dużym poślizgiem przyniesie wreszcie gotowy projekt, lecz nie powiedziała mi tego wprost. Był to nieomylny znak, że czarny, misiowaty inżynier wpadł jej w oko. Sama zaproponowała, że zatrzyma się w pobliskim pensjonacie, żeby nas nie krępować, i zapewniała, iż będzie to dla niej bardzo atrakcyjny weekend. Musiałam przystać na takie dictum. Grażka miała też szansę poznać wreszcie mego męża. Był to najgorszy z możliwych dla niego momentów i obawiałam się, że zobaczy go w niewłaściwym świetle, a na jej opinii bardzo mi zależało. Pomyślałam jednak, że izolowanie się od ludzi nie jest dobrym sposobem na kłopoty, a przyjaciół ma się po to, żeby z nimi przeżywać dobre i złe chwile. Tak więc oczekiwaliśmy na wizytę mojej przyjaciółki, mając już za stodołą prowizoryczny grill oraz cudny, ciężki i nieoheblowany jeszcze stół z ławami – dzieło mojego syna i męża, któremu tworzenie rzeczy konkretnych i prostych doskonale poprawiło nastrój.

Właśnie w piątek, w który oczekiwaliśmy na Grażkę, wybiegłam wczesnym rankiem, jak co dzień, przed dom, aby otworzyć bramę Marianowi. Byłam jeszcze strasznie zaspana. Nie naciągnęłam nawet szlafroka, tylko popędziłam w samej piżamie. Było to niezbyt roztropne, bo przecież na wsi najłatwiej spotkać kogoś na drodze właśnie o świcie. Jeszcze do niedawna wraz z pierwszymi promieniami słońca ludzie szli do pracy w pole, a dziś pędzą na ogół samochodami do pracy w mieście, jeśli udało im się takową zdobyć. Tak czy inaczej rano jest jeszcze jaki taki ruch, a potem raczej martwa cisza. Z rzadka już w naszej okolicy słychać traktory czy inne maszyny rolnicze. Prawdziwym ewenementem jest dziś widok gospodarza wyganiającego bydło na pastwisko. Wszyscy zgodnie twierdzą, że działalność rolnicza im się nie opłaca. Trzeba tylko zaorać, żeby dostać dopłatę z Unii za ziemię utrzymaną w kulturze. Potem można się już poświęcać swojemu hobby lub oddać konsumpcji ulubionych napojów. Trzeba tylko mieć sponsora. Sponsorami bywają starcy otrzymujący emerytury, bardziej obrotne małżonki, którym opłaca się pracować za każdy grosz, a najczęściej opieka społeczna. Tutejsi mężczyźni skwapliwie z wolnego czasu korzystają, masowo uczęszczając do miejscowych „klubów dyskusyjnych”. Tworzą się one spontanicznie w okolicy sklepów z tak zwanym wyszynkiem. Można tam usłyszeć zażarte „filozoficzne” dyskusje w stylu: „wszystko to chuj” albo: „świat jest pojebany”. Po kilku piwach, gdy brakuje argumentów, zdarzają się rękoczynny.

Wracając jednak do mojej osoby zasuwającej w negliżu do bramy, nagle zatrzymałam się, aby złapać głębszy oddech, i poczułam zapach jesieni. Rozejrzałam się wokoło uważnie, jakbym dopiero się przebudziła. Dni tego lata miały w iście zawrotnym tempie. Nie wiem, kiedy dojrzało zboże i zniknęło z pola. Nie było jeszcze na drzewach pożółkłych liści ani snujących się w powietrzu nitek babiego lata, ale jesień skradała się od strony łąki i rzeki. Wysyłała mgiełki i dymy jako nieomyślne znaki, że już jest tuż-tuż. A przede wszystkim zdradzał ją jej mocny ziemisty zapach. Tak byliśmy zajęci od początku wakacji, że nie nacieszyliśmy się zbyt latem, a tu już jesień niosła posmak obfitości i uwiądu. Przypomniałam sobie „mordowane” co roku w szkole „Strofy o późnym lecie” Tuwima. To było dokładnie to: „winna, jableczna pora”.

Dzięki pani Józi w kącie ganku w wielkim gąsiorze klukało sobie porzeczkowe wino, sok z malin był już zlany i zakorkowany, powiędła z truskawek i agrestu opisane stały na półkach w piwnicy, a teraz

przyszła właśnie kolej na śliwki, aronie i oczywiście jabłka, które będą musiała przerobić osobiście. Zawsze o takim życiu marzyłam, a teraz mam tego chwilami po dziurki w nosie. Mój obraz wsi był chyba nieco zbyt arkadyjski i wyidealizowany. Tworzył się on bowiem w czasach dzieciństwa, gdy wszystko jest piękniejsze i prostsze.

Otóż ja, jako wielkomiejskie dziecko, wyjeżdżałam z babcią i siostrą prawie w każde wakacje na tak zwane letniska. Mama bardzo dbała o to, żebyśmy choć przez dwa miesiące w roku miały zdrowe powietrze i żywność, więc zmuszała ojca do poszukiwania kwater prywatnych ze znośnymi warunkami sanitarnymi i wywoziła nas jakimś wynajętym na tę okoliczność załadowanym po brzegi samochodem dostawczym w różne malownicze zakątki kraju. Były to cudowne, niezapomniane chwile spokoju z dala od naszych „szalonych” rodziców, bez żadnych obowiązków i ze statusem atrakcji dla miejscowej dzieciarni.

Podczas gdy ja i siostra cieszyłyśmy się całkowitą labą, wiejskie dzieci miały mnóstwo obowiązków. Niektóre zajęcia, takie jak: pasanie krów, zwózka siana czy zboża do stodoły miały dla nas wiele uroku. Posiadały też pewien walor edukacyjny. Tam poznałam cud zapłodnienia i porodu, oczywiście na przykładzie zwierząt domowych. Terminologia dotycząca prokreacji używana w tych okolicznościach nie była czysto naukowa, ale kitów o bocianach i kapuście już mi nikt nie wcisnął. Tak więc życie na wsi jawiło mi się jako prawdziwy raj na ziemi i marzenie, do którego w pewnym momencie dorosłości zaczęłam dążyć i, co najgorsze, marzenie to zrealizowałam. Już wcześniej przekonałam się, że realizacja marzeń nie zawsze wychodzi mi na dobre. Dużo łatwiej jest śnić o idealnym świecie, niż w nim żyć. Przeważnie dlatego, że zrealizowany przestaje być idealny.

Ale wracając do owego dnia, stanęłam więc sobie pośrodku podwórka i zachwyciłam się promieniami porannego słońca, prawdziwą rozpustą kolorów mego wsiowego ogródka, w którym uwiijały się pszczoły i motyle, a kwiaty otwierały się na nie chętnie, kusily nachalnie, pachniały namiętnie. Wszystko to było przepojone erotyzmem ostatniej szansy lub, jak kto woli, „syndromem zatraskujących się drzwi”. Przyroda najwidoczniej wyczuła nadchodzącą jesień i za wszelką cenę chciała zażyć jeszcze rozkoszy. Ja także usłyszałam skrzywienie tych drzwi, które wkrótce mogą się zatrzasnąć. Odczułam tę jesień bardzo osobiście i wewnętrznie. Może dlatego, że zaczęłam mieć problem z

przeżywaniem i odczuwaniem rozkoszy.

Dzieci zostały wyprowadzone już z Wojkowic i spały na rozkładanych łózkach tuż pod naszymi drzwiami. A poza tym może to już taka kolej rzeczy. Nie ma się co dziwić, latka lecą, ani się obejrzałam, a tu już dobrze po czterdzieście, dzieci dorosłe, no prawie dorosłe, „srebrne w głowie nici”, i chciałoby się kontynuować za poetą: „a ja z tym trzymam, kto co w czas uchwyci”. Ale czy tak jest naprawdę? Czy żyję tu pełnią życia? Czy też ze strachu przed światem odsunęłam się na ubocze i, jak twierdzi moja siostra i mama, udaję tylko, że to jest moje wymarzone bytowanie? Nie mam czasu zastanawiać się zbyt nad tym, a może jestem za leniwa na takie rozważania. Czas leci jak głupi, a ja ciągle wydaję się sobie płochym podlotkiem, który nie odkrył jeszcze tajemnicy szczęścia, nie wie, dokąd dąży, nie zna świata i samej siebie.

Tymczasem lustro okrutnie uświadamia, że dojrzałam, a nawet przejrzałam. Robi to także moja mama, gdy w co drugim zdaniu przypomina mi, że jestem starą babą i matką dorosłych dzieci, a zachowuję się wciąż infantylnie i nieodpowiedzialnie oraz naginam życie, swoje i rodziny, do jakichś nierealnych mrzonek. Zaraz potem jednak dodaje na moje usprawiedliwienie, że takie postępowanie w dużej mierze jest zdeterminowane genetycznie, a te wstrętne geny mam oczywiście po ojcu. Trzeba przyznać, że kieruje nią jakiś rodzaj masochizmu, bo ja sobie przecież ojca nie wybierałam. To ona zakochała się w nim bez pamięci, o czym też często wspomina. Ponadto, jeśli ja jestem starą babą, to co mówić o niej?

Nie należy jednak sądzić, że wpadłam tego dnia w popłoch i histerię, gdy nagle uświadomiłam sobie, iż młodość mam już definitywnie za sobą i wkraczam właśnie w jesień życia. Bez przesady. W moim wieku niektóre dzisiejsze kobiety dopiero rodzą dzieci, rozpoczynają kariery albo je z powodzeniem kontynuują, i to często także na scenie, w show biznesie, gdzie trzeba być nieustannie młodym, zdrowym i silnym, a najlepiej jeszcze pięknym i pożądanym.

No właśnie, a ja na szczęście nic takiego nie muszę. Żyję sobie blisko natury, z dala od wielkich miast i wielkiego świata, więc mogę biegać w rozciągniętej piżamie i naturalnie przechodzić z jednej fazy życia w drugą, na wzór wieloletnich roślin. Nie ma problemu.

Problemów było jednak sporo. Marian znów nie zjawił się na budowie i swoim zwyczajem nie dawał znaku życia, a ostatnio zdemontował już daszki na przybudówkach, które teraz należałoby

zabezpieczyć przed ewentualnym deszczem. Ekipa uczniów budowlanki ogradzających naszą posiadłość bez fachowego nadzoru wyraźnie spartaczyła robotę. Siatka była w wielu miejscach źle naciągnięta i u dołu nieprzymocowana jak należy, z czego skwapliwie korzystały rosnące jak na drożdżach nasze słodkie berneńczyki. Chłopaki chcieli skończyć robotę przed zakończeniem wakacji, by zainkasować szmal i jeszcze zaszaleć. O największym problemie – bezrobociu męża – wołałam nie myśleć. Staraliśmy się też o tym nie mówić.

Grażyna przyjechała przed wieczorem, tak że jeszcze „za widoku” zdążyła obejrzyć postępy budowy. Wypiliśmy w sadzie przy Krzysiu stole kilka piw. Grażynka również doceniła surową urodę tego sprzętu i pochwaliła moich chłopców. Krzys był jednak smutny i tylko z grzeczności dotrzymywał nam towarzystwa. Przy kolacji moja przyjaciółka, nie ukrywając, że jest przeze mnie wciągnięta w całą sprawę i nie owijając w bawełnę, wypaliła:

– Nie wiem, dlaczego ty w ogóle starasz się o pracę w jakichś ośrodkach zdrowia, zamiast jechać do Anglii. Znasz dobrze język, masz już doświadczenie w pracy za granicą. Masz jakieś referencje? To bardzo ułatwia sprawę. Przyjmą cię z otwartymi ramionami.

– Nie możemy teraz wyjechać. Dzieci chodzą do liceum, za rok będą robić maturę. Asia też ma tu pracę i dorobiła się już jakiegoś stażu w szkolnictwie. Wtedy wszystko było prostsze – Krzys piętrzył przeszkody.

– Przecież ja nie wysyłam całej waszej rodziny. Oni niech tu zostaną, a ty jedź i zarabiaj na spłatę kredytu i całą tę budowę. To tylko Anglia, dwie godziny lotu.

– Nigdy się nie rozstawaliśmy. To chyba nie jest dobry pomysł – Krzysztof nie krył swego sceptycyzmu. – Dzieci w tym wieku potrzebują wiele uwagi i dyscypliny. Asia miałaby za dużo obowiązków. Praca, dzieci, budowa to za dużo na jej wątłe ramiona.

– O jej ramiona się nie martw. Aśka z wrodzonym wdziękiem wszystkiemu podola i wszystko pokona.

Ja milczałam i myślałam intensywnie, czy aby Grażyna nie ma racji. Największy stres związany z brakiem pieniędzy miałabym z głowy, a reszta jakoś się ułoży. Ale czy to dobrze tak się rozstawać na dłużej? Tyle wokół widać nieszczęść rodzinnych spowodowanych rozłąką. Czy warto ryzykować?

– Myślę, że jako osoba samotna nie dostrzegasz pewnych problemów – Krzys niechętny, broniąc się, trafił w słaby punkt Grażyny.

– A ja sądzę, że boisz się wyściubić nos z ciepłego domku, gdzie żonka wszystko szykuje, chucha i dmucha – zaatakowała mojego męża poniżej pasa, więc musiałam się włączyć do dyskusji.

– Krzysztof ma rację. Ja też nie wyobrażam sobie dłuższego rozstania. Chociaż z drugiej strony teraz jest już dobry kontakt. Można gadać co dzień i nawet się widzieć dzięki Internetowi. Bilety lotnicze nie są już takie drogie, więc i odwiedziny łatwiejsze. W sumie odległości się zmniejszyły – toczyłam wyraźną walkę z samą sobą. Z jednej strony forsa strasznie by się przydała, a z drugiej nie należało narażać na szwank dobra rodziny.

– Widzę, że już mnie spakowałyście – powiedział Krzys i poszedł spać, bo nazajutrz rano znów zaczynał czterdziestoosmiogodziny dyżur w pogotowiu.

Grażyna z porozumiewawczym szelmowskim uśmiechem wręczyła mi oferty pracy w Wielkiej Brytanii, które sama wybrała i doskonale opracowała. Porozumiała się już z agencjami, które zatrudniają lekarzy, wypytała o miejsca, warunki pracy oraz płacę i wszystko wynotowała. Znalazła tam ciekawą propozycję dla tzw. RMO. Angole kochają skróty. RMO mogło pracować trzy tygodnie, a potem tydzień odpoczywać.

– Trzy tygodnie bez męża to urlop, a nie rozstanie – powiedziałam i zaczęłyśmy się z Grażyną śmiać.

– Chyba faktycznie twój mąż może czuć się spakowany – powiedziała z mściwą satysfakcją Grażka, której chyba mój Krzys niespecjalnie przypadł do gustu.

– Facetom się wydaje, że bez nich świat się zawali, a przecież on spoczywa na naszych barkach. Atlas była kobietą! – krzyknęłam podochocona piwem.

Rechocząc ze śmiechu, wyszłyśmy przed dom. Grażyna zatrzymała się na końcu naszej wsi u ludzi, którzy wynajmują pokoje turystom, więc miała trochę dalej do łóżka niż ja. Powietrze było zimne, ale niebo fantastycznie gwieździste. Jedna gwiazda oderwała się od tej cudownej „tapety” i leciała ku nam.

– Szybko pomyśl życzenie! – krzyknęłam.

Grażyna westchnęła i pokiwała głową z politowaniem.

– Satelita krąży, żebyś mogła oglądać magiczny świat w serialach, a ty mi każesz wymyślać życzenia.

– Ale pomyślałaś? – nie dawałam za wygraną. – Ja pomyślałam i zobaczysz, że się spełni.

– Spełni się, spełni, bo cały wszechświat ci pomaga, a mnie nie chce.

– Grażka, co ty wygadujesz? Wszystkiego można ci zazdrościć, a ty nie jesteś szczęśliwa?

– Czego na przykład? Tego, że nikt nigdy na mnie nie czeka? Że nie mam kogoś, kto nie chciałby się ze mną rozstać? Nie mam się kim opiekować i mną też nikt się nie martwi. Mogę choćby dziś spakować się i jechać na koniec świata. Tylko po co? Nie mam nawet dla kogo więcej zarabiać.

– To wszystko jeszcze jest do naprawienia, ale musisz dać sobie szansę.

– Okej. Kupię sobie psa, który będzie mnie kochał bezwarunkowo. Nie mogę napatrzeć się na te wasze berneńczyki – Grażyna zrzęcznie zmieniła temat, gdyż właśnie doszłyśmy do jej kwatery.

Nasze psy, które wzięłam przy okazji na spacer, przybiegły, by łąsić się i prosić o pieszczoty, jakich nigdy nie miały dość.

10. JAK SIĘ WALI, TO SIĘ WALI

Rankiem Krzysztof wyszedł cichutko na dyżur i nawet się ze mną nie pożegnał, co mu się raczej nie zdarzało. Wziął ze sobą przygotowane przez Grażynę oferty, które zostawiłam na stole w kuchni. Przyznam, że przez noc oswoiłam się z myślą, że przez jakiś czas żylibyśmy, widując się jeden tydzień w miesiącu. Ciekawe tylko, czy on oswoił się z myślą o pracy na obczyźnie? Chociaż, biorąc pod uwagę ostatnie przeżycia, ma prawo być zniechęcony do ojczyzny i rodaków.

Grażyna przyleciała do mnie, zanim wstałam z łóżka. Zaliczyła już poranny bieg i medytacje. Była fantastycznie ubrana i wymakijażowana na tip-top. Jak się ma taki charakter, to można wyglądać – pomyślałam z podziwem i zazdrością. Na podwórku uwijała się dziwnie rozmnożona brygada Mariana.

– Dzisiaj robimy wylewki, więc potrzeba więcej ludzi – wyjaśnił mi szef, widząc moje okrągłe ze zdumienia oczy. – Zaraz przyjedzie bomba z cementem, to wie pani, forsą będzie potrzebna. I jeszcze jakby pani mogła nam coś dobrego ugotować, bo ostro zapierdalały, to i pojeść trzeba dobrze.

Fajnie mi się zapowiada ten przedostatni weekend wakacji – pomyślałam egoistycznie. Będę chyba „ostro zapierdalać”. Skąd ja wezmę takie gary, żeby im i moim domownikom coś ugotować? Forsę miałam naszykowaną, ale dla projektanta. Bank dzisiaj nieczynny. Marian jak zwykle mnie zaskoczył. Po kilkudniowej nieobecności na budowie, której przyczyn nie znam, wpadł jak bomba i szaleje. Aha, bomba, czyli cysterna z betonem, ma wkrótce przyjechać i musimy szybko powynosić, co się da, z domu i jego najbliższej okolicy. Trzeba zabezpieczyć wszystko, co mogłoby ulec zalaniu cementem, a najlepiej, jak byśmy się wynieśli stąd na cały weekend. To gdzie, do cholery, mam gotować ten gigantyczny obiad?!

– Tak to jest, jak się mieszka i buduje – Marian nie wykazywał empatii.

Zapanował ruch nie do opisania. Dzieciaki wnosiły kłamoty z przybudówek. Ja ewakuowałam niezbędne graty kuchenne i osobiste, a Grażyna, ubrana jak na spacer po Riwierze, przykrywała folią

i czym się da to, co w domu musiało zostać. Dobrze, że pośrodku podwórka wciąż stała przestronna stodoła, w której na dobrą sprawę moglibyśmy nawet się przespać. Nie na sianie oczywiście, bo nikt nie zebrał z mojej łąki siana, ale na materacach czy rozkładanych łózkach.

– Dlaczego pan mnie nie uprzedził, że będzie takie zamieszanie i potrzebna będzie większa kwota pieniędzy? – burczałam na Mariana, ale on niewiele sobie z tego robił.

– To nie zapłaci pani Jackowi. Jemu się nie śpieszy. On tam nie wie, co robić z kasą. Projekt miał być już wcześniej gotowy, a ten zwlekał. Chciał przyjechać tak, żeby zastać pani koleżankę. Prosił mnie, żebym dał mu cynk, kiedy ona będzie. Ale niech mu pani nie mówi, że ja coś powiedziałem na ten temat, bo mnie opierdzieli.

Zrozumiałam, że Jacek prosił o dyskrecję. Marian wykrzykiwał te „dyskretne” informacje z wysokości piętra do mnie stojącej na środku podwórza. Faceci z jego brygady słuchali owych doniesień z oblesnymi uśmiechami na gębach, stojąc w różnych miejscach i na różnych wysokościach budowy, drapali się po plecach, głowach i brzuchach, aby uzasadnić przerwę w pracy. Wszyscy wodziliśmy wzrokiem za uwijającą się na wysokich obcasach Grażyną, która jako jedyna była całkiem głucha na Marianowe gadki.

A tak nawiasem mówiąc, Mariana i jego braci rozmawiających ze sobą przy pracy zawsze można było usłyszeć w promieniu pół kilometra. Nie byli głusi, ale chyba wyrobili sobie nawyk nieustannych krzyków, pracując w sporej odległości od siebie z nieodłącznym radiem nastawianym na cały regulator i nadającym na falach RMF FM. Całkiem więc możliwe, iż nasz zakochany projektant, pan Jacek, słyszał, że jego afekt nie jest już tajemnicą dla całej okolicy, gdyż właśnie wjechał na nasze podwórko wypasiona i wypucowana terenówką.

– Kłaniam się nisko szanownym paniom. – Inżynier głośno cmokał mnie i Grażynę po niezbyt czystych dłoniach. – Jakże się cieszę, że znów panią tu zastałem – dalej zwracał się już tylko do Grażyny i spoglądał jej gorąco w oczy, cały czas trzymając jej dłoń. – Spodobały się pani nasze karłowate góry? A ja mógłbym pani pokazać takie zakątki, że...

Wyglądało na to, że jest skłonny raczej oglądać wszystkie jej zakątki, tak obmacywał ją wzrokiem. Nie dowiedziałam się, jakie to zakątki nasz „cygan” chciałby zaprezentować Grażynie, bo stojący na rusztowaniu zagapiony w tę prawie erotyczną scenę młody i niezbyt rozgarnięty pomocnik Mariana wypuścił z rąk dużą dechę,

która spadła dokładnie między Grażynę a jej wielbiciela. Grażka zaprawiona w tenisie zdążyła zgrabnie uskokoczyć, a koniec dechy ześliznął się po czarnej czuprynie inżyniera, drasnął jego policzek i upadł na ziemię, wznecając przy tym tuman kurzu. Pan Jacek zachwiał się, ale nie upadł. Przez chwilę był jakby ogłuszony, lecz gdy tylko odzyskał przytomność, puścił taką wiązanekę, że nie było wątpliwości, iż jest bliską rodziną Mariana. Zmitygował się jednak szybko, przeprosił za niecenzuralne słowa i z prawdziwą rozkoszą poddał się pielęgniarstwu Grażyny. Odniosłam wręcz wrażenie, że teraz już błogosławił deskę i jejopa, który o mało go nie zabił.

Powoli oswajałam się z myślą o całodziennym wygnaniu z domu i zaczęłam planować za stodołą palenisko z kociołkiem na bigos oraz kielbaski z grilla na obiad. W tej chwili jednakże Marian krzyknął dramatycznie, że mamy niezabezpieczone okna, a „bomby” tylko patrzeć. Rzuciliśmy się więc wszyscy, łącznie z inżynierem, do oklejania szyb. Pan Jacek przytrzymał Grażynę, gdy ta przyklejała foliowe worki do okien, choć bardziej jego ręce byłyby przydatne z drugiej strony klejonego worka. Gapowaty pomocnik Mariana usadowił się tym razem poniżej parteru i bez żenady wgapiał się w zgrabną i wypiętą postać Dominiki. Gdy ta spostrzegła jego cielejące spojrzenie, pokazała mu jęzor i krzyknęła:

– I co, głąbie, nie widziałeś tyłka? Weź się do roboty, bo cię tu zacementują i będziemy mieli już gotowego krasnala do ogrodu.

– Nie ma co oglądać. Za chuda jesteś – odparł flegmatycznie chłopak, a Dominika odruchowo złapała się za pośladek, jakby chciała niezwłocznie sprawdzić jego stan. W tym momencie straciła równowagę, zachwiała się i zleciała z drabiny wprost w objęcia swego obserwatora.

– No widzisz, uratowałem ci życie – powiedział chłopak. – Powinnaś mi się teraz odwdziżyć.

– Jeszcze co! Po co mnie łapałeś? – odpowiedziała buńczucznie dziewczyna i glamowaty wyrostek, który zdecydowanie nie był džentelmenem, upuścił ją ze swych brudnych objęć.

Łupnęło tylko i moja kochana córeczka znalazła się w budowlanym pylu u stóp chamskiego pomocnika murarskiego.

Wszystkim nam na moment odebrało mowę. Dominika podskoczyła jak oparzona i podniósłszy się, wymierzyła mu siarczysty policzek. Niewiele brakowało, a ten oddałby jej z plaskacza, ale Patryk, widząc, co się święci, wskoczył między nich i zasłonił siostrę. Brudne łapsko murarza wylądowało na jego twarzy, gdzieś

w okolicy nosa. Nos Patryka zawsze był jego słabym punktem i tym razem również natychmiast połała się z niego krew. Jej widok roz-
wścieczył mojego syna. Walnął więc z całej siły w szczękę chłopa, który padł w miejsce opuszczone przed chwilą przez Dominikę. Wówczas na szczęście w bramie ukazała się oczekiwana cysterna z cementem. Popędzany trąbieniem auta, które chciało wjechać na podwórze, nieszczęsny pomocnik wstał, otrzepał się i niezbyt elegancko wymówił nam umowę o dzieło: – Ja tu, kurwa, u takich skurwysynów robił nie będę! – po czym niezwłocznie oddalił się, nie domagając się nawet zapłaty za kilka godzin oczekiwania na cysternę.

Inżynier skwitował jego odejście stwierdzeniem:

– Lepiej, że sobie poszedł, bo więcej z takiego szkody niż pożytku.

– Takiś mądry, to stań za niego, bo jednego będzie brakować! – zrugął wykształconego kuzyna Marian.

– Ja się roboty nie boję – odpowiedział Jacek. – Niejeden rok na budowie przepracowałem i ty dobrze wiesz. Ale teraz już nie muszę i w tym ubraniu nie będę się brał do betonu. Jakoś tam chłopaki się postarają i bez tego jednego dadzą radę. No nie? – zwrócił się pojednawczo do pozostałych robotników.

– To ja spróbuję go zastąpić – nieoczekiwanie zgłosił się Patryk. – W końcu nie święci garnki lepią. Panowie mi pokażą, co i jak robić.

Marian rad nierad przyjął tę propozycję i odpowiednio przebrany Patol stanął do pracy. Inżynier natomiast poszedł z kobietami za stodołę. Zrobił całkiem fajne palenisko i ufiksował nad nim kociołek znaleziony w stodole w rzeczach po pani Józi. Ja, Grażyna i Dominika zajęłyśmy się szatkowaniem kapusty, która rosła w naszym ogródku. Wrzuciłam do kociołka także parę zeberek dla smaku i ziółka, które Dominika przyniosła z grządki. Upłynęło trochę czasu, zanim to wszystko się zagotowało i kapusta zaczęła pyrkotać. Była najwyższa pora, aby udać się do sklepu po kiełbasę. Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zrobi to Grażyna z nieodłącznym już Jackiem.

Na budowie praca wrzała prawie jak nasz bigos. Marian wrzeszczał tak głośno, że pewnie słyszano go w jego własnym domu oddalonym od naszego o dobre trzy kilometry. Kiedy zaschło mu w gardle, a może dlatego, że zoczył otwarte wino i naszykowanych kilka butelek piwa, przyleciał za stodołę. Powęszył chwilę, ale ja nie częstowałam go alkoholem, bo „bomba” miała jeszcze parę

razy obracać. Chciałam mieć proste podłogi i uniknąć nieszczęśliwych wypadków, więc zapytałam tylko, czy brakło im wody.

– Woda jest – powiedział. – Ale chciałem zerknąć w projekt.

– Kawał domu już zbudowaliście bez tego projektu – zauważyłam. – Mam nadzieję, że nie będziecie teraz nic zmieniać, żeby się zgadzało z projektem.

– O, ja na pewno nie będę nic zmieniał, najwyżej nasz projektant sobie poprawi. Cha, cha! – zaśmiał się.

Marian swoimi wypowiedziami i sposobem mówienia dziwnie przypominał mi naszego byłego prezydenta Lecha Wałęsę. Był pyszałkowaty do obrzydliwości, ale nie można mu było odmówić inteligencji, a przede wszystkim zaradności i sprytu, którego naprawdę mu zazdrościłam. W naszej rodzinie ten towar był szczególnie deficytowy. Tylko Dominika miała go odrobinę, ale reszta... szkoda nawet gadać.

– Oj, poprawi sobie nasz Jacuś projekcik, poprawi – mrucał śpiwnie Marian nad rozłożonymi papierzyskami. – Tylko musi oprzytomnieć, bo dla tej damulki łeb stracił kompletnie. Takich głupot tu nawykrecał, że wstyd.

– Panie Marianie, to nieładnie tak źle mówić o nieobecnym. Straszy mnie pan, że projekt zły, a sam nam pan tego swojego kuzyna namotał – zezłościłam się na niego i nie na żarty zaniepokoiłam.

– Ja pani nie straszę, ale doradzam, żeby pani wpłynęła na koleżankę. On jest chłopak strasznie uczuciowy i temperamentny. Jak tak długo będzie latał i tylko wzdychał, to i nie takich głupot może narobić. Teraz jeszcze nic się nie stało. Parę kresek dorobi i będzie wejście do piwnicy. O, i tu całkiem trzeba zmienić, bo w garderobie wyszedł taki skos, że trzeba by się czołgać zaraz od drzwi.

– Jezus Maria! Co pan mówi? To za co mu dyplom dali? A jak mi się chałupa zawali, to kto będzie winny, on czy pan? Wszystko bez pozwoleń, wszystko na wariackich papierach i znów ja namówiłam mojego męża do złego. A on miał słuszne zastrzeżenia do takiego przyspieszania.

– Nie ma strachu. Mnie te inżynierskie bohomazy niepotrzebne, żeby dom postawić. Ja tylko chciałem widzieć, gdzie co ma być i jakie duże, a resztę zrobimy jak dla siebie. Jacek rysował na chybcika, żeby było, żeby już pozwolenia załatwiać. Dla mnie wie, że tak może, ale innym to elegancko, wtedy to trwa dłużej. A swoją drogą, mówię pani, że coś mu ta warszawianka zadała. A tak dla ciekawości, ile ona ma lat?

– Kobieta i kwiat nie mają lat, panie Marianie. Ma tyle lat, na ile wygląda. Jest młodsza ode mnie – skłamałam.

– Ale długo coś nie wracają z tego sklepu, no nie? – Marian uśmiechnął się oblesnie.

– Mam nadzieję, że mimo temperamentu pan Jacek jest dżentelmenem i mojej przyjaciółce nic nie grozi – zaniepokoiłam się.

– Nie, no ja nie w tym sensie, ale chyba ją zbajerował, bo już by przecież tej kiełbasy sami narobili.

– Głupstwa pan wygaduje – zezłościłam się na tego wiejskiego mądralę. – Może coś się stało?

– Może się i stało. Oby się stało, to chłop będzie spokojniejszy. – Marian przymrużył oczy szelmowsko. – A pani domowi to też na dobre wyjdzie.

– Niech pan wraca do wylewki, bo z cementem przyjechali – pogoniłam go wreszcie, gdyż wkurzył mnie tymi nawet niezawołowanymi seksualnymi aluzjami.

Późnym popołudniem, kiedy już wszyscy mieliśmy po uszy kapusty, przyjechali, jakby nigdy nic, Grażyna i Jacek. Ona miała włosy w nieładzie i makijaż trochę przytarty, a on promieniał szczęściem.

– Długo to trwało, ale byliśmy nie w sklepie, a w leśniczówce. Kielbasa jest nie byle jaka, bo z dzika – Grażynka szczebiotała, lecz była wyraźnie zażenowana.

– Toście chyba za tym dzikiem dopiero po lesie latali, co? – Marian zacierał ręce i mrugał porozumiewawczo do kuzyna.

– Nie, ale czatowaliśmy na dziki na ambonie. To było cudowne przeżycie – paplała dalej Grażyna, a Jacek śmiało ją przytulał.

– No, a trafił się jaki dzik czy dziki był tylko Jacek? – naigrawał się z niej Marian. – A widział kto, żeby dziki w samo południe po polu paradowały?

Przyznam, że zrobiło mi się trochę głupio i wstyd za moją przyjaciółkę. Czyżby naprawdę do czegoś między nimi doszło? Nie miała żadnych zobowiązań, ale żeby tak od razu? My, to znaczy ja i ona, przecież nie jesteśmy z tego pokolenia, które seks traktuje jak dobrą rozrywkę i relaks. Może Grażyna wraz ze zmarszczkami z twarzy i szyi wymazała też z mózgu wszelkie zahamowania?

Dobrze, że dzieci tego nie widziały – pomyślałam. Dominika stwierdziła, że w domu nie ma gdzie spać i pojechała do Eweliny. Patryk zaraz po zjedzeniu kapusty tylko trochę się obmył i poleciał na spotkanie z dawnymi kolegami z gimnazjum. Chciał się chyba

pochwalić, że robił prawdziwą wylewkę. Praca fizyczna mogła go w oczach tych właśnie kolegów nobilitować. Został on przez nas prawie zmuszony do nauki w kieleckim liceum, ale sercem pozostał ze swymi kolegami, którzy się uczyli w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Swarowicach Wielkich. Zazdrościł im kompletnego luzu i tego, że wcześniej niż on skończą edukację i wcześniej będą niezależni. Wielu z nich już potrafiło zarobić, a w domach byli traktowani jak dorośli, podczas gdy my handryczyliśmy się z nim o każde wypite piwo. Mnie, męża, a nawet Dominikę wkurzały te sentymenty i kontakty Patryka z dawnymi kumplami. Często niestety urywał się ze szkoły, żeby z nimi pójść na wagary. Miał przez to, rzecz jasna, kłopoty w swojej szkole. Nie czuł też potrzeby nawiązania bliższych relacji z nowym środowiskiem, bo duchowo wciąż przynależał do tego, z którego chcieliśmy go za wszelką cenę wyciągnąć. Teraz mimo solidnego zmęczenia pobiegł do pubu, który był ich miejscem spotkań.

Robotnicy najedzeni, napici i chyba usatysfakcjonowani zapłatą poszli do domu.

Wieczorami widać już było, że lato ma się ku końcowi. Słońce zachodziło znacznie wcześniej, nad polami snuły się smużki dymu i mgiełki, a po nogach ciągnęło chłodem. Mimo iż siedzenie po zmierzchu na dworze nie sprawiało już takiej przyjemności jak w lipcu, wypiliśmy z Grażyną i Jackiem na świeżym powietrzu jeszcze trochę wina do, znakomitych zresztą, dzikowych kiełbasek. Rozmowa jakoś się nie kleiła. Grażyna była dziwnie wyciszona, ja naburmuszona, a Jacek, jak mi się zdawało, skupiony tylko na jednym.

Powiedziałam, że jestem zmęczona i spać mi się chce, co było szczerą prawdą. Chcieli mi pomagać w sprzątaniu, ale podziękowałam i wysłałam ich na kwatery zajmowaną przez Grażynę. Jest dorosła, niech sobie robi, co chce – pomyślałam. Naszykowałam jeszcze zgodnie z umową spanie dla Patryka w stodole i przez las stempli podtrzymujący świeżo wylany strop udałam się na spoczynek.

Rankiem obudził mnie telefon od męża. Krzyczał w słuchawkę:

- Ukradli nam samochód!
- Kto?! Jak to możliwe? Stał przecież na parkingu przed pogotowiem.
- No stał, ale go nie ma! – krzyczał nadal mąż. – Nie brałaś go?
- Zwariowałaś?! Nie wzięłabym samochodu bez twojej wiedzy. Nikt nic nie zauważył?

- Nasze okna wychodzą na drugą stronę. Wyjazdów nie było dużo, a po sąsiedzku w remizie było wesele, to się ludzie kręcili.
- Powinien wyć alarm.
- Dlatego myślałem, że to może ty. Musiał być niezły fachowiec, że tak od razu alarm rozbroił.
- A może zapomniałeś zamknąć?
- No wiesz! Musiałbym być tobą – powiedział niezbyt sympatycznie Krzyś, ale nie skomentowałam tego, bo w końcu miał prawo być wkurzony.
- Zawiadomiłeś policję?
- Jeszcze nie, bo...
- No to się pośpiesz, bo może jeszcze są niedaleko.

Rozłączyłam się i spojrzałam na zegarek. Była dopiero piąta trzydzieści. Mamy ostatnio jakiegoś piekielnego pecha. Samochód nie miał autocasco. Myśleliśmy, że się nie oplaca. Nie był nowy, a z forszą u nas krucho. Co za potworny kłopot. Teraz życie na wsi bez samochodu jest niemożliwe, przynajmniej życie ludzi aktywnych zawodowo. Jak my sobie poradzimy? Za co kupimy nowy? Chciałam się jeszcze raz obudzić. Ale żeby się obudzić, trzeba by zasnąć, a o tym nie było mowy. Coś powinnam robić. Jakoś działać. Ale jak? Włożyłam na piżamę dres i wyszłam przed dom. Na podwórku stał nasz samochód, tylko nieco przemodelowany, a za kierownicą zobaczyłam Patryka. Serce na chwilę przestało bić. Głowa syna była odchylona w bok, oczy miał zamknięte. Zauważyłam siniec pod lewym okiem, dziwnie obrzęknięte usta i strużkę zakrzepłej krwi pod nosem i na czole. Chciałam krzyknąć, zawołać go czy może wzywać pomocy, ale wszystko nagle znikło.

11. WYCHOWALIŚMY GŁUPKA

Ocknęłam się i ujrzałam nad sobą twarz mojego męża. Był w pogotowiarskim czerwonym ubraniu, a obok niego stał sanitariusz. Wróciła mi pamięć. Patryk jest ranny i wezwałam pogotowie – pomyślałam.

– No, chwała Bogu, wróciłaś do nas – powiedział mój mąż, a sanitariusz też uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

– Ja nigdzie nie jeździłam, to Patryk... – próbowałam coś wyjaśniać, ale sama niewiele rozumiałam z całej sytuacji. – Co z nim? Żyje?

– Żyje, ale nie wiem, czy nie ukręcę mu za chwilę tego poobijanego, bezmyślnego łba. Z tobą musimy jechać do szpitala, to jego też weźmiemy, bo chociaż nie widać nic groźnego, może mieć wstrząśnienie mózgu albo jakieś wewnętrzne urazy.

– Ze mną do szpitala? To nie ja, nie jeździłam naszym samochodem, to on miał wypadek! – próbowałam wciąż tłumaczyć. – Zajmijcie się nim wreszcie! Jest nieprzytomny!

– Wcale nie. – Zza pleców męża ujrzałam pokancerowaną twarz syna. – Ja spałam, a ty od razu w taką panikę... Wezwałam karetkę...

– Odejdź stąd, bo nie ręczę za siebie – warknął Krzys do syna. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak wściekłego.

– To nie ja wezwałam karetkę? – zdziwiłam się.

– Nie, to ja do ciebie, bo tak walnęłaś na maskę, że chyba ją wgniotłaś – Patryk mówił dziwne rzeczy, wyskakując zza męża i umykając na bezpieczne pozycje.

Albo jest w szoku i nie wie, co mówi, albo usiłuje wmówić wszystkim, że to ja uszkodziłam samochód. Pomyślałam z przerażeniem, że jest zdolny do takich kłamstw, i znów straciłam kontakt z otoczeniem.

Ocknęłam się ponownie w karetce pędzącej już na sygnale. Ciągle wydawało mi się dziwne, że to ja leżę na noszach, a nie mój ranny syn. Po każdym odzyskaniu przytomności miałam wrażenie, jakbym do tej przykrej sytuacji wracała prosto z rajy z Boskim zapewnieniem, że wszystko jest w Jego rękach. Czułam się tak cudownie ukołyszana i miałam nadzieję, że być może wszyscy za

chwile wraz z karetką popłyniemy w obłoki. Nic tu na ziemi, oprócz zdrowia syna, nie wydawało mi się ważne. W napawaniu się tym stanem przeszkadzały mi nieco nawracające mdłości i mój mąż, który nieustannie dręczył mnie pytaniami o samopoczucie. Chciał mi wmówić jakieś bóle w klatce piersiowej i nie pozwalał oddać się przeżywaniu bliżej niesprecyzowanego szczęścia. Z Patrykiem nie rozmawiał wcale, ale czasami jednak na niego badawczo spoglądał.

W szpitalu bardzo szybko straciłam ich obu z oczu, bo „popłynęłam” korytarzami na kardiologię, gdzie znów usiłowano mnie namówić do przyznania się, iż czuję pieczenie w przełyku, boli za mostkiem, promieniuje itd. A ja wciąż utrzymywałam, że czuję się świetnie i tylko trochę mdli mnie z głodu. Monitory urządzeń kardiologicznych, do których zostałam podłączona, wskazywały bardzo ujemne jakieś tam załamki i to był powód, dla którego miałam być tu uwięziona na bliżej nieokreślony czas. Uważałam, że to gruba przesada, ale nie śmiałam protestować i z wrodzonej nieśmiałości nic nie komentowałam, tylko potulnie odpowiadałam na pytania oraz podporządkowywałam się decyzjom pani ordynator.

Wreszcie zostawiono mnie w spokoju i pikające urządzenia mnie uspiły, choć nie było mi wygodnie z tymi kablami i na wznak. Przebudzenie też nie było przyjemne. Leciłam w przepaść i chyba nawet spadłam, bo zatrzęsło się całe łóżko. Serce podskoczyło mi do gardła i zaczęło łomotać. Przypomniałam sobie, że mój syn miał wypadek, że jego własny ojciec nie chciał się nim zająć i jakby z łaski zabrał go do szpitala. Takiego Krzysztofa nie znałam. Czyżby złość aż tak wpływała na jego postępowanie? Jeśli czuł urazę do syna, to jednak powinien w nim widzieć w takiej chwili tylko pacjenta – myślałam, wprawiając samą siebie w coraz większe zdenerwowanie, aż po kablach dotarło ono do czujnych urządzeń, a te zaalarmowały personel, który znów pochylił się nade mną.

– Co się dzieje? – spytała pani ordynator.

– Co z moim synem? – zapytałam cicho wystraszona nieco reakcją szpiegującej moje myśli aparatury.

– Słyszałam, że nic mu się nie stało. Ma trochę siniaków – powiedziała uspokajająco miła, emanująca słodyczą lekarka. – Niech pani wypoczywa. Niedługo przyjedzie mąż, to wszystko wyjaśni. Dzwonił już do nas kilkakrotnie, tak go pani nastraszyła. My też początkowo myśleliśmy, że to zawał, ale już jest lepiej.

– Co mi jest? – zapytałam naiwnie.

– Zaostrzenie choroby wieńcowej – odparła z uśmiechem, jakby informowała mnie, że będę miała następną parę bliźniąt.

Jak mogę mieć zaostrenie choroby, której nigdy nie miałam? – pomyślałam, ale już się nie odezwałam. Wołałam nie wdawać się w polemiki z kimś, kto teraz decyduje o mojej wolności. Będę grzeczna, to szybciej zdejmą ze mnie to okablowanie i puszczą do domu, albo przynajmniej pozwolą odwiedzić syna, który na pewno jest w znacznie gorszym stanie, niż mi mówią – kombinowałam.

Próbowałam teraz powoli i na spokojnie przemyśleć sobie wszystko na temat Patryka i samochodu. Znałam jednak za mało faktów, żeby rozwiązać zagadkę jego wypadku. Dlaczego spał w samo chodzie? Skąd, u diabła, wziął się w naszym skradzionym aucie?

Przecież nie mógł nim jeździć, bo nawet nie ma prawa jazdy. Ta okoliczność wydawała mi się wykluczać jego bezpośredni udział w wypadku. Ktoś go porwał razem z samochodem? – popadałam w coraz większą paranoję, gdyż wciąż nie wyobrażałam sobie, że prawda była taka, jaka była. Ale wreszcie przyszedł Krzysztof i dowiedziawszy się, że ze mną lepiej, od razu sprowadził mnie na ziemię.

– Wychowaliśmy nieodpowiedzialnego głupka. Ten palant wziął sobie zwyczajnie w nocy z parkingu nasz samochód, a wcześniej musiał wykraść z szuflady zapasowe kluczyki i jeździł bez prawa jazdy po okolicy. Ciekawy jestem, czy był zupełnie trzeźwy i czy nie wyrządził jeszcze komuś innemu jakiejś krzywdy?

– Co ty mówisz?! – Podskoczyłam na łóżku.

– Spokojnie – Krzysztof się zorientował, że powiedział za dużo.

– Badali mu krew i teraz jest całkiem trzeźwy, więc może faktycznie wcześniej nic nie pił. On ma głupie pomysły i całkiem na trzeźwo. Nie jeździliśmy w nocy do żadnego poszkodowanego w wypadku, więc chyba nic takiego się nie stało.

– Dowiedz się od niego, co robił w tym samochodzie. Tylko spokojnie, bo inaczej się zatnie i nic nie powie.

– Jak to co robił? Jeździł! Byłem już u niego, ale tylko spuszcza głowę i nic nie mówi. Jakbym go tak walnął w ten posiniaczony łeb, to... – Krzyś próbował opanować złość, aż łzy na chwilę zabłysnęły mu w oczach. – Tyle kłopotu przez rozpuszczonego synalka.

– Widzę, że chyba naprawdę stan Patryka jest dobry, bo inaczej tak byś nie pomstował. Uwolnijcie mnie z tych kabli, to może się czegoś dowiem.

– Mowy nie ma, żebyś się jeszcze denerwowała. Co się stało, to się nie odstanie. Ale teraz ja się do niego wezmę. Nie denerwuj się.

Odpoczywaj, a my z Dominiką wszystkim się zajmiemy. – Krzys przykleił do swej zatroskanej twarzy uśmiech numer pięć. – Córnia naszykowała ci tu parę rzeczy. Sprawdź, co jeszcze potrzebujesz.

Mąż wyciągnął spod łóżka sporych rozmiarów torbę, do której Dominika zapakowała pół mojej łazienki i całą toaletkę. Nie zapomniała też o potrzebach duchowych oraz intelektualnych. Torba zawierała książkę, trochę kolorowej prasy, której normalnie nie czytuję, i różaniec. Bardzo mnie tym wzruszyła.

Po południu przyjechała Grażyna, której rano nikt nie miał głowy zawiadomić. Wpadła w prawdziwą panikę, gdy wyspana i szczęśliwa przybiegła, by mi się zwierzyć ze swego miłosnego podboju, i nikogo w domu nie zastała, ale zobaczyła rozbity samochód. Spodziewała się najgorszego, bo w dodatku nie mogła się do mnie dodzwonić. Zaczęli z Jackiem obdzwaniać szpitale i w końcu mnie znaleźli. Dowiedzieli się, że nie jestem ofiarą wypadku, lecz, że tak powiem, ofiarą losu.

– Ty masz wieńcówkę? – pytała z niedowierzaniem. – To chyba dotyka ludzi w starszym wieku?

– No właśnie – odparłam. – Czyli takich jak ja.

– Nie żartuj, my jesteśmy młode.

– Ty tak. Ja już mam prawie dorosłe dzieci i niezły bagaż doświadczeń. Tak nawiasem mówiąc, to powiedziałam Marianowi, że jesteś młodsza ode mnie. Strasznie jest wścibski.

– Ja się Jackowi przyznałam, ile mam lat. Pomyślałam, że jak ma się wycofać, to lepiej, żeby zrobił to wcześniej. Ale jemu to nie przeszkadza, że jest trochę młodszy.

– Trochę? To ile dokładnie?

– No, osiem lat – odpowiedziała z pewnym ociąganiem i zaczęła się śmiać.

Jej wesołość dziwnie szybko udzieliła się i mnie. Zapomniałam na chwilę o wypadku Patryka, swojej starczej chorobie i naszych kłopotach finansowych. Rechotałam z moją szczęśliwą przyjaciółką jak niemądra. Gumowe przysawki zaczęły odpadać od moich rozhuśtanych piersi. Zaalarmowana pielęgniarka przybiegła z reprimendą. Zanim wygoniła Grażkę, ta jeszcze zdążyła powiedzieć mi, że w każdej chwili może przesłać nam na konto trochę kasy na jakiś samochód.

– Ale skoro Krzysztof miał dyżur, to kto rozwalil waszą corsę? – zapytała już w drzwiach.

– Mój kochany syneczek, który nawet nie ma jeszcze prawa, chociaż kurs już zrobił i egzamin zdał – odpowiedziałam.

– Może to lepiej, że nie mam dzieci – skwitowała moją odpowiedź i w podskokach, wymachując torbą, odfrunęła do swego beztroskiego singlowego życia.

Popatrzyłam za nią z zachwytem i zazdrością, ale chyba bym się z nią nie zamieniła. Fakt, że po tym wybuchu wesołości poczułam nagłą lekkość w piersi i miałam wrażenie, iż teraz dopiero oddycham właściwie, a przedtem zapominałam o tej czynności przez długie minuty.

Kiedy przed snem przeglądałam bzdury, które proponują kolorowe pisemka, kątem oka zauważyłam czającą się przy drzwiach chudą i zgarbioną postać mojego syna. Wślizgnął się na erkę, gdy wyszła pielęgniarka. Stał przez chwilę, przestępując z nogi na nogę, i chyba nie wiedział, co począć. Nie miałam zamiaru ułatwiać mu zadania i udawałam wielce zainteresowaną lekturą. W końcu chrząknął i cichutko powiedział:

– Głupio wyszło. Tata ma rację, jestem skończonym głupkiem, nieodpowiedzialnym imbecylem. Przepraszam. Lepiej ci trochę?

Nie podnosząc wzroku znad czasopisma, odrzekłam:

– Brak konstruktywnych elementów w tej słusznej samokrytyce. Może dowiem się, co nawywijałeś i dlaczego?

– Chciałem odwiedzić kolegów i było ślisko. No, niepotrzebnie ostro zahamowałem. Nie przypuszczałem, że tak to wyjdzie. Nie chciałem.

– Nie wolno jeździć bez prawka. Nie wolno brać cudzej własności bez pozwolenia. I powiedz, jak my mamy z tobą żyć pod jednym dachem i jak ci zaufać? Nie mogę wszystkich cennych i niebezpiecznych rzeczy trzymać nieustannie przy sobie. Bóg jeden wie, co ci może jeszcze do głowy strzelić. Jak my się mamy przed tobą bronić i jak ciebie ochronić przed tobą samym? Jak się czujesz? – Teraz dopiero spojrzałam na niego. Świeże rankiem obrażenia wyglądały jeszcze bardziej przerażająco. Siniaki stały się wyraźniejsze, a oko zapuchło straszliwie. – Jakim sposobem potłukłeś tak głowę? Jechałeś bez pasów?

– Nie. Miałem pasy. Samochód wjechał na taki betonowy dren, który leżał w rowie i dlatego tak się od dołu zdefasonował. Ja już właściwie mam prawo jazdy. Leży w Urzędzie Komunikacji, a w piątek zapomniałem odebrać, ale dzwoniłem i wiem, że jest. Naprawdę nic nie piłem, przysięgam. Powiesz to tacie?

– Z tatą będziesz musiał rozmawiać sam. Wiesz, jaki on ma teraz ciężki okres, a ty go chcesz jeszcze dobić? Skąd weźmiemy forszę na samochód?

– To się wyklepie. No, może jeszcze chłodnica poszła. Coś wymyślę.

– Zachowaj nas, Boże, od twojego wymyślania.

– Może ja już bym nie szedł do tej szkoły, tylko popracował u Mariana? Byłoby wam lżej.

– Nie wkurzaj mnie, leniu przebrzydły, bo zaraz te cholerne aparaty zaczną pipczeć i przyleci pielęgniarka. A tacie nawet o takich idiotyzmach nie wspominaj, bo go dobijesz.

Chociaż aparatura nie wszczeła alarmu, weszła pielęgniarka i zarządziła ciszę nocną, wyganiając obtłuczonego jak spadłe jabłko nieszczęsnego kandydata na pomocnika murarza. Jaki ten mój prawie dorosły syn jest jeszcze dziecinny – pomyślałam z pewną dozą wzruszenia. Taki wielki głupol.

Rankiem odłączono mnie wreszcie od tych piekielnych kabli i przeniesiono z erki do normalnej sali. Myślałam, że będę mogła wrócić do domu, ale pani ordynator uparła się, że musi mnie lepiej zdiagnozować, żeby ustawić mi leczenie. Ludzie podobno po kilka miesięcy czekają na wizytę u niej, więc nie powinnam kapryścić. Podałam się.

Było już dobrze po południu i miałam serdecznie dość owej diagnostyki, gdy nagle moje oczy ujrzały jaśniejącą jak promyk słońka buzię Dominiki. W obu rękach taszczyła mnóstwo torebek i nawet płaską dużą torbę z laptopem.

– Co ty dźwigasz, kochanie? Tata przywiózł mi wszystko, co zapakowałeś, i to jest znacznie więcej, niż potrzebuję. Nie mam nawet gdzie tego trzymać. Zresztą jutro wracam do domu. Jak się z tym zabrałaś? Czym przyjechałaś i jak wrócisz? Będiesz miała autobus? – zasypałam biedaczkę pytaniami. – Strasznie się cieszę, że cię widzę – dodałam na końcu.

– Sorka, mamuś, daj mi dojść do słowa. Chciałam zadzwonić, ale komórkę masz wyłączoną, a ja tyle różnych rzeczy załatwiłam i tyle się dowiedziałam, że nie mogłam wytrzymać, żeby się z tobą nie podzielić. Myślę, że też zrobi ci się lepiej, jak będziesz wiedziała...

– Co mam wiedzieć? – zaniepokoiłam się. – No mów!

– Dziś rano tata pojechał do Sądu Pracy, a ja zostałam sama na gospodarstwie. Marian wcale nie przyszedł, a z tartaku przywieźli drewno. Przysłali z transportem takiego lichego dziadka, bo u nich też krucho z załogą. Liczyli, że na miejscu będzie ekipa budowlana, to rozładuje. Wścieklałam się okropnie, zadzwoniłam do Mariana, lecz żona, jak zwykle, nie wiedziała, gdzie go szukać.

– I co zrobiłaś?

– Podzwoniłam po kolegach Patryka. On, na szczęście, cały spis kumpli ma w komputerze. Zagrałam va banque. Powiedziałam, że są współwinni, że omal nie doprowadzili do twojej śmierci, że teraz leżysz przez nich i Patryka z zawałem na kardiologii, a Patryk ma poważny uraz głowy. Naprawdę się przejęli.

– I co?

– Kazałam im się zaraz u nas zjawić, ale nie powiedziałam po co. W ciągu kwadransa miałam pięciu chłopą na podwórku. Z drewnem uporali się raz dwa i zaczęli się dopytywać o ciebie i Patyka. Złagodziłam trochę poprzednią diagnozę, ale i tak byli wystraszeni. Przyjrzałam się lepiej Damianowi i zobaczyłam, że on też wygląda, jakby dostał od kogoś niezły łomot. Oczy ma popodbijane, wargę rozciętą, nochal napuchnięty. Zapytałam, czy jechał naszym samochodem z Patrykiem. Chłopaki wtedy się skapnęli, że blefowałam, że tak naprawdę nic nie wiem. Jeden przez drugiego zaczęli zwać winę na Damiana. Omal go nie pobili u nas na podwórku.

– No i co? Dowiedziałaś się dokładnie, jak to było? Patryk coś mi tam wczoraj mówił, że odwoził kolegów i wpadł w poślizg.

– Mrozu i śniegu raczej nie było. Opowiem ci od początku. Najpierw, jak Pan Bóg przykazał, grali mecz z księdzem Markiem i jego podopiecznymi. Potem chłopcy poszli do baru uzupełniać płyny i pogadać. Oni wszyscy tam przesiadują, bo barmanką jest piękna Angelika. Pamiętasz ją? Jej rodzice zginęli w wypadku, gdy ona kończyła podstawówkę. Jest chyba trochę starsza od nas. Ale z niej teraz naprawdę niezła laska.

– No, ale co z tym naszym wypadkiem?

– Wiesz, że Patryk miał w piątek odebrać prawko w Urzędzie Komunikacji?

– Tak, wspominał mi o tym.

– Oczywiście nie omieszkali się pochwalić koleżkom, że już będzie jeździć. Miał ponoć kompleksy, że niby tak późno zrobił kurs, a niektórzy jego koledzy już od dawna jeżdżą...

– I tak się okazało, że za wcześniej. Co dalej?

– Podpuścili go, że skoro już formalnie ma prawko, to może zawieźć do domu Pawła i Michała, bo oni po meczu nie mają siły leżeć taki kawał pod górę. Jakby to Damian nie mógł ich po kolei porozwozić motorem. Damian był, jak zawsze, na motorze, więc podrzucił naszego Patyczka do domu. Wcześniej wygasili silnik i podjechali z górki. Nasze psy na Patryka nie zaszczekały, więc

wszedł po cichu i zabrał zapasowe kluczyki, a potem samochód z parkingu pod pogotowiem.

– Jak to się stało, że ja nic nie usłyszałam?

– On wcale nie musiał wchodzić do domu, bo tę szafkę z korytarza, w której były kluczyki, wystawiliśmy w sobotę do sto- doły.

– A ja po lampce wina spałam jak zabita. A on pił alkohol? Nie wiesz? Był trzeźwy czy pijany, że wpadł gdzieś do rowu? Mam nadzieję, że nie przejechał kogoś. Boże, tego się najbardziej oba- wiam.

– Posłuchaj. Damian na motorze pojechał przodem. Wcześniej upatrzył sobie jakiegoś bardzo realistycznego stracha na wróble i postanowił wyciąć Patolowi niezły numer. Wiesz, Damian zawsze miał głupie pomysły.

– W szkole wszyscy uważali, że ma ADHD, ale matka się obra- ziła, gdy zasugerowano jej, że powinna go przebadać. Co zrobił z tym strachem?

– Wyrwał go z ziemi i zaczął się na Patryka. Jak auto z chłopakami pruło z góry, wyrzucił go zza przystanku prosto im pod koła. Możesz sobie wyobrazić to hamowanie? Paweł przyznał się, że siedząc obok kierowcy, zaciągnął jeszcze ręczny hamulec. Auto obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni i ślizgiem wpadło do rowu, gdzie leżał betonowy dren. Dlatego samochód jest załatwiony od spodu.

– Dzięki Ci, Boże, że się nie zabili. A gdyby ktoś jechał z przeciwnika?

– Zabić to Patryk chciał Damiana, gdy stwierdził, że to wygłup. On był pewien, że potrafił człowieka. Podobno jak wydostał się z samochodu, to jednym ruchem zwalił Damiana na ziemię i zaczął go tak okładać, że chłopaki musieli ich rozdzielać, bo się bali, że on go naprawdę uszkodzi. A przecież Damian przy naszym Patyczku to byk. Musiał się bronić, więc Patolek też jest zdrowo obity. To nie obrażenia po wypadku, a efekt bójki.

– A gdyby tak naprawdę był to człowiek? Kierowca bez prawa jazdy... Ciekawe, z jaką prędkością jechali. Pewnie trzeba było zaszpanować. Nie wiem, jak on się wywdzięczy Opatrzności za to, że tylko tak się to skończyło. Gdybym mogła, spralabym go mocniej niż on Damiana.

– Nie wiesz, że dzieci nie wolno bić? Albo wiesz co, to jest dobry pomysł, przyprowadzę ci go i lej jak w worek treningowy, na pewno ci ulży – Dominika żartowała sobie, jakby nigdy nic. Jakby

te wszystkie wydarzenia nie mroziły krwi w żyłach. Śmiała się perliście, ukazując śliczne białe, równiutkie ząbki, a jej obecność działała na mnie lepiej niż wszystkie kroplówki świata. Przygarnęłam ją mocno do siebie.

– Ale nie skończyłam ci, co załatwiłam z naszym samochodem – ciągnęła dalej relację ze swoich sukcesów organizacyjnych. – Brat Michała pracuje w warsztacie samochodowym, więc winowajcy załatwili, że jeszcze dziś nasze autko wjedzie na kanał i będą je robić, nawet w nocy, byle jak najszybciej było gotowe. Chyba że nie będzie jakichś części, no to siła wyższa, przedłuży się.

– Jesteś naprawdę wspaiała. Powinnaś studiować resocjalizację, miałabyś sukcesy.

– Nie wierzę w resocjalizację – powiedziała zdecydowanie. – A zwłaszcza nie wierzę w nią w tym kształcie, jak się ją uprawia. Ja wobec przestępców byłabym bezwzględna. Popieram tu pomysły taty, kazałabym bandzirom ciężko pracować. Nawet niech obracają kierat i robią prąd, nic bym nie dała od państwa, czyli społeczeństwa, na wszystko musieliby zapracować. Na każdy kawałek chleba, nawet na komorne w więzieniu i utrzymanie rodziny poza więzieniem musieliby zarabiać.

– Wiesz, że nie jesteś za bardzo trendy?

– I co z tego? Ale mam za to wyraziste poglądy.

– Widzisz, z Patrykiem resocjalizacja przez pracę nie udała się. Zaraz po pracy spotkał się z kumplami i „dokonał czasowego zaboru mienia rodziców”. Nawet budujące kontakty z księdzem Markiem i wychowanie przez sport zawiodło. Możesz tacie powiedzieć, że winowajca wyraził skruchę i przeprosił na razie mnie. Wyrzuty sumienia skłoniły go do takiej desperacji, że gotów jest rzucić szkołę i do końca życia tyrać na budowie.

– Tego lepiej tacie nie powtórzę, bo gotów temu leniowi obtłuc łepetynę z drugiej strony. Zrobił się teraz dość agresywny, na razie w słowach, ale może nie wytrzymać tego wszystkiego i przejść do czynów. Wiesz co, mam pomysł. Korzystając z poczucia winy Patola, można mu kazać przysiąc, że osiągnie określoną średnią ocen. Przecież jego stać na same piątki.

– Och, moja droga córeczko, jakaś ty sprytna i przebiegła. Drzyjcie, mężczyźni, bo ta piękna buzia i niewinne spojrzenie należą do bardzo niebezpiecznej kobiety. Ale tak trzymaj! Po rozmowie z tobą, mój promyczku, jestem już całkiem zdrowa.

– Chcesz laptopa, żeby ci się nie nudziło?

– Dzięki, kotku, może lepiej poczytam książkę.

– Dobra, zaniosę go temu rajdowcowi z bożej łaski, bo on się do książki raczej nie weźmie. Pa, mamuś, muszę lecieć, bo Damian czeka na dole.

– Kto?! – zatkało mnie. – Damian? Nie przesłyszałam się?

– To tylko dalszy ciąg zadośćuczynienia. Miałam wlec się autobusem, jak mogłam podjechać motorem? Jak dobrze zdam na studia, chyba poproszę tatę, żeby na przyszłe wakacje kupił mi motocykl.

– Dziecko, teraz z tym wariatem będziesz wracać?! Znów mi gorzej. Weź lepiej taksówkę.

– Spoko, mamuś, on jest teraz grzeczny i układny, jak nigdy w życiu. Można z nim zrobić wszystko. Mięciutki jak wosk, a ja mu daję popalić. Nasz Patyczek też teraz będzie skruszony i trzeba to wykorzystać. Pa.

Cmoknęła mnie w policzek i wybiegła, a w pokoju zrobiło się ciemno. Teraz dopiero spostrzegłam, że za oknem zapadł już zmrok. Przed snem nie czytałam jednak książki, jak zapewniłam Dominikę. Kiedy w szpitalu zapanowała cisza, zaczęłam odmawiać Różaniec. Miałam za co dziękować Bogu i o co prosić. Zasnęłam znacznie spokojniejsza.

Szpital nie jest miejscem, w którym dałoby się odpocząć. Wydawało mi się, że dopiero co zasnęłam, a tu już wraz z pierwszym brzaskiem do sali wtargnęła pielęgniarka i wetknęła mi pod pachę termometr. Oczy zamknęły mi się same i w tym momencie jakaś inna siostra o obłych kształtach zaczęła mnie bezceremonialnie tarmosić w poszukiwaniu tegoż termometru, który wypadł mi spod pachy i ukrył się w zakamarkach pościeli. Tak właściwie do samego obchodu szarpano mnie co chwilę z innego powodu. Pani ordynator obiecała zwrócić mi wkrótce wolność, jeśli EKG się nie pogorszy. Wzięłam się więc do czytania, żeby oderwać się od rodzinnych autentycznych problemów, które rujną mi zdrowie.

Książka Marii Nurowskiej miała tytuł „Rosyjski kochanek”. Dostałam ją kilka lat temu od koleżanki na Gwiazdkę, ale jakoś nie miałam czasu, a może raczej chęci jej przeczytać. Teraz Dominika wrzuciła mi ją do torby, uznając po tytule, że musi być to coś lekiego. Historia rozgrywającego się w Paryżu romansu poważnej kobiety, odczuwającej już dolegliwości menopauzy, i młodego, pełnego delikatności i swoistego wdzięku mężczyzny pochodzącego, jak wskazuje tytuł, zza naszej wschodniej granicy. Pomyślałam z niechęcią: „dyrdymały”, ale nie przestałam czytać. Wkrótce lektura pochłonęła mnie całkowicie, zaczęłam nawet się zastana-

wiać, czy mogłoby coś takiego zdarzyć się mnie. Nie jestem wprawdzie autorytetem naukowym, a to dodawało na pewno bohaterce atrakcyjności w oczach młodego kochanka, ale też nie męczą mnie jeszcze przypadłości przekwit. Na razie mam wieńcówkę i to mi zupełnie wystarczy.

Oderwałam się od lektury po kilku godzinach. Wzięłam do ręki komórkę i wyszłam na klatkę schodową, żeby zadzwonić do Dominiki. Na dole w szpitalnym ogrodzie zobaczyłam siedzących na ławce dwóch młodzieńców. Jeden z nich był moim własnym synem, o czym świadczył opatrunek na głowie i znana mi piżama, ale drugiego nie mogłam rozpoznać z daleka. Był wyraźnie niższy od Patryka i, jak na jego kolegę, za normalnie ubrany i uczesany. Ciemne spodnie, koszulka polo, krótkie, czarne włosy i okulary w metalowej oprawce. Kogoś mi przypominał, ale na pewno nie żadnego z feralnej piątki kumpli Patryka, którzy maczali palce w ostatniej aferze.

Tak, już wiem, to ksiądz Marek – odkryłam wreszcie. Nie poznałam go od razu, bo był po cywilnemu. Od kilku lat ten młody ksiądz pracował w Swarowicach, a teraz rozeszły się niepokojące wieści o jego odejściu. Jak wszyscy księża w naszej parafii jest zakonnikiem. Przełożeni zakonu poznali się na jego wyjątkowym talencie zjednywania sobie serc młodzieży i skierowali go na studia pedagogiczne do Lublina. Kto zetknął się z księdzem Markiem, nie zapominał go szybko. Ten młody człowiek promieniował niezwykłą radością i serdecznością. Kiedy tuż po święceniach zjawił się w naszej parafii, proboszcz zdecydował, iż będzie on katechetą w naszym gimnazjum. Sądziliśmy, że trzeba będzie go chronić przed uczniami, gdyż wyglądał młodziej od niejednego z nich. Wydawał się kruchym, troszkę zagubionym i jakby nieporadnym, grzecznym chłopczykiem o nieśmiałym uśmiechu. Ginął na korytarzu wśród rozkrzyczanych drągali z trzeciej klasy, a w pokoju nauczycielskim zachowywał się jak dobrze ułożony uczeń, który wpadł tam na chwilę. Podczas pierwszych lekcji księdza Marka dyrektor nerwowo biegał po korytarzu i nasłuchiwał, co dzieje się w klasie, czy młodzież nie próbuje młodego katechety, delikatnie mówiąc, zdominować.

Obawy okazały się bezpodstawne. Ksiądz od pierwszych zajęć potrafił stworzyć z uczniami idealne relacje. Szczerze mówiąc, wszyscy mu zazdrościliśmy. Młodzież go uwielbiała, ale serdeczność nie przerodziła się w zbytnią poufałość. Był prawdziwym pasjonatem sportu. Z okna pokoju nauczycielskiego bardzo często

można było zobaczyć zawieszoną na ogrodzeniu, powiewającą czarną sutannę księdza Marka, podczas gdy on sam w szortach i podkoszulku biegał po boisku. Ksiądz wspaniale rozładowywał wszelkie napięcia i konflikty szkolne. Nie wypadało się w jego obecności klócić czy plotkować, gdy on emanował autentyczną miłością bliźniego. Umiał każdego wysłuchać, doradzić, a jeśli nie dało się inaczej, to przynajmniej rozśmieszyć. Szkolne ancymony goniły za piłką. Miały poza tym mnóstwo różnych funkcji i zajęć, których on nie obawiał się im powierzyć. Oglądaliśmy ich zaaferyowanych wypełnianiem odpowiedzialnych zadań i nie mogliśmy uwierzyć, iż to ci sami uczniowie, którzy od podstawówki byli tylko utrapieniem nauczycieli. Ksiądz organizował pielgrzymki i zwyczajne wycieczki oraz mecze bez religijnych intencji. Odwiedzał sierocińce i domy starców, a wszystko z ekipą rozrabiaków, którzy nadal potrafili innym zaleźć za skórę.

Patryk miał szczęście, że ksiądz Marek trafił do nas akurat, gdy on kończył gimnazjum. Mój syn, niestety, należał w szkole do grona notorycznych rozrabiaków. Chyba głównie dzięki zbawiennemu wpływowi księdza nasz Patryk miał całkiem niezłe świadectwo ukończenia gimnazjum i rewelacyjny wręcz wynik egzaminu. Po skończeniu szkoły stosunek Patryka do Kościoła zaczął się zmieniać na bardzo krytyczny. Nie bez znaczenia było także zetknięcie się w liceum z innymi, nieposiadającymi tej iskry bożej, katechetami. Doszło nawet do tego, że syn zapowiadał buńczucznie, iż po skończeniu osiemnastu lat odmawia uczestnictwa w obrzędach religijnych. Krzyś podejrzewał, że Patrykiem kieruje wyłącznie wygodnictwo i lenistwo, a nie jakieś tam światopoglądowe rozterki. Na razie przykazał Patolowi, że ma postępować jak wszyscy w naszej rodzinie, czyli chodzić do kościoła w niedziele i święta. Ja z kolei byłam raczej skłonna z synem dyskutować i negocjować. Wydawało mi się, że lepiej nie zaogniać naszych nie najlepszych z nim relacji i czekać, aż sam naprawdę dojrzeje duchowo, a na razie dyskretnie obserwować. Najbardziej bałam się wpływu jakichś sekt i tego, by zwykły upór i chęć postawienia na swoim nie utrudniały mu drogi odwrotu, gdy już wygaśnie potrzeba młodzieńczego buntu. Dyskutowaliśmy z mężem wielokrotnie nad problemem, jaki postawił przed nami nasz krnąbrny syn. Krzysztof nawet wytknął mi kiedyś niezbyt religijne wychowanie, jakie wyniosłam z domu rodzinnego, i dochodziło między nami do spięć. Moje stanowisko wydawało mi się po prostu bardziej życiowe, bo w praktyce wleczenie prawie osiemnastoletniego drągała do kościoła wbrew

jego woli było raczej niewykonalne.

Teraz więc nagłe nasilenie się kontaktów mojego syna z księdzem Markiem wydawało mi się dziwne, ale i napawające optymizmem. Musiałam podzielić się swymi odkryciami z Dominiką. Córka natychmiast odebrała telefon.

– Chyba nie przypuszczasz, że jest z nim aż tak źle, iż poprosił o ostatnie namaszczenie? – Dominika pokpiwała z moich dociekań i lęków. – Wiesz, jaki jest ksiądz Marek. Dowiedział się o całej sprawie od kogoś z młodych i może poczuł się głupio, że to tak zaraz po meczu, który zorganizował, chłopcy narozrabiali. Postanowił więc odwiedzić ofiary stracha na wróble. Myślę, że możesz się i ty spodziewać wizyty. – Dominika tryskała humorem, aż mnie trochę wkurzała, gdyż sytuacja nie była wcale taka śmieszna.

Matka i brat w szpitalu, samochód rozbity, ojciec bez pracy, a ta cieszy się nie wiadomo z czego i dowcipkuje – pomyślałam wściekła. Chyba jednak Dominika miała rację, bo ksiądz Marek po rozmowie z Patrykiem wszedł do budynku szpitalnego, choć mógł skierować się wprost do wyjścia na ulicę.

– Cześć. Zadzwońę potem – szepnęłam do Dominiki, gdyż właśnie zobaczyłam przed sobą wbiegającego po schodach, po trzy stopnie naraz, młodego kapłana.

– Szczęść Boże. Widzę, że pani już na chodzie. – Szczery, promienny uśmiech rozlał się po dziecięcej wciąż twarzy księdza. – A Patryk tak się martwi, że przez niego wyładowała pani na erce. Wszystko będzie dobrze, a może nawet lepiej, niż było.

– Szczęść Boże – odpowiedziałam i naprawdę poczułam się dużo lepiej. – Miło mi księdza widzieć. Ma ksiądz kogoś znajomego czy kogoś z rodziny w tym szpitalu?

– No mam. Pani i Patryk jesteście przecież znajomymi, bliskimi znajomymi. Jak się pani czuje? Serce pika już we właściwym rytmie?

– Z tym chorym sercem to chyba lekka przesada.

– Tylko wrażliwe, kochające serca nawalają. Te zimne biją jednakowym rytmem bez względu na okoliczności. Ale trzeba mieć nadzieję, że każde zło może się w dobro obrócić. Patryk w ciągu jednej nocy przeszedł przyśpieszony kurs dojrzewania.

– Jeśli naprawdę coś zrozumiał, to nawet cena tego kursu nie jest taka wysoka. Ja się przeraziłam...

– Tak, wiem wszystko. Niech pani nie wspomina tej chwili, bo się pani znów zdenerwuje. Zapewniam panią, że on wiele zrozumiał

i chyba nie tylko on.

– Chciałabym wierzyć, że naprawdę to wydarzenie będzie dla niego ostrzeżeniem. Opatrzność nad nim czuwała. Tylko że on nawet nie podziękuje Opatrzności, bo... Mówił księdzu o swojej?... – urwałam, bo sama nie wiedziałam, jak najdelikatniej nazwać ten bunt przeciw Kościołowi. Ale ksiądz pokiwał potakująco głową.

– Nie wiem, gdzie popełniłam błąd. Dlaczego Dominikę udało mi się nieźle wychować, a z Patrykiem są stale kłopoty? – zaczęłam po chwili.

– Na temat wychowania dzieci wie pani na pewno więcej ode mnie, ale nie wydaje mi się, żeby nad Patrykiem należało ubolewać – powiedział uspokajająco. – Ja w tym jego buncie widzę coś pozytywnego. On po prostu myśli. Wyrósł już z takiej dziecięcej wiary, tej automatycznie przejmowanej od rodziców. Jego bunt to jeden z objawów dojrzewania, podejmowania samodzielnego myślenia i samodzielnych decyzji. Są tacy, którzy ze strachu lub z lenistwa nie myślą o tych sprawach nigdy. A on myśli, szuka i wydaje mi się, że jest na dobrej drodze. Jest owieczką, która odłączyła się od stada, ale po to, by szukać Pasterza na własną rękę. Ma wrażenie, że Pan zniknął mu z horyzontu. Myśli pani, że dobry Bóg, który widzi wszystko, pozostawi taką owieczkę na pastwę wilków? Moja wiara mówi mi, że nie. Patryk to dobry chłopak. Ma dużo energii i lubi być użyteczny dla innych. Brakuje mu rozwagi i odpowiedzialności. Potrzebuje wyraźnego celu i wiary w siebie. Powinien mieć poczucie, że to naprawdę on kieruje swym postępowaniem, wtedy nie będzie miał na kogo zrzucać odpowiedzialności. Jest wrażliwy i łatwo go zranić. On ma świadomość swoich błędów. Wewnętrznie uprawia wręcz samobiczowanie, a przed innymi szpanuje. Przecież pani to wszystko wie. Mówiła mi pani o nim podobne rzeczy, kiedy był jeszcze w gimnazjum.

– Wtedy jego wygłupy dotyczyły błaznowania na lekcjach, a dziś o mało nie został sprawcą wypadku, w którym mógł zginąć on, a także ktoś inny.

– No tak. Z wiekiem kaliber ekscesów się zwiększa. Ale bądźmy dobrej myśli, że ten wstrząs wyjdzie mu na dobre. Jestem tego pewien.

Ksiądz Marek z kocią zręcznością zbiegał w swoich trampeczkach po schodach. Patrzyłam za nim i miałam wrażenie, że w pewnym momencie, gdy pojawił się na tle okna, wokół jego głowy ukazała się delikatna aureola. Nie sfiksowałam, wiem, że to tylko promienie słoneczne. Ale czyż nie taki właśnie może być

współczesny święty? W chwilę później zrobiono mi EKG. Było najzupełniej prawidłowe.

12. BURZA

Z Dominiką miałam tak zwaną gorącą linię. Teraz ona zarządza wszystkim i użerała się z Marianowymi ludźmi, którzy pojawiali się i znikali z budowy według własnego uznania.

Mąż dzwonił głównie, żeby się dowiedzieć, jakie miałam badania i co z nich wynika, niż ze mną naprawdę porozmawiać. Miałam nawet wrażenie, że o coś ma do mnie pretensje. Może to tylko takie moje przewrażliwienie. Miał teraz naprawdę sąadne dni bez samochodu. Nie wszystko u nas można załatwić telefonicznie lub przez Internet. Rano zaskoczył mnie esemesową informacją, że jedzie, właśnie pociągiem do Warszawy na rozmowę kwalifikacyjną z firmą werbującą lekarzy do pracy w Wielkiej Brytanii. Zdecydował się widać na ten wyjazd. Ucieszyłam się, wiedząc, że to dość szybko postawi nas finansowo na nogi. Ale co będzie z naszą rodziną, co z nami? Czy ja dam radę ze wszystkim?

Po badaniach wyszłam na trochę do ogrodu szpitalnego. Zrobiło się nieprawdopodobnie gorąco. Kto by przypuszczał, że dziś będzie taki upał, przecież to już koniec sierpnia. Na rabatach kwitły jesienne róże. Ciemnoczerwone miały welurowe płatki, a herbaciane wydawały się zrobione z jędrnego, chłodnego jedwabiu. Były, jak na to miejsce, zbyt majestatyczne i niezbyt empatyczne wobec umęczonych chorobą pacjentów snujących się alejkami lub przycupniętych na ławkach. Duży klomb z bajecznie kolorowymi astrami przyciągał pszczoły i spojrzenia chorych, starał się uśmiechać i dodawać otuchy. Usiadłam w jego pobliżu, żeby spać trochę tej kolorowej radości, cieszącej oko i serce, lecz zwiastującej już smutki jesieni.

Zadzwoiła Dominika i przerwała moją zadumę.

– Mamuś, chyba coś narozrabiałam, ale nie wiedziałam, czy mogę mówić prawdę.

– Komu i o czym? – zapytałam z trwogą, bo obudziły się we mnie złe przeczucia.

– Dzwoniła babcia Zalewska i pytała, tak niby zwyczajnie, co u nas. Powiedziałam, że okej. A ona, że niemożliwe, bo tata nie odbiera jej telefonów. Więc ja, że ma dużo pacjentów. A ona, że dzwoniła do przychodni i tam jej powiedzieli, że już nie pracuje. Doma-

gała się rozmowy z tatą, ale on wyjechał dzisiaj chyba jeszcze w nocy, żeby zdążyć na najwcześniejszy pociąg. Chciała, żebym oddała słuchawkę tobie, ale powiedziałam, że leżysz na serce w szpitalu. Objechała mnie, że próbowałam zataić takie ważne informacje. Żądała podania numeru twojej komórki. Podałam, ale prosiłam, żeby uważała, co do ciebie mówi, bo możesz dostać za-wału. Nie lubię, jak ona wciąż się ciebie o wszystko czepia. Zaczęła krzyżeć, że zostałam przekabacana i tego się po mnie nie spodzie-wała. Wreszcie zdecydowała, że Patryk powie jej prawdę, bo choć to rogata dusza, jest z nas najuczciwszy. Patol by się zdziwił, nie?

– I co wreszcie?

– No nic. Walnęła słuchawką, krzyząc: „spisek”, gdy powiedziałam, że Patol też leży w szpitalu, tylko że na główkę.

– Oj, nie będzie łatwo ją udobruchać – westchnęłam.

– Jest jeszcze jedna afera. Dzwoniła nasza babcia.

Zwróciłam uwagę na wiele mówiące rozróżnienie: „babcia Zalewska” i „nasza babcia”.

– I jaką informację otrzymała nasza babcia? – pozostałam przy tej terminologii.

– Pełną, oczywiście. Nie będę naszej babci bujać, bo i tak wszystkiego się dowie.

Mnie akurat nie bardzo pasowało to, że moja mama wie o wszystkim. Zaraz zrobi potworną panikę z powodu mojego serca, potem stwierdzi, że sama sobie jestem winna, bo jej nigdy nie chcia-łam służyć. Następnie wyładuje swoją złość na Patryku – i dobrze mu tak. A w końcu będzie chciała wziąć wszystko w swoje ręce i wtedy ratuj się, kto może. Nie mogłam jednak robić dziecku wyrzutów, że nie skłamało.

– I jak zareagowała?

– Wybiera się do ciebie z tym Euzebiuszem. Pewnie jest już w drodze.

Nie wiem, czy to ta wiadomość zrobiła na mnie tak piorunujące wrażenie, czy też w pogodzie coś się zaczęło zmieniać, ale poczu-łam zawrót głowy i lekki ucisk w klatce.

– Nie, tylko nie to! Zawróć ich albo przekieruj na dom i podej-mij jakoś. Jutro wracam, Patryk też. Nie ma sensu, żeby przyjeżdżali dzisiaj do szpitala.

– Spróbuję ich zawrócić, bo ja nie mam czasu się nimi zajmo-wać. Jestem w drodze na Przegląd Młodzieżowych Zespołów Muzycznych. Wiesz, Damian z chłopakami tworzą zespół. On jest solistą. Takie tam hipopowe granie. Ty chyba tego nie trawisz, ale

on jest cholernie zdolny. Jak czegoś potrzebujesz, to mogę wpaść do ciebie po drodze na przegląd i ci podrzucić. Jutro też nie mam czasu, bo to dwudniowa impreza. Bardzo silna konkurencja.

Zatkało mnie. Od kiedy to moja córka interesuje się hip-hopem? Ja jej chyba w ogóle nie znam.

– Mamuś, muszę ci się do czegoś przyznać. Wzięliśmy sobie ten śmieszny twój wiersz: „Jestem wnerwiona, w dodatku nieszczepiona”, i trochę go przerobiliśmy. Jarzysz, o który chodzi? No wiesz, podkręciliśmy słownictwo. Damian uznał, że jest super.

Wiersz zajarzyłam, ale poraziło mnie słownictwo i bezczelność mojej rodzonej córki. Kto z kim przestaje... – pomyślałam przerażona.

– Ach, to teraz Damian wystawia mi oceny? Ja chyba naprawdę dostanę tego zawału. Ale mi się recenzent trafił. Co Damian ma do moich wierszy? Chociaż może akurat w tym wypadku ma nawet więcej, niż bym chciała, bo pamiętam, że napisałam tę rymowaną po tym, jak ten twój artysta odpalił pod oknami petardę w czasie mojej lekcji pokazowej, na którą uprzejmie na szczęście nie przyszedł.

– No widzisz, jest jakby współtwórcą, więc nie pogniewasz się, że wystąpi z tym tekstem na przeglądzie? – szczebiotała przymilnie Dominika.

– Pragnęłabym, żeby ten osobnik oddalił się od mojej rodziny, a zwłaszcza od córki, i od mojego domu, i żeby nie grzebał w moich utworach. To są moje rzeczy osobiste! Jarzysz?! – wydarłam się.

– Mamuś, nie denerwuj się. Wiedziałam, że będziesz niezadowolona, ale on ma talent. Jakbyś go posłuchała, zmieniłabyś zdanie.

– Talent?! Taki talent, że musi podpierać się tekstem starej nauczycielki, której w dodatku zszarpał ostatnio zdrowie? Miałam nadzieję, że Patryk po tym wypadku nie zechce się już z nim kolegować, to teraz ty zaczynasz? Mam ci przypomnieć, co niedawno mówiłaś o kumplach Patryka? Dlaczego ja wciąż muszę mieć z nimi do czynienia?

– Taka karma – ciągnęła niewzruszona. – Ale, mamuś, on zmienił ten twój wierszyk w istne cacko. Jak przyjedziemy, to ci zaprezentuje. Chociaż może lepiej nie – Dominika się zreflektowała, uświadomiwszy sobie, że „podrasowanie” słownictwa może mi szczególnie się nie spodobać.

– Jeszcze mi tylko brakuje w szpitalu świrowatych hiphopowców, zwariowanych staruszków i... – brakło mi słów i powietrza. –

Niech nikt nie waży się do mnie przyjeżdżać! Muszę mieć spokój! Zadzwoń do babci i tak jej powiedz. Niech najlepiej przyjadą w weekend. A ty wracaj jak najszybciej do domu, bo są ponoć złe prognozy na dzisiejszy wieczór. Tu taka babka mówiła, że stanie się coś złego, a ona zawsze wyczuwa burze.

– Mamo, ty się dobrze czujesz? Z powodu zabobonów mielibyśmy zrezygnować z takiej szansy? Przecież na noc wrócę, nie bój się. Trzymaj za nas kciuki! Życz nam szczęścia!

Zwariowała! Zakochała się? Nie, to chyba niemożliwe. Jaka podekscytowana. Już się z nim utożsamia: „Życz nam szczęścia”. Ja się zabiję! Ten typ zawładnął naszą rodziną. Będę miała zięcia z ADHD? To musi być zły sen.

Wzięłam się do lektury książki, ale teraz wszelkie romansowe sceny wkurzały mnie strasznie. Głupoty – pomyślałam. Akurat młody, przystojny facet zwróciłby uwagę na starszą panią, która nie jest oszalamiająco bogata ani jakaś tam wpływowa. Dorośli ludzie głupieją, ale nie aż tak, zawsze w tle takiego romansu są jakieś korzyści. Co innego nastolatki, te durnieją naprawdę. Moja mądra córeczka i ten palant. Co ona w nim zobaczyła? – rozrzasałam gorączkowo i nagle poczułam ciepłe, duże krople deszczu na czole.

Zerwał się nieprzyjemny wiatr i musiałam uciekać z ogrodu. Wkrótce rozszalała się burza.

Ostatni raz w Afryce widziałam takie błyskawice i słyszałam takie grzmoty. Istna apokalipsa, wył potworny wiatr, a deszcz lał jak z wiadra. Przez moment nawet w szpitalu zgasło światło, lecz chyba zaraz włączyli agregat. Wszystko wyglądało dość przerażająco nawet z okien ogromnego gmachu, jakim jest szpital, ale wyobrażam sobie, jak musiała się czuć Dominika w naszej wiejskiej chałupce. Boże, ona chyba nie zdążyła jeszcze wrócić do domu z tego przeglądu – pomyślałam z lękiem. Bałam się do niej dzwonić, bo może akurat nawałnica jest teraz w jej rejonie, a ponoć komórki przyciągają pioruny. Jeszcze większym zagrożeniem mogą być powalone drzewa. Ciekawe, czy pojechała z tym swoim „talentem” na jego odlotowym motorze? Znowu poczułam ucisk w klatce piersiowej. Ja chyba naprawdę mam wieńcówkę. Zresztą trudno się dziwić, skoro od czasu, jak moje dzieci poczuły się dorosłe, żyję w nieustannym lęku.

Dopiero po kilku godzinach w szpitalu i w przyrodzie wszystko się uspokoiło. Nawet w końcu oczy zaczęły mi się kleić do snu, gdy do sali wślizgnął się Patryk. Chwilę stał niezdecydowany, przestępował z nogi na nogę i głośno przełykał ślinę, aż zaczął

wreszcie bąkać:

– Ciągłe myślę, jak idiotycznie postąpiłem, i nawet żałuję, że nic mi się nie stało, bo powinienem ponieść karę za własną głupotę, a to ty...

Żałuje naprawdę czy tylko gra na moich uczuciach? – przemknęło mi błyskawicznie przez myśl. Ksiądz wierzy w jego szczerą skruchę, ale ksiądz nie zawiódł się na nim tyle razy co ja. Nie chcę być wieczną naiwniaczką. Z drugiej strony boję się zmarnować ten odruch żalu, gdyż potem znów może pojawić się bunt.

– Powinieneś zacząć wreszcie myśleć, bo z upływem lat twoje wybryki stają się coraz bardziej niebezpieczne.

– Wiem, ja wszystko zrozumiałem już tam na drodze... Wymyśl mi najgorszą karę, ale nie gniewaj się i już się niczym nie martw. Ten samochód będzie pięknie zrobiony, a ja wszystko odpracuję.

– Karę możesz sobie wymyślić sam. Tylko taką, żeby była z niej jakaś korzyść dla ciebie. Może to być na przykład intensywna nauka. Co ty na to?

– Ale ja chciałem coś takiego dla was, a przede wszystkim dla ciebie.

– Coś mi się zdaje, że już się wymigujesz. Dla mnie twoja matura z przyzwoitą średnią będzie dobrym zadośćuczynieniem, a nawet prezentem.

– Ale ja się mogę starać i nie dam rady podnieść średniej, bo już się wszyscy przyzwyczaili, że...

– Ale starałeś się kiedyś naprawdę?

– No, chyba nie.

– A widzisz. Dominika pomoże ci zrobić plan, ile godzin nad którym przedmiotem powinieneś posiedzieć tygodniowo. Upoważnij ją, żeby była twoim nadzorcą, i już ona da ci wycisk.

– Ja, i tak miałem zamiar uczyć się w tym roku, więc może jakaś inna kara?

– Możesz jeszcze coś ze swojej strony dorzucić. W końcu masz na pewno na sumieniu inne grzechy, o których ja nie wiem.

– Nie, no skąd, już nic więcej nie mam.

Najgorsze jest to, że nie potrafię się na niego gniewać. Może Krzys ma rację, że rozpuściłam synalka, ale z drugiej strony... Nie ma żadnej drugiej strony. Jestem taka szczęśliwa, że nic złego się nie stało, ani jemu, ani nikomu innemu, i że możemy znów ze sobą normalnie rozmawiać.

– Mamo, a wiesz, jakie są skutki burz, które dziś szalały w całej Polsce?

- Nic nie wiem! – Podskoczyłam chyba do sufitu. – Mów!
- Chodź na korytarz, pokażę ci w Internecie.

Wyskoczyłam z łóżka jak oparzona, włożyłam na lewo szlafrok i ciapcie lewy na prawą nogę i odwrotnie, ale to teraz nie miało znaczenia. Patryk odszukał wiadomości na Onecie i zaczęło się: Pozrywane dachy, połamane drzewa, biały szkwał na jeziorach, ofiary śmiertelne. Ludzie płaczący, załamani. Bezmiar nieszczęścia.

– To naprawdę zdarzyło się u nas? Co z Dominiką i naszym domem?

– Już próbowałem się z nią połączyć, ale telefon ma wyłączony, a stacjonarny może nie działać. Na pewno zaraz zadzwoni, jak tylko uświadomi sobie, że miała wyłączoną komórkę. Ale się nie bój, ta trąba powietrzna przeszła tylko w pewnym pasie. U nas raczej niczego takiego nie było. Pamiętasz, jak ten staruszek, co mieszka pod lasem, mówił, że nas góra strzeże – Patryk w niektórych momentach podpierał się mistycyzmem zupełnie jak ja.

– Dominika powiedziała ci, że wierzysz w zabobony, jak mnie dzisiaj, gdy ją ostrzegałam, żeby nigdzie nie jeździła. A tak à propos, wiesz coś o tym przeglądzie, na który wybrała się z Damianem?

– Co?! Dominika z tym idiotą?! Wiem, że on się przygotowywał. Ale po co ona tam pojechała? Nic mi o tym nie wspomniała. A do niego już się w życiu nie odezwę.

– No nie wiem, czy nie zostanie twoim szwagrem. Dominika jest pod wielkim wrażeniem jego talentu.

– Żarty się ciebie trzymają. Moja siostra i ten palant? Nie wierzę.

– A ja nie wierzę własnym uszom, przecież to twój kumpel, to dla niego niedawno skoczyłyś w ogień.

– No i właśnie przekonałem się, że nie z każdym warto się przyjaźnić. Nie pozwolę mu się do niej zbliżyć, on jest niebezpieczny dla otoczenia. Trzeba być kompletnym idiotą, żeby zrobić komuś taki numer, jak on mnie. Jezu, mogłaby ta moja genialna siostrunia pomyśleć, że my tu umieramy ze strachu o nią i zadzwonić. Spróbuję połączyć się z którymś z chłopaków z zespołu, może są razem. Mogą być jakieś uszkodzenia anten satelitarnych i przekaźników.

Nie byłam już pewna, czy słyszę swój głos wewnętrzny, czy to naprawdę Patryk lęka się o siostrę. Gorączkowo przerzucał się z laptopa na komórkę i ponawiał próby nawiązania kontaktu z kolegami lub Dominiką. Ja też denerwowałam się coraz bardziej. Było

już dobrze po północy, gdy odezwała się moja komórka. Dzwoniła nasza babcia. Użyła komórki, którą jej dałam, choć zaklinała się, że nigdy się nie nauczy jej obsługi.

– Ja cię nie chcę denerwować, ale już tego dłużej nie zniosę! Gdzie się podziewa ta twoja zwariowana córeczka?! Oszaleję z tymi waszymi durnymi psami, to wszystko jest nie do opisanania i nie do wytrzymania! Boże, po co ja tu przyjechałam?! Euzebiusza zawiało i nie może teraz wstać. Połamało go lumbago. A dlaczego na takie warunki powystawialiście meble do stodoły. Gdzie jest twój mąż? Jak mogłaś wypuścić dziecko z domu na taką pogodę? Co ja mam teraz zrobić, jak ta smarkula nie wróci na noc?

– Nie wiem, na które pytanie odpowiedzieć. Rozumiem, że jesteście pod naszym domem. Co z psami i co z Euzebiuszem? Mamo, powiedz po kolei, bo ja nic nie rozumiem.

– Przecież mówiłam Dominice, że się wybieram do ciebie. Nie przekazała ci?

– Tak, mówiła, ale ciebie też podobno uprzedzała,, że wybiera się na przegląd młodzieżowych zespołów muzycznych.

– No tak, jeszcze jej bronisz?! Ja nie wiem, co mam teraz zrobić. Euzebiusz już nie nadaje się do jazdy. Zresztą w naszym samochodzie siedzą wasze mokre, śmierdzące psiska i nie chcą wyjść. Czym ty je karmisz, że mają takie cuchnące wiatry? – Babcia nawet w tak dramatycznej sytuacji udawadniała mi, że jestem złą matką, gospodynią i hodowcą. – Próbowałam przeczekać w samochodzie – ciągnęła – ale one puszczały straszne bąki. Może ze strachu. Nie dało się z nimi wytrzymać. Całą tę nawałnicę spędziłam z Euzebiuszem w waszej stodole. To cud boski, że nie poleciliśmy razem z tą stodołą Bóg wie gdzie. Ale wody się tu nalało i do domu pewnie też. Wszystko zawsze poniszczycie... – Łączność wprawdzie się urwała, ale fakt, że mama biadała w swoim stylu, świadczył, iż nie było tak źle.

Swoją drogą, dwoje starszków siedzących w czasie straszliwej nawałnicy w starej stodole – to nie jest zabawne. Spojrzałam na zegarek, minęła północ, a Dominika jeszcze nie wróciła. Boże, żeby tylko nic jej się nie stało.

Zadzwoił Krzysztof zaniepokojony doniesieniami z TVN24. Postanowił przenocować u szwagra. Jutro od rana będzie załatwiał już różne formalności związane z wyjazdem. Został zaakceptowany bez żadnych zastrzeżeń. Gratulowałam mu, ale nie byłam pewna, czy się cieszę. On raczej był nastawiony pozytywnie i pewnie odczuwał ulgę, że nie jest już bezrobotny. Może byłoby mi rado-

śniej, ale lęk o Dominikę zagłuszył wszelkie inne uczucia.

– Mamo, tak mi przykro, ale nie mam kontaktu z Dominiką – znów udało mi się zadzwonić do mamy. – Myślę, że zaraz wróci, pewnie też musiała gdzieś przeczekać burzę. A może ma jakieś trudności z dojazdem, wiesz, po takim orkanie... Mam nadzieję, że jest bezpieczna. Ale ty i pan Euzebiusz poproście sąsiadów o pomoc, chyba zrozumieją wyjątkową sytuację. Trzeba było w ogóle u kogoś przeczekać, nie jesteście na pustkowiu.

– Nie ruszę się na krok. Po całej wsi latają psiska, które pourywały się z łańcuchów albo wyszły przez powalone ogrodzenia. Wasze też biegały luzem, ale jak tylko uchyliliśmy drzwi samochodu, wpadły, trając nas, i nadal tam siedzą.

– To spróbujcie się włamać do domu. Można wytluc szybę, a potem się wstawi. Jesteś jeszcze wygimnastykowana, to wejdiesz przez okno, a pan Euzebiusz cię podsadzi.

– Wariatka! – usłyszałam tylko i rozmowa została przerwana.

– Mamo, jest! – zawołał Patryk, który cały czas próbował złączyć kontakt z siostrą.

Okazało się, że z wielkimi przebojami Dominika z Damianem i całym zespołem muzycznym zdążyli do domu. Dłuższy czas po burzy ich komórki znajdowały się w strefie, w której nie było zasięgu, może z powodu jakichś awarii. Jechali nie na motorze, czego się obawiałam, ale dużym fordem transitem, który był własnością brata Michała, tego, co to miał zajmować się naszym samochodem. Jak przypuszczałam, drogi były zatarasowane powalonymi drzewami i trzeba było zawracać lub czekać, aż straż usunie zawalę drogę. Rowami płynęły potoki wody i nie było widać, gdzie kończy się utwardzona nawierzchnia. Młoda ekipa pokonała jednak wszelkie trudności, traktując je jako świetną przygodę, i szczęśliwa wracała do domu, choć główny cel wyprawy nie został osiągnięty. Nie zdążyli zaprezentować się na scenie przed publicznością i jury, zanim rozszalała się burza. Teraz Dominikę czekało gorsze od rozszalałego żywiołu spotkanie z rozwścieczoną babcią i jej połamanym przez lumbago osiemdziesięcioletnim adoratorem.

– No widzisz, wszystko jest okej – powiedział z wyraźną ulgą Patryk i przytulił się do mnie jak mały chłopiec.

Zdziwił mnie ten gest, gdyż jako buntownik wystrzegął się od jakiegokolwiek czasu wszelkich czułości wobec najbliższych i ograniczał najwyżej do zdawkowych cmoknięć w sytuacjach przymusowych. Na powitanie lub pożegnanie oraz przy składaniu życzeń robił to z wyraźnie sztywnym karkiem i tak, jakby człowiek, z którym się

stykał, miał temperaturę powyżej stu stopni Celsjusza. Mogłam już spokojnie iść spać. Babcia noc spędzi pod dachem, a nie w towarzystwie źle wychowanych i jeszcze gorzej żywionych psów. Córka po ryzykownej eskapadzie z walniętym hiphopowcem trafiła pod skrzydła babci i pewnie już śpi, jeśli babcia skończyła perorę. Syn wyraźnie dojrzewa, bo nie wstydzi się okazywania uczuć. Życie jest piękne, nawet w szpitalu! Ale mąż mnie wkrótce opuszcza – przypominałam sobie w ostatniej chwili przed oddaniem się we władanie Morfeusza.

13. NIEOBYTA Z MEDIAMI

Podczas porannych szpitalnych obrządków znów byłam nieprzytomna z niewyspania. Kiedy po obchodzie wszystko się uspokoiło i należało tylko poczekać na wypis, zbiegłam do ogrodu. Powietrze było krystalicznie świeże i czyste, czuło się zapach ozonu. Drobniejsze burze przechodziły jeszcze także nad ranem. Świat był wymyty i bogato ustrojony w perły i migotliwe diamenty złowione przez rozciągnięte na żywoplotach siatki pajęczyn. Świecące ostro słońce spijało wilgoć z alejek, z ławek, a w końcu zabrało się do migoczących na trawie kryształów. Właściwie nic mi już nie dolegało i tak naprawdę teraz czułam lęk przed powrotem do domu. Tu miałam warunki prawie jak w sanatorium, a tam czekało mnóstwo spraw, którym miałam stawić czoło.

Wytarłam do sucha ławeczkę i zabrałam się do czytania. W pewnym momencie bezszelestnie stanął za mną Patryk i znieacka rzucił mi na kolana kilka zerwanych na frontowym klombie i zupełnie mokrych astrów. Wrzasnęłam tak, że w pootwieranych oknach szpitalnych sal ukazali się zaniepokojeni ludzie, a znajdujący się w tym czasie w ogrodzie pacjenci poderwali się do ucieczki. Chyba zareagowałam zbyt histerycznie, lecz nerwy miałam nadal bardzo napięte. Gdy zorientowałam się w sytuacji, wstałam i kłaniając się jak na scenie, zaczęłam przeproszać gestem oraz słowem, choć nikt mnie nie słyszał.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że tak zareagujesz – kajał się przerażony Patryk. – Znów nie pomyślałem.

– Nie, to ja przesadziłam – powiedziałam już spokojniej, bo nie chciałam, aby dzieci traktowały mnie jak histeryczkę albo ciężko chorą istotę. – Ale jak mogłeś obrabować klomb?!

– A Marcin Borowicz obrabował dla matki przydrożną kapliczkę.

– Synku, czytałeś „Syzyfowe prace”?! – znów niemalże krzyknęłam ze szczęścia.

– Szczerze?

– Zawsze szczerze – powiedziałam z rezygnacją.

– Fragmenty, streszczenie i twoje konspekty, ale wiem, o co tam biega.

– Podcinasz moje wątle pedagogiczne skrzydełka, a ja naiwna myślałam, że udało mi się rozbudzić twoją ciekawość i cichcem, w ukryciu, żeby nie stracić reputacji lesera, jednak przeczytałeś.

– Tak od dechy do dechy to ja Żeromskiego nie mogę, za bardzo przynudza. Gdyby go tak napisać na nowo, jakimś ludzkim językiem, to może, bo fabułka jest nawet niezła. Filmy na podstawie jego powieści są okej, ale te jego zdania rosną mi w gardle jak lane kluski na mleku.

– Oto recenzja twórczości klasyka w wykonaniu licealisty i w dodatku syna polonistki. Dajmy temu spokój. Dzięki za kwiaty, mają piękne barwy i przypominają o nadchodzącej jesieni. A ja muszę właśnie pomyśleć o jesieni życia, która już mnie dopadła, świadczy o tym podejrzenie wieńcówki i w ogóle takie nerwowe reakcje na wszystko. Starość nie radość.

– Oj, mamo, daj spokój. Mówiłem ci już przecież, że moi koledzy uważają, iż, jak na swoje lata, jesteś całkiem sexy.

– Jak na twoich kolegów, to może jest komplement.

– Ty wciąż pewnie nie zajrzałaś do swojego profilu na Naszej Klasie, który już tak dawno ci założyłem? A tam się do ciebie dobija taki facet, że jak go zobaczyła siostra Marcina, to ją zatkało. Agnieszka, ta siostra Marcina, powiedziała, że jakby miała do wyboru jego i naszego tatę, to by się chwili nie zastanawiała. Chociaż nasz tata też jest niczego sobie, ale tamten jest super.

– Ile ona ma lat?

– Agnieszka? Chyba dwadzieścia trzy czy cztery. A co?

– Bo jest bardzo infantylna, skoro kieruje się tylko wyglądem. Nic dziwnego, że potem tyle jest rozwodów – urwałam ten wątek, bo nie był to stosowny czas na wykład z wychowania do życia w rodzinie. – Ale nie dość, że sam występujesz na tym portalu w moim imieniu, to jeszcze moją przeszłością zajmują się twoi koledzy i ich rodziny? To już chyba drobna przesada, no nie? Oboje z Dominiką traktujecie mnie jak swoją własność. Dominika wyciąga z szuflady moje wiersze, żeby je dać do obróbki hiphopowemu „geniuszowi”, a ty niedługo będziesz flirtować w moim imieniu. Zaczyna mnie to wkurzać. Rozpuściłam was. Tata umiał sobie wywalczyć, że przynajmniej jego płyty i przybory do klejenia modeli są nietykalne, a ja wiecznie nie mam rajstop, apaszek i tych bardziej atrakcyjnych sweterków, bo je cichcem wyciąga Dominika. A teraz nie mam już odrobiny prywatności – wściekłam się na całego.

– Mogę ci przysiąc, że tylko raz wzięłam twoje rajstopy.

– Żartujesz?! Po co?

- Chciałem z kolegami obrabować bank.
- Boże! Co ty mówisz? Kiedy?
- Jakieś dziesięć lat temu. Ale tata zabrał nam tego korkowca, którego babcia kupiła dla mnie na odpuszcie. Pamiętasz?
- Idiota! A ja się przestraszyłam, że naprawdę.
- Nie spodziewałem się, że masz o mnie aż tak złe mniemanie.
- Sorry, chyba naprawdę przesadziłam.
- Dobra, wybaczam. Ale chcesz wreszcie zobaczyć tego gościa? On jest ze Stanów – ciągnął Patryk niczym niezrażony. – Naprawdę chodziłaś z nim do szkoły?
- Dawaj tego laptopa – powiedziałam i jednocześnie pomyślałam, że znów brakuje mi konsekwencji, bo wykrzyczałam się, ale nic z tego nie wynika. Nie powinnam z Patrykiem zajmować się tymi głupotami, lecz pokusa była zbyt silna.

Przy okazji zobaczyłam, jak wygląda mój profil na Naszej Klasie w wykonaniu Patryka. Od razu uderzyła mnie rozbieżność między datą urodzenia a zamieszczonym obok zdjęciem. Fotka pochodziła z czasów, gdy na studiach dorabiałam trochę jako fotomodelka. Miałam fachowo wykonany makijaż, fotograf też był zawodowcem, a ja skończyłam dwadzieścia jeden lat.

- Dołącz do tego jeszcze reklamę kremu przeciwzmarszczkowego, to może zarobisz – powiedziałam zgryźliwie.
- Nie patrz na swoje zdjęcie, tylko na jego i powiedz, kto to jest – Patryk wskazał na gościa, który stał na tle pięknego jachtu. Jacht kołysał się na błękitnej toni, a w dali rosły palmy.
- Nie wiem, jest za mały. Ja już tak dobrze nie widzę – zwlekałam z odpowiedzią.
- Mamo, przecież możesz to powiększyć. Masz nazwisko i dalej całą galerię jego zdjęć – niecierpliwiał się Patryk.

Moja pierwsza, licealna miłość, Rafał Kryszel, przesyłał mi całą masę swoich aktualnych fotografii i błagał o kontakt. Pisał, że mieszka na Florydzie, ale dość często bywa w Polsce. Muszę przyznać, że zawsze był ładny, lecz z wiekiem stał się wręcz zniewalająco przystojny. Kiedyś może nawet był trochę za lalusiowaty, za śliczny, teraz stał się męski, dojrzały, interesujący. Figurę miał nienaganną, czarne niegdyś i faliste, gęste włosy z lekka przyprószyła mu siwizna. Rysy twarzy korzystnie się wyostrzyły, cera zawsze śniada, teraz była mocno opalona i doskonale podkreślała biel zębów, chyba celowo demonstrowanych w promiennym uśmiechu.

Ma na pewno implanty – pomyślałam zawistnie. Natura jest

niesprawiedliwa. Jak okrutnie obchodzi się z kobietami. Jak ja wyglądam, a jak on? Jesteśmy w tym samym wieku, a o nim mogą marzyć naprawdę młode kobiety.

– Widzę, że też cię zatkało – odezwał się po chwili Patryk. – Nie rozumiem, jak mogłaś odpuścić takiego faceta?

– Nie ja go odpuściłam, tylko on mnie opuścił i zajął się moją przyjaciółką.

– No, nie dziwię się, że za nim laski latały. Ale może go za słabo pilnowałaś?

– Nie pilnowałam go w ogóle, bo miałam zaufanie i wydawało mi się, że miłość, jeśli jest, powinna trwać aż po grób. Powiem ci jeszcze, że kiedy się w nim zakochałam, wcale nie był taki piękny ani zbyt popularny w szkole. Był raczej maminsynkowaty i nawet trochę przy kości. Znałam go jeszcze z podstawówki, ale wtedy to dopiero były z niego ciepłe kluchy. Jako gospodarz klasy lubił skarżyć. W ogólniaku wyrósł już z donoszenia i trochę wyprzystojniał. Nasza miłość rozkwitła na rajdzie świętokrzyskim, na który pojechała większość naszej, wówczas drugiej, klasy. Rafał, wychowywany głównie przez babcię, był troszkę inny niż większość chłopców w tym wieku: delikatny, szarmancki i wydawał mi się romantyczny. Poczulałam w nim bratnią duszę. Miłość i dojrzwianie dobrze wpłynęły na jego powierzchowność, bo schudł jeszcze bardziej i zaczął się modnie ubierać. Wtedy to zauważyły go inne dziewczyny i wiesz, co było dalej.

– Rzucił cię? Ale tak od razu, nic nie zauważyłaś wcześniej? A ta twoja przyjaciółka to niezła larwa.

– Gośka już w podstawówce interesowała się chłopakami, a raczej oni w kącie klasy studiowali jej anatomię. Było u niej co studiować, trzeba przyznać. Ja w tym czasie byłam jak patyk, a Gośka już w siódmej klasie miała bardzo kobiece kształty. Kiedy ja zaczęłam spotykać się z Rafałem, ona poderwała jego kolegę i bardzo ostentacyjnie się z nim obściskowała i całowała na każdym kroku. Trochę mnie dziwiła ta jej namiętność do bardzo brzydkiego i krościatego chłopaka, ale okazało się, że wszystko to było skomplikowaną intrygą.

– A ty nie całowałaś się z tym Rafałem?

– Nie, no, żeby tak całkiem nie, to nie powiem. Wiesz, całować się a całować to różnica. Co ja ci zresztą będę takie rzeczy tłumaczyć. Wychowałam się na dziewiętnastowiecznej literaturze, która propagowała typ romantycznej dziewicy. Babcia przez swe moralizatorskie opowieści też utwierdzała mnie w mniemaniu, że

mężczyźni kochają naprawdę tylko kobiety cnotliwe, a inne unieszczęśliwiają.

– Mówisz teraz o twojej babci czy naszej?

– Oczywiście, że o mojej babci, a waszej prababci, bo to ona miała duży wpływ na moje wychowanie, uwielbiałam ją. Mamy nie uważałam wówczas za autorytet w sprawach miłosnych ze względu na jej nieudane małżeństwo. Jakiś czas nawet obwiniałam ją za to, że ojca wciąż nie było z nami.

– Chyba się kreujesz na chodzącą niewinność, a babcia mówiła, że ty byłaś niezłe ziółko i ponoć z tym Rafałkiem nawiałas z domu. Jesteś ze mną szczerą? Nie próbujesz mi tu wcisnąć jakichś kitów?

No i jak mam wychowywać dzieci, jeśli własna matka wbija mi nóż w plecy? – pomyślałam. Pal sześć jego niestosowny sposób zwracania się do mnie. Nie mogę teraz go strofować, bo skończy się rozmowa. Bardzo mi zależy na podtrzymaniu poczucia bliskości właśnie teraz. Czy jeśli powiem mu prawdę, uwierzy mi?

– Ta ucieczka z domu była tylko idiotycznym przedłużeniem wagarów i odegraniem roli Romea i Julii. To była dziecinada. Dzień wcześniej w szkole zjawiała się matka Rafała. Ponieważ oboje z ojcem pracowali za granicą, co jakiś czas wpadali na inspekcję, żeby sprawdzić, jak sprawuje się synek pozostawiony pod opieką babci. Zapobiegliwa mamunia przywiozła naszemu wychowawcy cenny souvenir. Wtedy zresztą wszystko, co pochodziło z zagranicy, wydawało się nam piękne i cenne. Rafał był raczej dobrym uczniem, a z przedmiotów ścisłych wręcz wybitnym, więc wszelkie przekupstwo było tu niepotrzebne. Jednak nasz wychowawca, chcąc zasłużyć na ów podarunek, postanowił popisać się doskonałą wiedzą na temat prywatnego życia swego ucznia. Naopowiadał biednej matce o niebezpiecznym miłosnym zauroczeniu jej synka. Zasugerował, że chłopak może mieć spore kłopoty, bo jego wybranka, niby ja, pochodzi z artystycznej rodziny, w której ojciec jest politycznym wichrzycielem i wielokrotnie miał kłopoty z prawem. Takie więc kontakty mogą być tu i tam źle widziane i zwichnąć karierę synkowi. Czy trzeba było czegoś więcej? Teraz sobie wyobrażam, co musiała czuć ta biedna kobieta.

– No i gdzie uciekliście?

– Oj, tam zaraz uciekliście. Mówiłam ci, że poszliśmy na węgry. Wstydziłam się iść do szkoły po tym, jak matka Rafała urządziła mi po lekcjach awanturę na oczach całej masy uczniów. Wrzeszczała, że nie życzy sobie moich kontaktów z jej synem.

– O matko, to dopiero miałabyś teściową. A jej syneczek co na

to?

– Nie było go tego dnia w szkole i nic nie wiedział o całej aferze. Oczywiście w domu dostał też wytyczne, ale zbyt się tym nie przejął. Wiedział, że matka wyjedzie, a on będzie robił swoje. Następnego dnia szedł spóźniony do szkoły i natknął się na mnie zmierzającą w przeciwnym kierunku. Poszedł ze mną, gdy dowiedział się, jaki jest powód mojej ucieczki. Ja czułam się zdruzgotana, skopana i nieszczęśliwa, a on postanowił się przeciwstawić takiemu traktowaniu swej ukochanej. Ustaliliśmy, że nie wrócimy do domu, dopóki jego starzy nie zmiękną. Nie byliśmy jednak przygotowani logistycznie do tego protestu, bo nic nie planowaliśmy. Ubrani byliśmy na galowo, gdyż w szkole miała być uroczysta akademія z okazji Dnia Zwycięstwa. Włóczenie się po mieście w tych strojach było niebezpieczne. W tamtych czasach milicja legitymowała wagarowiczów i zawiadamiała szkołę. Pojechaliśmy do Radości i spędziliśmy piękny dzień na spacerowaniu po lesie. Z trudem wygrzebaliliśmy z kieszeni trochę kasy na suchy prowiant. Rafał, który zawsze był przy forsie, bo robił zaopatrzenie dla domu, wyjątkowo nie miał tego dnia pieniędzy, gdyż matka przejęła gospodarskie obowiązki, a wszelkie kieszonkowe miał cofnięte do czasu zerwania ze mną.

– Jak spędziliście noc? Wtedy był twój pierwszy raz?

– Synu, o czym ty mówisz? Wieczorem zrobiło się przeraźliwie zimno, za szklankę herbaty oddalibyśmy wiele, ale żadne z nas nie chciało okazać się mięczakiem, więc siedzieliśmy skuleni jak kury na grzędzie w poczekalni kolejki. Kiedy nadjeżdżał pociąg, chowaliśmy się przed ludźmi, a potem znów przytulaliśmy się do siebie i tak tkwiliśmy do momentu, aż ruch znów stał się duży i ludzie śpieszyli do pracy. Porozumieliśmy się bez słów, nic sobie nie wyjaśniając, wskoczyliśmy do wagonu i na gapę pojechaliśmy do domu.

– Oberwałaś?

– Mama mnie spoliczkowała i obdarzyła paroma niewybrednymi epitetami, które według niej pasowały do sytuacji. Babcia natomiast zauważyła, że jestem fioletowa i trzęsę się z zimna, więc szybko naszykowała mi kąpiel i wciągnęła do łazienki. Opowiedziałam jej wszystko, a ona martwiła się, żebym tylko nie przeziębila sobie nerek i jajników, bo potem będę mieć kłopoty z zajściem w ciążę. Wieczorem telepała mną temperatura i mama przeproszała mnie za policzek i wyzwiska, a ja ją za to, co musiała przeżyć przez tę noc. Było już dość późno, więc bardzo zdziwił nas dzwonek do

drzwi. Ja nawet miałam nadzieję, że to ojciec przyszedł sprawdzić, co się ze mną dzieje. Mama przecież musiała mnie szukać u niego w pracowni, więc wiedział o moim wyskoku. Ale okazało się, iż to państwo Kryszelowie w komplecie zawitali w nasze progi. Rafał mimo gróźb i próśb rodziców zapewniał ich, że nie zrezygnuje z widywania się ze mną. Odmówił też przeniesienia się do innej szkoły i zagroził, że jeśli się od nas nie odczepią, następnym razem uciekniemy tak, że nigdy nas nie znajdą. Z powodu narastającej gorączki byłam coraz mniej przytomna, ale bardzo dumna z ukochanego. Ostatnia groźba brzmiała tragicznie, więc kochająca go, bądź co bądź, rodzinka się wystraszyła i postanowiła pertraktować ze mną i moją mamą.

– To jest naprawdę superhistoria. Opowiadałaś ją kiedyś tacie?

– To chyba nie najlepszy pomysł.

– No, dawaj dalej, bo to lepsze od M jak miłość.

– Wiesz, potem się okazało, że ojciec Rafała zetknął się z moją matką wiele lat wcześniej, gdy jeszcze tańczyła w teatrze i chyba zrobiła na nim duże wrażenie. Z rozmowy wynikało, że jako lekarz zajmował się nią troskliwie po jakiejś drobnej kontuzji. Trochę to dziwne, bo jest ginekologiem, ale może nie miał jeszcze wtedy specjalizacji. A może nie była to kontuzja, tylko inna przypadłość. Fakt, że moja mama zaraz go rozpoznała, a on jej nie. Zmieniła przecież po ślubie nazwisko. Jednak, rozejrzawszy się po mieszkaniu, dostrzegł na ścianie zdjęcia z występów i szybko skojarzył. Zaraz zrobił się uprzejmy i nie mógł ukryć tego, że mu się mama nadal podoba. Jego żona zaczęła być trochę niespokojna i zazdrośna. Wszystko to wyglądało śmiesznie, bo pani Kryszelowa była atrakcyjną, wysoką brunetką, a jej mąż małym, niepozornym grubaskiem. Rafał opowiadał mi wcześniej o słabości swojego ojca do kobiet i uzasadnionej zazdrości matki. Byłam przerażona, gdy pan doktor zaproponował, że mnie zbada. Na szczęście jego żona jako położna towarzyszyła temu badaniu. Babcia miała rację, przeziębiałam sobie wszystko, to jest: przydatki, pęcherz i nerki. Po tym badaniu rodzice Rafała stali się dla mnie uprzedzająco mili i postanowili, iż będą pomagać naszej miłości, a przede wszystkim ją kontrolować. Ustalono za nas, że jeden dzień w tygodniu Rafał będzie przychodził do mnie, drugi ja do niego, w niedzielę możemy iść do kina lub teatru. Nie miałam siły protestować ani się zgadzać. Doktor Kryszel zrobił mi jakiś silny zastrzyk i powoli zapadałam w sen. Mój miły prawie się nie odzywał i tylko skubał frędzle od serwety. To był początek końca.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Myślę, że czynników było sporo. Nasza znajomość wiele straciła na swej romantyczności, gdy rodzice zaczęli nas traktować jak starych narzeczonych. Ja dość długo chorowałam i w dodatku okropnie obsypała mnie opryszczka, co nie dodaje uroku. Dyskutowano przy moim łóżku i u Rafała w domu o stanie zapalnym moich narządów rodnych i możliwych powikłaniach. A tymczasem moja tryskająca zdrowiem i urodą przyjaciółka wykorzystwała ten czas, żeby zaopiekować się Rafałkiem. Od dawna wysyłała mu czytelne sygnały, że jest zmysłowa i pełna temperamentu. Myślę też, że nie bez znaczenia mogła być genetyka i przykład w rodzinie. Tatuś Rafała wszak nie umiał się oprzeć żadnej ponętnej kobiecie. Rafał był chwilowo osamotniony, a Gosia skłonna i gorąca, więc...

– I co, długo byli razem? Puścił ją, czy ona jego?

– Wyobraź sobie, że długo, ale na dość dziwnych zasadach.

– Nie rozumiem. Wyjaśnij.

– Po kilku miesiącach chyba miał jej dość i nawet próbował wrócić do mnie, ale sugerował, że na razie trzeba to będzie ukrywać przed Gosią. Ona powiedziała, że się zabije, straszyl mnie. Takie postawienie sprawy wyleczyło mnie na dobre. Przedtem cierpiałam i nadal go kochałam. Wzięli ślub zaraz po maturze. Gosia ponoć była w ciąży, ale potomka jakoś nie było. Potem podobno Gosia podejmowała naprawdę jakieś próby samobójcze i nawet wylądowała w psychiatryku, lecz zupełnie przestałam się nimi interesować.

– A teraz mogłabyś tak normalnie z nim się spotkać?

– Mogłabym, ale po co? Żeby jeszcze mieć byłą koleżankę na sumieniu? Z wiekiem na pewno stała się jeszcze bardziej zazdrosna.

– Też mi koleżanka. Może teraz likwiduje swoje rywalki? Masz rację, lepiej nie ryzykować.

Zagadaliśmy się tak, że szukał nas personel dwóch oddziałów. Nasze wypisy dawno były gotowe. Dominika załatwiła jakiś transport i przyjechała, żeby zabrać nas do domu. Była dziwnie ubrana, nadmiernie pobudzona i promieniowała szczęściem.

– Jestem dziś na nogach od samego rana. To cudowne powitać słońce w sadzie pełnym owocujących drzew z widokiem na świeżo skoszoną łąkę. A ten zapach! – świergotała na cały głos, aż snujący się korytarzem smętni chorzy zaczęli odwracać się w naszym kierunku.

– Idź, kochanie, na parking – powiedziałam, żeby uciszyć głośny i niestosowny w tym miejscu wybuch młodzieńczej radości. – Tam zaraz powinien zjawić się Patryk, a ja za chwilę też do was

dołączę.

Gdy w końcu z pełną dokumentacją znalazłam się na dole, ujrzałam przed szpitalem niemałe zamieszanie. Z niezmiernie wy-malowanego forda transita dobiegała głośna muzyka. Damian i dwaj inni młodzieńcy, których od razu nie rozpoznałam, rapowali i popisywali się breakdance'em. Dominika klaskała i śmiała się, podrygując rytmicznie. Na ziemi leżała wełniana czapka, do której niektórzy gapie zdążyli wrzucić już drobne. Zbierał się wokół nich coraz większy tłum i zauważyłam, że straż miejska zdąża w ich kierunku. Zamarłam w drzwiach i mimo że wchodzący i wychodzący ze szpitala ludzie mnie potrącali, stałam nadal niezdecydowana. Nie wiedziałam, co robić, jak się zachować. Za nic w świecie nie chciałam przyznać się do tej roztańczonej bandy. Z drugiej jednak strony powinnam jak najszybciej ujawnić się i odjechać, bo banda, do której należała teraz moja córka, mogła wejść w konflikt ze strażą miejską i jeszcze napytać sobie biedy. Nagle poczułam mocne szarpnięcie za ramię.

– Mama, wiejemy stąd na dworzec! – To Patryk ze świeżo zmienionym opatrunkiem na głowie czatował na mnie za znajdującym się w holu stoiskiem z gazetami.

– Nie, chyba nie powinniśmy. Dominika chciała dobrze. Chodź, raz kozie śmierć – powiedziałam zdecydowanie i pociągnęłam za sobą opierającego się jeszcze syna.

– Przepraszam bardzo za zamieszanie – zwróciłam się do strażników. – Już odjeżdżamy. Chłopcy każdą chwilę wykorzystują na ćwiczenia.

– Pani, tu jest szpital, tu są chorzy ludzie, a poza tym musi być miejsce na parking dla pacjentów i personelu. Artyści ze spalonego teatru! – zwrócił się do mnie z pretensją strażnik, który wyraźnie nie był fanem hip-hopu.

– Młodzi jak młodzi, ale pani to się dziwię – drugi też był bardzo krytyczny. Popatrzył na mnie z dezaprobatą i wyciągnął notes.

– Mamo, kamera! Wiejemy stąd! – Patryk ciągnął mnie za ramię.

Spojrzałam za siebie i zobaczyłam dwóch facetów z profesjonalną kamerą. Napis na sprzęcie wyjaśniał wszystko. Byli to reporterzy naszych lokalnych wiadomości.

– Pani pozwoli, że zadamy kilka pytań, a chłopcy, proszę, dalej niech tańczą – znany z ekranu dziennikarz zwrócił się do mnie.

Kręć ich, zobaczymy, co się potem nada – to były słowa do kamerzysty. – Skąd pomysł, żeby organizować takie występy przed

szpitalem? – znów wrócił do mnie.

– Ależ ja... ja nic... – zaczęłam się jękać.

– Ja jestem menedżerem zespołu – zawołała Dominika, wpychając się między mnie a kamerę. – Pani Joanna Zalewska sprawuje nad zespołem raczej tylko duchowy patronat i jest autorką niektórych tekstów do naszych utworów. Uczyla artystów polskiego i pierwsza zaszczepiła im miłość do rapu, układając gramatyczne formułki tak, by można je było rapować. Ułatwiała i uatrakcyjniała nam naukę. Ona także pisuje scenariusze do przedstawień szkolnych i jest ich reżyserem. Jest społecznym animatorem kultury, których już coraz rzadziej można spotkać w gminnych środowiskach.

– Dominika, przestań! – przerwałam jej wreszcie. – Panowie gotowi potraktować to poważnie i jeszcze wyemitować. To zupełny przypadek, że tu jesteśmy razem. Zespół przyjechał po mnie tylko do szpitala, ale zaraz stąd odjeżdżamy i nie będziemy robić zamieszania, bo tu nie miejsce na takie harce, jak zauważyli panowie strażnicy. Czy wezwano aż telewizję z naszego powodu? – zapytałam dość naiwnie, ale byłam bardzo skołowana i zażenowana.

– Nie, skądże znowu. Mamy odbyć rozmowę z dyrektorem na temat planowanej prywatyzacji szpitala, ale nie bylibyśmy reporterami, gdybyśmy nie chwyтали takich wydarzeń. Więc nie był to zamierzony występ dla chorych? Szkoda, ale to, co mówiła młoda menedżerka zespołu, jest wspaniałym tematem na reportaż, zwłaszcza teraz, tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. W sobotę burza przerwała Drugi Wojewódzki Przegląd Młodzieżowych Zespołów Muzycznych. Uczestniczyliście może w tym wydarzeniu?

– Właśnie przez burzę nie mieliśmy okazji zaprezentować jury i publiczności utworu, którego autorką jest również pani Zalewska.

– Dominika, dość już tych wygłupów! Mnie to nie bawi. – Byłam wściekła i myślałam już z przerażeniem o konsekwencjach ewentualnej emisji w popołudniowym programie takiej chryi z moim udziałem. – Ja bardzo proszę tak zmontować ten materiał, żeby mnie ani o mnie nic tam nie było. Wstyd mi się przyznać, że ta młoda tupeciara to...

Chciałam dodać: „moja córka, która za dużo sobie pozwala”, ale nie zdążyłam, bo Dominika złapała reportera za rękaw i odciągnęła go na bok. Coś mu naszeptwała, patrząc na mnie i uśmiechając się szelmowsko. On zaś wręczył jej swoją wizytówkę. Nie mogłam do nich podbiec, bo Patryk, jak małe dziecko, uczeplił się mojej spód-

nicy i ciągnął mnie w przeciwnym kierunku. Spódnica miała mój ulubiony fason – trzy duże falbany i u góry gumkę. „Właśnie zaczynała złowieszczo trzeszczeć, więc poddałam się, nie chcąc ryzykować striptizu w miejscu publicznym i przed kamerami. Wsiadliśmy do udekorowanego agresywnym graffiti forda, na którym widniał napis: „Wściekli”.

– Chłopaki, mamy szansę na cały reportaż o nas! Umówiłam się z nimi za kilka dni – triumfowała Dominika. – Mają wcześniej zadzwonić.

– Co ty tu jeszcze o mnie nagadałaś? – zapytałam, sycząc ze złości.

– Nic takiego. Wytłumaczyłam, żeby się nie przejmowali twoimi protestami, bo jesteś tylko skromną, wiejską nauczycielką i nie masz obycia z mediami.

Nie wytrzymałam i dałam jej w łeb.

– Ojej, przemoc w rodzinie! – krzyknęła Dominika. – Chłopaki, wróćmy może do tych reporterów, to też niezły kąsek dla telewizji. Jesteś niewdzięczna, ja ci taką reklamę zrobiłam, że z miejsca powinnaś dostać awans, a ty mnie bijesz.

– Wcale mi nie jest do śmiechu. Czy wiesz, co się będzie działo, jak któraś z koleżanek albo dyrekcja obejrzy ten program? A obejrzy, jak amen w pacierzu. Nie wiem, czy nie powinnam poszukać sobie nowej pracy. Boże, jak ja wytłumaczę ten stek bzdur?

– Ale o co chodzi? Wszystko to prawda – Dominika udawała święte oburzenie. – Nic nie nakłamałam. Wzięliśmy twój tekst, i to nie jeden, ale bałam ci się przyznać. Scenariusze też piszesz, może nie?

– A nie układałaś rapowanych formułek z gramatyki? – dodał Patryk. – Pamiętam ten cudny refren o związkach wyrazowych.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem, a Patryk też przestał być naburmuszony i spięty, zaśmiewał się wraz z kumplami, aż mu się opatrunek przekrzywił.

– Refren, o którym teraz wszyscy myślimy, był wspólnym dziełem: twoim i Damiana. Chyba pierwszy w zmienionej formie zaśpiewał go właśnie Damian. – Dominika zwracając się do chłopaków, przytuliła się do Damiana bez żadnego skrępowania swoją osobą.

– O czym wy mówicie? – spytałam.

– Zaraz nas wsypiesz! – wrzasnął Damian i pocałował ją w usta, tak zwyczajnie, na moich oczach.

– No to jak już zaczęliście, to skończcie – powiedziałam, spuszc-

czając oczy i czerwieniąc się, bo nie wiedziałam, jak się zachować wobec tej ostentacyjnej czułości.

– Oficjalna wersja refrenu brzmiała: „Związki, związki są urocze, pocałujcie panią w koczek” – podjął się wyjaśnienia Patryk. – A nieoficjalna, którą ktoś z tu obecnych zaśpiewał pierwszy, była bardziej świńska, no wiesz, zrymuj sobie „urocze”. – Patryk spiekl raka i spuścił oczy.

Znów z zażenowania odebrało mi mowę. A oni rechotali w najlepsze. Dojeżdżaliśmy właśnie do domu i już z daleka zobaczyłam siedzącą pod domem brygadę Mariana. Sam szef powitał mnie karcącym spojrzeniem.

– No, jak w końcu wygospodarowałem trochę czasu, to u pani nikogo nie ma w domu. Materiały zamknięte, do prądu się dostać nie można, a czas leci – perorował beczelnie.

– Panie Marianie, to już szczyt beczelności, żeby pan mnie jeszcze ochrzaniał – rozsierdziłam się nie na żarty. – Zapowiada pan, że następnego dnia przyjdziecie do pracy, a potem znika i nawet żona nie wie, gdzie pan jest. Lato się kończy, w przyrodzie kataklizmy, a ja przez pana zostanę bez dachu nad głową na zimę.

– Mamo, nie denerwuj się. – Dominika głąskała mnie uspokajająco po ramieniu. – Niech pan nie wkurza mamy, bo miała prawie zawał i teraz wraca ze szpitala.

Nie wiem, co to za jednostka chorobowa „prawie zawał”, ale zrobiła wrażenie. Marian natychmiast przyjął postawę ugodową.

– Nie, to ja przepraszam. Już nic nie mówię. Człowiek taki zarobiony, bo nie umiem odmówić. Rodzina duża, to ciągle ktoś coś potrzebuje. A jak nie pomóc szwagrowi albo wujowi, to powiedzą, że się wywyższam. Żona też mi truje, że u nas dom niewykończony. Ale nie ma kiedy. Przecie w niedzielę nie będę murował, jak ludzie do kościoła idą. A teraz po tej wichurze to, mówię pani, opędzić się dzisiaj nie mogłem.

– To niech się pan zdecyduje, czy dziś pan zaczyna i pracuje codziennie aż do skończenia, czy nie jest pan w stanie i ja biorę inną firmę? – przypierałam go do muru dosłownie i w przenośni.

– Pani Zalewska, u mnie słowo droższe od pieniędzy. Jak powiedziałem, że zrobimy domek na cacy, to będzie, choćbyśmy mieli robić po nocy.

– Jak któryś z panów jest lunatykiem, to proszę bardzo pracować nocą – zażartowałam i Marian też się wyraźnie rozluźnił.

– A właściwie to pani na mszę powinna dać, że my się do tego dachu jeszcze nie zabrali. Wie pani, co by to mogło być w te wi-

churę z takim nieskończonym dachem?

– Ale, panie Marianie, gdyby się pan zabrał do roboty tak, jak ustalał z moim mężem, dach byłby skończony.

– Dobra, chłopaki, bierzemy się do roboty, bo czasu szkoda.

Marian się poderwał, a za nim posłusznie jego bracia. Widać skończyły mu się już argumenty.

– To mamy rozbierać ten stary dach teraz? Jest pani pewna? Żeby potem, jak znów będzie burza, nie było na mnie.

– Tu już decyzja należy do pana. Jeśli pan rozbierze go i zniknie, a w tym czasie zdarzy się ulewa, wyciągnę wobec pana daleko idące konsekwencje. Nie żartuję.

– Niech pan tego nie lekceważy, bo mama potrafi być nieobliczalna – dodała Dominika, zupełnie zresztą nie na miejscu.

Po co się wtrąca? – pomyślałam. Pewnie chce się popisać przed tym swoim „artystą”. Złapałam się na tym, że nie potrafię myśleć o nim bez irytacji, która przechodzi już na Dominikę. Weszliśmy do domu, a brygada zajęła się pracą. Zaraz pewnie upomną się o kawę i trzeba brać się do obiadu – pomyślałam z pewną niechęcią o powrocie do domowych obowiązków. Co tam jest w lodówce? W tym momencie przypomniało mi się, że przecież jeszcze wczoraj była tu moja mama z narzeczonym, czy jak go tam nazwać.

– Dominika, a gdzie babcia?!

– Wyjechała wczoraj w nocy, bo jej się przypomniało, że nie zamknęła okna.

– To nie mogła poprosić ciotki, żeby pojechała do niej? – zdziwił się Patryk.

– Ciotka Zyta pojechała do córeczki do Paryża! – poinformowała z przekąsem Dominika, która nie przepadała za swą cioteczną siostrą, gdyż uważała ją za kopniętą snobkę.

Kręciłam się bezradnie po kuchni, jakbym przyjechała do cudzego domu, a czas leciał. Sprawiało to, że byłam coraz bardziej zdenerwowana i nie mogłam ogarnąć wszystkiego. Dominika spostrzegła ten mój stan i podzieliła obowiązki. Patryk miał zrobić kawę i zanieść ją robotnikom. Ja zabrałam się do pichcenia szybkiego obiadu, a Dominika ofiarowała się, że zrobi zakupy, i za chwilę ujrzałam ją wskakującą na motor za Damianem. Chłopak zdążył już odprowadzić do warsztatu samochód brata Michała i przyjechał ponownie pod nasz dom.

O Boże, teraz, żeby się pozbyć tego gnojka, będę musiała go chyba otruć – pomyślałam ze złością. Podania czarnej polewki raczej nie zrozumie. Moje złe, belferskie serce nie potrafiło zapo-

mnieć wszystkich jego wyczynów ani uwierzyć w trwałą przemianę. Byłam pewna, że w jego wypadku nie pomoże miłość, gdyż jest on już totalnie zdemoralizowany. Pił i palił od najmłodszych lat. Potem prawdopodobnie sięgał czasami i po inne używki, a zdaje mi się, że je również rozprowadzał wśród kolegów. Ojciec próbował go wychować w jedyny znany sobie sposób, lejąc od czasu do czasu niemiłosiernie chłopaka i matkę, która zapatrzona w jedynaka na wszystko mu pozwalała.

Wierzę, niestety, w mądrość przysłowia, że czym skorupka za młodu nasiąknie...itd. Nie będzie on szanował swojej dziewczyny ani żony, bo tak został wychowany. Nawet jeśli dziś mu się wydaje, że jest w stanie odciąć się od tego, co go ukształtowało, od swego ojca brutalna i bezwolnej, infantylniej matki, będzie odtwarzał w dorosłym życiu wyniesione z domu wzorce. Nie chciałabym, aby moja córka musiała się o tym boleśnie przekonać.

Wieczorem wrócił Krzysztof, a dzieci wybyły, każde w innym kierunku. Patryk wyraźnie boczył się na Damiana i warczał na Dominikę, gdy ta rozanielona sadowiła się na motorze za swoim nowym idolem. Próbowałam ustalić, dokąd się wybierają i kiedy wrócą, ale otrzymałam zdawkowe odpowiedzi od córki i szelmowski uśmiezek od „artysty”.

– Nie powinnaś jej puszczać z tym kretyńcem – stwierdził Krzysztof, który widocznie czuł się już na emigracji.

Nie skomentowałam tego. Patryk zaś zakomunikował:

– Wezmę rower i trochę się przewietrzę.

– Teraz będziesz jeździł na rowerze? Zaraz się ściemni – powiedziałam.

– Jest przecież światło, a poza tym nie mam innego środka lokomocji, a łażenie piechotą jest jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Czy próbujesz wzbudzić w nas poczucie winy, że jeszcze nie kupiliśmy ci samochodu? – zaatakowałam go chyba trochę na wyrost.

– Na razie to ja chciałbym odzyskać auto, bez którego nie mogę normalnie funkcjonować – wtrącił zirytowany Krzysztof.

– Skoczę więc do chłopaków zapytać, co z samochodem. Może już na jutro zrobią – powiedział Patryk i wciąż nie ruszał się z miejsca, tylko swoim zwyczajem przestępował z nogi na nogę.

– Coś masz jeszcze w zanadrzu? – zapytałam domyślnie.

– Chciałem się upewnić, czy sprzęt, który dostałem na urodziny, mogę uważać za swoją absolutną własność.

– Do czego zmierzasz? – zapytał ostro Krzysztof. – Przestał ci

się podobać? Kolega ma już lepszy?

– Nic takiego nie powiedziałem – odparł, spuszczać głowę. – Tylko chciałem zapytać, czy mogę sprzedać mój sprzęt muzyczny.

– Jezus Maria! Ktoś cię szantażuje? – wrzasnęłam. – Coś jednak się stało wtedy na drodze? Powiedzże wreszcie całą prawdę.

– No tak, znów masz hitchcocki. Tworzysz w swojej głowie scenariusze kryminałów i traktujesz mnie jak przestępcę. Zero zaufania.

– A dziwi cię to? Postaw się na moim miejscu. Potrafiłbyś zaufać swojemu synowi, gdyby...

– No już dobrze, nie wyliczaj wszystkiego. Nikt mnie nie szantażuje, ale chciałbym zapłacić w warsztacie za części, bo robociznę chłopcy dają gratis. Więc nie pogniewacie się?

– Trochę szkoda, to bardzo dobry sprzęt – powiedział spokojnie Krzys, a spoglądając na mnie, uśmiechnął się i pokiwał głową. – Tylko nie sprzedawaj go za bezcen.

– Dobra. Niedługo wrócę – powiedział już ugodowo Patryk, a potem całkiem niepotrzebnie dodał: – A jak tam ten przystojniak z Naszej Klasy? Odezwałaś się do niego?

– A daj mi spokój. Nie mam się czym zajmować? – Machnęłam lekceważąco ręką, ale ziarno niepokoju w głowie Krzysia zostało posiane.

Po wyjściu syna między nami zapadła niezręczna cisza.

– Mam się pakować już na stałe do tej Anglii? – odezwał się wreszcie Krzysztof. – Widzę, że szykujesz sobie zastępstwo i jeszcze w dodatku mój syn ci pomaga – mówił to niby żartobliwie, ale wyczułam trochę pretensji w jego głosie.

– Nie wiem nawet, o kogo chodzi – nieoczekiwanie dla samej siebie skłamałam. – Dzieciaki bawią się na tym idiotycznym portalu. Chyba muszę się z nimi porządnie rozmówić, bo za dużo sobie pozwalają, grzebiąc w moich rzeczach i mojej przeszłości. Aha, musisz zadzwonić do swoich rodziców. Mogą czuć się zaniepokojeni po rozmowie z Dominiką – zmieniłam nagłe temat.

Do późna rozmawialiśmy o przygotowaniach Krzysztofa do wyjazdu, który miał nastąpić już za dziesięć dni. Wspomniał mi tylko, że przegrał sprawę z wójtem w Sądzie Okręgowym, choć adwokat zapewniał go, że jest ona stuprocentowo wygrana. Złożył oczywiście od razu odwołanie, gdyż znów adwokat sugerował, iż w wyższej instancji na pewno dojdzie sprawiedliwości, bo tak daleko mogą już nie sięgać macki naszego wójta. Oby nie sięgały – pomyślałam.

– Czy mam rozumieć, że adwokat zasugerował, iż Sąd Okręgowy był z jakichś powodów stronniczy? – zapytałam.

– Chciałem się dowiedzieć, o jakiego typu powiązania może chodzić, ale nic konkretnego mi nie powiedział. Coś tam cieniował, że chyba słyszał o jakichś koligacjach rodzinnych z samym prezesem. Mogą być to też układy towarzyskie, wspólne zainteresowania, takie jak na przykład polowanie.

– To może przed złożeniem apelacji warto by zatrudnić detektywa, żeby śledził wójta i sędziów – szydziłam, ale wcale mi nie było do śmiechu. – Na co nam taka demokracja, jeśli nie można mieć zaufania do struktur państwa, do jego najważniejszych urzędów.

– Dobrze, że wyjeżdżam. Nie myślę już o wójtach, radnych i sądach. Jak adwokat chce, niech jeszcze się pobawi w następnej instancji. Dałem mu pełnomocnictwo, ale już mnie to nie podnieca. Jest mi tylko przykro, że dziś na ulicy księgowa umykała przede mną. Bała się, że wójt wystający na schodkach przed urzędem może nas zobaczyć rozmawiających.

– Bałam się, że jesteś bardzo nieszczęśliwy z powodu tego wyjazdu – powiedziałam, gładząc skronie Krzysia.

– Nie jestem szczęśliwy, że zostawiam cię właśnie teraz, z rozpapraną budową domu i dziećmi, które im bardziej dorosłe, tym mniej odpowiedzialne. Okazało się w dodatku, że jesteś chora. Nie lekceważ tego, co się stało. – Krzys mię objął i tulił do siebie.

Chciałam zapytać, czy on w wieku naszych dzieci był zawsze odpowiedzialny, ale uświadomiłam sobie, że to głupie pytanie, gdyż wiedziałam z opowieści teściowej, że tak. Dałam więc spokój i tylko przytuliłam się do niego. Wkrótce nie będę miała do kogo – pomyślałam.

14. RYWALIZACJA

Zdążyliśmy właśnie dobrze zasnąć, gdy do domu wpadła Dominika.

– Zróbcie coś, oni się tam leją!

– Kto?! Gdzie?! – Nie byłam jeszcze pewna, czy to sen, czy jawa.

– Szybciej! Mnie nie chcą słuchać! – krzyknęła histerycznie i wybiegła z domu.

A ja w piżamie i boso podążyłam natychmiast za nią, nie bardzo wiedząc, dokąd biegnę i po co. Daleko w tyle człapał mój mąż, który przed domem wpadł w miskę z wodą dla psów i zamoczył kaptcie. Przed gankiem w moich pięknych rabatkach, stratowanych już wprawdzie trochę przez robotników, tarzali się Patryk i Damian. Patryka poznałam w mroku po bandażu owiniętym wokół głowy, a Damiana po bajeranckich butach ze świecącymi czerwono obcasami. Tłukli się nie na żarty, a szczególnie agresywny był Patryk.

– O co znów im poszło? – zapytałam Dominikę.

– Nie wiem. On jest stuknięty. Chyba nas śledził.

Zrozumiałam, że chodzi o Patryka. Był dużo szczuplejszy od Damiana i nie miał żadnej praktyki w bijatykach. A do tego bandaż przypominał o świeżym urazie głowy. Taka bójka może się naprawdę źle dla niego skończyć.

– Chłopcy! W tej chwili przestańcie! – krzyknął dziwnie wysokim ze zdenerwowania głosem mój mąż.

Ale apel ten nie trafił do adresatów, za to przywołał sforę większych psów odbywających gorące gody w pobliskich zaroślach. Cała kudłata wataha wpadła z ujadaniem do ogródka i zaczęła gryźć się nawzajem oraz atakować kotłujących się chłopaków. Zapanował nieprawdopodobny jazgot. W sąsiednich domach zapaliły się światła. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Na szczęście spostrzegłam podłączony do kranu i pozostawiony przez robotników gumowy wąż, chwyciłam jego końcówkę i odkręciłam wodę. Ostry zimny strumień otrzeźwił najpierw psy, które rozpierzchnęły się z piskiem, a następnie sprawił, że dwaj młodzieńcy uwalani w mokrej, czarnej ziemi i resztkach moich dalii wstali, i popatrzawszy na mnie bykiem, zawołali zgodnie:

– No co?!
– Ja wam powiem „no co”! – rzucił groźnie Krzysztof. – Wejdźcie do domu, bo robimy widowisko na całą wieś.

Weszli ociekający wodą i napaskudzili mi w przedpokoju. Damian miał chyba lekki, ironiczny uśmieszek na obitej nieco twarzy, a Patryk zasinionymi i opuchniętymi oczami spoglądał spode łba na siostrę i niedawnego kumpla, a dziś znieawidzonego wroga.

– Powiedzcie mu coś – domagała się Dominika. – On nie może mnie śledzić i terroryzować. Ubzdurał sobie, że jest moim opiekunem. Nawet nie jest starszy.

– Ale muszę dbać o bezpieczeństwo i opinię mojej siostry, której rozum odebrały hormony.

– Na głowę upadłeś czy na islam przeszedłeś?! – krzyczała coraz cieniej Dominika. – Mamo, czy ty słyszysz to, co ja? On teraz jako mężczyzna będzie dbał o mój honor? A zajmij się swoim honorem, a ode mnie się odczep! Będę chodziła, z kim chcę i gdzie chcę, a tobie nic do tego. Honorowy bywalec baru się odezwał. A Damiana...

– W tej chwili przestańcie! – wrzasnęłam przerażona, że Dominika pod wpływem wzburzenia zrobi tu jeszcze jakieś wyznaczenie temu pozał się Boże mokremu casanowie, a potem będzie żałować.

– Dość tych awantur. Wszyscy nie powinniście się włóczyć po nocy. Porozmawiamy jutro. Dobranoc – Krzysztof chciał, słusznie, zakończyć sprawę.

Patryk wciąż jeszcze naburmuszony skierował się do swojego lokum, które trudno byłoby nazwać pokojem. Damian obrócił się na pięcie, żeby wyjść z domu, ale Dominika krzyknęła:

– Mamo, on nie może tak wyjść, przecież się przeziębii i to będzie wasza wina. Noce są już zimne. Przewieje go na motorze.

Nie wezmą diabli złego – pomyślałam mściwie. Nie jestem już jego nauczycielką ani żadną opiekunką. To dorosły facet. Co mnie obchodzi? Ale Krzyś jako lekarz widocznie poczuł się odpowiedzialny.

– Patryk, daj mu jakąś swoją koszulkę i kurtkę.

– Jeszcze co – burknął zza drzwi Patol, ale po chwili na korytarz wyleciała jego zimowa kurtka i rozciągnięta polówka.

Damian podczas zmiany odzieży cały czas miał na twarzy ten sztuczny, nieco drwiący uśmieszek. Najchętniej dałabym mu kopa w tyłek i wyrzuciła za drzwi. Żywiłam w stosunku do niego podobne uczucia jak Patryk. Chciałam się go pozbyć za wszelką cenę, ale

jestem przecież cywilizowaną osobą i muszę kontrolować swoje odruchy, choć staje się to coraz trudniejsze, tym bardziej że moja zdurnowaciała córka znów się przytuliła do niego i nie daje mu się spokojnie pozapinać.

– Dominika, uspokój się, bo...

– Bo co? Nie możesz patrzeć, że jestem szczęśliwa?

Tego już było za dużo. Szarpnęłam ją za rękę, odkleiłam od chłopaka i lekko wypchnęłam go za drzwi.

– Mamo, jak możesz?! – wrzasnęła dramatycznie.

– Aleś ty głupia – odezwał się Patryk, który wszystko słyszał i znów zszedł na dół. – Będziesz jeszcze płakać na swoją naiwność. Ja go lepiej znam niż ty. Wiem, jak traktuje dziewczyny. Najgorsze, że zawsze się przechwala przed kolegami i takie głupie, jak ty, mają już przechlapane w całej okolicy. Już zapomniałaś historię Ilony? A jak myślisz, że on się dla ciebie zmieni, bo się zakochał, to się mylisz. On nie zna takich uczuć.

– Żartowałam, żeby zrobić ci na złość. Nic między nami nie było. Trochę się zgrywałam, bo zauważyliśmy, że nas śledzisz.

Dominika nagle zmieniła front. Zaczęła się śmiać i dowcipkować, ale miałam wrażenie, że coś do niej dotarło. Może nie wierzyła we wszystko, co mówił jej brat, ale będzie chyba bardziej ostrożna. Nie wiedziałam, o którą Ilonę chodzi i jaką to historię miał na myśli Patryk.

– Dzieci, wy nas wykończycie. Która to godzina? Zaraz będzie świtać – zauważył przytomnie Krzysztof.

– I przyjdzie Marian z ekipą – westchnęłam.

– Świtać będzie na pewno, ale czy... – odezwał się Patryk.

– Nie kończ! – krzyknęłam. – Bo...

– ...niepozytywne myśli powodują niepozytywne fakty – dokończyły chórem moje pogodzone ze sobą chwilowo dzieci.

Kiedy następnego ranka zadzwonił budzik, byłam kompletnie nieprzytomna. Ostatni dzień wakacji, a ja jestem strasznie zmęczona – mamrotałam do siebie. Krzyś już wcześniej po cichutku pobiegł na przystanek autobusowy. W nocy dręczą mnie moje dzieci, a od rana robotnicy budowlani. Chyba najlepiej było mi w tym szpitalu. I po co ja się tak, głupia, wrywałam do domu? Trzeba było udawać chorą – nadawałam sama do siebie, bo dzieci oczywiście spały w najlepsze. Gadam do siebie – pomyślałam przerażona. Jest niedobrze. Mam kolosalnego doła i jeszcze ta piekielna pogoda sprawia, że zaraz walnę się z powrotem do łóżka. Żeby tak dziś Marian nie przyszedł – pomyślało mi się gdzieś tak zupełnie w głębi czaszki i to

mnie zaraz otrzeźwiło. Musi przyjść, bo jesienne szarugi za pasem, a ja teraz nie mam już praktycznie żadnego dachu nad głową, gdyż stary właśnie zdemontowano. Dzisiejszy dzień to już przedsmak burej jesieni – ciemno, mglisto i ponuro.

Marian zjawił się nieco później niż zwykle i też, zdaje się, zaspłany. Usiadł sobie z braćmi na schodkach i spojrzawszy melancholijnie w niebo, rzekł:

– Mokra. Co to za robota, jak mokro. Leżć tam na ten mokry dach? Nie wiem, czy dzisiaj to jakaś robota będzie. Mokra.

– No, moje ciśnienie właśnie poszło w górę, może i atmosferyczne pójdzie – zawarczałam. – Nie chcę mieć mokro w kuchni, sypialni i wszędzie przez cały rok. To tylko mżawka, panie Marianie.

– No tak, mżawka, ale mokro – mówiąc to, Marian ziewał i pocierał twarz. – Nie wiem, czy jaka robota dzisiaj będzie, ale może pani na razie zrobić kawę.

Wdzięczna za pozwolenie poszłam żwawo do kuchni.

Tego dnia ekipa raczej markowała robotę. A to silnik pilarcze się zaciął, a to wywalały korki. Najchętniej posłałabym ich do wszystkich diabłów i poszła spać, ale musiałam gotować obiad, gdyż taka była umowa z Marianem, że oprócz zapłaty dajemy utrzymanie. Marian ma świadomość, że zdrowie jest najważniejsze, więc pali bez przerwy, potrafi nieźle też popić, ale tylko czystą, bo inne mu szkodzą, i jada zawsze przynajmniej dwa ciepłe posiłki dziennie. Trzeba przyznać, że jest zdrowy. Ja za to czuję się, jakbym miała potwornego kaca. Bolą mnie plecy, nogi i głowa. Nie mam siły nawet obserwować, co wyczynia córunia ze swoim „artystą”. Chwała Bogu, że z Patrykiem na razie spokój, błąka się wokół robotników i wyręcza mnie w posługiwaniu Marianowi i jego ludziom.

Dominika, zdaje się, próbowała swoich sił w hip-hopie, ale Damian, jej guru i ekspert, był dla niej nielaskawy i ciągle krzyczał:

– Daj spokój. Wiesz, jak to wygląda? Tak się tańczy „Jezioro łabędzie”. Głos też masz bardziej do opery. Nie, załatwaj nam raczej kontakty, bo w tym jesteś dobra. Chodź tu bliżej, masz tyle fajnych rzeczy, ale na scenie nie zaistniejesz z takimi ruchami. Wszystko spierdzielisz. Nie pasujesz do breakdance'a – z niewykończonych, a właściwie dopiero zaczętej góry dobiegał jego niski, matowy głos.

Raczej wątpię, żeby ten znawca sztuk widział kiedyś wspomniane „Jezioro łabędzie”, a już na pewno nie był w operze, ale dla

Dominiki stał się wyrocznią. Chodziła więc markotna i co jakiś czas zbiegała na dół, żeby mi pokazać kilka śmiesznych ewolucji.

– No, mamo, czy to wygląda źle?

– Ja tam nie wiem, mnie się w twoim wykonaniu wszystko podoba.

– Przecież ty się znasz na balecie. Możesz mi ułożyć choreografię?

– Wiesz, że babcia ćwiczyła mnie przez kilka lat z niezadowolającym ją skutkiem i w zupełnie innym tańcu. Może babcia byłaby tu bardziej pomocna, ona jest ostatnio bardzo nowoczesna.

– Dominika, nie dobijaj mnie! – wrzeszczał zniecierpliwiony „mistrz”. – Popracuj nad tym ostatnim tekstem, a resztą ja się zajmę i będzie spoko.

Damian widać miał już swoją koncepcję artystyczną i nie dopuszczał żadnych ingerencji, zwłaszcza osób po siedemdziesiątce. A kiedyś starsi przekazywali swoje doświadczenia młodym i była więc pokoleniowa i szacunek dla nestorów, i chyba świat był lepszy. Trochę mnie te sceny z życia domowej bohemy śmieszyły, a trochę smuciły. Kiedyż moja córka przejrzy na oczy i odzyska trzeźwość umysłu? Czy stanie się to po prostu z czasem, czy też muszą zajść jakieś dramatyczne okoliczności? – rozmyślałam.

W tym momencie przed dom zajechało znane mi już przepiękne burgundowe bmw i wysiedli zeń Ewelina i Tomek. Widok Tomka u boku Eweliny, klasowej pozeraczki serc, zaniepokoił mnie. Dotychczas wydawało mi się, że Tomek jest zakochany w Dominice, lecz ona traktowała go nieco instrumentalnie, jako rezerwowego. Zawsze można było się z takim miłym i kulturalnym chłopcem pokazać, pójść na imprezę czy do teatru. Nie było jednak w jej stosunku do niego tego czegoś, co młodzi nazywają chemią. Myślałam sobie, że może ich przyjaźń z czasem ewoluuje w coś więcej, gdyż według mnie ten chłopak byłby wymarzoną partnerem na całe życie. Tymczasem moja córka poczuła feromony fruwające wokół durnego, chamowatego osiłka z estradowym zadęciem i zanim się opamięta, flirciara Ewelina zdmuchnie jej sprzed nosa naprawdę wartościowego chłopaka – myślałam, lecz nic nie mogłam na to poradzić.

– Mamo, ja się dzisiaj spakuję i pojedę do Eweliny, bo żeby zdążyć do szkoły, musiałabym wyjechać o siódmej, a mamy rozpoczęcie dopiero o dziewiątej. A tak w ogóle, wymyśliłyśmy, że na razie pomieszkam u niej. Nie chcę mieszkać w tej okropnej

bursie. Rodzice Eweliny się zgadzają, już pytała – Dominika trajkotała, jak zawsze, kiedy chciała, żebym nie miała czasu zastanowić się nad jej propozycjami. – Właśnie dlatego Tomek przyjechał samochodem, żebym nie musiała z torbami jeździć autobusem.

Czyli znów Tomek został potraktowany instrumentalnie – pomyślałam z przykrością.

– To, że ty zamieszkaś u Eweliny, nie rozwiązuje problemu, gdyż Patryk też gdzieś musi mieszkać, a mielibście być razem w internacie – zauważyłam z przekąsem.

– Patryk także może u mnie mieszkać – zaproponowała szybko Ewelina. – Nasze mieszkanie jest trzypokojowe i byłoby mi różniej z nimi. Boję się sama, zwłaszcza wieczorami i w nocy.

– Ja jutro nie jadę do szkoły – odezwał się Patryk.

– Znowu zaczynasz te swoje głupoty?! – napadłam na niego.

– Nie. Wiem, że muszę skończyć szkołę. Ale jutro będą tylko uroczystości. Szkoda czasu. Domka mi wszystko powtórzy. A co do mieszkania, to jeszcze zobaczymy. Dzięki za propozycję, ale się trochę boję.

– Mnie? – Ewelina rzuciła mu uśmiech i przeciągłe spojrzenie prawdziwej kokoty.

– To nie to, co myślisz, kochanie – odpowiedział jej z szelmowskim uśmiechem Patryk. – Obie razem byście mnie zbytnio zdominowały.

– Ja bym ci chętnie zaproponował wspólne mieszkanie, ale moi rodzice się nie zgodzą – powiedział cicho Tomek.

– Tomku, nikt nie oczekuje od ciebie... Rozumiemy, że nie jesteś samodzielny – pośpieszyłam z odpowiedzią. – Patryk i Dominika mają miejsca w bursie.

– Mamuś, nie chciałam wam marudzić, ale tam jest strasznie. Jeśli mogę u Eweliny, to zgódź się – błagała Dominika. – Patol, głupolu, najwyżej będziesz wynosił śmieci. Nic ci więcej nie grozi, bo do niczego się nie nadajesz.

– Dzięki, siostró, za wspierającą charakterystykę – odparł z przekąsem Patryk.

– Nie podejmę sama decyzji. Wieczorem porozmawiamy z tatą – stwierdziłam w sposób stanowczy i wyważony, jak Grażynka z misyjnego serialu „Klan”.

– A gdzie się podział Damian?! – Dominika nagle przypomniała sobie o swoim „artyście”.

Okazało się, że tkwi on jak urzeczony przy przepięknym bmw.

Ogląda, głaszcze, podziwia i przymierza się do jazdy. Przez moment odniosłam wrażenie, że Dominika jest zazdrosna o to auto.

– Damian, chodź do nas! – krzyknęła.

Chłopak tylko wychylił się przez okno i odkrzyknął:

– Chodźcie wy! Pokażę wam, jak powinno się jeździć taką bryką!

– Ostrożnie! – wrzasnęłam na wszelki wypadek. – Masz przy sobie kluczyki? – zapytałam z nieukrywanym lękiem Tomka.

– Mam, mam. Ale mogę mu dać się przejechać – powiedział uprzejmie Tomek.

– Nie! – krzyknęłam równocześnie z Patrykiem. – Nie ryzykuj własnością rodziców – dodałam szybko.

– Damian, nie bądź dziecinny! Chodź do nas, musimy zrobić jakiś plan – upierała się Dominika.

„Artysta” z ociąganiem wyszedł z samochodu i doszedłszy do młodych, wyciągnął rękę do Tomka, na Ewelinę w ogóle nie zwrócił uwagi.

– Szacun, stary. To jest gablota – powiedział. – Chociaż ja bym wolał ferrari.

Potem już rozmowa całej grupy, z wyjątkiem Patryka, który wrócił do pracy z Marianem, dotyczyła muzyki i nowego terminu przejazdu. Damian chyba ochłonął trochę, bo zauważył wreszcie wdzięczne manewry Eweliny. Śmiała się głośno, przechylając do tyłu głowę, potrząsała bujnymi, ufarbowanymi na rudo włosami, a w końcu rozpięła koszulową bluzkę, by wyeksponować obfity biust. Niedawny admirator mojej córki zaczął naśmiewać się przy wszystkich z jej nieudolnych poczynań w hip-hopie i patrzył na jej przyjaciółkę jak przed chwilą na kosztowne auto. Dominika przycichła, przygasła, a ja poczułam ulgę. Było to niezbyt szlachetne uczucie. Miałam nadzieję, że niebezpieczeństwo, któremu na imię Damian, oddała się od mojej córki, ale... Nic nie mogę przecież na to poradzić, że następną cma zobaczyła świeczkę – pomyślałam, rozgrzeszając się.

Tomek z Eweliną zostali u nas do wieczora. Damian zorganizował za naszą stodołą miejsce do grania dla całego zespołu. Zjechali pozostali chłopcy i przy okazji przyprowadzili naszą naprawioną i pięknie polakierowaną corsę. Nie miałam czasu przyjrzeć się i przysłuchać ich próbie, gdyż musiałam nagotować sporo jedzenia. Ponadto trzeba było pomyśleć już o wyjeździe męża, a także o sobie, bo raczej nie mogłam w dresach zjawić się na rozpoczęciu roku. Od czasu do czasu, gdy wychodziłam przed dom zawiesić

kolejną partię prania, dochodziły mnie okrzyki zachwyty wydawane przez Damiana nad improwizowanymi przez Ewelinę ewolucjami. Powierzył jej też jakiś tam wtór, czyli chyba jednoosobowy chórek. Dość, że Dominika była coraz bardziej zgnębiona, a Tomek znużony, ale jako dżentelmen wciąż udawał zainteresowanie.

Gdy ekipa Mariana zesła z rusztowania, opuścili też moje włości hiphopowcy. Dominika, szykując się do Eweliny, miała już mniej entuzjazmu dla idei wspólnego zamieszkania, więc bez dyskusji wzięła tylko rzeczy na jeden dzień. Patryk uparł się jak osioł i nie pojechał do Kielc, ale w ostatniej chwili do samochodu Tomka wpakował się Damian, który powinien następnego dnia zainauguować rok szkolny na miejscu, w Swarowicach Wielkich.

15. SZKOŁA

Rano obłąd. Marian strasznie ochoczy do pracy, tylko brak mu drutów, gwoździ, haków, śrubek, wiertel i różnych innych rzeczy, które, moim zdaniem, fachowiec powinien załatwiać sam. Spisałam jednak długą listę jego życzeń i przyrzekłam, że postaram się ją zrealizować w drodze powrotnej ze szkoły. Kawę panom majstrom miał zaparzyć Patryk.

Krzysztof nie wrócił z Warszawy i jeszcze dziś go nie będzie. Zadzwonił wczoraj z podążającego na Mazury ekspresu Warmiak, do którego wsiadł pod wpływem impulsu. Dotąd nie wiedziałam, że potrafi ulegać impulsom. Postanowił się pożegnać z rodzicami i wszystko im na spokojnie wytłumaczyć. Jak będzie wracał, odbierze przy okazji jeszcze jakieś niezbędne papiery i już może się pakować.

Rok szkolny, jak zwykle, zaczęliśmy mszą świętą. W kościele z trudem rozpoznałam niektóre uczennice. Stwierdzam, że dziewczyny najbardziej starzeją się w wakacje między pierwszą a drugą gimnazjalną. W tamtym roku były to jeszcze dziewczątka, a dziś wypindrzone kokoty, poubierane tak, jakby miały tańczyć w nocnym lokalu na rurze. Myślę, że z rodzicami też jest coś nie tak. Przecież te dziewczynki wyszły rano z domu i ktoś z domowników je chyba widział. Chłopcy, poza kilkoma ufarbowanymi i artystycznie nastroszonymi łbami, na ogół wyglądali normalnie. Miło jednak ich wszystkich widzieć takich uśmiechniętych i wypoczętych. Może polubiłam wreszcie bycie nauczycielką?

Po uroczystej inauguracji czekała mnie niemiła wiadomość. Dyrektor był zażenowany. Nie wiedział, jak zacząć. Przedstawił mi młodą polonistkę, która będzie u nas pracować na pół etatu. Robię wielkie oczy.

– Czyżby dorzucili nam godzin z polskiego? Na pewno będzie to korzystne – mówię naiwnie.

– Nie, pani Renata dostanie część twoich godzin. Musiałem zabrać ci dwie klasy i wychowawstwo – dyrektor mówiąc to, patrzył w ziemię.

– To ja mam teraz też tylko pół etatu? Tak chyba nie wolno – dziwię się oszołomiona.

– Będziesz uzupełniać etat nauczaniem indywidualnym. Tak się szczęśliwie składa, że w tym roku mamy dwoje uczniów niepełnosprawnych i jedna zaszła w ciążę – mówi bez sensu dyrektor i uśmiecha się przepraszająco. – O Boże, co ja z tego wszystkiego wygaduję?! Oczywiście nie cieszę się z niesprawności uczniów, chodziło mi o to, że miałem czym dopełnić ci etat. Nie dostaniesz też obiecanej nagrody wójta, ale postaram się dla ciebie o nagrodę kuratora. Tyle sukcesów artystycznych naszej młodzieży przecież tobie zawdzięczamy. Szkoda, że od razu o tym nie pomyślałem. Jest mi strasznie głupio, ale nie miałem wyboru. Wiesz przecież, o co chodzi.

Wiem, ale myślałam, że mnie to nie dotknie. Nie miałam żadnych zatargów z wójtem. Czuję się głupio. Część koleżanek próbuje mnie na stronie zapewnić o swoim poparciu i współczuciu, inne podpuszczają, żeby się poskarżyć wyżej.

– Masz kogoś znajomego? Nie daj mu się – zagrzewa mnie do walki osoba, która podobno niedawno prosiła wójta na chrzestnego swojej wnuczki, ale się wykręcił. Teraz jest jego wrogiem numer jeden.

Znajomych, owszem, mam, ale chyba nie o takich znajomych tu chodzi. Jestem nieprzystosowana do życia w naszej nowej demokracji, tak jak mój ojciec nie umiał żyć w PRL. Moi koledzy, starsi i młodsi, wszyscy rozumieją, że na klikę trzeba mieć swoją klikę. Może Grażyna miała rację, że w dużym mieście jest łatwiej, bo są różne inne możliwości, władza dzielnicowego samorządu nie sięga tak daleko, jak w gminach. Nie ma też takich powiązań rodzinnych i towarzyskich, które dodatkowo umacniają klikę.

Właściwie w ten sposób będę miała mniej zeszytów do sprawdzania – pocieszyłam się po chwili, gdy minęła mi pierwsza złość. Obowiązki wychowawcy zawsze mi ciążyły. Prowadzenie dzienników, to cholerne wyliczanie obecności, wywiadówki i cała odpowiedzialność za postępowanie ucznia, którego nie sposób ogarnąć, bo nie można go kontrolować, za marne parę groszy – czego tu żałować? Dzięki, wójcie. Nie wiem, czy sprostam nowym zadaniom. Nie czuję się do nich przygotowana merytorycznie, nikt na studiach nie uczył nas postępowania z uczniem niepełnosprawnym, ale się postaram.

– Jeden z uczniów jest niewidomy – pedagog usiłuje w skrócie przekazać mi wiedzę o moich nowych podopiecznych. – Chłopak miał guza mózgu i w wyniku operacji stracił wzrok. Nie może się pogodzić ze swoim kalectwem, jest zbuntowany, nie chce słyszeć o

żadnej nauce. Druga uczennica ma poważne porażenie mózgowe. Jest całkowicie uzależniona od matki, ale zawsze uśmiechnięta i chętna do współpracy. Lekcję prowadzi się bardziej z mamą niż z nią, gdyż kontakt z dziewczynką jest mocno utrudniony. Ciężarna to znana ci z zeszłego roku uczennica, która ma powtarzać drugą klasę. Nie wiadomo, co u niej zastaniesz, bo tam jest bardzo skomplikowana sytuacja rodzinna.

Na korytarzu podchodzi do mnie wuefistka, ale sprawdza najpierw, czy nikt nas nie widzi.

– Ale cię cham załatwił, co? A olej go – mówi językiem bardzo młodzieżowym, bo sama jest młodziutka. – Ja bym na twoim miejscu nie przygotowała już żadnej akademii, żadnego przedstawienia. Zrobić swoje i do domu.

– Tylko że ja prowadzę ten teatr i bawię się w redagowanie gazety szkolnej bardziej dla siebie niż dla młodzieży – mówię zupełnie uczciwie. – Może zejdę z tą działalnością do podziemia, żeby nie dawać oprawy uroczystościom gminnym, ale nie wyrzeknę się tego, co daje mi najwięcej satysfakcji.

– Jesteś nawiedzona – stwierdza Irenka i biegnie do uczniów na boisko. Już pierwszego września zaczyna przygotowywać ich do turnieju w siatkę. Robi to bezpłatnie i całkiem bezinteresownie, pozostając po godzinach w szkole.

– Ty też jesteś nawiedzona! – krzyczę za nią.

Ile fajnych babek tu pracuje – myślę sobie. Wszystkie mają wyższe studia, kończą podyplomówki, robią te idiotyczne awanse, wychowują dzieci, często jeszcze pracują w polu, bo mąż prowadzi gospodarstwo albo rodzicom trzeba pomóc. W większości ich mężowie nie sięgają im do pięt, ale bywa, że swoje kompleksy odbijają pięścią na twarzach własnych żon. Z facetami w ogóle coś złego się dzieje. Ci na przykład, którzy trafiają do zawodu nauczyciela, to jakieś odrzuty – bez ambicji, bez polotu, za to z gwarantowaną szansą na stanowisko dyrektora. Tę analizę socjologiczną przeprowadziłam już w drodze do sklepu z wszelkim żelastwem. Zapakowałam drobnicę, ale kątowniki i płaskowniki nie zmieściły mi się do samochodu. Otworzyłam przednią szybę i wypuściłam je na zewnątrz. Sukces. Triumfalnie wracam do domu. Tapicerka trochę ucierpiała, niestety.

Mariana już nie ma i nie będzie przez kilka następnych dni. Do stał cynk, że we Francji jest interes do zrobienia. Ma sprowadzić dwa nagrane przez kuzyna samochody. Pojechali więc jak jeden mąż wszyscy trzej Gaikowie. Zastanawiam się, jak oni bez

znajomości jakiegokolwiek języka obcego dają sobie radę w każdym kraju Europy. Pewnie i dalej poradziłyby sobie doskonale. Wyjeżdżają niemalże tak, jak stoją, bez przygotowań, bez nerwówki, w klapkach, szortach i z reklamówką. Mają ponadto rodzinę chyba we wszystkich strategicznych miejscach świata, jak mafia. I zadrzyj tu z takimi. Piekłę się, ale mam świadomość, że to nasze bogactwo narodowe. Nie mogę nic poradzić, pozostaje mi tylko czekać.

Patryk szykuje się na jutro do szkoły, a Dominika właśnie wróciła od Eweliny i przekonuje Patryka, że lepiej jest mieszkać w internacie niż w tej fałszywej szczęści. Domyślam się, że poszło o Damiana i zacieram ręce. Na wszelki wypadek nic nie doradzam, tylko czekam na ustalenia. Dobrze, że nie zawiadomiłam o rezygnacji z miejsc w internacie.

– Mówiłem ci, żebyś sobie dała z nim spokój – triumfuje Patryk. – On taki jest, że nie przepuści żadnej okazji. A Ewelina też nie potrafi się powstrzymać, ona musi podrywać, taki wewnętrzny imperatyw. Tylko Tomek jest na nią odporny, z nim też próbowała swoich sztuczek.

– On to akurat jest na wszystko odporny. Brak mu testosteronu. – Dominika jest niesprawiedliwa wobec tego miłego chłopca, więc czuję się w obowiązku stanąć w jego obronie.

– Tomek potrafi trzymać swoje popędy na wodzy. To nie brak testosteronu, a kultura. A ten twój artysta jest jak...

– On nie jest wcale mój i ja go nie chcę, tylko wam robiłam na złość! – wykrzyknęła histerycznie Dominika i zatrzęsnęła drzwi łazienki.

– No, takiej, córeczko, to cię jeszcze nie widziałam. Co tam się wczoraj wydarzyło? – pytam, stojąc za drzwiami.

– Nic, ale on uważa, że Ewelina będzie rewelacyjna na scenie, bo jest sexy. A ja to nie jestem?

– Ależ jesteś, tylko inaczej – pocieszam ją w najgłupszy możliwy sposób, a ona chlipie.

– To znaczy jak? Tylko dla jakichś zбочeńców czy co?

– Dla inteligentnych – Patryk wchodzi mi w słowo i ratuje sytuację.

Dominika zapłakana wychodzi z łazienki, patrzy z wdzięcznością na brata.

– Mamo, zawieź nas do internatu – chlipie. – A jak ten głupek tu przyjdzie, powiedz, że nie wiesz, gdzie teraz mieszkamy.

– Dobrze. To jest oczywiste, że nie wiem, gdzie mieszkają

moje dzieci. Nie martw się. Przegonię go z największą radością.

– Nie, on się nie może dowiedzieć, że mnie to dotknęło! – protestuje Dominika. – Mnie przecież nie chodzi o niego, tylko tak w ogóle.

– Jak sobie życzysz, córuś. Będę się przed nim ukrywać, bo nie wiem, co powiedzieć.

– Ty się ze mnie nabijasz, a mnie jest przykro. – Dominika zarzuciła mi szczuplutkie ramionka na szyję i przytuliła się jak za dawnych lat.

W uścisku poczułam jej drobne kosteczki i wiotką kibić. Mogłaby być faktycznie łakomym kąskiem dla pedofila, gdyż mimo prawie osiemnastu lat ma sylwetkę bardzo młodego podlotka. O ile pamiętam, miałam w jej wieku ten sam problem i zazdrościłam Goście solidnego cyca i zadka. Taki już los kobiet w naszej rodzinie – pomyślałam.

Wieczorem rozkoszowałam się samotnością i spokojem. Buszowałam po Internecie w poszukiwaniu literatury na temat nauczania dzieci upośledzonych i zaczęłam się uczyć alfabetu Braille'a. Na zakończenie jakiś diabeł mnie podkusił, żeby zajrzeć na Naszą Klasę. Rafał zasypywał mnie co dzień prośbami o kontakt. Odpowiedziałam króciutko, że jestem szczęśliwą mężatką, matką dwójki dzieci oraz że mieszkam i pracuję na wsi. Odpowiedź nadeszła niemalże natychmiast. „Ja nie mam szans na szczęście, ale sam jestem sobie winien. Cieszę się, że jesteś zadowolona ze swego życia. Chciałbym choć od czasu do czasu usłyszeć twój głos” – pisał. „Za dużo chcesz” – odpisałam i wyłączyłam komputer.

Jeszcze co? – pomyślałam wzburzona. Najpierw podaj mi telefon, potem adres i ani się spostrzeżesz, będziesz go miała znów w swoim życiu, w swojej głowie, a w końcu wygramoli się gdzieś z zakamarków serca. Tyle lat przeżyłam bez niego i było mi dobrze. Trzeba zająć się domem, bo mąż jutro wróci. Na weekend zaprosiłam siostrę i mamę. Zrobię takie rodzinne pożegnanie Krzysia, a przy okazji uczymy jego urodziny. I tak oto szczęśliwie pochłonęły mnie najbliższe plany, bieżące sprawy domowe i zupełnie nowe zadania pedagogiczne, a Rafał odpłynął gdzieś daleko.

Odbyłam pierwsze lekcje z moimi indywidualnymi uczniami. Do Dorotki, tej z porażeniem mózgowym, nie będę jeździć. Mama poprosiła, żeby ze względu na trudne warunki mieszkaniowe udostępnić jej jakieś pomieszczenie w szkole. U nas w szkole też jest trudno o wolną klasę, ale jakoś damy radę. Dorotka będzie się uczyć w bibliotece, a czasami także uczestniczyć z młodzieżą w

różnych ciekawych zajęciach. Nasi uczniowie mają do niej bardzo pozytywny stosunek. Pomagają wtaszczyć ją z wózkiem na piętro, bo winda, choć właśnie na takie okoliczności przewidziana, na ogół bywa nieczynna. Dorcia uśmiecha się do wszystkich od ucha do ucha. Ma właściwie stale otwarte usta. Za duży język chyba przeszkadza w ich domknięciu. Zęby też rosną jej jakoś dziwnie, jakby w dwóch rzędach. Ma przykurcze rąk i całkiem prawie bezwładne ciało. Jeśli głowa straci kontakt z oparciem i zwiśnie jej na piersi, dziewczynka nie jest w stanie sama jej podciągnąć. Z kąci-ków otwartych ust płynie ślina, która burzy się na jej mięsistym języku, gdy Dorotka usiłuje artykułować jakieś wyrazy.

Pierwszy kontakt z nią wydał mi się dość szokujący. Staralam się patrzeć gdzieś powyżej jej głowy, ale wtedy porozumienie było w ogóle niemożliwe. Dorotka próbuje mówić, lecz robi to bardzo niewyraźnie i trzeba, słuchając jej, patrzeć także na usta. Po chwili oswoiłam się z jej widokiem. Zauważyłam, że ma śliczne błękitne oczy i ładne kręcone włoski. Jest czyściutka, schludnie ubrana i swoją naukę traktuje bardzo serio. Równie serio uczestniczy w lekcji mama, która jest tak oddana córce, tak blisko z nią związana, że stanowią jakiś swoisty jeden twór intelektualny i emocjonalny. Dorotka dzięki niej jest w stanie nauczyć się znacznie więcej, niż przewidują programy dla dzieci z takim upośledzeniem umysłowym, zwłaszcza w zakresie literatury i historii. Słucha wszystkiego uważnie i rozumuje logicznie. Ma jednak słabą pamięć. Po lekcji jestem zadowolona, ale i bardzo zmęczona.

Gorzej sprawa wygląda z niewidomym chłopcem. Siedzi naburmuszony i nie odzywa się w ogóle do nauczycieli. Gada za to jego matka, która każdej nowej nauczycielce chce przekazać całą historię choroby syna z nazwiskami lekarzy i datami kolejnych zabiegów. Wyciszam ją po chwili i proszę, żeby zostawiła nas samych. Proszę chłopca, żeby pokazał mi książkę pisaną brajlem. Jurek podaje mi ją bez słowa. Rozkładałam swoje materiały ściągnięte z Internetu i zaczynam dukać. Idzie mi beznadziejnie. Specjalnie przekręcam niektóre wyrazy, żeby wychodziły zabawne zestawienia i oboje zaczynamy się śmiać. Pierwsze lody pękają. Jurek ma maszynę do pisania brajlem, więc proszę, żeby coś napisał, a ja postaram się odczytać. Daje się namówić. Rozszyfrowałam, że napisał słowo „śmierć”, ale ja czytam „śmierdzi”. Pytam, czy otworzyć okno. Jurek znów się śmieje. Pytam, co lubi. Odpowiada już normalnie, że zwierzęta. Obiecuję przywieźć na następną lekcję mojego ulubionego zwierzaka.

– Ja się nie chcę uczyć, bo to nie ma sensu – odzywa się nagle Jurek. – Umrę niedługo i nie będę marnować czasu na naukę.

– Nie wiem, kiedy ty umrzesz, i nie wiem, kiedy ja umrę – mówię z pewnym namysłem. – Ale jeśli czasu jest niewiele, trzeba go dobrze wykorzystać. Nudzisz się, kiedy przychodzą do ciebie nauczycielki?

– Okropnie – odpowiada szczerze chłopak.

– To marnujesz ten czas. Rób coś, co cię interesuje.

– A co ja mogę robić? Nigdzie sam nie pójdę, a matka pilnuje, żebym miał lekcje.

– A co byś robił, gdyby nauczycielki nie przychodziły? – pytam dalej.

– Nic. Siedział w pokoju i słuchał telewizji.

– A nie lepsze płyty z nagranyymi książkami?

– To kłopot załatwiać, a ja w domu nie mam.

– Jak mi się uda jakąś załatwić, to wysłuchasz?

– No, może i wysłucham, jak mi się zachce. A co potem? Będzie mnie pani odpytywać?

– Myślałam raczej, że porozmawiamy sobie o tej książce. Jaką powieść ci zamówić? Lubisz podróżnicze, przygodowe, historyczne, kryminały czy może fantastyczno-naukowe?

– A to nie musi być lektura?

– Nie, skądże znowu.

– Ja się na książkach nie znam, ale żeby była śmieszna.

– Dobrze, postaram się. Masz kolegów?

– Kiedyś miałem, ale przestali przychodzić. Nie chcę nikogo widzieć.

– To akurat masz jak w banku, że ich nie zobaczysz – ryzykuję dowcip na temat jego kalectwa.

– No fakt – odpowiada z uśmiechem. – Wie pani, o co mi chodzi. Będą się litować, a ja nie chcę litości.

– Pewnie, nikt tego nie lubi. Rozumiem cię, ale znam parę niewidomych osób, które sobie świetnie radzą w życiu i inni zabiegają o ich towarzystwo. Mieszkał w mojej kamienicy taki pan, który stroił fortepiany. Wiesz, jaką kasę za to brał? Miał żonę, dzieci i uroczonego psa. Chodziłam z jego córką do szkoły i bardzo zazdrościłam jej tego psa, a i taty czasami też, bo zawsze wracał do domu, a z moim to różnie bywało. Dziś muszę już lecieć. Napisz mi coś o sobie na tej swojej dziurkarce. Ja się będę wprawiać w odczytywaniu. Zobaczysz, czy zrobiłam postępy, postawisz mi stopień. Dobrze?

- Ja pani?
- No tak. Ty nie masz ochoty się uczyć, a ja chętnie zdobędę jakąś umiejętność. Czas jest zbyt cenny, żeby go marnować.
- A co pani powie mamie?
- Prawdę, że się uczymy.
- Jutro pani przyjdzie ze zwierzakiem?
- Tak. Nie wiem, czy zdążę na następną lekcję z tą książką, ale zwierzaka masz na pewno.
- Szybko ta lekcja zleciała – mówi Jurek.
- Mnie też było miło. Ty mnie uczyłeś, ale nie mów o tym nikomu – mówię konspiracyjnym szeptem.

Okazało się, że kocham nauczanie indywidualne. Tu nie ma miejsca na rutynę. Każda lekcja to wyzwanie. Muszę ukrywać swoje zadowolenie, bo jeśli wójt się dowie, ile frajdy dają mi takie zajęcia, zaraz mi je odbierze. U ciężarnej jeszcze nie byłam, podobno choruje. Trochę więc ten tydzień był ulgowy, ale już w piątek zaczyna się weekendowy obłęd.

Najpierw wrócił mąż i od progu zastrześlił mnie wiadomością, która kompletnie wyprowadziła mnie z równowagi.

- Ty wiesz, że Ania już od roku pracuje w Liverpoolu? – zapytał, jakbym ja się interesowała życiem jego niedoszłej. – To jest niedaleko mojego szpitala. Będziemy się mogli widywać w weekendy. Razem będzie nam raźniej – cieszył się.

Zrobiło mi się gorąco z wrażenia. Do tej pory nigdy nie byłam zazdrosna o swojego męża. Zresztą nie dawał mi powodów. Patrzyłam teraz, jak pakuje swoje okręciki w pudełeczka, jak je pieczołowicie przyszywa do specjalnie dociętych tekturek, jak wypala duplikaty swoich ulubionych płyt i dostrzegłam, że kompletnie zmieniło się jego nastawienie do wyjazdu. Niedawno czuł się prawie wygnańcem, który dla dobra rodziny wyrusza na zsyłkę. Teraz planował sobie rozrywki, układał już trasy wycieczek i cieszył się na spotkanie z przyjaciółką z młodości. Jako dobra żona powinnam się radować razem z nim, ale nie mogłam, bo piekła mnie i paliła zazdrość.

Czy to znaczy, że nie mam do męża zaufania? Ależ skąd, jest on najbardziej godzien zaufania ze wszystkich ludzi, jakich znam. Ale znam też trochę życie, mam wyobraźnię i wiem, że są takie sytuacje, które zbliżają ludzi. Nasza rozłąka będzie działała na moją niekorzyść. Ciągłe podkreślanie przez teściową zalet Ani i przypisywanie mi najgorszych cech też może mieć znaczenie. Doktor Ania jest wolną osobą, nie ma żadnych zobowiązań. Kiedyś kochała się w

moim mężu, więc dawne uczucie może powrócić. Wystarczy chwila słabości i odpowiedniej atmosfery, a nasze życie może wywrócić się do góry nogami.

Gdy tak patrzę na niego, chciałabym powiedzieć: nie jedź, ale teraz jest za późno. Mąż duchem jest już w nowej rzeczywistości. Myśli o pracy w obcym kraju, obcym szpitalu i trudno się dziwić, że przeżywa stres. Wiadomość o starej przyjaciółce w sposób naturalny ten stres zmniejszyła. Nie mogę mieć do niego pretensji i nawet ujawnić dręczącego mnie uczucia zazdrości. Ale czy dam sobie z tym radę? Czy to jest jakieś przeznaczenie, że los rzucił ich w te same okolice Wielkiej Brytanii? Ja chyba zwariuję albo pojedę razem z nim.

16. POŻEGNANIE

Pożegnalna uroczystość Krzysia przyjęła formę grilla w sadzie. Może to już ostatnia taka okazja w tym roku. Zresztą w domu nie mieliśmy jeszcze warunków do robienia przyjęć. Pogoda nam wyjątkowo dopisała. Siedzieliśmy z mamą, siostrą i szwagrem przy Krzysiówym stole. Mąż był uśmiechnięty i wyluzowany po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął zajmować się formalnościami związanymi z wyjazdem i zabezpieczeniem mnie na słomiane wdowieństwo.

Trzeba przyznać, że grillowanie nie wychodzi nam najlepiej. Wprawdzie starannie marynuję mięsa w ziołowo-miodowych zalewach, upieram się jednak, że do kobiety należy wyłącznie przygotowanie sałatek, sosów i wstępna obróbka mięsa, więc nie mam zamiaru czuwać jeszcze nad jego pieczeniem. Krzysia zajmuje niestety bardziej puszczenie muzyki niż doglądanie tego, co na ruszcie. W efekcie najczęściej niweczy moje starania. Teraz również żuliśmy wysuszoną zbytnio karkówkę, a mąż obracał udka, które miejscami już poczerniały. Nagle moja siostra wypaliła z pełnymi ustami:

- Zostanę babcią!
- To świetnie! – krzyknęłam równocześnie z Krzysiem.
- Raczej nie – powiedziała jakoś dziwnie Zyta.
- To ja będę prababcią? – zaniepokoiła się moja mama.
- No wiecie! Nowy członek rodziny ma przyjść na świat, a wy co? – próbowałam je zawstydzić, bo na pewno egoistycznie pomyślały, że to je postarzy.
- Widzę, że Wiktoria ma zamiar się ustatkować – podjął temat Krzyś.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Szwagier pochłaniał karkówkę i skupił na niej całą swą uwagę.

– To tam w Paryżu poznała kogoś? Francuz? – dopytywała mama. – Oni potrafią być namiętni – stwierdziła z tęsknotą w głosie kandydatka na prababcię, która już wyraźnie pogodziła się z faktem, iż wnuczka będzie miała zagranicznego męża.

– Namiętny może jest, ale jaki tam z niego Francuz. Jest czarny, nosi dredy, stale się uśmiecha i gra w zespole reggae – siostra

wyrzucała z siebie informacje o najnowszym lubym córki, które jakiś czas skrywała przed nami.

– Nie masz chyba uprzedzeń rasowych? – zapytałam.

– Rasowych? – zastanowiła się Zyta. – Nie, rasowych chyba nie. Ale nie wierzę w szczęśliwe połączenie tak odległych kultur.

– Nasza córka jest bardzo otwarta na... – chciał coś powiedzieć Kazio, ale mama mu przerwała.

– Właśnie o to chodzi, że wasza córka zawsze była za dużo otwarta. Otwarta jak nocny sklep, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dla wszystkich. A wy to tolerowaliście.

– No wiesz, mam, jak możesz?! To twoja wnuczka! – zaprotestowała Zyta.

– Miała tam studiować, bo ponoć u nas nie było dla niej odpowiedniego kierunku – dodała z przekąsem babcia. – Już się wyuczyła?

– Pewnie czuła się samotna w obcym kraju i jakiś egzotyczny podrywacz to wykorzystał – usiłował tłumaczyć córkę Kazio, który zawsze akceptował wszelkie fanaberie Wiktorii.

– No to teraz studiuje kulturę... Jaką to? Skąd on jest? – spytała babcia.

– Z Karaibów – odpowiedział cicho Kazio.

– I co, wezmą ślub? – indagowała dalej babcia.

– O ślubie nawet z nią nie rozmawiałam – przyznała Zyta. – Zapytała mnie szczerze, czy na jej miejscu usunęłabym ciążę. Pierwszy raz właściwie zapytała mnie o zdanie – wyznała rozbijając moją siostrę.

– I co jej odpowiedziałas? – zapytał Krzyś.

– Powiedziałam, że nigdy bym nie zabiła dziecka – ciągnęła Zyta coraz bardziej zdenerwowana. – Ona też stwierdziła, że generalnie jest za życiem. Nie zabija nawet komarów. Powiedziała jeszcze, że spodziewała się po mnie takiej odpowiedzi, bo pamięta, iż chciałam mieć więcej dzieci, więc, jak chcę, ona mi to dziecko urodzi.

– Jak to tobie urodzi?! – Mama tak się przechyliła na ławce, że omal z niej nie spadła.

Trzeba przyznać, że wszyscy byliśmy w szoku. Wiktoria była rozpieszczoną, nawet można powiedzieć rozwydrzoną egoistką, a tu nagle taki niezwykły odruch altruizmu. Urodzi w prezencie dzidziusia mamusi, która właśnie skończyła pół wieku.

– I co, Zyciu, cieszysz się z takiego подарunku? – zaśmiałam się, choć temat nie był śmieszny.

– Nie śmieję się. Co byś zrobiła na moim miejscu? Gdybym powiedziała, że dziękuję, wołę na starość koty, ona by to dziecko usunęła, jak niektórzy ludzie topią niechciane kocięta, mimo że nie zabija komarów.

– Dobrze zrobiłaś – powiedziałam. – A może jej się jeszcze odmieni, może poczuje instynkt macierzyński i będzie je wychowywać?

– Nie wiem, czy byłoby to najlepsze dla tego dziecka. Przyjrzałam się trochę jej życiu – powiedziała cicho Zyta. – Jak doszło do tego, że tak ją wychowaliśmy? Ona chyba nie ma żadnych uczuć. Tego marleya też raczej nie kocha. On jest bardzo świeżym imigrantem i nawet wydał mi się dość sympatyczny, ale nie da jej żadnego wsparcia. Sam ma minimalne potrzeby i wymagania. Myśli tylko o ściągnięciu do Francji swojej całej czterdziestoosobowej rodziny. Sugerował nawet, że mógłby przenieść się do Polski.

– Jeszcze tego brakowało – Kazio się zaniepokoił chyba, że cała ta familia może mu się zwalić na głowę.

– Wiktoria wkrótce wróci do domu, bo nie chce, żeby on się dowiedział, że będą mieli dziecko – dodała Zyta.

– To bardzo źle – powiedział Krzysztof. – On przecież ma prawo wiedzieć.

– Wiesz co? Lepiej niech nie wie – Kazio już zdecydował, że sam rozwiąże kolejny problem swojej córeczki. – Jej dziecko wychowamy, ale całej rodziny marleya na utrzymanie nie wezmę. A może on ma tam jeszcze pięcioro takich malutkich, ślicznych marlejętek z dredzikami?

– A to Wiktoria ma dziecko z tym sławnym Bobem Marleyem? On mimo sławy wciąż jest taki biedny? – zdezorientowana mama nagle zadała pytanie, które nas wszystkich rozbroiło.

– Babciu, coś ty?! Bob Marley już dawno nie żyje. – Patryk, który niepostrzeżenie stanął za moimi plecami, bił się po udach ze śmiechu. – Domka, słyszałaś?! Babcia myślała, że Wiktoria jest w ciąży z Bobem Marleyem! – wołał, zataczając się ze śmiechu.

– Co się śmiejesz ze staruszki, nicponiu – babcia śmiała się również i przytulała swego ukochanego wnuczusia. – Tak mi się też zdawało i dlatego się zdziwiłam. Tylu sławnych ludzi stale umiera. Kto by to spamiętał? Kiedyś, jak człowiek umarł, to go nie było, a teraz...

– Babciu, czy coś się zmieniło w tej kwestii, a ja nic o tym nie wiem? – już wnusia przybiegła, żeby nabijać się z babci.

– No tak, umiera i wciąż go puszczają w radiu i czasem nawet

pokazują w telewizji – tłumaczyła sensownie babcia. – No to mówicie, że moja wnuczka będzie miała dziecko z takim kolorowym z tymi pokudlonymi warkoczami? – Mama załamała ręce. – Będę prababcią, a tak niedawno ja rodziłam moje córki. Ile to lat temu, Asiu, ciebie urodziłam? Wróciłam z waszym ojcem z kawiarni, gdzie byliśmy na lodach, i dostałam gwałtownych skurczów porodowych. A on beczelnie powiedział, że to histeria. Nie chciał wierzyć, że poród mógł rozpocząć się tak nagle. Z Zytką zapowiadałam cały miesiąc wcześniej, zanim naprawdę pojechałam do szpitala. A ciebie omal nie urodziłam w domu. I po co było w ogóle rodzić dzieci takiemu nieczulemu egoiście? – Mama wpadła w prawdziwy trans. – Człowiek jest głupi za młodu, myśli, że miłość trwa wiecznie. Dopiero jak byłam chyba w wieku Asi, to zmądrzałam. Zrozumiałam, że świat jest pełen prawdziwych mężczyzn i nie warto marnować życia dla jednego nieudacznika, który w dodatku nie był nadzwyczajny w łóżku.

– Dzieci! – wrzasnęłam i rozejrzałam się w popłochu, gdyż zdawałam sobie sprawę, że babcia jest zdolna zapomnieć się do tego stopnia, iż za chwilę jej wnuki usłyszą pikantne szczegóły pożycia małżeńskiego dziadków. – Idźcie może poszukać w sadzie jabłek.

Ale moje „brzdące” już obskoczyły babcię i dopingowały ją do dalszych zwierzeń.

– Babciu, opowiedz, jak to było. My tak lubimy słuchać, jako opowiadasz o dziadku – zachęcała Dominika.

– Nie martw się, kochanie, odmłodzi nas wewnętrznie ten bobas – Kazio na szczęście, zwracając się do żony, kontynuował swój temat i babcia straciła wątek. – A ty, Zyciu, będziesz z nim wyglądała jak mama. Nikt nie pomyśli nawet, że mogłabyś być babcią – podlizywał się żonie, żeby oddalić jej gniew od ukochanej córki.

– Kazio trochę może przesadza, ale będziesz miała naprawdę mobilizujące zajęcie. Tylko jak ty pogodzisz wychowanie dziecka ze swoją pracą? – zaniepokoiłam się.

– Weźmie się opiekunkę – zdecydował ochoczo Kazio. – Z czym przesadziłem? Czy Zytka wygląda na więcej niż trzydzieści lat?

Wszyscy nabrali wody w usta.

– Ty się, Aśka, swoim wiekiem też nie przejmuj – kontynuował szwagier. – Teraz, jak mąż zarobi trochę kasy, będziesz mogła nareszcie zadbać o siebie. Kiedyś byłaś atrakcyjną dziewczyną.

– Dzięki – odpowiedziałam na ten pseudokomplement.

– Sugerujesz, że moja żona źle wygląda? – oburzył się Krzys.

– A co, już się boisz, że wyda twoje funciki w gabinecie kosmetycznym? Typowy mężczyzna! – moja siostra zaatakowała Krzysia. Po alkoholu robiła się bardzo bojowa.

– No widzisz, Zytko, ja ci nigdy nie żałowałam pieniędzy na pielęgnację urody. Skoro lubisz te wszystkie zabiegi, to dbaj o siebie. Ja się cieszę, że mam atrakcyjną żonę i teraz z dzidziusiem będzie ci na pewno do twarzy.

Ciekawe podejście, dzidzius jako apaszka czy kapeluszek – pomyślałam. Szwagier, jak zwykle, wychwalał pod niebiosa w każdym towarzystwie swoją żonę. Potem jednak cierpiał, gdy inni mężczyźni dostrzegali również zalety jego połowicy i pragnęli je sprawdzić osobiście. Zyta i Kazio obracali się w tym samym artystycznym świecie, więc zazwyczaj jakaś usłużna koleżanka uświadamiała Kazia, że rosną mu rogi. Wybuchła wtedy rodzinna afera i szykowano pozew rozwodowy, na którym zarabiał jakiś adwokat. Następnie Kazio miękł i kajał się, że chyba Zytkę zaniedbał i ona chciała w ten sposób pobudzić jego zazdrość. Zyta chętnie to potwierdzała, a Kazio przyrzekał poprawę. Dochodziło wówczas do pojednania i miłość w stadle mojej siostry rozpalala się jeszcze większym płomieniem.

– Ale musicie przyznać, że efekt starań mojej żony o skórę i figurę jest fantastyczny – zrymował podchlibus Kazik, który miał ochotę wciąż drążyć ten sam temat. – Przecież Zytka jest od Asi dużo starsza...

No, to mu się akurat nie bardzo udało, zaraz będzie draka – pomyślałam.

– Nie tak znów dużo – zaprotestowała siostra. – Można by pomyśleć, że z dwadzieścia lat, a to tylko...

– Skończcie już. Jesteśmy sami swoi i dobrze wiemy, że urodziłam się pięć lat później od Zyty, ale życie mnie zniszczyło i teraz mogę uchodzić za starszą siostrę. Tak? To chciałeś mi powiedzieć? – wkurzyłam się trochę.

– Mamo, ty wyglądasz dużo młodziej od cici! – Bliźniaki chciały dobrze, ale zaogniły sytuację. Są jednak kochane, słodkie urwisy, pomyślałam i popatrzyłam na dzieci z rozrzewnieniem.

– Przede wszystkim ty masz taki młodzieńczy sposób bycia – mój kochany synek przymilał się do mnie. Zaraz się dowiem, co zbroił. Ciekawe, czy ma jakiś interes, przemknęło mi przez myśl.

– No właśnie, ubierasz się i zachowujesz jak nastolatka – Dominika, po której donaszam parę ciuchów, powiedziała to w taki sposób, że nie zabrzmiało jak komplement. No cóż, córki, widać, są

bardziej krytyczne wobec matek.

– Skończmy z tym tematem – zaproponowałam.

– Nie denerwuj się, Joasiu, ale to, że nie masz dla siebie czasu i, co tu dużo mówić, także pieniędzy, to wyłącznie twoja wina. Sama tak ułożyłaś swoje życie. Jestem twoją matką, ale obiektywnie muszę przyznać, że mój zięć ma spokojniejszą naturę – mama przybrała mentorski ton. – Kto to widział, żeby tyle razy się przeprowadzać, lecieć gdzieś na drugi koniec świata, narażać siebie i dzieci i wciąż wszystko marnować i zaczynać od zera? I to gdzie zaczynać? W takiej kurnej chacie na zabitej dechami prowincji. Jak sobie na to wszystko popatrzę, to płakać mi się chce. Jaką przyszłość będą miały moje wnuki wychowane na tym zadupiu?

Babci stanowczo przydałaby się cenzura. Wyobraziłam sobie taki pipezący sygnał, który wycinałby niecenzuralne odzywki starszej pani, i zachciało mi się śmiać. Ale w sumie byłam coraz bardziej wściekła, więc wypaliłam:

– A ja myślałam, że wam tu się podoba, bo tak wypoczywacie i chłoniecie to nasze wiejskie powietrze i zdrową żywność. Trochę już, mamo, przesadziłaś z tą krytyką. Zważ, że słuchają cię moje dzieci, a w ten sposób podrywasz mój autorytet i wpędzasz je w kompleksy. Myślisz, że świat się kończy na Warszawie? Tu też żyją ludzie i dzieci się uczą. Niektóre uczą się naprawdę dobrze i robią kariery, jeśli są zdolne, pracowite i wiedzą, czego chcą. Zresztą czemu za wszystko odpowiadam ja? Czy myślisz, że Krzyś jest ubezwłasnowolniony? My wspólnie podejmujemy ważne decyzje i jesteśmy zadowoleni ze swojego życia. Przynajmniej nie jest nudno.

Dlaczego Krzyś siedzi jak mysz pod miotłą i mnie nie wspiera? Czyżby w obliczu następnego wyjazdu miał już zmodyfikowany pogląd na nasze trochę szalone życie? – pomyślałam zaniepokojona.

– Czy ktoś z was zapytał w ogóle dzieci, czego one chcą? Czy chciały przyjść na świat w jakimś Bushbuckridge? – histeryzowała dalej babcia.

– Wiele można już zrobić z płodem, złego i dobrego, ale jeszcze nikt z nim nie pogadał. Wchodzisz, mamo, w sferę science fiction – chyba powiedziałam to trochę za głośno, ale byłam wytrącona z równowagi.

– Mamo, przecież wiesz, że to nie ma sensu – odezwał się wreszcie pojednawczo Krzyś. – Po co wracać do historii sprzed tylu lat? Nikomu nie stała się żadna krzywda, a wspomnienia mamy cudowne i tego, co zobaczyliśmy, nie można przeliczać na pieniądze i domy.

– Ja bym chciała wrócić do Afryki – wtrąciła Dominika. – Lubię, jak jest ciepło. Tam mieliśmy duży dom z podświetlanym basenem, a tu, jak sama powiedziałaś, kurna chata. Może będzie fajnie, jak się to wszystko rozbuduje. Ale kiedy to będzie? W Afryce było cudownie, chociaż właściwie niewiele pamiętam, ale na zdjęciach to wygląda bosko. A poza tym, jak chcesz wiedzieć, to wszyscy mi zazdrozczą, gdy wymieniam miejsce urodzenia. Jest nawet czego zazdrościć. Urodziła się w buszu jak lwica Elza.

– To była gwiazda filmowa. Nie miałabym nic przeciwko takiej sławie.

– Ja bym też chętnie wrócił do Afryki i chodził do tej szkoły dla czarnych, gdzie nie było okien, drzwi i ławek. Pewnie książek też nie mieli i uczyli się tylko polować lub czarownik robił im rytualną inicjację seksualną. Czytałem kiedyś o takich rzeczach – rozmarzył się Patryk, który nigdy nie lubił tradycyjnej szkoły i nauki.

– Czytałeś? A ty w ogóle umiesz, sieroto, czytać? Jeśli umiesz, to dlaczego tak to ukrywasz przed najbliższymi i zrzynasz wszystkie moje wypracowania? – Dominika dopiekła bratu, a ten rzucił się na nią z pięściami. Muszę przyznać, że bywa czasami wobec niego okrutna.

– No widzisz, jakie masz mądre dzieci? Urodziły się wśród dzikich i zdziczały. Pozazdrościć!

Atmosfera stawała się coraz gorsza. Nawet psy wyczuły ogólną nerwowość i zaczęły się kotłować z jakiegoś powodu. Postanowiłam podać deser.

– Dzieci, chodźcie ze mną do domu, pomożecie mi. Tortu wprawdzie nie przygotowałam, ale mam pomysł, zrobimy pływające lody.

Dziociom bardzo się to spodobało, więc pogalopowaliśmy przez otwartą na przestrzał stodołę do domu. Grille urządzaliśmy na końcu starego sadu, dość daleko za stodołami, żeby mieć większą intymność i uniknąć zapachów, jakie wydobywały się z sąsiedzkich obejść. Sąsiad z prawej miał jeszcze konia, krowę i jakąś dziwną czarną świnię, był w tym względzie prawdziwym wyjątkiem. Natomiast to, że pośrodku podwórka miał odkryte obrzydliwe szambo, było raczej dość normalne. Tak więc noszenie na odległość około stu metrów talerzy i wszystkich potrzebnych przy grillowaniu akcesoriów było dla mnie kłopotliwe, lecz konieczne. Cieszyliśmy się poza tym wspaniałymi widokami pól i modrzewiowego lasu porastającego łagodnie rysującą się na horyzoncie górę w kształcie dużego kopca. Za plecami mieliśmy nieco wyższy, wyglądający

groźniej i bardziej dziko łańcuch gór.

Pomysł z płonącymi lodami niezupełnie wypalił. Podochocona winem, podenerwowana zaczepkami mamy i rozgrzana biegiem chlusnęłam spirytusu do każdej porcji lodów wyciągniętych z zamrażarki, ale jakoś nie chciały się zapalić. Pierwszy raz robiłam taki deser i coś mi nie wyszło, więc podałam lody bez płomienia. Sama ich nie jadłam, gdyż bolało mnie gardło. Wszystkim w mig poprawiły się humory. Rozmowa stała się lżejsza i przyjemna. Nagle babcia jakoś dziwnie bełkotliwie zaproponowała tańce wokół ogniska, które tymczasem rozpalili moi mężczyźni. Chciała wstać, lecz niestety opadła z powrotem na krzesło.

– Mam noi bezładne! – zawołała dramatycznie. – To yba parliż! Kysztof, atuj! Abo nie, nie atujcie mnie, nie chcę być dla niogo ciężarem! Cóki, koam was i was, zięciowie, też. Wnuki, odźcie do babci!

Ośłupieliśmy. Krzyś doskoczył do teściowej i próbował namierzyć jej puls, ale babcia tak gwałtownie gestykulowała, że było to niemożliwe.

– Patryk, skocz po aparat do mierzenia ciśnienia! – zawołał Krzysztof, usiłując uspokoić bełkoczącą coraz gorzej mamę.

– Spokojnie, tato, babcia jest tylko pijana – postawił błyskawiczną diagnozę Patryk.

– Jak to pijana?! – zapytałam. – Przecież wypila tylko lampkę wina i kieliszek szampana.

– Nie licząc tej dawki spirytusu, którą jej przemyciłaś w lodach. Tam była chyba setka na każdy pucharek.

– Nie przesadzaj. I wy też dostaliście takie „mocne” lody?! – zapytałam przerażona pozostałych. – Coś bujasz. Nikomu nic się nie stało, tylko babci?

– Ja popróbowiałem, nieźle piekło, więc odlałem dyskretnie w krzaki lodowo-spirytusową miksturę – Patryk mówił to niezwykle ubawiony.

– No tak, ja też wylałam i widziałam, jak ciocia odcedza gałki lodów od piekielnej polewki – pochwaliła się Dominika.

– Ja myślałam, że tylko do moich lodów tak ci się lunęło – wyznała Zyta.

Przerażona przyjrzałam się po kolei członkom rodziny. Siostrze płonęły oczy i policzki. Szwagier drzemał na siedząco za stołem i minę miał jak poseł podczas obrad sejmku transmitowanych przez telewizję. Dzieci wyglądały, na szczęście, zupełnie normalnie. Lody mojego męża stały roztopione w pucharku, bo pewnie znów w

ramach odchudzania postanowił zrezygnować ze słodczy. Spróbowałam piekielnej mieszaniny. Istny zajzajer. Jak babcia mogła to zjeść? Coraz trudniej było jej się utrzymać na siedząco. Chciała oprzeć się o stół, ale przewróciła szklankę i pucharek Krzysia. Rozejrzała się rozpaczliwie dookoła i nie doczekawszy się ratunku od najbliższych, osunęła się z krzesła. Ciągnąc za sobą bezwładne nogi, podczołgała się do leżącego na trawie koca, by tam zachrapać złowieszczo. Na kocu tym spały już całkiem „sparalizowane” nasze młodociane berneńskie psy pasterskie, Eros i Psyche, oraz nie całkiem jeszcze dorosłe koty dachowe, Apollo i Dafne. Teraz zrozumiałam powód wcześniejszego zamieszania pod stołem i w pobliskich zaroślach. Ale skąd u moich zwierzaków taka skłonność do alkoholizmu? – pomyślałam. Dziedziczenie można tu od razu wykluczyć, więc chyba w grę wchodzi błędy wychowawcze – przemknęło mi przez myśl. Mogłam mieć tylko nadzieję, że alkohol szybko wsiąkał w ziemię i zwierzaki nie spożyły śmiertelnej dawki. Poczyszające dla mnie w całej tej sytuacji było to, że był z nami jeszcze Krzyś, do którego w kwestiach medycznych, i nie tylko zresztą medycznych, miałam absolutne zaufanie.

Tego dnia dostało mi się jeszcze po uszach od męża, który musiał gwałtownie obniżyć ciśnienie teściowej. Stwierdził, że jestem skrajnie nieodpowiedzialna i strach mnie zostawić samą z dziećmi.

– Może ja jednak nie powinienem wyjeżdżać? Naprawdę dasz sobie radę ze wszystkim? Dzieci są w trudnym wieku. A rozbudowa domu? Tylko trzymaj się projektu i wspólnych ustaleń. Nie eksperymentuj, błagam cię. Naprawdę skóra mi cierpnie ze strachu, jak o tym wszystkim pomyślę.

– Wiesz, jak ja się boję? – wyznałam. – Mnie nie zmierzyłeś ciśnienia, a mam na pewno podwyższone, ilekroć pomyślę o konieczności samotnego zmagania się ze wszystkim. Masz jednak jakiś inny pomysł na spłacenie kredytu za dom i zdobycie funduszy na jego rozbudowę? Przypomnij sobie, to nie ja wyganiałam cię z domu na saksy, to samorządowa banda nie pozwala ci żyć uczciwie i pracować.

O tym, że najbardziej boję się o przyszłość naszego małżeństwa, że boję się kontaktów na obczyźnie mojego męża i jego dawnej przyjaciółki, nikomu nie wspomniałam i sama starałam się zapomnieć.

17. PORNOL

Mąż wyleciał we wtorek. Dzieci opuściły dom już w niedzielę wieczorem. Krzyś zdecydował, że mają bez gadania zamieszkać w internacie, bo z powodu zmienności nastrojów panienek w końcu nie będą mieli gdzie mieszkać. Pomyślałam z żalem, że teraz nie będzie miał kto podejmować takich kategorycznych decyzji, bo ja zawsze mam z tym kłopot.

Pierwszego samotnego wieczoru chciało mi się wyć z tęsknoty, ale musiałam sprawdzać prace, więc wylałam, lecz najpierw ze śmiechu, potem ze złości, aż wreszcie z powodu bólu kręgosłupa. Chcąc się zorientować, jak uczniowie mojej nowej pierwszej klasy radzą sobie z tworzeniem własnego tekstu, dałam bardzo „oryginalny” temat: „Wakacyjna przygoda”. Jedno dziewczę doprowadziło mnie do łez. Na czterech stronach dała sprawozdanie z trzech dni swego bardzo nieciekawego wakacyjnego życia z uwzględnieniem posiłków, spacerów oraz zabaw, z podaniem dokładnego czasu pobudki i ciszy nocnej. Gdy wreszcie dotarłam do zdania, że trzeciego dnia miała przygodę, ucieszyłam się. Niestety na tym relacja się zakończyła.

Dobiła mnie. Nie dokończyłam sprawdzania, rzuciłam zeszyty i poczułam ogromną potrzebę pogadania z kimś. Dzieci powinny już spać. Mąż jutro ma pierwszy dzień w pracy, więc może też zmęczony po podróży śpi lub usiłuje zasnąć. Do Grażyny też za późno dzwonić. Mama wpadłaby w panikę i wierciłaby mi dziurę w brzuchu, że coś na pewno się stało. Siostra znów na kręceniu filmu za granicą, więc za drogo by mnie ta pogawędka wyniosła. Przejrzałam trochę wiadomości w Onecie i zobaczyłam, że Rafał jest dostępny. Coś mnie podkusiło i odezwałam się do niego. Powiedziałam, że nie mogę spać, a z moich znajomych tylko on pokutuje po nocy. Zwrócił mi uwagę, iż u niego jest dzień, a on siedzi właśnie w domu i rozmyśla nad strategią wprowadzenia do produkcji swego nowego patentu. Zainteresowałam się tym patentem, ale niestety moja ignorancja techniczna uniemożliwiła nam dyskusję na ten temat. Zrozumiałam jedynie, że jest to urządzenie zwiększające bezpieczeństwo jazdy samochodem.

Zdziwiłam się nieco, że właśnie w Polsce planuje produkować to

coś, bo, jak wiadomo, nie jesteśmy zbyt mocni w dziedzinie motoryzacji. Sensownie wyliczył mi wszystkie za i musiałam przyznać, że ma rację. Mówił też o tęsknocie za krajem, która mimo upływu lat nie maleje, a nawet wzmożła się w ostatnim czasie, gdy nawiązał kontakty z dawnymi znajomymi. To również rozumiałam dobrze. Opowiedziałam mu trochę o naszej afrykańskiej przygodzie i ani się spostrzegłam, była druga w nocy. Gadało nam się świetnie, żadnych zbytecznych aluzji do przeszłości. Tylko na koniec niepotrzebnie wsypałam się, że jestem sama i wszystko na mojej głowie, a jutro będę nieprzytomna. Na razie tego nie podchwycił, ale cieszył się, że już się go nie boję i udostępniłam mu swoje dane. Życzył mi słodkich snów na resztę nocy i ulgowej taryfy w ciągu całego dnia.

Kiedy Marian rankiem zatrąbił pod bramą, chciałam go zabić. Trochę się spóźniłam do szkoły, a dyrektor z obleśnym uśmiechem żartował, że ledwie mąż wyjechał, „a ktoś już mi koszulę przycisnął”. Wcześniej nie zauważyłam, jaki z niego wieśniak. Dziś wkurzył mnie okropnie. Wzięłam ze stołówki obiad dla moich murarzy i po pięciu godzinach lekcyjnych musiałam jeszcze jechać na nauczanie indywidualne do ciężarnej Wioletty, która już wydobrzała i „rwała się” do nauki. Właśnie dziś, kiedy mnie tak strasznie chce się spać, muszę męczyć się z dziewczuchą, która przez dwa lata bywała gościem w szkole – myślałam ze złością. Ale to, co zastałam w domu Wioletki, pobudziło mnie do życia i dało wiele do myślenia. Kiedy ją zobaczyłam, przypomniałam sobie nasze, to jest nauczycieli, przeprawy z nią i jej matką.

Dziewczyna miała młodą i chyba niedojrzałą emocjonalnie matkę, która niewiele starszą od siebie córkę traktowała jak powiernicę i przyjaciółkę. Już w pierwszej klasie ufarbowała jej włosy, pozwalała robić wyzywający makijaż i zafundowała zabójcze tipsy. Wzywana do szkoły odpowiadała arogancko nauczycielom, że ona akceptuje taki wygląd córki, a nam, delikatnie mówiąc, nic do tego. Potem matka wyjechała za granicę i założyła tam drugą rodzinę. Wiola została z chorym na raka ojcem i babcią. W szkole dziewczynka uganiała się za starszymi chłopakami z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych. Podczas lekcji przesiadywała głównie w toalecie, poprawiając fryzurę i makijaż, a przerwy spędzała na korytarzu sąsiedniej szkoły. Po wakacjach okazało się, że od ładnych kilku miesięcy spodziewa się dziecka, którego ojcem jest dorosły, dwudziestopięcioletni mężczyzna. Teraz mieszkają już oficjalnie razem w domu jej babci.

Wioletta dumna i blada przedstawiła mi swojego partnera. Facet

pracuje na budowie i wygląda dość porządnie. Nie pozwala Wioletce się malować, palić papierosów i pić piwa, o czym poinformował mnie na wstępie. Pochwaliłam go i życzyłam sukcesów pedagogicznych. Może jemu uda się to, czego my nie byliśmy w stanie wyegzekwować. Wiola chciałaby teraz nadrobić wszystkie stracone lata nauki, żeby potem jej dziecko nie musiało się za nią wstydzić. Będzie to dość trudne, bo nawet płynne czytanie jest dla niej problemem, ale najważniejsze, że ma dobre chęci. Co dzień wieczorem przez pół godziny ma czytać głośno swemu nienarodzonemu dziecku wybrane przeze mnie fragmenty lektur. Na razie wygląda na to, że w domu panuje idylla, a Wiola jest pewna, że będzie dobrą matką. Oby tylko nie wdała się w swoją mamuszkę.

Po lekcji przyjechałam do domu zbudowana i wybudzona. Z radością stwierdziłam, że wszystko jakoś toczy się beze mnie. Marian i jego ekipa panoszą się w mojej kuchni. Dziennie piją niezliczoną ilość kaw, czarnych, takich mielonych i z dużą ilością cukru. Odgrzali obiad, który im przywiozłam, i nawet nie narzekali. Ja też bez szemrania sprzątnęłam niewiarygodny burdel, jaki zostawili, i wszystko gra. Budowa postępuje, co mnie najbardziej cieszy. Żeby tylko nie zapeszyć, bo znów gdzieś wyjadą.

Mąż załatwił już sobie dostęp do Internetu i co wieczór gadamy na Skypie. Jest nawet zadowolony z warunków, w jakich mieszka, i z pracy raczej też. Chociaż kilka razy wspomniał, że nie jest to praca rozwijająca. Zaraz się też pocieszył, że ma tyle innych zainteresowań, iż może tu posiedzieć do czasu spłaty kredytu. Odpytał mnie z wszystkiego, co robiłam i co u dzieci. W zasadzie jesteśmy mimo odległości nadal bardzo blisko. Ale zastrzegł już, że w sobotę nie będziemy rozmawiali, bo odwiedzi Anię i razem pojedą zwiedzać okolicę, gdyż Ania ma samochód. Przyjęłam tę informację spokojnie, wiedziałam przecież, że będzie się z nią widywał. Miałam jednak nadzieję, że nie tak od razu, może jeszcze nie w pierwszy weekend.

Z Rafałem w tym tygodniu już więcej nie rozmawiałam, odrzucałam jego próby połączenia się ze mną i nawet żałowałam, że wcześniej sama doprowadziłam do tej niewinnej wpawdzie, ale niepotrzebnej pogawędki.

W piątek przyjechały dzieci z Eweliną i Tomkiem. Znów jest zgoda. Teraz już oboje zapewniają mnie, że w internacie jest nie do wytrzymania. Nie mają warunków do nauki, sanitariaty zniszczone po pierwszych kilku dniach i ogólnie syf.

- Wiecie, jaka była wola ojca? – powiedziałam patetycznie.
- Ojej, mówisz tak, jakby to był jego testament – parsknęła Dominika. – Przecież może zmienić zdanie. Ja tam nawet matury nie zrobię, a o przygotowaniu się na studia nie ma mowy – szantażowała.
- Ja dostanę świerzbę, bo chłopak, z którym jestem w pokoju, nie myje się, mdło cuchnie i jeszcze się strasznie drapie.
- To może już coś złapałeś?! – przestraszyłam się nie na żarty.
- Ściągaj wszystko, zaraz cię obejrzymy.
- Jeszcze nic mnie nie swędzi – Patryk uspokajał mnie, ale chodziło mu o Ewelinę i Tomka, którzy patrzyli teraz na niego z pewną obawą. – Właściwie się z nim nie stykałem, ale w końcu... – urwał, bo doszedł do wniosku, że może przesadzić.

Natychmiast wrzuciłam rzeczy Patryka i Dominiki do prania, zarządziłam wielkie mycie i lustrację skóry oraz włosów. Patryk wiedział, w jaki sposób najłatwiej uda mu się wpędzić mnie w histerię. Najchętniej bym ich wygotowała, a wszystkie ciuchy spaliła. Najlepszym dowodem na mojego insektowego kręćka było odczuwane natychmiast przeze mnie swędzenie całej skóry. Już mnie mieli za sobą. Kiedy wieczorem Dominika szczebiotliwie opowiadała ojcu o internatowym koszmarze, ja jej dzielnie wtórowałam, jakbym tam była. Krzysz ustąpił. Był już zresztą myślami na wycieczce z doktor Anią.

Znów w moim domu pojawił się cholerny Damian i znów dziewczyny kręciły się obie wokół niego, a Tomek siedział w kącie i smutno spoglądał na Dominikę, która jednak, muszę przyznać, zachowywała się wobec Damiana nieco bardziej powściągliwie niż ostatnio. To z kolei sprawiało, że on przestał ją krytykować i zaczął znów zabiegać o jej względy. Przyszli też pozostali chłopcy z zespołu, więc Ewelina nie wiedziała, na którym się skupić. Najchętniej poderwałaby ich wszystkich naraz. Hormony tryskały z niej na znaczną odległość. Jej wygibasy oraz pokrzykiwanie i pojękiwanie w rytm ich grania wszyscy członkowie zespołu uznali za atrakcyjne, więc Dominika z pokorą przyjęła do wiadomości, że Ewelina wyjdzie z nimi na scenę. Moja córka dość szybko pogodziła się ze swoją rolą menedżera i przestała boczyć się na koleżankę. Ćwiczyli zapamiętane do późnej nocy, gdyż za tydzień miało być dokończenie przerwane przez nawałnicę konkursu. Damian jako pierwsza gwiazda rządził apodyktycznie członkami zespołu, rozstawiając ich po kątach i operując językiem, który ja uznałabym za mocno obraźliwy, a oni przyjmowali za normalny.

Mój syneczek wymknął się, jak zwykle, cichcem podczas hałasu, jaki robili jego koledzy, i jeździł gdzieś po ciemku na rowerze.

Ewelina miała zostać u nas na noc, żeby w sobotę od rana znów ćwiczyć z zespołem. W ostatniej chwili przypomniały sobie z Dominiką, że zostawiły w Kielcach jakieś teksty, więc postanowiły jechać do Eweliny na noc i wrócić rankiem. Tomek, jak zwykle, zaoferował się służyć im swoim pięknym autem. Musiał mi jednak przyrzec, że nie pojedzie na skrót przez las. Ostatnio były tam podobno jakieś przypadki napadów. Takie jazdy nocą, zwłaszcza pięknym i drogim samochodem, nie są bezpieczne.

Wydawało mi się, że Damian mówił dobranoc i wyszedł już dobre pół godziny wcześniej, ale gdy wyszłam przed dom, żeby popatrzeć za Tomkiem wywożącym dziewczyny i zobaczyć, czy Patryk nie wraca do domu, ujrzałam w świetle reflektorów charakterystyczną sylwetkę rapera, który przed zakrętem zatrzymał samochód i wpakował się na tylne siedzenie. Zatrzęsło mną. Zadzwoniłam zaraz do Dominiki, ale nie odebrała telefonu. Pewnie puścili muzykę na cały regulator.

Czy ja już nie zaznam spokoju na tym świecie? – myślałam. Teraz martwię się o swojego i nie swojego syna, a także o odporność męża na kuszenie dawnej przyjaciółki i błagam o powrót rozsądku mojej córki. Kusiło mnie też, żeby pogadać z Rafałem, ale odrzuciłam połączenie i klęknęłam do wieczornej modlitwy. Patryk wrócił cały i zdrowy zaraz po wyjeździe dziewczyn i uspokoił mnie, że Damian, być może, zabrał się z Tomkiem tylko do domu. Może miał awarię motoru? Chętnie przyjął tę wersję i spokojnie zasnął.

Rankiem pogoda była cudowna. Słońce ostro przypiekało, jakby to był początek, a nie koniec lata. Miałam już całkiem inne nastawienie do rzeczywistości. Mąż, mimo że podróżował z Anią, już od rana przesłał mi kilka ememesów. Stali na tle jakiejś barki. Szczegółów nie mogłam rozpoznać, lecz zauważyłam, że doktor Ania nie wygląda wcale rewelacyjnie. Zdoebrałam się też na obłudnie życzliwe esemesy, że niby im zazdroszczę i życzę dobrej pogody oraz wspaniałych wrażeń. Zwłaszcza wrażeń życzyłam im najgorszych, żeby już nigdy więcej nie mieli ochoty przebywać razem w żadnym miejscu na ziemi.

Gdy przyjechały dziewczyny z Tomkiem, niestety w towarzystwie Damiana, znów poczułam dyskomfort. Czemu ta małpa nie wysiadła gdzieś po drodze, żeby mnie nie denerwować? – myślałam wściekła, patrząc, jak moja córunia robi mu kawę. Żeby tak miała trochę arseniku, podałabym ci tę kawę sama z największą rozkoszą

– westchnęłam w duchu, ale zupełnie nie w duchu chrześcijaństwa. Damian kawę wychylił duszkiem, pomądrował się i tylko chwilowo, niestety, pożegnał z dziewczynami. Na mnie, Patryka i Tomka zupełnie nie zwracał uwagi, a słowa, jakie padły z jego ust, sprawiły, że poczułam do niego jeszcze większą odrazę.

– Nara, dziewczyny. Umyję zęby i damianka, coś wrzucę na ruszt i jestem. Wkuwaj, Ewelina, teksty, bo dobrze ci idzie. A ty, Domi, sprawdź, czy nie ma ogłoszenia na temat tego przeglądu. Mogło znów się coś zmienić. Obiecali, że będzie, ale czasami... A, i zobacz, co z tym studiem, czy nas kolo nie robi w jajo. My się szarpniemy, a tam może nawet sprzętu nie ma albo i studia – mówił teraz o perspektywie nagrań, które załatwiła Dominika dzięki kontaktowi z kimś z regionalnej telewizji.

Przypomniałam sobie, co Damian mówił o tym myciu, i pomyślałam, że jest obrzydliwy. Nigdy w życiu nie mogłabym zakochać się w takim prostaku. Co w nim pociąga moją córkę? A może rozsiewa on jakieś feromony, na które ja z racji wieku już nie reaguję? Ale żeby popęd aż tak zagłuszał rozum?

– Niech się pani nie martwi, nie pojechałem do domu, byłem z nimi cały czas. Spał grzecznie ze mną w drugim pokoju – to kochany Tomeczek szepnęła mi na ucho dobrą nowinę. – Ja wiem, że u Dominiki to chwilowe zaćmienie. Przeczekam.

Chciałam go uściskać, ale nie mogłam chłopaka zdekonspirować. Dobrze było wiedzieć, że mam w nim sprzymierzeńca i swoją wtyczkę w pobliżu mojej oczadziałej córki. Po śniadaniu zaproponowałam młodym, żeby poszli do sadu się poopalać, a ja musiałam zająć się cateringiem, bo na rusztowaniach panowie dawali znać, że oczekują kolejnej kawy, a wkrótce też pewnie kiszki będą im grały marsza.

Młodzi poszli do sadu, zaraz też przyszli chłopcy z zespołu i ponownie zjawił się Damian, który już najwidoczniej dokonał zapowiadanych ablucji. Zaczęli próbę. Usiłowali wpleść w wyćwiczone już numery dźwięki wydawane przez Ewelinę i jej wygibasy. Dominika dzielnie doradzała, oceniała, donosiła napoje, aż w końcu stwierdziła, że boli ją od słońca głowa, i wróciła do domu. Szepnęła mi, że dostała miesięczkę, wzięła tabletkę i poszła się położyć do swojego pokoju. Wkrótce zespół też zwinął się na obiad do domu, a i Tomek zdecydował, że czas na niego. Damian i Ewelina zostali sam na sam. Nie interesowałam się nimi, gdyż musiałam wydać obiad budowlącom. Chwyciłam potem aparat i pobiegłam obfotografować okolicę, bo postanowiłam wysłać Rafałowi zdjęcia

miejsce, w których niegdyś rozkwitło nasze uczucie, a ja teraz mieszkam.

W plenerze było cudownie. Gorące, złote powietrze lało się z nieba na zaorane już w większości pola. Przydomowe ogródki chełpiły się cudownymi barwami róż, cynii i astrów. Drzewom w sadach coraz trudniej było dźwigać naręcza dojrzałych owoców, więc opuszczały zmęczone konary i zrzuciły na ziemię balast jabłek, gruszek i śliwek. Korzystały z tego skwapliwie owady. Osy i pszczoły, posiliwszy się fermentującym sokiem, łąziły pijane i leniwe. – Dzień dobry! – głośno pozdrowiła mnie gromadka dzieci dźwigających wiadra świeżo zerwanej aronii.

– Co pani fotografuje? – zapytała dziewczynka.

– Piękne miejsca – odparłam. – Wam też zrobić zdjęcie, bo to ładnie, że pomagacie rodzicom.

Ugryzłam się w tym momencie w język. Niezręcznie wyszło z tymi rodzicami. Teraz dopiero w dziewczynce rozpoznałam Kiotównę, a pozostałe dzieci to pewnie jej rodzeństwo. Niedawno straciły w tragicznych okolicznościach matkę. Piorun zabił ją na polu podczas zbierania truskawek, dosłownie na oczach dzieci.

– Niech pani nie mówi tacie, my zbieramy u pani Bzymkowej. Pani Bzymkowa nam zapłaci, to na zeszyty będziemy mieli, a jej samej trudno zbierać. Jest stara i ma takie plecy pokrzywione.

– Jak skończycie z aronią, możecie zebrać u nas jabłka w sadzie i oddać sobie na skup. Mnie nie potrzeba aż tyle, marnują się i gniją. A poza tym, jeśli będzie wam coś potrzeba, przychodźcie do mnie śmiało w każdej sprawie. A tajemnicy oczywiście dotrzymam. – Uśmiechnęłam się do nich i pomyślałam, że trzeba naprawdę zorganizować pomoc dla tych maluchów.

Coś tam słyszałam, że najstarszy, Szymek, uczeń pierwszej klasy naszego gimnazjum, zastępuje w tej rodzinie matkę i ojca, który po śmierci żony całkiem się rozpił. Sprawa jest trudna, gdyż GOPS chce oddać dzieci do placówki wychowawczej, a to często bywa niedźwiedzią przysługą. Krzywdzone przez ojca dzieci trafiają do obcego środowiska, gdzie krzywdzą je dla odmiany inne zdemoralizowane dzieci. Ze słabością ojca i jego agresją nauczyły się już jakoś żyć i nieźle sobie radzą, pomagają trochę sąsiedzi. Zresztą tata ma gorsze i lepsze dni, kiedy dom jest domem, a rodzina rodziną. Trzeba będzie jakoś im pomóc – pomyślałam.

– A pani syn to był u nas z księdzem Markiem. Ksiądz Marek dużo nam pomógł zaraz po śmierci mamy. Teraz to rzadziej u nas bywa, bo studiuje. Wie pani? Ale Patryk obiecał, że nauczy się

jeździć ciągnikiem i zaorze nam pole – powiedziała dziewczynka.

– Patryk? Mój syn? – pytałam zdziwiona.

– Tak. On jest bardzo fajny – ciągnęła starsza Kitówna. – Ostatnio był u nas, jak zobaczył na drodze Szymka na ciągniku. Bał się, że Szymkowi coś się stanie.

– Chciał obudzić tatę, ale się nie udało – wtrącił młodszy chłopiec. – Uśmieśliśmy się, bo go nawet polał wodą.

– I co, tata się gniewał? – zapytałam zaniepokojona o własnego syna, który ryzykował, zdaje się, następnego guza.

– Nie, tata nawet nie poczuł, tak się nachlał – odpowiedział uśmiechnięty od ucha do ucha mały.

Całe szczęście, że pijak się nie ocknął i mu nie przyłożył. Nie znam własnego syna – pomyślałam. Ja go tu podejrzewam o hulanki i swawole, a chłopak wykazuje wrażliwość społeczną. Tylko że znów może się wpakować w jakąś kabałę. Jest jednak dziecinny, jeśli planuje zastąpić dzieciaka na traktorze, sam nie mając pojęcia o prowadzeniu ciągnika i pracach polowych. Jeszcze raz poprosiłam, żeby dzieci w każdej trudnej sytuacji nie wstydziły się przyjść do nas, gdyby były głodne lub czegoś potrzebowały.

– Nie jesteśmy głodni, w soboty i niedziele obiady daje nam pani Bzymkowa, a w zwykłe dni jemy w szkole – powiedziała dziewczynka.

Chwała Bogu, są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie. Jest ich tu wcale nie tak mało, nawet wśród tych okropnych, zawziętych i kłótliwych „syczoryków”. Pani Bzymkowa, dziarska, choć połamana przez reumatyzm i nieco głuchawa staruszka, zelatorka kółka żywego różańca, była najlepszym tego przykładem.

Nieco zawstydzona, że zajmuję się głównie sobą i swoją rodziną, poszłam dalej pod las, przez łąki, by okrężną drogą wrócić od strony sadu do domu. Natrzaskałam już sporo fajnych ujęć. Najważniejsze było dla mnie zdjęcie rozstajnych dróg z pewną pamiętną kapliczką. Właśnie na tych rozstajach, jeśli dobrze pamiętam, przeszło ćwierć wieku temu zebrała się po deszczu wielka kałuża. Byłam tu wtedy z moją klasą i Rafałem po raz pierwszy na rajdzie świętokrzyskim. Przez tę kałużę Rafał przeniósł mnie na rękach. On tego zapewne nie pamięta. Ja odtworzyłam w swej pamięci te chwile, kiedy odkryłam, że przypadkiem mieszkam dokładnie w wiosce, w której przed laty obozowała nasza klasa i gdzie rozkwitła moja pierwsza miłość.

Przemierzałam teraz pokrytą łąkami przestrzeń. Teren wznosił się łagodnie ku górze, by potem dość gwałtownie opaść w miejscu, gdzie porośnięty z obu stron olszynami i innymi drzewami oraz

krzewami płynął bystry, czystutki strumień, odnoga Kamiennej. Przeszłam po kamykach na jego drugą stronę i przedzierałam się przez chaszczę w kierunku domu, gdy usłyszałam wesołą rozmowę i znajomy śmiech. To Ewelina z Damianem, widocznie znudzeni muzycznymi próbami, przenieśli się tu z sadu, szukając ochłody lub odosobnienia.

Nie wiem dlaczego, zaczęłam się skradać w ich kierunku. Mogłam przecież zwyczajnie podejść do nich i zapytać, na przykład, czemu opuścili sad lub czy zamierzają kąpać się w tej strużce. Po prostu zwyczajnie zagaadać. Ale ja wiedziona niezdrową ciekawością podkrađłam się możliwie najbliżej i ukucnąwszy za lekkim wzniesieniem, na którym rosła gęstwina krzewów, zaczęłam się, żeby podsłuchać tych dwoje.

– Myślisz, że Dominika nie będzie nas szukać? – zapytał Damian.

– Co, już pękasz? Boisz się jej? Wczoraj byłeś odważniejszy – odpowiedziała prowokująco Ewelina.

– Bo wczoraj wkurzał mnie ten nadziany dupek. On z nią kiedyś chodził czy co?

– Coś tak jakby. Razem chodzili na różne imprezy, ale Dominika twierdziła, że nie są parą. Ciebie też trzyma na dystans? Wydaje mi się, że nie. Ona na ciebie leci. Już ja się na tym znam. A tobie się naprawdę Domi podoba? – Ewelina spojrzała na Damiana i przeciągnęła się niedwuznacznie.

– Podoba, nie podoba... Jest ładna, ale trochę...

– Za chuda i nie ma prawie piersi? – Ewelina przerwała chłopakowi, rozpinając ze śmiechem swój stanik.

Oczom zdumionego Damiana i moim ukazał się goły, ponętny i obfity biust. Przyznam, że poczułam się nieswojo, ale zamiast się wycofać, wysunęłam obiektyw i czatowałam na odpowiednie ujęcie. Chłopak zaraz odzyskał rezon. Chwycił roznegliżowaną dziewczynę w pól i przyciągnął do siebie. Nie zdążyłam tego uścisku, jako corpus delicti, utrwalić na fotografii, bo Ewelina odskooczyła gwałtownie.

– Nie dotykać eksponatów! – krzyknęła. – Ja chciałam, żebyś tylko porównał.

– Dobra. Mogę porównywać, ale muszę dotknąć. Nie wiem, czy są prawdziwe. Wyglądają jak balony. Są imponujące.

– Połóż się tu grzecznie obok i możesz patrzeć sobie do woli, a ja się poopalam.

Ewelina rozłożyła na wysokiej trawie swoją dzinsową, rozpinaną

sukienkę, którą widocznie zdjęła już wcześniej, i położyła się na niej, podkładając pod głowę uniesione w górę ramiona.

– Wiesz co? Jakbyś zdjęła te majtki, wyglądałabyś lepiej – zauważył, przyglądając jej się ze znanstwem chłopak. – Ten kawałek szmaty psuje cały efekt artystyczny. Przypominasz mi jakiś taki stary obraz. Pamiętam, Zalewska pokazywała na lekcji. Co to było, kurczę, nie mogę zajarzyć. To była jakaś królowa czy księżna, czy coś takiego. Zdejmij te majtki, to może sobie przypomnę.

– Chodzi ci o Goyę i obraz „Maja naga”?

– Chyba tak. Tak, na pewno Goya, bo skojarzyłem wtedy z muzyką.

– Jest też „Maja ubrana”, więc wcale nie muszę nic zdejmować.

Podczas tej rozmowy o sztuce Damian położył się obok dziewczyny i żdźbłem trawy muskał jej białe piersi, opalony na oliwkowo brzuch i krągłe uda. Kształty Eweliny były zapewne kuszące, ale złośliwie zauważyłam, że, jak na tak młody wiek, nieco zanadto zaokrąglone, co mogło prognozować jej przyszłe kłopoty z tuszą. Tymczasem trawka znalazła miejsce, gdzie majteczki odstawały nieco od ciała i wśliznęła się głębiej na łono.

– Damian, przestań, bo to bardzo łaskocze. Powiem Dominice, gdzie mnie dotykałeś.

– To nie ja, to skorek. Zaraz cię uszczypnie – zaśmiał się Damian i schwyciwszy mocno czarny trójkącik bikini, szarpnął go brutalnie.

Z jednej strony szew puścił natychmiast. Korzystając z zamieszania, zaczęłam kręcić filmik. Dziewczyna krzyczała: – Puszczaj! Zobacz, co zrobiłeś! – Ale chłopak ani myślał oglądać szkody wyrządzone w jej stroju. Skoczył na nią jak ryś, przygniótł ją swoim muskularnym ciałem i zręczne pozbawił reszty tekstyliów, opuszczając jednocześnie swoje szorty. Czy jestem świadkiem gwałtu? – pomyślałam w popłochu.

– Będę krzyczeć – usłyszałam głos Eweliny, ale nie brzmiał dramatycznie. – Uważaj, bo może Dominika już za tobą stoi – zaśmiała się trochę nerwowo.

Ona się z nim przekomarza, to nie gwałt – odetchnęłam z ulgą.

– To ją też...

– Nie przechwalaj się.

– Zamknij się! – powiedział „czule” napastnik, całując ją w usta i dziewczyna potulnie zamilkła, a właściwie oboje zaczęli pojękiwać i sapać w charakterystyczny sposób.

Nie miałam już żadnej wątpliwości, że jestem świadkiem aktu

plciowego, dość brutalnego, lecz jednak dobrowolnego. Czułam się idiotycznie, ale jeszcze przez chwilę kręciłam całą scenę i nawet przesunęłam się trochę i wychyłęłam z mojej kępy, żeby słońce nie świeciło mi w obiektyw. Wreszcie się opamiętałam i stwierdziłam, że trzeba się teraz zrećnie ewakuować, póki parka jest zajęta sobą. Wyłączyłam aparat i ostrożnie, tak jak trwałam tu do tej pory, czyli na czworakach, zaczęłam się wycofywać. Jeśli ktoś myśli, że podglądanie tej sceny sprawiło mi grzeszną przyjemność, to się myli. Kręciłam ten film z myślą o mojej córce, ale nie wiedziałam, czy będę mogła jej tak po prostu pokazać dziewczynę, którą uważała za przyjaciółkę, i chłopaka, w którym się nieco zadurzyła, jako bohaterów tego amatorskiego pornolka. Byłoby to chyba zbyt bolesne.

Ja natomiast teraz dopiero poczułam ból w kolanach. Klęczałam w pokrzywach i wśród krzaków głogu, którego kolce wbijały mi się dotkliwie w ciało. Posunęłam się do tyłu i wtedy jakaś uwolniona spod mojego ciężaru gałązka wystrzeliła do góry, porywając ze sobą moją zwiewną, kwiecistą spódnicę. Teraz brakowało tylko kogoś, kto sfotografowałby z kolei mnie, jak z wypiętym tyłkiem i zadartą spódnicą przyglądam się kopulującej parze. Gdyby takie zdjęcie pojawiło się wśród moich uczniów, byłabym skompromitowana do końca moich dni. Musiałabym sprzedać dom i wyjechać do Anglii, do męża. Ale co by było, gdyby reszta rodziny nie chciała już nigdzie wyjeżdżać? Jak zwykle zaczęłam rozważać hipotetyczne sytuacje i wymyślać głupoty, usiłując wymotać się z ciernistych krzewów i nie rozbujać całej kępy, która była moją osłoną. Opisuję to dość długo, ale wszystko trwało sekundy, gdy nagle usłyszałam pełen rozkoszy skowyt chłopaka. Już? – pomyślałam zaskoczona i spłoszona.

– Już? – usłyszałam pełen pretensji ostry głos Eweliny. – No i co teraz? Nie mogłeś jeszcze trochę wytrzymać? A ja to co?

– Za bardzo mnie podnieciłaś – tłumaczył się Damian. – Nie trzeba było tyle gadać, tylko współpracować.

– Teraz to moja wina? – klóciła się dalej dziewczyna.

Kobieta z mojego pokolenia na jej miejscu pewnie udawałaby, że było cudownie, a ta wie, czego jej potrzeba, i egzekwuje swoje prawo do orgazmu – pomyślałam z pewnym uznaniem.

– Kostium mi zniszczyłeś i nawet nic z tego nie miałam – kontynuowała Ewelina. – Udawałeś takiego kozaka, a tu proszę, chłoptaś potrzebuje korepetycji. No nie obrażaj się. Chodź do mnie, zrobimy to jeszcze raz na spokojnie.

– Może przy innej okazji – wymigiwał się chłopak. – Dominika nie może się dowiedzieć, jesteś jej przyjaciółką, nie przebaczyłyby tobie i mnie też.

– Z tą przyjaciółką to bym nie przesadzała. A ty się martw o siebie, bo ja jej powiem, że mnie zgwałciłeś, i na dowód pokażę strzępy kostiumu. No to jak, idziesz tu, czy mam zrobić aferę?

Ta dziewczyna mnie przerażała. Damiana chyba też. Popatrzył na nią z niechęcią i nagle kocim ruchem doskoczył do niej i wyrwał jej z ręki nieszczęsne szczątki majtek. Odszedł od niej tak, iż znalazł się tuż przy mojej kępie głógów, splunął na ziemię, schował strzępy kostiumu do kieszeni i powiedział:

– Trzymaj się, kurwo, z daleka od Dominiki. Wymyśl coś, jakiś powód, dla którego wyjeżdżasz, i wypierdalaj stąd. Rozumiesz? I nie próbuj mnie o nic oskarżać, bo zanim cię psy wysłuchają, to ja ci buziunię tak przemodeluję, że nikt cię już nie zechce.

– Damian, co ty? Ja tylko żartowałam.

Ewelina na gołe ciało zarzuciła wymiętoszoną i uwalaną trawą sukienkę. Próbowwała jeszcze przyciągnąć do siebie i zatrzymać chłopaka. Najmniejszego wrażenia nie zrobiło na niej jego wulgarne, brutalne zachowanie i wyzwisko, a nawet wydawało mi się, że mimo porażki erotycznej macho odzyskał w jej oczach prestiż. Chłopak jednak odepchnął ją, ominął skrywające mnie kolczaste krzewy i pobiegł przez łąki i zaorane skiby do naszego domu. Ewelina zapięła sukienkę i powłokła się za nim.

18. WYPADEK

Wstrząśnięta tym wszystkim, co zobaczyłam i częściowo zarejestrowałam, ruszyłam wolniutko do domu. Usiadłam w sadzie przy Krzysiuowym stole i zamyśliłam się. Położyłam z daleka od siebie aparat, gdyż poczułam do niego jakiś wstręt, jakby to urządzenie było czemukolwiek winne. Nie miałam nawet ochoty sprawdzić, jak nagrało mi się całe zajście. Zamknęłam oczy i poczułam pod powiekami piekący ból. Łzy napłynęły mi do oczu. Przecież nie wszyscy są tacy – pomyślałam. Jest dobra, pogarbiona, bezzębna staruszka, pani Bzymkowa. Jest gdzieś daleko serdeczna pani Józia. Jest wreszcie kochający bliźnich ksiądz Marek. Jest dużo, dużo wspaniałych ludzi i o nich trzeba myśleć. Nigdy nie pokażę córce tego filmu. To musi się jakoś inaczej zakończyć. Ona sama spostrzeże, że Tomek jest wart jej zachwyty i miłości. A Ewelina? To tylko biedna, opuszczona przez rodziców dziewczyna, która może się jeszcze opamiętać. Może właśnie to doświadczenie ją zmieni. Nie wierzę, że nie przeżyje tego na swój sposób. Wstałam, wzięłam aparat i skasowałam film.

Właśnie przeszłam przez stodołę na podwórko, gdy usłyszałam głośny warkot motoru Damiana ruszającego ostro sprzed frontu naszego domu. Obyś już więcej tu nie wracał – pomyślałam. Chwilę później dobiegł mnie inny warkot i szcęk oraz mocny odgłos uderzenia. Wybiegłam na drogę. Damian leżał na jezdni, a jego motor w rowie, obok stał ciągnik, którym Kita wyjechał z podwórka. Damian najwyraźniej uderzył w traktor. Kita był oszołomiony i nie bardzo kontaktował, co się stało. Dziś po południu trochę przetrzeźwiał i postanowił wziąć się do robót polowych. Wyjechał, nie patrząc na nic, prosto z podwórka na drogę, po której, również nie patrząc na nic, jechał wkurzony Damian. Pochyliłam się nad chłopakiem. Nie dawał oznak życia. Z podwórka wybiegły przerażone dzieci Kity, z którymi niedawno rozmawiałam na łące. Ode mnie z budowy przylecieli bracia Gaikowie i Patryk. Wezwałam karetkę, a tymczasem mój syn fachowo zajął się rannym. Ułożył go właściwie, odgiął głowę i zaczął reanimować. Pogotowie przyjechało piorunem i ratownicy przejęli Damiana. Wyrazili uznanie dla Patola, coś tam jeszcze powiedzieli, że po ojcu ma to

oprowadzenie, ale nie było czasu, gdyż Damian miał poważne obrażenia głowy i klatki piersiowej.

Przyjechała też policja, która zwinęła bełkoczącego Kitę i zabezpieczyła ślady. Odwróciłam się, by pójść do domu. Teraz dopiero spostrzegłam, że Ewelina stała tu od jakiegoś czasu jakby skamieniała i pobladała, przyglądała się zajściu bez słowa. Patryk zgarnął dzieciaki Kity do nas na kolację. Ewelina weszła do domu, wzięła swoją torbę i powiedziała cicho:

– Dobrze, że Dominika tego nie widziała. Mam nadzieję, że mu nic nie będzie, bo tacy to zawsze mają szczęście. Ja już pojedę. Chyba będę miała jakiś autobus.

– Nie ma sensu, żebyś dzisiaj sama jechała do domu. Jutro was wszystkich odwiozę. Powiedzcie delikatnie Dominice, jak się obudzi, i zajmijcie się dziećmi, a ja zawiadomię matkę Damiana – powiedziałam spokojnie i wzięłam kluczyki od samochodu.

Jechałam bardzo wolno, żeby ułożyć sobie, co i jak powiem tej kobiecie, żeby jej zanadto nie przestraszyć. Wiedziałam, jak bardzo kocha swego niesfornego jedynaka. Zawsze wydawało mi się, że jest to miłość głupia i szkodliwa. Gdy jednak dowiedziałam się, że ojciec Damiana jest z kolei tępym brutalem, który swoje obowiązki rodzicielskie rozumie jako pastwienie się nad matką i synem, patrzyłam na nią raczej ze współczuciem. Zresztą dla każdej normalnej matki informacja o wypadku syna to koszmar. Nic nie pomogła długa jazda, nie mogłam zebrać myśli i gdy wreszcie stanęłam przed drzwiami, miałam w głowie zupełną pustkę. Otworzyła mi zapłakana matka Damiana.

– Już pani wie? – spytałam.

– Tak. Właśnie dzwoniли ze szpitala, że go nie dowieźli. Zmarł w karetce – zaniósł się ponownie płaczem.

– Nie wiedziałam. Chciałam tylko powiedzieć o wypadku – bąkałam. – Myślałam, że... Nie wyglądało na to... – nie wiedziałam, co mówić i robić.

– O mój Boże, dlaczego?! – zawodziła kobieta. – Teraz wszystko szło ku dobremu. Miał zajęcie, nie pił i już go naćpanego nie widziałam chyba z pół roku. Chciał być dobry, dla niej. Ja wszystko wiem, on by dla niej wszystko... O mój Boże, dlaczego teraz?! – łkała.

– Nikt nie wie dlaczego, nikt nie wie kiedy. Wyobrażam sobie, co pani czuje.

– Nie może pani sobie tego wyobrazić. Jak się tego nie przeżyło, nie można sobie tego... Ja też tego nie przeżyję. Nie chcę już

zresztą żyć. Ja dla niego wszystko znosiłam. Ile mnie ten jego ojciec naobijał, ale ja tylko o dziecku myślałam. Mówili na niego różne rzeczy. Pani to wie. A ja wiedziałam, że będzie z niego ktoś. I miał talent. Nagrania miał już umówione i taki był szczęśliwy, że ona go chciała i mielibyśmy wnuki i... – załkała znowu.

Poczułam się okropnie. Ja go nie znosiłam. Pożegnałam go myśłą, abym go więcej nie musiała oglądać, to tak, jakbym mu życzyła tego, co się stało. Nie przyszło mi do głowy, że taki ktoś, jak on, może zwierzać się matce, być zakochany, snuć jakieś pozytywne plany. Dlaczego więc tak paskudnie postępował? Dlaczego jeszcze dziś zrobił to, co zrobił? Nie chciałam, nie mogłam nawet nazwać tego. A może chciał się zmienić, tylko potrzebował czasu? Ale właśnie czasu mu zabrakło. Tylko matka, dzięki swej miłości, umiała zobaczyć w nim dobro.

– A jak ona? – pytała mnie zapewne o Dominikę, czym mnie zdumiała i wzruszyła zarazem.

– Jeszcze nic nie wie. Źle się dziś czuła, wzięła tabletkę i zasnęła. Jak wyjeżdżałam z domu, jeszcze spała – odpowiedziałam.

– Mój Boże, taka młodziutka i zaraz na początku taki cios, biedactwo – matka Damiana użalała się nad moją córką.

Zrozumiałam, że Damian snuł z matką jakieś miraże i opowiadał jej o czymś, czego w istocie nie było. Znam moją córkę i jestem pewna, że tego, co czuła do tego chłopca, nie nazwałaby miłością. Nie była to jednak odpowiednia chwila, aby uświadamiać takie rzeczy jego matce. Dziś zobaczyłam tę kobietę też w zupełnie innym świetle. Do szkoły przychodziła zawsze przesadnie wymalowana i wystrojona, odzywała się niezbyt sympatycznie. Teraz wiem, że to wszystko był kamuflaż, próbowała ukryć niepewność, bezradność i bezsilność. Nie chciała, żeby ktoś wiedział o jej poniżeniu, ale w takiej gminie, jak nasza, nic się nie ukryje. Dziś rozmazana i potargana była mi bliska.

– Widziała pani, jak to się stało? – zapytała, wycierając nos rękawem.

Usiadłyśmy i opowiedziałam jej to, co widziałam. Nie mówiłam, że kierowca ciągnika był pijany, ale ona sama stwierdziła:

– A Kita pewnie był napity? Biedne te dzieci, teraz zostaną zupełnie same.

Zero zaciętości, zero agresji, pogrążona w żalu i współczująca. Jeśli Damian miał taką matkę, nie mógł być złym człowiekiem – pomyślałam i chyba dopadało mnie poczucie winy.

Pomogłam jej poszukać dokumentów, spakować niezbędne rze-

czy i połączyć się za pomocą Skype'a z mężem, który pracował za granicą. Z drugiego pokoju słyszałam ich dziwną rozmowę. Kobieta, językiem niemalże gazetowym, zrelacjonowała wypadek. Mąż ze ściśniętym gardłem powiedział tylko krótko:

– To zajmij się tam wszystkim, żeby było jak należy, a jak przyjadę, to mu, kurwa, pokażę.

Pojechaliśmy razem do szpitala i poczekałam na nią, aż wszystko załatwi, po czym odwiozłam ją do domu i oddałam w ręce siostry, która powiadomiona o nieszczęściu zdążyła już przyjechać z Krakowa. W domu byłam nad ranem. Wsunęłam się cichutko do łóżka i nawet nie zajrzałam do Dominiki, gdyż światło było zgaszone.

Nie spałam długo, ale gdy weszłam do kuchni, wszyscy siedzieli już przy pustym stole w absolutnym milczeniu.

– Gdzie byłaś tak długo i czemu wyłączyłaś telefon? Denerwowałam się – powiedział z wyrzutem Patryk.

– Przepraszam. Miałam rozładowaną komórkę i nawet o tym nie wiedziałam. Pojechałam z mamą Damiana do szpitala.

– Ja zaraz tam jadę – odezwała się Dominika.

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że oni nie wiedzą najgorszego.

– Nie ma po co...

– Oj, mamo, wszyscy pojedziemy – przerwała mi gorączkowo córka. – Nawet jeśli jest nieprzytomny...

– Posłuchaj spokojnie – teraz ja jej przerwałam. – Damian zmarł w drodze do...

– O Boże! – jęknęli wszyscy troje równocześnie.

Dominika zrobiła się biała jak płótno i pewnie osunęłaby się na podłogę, ale czujny Patryk schwycił ją w pól i zaciągnął na kanapę. Spojrzałam na Ewelinę. Miała zacięte usta i dziwnie nieobecne spojrzenie. Robiła wrażenie, jakby nic nie słyszała.

– Musicie coś teraz zjeść, bo na dziesiątą chyba pójdziemy na mszę, pomodlimy się za niego. Potem może trzeba będzie pomóc w czymś jego matce. Chociaż jest z nią teraz siostra, taka całkiem sensowna osoba – gadałam, bo cisza wydawała mi się nie do zniesienia. – A i do dzieci Kity zajrzemy, weźmy je może na razie do siebie. Po obiedzie was odwiozę do Kielc.

Odezwała się komórka Patryka. Ostry muzyczny sygnał sprawił, że wszyscy podskoczyliśmy z napięcia do góry. To Michał, członek zespołu, już się dowiedział o tragedii, ale nie chciał wierzyć i u nas szukał potwierdzenia, a raczej zaprzeczenia. Patryk opowiadał mu

to, co wiedział o zajściu. Kiedy skończył, Dominika usiadła na kanapie i zapytała:

– Ale dlaczego odjechał? Myślałam, że zostanie do wieczora. Ewelina, rozmawiałas z nim tuż przed? Miał wrócić? Przecież mówiłam, że wstanę, jak mi przejdzie. Dlaczego tak ostro wyrwał? Pokłóciłaś się z nim?

– Ja się poszłam przejść – odpowiedziała Ewelina, która teraz sprawiała wrażenie wybudzonej ze snu.

– Domiś, wiesz, jaki on był narwany – powiedział Patryk. – Nie raz startował na jednym kole. W ogóle jeździł jak wariat.

– Nie mów tak o nim. Ty go nie lubieś. Udawałeś jego kumpla – Dominika chciała znaleźć winnego lub w jakiejś kłótni rozładować te straszliwe emocje.

– Dominika, to nie ma sensu – wtrąciłam się. – Nie będziemy go teraz oceniać ani się biczować. Fakt, że zginął tak młody chłopak, jest tragedią, ale już się losu nie cofnie.

– To nie los, to ta zapijaczona morda, ten Kita go zabił. Mam nadzieję, że nie wyjdzie z więzienia.

– Domka, wiesz, ile razy Damian po pijaku jeździł motorem po wsi i robił różne szalone ewolucje? Popisywał się, a ja zawsze umierałam ze strachu, że kogoś albo siebie zabije – wspominał Patryk.

– On szukał śmierci. A tymczasem ona go znalazła, i to na takiej mało uczęszczanej drodze – snułam rozważania. – Dorwała go teraz, gdy próbował się zmienić.

– On już się zmienił. Nie zauważyłaś tego? – Dominika była napastliwa. – Nie pił, żadnego świństwa już nie palił. Przynależ mi...

– I myślisz, że jakby mu w tym hip-hopie wyszło, nadal by tak było? Znowu odbiłaby mu szajba: panienki, wóda, dragi – Ewelina włączyła się nagle do rozmowy. – Wątpię, żeby cię tak słuchał jak teraz. On nie był dla ciebie.

– A co, dla ciebie? – Dominika stanęła gwałtownie przed Ewelina.

– Ja bym go nie chciała – stwierdziła Ewelina.

– To czemu tak go...

– Ciszej nad tą trumną! – Patryk przywołał dziewczyny do porządku.

– Ja chyba nie mam siły jechać dzisiaj do Kielc i jutro iść normalnie do szkoły – powiedziała bezradnie Dominika i lży spływały jej po policzkach.

– Trzeba żyć normalnie i wy musicie normalnie się uczyć, bo

matura za progiem – powiedziałam najspokojniej, jak umiałam. – To jest ogromna tragedia, ale życia mu nikt nie wróci. Przyjedziecie na pogrzeb, zamówimy mszę, będziemy się modlić i tyle możemy zrobić.

Patryk bez namawiania poszedł z nami na mszę do kościoła, modlił się żarliwie. Nie wiem, czy to tylko chwilowa zmiana pod wpływem nagłej śmierci kolegi, czy też pogodził się już z Kościołem jako instytucją na dobre. Być może młodzieńczy bunt mu właśnie minął lub ksiądz Marek wyperswadował mu pewne rzeczy, a dziś był dobry moment, by mógł bez zbędnych deklaracji i tłumaczeń wejść do świątyni. Proboszcz poświęcił chwilę po mszy, aby wspomnieć Damiana i zaapelować do młodych o rozwagę. Wszystkich kierowców przestrzegał przed prowadzeniem jakichkolwiek pojazdów po alkoholu. Kiwali ze zrozumieniem głowami, ale dałabym głowę za to, że kilku miało jeszcze we krwi promile po sobotnich libacjach, a do kościoła przyjechali samochodami. Odmówiliśmy wspólnie „Wieczny odpoczynek”. Dominika nie mogła powstrzymać łez. Właściwie to dobrze. Niech się wypłaczę, będzie jej lżej – pomyślałam. Na bramie kościoła wisiała klepsydra. Pogrzeb miał się odbyć w środę.

Po obiedzie zawiozłam ich troje do Eweliny. Może w tej chwili wspólne mieszkanie Dominiki z Eweliną nie było najlepsze, lecz internat już nie wchodził w grę. Z drugiej strony byłam pewna, że Ewelina nie wyjawi Dominice prawdy o tym, co robiła z Damianem nad strumieniem, a jej chłodny stosunek do zmarłego chłopaka nie pozwoli Dominice na budowanie wokół niego nimbu świętości i wyjątkowości. Jestem przede wszystkim matką Dominiki i mimo całego współczucia jej dobro leży mi najbardziej na sercu.

Późno wieczorem rozmawiałam z mężem. Wobec wstrząsających historii, które mu przekazałam, jego radosne przeżycia zeszły na drugi plan. Rafał dobijał się do mnie na Skypie, gdy rozmawiałam z mężem. Odrzuciłam jego rozmowę, a ten wciąż nie dawał za wygraną. Wreszcie napisałam mu, że nie mam nastroju do pustych konwersacji, bo wokół mnie wydarzyło się wiele złego. Przeprosił za natarczywość, wyraził niepokój i współczucie. Napisał, że nie nazwałby naszych rozmów pustymi i chciałby też poznać moje problemy, bo dotąd raczej mówiłam o swoim życiu jako o paśmie sukcesów. Wkurzył mnie jeszcze bardziej. Nie chciało mi się stukać w klawiaturę, więc się z nim połączyłam, żeby zapytać, o jakich sukcesach to niby ja mu opowiadałam.

– No jak to jakich? – zdziwił się. – Mówiłaś, że masz kochają-

cego męża i ty także go kochasz. Macie cudowne dzieci, które są z wami bardzo blisko. Mieszkacie w uroczym zakątku Polski. Odbyliście pasjonującą wyprawę do Afryki. Czy to jeszcze mało?

– A czy ja mówię, że mało? Ale ty sugerowałeś, że ja się przechwalam. To jest nasze normalne życie, czasami jest nam bardzo ciężko. W sumie masz rację, mam wiele powodów do zadowolenia.

– Weź pod uwagę, że ja słucham tego z zazdrością, bo sam sknociłem swoje życie. Pierwsze nieudane małżeństwo. Rozwód i właściwie dezercja z kraju. Musiałem wyjechać daleko od Goški, bo ona nie dałaby mi spokoju. Wiesz chyba, że okazało się, iż jest chora psychicznie. Jej rodzina wiedziała już coś wcześniej, ale nikt mnie nie uprzedził. Najpierw wciąż twierdziła, że jest w ciąży, i potem ciężko przeżywała poronienia, których nie było. Ona miała obsesję na moim tle. Zamęczała mnie, że ją zdradzam. Najczęściej widywała mnie rzekomo z tobą, choć ty już mieszkając na Mazurach. Śledziła mnie i wciąż straszyla, że się zabije. Kilkakrotnie podejmowała takie próby. Wtedy myślałem sobie, że to kara za...

– Daj spokój. Długo byłeś z nią? – wtrąciłam.

– Osiem lat. Potem dowiedziałem się od twojej mamy, że wyjechałaś z kraju, i przyszło mi do głowy, że moją jedyną szansą jest ucieczka. Właściwie to ja najpierw wyjechałem, a potem dopiero się z nią rozwiodłem. Moi rodzice jeszcze mieli z nią krzyż pański, ale w końcu chyba trafiła na lepszego psychiatrę albo teraz są skuteczniejsze leki. Podobno nawet gdzieś pracuje. Kiedy przyjeżdżam do kraju, bardzo się boję nawet przypadkowego z nią spotkania, żeby to wszystko nie wróciło.

– Powiedziałeś: „pierwsze nieudane małżeństwo”. Czy to znaczy, że jest drugie? – zapytałam.

– No tak – odpowiedział z pewnym ociąganiem. – Jest drugi związek, ale nie małżeństwo. Może powinienem powiedzieć: był drugi, bo właściwie zdecydowaliśmy już o rozstaniu i łączą nas jedynie interesy.

– Czy to Amerykanka?

– Tak, ale z polskimi korzeniami.

– Mówi po polsku?

– Mówi, ale śmiesznie. Taka mieszanek gwary podhalańskiej i amerykańskiego, bo rodzice są góralami.

– Macie dzieci?

– Ona ma dwoje, każde z innego związku. W domu jest obłąd. Dzieci są kolorowe, ale każde ma domieszkę innej rasy, a z racji kontaktów z ojcem innej kultury. Nieustannie walczą ze sobą. Łączy

je jednak nienawiść do mnie. Tego nie da się dłużej wytrzymać.

– Dlatego mówiłeś coś o powrocie do Polski na stałe? Znow chcesz uciec?

– Jesteś okrutna, ale należy mi się.

Pomyślałam, że choć tradycyjna rodzina ulega też niekiedy patologiom, można przynajmniej dostrzec, co w niej jest patologiczne. W tych nowoczesnych związkach patologia leży już u ich podstawy. Jak to dobrze, że mój mąż został tak konserwatywnie wychowany i stale wyznaje wartości zaszczerpione mu przez rodziców.

Opowiedziałam jeszcze Rafałowi o tragedii, która wydarzyła się koło naszego domu i dotknęła mocno moje dzieci. Zanim naświetliłam relacje między młodymi, zrobiło się potwornie późno. Ten Internet mnie zabije – pomyślałam, naciągając koldrę.

19. ZEMSTA

Dobrze, że wysłałam Dominikę do szkoły, bo nawał obowiązków i towarzystwo innych, niezwiązanych ze sprawą ludzi, pozwolił jej nabrać trochę dystansu. Oczywiście przywiozłam dzieci i Ewelinę na pogrzeb, ale sprzeciwiłam się pomysłowi matki Damiana, żeby Dominika szła z nią i jej mężem bezpośrednio za trumną. Dominika nie oponowała i też była raczej zdziwiona taką propozycją.

– Ja tę kobietę znam tylko z widzenia, a ojca wcale – szepnęła mi córka.

– Widzę, że mama tworzy sobie jakieś mity i chce z ciebie zrobić wdowę po swoim synu. Może chciałyby czuć, że ktoś tak jak ona lub nawet mocniej odczuwa tę stratę – nachylona szeptałam do ucha Dominiki. – Można ją zrozumieć, ale nie daj się w to wciągnąć. Był twoim kolegą, sympatią najwyżej.

– Właściwie tak – odpowiedziała rozsądnie córka.

Po pogrzebie nie przyjęliśmy zaproszenia na stypę, choć mama Damiana bardzo nalegała. Wytłumaczyłam się koniecznością zawiezienia dzieci do Kielc i nawałem pracy. Wyglądało na to, że najgorsze jest już za nami. Dominika jeszcze trochę popłakała, gdy uświadomiła sobie, że musi odwołać start w konkursie i rezerwację studia. Byłam przy tym, jak profesjonalnie prowadziła rozmowę z jakimś menedżerem. Swoją drogą, chyba w tym swoim stylu Damian musiał być niezły, skoro ktoś ponoć znany w branży zaproponował mu nagrania.

Gdy przyjechaliśmy do Kielc, Ewelina ostentacyjnie zrzuciła czarną bluzkę i spódniczkę, wciągnęła amarantowy kasaczek i zielone legginsy, oba kolory dawały niezłe po oczach, i powiedziała, że idzie się przejść, bo się zaraz udusi albo wyrzyga. Patryk wzruszył ramionami i skomentował:

– Ona jest dziwna, ale da się z nią wytrzymać.

Potem poprosił mnie jeszcze o sprawdzenie wypracowania na temat Granicy Nałkowskiej. Powinnam ten fakt chyba zapisać węglem w kominie, bo zdarzyło się to pierwszy raz, że sam poprosił o pomoc. Oczywiście bywało, że poprawiałam mu prace, ale nigdy o to nie zabiegał, a wręcz się wykrecał. Najczęściej bowiem

wychodziły przy okazji jakieś jego machlojki, ściągania lub zaniedbania. Dzisiejsza praca nie była odkrywczą, ale solidną i raczej samodzielna.

Wróciłam do pustego domu. Siąpił deszcz i psy dobijały się do drzwi. Trudno im się dziwić, że wołałyby siedzieć ze mną w domu, w cieple niż w wilgoci, w budzie. Wyraźnie wcześniej już robiło się ciemno, przyszła jesień, a z jesienią smuteczki. Naszykowałam michy jedzenia moim berneńczykom, wzięłam butelkę ajerkoniaku, owinęłam się w ciepły koc i usiadłam na ganku. Nie chciało mi się nawet do nikogo dzwonić. Grażyna odpłynęła gdzieś ode mnie razem ze swym szczęściem. Mąż na ekranie to za mało, żeby nie czuć pustki w sobie i przy sobie. Kochane, mięciutki, wesołe piecuszki są dobre na chwilę, ale nawet nie mogę ich wziąć do domu, gdyż tak strasznie wytarzały się w budowlanych pyłach i zmokły, że będzie je trzeba w najbliższym czasie wykąpać.

Posiedzę więc z nimi i osłodzę sobie życie – pomyślałam, nalewając kieliszek ulepku. Nagle w mroku zobaczyłam biegnącą w moim kierunku drobną istotkę z rozwianym włosom, w koszulinie i na boso. Odstawiłam butelkę i pobiegłam w jej stronę. To mała Paulinka Kita pędziła z wołaniem o pomoc.

- Proszę pani, szybko! Ten tata Damiana chce zabić naszego...
- Przyszedł do was?
- Tak, szybko, bo on nam tatę albo Szymka zabije!

Biegłyśmy razem. Zapomniałam wziąć telefon, ale nie mogłam już wracać.

- Jest pijany? – zapytałam dziewczynkę.
- Tak! Jeden i drugi! – odrzyknęła.

Przed domem stał samochód. Domyśliłam się, że to ojciec Damiana nim przyjechał. W kuchni minęłyśmy przerażone młodsze dzieci. Szymek próbował odciągnąć napastnika od leżącego w pijanym otępieniu ojca. Napastnik także ledwie trzymał się na nogach i dzięki temu Szymek unikał jego ciosów. Ojciec Damiana krzyczał:

– Spierdalaj gnoju, bo ciebie też zabiję! Ten morderca mojego dziecka musi zginąć. Policja, kurwa, sądy, kurwa! Już go puścili, ale ja cię, ty sukinsynu, zajebię! Za mojego jedyne syneczka cię... Odejdź, gnojku! Do ciebie nic nie mam. Zajebię tego, ale musi wiedzieć, że ginie. Obudź się, ty chuju, morderco!

W rękę trzymał duży, rzeźniczy nóż, którym niezbornie wymachiwał na wszystkie strony. W każdej chwili mógł nim poważnie skaleczyć Szymka, wbić go w odurzonego Kitę lub sam

zrobić sobie nim krzywdę.

– Macie jakiś telefon? – spytałam szeptem Paulinkę.

– Mamy, ale karty nie ma za co kupić.

– Biegnij do mojego domu. Na stole leży komórka. Dzwon pod...

– Wiem. Lecę – odparła dziewczynka i pomknęła z powrotem.

Ja zaś stanęłam w drzwiach i możliwie najspokojniejszym głosem poprosiłam Szymka, żeby podszedł. Napastnik podniósł na mnie zdziwione, zapijaczone oczy.

– A co?! – zapytał prowokacyjnie.

Zbliżyłam się i pociągnęłam niezdecydowanego Szymka do siebie. Odciągnęłam go jeszcze trochę i zwróciłam się do ojca Damiana.

– I co, panie Nowak, chce pan dokonać samosądu? Czy to wróci życie Damianowi?

– Co się pani wtrąca! Ja go zarżnę jak świnię, bo mu się to należy. A u nas sprawiedliwości człowiek się nie doczeka. Pójdę siedzieć i ja. Co mi tam po życiu. Całe życie ciężko pracowałem. Wszystkiego sobie odmawiałem, żeby on miał, żeby synowi było lepiej. I dla kogo to wszystko? Po co?

– Wiem, że pan jest rozżalony, ale w ten sposób nie uzyska pan spokoju ducha. Nie może się pan mścić. Ten człowiek nie chciał tego. Pan teraz też po drodze mógł spowodować wypadek. Nie jest pan bez grzechu, żeby innych osądzać. Damian też nie raz podobno po alkoholu wsiadał na motor i mógł się zabić.

– Od mojego chłopaka odpierdolić się! – warknął i postąpił w moim kierunku.

Cofnęłam się, wypychając Szymka do kuchni. Nowak się zachwiał, ale na szczęście zatoczył się w kierunku stołu i oparł na nim rękę trzymającą nóż.

– Jeśli pan chce, możemy porozmawiać o Damianie i o zmianach, jakie zachodziły w jego zachowaniu, pozytywnych zmianach – grałam na zwłokę. – Ja ostatnio częściej widywałam pana syna niż pan, więc wiem o nim więcej. Był taki czas, że myślałam, iż ten chłopak już się wykolei. Teraz jednak wszystko szło w dobrym kierunku. Miał pasję, chciał coś osiągnąć, miał jakiś cel. Może chodziło o to, żeby zaimponować mojej córce? Tak twierdzi pana żona, a ja nie wiem. Ale to nieważne. Najważniejsze, że przestał pić. Zerwał kontakty z ludźmi, którzy handlowali narkotykami, i sam nie brał. On miał silną osobowość, potrafił sam wyjść z tego bagna, w którym tkwił dość długo. Mógł wiele osiągnąć, ale Bóg miał inne

plany.

– Co mi tu pani, kurwa, pierdoli o Boskich planach. Nie ma sprawiedliwości tu na ziemi i tam w niebie. Bo jakby była, to on już by zdechł. – Machnął nożem w kierunku chrapiącego Kity.

– A może Bóg wymierzył mu sprawiedliwość, jeszcze zanim on wsiadł na ten nieszczęsny traktor. Bóg, który wie wszystko, nie musi się trzymać naszej kolejności zdarzeń – brnęłam w jakąś kleconą naprędcę teologię. – Kitów wcześniej dotknęło nieszczęście. On pije z rozpaczy i pan też się dzisiaj upił z rozpaczy. Niewiele brakowało, a doprowadziłby pan do kolejnej tragedii. Niech mu pan wybaczy, bo to biedak, któremu trzeba pomóc. Będzie panu lżej. Jest pan wierzący?

– A ja już nie wiem – powiedział bezradnie Nowak i wypuścił z ręki nóż.

– Za zmarłych trzeba się modlić, a nie dodawać im zgryzot na tamtym świecie. Nie można się szczerze modlić i być wysłuchanym, jeśli się nie wybaczy, jeśli się zaciska pięści albo trzyma nóż.

– Jak tak pani mówi, to tak chyba jest – powiedział i rozplakał się na całego.

Podeszłam, otoczyłam go ramieniem i podałam mu chusteczkę. Dzieci Kity stanęły w drzwiach i gapily się już bez lęku na groźnego przed chwilą napastnika. Były dobrymi psychologami, bo z autopsji wiedziały, kiedy następuje rozładowanie sytuacji.

– Chodźmy, panie Nowak, odwiozę pana swoim samochodem do domu, a po pana auto niech przyjedzie żona, bo dzieci mogą się przestraszyć, jak pana znów zobaczą.

– Jak tak pani mówi, to dobrze – powtarzał zgodnie.

Wyszliśmy razem przed dom i w tym momencie podjechał radiowóz. Policjanci okazali się kolegami Nowaka.

– Czesiek, co ty wyrabiasz? Biedne dzieci po nocy straszysz? – zagadał po przyjacielsku jeden z nich.

– Stało się coś? – drugi zapytał mnie konspiracyjnie.

– Nie, na szczęście nie. Chciał najpierw dobudzić Kitę, ale to się okazało niewykonalne – odpowiedziałam.

– A co z tymi małymi? – policjant wskazał na zapłakaną i zasmarkaną gromadkę.

– Zaraz ich z Pauliną położymy spać – odparł zupełnie już spokojny Szymek.

– No to my odstawimy pana Czesia do domu. Skargi żadnej, myślę, nie będzie? – policjant uśmiechnął się przymilnie do mnie.

– Mam nadzieję, że zapanuje pokój – powiedziałam.

Odjechali, a ja solidarnie włączyłam się do akcji mycia i karmienia małych Kiciątek. Przede wszystkim sprzątnęliśmy ze stołu rzeźnicki nóż, który został po całej awanturze jako corpus delicti. Co prawda, kiedy tak pijany Kita stękał, mamrotał i pochrapywał, chciałam sama użyć tego noża, żeby biedne dzieci nie musiały więcej w takim stanie oglądać swego ojca. Jestem lepszą chrześcijanką w gadaniu niż w czynach, a zwłaszcza niechrześcijańskie mam myśli.

Po powrocie do domu nie włączałam już komputera, ale zaniepokojony mąż zadzwonił na telefon stacjonarny.

– Co się z tobą dzieje?! Ja tu od zmysłów odchodzę! – krzyczał histerycznie. – Już myślałam, że cię ktoś napadł.

– Przeciwnie, to ja rozbroiłam uzbrojonego w nóż osobnika – powiedziałam z dumą.

– Jak to?! Co się stało?

– Nowak chciał zarząć z zemsty Kitę i o mało co by mu się udało.

– Boże, kobieto! – krzyczał mój mąż.

– Więc się zdecyduj: Boże czy kobieto?

– Jesteś pijana?

– Ze zmęczenia, ze szczęścia i może trochę te opary od obu delikwentów.

Teraz dopiero przypomniałam sobie o otwartej butelce adwokata.

– Nie dręcz mnie i powiedz w skrócie, co ty znów nawyrabiałś.

– No już ci powiedziałam. Zawołały mnie dzieci, bo Nowak przyszedł do Kity z nożem rzeźnickim, chciał dokonać wendety.

– I co, wezwałaś policję?

– To też, ale zanim przyjechali, rozbroiłam faceta piękną homilią. Gdyby to słyszał święty Paweł, cofnąłby zakaz nauczania przez kobiety.

– Dobra, idź spać, bo bredzisz. Kocham cię i tak.

– No, nie powiem, miło było słyszeć.

Pobiegłam na ganek po zostawioną tam butelkę, aby uśpić się po mocnych wrażeniach słodziutkim kieliszeczkim, ale zastałam ją przewróconą, a rozlany adwokat był starannie wylizany. To już drugi raz moje psy się upiły. Co za czasy, nawet psy trudno jest wychować w trzeźwości, a co dopiero dzieci. Na dnie butelki zostało właśnie dokładnie na jeden spory kieliszek, taki do nalewki, więc wysączyłam wszystko i kieliszek wylizałam. Wcale ten alko-

hol nie jest taki zły – pomyślałam, zasypiając.

20. EWELINA

Na jakiś czas wokół mnie zapanowała niezwykła cisza. Dzieci meldowały niezmiennie, że nic się nie dzieje. Każde na swój sposób przeżywało odejście Damiana. Zespół się rozpadł, nie było spotkań, prób, telefonów. Chyba nawet się wzajemnie unikali, żeby odpocząć trochę od emocji. Patryk wreszcie zajął się nauką, co było naprawdę niezwykle i nieoczekiwane. Nie wszystko, rzecz jasna, szło mu jak z płatka, ale nie zniechęcał się, jak to bywało wcześniej.

Dominika zachowywała się raczej normalnie, tylko trochę jakby przygasła. Trudno mi ją na razie rozgryźć. Minęło zbyt mało czasu, a w dodatku nie mam okazji śledzić jej na co dzień.

Mąż się wciągnął do pracy i nawiązał nawet sympatyczne kontakty z sąsiadem ze szpitalnego hostelu. Oczywiście nie jest to rodowity Anglik, bo ci raczej zachowują dystans. Sąsiad Krzysia przyjechał z Ghany i jest psychiatrą. Jego żona, pielęgniarka, z piątką dzieci mieszka w Bristolu, ale odwiedzają tatę, więc Krzys miał okazję poznać ich wszystkich. Jest zachwycony spontanicznością i serdecznością czarnej rodzinki. Ma już zaproszenie do ich rodzinnego domu na któryś z weekendów. Cieszy mnie to niezwykle, gdyż nie będzie zdany jedynie na towarzystwo Ani.

Marian śpieszy się, żeby jak najszybciej wejść z pracami do wnętrza budynku, gdyż pogoda bywa coraz bardziej kapryśna. Serce mi się raduje, gdy wracam z pracy i widzę, że dom rośnie w oczach. Marian molestuje mnie, żeby pokryć dach strzechą z trzciny. On wie, jak to robić, gwarantuje zdobycie dobrego materiału i postara się maksymalnie obniżyć nam koszty. Jak zaczął zachwalać to rozwiązanie, doszłam do wniosku, że męczy się ciężko, pracując na budowie, a w handlu zarobiłby krocie. Pomna jednak na błagania Krzysia, żebym nie podejmowała strategicznych decyzji sama, odłożyłam sprawę strzechy do jego przyjazdu.

Swoją drogą, szybko nawet zleciało i już w tę sobotę jadę na lotnisko po męża. Zamieszkała część domu wysprzątana, ja wydepilowana, wymaseczkowana i radosna. W lodówce smakołyki przyrządzone dla znużonego angielskimi paskudztwami podniebienia. Rafał uprzedzony, że ma mi przez tydzień nie zawracać głowy. Słowem, stęskniona i gotowa odliczam ostatnie godziny do

przybycia ukochanego męża.

Dzieci nawet wspaniałomyślnie postanowiły przyjechać dopiero w niedzielę, żeby nam nie przeszkadzać w powitaniu. Cenna inicjatywa, gdyż warunki lokalowe u nas raczej ciężkie, czułam się jednak zażenowana tym seksualnym podtekstem.

No, muszę przyznać, że trochę tęsknoty, zazdrości, wina i dobre jedzonko może dodać pieprzu ustabilizowanemu, staremu małżeństwu. Niedzielny ranek był cudowny pod każdym względem. Świeciło piękne słońce, niebo było bezchmurne i temperatura dość wysoka. Wstaliśmy późno, nakryłam do śniadania na niezadaszonej jeszcze werandzie. Patrzyliśmy na fantastycznie kolorowy jesienny pejzaż. Byliśmy bezgranicznie szczęśliwi. Nie przeszkadzał nam nawet bałagan w najbliższym otoczeniu, który jest przecież usprawiedliwiony w trakcie budowy. Mnie zaczęła za to zawadzać wielka stodoła, która zasłania piękną panoramę gór.

– Trzeba ją rozwalić – zdecydowałam.

– Przecież niedawno uważałaś ją za atut, za cudowny element wiejskości – mąż czepiał się moich słów jak opozycja obietnic wyborczych zwycięskiej partii.

– Ojej, tylko krowa nie zmienia poglądów – odparłam. – No zobacz sam, jaki sens jest siedzieć na werandzie i gapić się w ścianę stodoły?

– Gwoli ścisłości, gapimy się przez wrota stodoły – przekomarzył się Krzys.

– Czyli jak wół w malowane wrota. Nie chcę być wołem, stodoła polegnie.

– No dobrze, ale na końcu, bo przecież wciąż jest potrzebna – zgodził się wreszcie ze mną Krzys. Ale ze strzechą na dachu się nie udało.

– Nie będę wydawać swoich ciężko zarobionych pieniędzy na jakieś niesprawdzone fanaberie, bo Marianowi się coś увидziało – powiedział mąż. – Czemu u siebie nie zrobił strzechy, tylko blachę?

Zaniepokoił mnie trochę ten kategoryczny ton i przypomnienie, iż to właśnie on ciężko zarabia pieniądze. Czyżby w moim Krzysiu na skutek nowych okoliczności budził się despota? – pomyślałam z niepokojem. A ja to tu ciężko nie pracuję? Fakt, że za marne grosze na etacie i za darmo w domu. Myślę jak feministka – przemknęło mi przez głowę. Sama nie miałam przekonania do tej strzechy, głównie dlatego, że bałam się, iż takie pokrywanie będzie dłużej trwało. Lecz jako świeża feministka pokłóciłabym się jeszcze z mężem o nią choćby dla zasady, ale właśnie przyjechały dzieci. Były

powitania, drobne upominki w postaci kubków z podobiznami Beatlesów z muzeum w Liverpoolu. Ja dostałam markowe perfumy ze strefy bezcłowej. Naprawdę opłacało się męża wysłać za granicę – pomyślałam, rozpylając mgiełkę luksusu, na którą nie pozwalałam sobie już od lat.

Dominika, córeczka tatusia, łąsiła się do Krzysia wyraźnie stęskniona. Wreszcie po dawnemu, jak mała dziewczynka, wpakowała mu się na kolano. Patryk nie skorzystał z zaproszenia na drugie kolano, bo, jak stwierdził, jest za duży na czułości z facetami. Zaproponowałam więc moje kolana dla emocjonalnej równowagi w rodzinie. Bał się o kondycję nóg starej matki i ostatecznie ja wylądowałam na jego rękach. Zmęźniał i nabrał sił, pomagając Marianowi przy budowie. Uniósł mnie jak piórko. Dopingowany przez tatę i siostrę chciał wykonać ze mną rundę honorową dookoła podwórka, ale wpadł na pozostawione przez Marianowych ludzi wiadro z brudną wodą i oboje wywaliliśmy się w błoto. Śmiechu było co niemiara, ale trzeba się było myć i przebierać.

O Damianie nawet nikt nie wspomniał. Ja jednak o nim wciąż myślałam. Sądzę, że Dominika i Patryk również, ale nie chcieli mącić bolesnymi wspomnieniami krótkiego spotkania z ojcem. W pewnym momencie zapytałam dzieci o to, co porabia teraz Ewelina.

– Musi jej być smutno, że wasz ojciec przyjechał, a ona wciąż jest sama. Może trzeba ją było zabrać do nas. W końcu naprawdę zrobiła wam przysługę z tym mieszkaniem – powiedział Krzysztof.

– Chcieliśmy, ale ona źle się ostatnio czuje – odparł Patryk.

– Ojej, a co jest? – zapytałam.

– Ma coś z żołądkiem, wymiotuje. I tak nie mogłaby nic zjeść z tych specjalów, które naszykowałam – dodała Dominika.

– Była u lekarza? – zapytał Krzysztof.

– Tak. Coś jej tam przepisał, ale nie pomogło – odpowiedziała Dominika.

– To niedobrze, że zostawiliście ją samą – stwierdziłam szczerze zaniepokojona.

– Powiedziała wyraźnie, że chce się wyspać, a poza tym nie miałyby siły jechać z nami autobusem, a Tomka też nie chcieliśmy ciągnąć ze sobą. To nasza rodzinna impreza z okazji powrotu taty – powiedziała mało empatycznie moja córka.

– Ewelina ostatnio jest bardzo dziwna. Unika nas, zamyka się w swoim pokoju. Nawet nie było jej przez kilka dni w szkole. Udawała, że z nami wychodzi, i nagle się wróciła, że niby czegoś zapomniała, a potem gdzieś się zmyła. Ja myślę, że ona tak mocno

przeżywa to, co się stało, a nie chce się przyznać ze względu na Dominikę. Jej się bardzo Damian podobał – snuł domysły Patryk.

– Oni się o coś tuż przed wypadkiem pokłócili. Ja tak czuję, chociaż Ewelina zaprzeczyła. Ale teraz wyraża się o nim niezbyt sympatycznie. Nawet jej mówiłam, że o zmarłym tak nie można i że mnie to rani. Trochę się posprzeczaliśmy – dodała Dominika.

– Nie podoba mi się to wszystko – powiedziałam wiedzona najgorszymi przeczuciami, bo nagle skojarzyłam fakty, o których moje dzieci nie miały pojęcia. – Dzwoncie do niej. Tata może ją porządnie zbadać i jeśli trzeba, musimy zaopiekować się chorą. Ugotuję może krupniczkę?

Dzieci dzwoniły do Eweliny na zmianę ze swoich komórek, ja też próbowałam ze stacjonarnego, ale nie odbierała.

– Może wymyśliła tę chorobę dla zmyłki, a znów się gdzieś wypuściła sama? – kombinował Patryk.

– Widziałam, jak wymiotowała kilka razy. Coś jej naprawdę jest – powiedziała Dominika.

– A jeśli zemdlą? Nie możemy nie sprawdzić – stwierdziłam.

– Jedziemy – zdecydował Krzyś.

Wyszykowaliśmy się w jednej chwili. Krzyś zabrał ze sobą torbę lekarską i pomknęliśmy jak erka, tyle że bez sygnału. Na wszelki wypadek zadzwoniliśmy do drzwi, bo to przecież na dobrą sprawę dorosła dziewczyna i należało się liczyć z różnymi ewentualnościami. Nie było żadnego odzewu. Otworzyliśmy więc drzwi kluczem i weszliśmy ostrożnie do środka. Kurtka Eweliny wisiała na wieszaku i buty stały w przedpokoju. Drzwi do jej pokoju były zamknięte. Zapukałam. Nie odpowiedziała. Szarpnęłam za klamkę. Były zamknięte od wewnątrz.

– Ewelinko, co się dzieje? – zapytałam.

Odpowiedziała mi cisza. Patryk i Dominika dopadli do drzwi i zaczęli gwałtownie szarpać klamkę i walić niebezpiecznie w grubą szybę.

– Ewelina, otwieraj! Nie wygłupiaj się! Co z tobą?! – krzyczeli.

– Odsuńcie się – powiedział Krzyś i natarł na drzwi z rozbiegu.

Puściły. Ewelina z zamkniętymi oczami, blada jak opłatek leżała na tapczanie. Krzysztof sprawdził puls i oddech. Żrenice miała rozszerzone. Na stoliku obok znaleźliśmy pustą szklaną buteleczkę po lekach. Etykietka niestety została wcześniej dokładnie zerwana.

– Nie wiadomo, co to za świństwo, ale wygląda mi na środki nasenne – powiedział Krzyś. – Patryk, chodź tutaj! Weźmiemy ją do łazienki. Musi to jak najszybciej zwrócić. Dzwoncie po karetkę.

Krzyś komenderował, a my wypełnialiśmy wszystkie polecenia. Działaliśmy jak ekipa „Ostrego dyżuru”. Zanim przyjechała karetka, Ewelina oddała nam całą zawartość swojego żołądka.

– Mamo, ona jest w ciąży – szepnęła mi Dominika, gdy sanitariusze pakowali nosze z Ewelina do karetki. – Znalazłam w koszu test ciążowy. Ale skąd? Ona teraz z nikim nie chodziła. Nic z tego nie rozumiem.

– Wiesz, dziecko, jakie dzisiaj czasy, młodzi robią to z taką łatwością, jakby szli zatańczyć, a potem... a potem sięgają po najgorsze rozwiązania – powiedziałam, próbując wykorzystać sytuację do nauk moralnych.

– Ale ostatnio bywałyśmy wciąż razem, na wszystkich imprezach, nikt nie mógł jej nic nawet dosypać. Nie wiem, nie rozumiem – powtarzała Dominika, która swego czasu chwaliła się, że zdołała zmienić Ewelinę i ta już nie lata za chłopakami i ma szacunek dla własnej osoby.

Nie jest łatwo zmienić samego siebie, a cóż dopiero drugą osobę, ale zawsze warto próbować – pomyślałam i zaraz przypomniałam sobie casus własnego syna, który zaczął się zmieniać, gdy my już straciliśmy nadzieję.

– Może kiedyś się od niej dowiesz, ale pamiętaj, że musisz być bardzo taktowna, bo to jej osobista sprawa i jej dramat. Teraz trzeba ją wspierać. Mam nadzieję, że dziecko nie ucierpiało. Dobrze, że przyjechaliśmy, bo skończyłoby się to pewnie tragedią – mówiłam i obie z Dominiką wpatrywałyśmy się w ulicę, którą odjechała karetka.

– Wsiadajcie! Jedziemy do szpitala – krzyknął Krzyś.

Okazało się, że nasza pomoc przysłała w samą porę. Ponadto Ewelina na szczęście nie miała dostępu do zbyt silnych środków. Gdy wpuszczono nas do niej, była już przytomna, ale ze szklanym wzrokiem wbitym w sufit wydawała się raczej nieobecna. Moje bliźniaki rzuciły się na nią.

– O, jak dobrze, że żyjesz! – Dominika ścisnęła i całowała koleżankę.

– Co ci strzeliło do głowy? Dlaczego nie powiedziałaś, że masz jakiś problem? – pytał z wyrzutem Patryk, ścisnąc jej rękę.

– Dajcie spokój. Nie dziękuję wam, bo nie chcę żyć. Teraz tylko będę musiała przeżywać wstyd. Będzie mnóstwo pytań i mądre pouczenia. Co was przyniosło do Kielc? – mówiła cicho i z wyraźnym trudem dziewczyna.

– Jak można nie chcieć żyć? Ewelina, zobaczysz, wszystko się

ułoży. Wyobrażam sobie, jaki to dla ciebie szok. Cięża to nie problem w dzisiejszych czasach. W szkole w tamtym roku też chodziła z nami taka z trzeciej „d”. Pamiętasz? Pomożemy ci i wszystko będzie dobrze. Zawiadomimy rodziców. Daj jakieś namiary na nich. Mama na pewno zaraz wróci. – Dominika była człowiekiem czynu, więc chciała działać natychmiast.

– O nie, tylko nie to! – krzyknęła dramatycznie Ewelina. – Co się ułoży?! Co ty wiesz?! Dajcie mi spokój! Nie wtrącajcie się do moich spraw!

Pielęgniarka z dyżurki popatrzyła na nas badawczo i zaczęła dawać znaki, że powinniśmy wyjść. Krzysztof odciągnął Patryka i Dominikę od koleżanki i wyszedł z nimi na korytarz. Zostałam z nią sama, a pielęgniarka nie protestowała. Usiadłam więc obok łóżka i powiedziałam:

– Ewelinko, teraz jesteś zmęczona i wszystko wydaje ci się nie do udźwignięcia, ale w twoim wieku można góry przenosić. Pomyśl, ile może cię jeszcze w życiu czekać pięknych chwil. To, co dzisiaj wydaje się straszne, jutro już takie nie będzie. Chyba wiem wszystko, przypadkiem widziałam cię przez chwilę z Damianem nad strumykiem, ale nikomu nic nie powiem. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie musisz się mnie krępować. Dominika znalazła w koszu test i tylko tyle wie.

Ewelina z bladożółtej zrobiła się na tle białej pościeli intensywnie czerwona i aż podniosła się gwałtownie na poduszce.

– Jak to?! To pani... To pani widziała?!

– Tak. Nie denerwuj się. Teraz musisz myśleć nie tylko o sobie, ale i o dziecku. Ono nie jest niczemu winne. Ma tylko ciebie.

– Nie chcę żadnego dziecka. Nie potrzebuję jego bachora! Niech idzie razem z nim do diabła, bo on się na pewno smaży już w piekle!

– Tych twoich słów też nie powinnyśmy pamiętać. Jesteś wzburzona. Daj sobie trochę czasu na oswojenie się z tą myślą. Nie musisz tego dziecka wychowywać, ale też nie wolno ci go zabijać. Nie jest twoją własnością. Ale jest całkowicie zdane na ciebie. Nie ma problemów nie do rozwiązania, pamiętaj o tym i dbaj o siebie. Przyjdę do ciebie jutro, bez Dominiki i Patryka. Coś wymyślimy. – Uścisnęłam jej dłoń i uśmiechnęłam się najcieplej, jak umiałam, żeby dodać jej otuchy.

– Tylko proszę nie zawiadamić moich rodziców. Oni by mnie dobili. Ja już wolę to wszystko załatwić sama.

– Dobrze, jak chcesz, chociaż myślę, że nie doceniasz swoich

rodziców. Trzymaj się, do zobaczenia.

Nie była nigdy moją ulubienicą, jej zachowanie zawsze budziło moją niechęć, a po tym incydencie z Damianem czułam wręcz do niej odrazę. Ale teraz naprawdę jej współczułam, chciałam jej pomóc. Stała mi się bliska jak córka.

Następnego dnia, gdy Dominika i Patryk byli w szkole, oboje z mężem przyjechaliśmy do szpitala. Mąż początkowo został na korytarzu, a ja weszłam do sali. Ewelinie jednak najbardziej zależało na rozmowie z nim.

– Mam do pana wielką prośbę – zaczęła cicho. – Czy mogła bym do pana przyjechać do Anglii, żeby usunąć ciążę? Tam to podobno można zrobić bez problemu.

Krzyś był zszokowany tym życzeniem, gdyż jest on bardzo zaangażowany w ochronę życia poczętego. Ze swoją prośbą na szczęście Ewelina trafiła na właściwą osobę.

– Tak, masz rację – zaczął. – Tam faktycznie łatwo można pozbyć się dziecka. W każdy piątek w moim szpitalu odbywa się istna rzeź niewiniątek. Kobiety, dziewczyny takie mniej więcej jak ty i całkiem młodziutki podlotki przychodzą po to, żeby zgodnie z prawem zamordować swoje poczęte dziecko. Jedne płaczą, inne wcale się tym nie przejmują. Większość zrozumie, co zrobiła, do piero później, ale nie da się cofnąć czasu i trauma pozostanie na całe życie. W zależności od wskazań dostają tabletki poronne lub płód z ich łona jest wysysany specjalnym urządzeniem. W każdym wypadku jest to krwawy, brutalny zabieg. Oczywiście personel dba o komfort pacjentek i nie pokazuje im, jak małeńkie członki leżą w plastikowej rurce wciąganej przez rodzaj medycznego odkurzacza. Nie obejrzą one wyrwanych z ich macicy małych ciałek, które mają wykształcone już wszystkie części ciała i posiadają załączki wszystkich organów. Bardzo dba się o to, żeby pacjentki nie myślały o tym, co robią. Nie wymawia się nawet słowa „aborcja”, bo zbyt do słownie określa to, co jest istotą tego zabiegu. Używa się eufemizmu „termination of pregnancy”, czyli zakończenie ciąży. Jak łagodnie to brzmi, prawda? Po prostu zakończenie ciąży. W społeczeństwie, które chlubi się humanitarnym stosunkiem do zwierząt, ludzkie, żyjące już przecież istoty, giną na masową skalę, a społeczeństwo ich nie broni. Sądzisz, że twoje dziecko, które jeszcze nic nikomu nie zrobiło, zasłużyło na karę śmierci, bo przyszło nie w porę? Ja nie biorę w tym procederze udziału, na szczęście, mój światopogląd jest szanowany i nikt mnie nie zmusza. W przeciwnym wypadku musiałbym zrezygnować z pracy.

– Ewelinko, możemy ci pomóc we wszystkim z wyjątkiem usunięcia tego dziecka – odezwałam się po wysłuchaniu przemowy Krzysia.

– Nie możesz mnie prosić o to, żebym został twoim współnikiem w zbrodni – powiedział twardo Krzyś, a Ewelina zaczęła szlochać.

Krzyś wyszedł z sali wzburzony, a ja zajęłam jego miejsce. Próbowałam ją pocieszać i dodawać otuchy. Wiedziałam, że to nie jest dobry czas na dyskusję o pryncypiach. Najważniejsze, żeby znów nie próbowała zrobić jakiegoś głupstwa, aby dała sobie czas na oswojenie się z nową sytuacją i mogła poczuć więź z dzieckiem, a przynajmniej współczucie dla niego.

– Ewelinko, nie płacz. Dbaj o zdrowie, a jak wyjdiesz ze szpitala, zastanowimy się, co dla ciebie najlepsze. Cięża nie jest w dzisiejszych czasach żadnym wstydem. Nie musisz się nikomu tłumaczyć, czyje to dziecko. Będzie twoje, jeśli zechcesz, a jeśli nie, to możesz zrobić najpiękniejszy dar jakiejś rodzinie, która nie może mieć tego szczęścia.

– Pani myśli, że ja mogę tu w Kielcach chodzić w ciąży, a potem oddać komuś dziecko? Tu, gdzie znają mnie i moich rodziców? Ludzie by mnie zniszczyli. Moja matka ze względu na to, co ludzie powiedzą, zatruje mi życie. To bez sensu, ono nie może się urodzić, albo ja nie mam po co żyć. Miałam plany życiowe, chciałam studiować. Matura wkrótce. Nie chcę, nie mogę tak komplikować sobie życia.

– Twoje życie już się skomplikowało, a właściwie skomplikowałaś je sama. No, niezupełnie sama – poprawiłam się. – Teraz trzeba w swoich planach nanieść poprawki. Studia nie uciekną. Jesteś zdolna i na pewno je ukończysz. Wymyślimy coś, zaufaj mi. To, co ci się teraz wydaje najprostszym rozwiązaniem, na pewno takie nie jest. Nie będziesz mogła tego już cofnąć, na zawsze zostanie w twojej świadomości, że pozbawiłaś życia swoje dziecko, niewinną, całkowicie zależną od ciebie istotę. Żadne studia, awantury rodziców, ludzkie gadanie i przeżywanie niedogodności życiowych nie jest warte poświęcenia życia dziecka. Czy gdyby już tu leżało obok ciebie, mogłabyś kazać je zabić, żeby móc, wolna i beztraska, wrócić do swego dawnego życia?

Ewelina nic nie odpowiedziała, tylko dwie duże łzy spłynęły po jej policzkach. Gdyby te nasze przemowy słyszała któraś z zatwardziałyh feministek, zażądałaby dla mnie i dla Krzysia kary śmierci, jakiej normalnie jest przeciwna, za manipulowanie młodą osobą

znajdującą się w stanie załamania psychicznego. Oczywiście, gdyby dziewczynie tłumaczono, że jest panią swego ciała, a ten niechciany jego fragmencik znaczy nie więcej niż cysta na jajniku i można się go w każdej chwili pozbyć, aby odzyskać spokój ducha i wolność, to byłaby tylko rzeczowa informacja – pomyślałam sobie.

Następnego dnia oboje z Krzysiem odebraliśmy Ewelinę ze szpitala i zawieźliśmy ją prosto do nas. Zapewniliśmy ją, że nasze dzieci zachowają w szkole pełną dyskrecję w sprawie jej ciąży i próby samobójczej. Dziewczyna nadal błagała nas, żeby nie zawiadamiac jej rodziców. Obiecała przemyśleć wszystko i zastanowić się nad pozytywnymi rozwiązaniami.

– A gdybyś tak mogła wyjechać z Kielc, zanim ciąża zacznie być widoczna, i dokończyła szkołę, na przykład w Warszawie? – gdybałam głośno, obserwując reakcję dziewczyny.

– Za co miałabym się w tej Warszawie utrzymać? Nawet jeśli wynajęłabym moje mieszkanie w Kielcach, nie starczyłoby mi na pokój w stolicy. A gdzie utrzymanie? – wciągała się w moje gdybanie, choć na razie była na nie.

– A gdybyś miała utrzymanie i gdzie mieszkać?

– Ile mogę być na cudzej łasce? Miesiąc, dwa? A potem z dzieckiem do przytułku dla samotnych matek? To jest humanitarne skazywać dziecko na takie życie?

– A bardziej humanitarnie jest je zabić? – włączył się do dyskusji Krzys.

– Myślę, że gdyby rodzice ojca dziecka dowiedzieli się o tej ciąży, byłiby szczęśliwi, że zostaną dziadkami i pomogliby ci, bo to zamożni ludzie – powiedziałam.

– Nie. Tego nie chcę. Nie chcę mieć z nimi do czynienia. Nigdy im nie powiem.

– A ojcu dziecka powiedziałaś? – wypalił Krzys.

– To już całkiem nie wchodzi w grę – pośpieszyłam z odpowiedzią za Ewelinę.

– Ty wiesz, kto jest ojcem? – Krzys zdziwił się niepomernie. – A ja mogę się dowiedzieć?

– Wolałabym nie – Ewelina pokręciła przecząco głową, patrząc błagalnie w oczy urażonego Krzysztofa.

– Nie rozumiem tej waszej kobiecej logiki i solidarności – stwierdził, wydymając usta, i wyszedł na podwórko do robotników.

– Termin wypadłby mi w same matury. Może bym zdążyła zdać, a może nie – Ewelina sama zaczęła rozważać możliwość porodu, co oznaczało jedno, że mogła porzucić myśl o aborcji.

– Tak się składa, że trochę wcześniej moja siostrzenica będzie rodzic. Akurat jej dziecko będzie wyrastać z pewnych rzeczy, to może ci je przekazywać. Wózek i łóżeczko masz u nas w dowód wdzięczności za użyczenie lokum naszym dzieciom. Myślę, że mieszkanie też ci wkrótce załatwię, choć nie chcę nic obiecywać bez konsultacji.

– Czemu pani to wszystko dla mnie robi? Przecież po tym, co pani widziała... – dziewczyna przerwała zaczerwieniona po uszy.

– Co, uważasz, że pewnie źle o tobie myślę? Ten rumieniec mówi mi, że to był tylko głupi młodzieńczy wybryk, że nie jesteś zepsuta. Rzeczą ludzką jest błędzić. Wiesz, mnie jest wstyd za moje myśli. Kiedy zauważyłam, że podrywasz Damiana, życzyłam ci powodzenia, żebyś go tylko odciągnęła od Dominiki. Bałam się o swoją córeczkę, a nie pomyślałam nawet, że ty też jesteś czyjąś córką, że też możesz cierpieć i mieć przez niego kłopoty.

– Sama się o te kłopoty napraszałam. Słyszała pani naszą ostatnią rozmowę?

– Nie, zobaczyłam was razem i odeszłam – skłamałam, bo czułam, że tak będzie lepiej.

Widziałam, że jej ulżyło.

– Ale to się nie uda, żeby moi rodzice nie wiedzieli – zaczęła Ewelina znowu. – A jak oni się dowiedzą, zmuszą mnie, żebym zatrzymała przy sobie dziecko. A ja nie chcę tego bachora, już go nienawidzę za to, że tak skomplikował mi życie. Będę na niego patrzeć i wciąż pamiętać to, co się wydarzyło. Dlaczego przez jeden błąd mam mieć spaprane całe życie? Żebym mogła oddać go teraz i niechby sobie kto inny donosił i wychowywał, i kochał. Ja go nie będę nigdy w stanie nawet polubić.

– Używasz przesadnych słów i terminów: „nigdy”, „całe życie”. Teraz ci się wydaje, że życie straciło sens, bo nie będzie już takie, jak je planowałaś. Będzie inne i należy się do tego przygotować. Będzie na pewno sporo kłopotów, bo nie jesteś samodzielna. Czujesz się za młoda. Ale to tylko kwestia psychiki, która zmieni się, gdy zaakceptujesz swoją sytuację i zostaniesz matką. Biologicznie bowiem twój dzidzius ma wyjątkowe szczęście, że będzie go nosić w swoim brzuszku młodzieńka, śliczna i zdrowa mamusia. No cóż, szkoda, że na własnej skórze musiałaś przekonać się, iż seks nie jest zabawą dla nastolatków. To czynność, która może prowadzić, i jak widać prowadzi, do prokreacji, więc powinna być zarezerwowana dla osób, które mogą wziąć odpowiedzialność za istotę, którą powołają do życia.

– Mówi pani jak ksiądz, ale rzeczywistość jest inna, większość dziewczyn w moim wieku robi to regularnie lub przy różnych okazjach. Gdybym żyła w Anglii, usunęłabym i po krzyku.

– Nie wiem, czy z krzykiem, czy bez krzyku. Do tego już nie wracamy. Zrobimy, co w naszej mocy, żebyś w desperacji nie wyrządziła sobie i niewinnemu dziecku krzywdy, której nie da się później w żaden sposób naprawić. Nie wałkujemy już tego w kółko. Możesz chyba dla życia własnego dziecka poświęcić się przez kilka miesięcy, żeby wydać je na świat całe i zdrowe? Potem znajdziemy mu kochającą rodzinę, jeśli nie zmienisz zdania.

– Nie wiem – powiedziała Ewelina bezradnie. – Może je dla kogoś urodzę. Ale nikt się o tym nie dowie?

Przyrzekłam, że załatwię jej lokum w Warszawie i nikt z nas nie puści pary z gęby, dopóki ona sama nie zwolni nas z tajemnicy. Nie zobowiązałam się tylko do rozwiązania sprawy z jej rodzicami, tę sprawę powinna załatwić sama, i to jak najszybciej. Resztę wzięłam na siebie, mając świadomość, że może trochę szarżuję. Czy jednak człowiek ratujący kogoś z płomieni jest w stanie zagwarantować ratowanemu, że się po drodze nie oparzy? Brnęłam w obietnice, ale nie było to według mnie nieuczciwe. Wierzyłam przecież, że wszystko skończy się dobrze dla Eweliny i jej dziecka.

Niezwłocznie zatelefonowałam do Grażyny. Przyznam, że na nią najbardziej liczyłam.

– Kochana, ty wiesz, do czego mnie namawiasz? – usłyszałam w słuchawce. – Ja ją widziałam u was tylko przez moment i już wiem, czego można się po niej spodziewać. Teraz bardzo często od wiedza mnie Jacek. Wyobrażasz sobie kręcącą się stale w pobliżu taką nabuzowaną hormonami i chętną panienkę? Pamiętaj, że jestem starsza od niego. Nie, nie chcę prowokować losu. A poza tym byłabym skępowana.

Zdziwiło mnie trochę to, że Grażyna tak szybko osądziła Ewelinę. Sama nie kazała Jackowi zbyt długo czekać, a młodą dziewczynę zaklasyfikowała do tych łatwych. Miałam ogromną ochotę wygarnąć jej, że w wieku Eweliny brak rozsądku jest bardziej zrozumiały niż w jej, ale dałam sobie spokój. Pomyślałam, że Grażyna może mi być w sprawie Eweliny jeszcze użyteczna. Ma rozległe znajomości i możliwości.

Normalnie miałabym jeszcze w odwodzie siostrę, ale teraz szykowałą się do porodu swojej zwariowanej córeczki. Dwa porody na jedną Zytę to mogłoby być nie do udźwignięcia. U niej w domu zresztą harcował stary lowelas, Kazio, który mógłby naprawdę

molestować biedną, zdesperowaną dziewczynę. Została mi tylko mama.

– Mamo, przyjmiesz na mieszkanie koleżankę Dominiki i Patryka? Ona jest w ciąży i chciałyby zmienić środowisko, żeby uniknąć różnych pytań i komentarzy. My pokryjemy koszty jej utrzymania – próbowałam streścić sprawę w kilku zdaniach.

– Patryk zrobił jej dziecko?! – krzyknęła babcia.

– Nie.

– Boże! Krzysztof?!

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – odpowiedziałam zszokowana podejrzeniem.

– To dlaczego ty się tym zajmujesz? I dlaczego będziecie łączyć na jej utrzymanie? Przecież to jasne, że coś się za tym kryje.

– Podziwiam przenikliwość twojego umysłu, ale to nie tak. To szkolna koleżanka Dominiki i Patryka. Jej rodzice od kilku lat pracują za granicą i mało się nią interesują. Nasze dzieci mieszkają teraz u niej w Kielcach i Ewelina nie chce słyszeć o żadnych pieniądzach za wynajem, więc my będziemy tobie płacić na jej utrzymanie. Okej?

– No ale jak ona tu zacznie latać, to co ja zrobię? Wiesz, jakie teraz są dziewczyny.

– Ona jest dorosła, skończyła już osiemnaście lat. Robi teraz maturę, chce dalej studiować. Dopiero co się sparzyła i będzie na pewno spokojna. Zresztą zaraz urośnie jej brzuch, gdzie niby miałyby w tym stanie latać?

– Oho, teraz to im nic nie przeszkadza. Latają z brzuchami wielkimi jak piłki plażowe, całkiem gołymi. Nic wstydu ani poczucia estetyki.

– Mamo, zgódź się. Jesteś ostatnią deską ratunku. Ona jest zrozpaczona, chce usunąć ciążę – błagałam i opowiedziałam wszystko po kolei, pomijając oczywiście sprawę ojcostwa.

– No nie wiem – powiedziała i to był już dobry znak, że babcia się łamie. – A jeśli Euzebiusz się nią zainteresuje? Wiesz, jaki z niego pies na kobiety?

Następna zazdrosna – pomyślałam. Grażynę mogłam jeszcze od biedy zrozumieć, ale obawy babci o jej osiemdziesięcioletniego adonisa wydały mi się bardziej niż śmieszne.

– Mamo, jeśli coś ze strony Euzebiusza zauważysz, wygoń go na cztery wiatry. Nie będziesz się przecież zadawać ze zbrojcem. Między nim a Eweliną jest sześćdziesiąt lat różnicy. Ona w nim na pewno nie zobaczy mężczyzny. To ci gwarantuję.

– A słyszałaś o małżeństwie tego słynnego aktora? No, jak mu tam? Zapomniałam. Widzisz, jaką ja mam teraz głowę? Może nawet mi ktoś taki byłby teraz potrzebny?

– Łapicki ci potrzebny? – zdziwiłam się.

– Jaki Łapicki? Po co mi ten stary głupiec, co się zadaje z młodą anorektyczką podobną do chłopaka? Co ty w ogóle sugerujesz? Wiesz, on może być zakamuflowanym pederastą – babcia wykazywała niezłą znajomość plotek ze światka artystycznego, ale dogadać się nie mogliśmy.

– Zostawmy starca z jego anorektyczką i wróćmy do sedna sprawy – zaproponowałam.

– To o czym my mówiłyśmy? – spytała. – Ach, już wiem. Mam wziąć na mieszkanie Łapickiego czy tę jego chudą? Nie stać ich na coś samodzielnego?

– Nie! Zapomnijmy o Łapickim. Masz wziąć na mieszkanie ciężarną koleżankę Dominiki – powtórzyłam od początku prośbę, bez żadnych dygresji, żeby tym razem uniknąć wszelkich nieporozumień.

– Ty mnie traktujesz jak całkiem nienormalną – fuknęła mama. – Mówię przecież, że to świetny pomysł. Ktoś taki mi się teraz przyda. Dziewczyna dotrzyma mi towarzystwa i pomoże z zakupami. Bardzo się cieszę. Tylko czy ona ze mną wytrzyma?

– To znaczy, że się zgadzasz?! – krzyknęłam radośnie do słuchawki. – Kochana jesteś!

– Wiesz, „uratować jedno życie, to jakby ratować cały świat” – zakończyła wzniosie mama.

21. STRZECHA

Jestem bardzo z siebie zadowolona. Wszystko załatwione w błyskawicznym tempie. Nawet dzieciaki były zdziwione, gdy w piątek dowiedziały się, że Ewelina w niedzielę jedzie do Warszawy, a w poniedziałek zaczyna naukę w nowej szkole, a właściwie w mojej starej szkole. Dobrze, że nie pokłóciłam się z Grażyną, wykorzystałam ją teraz do załatwienia Ewelinie miejsca w liceum, notowanym nadal wysoko w rankingu najlepszych szkół w kraju. Moja mama już nie bardzo nadaje się do takich spraw, zwłaszcza że misja była delikatna i wymagająca dyplomacji. Grażyna, mając trochę wyrzutów sumienia w związku z tą niepopartą poważnymi argumentami odmową, przyłożyła się do sprawy. Obiecała ponadto, że będzie się Ewelina zajmować z doskoku, żeby jej niczego nie brakowało i żeby nie zaznała żadnej przykrości.

Udało mi się nawet połączyć wywiezienie Eweliny z odstawieniem męża na lotnisko, taką jestem dobrą organizatorką. Patryk z Dominiką chcieli jechać z nami, ale do małej corsy nie mieliśmy szans pomieścić się z bagażami. Ewelina robiła wrażenie obojętnej, a mój mąż był smutny. Ja byłam radosna jak skowronek ze względu na Ewelinę i także dlatego, iż widziałam, że mąż najchętniej zostałby w domu, czyli niespieszno mu do Ani. Humor popsuła mi dopiero moja mama, która już przy pożegnaniu coś sobie przypomniała.

– Wiesz, widziałam ostatnio tatę tego twojego byłego amanta. Jakże mu tam było?

– Nie wiem, o kim mówisz – udałam głupią, a Ewelina niby taka obojętna, a zaraz zbystrzała i nadstawiła ucha.

– No, jak to nie wiesz – niecierpliwiła się mama. – O, o, Kryszel miał na nazwisko, ale imienia nie pamiętam.

– To co tam u doktora Kryszela? – spytałam obojętnie.

– A co mnie obchodzi stary Kryszel? Nie pytałam, co u niego.

– To czemu mi o tym mówisz? – nadal, jak to się mawia w polityce, rznąłam głupa.

– To nie jesteś ciekawa, co u tego twojego Rafałka? – mama nagle przypomniła sobie zagubione w pamięci imię mojego byłego.

– Przede wszystkim nie mojego. No to mów, jak chcesz.

- Nie, no, skoro cię to nie interesuje, nie muszę przecież mówić – teraz mama drażniła się ze mną.
- No mów, bo muszę już wracać – zniecierpliwiłam się.
- Rzucił tę wstrętną Gośkę, bo sfiksowała. To chyba wiesz? To już było dawno. Dobrze jej tak. Jest teraz w Stanach.
- Gośka? – zapytałam z niewinną miną.
- Nie wiem, gdzie jest Gośka. Może w wariatkowie. Mówię o Rafale. Ma młodą i piękną żonę i dwie dziewczynki.
- I żona się na to zgadza, żeby oprócz niej miał dwie dziewczynki? – robiłam sobie nieprzyzwoite żarty z własnej matki i patrzyłam z przyjemnością, jak Ewelina wyciera już łzy, które poleciały jej ze śmiechu.
- Nie można dzisiaj z tobą normalnie rozmawiać. Przecież chodzi mi o dzieci. Ale zdaje się, że te dzieci nie są jego, usynowił je.
- Mówiłaś, że to dziewczynki. Jak można usynowić dziewczynki? – pokpiwałam z mamy, a Ewelina śmiała się w kułak.
- Czepiasz się – warknęła wkurzona babcia. – Może powinnaś wiedzieć, że zrobił tam oszałamiającą karierę i wynalazł coś. Ale zapomniałam co. Popatrz, jaki zdolny.
- Ale kandydatem do Nagrody Nobla jeszcze nie jest? – ironizowałam, żeby ukryć, iż mówienie o nim sprawia mi przyjemność. – Według rodziców, którzy pozostali w kraju, ich dzieci prawie zawsze robią oszałamiające kariery za granicą.
- No, ja nie mogłam się tak chwalić, bo moja córka za granicą tylko bawiła dzieci.
- Ale dodaj, że własne dzieci. Mój mąż może kariery nie zrobił, lecz potrafił na nas zarobić.
- Oj, nie udawaj, że Rafał jest ci tak całkiem obojętny. Tych pierwszych miłości niełatwo się pozbyć z pamięci. A Gośkę spotkała zasłużona kara. Nie uważasz?
- Nie życzę najgorszemu wrogowi choroby psychicznej, mamó, a zwłaszcza mojej byłej przyjaciółce.
- Dobra mi przyjaciółka. Odbiła ci pierwszą miłość. Tak koło niego latała, tak się kręciła, wyginała, podpuszczała, aż dopięła swego. Baby są okropne.
- Mama tak mówi, bo sama miała złe doświadczenia z moim ojcem – rzuciłam tytułem wyjaśnienia Ewelinie, która już coraz mniej zgnębiona przysłuchiwała się naszej rozmowie.
- Pewnie, że w przypadku twojego ojca też tak było. Ale tej Gośki to ja nigdy nie lubiłam, jakbym przeczuwała, że to się tak

skończy, i nasza świętej pamięci babcia też zawsze mówiła, że to fałszywe dziewczuszyko.

Pomyślałam, że Ewelina musi się czuć okropnie, słuchając tej rozmowy, więc powiedziałam:

– A nie pomyślałaś nigdy, że może właśnie Rafał był fałszywy? Przecież to on zapewniał mnie o swoim gorącym uczuciu.

– Dziecko, jak się do faceta odpowiednio podejdzie, to każdy zdradzi, oni są bezbronni.

– Nie ma o czym mówić, wszystko jest gdzieś zapisane, tak musiało być. Pomyśl, że gdyby nie ta historia, nie miałybyś teraz swojego kochanego zięcia i takich wnuków.

– Ale Rafał to mi się bardzo podobał – babcia westchnęła, jakby to jej takie ciacho przeszło koło nosa. – Naprawdę, mówię ci, Ewelino, to był chłopak wart grzechu. Może znajdę gdzieś w starych rzeczach Asi jego zdjęcie, to ci później pokażę. Mój zięć się do niego nie umywa.

– Dobrze, że mi o tym grzechu nie mówiłaś wcześniej, bo może bym spróbowała – roześmiałam się i pożegnałam je obie.

Wracając, myślałam z pewnym lękiem o tym, co babcia nagada Ewelinie i jak ją będzie próbowała teraz nastawiać do życia i mężczyzn.

W pustym domu czekało na mnie mnóstwo pracy. Musiałam nadrobić sprawdzanie zeszytów, posprzątać po całym tym tygodniowym obłędzie, zrobić jeszcze trochę przetworów na zimę, zająć się ogródkiem i popracować nad wychowaniem psów, które rosły dziko bez żadnej kindersztuby. Wpadały na każdego z radością i impetem, szarpały za ubraną, drapały i podgryzały kostki, a były już naprawdę duże. Nie rozumiały też, dlaczego ludzie bronią się tak niesympatycznie przed ich żywiołową miłością. Do tego wszystkiego co dzień przygotowywałam się do lekcji z moimi specjalnymi uczniami. Na takich lekcjach nie można odwalać żadnej fuszerki, posłużyć się starym konspektem czy lecieć według jakiegoś schematu. Te lekcje wymagały gruntownego przemyślenia i planu.

Do Jurka, zgodnie z naszą umową, jeździłam z Psyche, która miała bardziej melancholijne usposobienie niż Eros i głaskana potrafiła w spokoju przesiedzieć całą godzinę lekcyjną. Eros by tego nie zdzierzył, zanadto rozpierała go energia. Chłopak był bardzo szczęśliwy, gdy mógł zanurzyć dłonie w miękkie futerko suczki, a ona lizała je z wdzięcznością. Prowadził ze mną rozmowy na temat wysłuchanych lektur i robił to coraz swobodniej. Gramatyki nie

lubił zdecydowanie, więc nie naciskałam zbyt. Najważniejsze, że się otworzył, że miał swoje zdanie i potrafił go bronić. Nie był już taki smutny. Śmieszyło go imię naszej suczki. Gdy dowiedział się, że w domu mam jeszcze samca tej samej rasy, spytał dowcipnie, czy nazywa się Psychol. Śmiałyśmy się oboje. Ale wyjaśniłam, że imiona moich psów pochodzą od mitologicznych kochanków. Jurek dostał z PFRON komputer przystosowany do jego potrzeb, więc mógł sam poszukać tego mitu w Internecie. Bardzo mu się podobała ta miłosna historia. Stwierdził nawet z uśmiechem, że gdyby Psyche była, jak on, niewidoma, nie miałyby problemu i mogłyby żyć szczęśliwie ze swoim ukochanym. Ale zaraz potem dodał:

– Tylko kto by pokochał niewidomą?

– To wszystko zależy, jaka byłaby poza tym – powiedziałam możliwie najbardziej obojętnym tonem i specjalnie nie pociągnęłam tego tematu.

Dorcja nadal co dzień promieniała uśmiechem i do wszystkiego była bardzo pozytywnie nastawiona. Mocno przeżywała przedstawienie, które zrobiliśmy z okazji Dnia Nauczyciela. Próbowala swoimi powykręcanyimi skurczami łapinkami bić artystom brawo. Oczy i otwarta buzia wyrażały zachwyt. Przypominała trochę sympatycznego mapeta. Nie widzę już zupełnie w niej tej brzydoty, która początkowo kazała mi krążyć wzrokiem ponad głową dziewczynki.

Ciężarna Wioletka pęczniała z dnia na dzień i nie miałam wątpliwości, że niebawem będziemy w czasie lekcji przewijać dzidziusia. Partnera Wioletki nie miałam okazji oglądać od jakiegoś czasu, bo podobno nie było pracy w okolicy, więc wyjechał do Warszawy. Wioletka tęskni i ma już mniej zapału do nauki. Zresztą boli ją krzyż, puchną nogi i ciągle pyta mnie o przeżycia porodowe. Nie dziwię się, że teraz głównie zbliżające się nieubłagane rozwiązanie zaprzęta jej głowę. Czasem kosztem lekcji muszę jej to i owo powiedzieć i uświadomić pewne rzeczy. Pouczyłam, że powinna już się spakować do szpitala i co włożyć do torby. Mówiłyśmy też o tym, co czeka ją na porodówce. Biedna dziewczyna naprawdę nie ma z kim o takich rzeczach pogadać. Swoją drogą nie przypuszczałam nigdy, że doczekam takich czasów, iż z uczennicą normalnie będę rozmawiała o odejściu wód płodowych czy rozwarciu szyjki macicy. Za moich czasów usunięto by taką delikwentkę z hukiem ze szkoły i mogłyby kontynuować naukę tylko wieczorowo lub zaocznie w szkole dla dorosłych.

Z Marianem znów coś nie tak. Skończył już dość dawno więzbę

dachową i miał załatwić dobrą, a niedrogą blachodachówkę, ale nagle zniknął. Dobrze, że tym razem reszta ekipy została i weszła z pracami do środka. Dołączyli jeszcze hydraulicy i elektryk, więc na budowie uwija się kupa ludzi. Nie gotuję im regularnych obiadów, bo bym chyba dostała hysia. Dobrze, że mamy w szkole stołówkę, więc przywożę jedzenie w garach i słoikach. Prace hydraulików i elektryków stale powodują przerwy w dostawie prądu lub w odpływie i dopływie wody. Wszelkie moje czynności fizjologiczne muszę uzgadniać z majstrami.

– Panowie, czy mogę zrobić siusiu?! – drę się dramatycznie, a oni niestety odpowiadają różnie w zależności od sytuacji.

Na najbliższy weekend planowałam wyjazd do dzieci do Kielc. Wygrzeję się trochę i poleżę w wannie z ciepłą wodą. A majstry niech podgonią z robotą, bo zrobiło się zimno i trzeba palić w piecu. Żebym tylko już mogła zacząć palić, zanim zamarznę którejs nocy. Przesadzam trochę. Dogrzewam się dmuchawą, ale to nieźle kosztuje, a efekt słaby, zwłaszcza jak się ma folię zamiast dachu. A cholerny Marian znikł.

Późnym popołudniem w piątek, gdy miałam już wyjeżdżać do dzieci, na podwórko wjechał ogromny samochód załadowany czymś dziwnym, co na pewno nie było blachodachówką. W mroku, bo już dzień się bardzo skurczył, rozpoznałam Mariana. Wskoczył z szoferki i po swojemu zaczął wrzeszczeć, dowodząc dwoma obcymi facetami.

– Dawajcie do stodoły! Tu jest światło. Uwijajta się, chłopcy! Tu, tu, bliżej do mnie. Zmieści się wszystko, tylko z głową układać!

Przywiózł jakąś kontrabandę i chce u mnie przechować – przemknęło mi przez myśl. Marycha to chyba nie jest. Za duże i za twarde badyle – pomyślałam.

– Witam pana – zaczęłam złowrogo. – Gdzie pan bywał, jak pana nie było? Co to takiego, można wiedzieć?

– Miała pani być w Kielcach – zdziwił się rozbrajająco.

Oho, zna nawet moje weekendowe plany, bujając Bóg wie gdzie. To niebezpieczny człowiek.

– Przywiozłem trzcinę. Lecimy bez zatrzymania z Niemiec. Jak pani już jest, da pani coś ciepłego chłopakom na ząb, a ja to bym nawet piwkiem nie pogardził.

– Jaką trzcinę?! – wrzasnęłam. – Miała być blacha! Tak ustalił z panem mój mąż! Prawda?!

– No tak, dziedziczko, niech się pani nie denerwuje, ale ja tę trzcinę zamówiłem jeszcze w lato, jak kuzynowi pomagałem. Pa-

mięta pani?

– Dla kogo pan zamówił? – miałam jeszcze nadzieję, że trzcina przybyła do mnie tylko na przechowanie.

– No dla was, bo pani mówiła, że w RPA nie było pani stać na takie чудо, a bardzo się pani takie stylowe strzechy podobały.

– Może tak i mówiłam, ale nadal nie stać mnie na ekskluzywne rozwiązania, a poza tym były jakieś ustalenia. Na projekcie widnieje blacha. Mąż życzył sobie blachę. Tak nie można. – Miałam ochotę go zabić.

– A tam, na planie. Zmieni się. Ileż to roboty? – Ożywiony Marian machał rękami. – Ale, widzi pani, była okazja, bo kuzyn się machnął w obliczeniach i za dużo zamówił. Ja powiedziałem, że wezmę, ale za pół ceny. To grzech było odpuścić. Zaoszczędzi się na ociepleniu. A poza tym to jest wieczne, a blacha zaraz skoroduje.

– Ja już słyszałam od pana cały ten spot reklamowy. Mąż się nie zgodził i ja nie mogę sama zmieniać jego decyzji.

– Dziedziczko! – zaczął znowu przymilnie. – Nie oszukujmy się, co pani zdecyduje, to będzie. Mąż pani słucha jak radia. Coś pani wymyśli, żeby mu się wydawało, że to on zmienił zdanie.

– Ciekawe co? W komunie to bym mogła powiedzieć, że blachy nie ma w sprzedaży.

– Nie pożałuje pani, taka piękna trzcina, niech pani spojrzy, to z naszego zachodniopomorskiego.

– Akurat dużo widać po ciemku. To ona jechała od nas do Niemiec i teraz wróciła do ojczyzny aż w Kieleckie? I pan mi wmawia, że to będzie tanio?

– Tanio, tanio. Czasem tak w biznesie bywa. Lepiej sprzedać tanio, niż drogo trzymać.

– Wie pan co? Włączę komputer i niech pan sam rozmawia z moim mężem, a ja nasmażę naleśników, bo nawet chleba nie mam. Wody też trzeba nabrać ze studni. Hydraulicy zakręcili, bo zawór poszedł w starej części.

– To my wypijemy po piwku, widziałem, że doktor tam trzyma w piwniczce, a kierowca wypije soku – zgodził się łaskawca i po wodę nie poszedł.

Krzysia nie było na Skypie. Esemesami ustaliłam, że jest zajęty przy chorej. Nie pojechałam już do Kielc, gdyż chciałam porozmawiać z mężem, a u Eweliny nie było Internetu. Marian i faceci, którzy przywieźli trzcinę, opuścili mój dom w doskonałych humorach, a ja musiałam po ciemku nosić i grzać wodę, żeby po ich kolacji posprzątać i móc się umyć. Niebo było, jak to w paździer-

niku, wyjątkowo rozgwieżdżone, co zapowiadało nocne przy-
mrozki. Och, jak bym chciała mieć już na dachu tę strzechę czy
cokolwiek innego. Czuję, że dziś dwie koldry to za mało.

Krzyś widocznie męczył się do późnej nocy z jakąś ofiarą
„termination of pregnancy”. Może miała krwotok lub działo się z
nią coś równie groźnego. Normalnie w piątki o dwudziestej pierw-
szej kończy się jego dyżur.

Mąż nie połączył się ze mną przez całą noc, choć zostawiłam
włączony komputer i spałam czujnie, jak zając na miedzy. Rankiem
też nie udało mi się go złapać. Jak się później okazało, wyjechał
wyjątkowo wcześniej, gdyż znów był umówiony ze „swoją” Anią.
Marian od świtu był gotów do pracy i trzeba było podjąć decyzję.
Nie miałam zdrowia handryczyć się z tym piekielnym uparciuchem.
Wiedziałam, że jak wyślę go z tą trzcinią do wszystkich diabłów,
śmiertelnie się obrazi. Bałam się nawet, szczerze mówiąc, że mi na
złość może coś zrobić nie tak. Tutejsi ludzie są ambitni i mściwi.
Sam opowiadał ze śmiechem, że parę lat temu jednemu policjan-
towi, który ponoć chciał być bardzo cwany i wykorzystywał
robotników, nie płacąc ustalonych kwot, posolili zaprawę. Dom stoi
w stanie surowym do dziś i nie nadaje się do ukończenia.

– Niech pan kładzie tę strzechę, ale ja nie mogę zapłacić więcej
niż za blachę – powiedziałam w końcu.

– Dobra. Ale jeszcze doliczymy to, co by poszło na ocieplenie,
no i transport. To wszystko. – Marian zacierał rączki. – Jeszcze mnie
pani powinna po rękach całować. Nikt tak tanio by tego nie załatwił.

– Trochę pan przesadził. Blachę wiozłabym najdalej z Kielc, a
trzcinię mi pan funduje znad morza via Niemcy. Nawet nie wiem,
czy nie ciągnął jej pan spod granicy z Francją, ale to już nie moja
sprawa – targowałam się ostro.

– Niech stracę, policzę pani tylko od granicy – rzucił
wspaniałomyślnie i nie czekając na moją odpowiedź, zawołał:

– Bierza się do roboty, chłopcy, bo śniegi zapowiadali!

Dobił mnie tym komunikatem. Byłam pewna, że zarobił
znakomicie na tej trzcini, ale nie miałam właściwie innego wyjścia,
jak tylko przystać na wszystko. Na własne życzenie uzależniłam się
od tego faceta. Byle tylko mój mąż nie uzależnił się od doktor Ani –
pomyślałam. Czekaj mnie z nim jeszcze niezła przeprawa. A jak
poczujesz się urażony? Zlekceważony przez żonę, może zwrócić się o
pocieszenie do dawnej przyjaciółki. A wtedy pewnie okaże się, że
moja mama ma rację, głosząc, iż wstrętne baby czekają tylko na
okazję. Ania bez skrupułów zajmie się moim mężem. Snułam

czarne scenariusze, gapiąc się z ogromnym zainteresowaniem, jak Marian z braćmi sprytnie układa na dachu kolejne wiązki trzciny. Będzie super – pomyślałam. Właściwie nie wyniosło mnie to zbyt drogo.

Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie całującą brudne łąpska Mariana. Ja się tego faceta bardziej słucham niż męża – stwierdziłam z przerażeniem.

Do dzieci nie pojechałam, więc one przyjechały do mnie. Nosiliśmy wodę ze studni, załatwialiśmy się w wychodku za stodołą, a potem, żeby nam było cieplej, naszykowaliśmy sobie jedno wspólne łóżko. Było cudownie. Mąż odezwał się dopiero w niedzielę wieczorem, gdy byłam już sama. Oczywiście zaczął od pieklenia się. Wydawał buńczuczne dyspozycje, żebym dopilnowała, by Marian zabrał sobie tę strzechę i przywiózł blachę. Słuchałam spokojnie i wreszcie słodziutko spytałam:

– Dobrze się bawiłeś cały weekend z przyjaciółką?

– Oczywiście. Wiesz, że z inteligentną osobą nie można się nudzić. Pokazała mi bardzo ciekawe rzeczy.

– Co ty powiesz? Co ona ma takiego ciekawego? – zakpiłam.

– Trywializujesz – odparł gniewnie mąż. – Zwiedzaliśmy miejsca, o których trudno przeczytać w przewodnikach. Pobuszowaliśmy po zamieszkałym w dużym stopniu przez Hinduśców i Pakistańczyków Birmingham. Opowiadała mi zaskakujące historie. Jej koleżanka ze szpitala, Pakistanka, zaprosiła nas do domu swoich rodziców. To niesłychane, że mimo wielu lat spędzonych w Europie oni wciąż żyją w swoim zamkniętym kręgu kulturowym – gadał jak najęty, zapomniawszy o problemie strzechy, aż się wkurzyłam.

– Wiem, bo ostatnio widziałam na ten temat kapitalny film, zrobiony z takim typowym brytyjskim humorem. Tytułu niestety nie pamiętam. No, to się cieszę, że tak przyjemnie mija ci czas. Chcę już wejść pod trzy kołdry, gdyż mam strasznie zimno w domu. Jestem już rozebrana, a raczej ubrana do snu. Jutro poproszę wójta o lokal socjalny na zimę, bo raczej tej budowy nie zamkniemy w tym roku. Marian trzcinę zabierze, ale sam się też zabierze. Wójt załatwi moją prośbę odmownie, więc chyba wezmę urlop i przyjadę do ciebie. Trzeba będzie pomyśleć o nowej ekipie budowlanej. Z rozliczeniami poczekam do twojego powrotu. Cześć – i rozłączyłam się, wyłączając również komputer.

Zanim zgasiłam światło, odczytałam esemesa: „No dobrze. Zgadzam się na strzechę”.

22. ZWYCZAJNE ŻYCIE PALACZA

Strzecha powstała szybciej, niż się spodziewałam. Hydraulicy skończyli swoje dzieło i mogłam napalić w piecu. Jak zwykle okazało się, że padłam ofiarą własnych pomysłów, a ściślej mówiąc, ekologicznego podejścia do życia. Usłyszałam od kogoś w szkole, że pali w piecu trocinami. Bardzo mi się ten pomysł podobał. Tania, odtwarzalna energia zamiast tradycyjnego zasiarczonego węgla. Namówiłam Krzysia, który, jak zwykle, przystał na moje kolejne wariactwo. Nie wzięłam pod uwagę tego, że to ja osobiście będę ten ekologiczny piec obsługiwać. Nigdy w życiu nie paliłam w żadnym piecu, a teraz musiałam się nauczyć obsługiwać zestaw złożony ze starego, zakupionego z drugiej ręki pieca typu Zębiec i wyprodukowanej przez domorosłego racjonalizatora przystawki do spalania trocin. Przystawka ta jest podłużnym, prymitywnym paleniskiem zakończonym u góry wysokim lejem, do którego wrzuca się wory trocin.

Kiedy oglądałam ów patent u producenta, który jest zamieszkałym pod Ostrowcem Świętokrzyskim rolnikiem, byłam zachwycona. Czyściutkie trociny opadają siłą ciężkości na palenisko, gdzie są spalane, dając naprawdę wysoką temperaturę. Ilość popiołu jest minimalna i w dodatku można go wysypać na grządki. W moim przypadku wszystko się nieco skomplikowało. Nie byłam nigdy harcerką i to wyszło zaraz na wstępie. Budowałam w przystawce z gałązek miniognisko, zapalałam i zasypywałam trocinami. Trociny gasiły ogień, a ja wraz z całym otoczeniem nabierałam zapachu wędzonej szynki. Ręce mi opadały w przenośni i dosłownie, gdyż dzwiganie na dość dużą wysokość worków z trocinami nie jest łatwym zajęciem dla niezaprawionej do fizycznej pracy, podejrzanej o chorobę wieńcową, mizernej kobieciny w średnim wieku. Słowem koszmar.

Mniej więcej po tygodniu opanowałam już rozpalanie, ale muskuły do podnoszenia worków będą mi się kształtować nieco dłużej. Boję się, że zanim to nastąpi, wypadnie mi macica. Ostatnio posłuchałam w kolejce u ginekologa o tej przypadłości, która nade wszystko przesładowuje wiejskie, ciężko pracujące kobiety. Nie da się ukryć, że jestem wiejską, harującą kobietą. I co ja zrobię z taką

wypadniętą macicą? Da się to samemu włożyć na miejsce? Ginekologa na wszelki wypadek o to nie zapytałam, aby nie pomyślał, że zbikowałam. Nie zapytam też mojego męża, bo zacnie mnie postrzegać jako ruinę, a doktor Ania, mimo swojego wieku, wciąż jak nowa.

Ryzykuję uwędzenie na śmierć i tę macicę i palę na potęgę, gdyż dom trzeba wygrzać, wysuszyć tynki i wylewki. Strasznie szybko zlatują mi te trzy tygodnie bez męża, bo stale jestem zajęta. Samo palenie w piecu jest czasochłonne. Co prawda wygaszam piec i czyszczyć palenisko raz w tygodniu, lecz szykowanie opału wymaga sporo czasu i wysiłku. Okazało się, że w trocinach zdarzają się większe obrzynki, kawałki kory, a nawet niewielkie deski. Taki wkład zatrzymuje opadanie trocin, robi się w leju korek i wszystko wygasa. Żeby ponownie rozpaścić, trzeba usunąć trociny z leja. Wolę więc je przesiewać, gdy są szykowane do pieca. W sumie dziennie spędzam godzinę do dwóch, babrząc się w kurzu i brudzie w zimnej stodole, ubrana w gustowną kufajkę i gumofilce. Okropność. Nie mogę mieć nawet do nikogo pretensji, bo sama wpadłam na trop tego ekologicznego rozwiązania.

Mąż przyleciał na kolejny tydzień do Polski i był zachwycony strzechą i naszym trociniakiem. W ogóle jakby mniej marudził, zgadzał się na kolory kafelków, na panele, które wybrałam. Czyżbym wszystko wybrała po jego myśli, czy jest tak zajęty Anią, że mu to wisi? – myślałam i zaraz sama siebie przywoływałam do porządku. Krzyś po przyjeździe przejął ode mnie obowiązki palacza i poszło mu od razu lepiej niż mnie, o co byłam zazdrosna. Ja, pokonując te wszystkie trudności, czułam się jak bohaterka, prawie zdobywczyni Mount Everestu, lecz nikt tego za bardzo nie zauważał. Dla Mariana i jego braci to normalka, że ich kobiety robią wszystko, co potrzeba w domu. Mój mąż, kiedy przesypuje trociny przez sito i ładuje je do worów, mówi, że ma świetną odskocznnię od swego sterylnego, szpitalnego żywota, i także nie podziwia mojego samozaparcia. W weekendy na ogół przy trocinach wyręcza mnie Patryk. Organizuje w stodole spotkania kolegów, puszczają muzykę i wszystko robią wspólnie, więc także się nie męczą, a raczej dobrze bawią. Tylko Rafał nie mógł się nadziwić, że sama wykonuję takie brudne, męczące czynności, że nie mam podajnika i taśmociągu. Obiecał przyjechać i wszystko mi zmodernizować.

– Szkoda twojej urody – mówił. – Zniszczą ci się te piękne długie paluszki i delikatna cera ucierpi od kurzu. A włosy wciąż masz takie jasne i nosisz długie, puszczone swobodnie na ramiona?

– pytał. – Musisz wyglądać bardzo sexy w waciaku.

Zrobiło mi się przyjemnie, że ktoś o mnie dba, że pamięta atuty mojej urody. Nie uświadamiałam go, że do paluszków ostatnio wziął się chyba reumatyzm. Nie mogę zdjąć obrączki i pierścionka przez powiększone stawy. Włosy mam nawet jaśniejsze, gdyż skronie mi siwieją. Nie muszę robić sobie modnych pasemek. Owszem, w sytuacjach prywatnych rozpuszczam włosy, bo to bardzo lubi mój mąż, ale do szkoły spinam je w kok. Najczęściej jednak miewam kitkę zawiązaną z tyłu głowy. Tak mi jest po prostu najwygodniej. Gdy idę do stodoły, wciskam na głowę starą, bardzo nietwarzową czapkę mojego syna. Dominika sfotografowała mnie kiedyś przy pracy w waciaku, walonkach i owej czapce, a potem straszyla, że umieści to zdjęcie na Naszej Klasie. Wreszcie wysłała je tacie. Powiedziałam jej do słuchu.

– Jeszcze tata pokaże mnie taką tej swojej Ani i będzie mu współczuła, że ożenił się z jakimś chłopobabem – powiedziałam.

– Jesteś o nią zazdrosna? – spytała Dominika. – Coś się dzieje naprawdę czy sama sobie wymyślasz, jak to masz w zwyczaju?

– Mama wymyśla hitchcocki, nie wiesz? – zaśmiał się Patryk. – Nasz tata nigdy by tego nam nie zrobił.

– Masz rację, synku, ani wam, ani mnie. Nasz tata jest jak żona cezara, poza wszelkimi podejrzeniami – uśmiechnęłam się.

Dzieciom, nawet jeśli nie są już dziećmi, potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że rodzice to opoka. Wiem coś na ten temat. Może właśnie z powodu urazów powstałych w dzieciństwie wciąż jestem dręczona przez zazdrość i niepewność.

Sama jednak coraz częściej prowadzę z Rafałem lekkie, czasem nawet ocierające się o flirt rozmowy, lecz uważam je za niegroźne. Jestem w stanie bawić się nimi, gdyż wiem, że najważniejszy dla mnie jest Krzyś i dzieci. Jak się tak jednak zastanowię, to nie chciałabym, żeby mój mąż w taki sposób rozmawiał z Anią. Wolę też, żeby jak najmniej wiedział o moich kontaktach z Rafałem. Po co ja się w ogóle wdałam w tę zabawę? Chyba z tęsknoty za młodością.

Sporo czasu w ciągu dnia zajmują mi te rozmowy z Ameryką i Anglią na Skypie. A oprócz tego prowadzę jeszcze przecież tradycyjne pogaduchy telefoniczne i chyba takie wolę. Z Grażką teraz się nie widzimy, więc paplamy o wszystkim przez telefon, aż ucho zaboli. Co dzień dostaję także raport mamy o zachowaniu Eweliny.

Babcia twierdzi, że jest dobrze. Ewelina wychodzi tylko do szkoły i ewentualnie po zakupy. Uczy się, dużo czyta i jest raczej

milcząca. Czym wyraźnie rozczarowała moją mamę. Euzebiusza nie musi unikać, bo on zniknął sam. Babcia podejrzewa, iż pojechał do Krakowa i pewnie zamierza ożenić się z tą swoją niby-kuzynką. Nie da się ukryć, że skłonność do tworzenia urojonych scenariuszy mam po mamie. Martwi mnie stan Eweliny. To, co babcia odbiera jako pozytywne, może świadczyć, że dziewczyna ma depresję. Musimy się do niej wybrać silną grupą, czyli Dominika, Patryk i ja. Chociaż Dominika mówi, że trudno jej się teraz rozmawia z Ewelina. Na wszystkie pytania dziewczyna odpowiada zdawkowo, najczęściej, że jest nieźle. Niby pogodzona ze wszystkim, a w gruncie rzeczy obojętna. Na Wszystkich Świętych będzie okazja pojechać do Warszawy.

Krzyś oczywiście w Anglii nie ma długiego weekendu z okazji tego święta. Najbliższego weekendu nie spędzi też w fascynującym towarzystwie swojej przyjaciółki, ale odwiedzi rodzinę owego sąsiada z hostelu, o którym już wspominałam, tego psychiatry z Ghany. Ania przyjeżdża do Polski. Już sobie wyobrażam, że zaraz poleci do mojej teściowej i będzie jej opowiadać, jak cudownie spędza czas z moim mężem. Teściowa westchnie przy tym niejednokrotnie, że mogło być tak zawsze, gdyby jej synek...

Znów się sama ładuję. Dość, lepiej już pogadać z Rafałem. On też chciałby przyjechać do Polski, ale nie wie, czy mu się uda wyrwać. Proponował spotkanie w Warszawie, lecz uznałam, że to kiepski pomysł. Chyba nie chcę, żeby mnie naprawdę widział. Wyłączam kamerkę, kiedy z nim rozmawiam i udaję, że u nas na wsi jest taka słaba jakość Internetu, iż nie ma sensu włączać obrazu. Niech mówiąc ze mną, przywołuje sobie mój obraz sprzed lat. Głos mi się podobno nie zmienił. Poza tym, gdybym się z nim spotkała, nie miałabym już tak całkiem czystego sumienia wobec Krzysia. Musiałabym coś mężowi na ten temat powiedzieć. On w końcu nie ukrywał, że będzie spędzasz Anią wolny czas.

Wreszcie pojechaliliśmy na groby do Warszawy. Miałam tyle spotkań i rozmów, że nie myślałam wcale o Rafale. Nie byłoby najmniejszej szansy na jakieś rendez-vous. Ewelina smutna, ale wygląda zdrowo i ładnie. Grażyna zaciągnęła ją na USG, więc mogliśmy podziwiać pierwsze zdjęcie dzidziusia. Zachwycaliśmy się i byliśmy wzruszeni. Ewelinka nawet się nie uśmiechnęła.

– Przesadzacie z tymi zachwykami – powiedziała. – Tam prawie nic nie widać.

– Jak to nie – zaprotestował Patryk. – Ja wyraźnie widzę, że to chłopak.

O nowej szkole nie mówiła wiele. Wyraźnie tęskni za swoją starą klasą. Z nikim nie utrzymuje teraz żadnych kontaktów poza szkołą. W szkole traktują ją, podobno, jakby była dotknięta chorobą zakaźną. Właściwie to odzywają się do niej tylko nauczyciele.

– W mojej klasie jest kupa snobów – mówi z goryczą. – A o czym właściwie miałabym z nimi rozmawiać? O porannych mdłościach?

– A co z rodzicami? Próbowalaś już z nimi rozmawiać? – zapytałam. – Chyba lepiej ich uprzedzić.

– Rozmawiałam z mamą i nie mówiła, że ma zamiar przyjechać – Ewelina nadal bagatelizowała sprawę. – Nie przyjechali na Wielkanoc, to może i teraz nie przyjadą. Pilnują domu jakiegoś nadzianego gościa. Zwłaszcza w święta są mu potrzebni. On spędza święta na swoim luksusowym jachcie, który zacumowany jest na Karaibach. W tamtym roku ja byłam u nich, a w tym, jak będzie taka propozycja, wykręcę się nauką do matury. Może uda mi się szybko pozbyć tego dzieciaka i nawet nikt nie będzie nic wiedział.

Wydawało mi się okropne to, co mówiła, ale dałam jej spokój. Jak nie chce, niech nie mówi. Formalnie jest dorosła. Chociaż do pewnego stopnia jesteśmy wszyscy jej współnikami w ukrywaniu prawdy. Teraz nawet musieliśmy wyłączyć w jej mieszkaniu telefon stacjonarny. Rodzice muszą dzwonić do Eweliny na komórkę, a ona wciska im, że wszystko jest w porządku, tylko linia uszkodzona. Czuję duży dyskomfort w związku z tą sytuacją. Młodzi to co innego, wiadomo, że muszą trzymać z nią sztamę, ale ja.

– Nie pękaj, mamuś, nie powiemy nikomu, że wiedziałaś – pocieszała mnie Dominika.

U Zyty zastaliśmy istny dom wariatów. Wiktoria już ledwie się toczy, ma taki wielki brzuch. Odmawia wizyty u lekarza, gdyż według niej poród jest naturalnym zakończeniem ciąży, która nie jest chorobą, więc nic do tego lekarzowi. Siostrzenica prychała jak kot, gdy mówiłam o USG. Ona będzie rodziła w domu, a poród odbierze jakaś szamanka z sekty Czcieli Słońca czy czegoś równie idiotycznego. Tata tylko ma jej zainstalować basen, bo jak wiadomo, najnaturalniej rodzi się w wodzie. Popukałam się znacząco w czoło, a siostra wciągnęła mnie do łazienki i szeptała, żebym nie prowokowała Wiktorii, gdyż nie powinna się teraz denerwować. Oni mają zamówionego lekarza, który będzie pod telefonem w razie czego. Nie mogą forsować swojego zdania, gdyż córka grozi, że się wyprowadzi, i nie zobaczą nawet dziecka.

– Wierzysz w to, że ona w tym stanie gdzieś sobie pójdzie? Kto

by ją przyjął? – powiedziałam z powątpiewaniem.

– Och, w sektach to tylko czekają na takie okazje. Przecież ona jest w stanie wyciągnąć z tatusia ostatni grosz, a im tylko o to chodzi.

– Ale tu będą jak drut bliźniaki – powiedziałam. – Mogą być komplikacje.

– Wiem – odpowiedziała krótko siostra. – Żebyś ty jeszcze wiedziała, co ona je. Nagle stała się ortodoksyjną weganką. Mówi, że to dla dobra dziecka, ale my nie jesteśmy w stanie tego zrozumieć. Mnie się wydaje, że ona tak się na nas wyżywa. Za coś nas chce ukarać. Ale za co?

Zycie łyzy popłynęły po policzkach. Nie była umalowana, włosy miała z dwucentymetrowymi siwymi odrostami. Od ostatniego naszego spotkania postarzała się chyba o dwadzieścia lat. Była taka bezradna. Pierwszy raz widziałam moją wspaniałą starszą siostrę, która nie wiedziała, co robić. Zawsze energiczna, pełna inwencji, odważna i pewna siebie przygasła, poszarzała i zupełnie straciła rezon.

– Czy byliśmy złymi rodzicami? Różnie między nami bywało, ale oboje zawsze chcieliśmy tylko jej dobra. Kazik starał się spełniać każde jej marzenie. Mogła z nami o wszystkim rozmawiać, byliśmy jej przyjaciółmi – siostra mówiła to bardziej do siebie niż do mnie.

– Byliście jej powiernikami, służbą, maszynką do spełniania życzeń, a ona potrzebowała zwyczajnych rodziców, wymagających i surowych, ale i kochających – powiedziałam uczenie coś, co chyba gdzieś wyczytałam.

Zyta spuściła głowę jak skarcona uczennica i pokiwała nią ze smutkiem.

– Ale nie zrobiliście jej żadnej krzywdy i nie możecie dać jej odczuć, że teraz się biczujecie. Trzeba jej postawić twarde warunki. Póki jeszcze coś od was zależy. A pierwszą rzeczą powinno być odcięcie jej wszelkiej kasy. Trzeba ją traktować trochę jak narkomana.

– Siostrzo, jakaś ty mądra! – wykrzyknęła Zyta. – Moja mała siostrzyczka mnie poucza. Ale ja nie umiem tego zrobić, choć wiem, że masz rację. Zresztą z Kaziem nie ma rozmowy. Ona nim manipuluje, jak chce. – Zyta znów zalała się łzami.

– Wiesz, ja jestem taka mądra, bo chodzi o twoje dziecko. Sama też nie najlepiej się nadaje na konsekwentną matkę i wychowawczynię. Gdzie w grę wchodzi uczucia, człowiek zawsze niemądrze

postępuje – powiedziałam tak, bo głupio mi się zrobiło, że się mądruję, a z moim Patrykiem też miałam przeprawy. – Młodzi na szczęście na ogół wyrastają z buntów. Jedni wcześniej, inni później. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale nasz Patryk ostatnio, odpukać, bardzo spoważniał.

Chciałam tym przykładem dodać jej otuchy, ale chyba ją dobiłam, bo dostała prawdziwych spazmów. Porozmawiałam jeszcze z Wiktorią na temat Eweliny. Chodziło mi tylko o to, żeby nie wyzbywała się rzeczy, z których jej dziecko vel dzieci wyrosną. Przeraziłam się trochę, bo Wiktoria nabrała ochoty na wprowadzenie Eweliny w świat swoich Czycieli Słońca. Podziękowałam jej zdecydowanie za zbyt daleko idącą opiekę.

Po powrocie do domu zaraz odpaliłam komputer. Znalazłam w poczcie wiadomość od męża, który bardzo miło spędził czas u czarnej rodzinki. Przesłał mi nawet kilka zdjęć. Fajna para. On drobniutki i szczuplutki, a ona szafa trzydrzwiowa. Przesłali mi pozdrowienia i zapewnienie, że chętnie przyjadą do Polski, żeby poznać mnie i dzieci.

Rafał pisał natomiast, że dwa dni krążył pod domem mojej mamy w nadziei, że mnie spotka, ale widać los tego nie chce. Może nawet mijaliśmy się, tylko nie mogliśmy się rozpoznać po tylu latach. Nie odpisałam ani nie włączałam już Skype'a. Byłam zmęczona i zziębnięta. Zabrałam się zaraz do rozpalania ognia, wypłam trochę nalewki i padłam. Nie miał mnie kto obudzić, bo dzieci od razu zostawiłam w Kielcach. Ogień wygasł, gdyż nie nasypałam trocin. Obudziłam się nad ranem na kanapie zmarznięta na kość. Wskoczyłam pod dwie kołdry i przespałam do rana. Palić będę dopiero po powrocie z pracy.

23. EUZEBIUSZ

Zdaje się, że pochwaliałam tempo prac moich budowlanców. Bodaj mi język odpadł, zanim to powiedziałam. Powinnam się domyślić, że coś się święci. Ostatnie dwa tygodnie pracowali wszyscy trzej bracia Gaikowie i robota dosłownie paliła im się w rękach. Nie krzyczeli, jak zawsze, do siebie, tylko szeptali coś po kątach. Wreszcie zauważyłam, że co dzień w ich otoczeniu jest coraz mniej narzędzi. Twierdzili, że kuzyn pożyczca. Nawet nie zażyczyli sobie rozliczenia wykonanej roboty i swoim zwyczajem po prostu któregoś dnia zniknęli.

Teraz nie musiałam już biegać do żony Mariana po informacje. Co dzień w szkole spotykałam jego córkę. Dziewczyna chyba miała udawać, że nic nie wie, ale widać nie umie kłamać, więc czerwona jak burak wyznała, iż tata i stryjowie polecili do Norwegii, bo teraz tam się najlepiej kalkuluje. Zatrzęsło mnie ze złości. Płacę im, ile chcą, i nawet się prawie nie targuję. Myślałam, że na święta wykończą mi większość pomieszczeń, a tu na piętrze straszą gołe regipsy. Ręce opadają. Data powrotu panów majstrów jest dla wszystkich tajemnicą. Wrócą pewnie równie niespodziewanie, jak wyjechali. Może w ten sposób wystawiają na próbę wierność swoich żon, ale dlaczego przy okazji dręczą mnie?

Od pani Józi dostałam dramatyczny list, że strasznie tęskni. Siedzi sama całe dni w domu, bo córka i zięć zapracowani. Była trochę w szpitalu i całkiem nieźle ją podkurowali. Teraz łżej jej się poruszać, ale nie ma gdzie chodzić. Zaprosiłabym ją na święta, lecz nie mam gdzie, pokój niewykończony. Poskarżyłam się trochę na jej kuzynów i wyraziłam nadzieję, że jak się poprawią, to na wiosnę wraz z bocianami będzie mogła zawitać pod swój dach, a właściwie moją strzechę. Żeby trochę rozerwać staruszkę, opisałam jej kłopoty Eweliny i problemy mojej siostry z córką, a także o szczęśliwym związku jej kuzyna Jacka i mojej przyjaciółki. Nie przypuszczałam, że to moje niewinne plotkowanie wywoła istne tornado. Na razie jednak byłam z siebie zadowolona, że przełamalam wrodzone lenistwo i pisząc list, zrobiłam miłej kobiecie przyjemność. Nie miałam pojęcia, co się święci, gdyż poczta swoim zwyczajem, powolutku, niosła przelane na papier tajemnice za ocean, a potem przeprawiła

się z nimi na powrót na naszą półkulę i dalej do naszej gminy. Wieści zaczęły żyć własnym życiem i buzować w umyśle osoby, dla której nie były przeznaczone. Wkrótce pożałowałam gorzko, że jakiś diabeł podkuśił mnie, żeby robić listowne dobre uczynki.

Tymczasem zostałam zaangażowana przez moją mamę w sprawę pana Euzebiusza, który zniknął gdzieś jeszcze przed Wszystkimi Świętymi. Teraz właśnie znalazł się z wylewem w krakowskim szpitalu. Jakiś czas leżał bez świadomości, a gdy ją w końcu w jakimś tam stopniu odzyskał, poprosił, by zadzwoniono w jego imieniu do mojej mamy, której numer telefonu zapisany na karteczce jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł w kieszonce swojej piżamy. Mama, która podejrzewała, iż w Krakowie odwiedza on znacznie młodszą od siebie kobietę, pomstowała na starego idiotę, ale błagała, żebym z nią pojechała do Krakowa. Cóż było robić? Wsiadłam w samochód i pojechałyśmy. Widok pana Euzebiusza był porażający. Elegancki dotąd starszy pan przemienił się w zarośniętego, niedomytego, niedołężnego dziadzińkę. Widać było, że w wyniku wylewu porażona została lewa strona ciała. Lewe oko miał zamknięte, kącik ust opuszczony i niewładną rękę. Wstawał już wprawdzie z łóżka prawie o własnych siłach, lecz pociągał nogą i był w stanie bez odpoczynku zrobić najwyżej kilka kroków. Głowę miał przekrzywioną, a z ust wypływała mu strużka śliny.

– Ceińca! – zawołał na widok mamy i z oczu popłynęły mu łzy.

– A, teraz to „Ceińca” – burknęła ostro mama. – No i gdzie ta twoja kuzynka?

– Mamo, daj spokój – szepnęłam. – Nie czas już na pretensje.

– Nie ma już kuzyki. Kłamłem – wyseplenił chory i zaczął szlochać. – Gupi jeste. Mozes wybacyć?

– A co ja ci mam do wybaczenia? Nie jesteś moim mężem ani narzeczonym. Chciałeś mieć kobietę do seksu, to teraz masz seks – mama mówiła głośniej, niż potrzeba, i pacjenci z sąsiednich łóżek zaczęli uśmiechać się pod wąsem, a nawet spacerujący po korytarzu przystanęli w drzwiach sali. – Niech teraz wyjdzie za ciebie ta „kuzynka” i cię pielęguje. Nie jestem zazdrosna, tylko mi cię żal.

– Ty jeste slachtna i dora. Zabi mnie. Nie moa być tu.

Nie wiedziałam, czy chce, aby go zabić, czy raczej zabrać, więc postanowiłam iść do lekarza i czegoś dowiedzieć się o pacjencie. Nie jestem rodziną i nawet nie wiem, czy pan Euzebiusz w ogóle takową posiada. Ale miałam nadzieję, że fakt, iż po odzyskaniu świadomości pamiętał tylko o mojej mamie, pozwoli mi na rozmowę w jego sprawie. Lekarz bardzo się ucieszył, że znalazł się

ktoś, kto zna chorego i kogo zna chory. Nie ma on bowiem przy sobie żadnych dokumentów. Wprawdzie podał niedawno swoje nazwisko i adres, ale nie był pewny, czy numery są właściwe. Próbowano skontaktować się z osobą, z której mieszkania zabrało go pogotowie. Okazało się, że ta opuściła wynajmowany przez siebie lokal. Szpital miał więc kłopot z naszym Euzebiuszem. Lekarz nie ukrywał, że nie można go już dłużej trzymać na oddziale. Pan Euzebiusz wymaga bowiem tylko domowej opieki i rehabilitacji. Można mieć nadzieję, że niektóre objawy udaru jeszcze się cofną.

– Ależ on ma w Warszawie mieszkanie, przyjaciół i jest chyba człowiekiem majątnym, więc będzie mu można jakoś zorganizować życie w domu – powiedziałam.

– To świetnie – ucieszył się doktor. – Wyglądał raczej na kogoś całkowicie opuszczonego.

– Czy będzie można zabrać go do domu? Czy on sam może o sobie decydować? Czy może jechać zwykłym samochodem, czy potrzebny jest transport karetką? – pytałam i pytałam, a doktor odpowiadał, aż został wezwany do innego pacjenta.

W sali zastałam już mamę gółącą Euzebiusza i pomstującą na brak troski o chorego.

– Pani, co tam nieogolona broda, temu panu o mało co oczy nie wygniły, bo nie wyjęli mu soczewek. – Pacjent z sąsiedniego łóżka zaprzyjaźnił się już wyraźnie z moją mamą. – Dopiero ten doktor, co dzisiaj jest na dyżurze, zobaczył i strasznie wszystkich opierniczał. Potem latali tu okuliści i jakoś chyba zaleczyli, bo pan widzi. Ale oczy jeszcze są czerwone.

– I od samego początku nikt do tego pana nie przychodził? – mama indagowała gadułę.

– Nie. Nawet byliśmy ciekawi, kto go odwiedzi. W dyżurce pielęgniarki podśmiewały się, że dziadek pewnie wziął viagry. Ratownicy gadali, że go od takiej dużo młodszej w nocy zabrali. – Facet śmiał się, aż dostał jakiejś kolki i poleciał do pielęgniarek po lekarstwo.

– Mamo, zlituj się nad panem Euzebiuszem – poprosiłam, bo żal mi się zrobiło, gdy spojrzałam w jego załzawione oczy. – Wyjaśnicie sobie to wszystko w domu, ale nie rozgaduj się z tym kmiotem.

– Ja gupi dziad, ale weź me, Ceińca. Ni giewaj se – bełkotał Euzebiusz i próbował pocałować mamę w rękę.

– Przestań się wiercić, bo ci coś utnę! – krzyknęła mama, ale

gest ten ją rozczulił. – Dawno powinnam ci uciąć, ty stary capie, to byś nie zrobił sobie i mnie tych kłopotów.

– Moa Ceińca, uti, uti, koana – staruszek łąsił się do mamy i znów zalewał łzami.

– No, dość tej toalety. Resztę zrobimy w domu – zarządziłam. – Podróż rozłożymy na dwa dni. Dziś dojedziemy do mnie, a jutro do Warszawy, to będzie mniej męczące. Gdzie są pana rzeczy?

Okazało się, że poza piżamą pan Euzebiusz nie posiada nic. Do Krakowa przyjechał zapewne w swojej staroświeckiej pelisie z wydrą, bo było już zimno. Musiał mieć na sobie, jak zawsze, elegancki wełniany garnitur szyty na miarę i ze sobą pewnie jakąś walizeczkę z bielizną i kosmetykami. Nie znaleziono przy nim nawet portfela z dokumentami, który z całą pewnością zawierał także sporą sumkę pieniędzy, gdyż starszy pan nie umiał posługiwać się kartami bankowymi. Ratownicy z pogotowia twierdzili, że osoba, która wezwała karetkę, powiedziała, iż poszuka dokumentów, ubierze się i zaraz uda do szpitala. Niestety przepadła bez wieści.

– Jak tu wyprowadzić chorego na parking w łąpaciach i szpitalnej piżamie, gdy od wczoraj napadało sporo śniegu i jest kilka stopni mrozu? – pytałam siebie głośno.

Ów poczciwy kmiotek, który zrugany przez pielęgniarki za gadulstwo i niepoważne zachowanie, leżał już grzeczniutko w swoim łóżeczku, przydał się i tym razem. Jego wścibska natura kazała mu śledzić uważnie nasze poczynania, a zmysł praktyczny i chyba dobroć – wczuwać się w sytuację innego człowieka. Odezwał się więc, używając dość dziwnej składni:

– Iść, pani, do ciucharni i kupić byle co. Wyjść na pole ze szpitala i w lewo, zaraz za rogiem na wagę sprzedają piękne rzeczy. Ja tam wszystko kupuję.

– Dobry pomysł. Tylko czy będzie jeszcze otwarte?

– Będzie, będzie, tam długo handlują. A przy okazji kupić, pani, pampersy, bo to się może różnie zdarzyć – dodał przytomnie.

Wysłałam załatwić zakupy, a mama jeszcze razem z salową, której dyskretnie wsunęła w kieszonkę banknot, szorowała i strzygła Euzebiusza. Do polecanego sklepu trafiłam bez problemu. Kupiłam ciepły, fiński sweter i do kompletu wełnianą czapkę z szalem, wszystko z motywem uroczego jelonka. Ortalionowa, czerwono-czarna, obszerna kurtka i także spodnie, które na oko miały szanse wejść nawet na pampersa, również stanowiły komplet narciarski. Sprzedawczyni sądząc, że szykują kogoś z rodziny na

zimowe wczasy, sama zaproponowała mi ciepłe, wysokie buty. Kiedy zjawiłam się z tym wszystkim przy łóżku chorego, moja mama dostała ataku śmiechu. Wydawało mi się, że nawet Euzebiusz także skrzywił w uśmiechu i tak już krzywe usta. A jego biedny sąsiad, który miał rozległy, świeży szew na brzuchu, znów dostał kolki i pobiegł do dyżurki. Ze spłoszonego spojrzenia Euzebiusza zrozumiałam, iż nie powinnam asystować przy nakładaniu mu pampersa, więc udałam się do gabinetu, gdzie właśnie lekarz ukończył wypis i otrzymałam kartę informacyjną pacjenta. Portier pomógł dopchać przez zaspę wózek z naszym „narciarzem” do samochodu i pojechaliśmy.

Ze względu na ślizgawicę na jezdni i kołującą przed oczyma zadymkę nie mogłam szybko jechać. Babcia z Euzebiuszem gaworzyli z tyłu. Mama z łatwością pojmowała jego zniekształconą mowę i sama zaczynała mówić do niego podobnym językiem. Wszystko szło dobrze, ale w pewnym momencie Euzebiusz zaczął kręcić się niespokojnie, poczerwieniał i coś dramatycznie pokrzykiwał. Myślałam, że źle się czuje, zatrzymałam samochód i chciałam wezwać karetkę, ale wyraźnie zaprotestował. Próbował wysiąść z auta.

– Do ubikacji? – domyśliła się mama.

Stanąłam niefortunnie na poboczu w zaspie. Nie pozwoliłyśmy Euzebiuszowi wysiąść, gdyż wyglądało na to, że zaraz za zaspą znajduje się rów, w który chory mógłby wpaść. Buksując kołami, z trudem ruszyłam w dalszą drogę, rozglądając się za stacją benzynową, której jak na złość nie było. Euzebiusz jeszcze chwilę rzucał się niespokojnie, aż nagle zawył jakimś nieludzkim głosem i rozplakał się jak dziecko.

– No, co się martwisz, pampers spełnił swoją powinność – powiedziała spokojnie mama.

W domu byliśmy bardzo późno, ale zadzwoniłam jeszcze do naszej pielęgniarki środowiskowej. Przeprosiłam, że jej zawracam głowę o tej porze i przedstawiłam sprawę. Euzebiusz powinien dostawać zastrzyki. Kobieta przyjechała po chwili ze swoim mężem. Pomogli nam umyć i przebrać chorego. Nasz podopieczny doskonale zaopatrzony spoczął na moim małżeńskim łóżu dodatkowo zabezpieczonym przyniesioną przez pielęgniarkę ceratą. Był speszony, ale wyraźnie szczęśliwy.

Następnego dnia była sobota, więc dzieci przyjechały z Kielc. Patryk sam zaproponował pomoc. Uznałam, że może nam się przydać jego chuderlawe, ale wszak męskie ramię, choćby do obsługi

chorego w toalecie. Dominika została w domu na gospodarstwie i miała poćwiczyć palenie w naszym ekologicznym piecu.

W Warszawie pan Euzebiusz chciał koniecznie jechać od razu do siebie. Z trudem zdołaliśmy mu wytłumaczyć, że zamieszka tam, jak tylko zdołamy załatwić mu kogoś do pomocy i przystosować mieszkanie do jego potrzeb. Zrozumiał, lecz nalegał, żeby wziąć z jego domu bieliznę i normalne ubranie. Chcieliśmy to zrobić, ale nie było kluczy. Wjechaliśmy na podwórko starej, ładnie odremontowanej kamienicy. Posłałam do dozorca, który znał od lat Euzebiusza, i poprosiłam go o pomoc. Facet wcisnął na głowę czapkę i pędem przybiegł do samochodu.

– Jak to, pan wrócił?! A żona została w Krakowie? – dziwił się.

Spojrzałam na mamę, ale twarz miała obojętną jak pokerzysta.

– A co z meblami? Też przyjadą z powrotem? Coś nie wyszło?

– brnął dalej dozorca, nie przyglądając się Euzebiuszowi i nie zadając sobie nawet pytania, dlaczego ten nie wysiada z samochodu.

– Co się stało z meblami? – zapytałam.

– No, przyjechała nowa żonka pana sąsiada, wszystko spakowała i załadowała na samochód. Patrzyłem nawet, jak pakują, bo to piękne meble, antyki. Ale wszystko było jak trzeba, widać, że fachowców wynajęła. A potem przychodziła tu jeszcze parę razy z jakimiś... pewnie klientami na mieszkanie – dozorca wpadł w istny słowotok. – To chyba nie udało się sprzedać? Teraz trudno coś dobrze sprzedać, ale ja mówiłem, że jakby okazyjnie, to mój syn by reflektował. Ze mną to dużo nie gadała, tylko na początku mi się przedstawiła, że jest żoną, że z Krakowa. Powiedziała, że pan się gorzej poczuł po weselu i ona musi wszystkim zająć się sama. Dobrze, że pan wspomniał, że do Krakowa w konkury jeździ, bo inaczej nie dałbym nic ruszyć. Nawet żeśmy się z żoną śmiali, że pan taki prędko w decyzjach. Bo to i po prawdzie w tym wieku nie ma się na co oglądać, czasu już za dużo nie ma, a kobitka, z przeproszeniem pań, grzechu jeszcze warta. To co pan za kłopot ma z kluczem? – skończył wreszcie.

Z głębi samochodu dobiegło dziwne charczenie. Euzebiusz dusił się wygięty nienaturalnie klatką do przodu. Patryk wyciągnął go z auta i zaczął rozpinać kurtkę. Ja chwyciłam za komórkę i wystukałam numer ratunkowy. Staruszek stracił oddech, więc Patryk rozpoczął akcję reanimacyjną na śniegu, pośrodku podwórza. Babcia i dozorca usiłowali mu wyrwać chorego i taszczyć go do budynku, ale ich ustawił i spokojnie rozdzielił zadania. Karetka przyjechała szybko. Lekarz podjął wprawdzie jeszcze reanimację,

lecz wkrótce zaprzestał i stwierdził zgon.

Mama płakała, gładząc marnotrawnego adoratora po policzku.

– Popatrz, dopiero go wczoraj po południu goliłam, a już mu zarost urósł – mówiła, jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Wokół nas zebrał się już wianuszek gapiów przywołanych sygnałem erki. Nie wiedziałam, co zrobić po odjeździe karetki z leżącym na śniegu Euzebiuszem, ale zaraz jedna z sąsiadek, starsza, samotna kobieta, zaproponowała, żeby wnieść go do jej znajdującego się na parterze mieszkania. Dozorca już widać przekazał lokatorom wieść, że z mieszkaniem i tą nową żoną sąsiada coś nie gra, że chyba staruszek padł ofiarą oszustki. Zaczęli nas wypytywać o różne szczegóły, kim jesteśmy dla zmarłego, ale na szczęście nadjechał samochód zakładu pogrzebowego, który miał przetransportować zwłoki Euzebiusza do kostnicy. Wszędzie musiałam podawać swoje dane z braku dokumentów zmarłego i tłumaczyć jego skomplikowaną sytuację. Ktoś z sąsiadów wspominał o synu Euzebiusza, który ponoć mieszka w Australii. Sąsiadka z góry powiedziała, że w skrzynce pocztowej zmarłego znajduje się list, więc włamaliśmy się komisyjnie do skrzynki i szczęśliwie leżał w niej list od syna z adresem zwrotnym. Starszy pan nie używał komputera i nie pisywał maili, więc i syn przysyłał mu zdjęcia i różne wiadomości w listach.

Patryk pobiegł prędko na pocztę, aby wysłać telegram do Australii. Zanim udaliśmy się do wskazanej nam kostnicy, zebraliśmy jeszcze wywiad wśród sąsiadów na temat osoby podającej się za żonę Euzebiusza. Widziało ją oprócz dozorczy jeszcze kilka osób i wszyscy są skłonni zeznawać. Na poniedziałek umówiliśmy się, że pójdziemy na policję złożyć doniesienie w sprawie popełnienia przestępstwa.

Wieczorem dotarliśmy wreszcie do mieszkania mamy, gdzie Ewelina od południa czekała na nasz przyjazd. Dzwoniłam wczoraj do niej, żeby uprzedzić ją, w jakim stanie jest Euzebiusz i że jakiś czas będzie musiał pomieszkać z nią i mamą. Zwróciłam uwagę na to, iż w mieszkaniu jest świeżo wysprzątane i pachnie szarlotką. Mama mimo przygnębienia pochwaliła za to Ewelinkę.

– A gdzie pan Euzebiusz? – zapytała zdziwiona dziewczyna. – Upiekłam jego ulubione ciasto.

– Niestety, pana Euzebiusza już nie ma między nami – powiedział poważnie Patryk.

– A gdzie jest? Będzie u siebie? Da radę sam czy jest z nim ktoś? – dopytywała się troskliwie.

- Zmarł kilka godzin temu – powiedziałam cicho.
- Jak to?! Umarł wam w drodze?

Opowiedzieliśmy jej całą historię i widać było, że dziewczyna jest nią przejęta. Wyraźnie interesowała się już sprawami innych, a nie skupiała wyłącznie na swoim nieszczęściu, jak to było jeszcze niedawno. Wyglądała pięknie. Cerę miała nieskazitelną, spojrzenie czyste i promienne, a figurę fantastyczną. Brzucha jeszcze w ogóle nie było znać. Tylko jej i tak dość duże piersi stały się jeszcze bardziej wydatne. Włosy miała bezpretensjonalnie, gładko zaczesane i spięte, makijaż subtelny, prawie niewidoczny. Wydelikatniała i wysubtelniała. Nawet Patryk to zauważył i wodził za nią zachwyconymi oczyma.

Ja kręciłam się po mieszkaniu jak fryga, wydzwaniałam do Grażyny, do siostry i mojego dyrektora o wolny dzień, a także do Dominiki, żeby zadbała o psy i piec. Moja mama, zwykle głośna i ruchliwa, siedziała przy stole w kuchni nad pełną szklanką herbaty i patrzyła nieruchomo w jeden punkt. Kiedy wreszcie zwróciliśmy na nią uwagę, powiedziała smutno:

– Jaka jestem stara i głupia. Mogliśmy sobie żyć spokojnie razem. On był taki miły, czyściutki, kulturalny. Chciał mieć kobietę, bliską osobę, którą by kochał. Tak często mówił mi o tym. A ja myślałam, że w naszym wieku to już nie wypada. Bałam się, co wy powiecie. Wolalam trzymać go na dystans, żeby przypadkiem nie wpadło mu do głowy, że będę z nim uprawiać seks, bo to nieestetyczne na starość. Nawet całowanie wydawało mi się już nie dla nas. On by nie szukał nikogo innego, gdybym ja... Nie miał wcale takiej potrzeby, żeby latać za młódkami. To ona go zbałamuciła. Ja nawet nie wiem, jak on ją poznał. Jeszcze przed samym wyjazdem do Krakowa pytał, czy nie wyszłabym za niego, a ja go wyśmiałam. A teraz też nie powinniśmy go zabierać ze szpitala do domu. Gdyby go wysłali do ośrodka dla przewlekle chorych, żyłby pewnie jeszcze parę ładnych lat.

Mama odsunęła od siebie zimną już herbatę tak energicznie, że rozlała się po blacie. Ewelina szybko sięgnęła po zmywak i wytarła, a mama ciągnęła dalej:

– Z waszym ojcem też nie potrafiłam żyć. Nie umiałam mu pokazać, że cenię jego talent. Niby wzięłam na siebie wszystkie ciężary codzienności, ale zatruwałam mu nimi życie. On był jak barwny ptak, a ja chciałam, żeby był zwykłym domowym drobiem. – Zaczęła strasznie szlochać.

Bałam się, że teraz z kolei jej się coś stanie, jakiś wylew lub za-

wał. Wyciągnęłam jej całą szufladę z lekarstwami, ale na próżno szukałam czegoś na uspokojenie, mama nie uznawała takich sztucznych, jak to mówiła, „ukołysaczy”. Wnuczek zmierzył jej ciśnienie, rozebrał łóżko, przytulał i pocieszał.

– Babciu, nie rozpaczaj, nic już nie zmienisz. Pomyśl, jaki Euzebiusz był szczęśliwy, gdy go zabierałaś ze szpitala. Myślisz, że życie w takim ośrodku by mu się podobało? Nie umarł przez ciebie, tylko przez tę oszustkę. Ty chciałaś się nim zaopiekować, gdy był już kaleką. Nie mogłaś przewidzieć tego, co stało się dziś.

Patrzyłam ze wzruszeniem na swego niesfornego syna i nie mogłam się nadziwić własnym oczom i uszom. Książd Marek jest jednak świetnym psychologiem. Poznał się na moim dziecku lepiej ode mnie.

Mimo protestów Patryk został odesłany w niedzielę autobusem do domu. Nie mógł sobie pozwolić na nieobecności w szkole. Reszta dnia po powrocie z kościoła upłynęła mi na pocieszaniu mamy, która kompletnie się rozkleiła. Miałam też okazję i ochotę porozmawiać z taką odmienioną Ewelina. Dziewczynie podoba się kolega z klasy, który zamierza studiować historię sztuki. Ona też teraz dużo czyta, żeby dorównać jego poziomowi. Odkryła książki o sztuce, które zostały jeszcze po moim ojcu, i udało jej się zwrócić na siebie uwagę owego chłopaka. To dla niego zmieniła styl i zachowanie. Jest inteligentna i wie, że co mogło podobać się Damianowi, na pewno nie zachwyci Łukasza, bo tak na imię ma jej skryta sympatia.

– Chciał się ze mną umówić, ale się wykręciłam. Myśli, że jestem taka niedostępna i to go bardziej jeszcze kręci – zwierzała mi się jak przyjaciółce. – Ja bym bardzo chciała z nim chodzić, ale zaraz wyjdzie mi brzuch i co mu wtedy powiem? „Wiesz, nie zdziwi się, ale jak mnie przytulisz, możesz poczuć kopnięcie. To mój bachorek wierzga, bo jestem kretynką”.

– Nie skreślaj tej znajomości. Może ten chłopak byłby w stanie zaakceptować twój stan – mówiłam frazesy z telenoweli, sama nie wierząc w to, co mówię.

– Na pewno nie. Teraz najchętniej ukryłabym się gdzieś do porodu. A potem, jak już będzie po wszystkim i oddam komuś to cholerne dziecko, może odzyskam Łukasza i może nie będzie dla nas za późno – marzyła. – Nigdy i nikomu nie przyznam się do tego, co zrobiłam.

– I całe życie będziesz uciekać przed swoją przeszłością i drzeć, że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności ona cię dopadnie. Zastanów się, czy sama chciałabyś żyć z kimś, kto ukrywa przed tobą

swoje sprawy, kto nie potrafił ci zaufać.

– No fakt, że nie. Ja tylko tak. Nie mogę się powstrzymać, by nie marzyć. To mi chyba pomaga. Ja wiem, że to nie ma sensu. Nie mogę już zmienić szkoły. Nie będę szczęśliwa w życiu i muszę się z tym pogodzić. Niech pani nic o tym nie mówi Domce i Patolowi.

– Oczywiście, jak sobie życzysz. A co do tego szczęścia, to lepiej go nie szukać zbyt intensywnie. Ono, jeśli zechce, samo cię znajdzie. Pan Euzebiusz, zdaje się, szukał właśnie zbyt natarczywie.

– To fakt. Żal mi tego staruszka.

Syn pana Euzebiusza, a właściwie jego pasierb z pierwszego małżeństwa zadzwonił do mnie wieczorem. Był związany uczuciowo z mężem swojej zmarłej matki, który go wychował, i oczywiście zamierzał zająć się pogrzebem już w środę, gdy tylko zjawi się w Polsce. Z ulgą przekazałam mu wszelkie sprawy związane z pochówkiem i przygotowałam na widok pustego mieszkania, które w dodatku może zostało już sprzedane przez oszustkę. Będzie miał teraz bardzo intensywne dni, bo trzeba wszystko posprawdzać, wyprostować, a sprawy utrudniać będzie brak dokumentów ojczyzna. Powiedziałam, że może na nas liczyć, ale odniosłam wrażenie, że ja i moja mama jesteśmy dla niego także trochę podejrzane. Trudno mu się dziwić.

W poniedziałkowy ranek chciałam zrobić przyjemność mamie i Ewelinie i naszykować im śniadanie ze świeżutkimi pachnącymi bułeczkami z pobliskiej piekarni. Wstałam cichutko, włożyłam na piżamę kurtkę z kapturem i spodnie od dresu, jak to często czynię u siebie na wsi, i pobiegłam do sklepiku. Otworzyłam ciężkie drzwi piekarni i nogi ugięły się pode mną. Przy ladzie stał Rafał i właśnie kupował pieczywo. Poznałam go od razu. W pierwszym odruchu chciałam uciec, ale jakaś pani za mną spytała zniecierpliwiona:

– Wchodzi pani czy wychodzi?

Bojąc się, że on się odwróci i, nie daj Bóg, jeszcze mnie pozna, jednym susem znalazłam się na końcu kolejki, naciągnęłam głębiej kaptur i zaciągnęłam suwak kurtki pod sam nos, choć na dworze panowała już odwilż, a w piekarni było gorąco jak w piekle. Wyciągnęłam chusteczkę higieniczną, aby w razie czego dodatkowo zakryć twarz, udając, że wycieram nos. Rafał tymczasem przebierał w ciemnym pieczywie, jak przysłowiowy Niemiec w ulęgałkach, i nawet próbował powiedzieć coś dowcipnego. Ale warszawiacy o świcie są skłonni do irytacji, a nie do miłej, lekkiej rozmowy, więc usłyszał tylko westchnienia i ponaglenia. Położył na ladzie banknot i obracając się do wyjścia, potoczył swymi pięknymi

oczyrna po wściekłych kolejkowiczach, wśród których ja wyglądałam na najbardziej rozindyczoną, gdyż byłam czerwona jak burak z gorącą i emocji. Wtedy sprzedawczyni zawołała:

– A, jeszcze reszta dla pana!

– Nie, reszta jest dla pani, że już od rana musi się pani użerać z takim marudnym klientem jak ja – powiedział Rafał z cudownie wyluzowanym uśmiechem i wykonał głową przeproszający gest w stronę kolejki, znów obrzucając nas wszystkich gniewnym radośnym spojrzeniem.

Myślałam, że umrę z wrażenia. Gdy przyszła moja kolej, nie doszłam jeszcze do siebie i zamiast bułek z ziarnem kupiłam rogale, a na dodatek chałkę z kruszonką, bo leżała pod ręką. Wróciłam do domu oszołomiona. Obdarzyłam się w duchu wszystkimi znanymi mi synonimami idiotki. Jak to dobrze, że nie było ze mną żadnego z moich dzieci. Niby tyle lat na karku, tyle doświadczenia życiowego, a tu wciąż ta sama głupota – snułam dalej niepochlebne myśli na swój temat.

Po powrocie do mamy miałam wielką ochotę zadzwonić pod dawny numer rodziców Rafała, gdyż teraz byłam pewna, że u nich się zatrzymał. Na szczęście musiałam iść na spotkanie z sąsiadami Euzebiusza. Zrobiłam jednak staranny makijaż i pożyczwszy od mamy parę gustownych dodatków, ubrałam się możliwie najbardziej elegancko. Zgłoszenie doniesienia o przestępstwie nie jest sprawą łatwą w naszej rzeczywistości. Organa ścigania chcą obywatela maksymalnie zniechęcić, żeby się wkurzył, poszedł sobie i dał im wszystkim spokój. Sama pewnie bym tak zrobiła, ale był ze mną dozorca i sąsiadka Euzebiusza i wzajemnie się nakręcaliśmy. Nie daliśmy się ostatecznie zbyć, ale zajęło to mnóstwo czasu. Wypełniałam formularze, odpowiadałam trzy razy na te same pytania, a myślami byłam przy pewnym znanym mi dobrze budynku, z którego mógł właśnie wychodzić Rafał. Mogłabym go przypadkiem spotkać, bo wyglądałam całkiem fajnie. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Wracając, nie wjechałam na podwórko kamienicy mamy, lecz zaparkowałam na chodniku pod delikatesami. Weszłam do sklepu, aby obserwować drzwi wejściowe do klatki, w której znajduje się mieszkanie rodziców Rafała. Żałowałam, że minęły czasy długich i beznadziejnych kolejek w sklepach, bo mogłabym wyczekiwać wyjścia byłego ukochanego, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Teraz przed południem ludzi było niewiele. W ciągu kilku minut zlustrowałam cały sklep, oglądając się podejrzanie co chwilę w

stronę okna. Uprzejmy personel indagował mnie nieustannie pytaniami, co podać, czym doprowadzał mnie do wściekłości. Zrobiłam w końcu zakupy dla mamy i Eweliny chyba na najbliższy miesiąc, z uwzględnieniem wyjątkowo urozmaiconej i wysokowitaminowej diety dla ciężarnej, a cholerne drzwi ani drgnęły. Ale właśnie jak przyszło mi płacić wysoki rachunek i ekspedientka guzdrała się z wydawaniem reszty, zobaczyłam kątem oka jakąś wysoką postać, która szybko mignęła mi w obserwowanym wejściu. Jak huragan chwyciłam torby i torebeczki i popędziłam przed sklep. Ludzie śpieszyli w swoich sprawach, lecz Rafała nigdzie nie było. Kilka paczek wypadło mi z ręki, gdy usiłowałam wyciągnąć z torebki kluczyki. Podniosła je Ewelina, która właśnie wracała ze szkoły.

– Ojej, tyle zakupów! – powiedziała, pomagając załadować mi to wszystko do bagażnika. – Tu jest bardzo drogo, lepiej było jechać do hipermarketu.

Na pewno masz rację – pomyślałam – ale hipermarket nie ma witryny z widokiem na pewne drzwi.

– Tak, ale chciałam was zaopatrzyć przed wyjazdem, a mam mało czasu – skłamałam.

W drodze powrotnej słuchałam audycji radiowej, której twórcy przypomnieli przeboje lat osiemdziesiątych z kapitalnymi komentarzami na temat atmosfery tamtych czasów. Na falach eteru przyplłynęły do mnie wspomnienia mojej pierwszej, tej najmocniej przeżywanej miłości. Ciekawe, że przyplłynęły tylko te miłe, inne chyba nie są przenoszone tą drogą. Zatęskniłam z całej siły za Rafałem. Chciałam, by za kierownicą siedział teraz on, żeby to była łada jego rodziców, żebyśmy mieli po szesnaście lat i żeby wszystko było jak dawniej. A powrotu komuny też byś chciała? – zapytałam trzeźwo samą siebie, gdy już wjeżdżałam w naszą wiejską, boczną drogę.

24. BURZLIWE ŚWIĘTA

Na szczęście dla naszego stadła Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami i musiałam wziąć się w domu do porządków i przygotowań do świąt. Jak pomyłam wszystkie okna i sprzątnęłam na szafach i w ich wnętrzu, bicie serca mi się unormowało, a głupie wdychanie ustąpiło zupełnie. Zastąpiła je nerwowość i związane z przemęczeniem doznanie starości. Z Rafałem przed świętami rozmawiałam na Skypie tylko raz i nawet wyznałam mu, że któregoś dnia w Warszawie miałam wrażenie, iż robiliśmy zakupy w tym samym sklepie.

– Boże! – krzyknął. – Byłem tam na pewno! Dlaczego nie podeszłaś?

– Może gdybym wiedziała, że jesteś w Polsce, to bym zaryzykowała. A tak uznałam, że to ktoś łudząco podobny.

– Ale nie wydało ci się dziwne, że akurat tam, w pobliżu naszego domu?

– Ty też mnie nie poznałeś, choć popatrzyłeś wymownie po wrogo nastawionych kolejkowiczach.

– Tak, już sobie przypominam, kiedy to było. Chodziłem po świeże pieczywo co dzień podczas pobytu u ojca, ale jednego dnia jakoś tak było mi wesoło i chciałem innych rozweselić, a spotkałem tylko złość i nawet potem zastanawiałem się, czy dobrze robię, wracając do kraju. Ty mnie poznałeś, nie udawaj – powiedział Rafał. – Musiałś mnie poznać choćby po głosie, przyznaj się.

– Oj nie, tak od razu to nie, ale potem sobie uświadomiłam, jak już wyszedłś ze sklepu – bujałam spokojnie.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś do taty? Moglibyśmy się spotkać – mówił z wyrzutem. Zwróciłam uwagę na to, że wymienił tylko tatę. Pewnie mamy już nie ma, a tak dobrze się trzymała.

– Byłam tam w bardzo smutnych okolicznościach i nie miałam głowy do spotkań towarzyskich – odparłam, a następnie opowiedziałam mu historię pana Euzebiusza.

– To faktycznie okropna sprawa. Jak byłaś ubrana, że cię nie poznałem? – indagował dalej w kwestii naszego niby-spotkania. – Głowę bym dał, że powinienem na końcu świata poznać te nogi sięgające do migdałków i cudne włosy, jeśli wciąż ich nie obciąłś.

– Nie dawaj tak łatwo głowy, bo ją stracisz. Włosy miałam schowane pod kapturem, a na nogach powyciągane dresy.

– Często tak chodzisz po mieście? – zapytał chyba trochę zaniepokojony, że być może z wiekiem stałam się zupełną abnegatką.

– Po Warszawie nieczęsto, ale tu u nas na wsi po szkole praktycznie zawsze – odpowiedziałam tym razem zupełnie szczerze.

– Nie bardzo w to wierzę, ale chciałbym cię wtedy spotkać w Warszawie, w dresie czy bez dresu.

– Pojutrze będę na pogrzebie Euzebiusza, więc założę zapewne żałobny dres – zażartowałam w sposób troszkę wisielczy.

– Nie zdążę przylecieć. Święta spędzam w Ameryce, przywiozłem tu ojca, dla którego, jako dla samotnego staruszka, zimy w Polsce są niebezpieczne. Boję się, że któregoś dnia pośliznie się na nieodśnieżonym chodniku, gdy będzie szedł do sklepu, i nieszczęście gotowe. Na Florydzie nie ma takich problemów. Ojciec narzeka, że przez tę pogodę nie czuje świąt i że brakuje mu rodzinnej atmosfery. Najbardziej brak mu chyba mamy, którą kochał i zdradzał jednocześnie, kiedy żyła, a teraz nieustannie wspomina. Czasem nawet twierdzi, że ona go odwiedza. Prosiłem znajomego psychiatrę, żeby go delikatnie poobserwował, ale wtedy zachowywał się bez zarzutu, chociaż nie miał pojęcia, że wizyta mojego kolegi oznacza badanie lekarskie.

– To, jak widzisz, nie jest nam pisane się spotkać. Los tak chce – próbowałam skończyć rozmowę.

– Uściślijmy, nie jest nam pisane spotkać się pojutrze. A los nie będzie za mnie decydował. Jestem już prawie jankesem i biorę własne sprawy w swoje ręce. Pragnę cię zobaczyć z całego serca i dopnę swego – powiedział zdecydowanie, a mnie serce znów załopotało na chwilę, taki był zdecydowany i męski.

– Może tak będzie, ale nie jestem pewna, czy to ma sens.

Pewnie, że nie miało to najmniejszego sensu, podobnie zresztą, jak nasze rozmowy. Należało przerwać ten proceder, póki jeszcze nie odbiło nam zupełnie.

Mąż tymczasem jakoś nagle przestał opowiadać mi w naszych internetowych rozmowach o swoich modelarskich robotach i kolejnych przesłuchanych, jego zdaniem rewelacyjnych, płytach. Co dzień raczył mnie zachwykami nad intelektem doktor Ani. Trzeba być pozbawionym wyobraźni, żeby zaharowanej wiejskiej nauczycielce, która od rana męczy się z dość tępą, co tu dużo mówić, w

swojej masie młodzieżą w najtrudniejszym wieku, a potem jeszcze z piecem, opałem, psami, kotami, niewykończonym mieszkaniem i kłopotami własnej oraz kilku obcych rodzin, opowiadać dyrdymały o uznaniu, jakie w środowisku angielskich lekarzy budzi fachowość jego przyjaciółki. Kiedy tak słowo „przyjaciółka” odmieniał we wszystkich przypadkach, szlag mnie trafił i nakrzyczałam na niego.

Najpierw go zatkało, a potem stwierdził, że nie podejrzewał, iż mogę komuś zazdrościć pozycji i kariery. On ma większe powody, żeby patrzeć z zawiścią na koleżankę po fachu, ale jest dumny, że to właśnie Polka i w dodatku tak bliska mu osoba. Tego było już za wiele. Wyłączyłam się. Niech sobie pogada z bliską osobą, po co mnie zawraca głowę. Wściekła zamasyście wstałam od biurka i wpadłam na stojące pod oknem wiaderko z wodą. Właśnie myłam okno, gdy przywołujący sygnał Skype'a przerwał mi to „fascynujące”, „ambitne” i „rozwijające” zajęcie. Woda rozlała się na świeżo położone panele. Zbierałam ją pośpiesznie i płakałam ze złości. Chciałam, żeby Rafał cudem teleportował się do mnie i mnie przytulił.

Takie chcenia zdarzały mi się od jakiegoś czasu, ale przeganiałam je, stosując ucieczkę w pracę. Tego dnia właśnie potrzebowałam kogoś, kto doceni moją ciężką harówkę. Kto pocieszy, że panelom nic nie będzie od nadmiaru wilgoci, a jeśli nawet, to położy się nowe. Ludziom w czasie powodzi woda zalewa całe piękne domy, a to tylko parę sztucznych desek. Rafał, gdyby był przy mnie, na pewno by tak powiedział, a mój mąż martwiłby się, że tyle forsy poszło na marne – myślałam i nakręcałam się sama dalej. Nie wróżyło to sielankowej atmosfery przy świątecznym stole.

Tegoroczne rekolekcje też nie przywróciły mi spokoju ducha. Do parafii przyjechał jakiś ksiądz, stary głęda, który robił teatralne miny i gesty. Zawieszał dramatycznie głos, tak że więcej uwagi skupiał na tym, jak mówi, niż co mówi. Treść jego nauk nie wyszła poza kościelną sztampe. W spowiedzi napomknęłam o swoim problemie z Rafałem, ale ksiądz usłyszawszy, że nie było grzesznych kontaktów i myśli, podniósł dłoń w geście rozgrzeszenia. Gdybym się nie upomniała, zapomniałby nawet zadać mi pokutę, tak się śpieszył, bo kolejka do konfesjonau była ogromna. Rozgrzeszyłam się też sama. Nie mam grzesznych myśli, tylko jestem samotna – myślałam. Na męża jestem zła, bo chyba naprawdę jestem o niego zazdrosna, a on myśli, że o jakąś tam karierę. Mama zawsze mówi, że moim problemem jest brak ambicji, a co za tym idzie – odsuwanie wszelkich możliwości robienia kariery. Mąż

powinien się cieszyć, że po tylu latach jestem jeszcze o niego zazdrosna, gdyż jest to ewidentna oznaka miłości.

Wzmocniona takimi konstatacjami udekorowałam choinki przed domem, poobwieszałam nasze surowe ściany stroikami i naszykowałam moc tradycyjnych delicji, żebyśmy mogli ucztować i cieszyć się sobą. Zaproponowałam nawet Krzysiówi, że mógłby zaprosić swoich rodziców, ale nie chciał. Powiedział, że dom jeszcze niewykończony i że za późno ten pomysł. Może w przyszłym roku, bo w tym już zaplanowali Wigilię z Anią i jej mamą. A Ania jest tak miła, że przesyła mi świetny przepis na piernik. Niech się nim wypcha. Ja jej też prześlę po świętach kawałek makowca, najlepiej z cykuta – pomyślałam i zaraz się zaniepokoiłam, że będę musiała powtórzyć spowiedź, bo grzeszę brakiem miłości bliźniego.

– Piernik już upieczony kruszeje i czeka na ciebie, jak my wszyscy, kochanie – powiedziałam słodko do męża.

Miało być spokojnie i radośnie, a jednak tuż przed Wigilią wybuchła prawdziwa bomba.

Mama z Ewelina przyjechały dzień wcześniej. Ewelinka uwijała się ze mną w kuchni i mówiła, że od śmierci Euzebiusza ze zdrowiem mamy jest nie najlepiej. Zapomina brać leki albo bierze więcej niż trzeba, bo zapomniała, że przed chwilą brała. Miewa potem niebezpieczne skoki i spadki ciśnienia. Nie je, a nawet czasami nie pije całymi dniami, tylko siedzi zapatrzona w ścianę. Wszelkie pytania o lekarstwa, ciśnienie czy jedzenie traktuje jako zamach na swoją niezależność. Okazuje się, że role zostały odwrócone. Myślałam, że to mama zajmie się Ewelina, a tymczasem dziewczyna sama przyjęła na siebie rolę pielęgniarki i robi to w sympatyczny, taktowny sposób.

Mąż miał przylecieć w samą Wigilię rano, więc w domu panował jeszcze miły chaos i rozgardiasz. Nie trzeba się było spinać, wszyscy chodziliśmy do późna w bieliznie i zostawialiśmy po sobie kubki z niedopitą herbatą. Takie rzeczy nie są możliwe w obecności Krzysia. Dominika pojechała jeszcze do Kielc po prezenty, których nie zdążyła wcześniej kupić, gdyż bardzo intensywnie ostatnio się uczyła. Ewelina nie chciała z nią jechać. Bała się, że spotka kogoś znajomego, a ubzdurała sobie, iż jej ciąża jest już widoczna. Gadałam z nią, klejąc pierogi. Mama siedziała przed włączonym telewizorem, ale nie śledziła tego, co działo się na ekranie. Patrzyła martwym wzrokiem poza telewizor, poza ścianę domu, może nawet poza naszą rzeczywistość. Patryk w stodole przesiewał na zapas trociny, żeby potem w święta mieć spokój. Nagle do domu wtar-

gnęła blada jak płótno Dominika i krzyknęła dramatycznie do przyjaciółki:

– Wszyscy mnie przed tobą zawsze ostrzegali, ale ja uważałam, że się mylą. To ja się pomyliłam! Strasznie się pomyliłam! I jeszcze moja własna matka jest w to zamieszana – zwróciła się do mnie. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nią się opiekujesz? Czy ty nie masz swoich dzieci?! Nie masz się kim zajmować?! – i rozplakała się jak mała dziewczynka.

Wyglądało na to, że Dominika poznała prawdę o dziecku Eweliny. Ale jak mogło do tego dojść, jeśli tylko ja i Ewelina ją znałyśmy? Objęłam córkę i próbowałam ją uspokoić. Spojrzałam kątem oka na Ewelinę. Była mocno zaczerwieniona i chwyciła powietrze jak ryba.

– Nie wiem, kto i co ci nagadał, ale jesteś dla mnie najważniejsza na świecie – zwróciłam się do córki. – Porozmawiaj z nami, bo trzeba wszystko wyjaśnić. Spójrz na Ewelinę. W tym stanie nie można jej fundować takich przeżyć. Nie chcesz chyba mieć na sumieniu jej dziecka? Ewelina, jak się czujesz? – zapytałam przestraszona nie na żarty.

– Nic, nic, tylko tak mi wszystko zawirowało i duszno mi.

– Usiądź przy oknie, ale okryj się, a ja uchylę lufcik – powiedziałam. – A ty, Dominika, powiedz spokojnie, co się stało.

– Nie, nie chcę mieć na sumieniu jej i jego dziecka, ale nie wiem, czy chcę ją jeszcze kiedyś w życiu oglądać.

Ewelina poderwała się ze stołka i ruszyła ku wyjściu, ale zatrzymałam ją zdecydowanym ruchem i posadziłam z powrotem.

– Spróbujmy porozmawiać o tej sytuacji bez emocji, na tyle, na ile to możliwe – powiedziałam spokojnie, ale głos mi się trząsnął. – Kto ci powiedział i w jakich okolicznościach? To jakieś nieporozumienie. To musi być jakaś podpucha.

– Podpucha? Matka Damiana robi podpuchy, że chce mieć prawo do swojego wnuka? – Dominika aż sapała ze złości. – Kiedy to zrobiliście? – odwróciła się groźnie do Eweliny. – Śmiałoście się potem ze mnie, że jestem taka naiwna, że nic nie zauważyłam? No powiedz, jak to było, moja droga przyjaciółko!

Dominika krzyczała nad biedną Eweliną, aż babcia obudziła się ze swego zamyślenia i stanęła w drzwiach kuchni.

– A co takiego Ewelinka zrobiła? – spytała zaniepokojona. – Ewelinka to dobre dziecko, na pewno nie chciała zrobić nic złego. Na pewno, Dominisiu.

– Ja chyba śnię albo oglądam jakiś horror! – wykrzykiwała na-

dal Dominika. – Ona weszła do łóżka mojego chłopaka, a potem do mojej rodziny i się panoszy. Z mamusią ma wspólne tajemnice i sekrety przede mną. A jakże, wkrótce będą pewnie razem bawić jej dziecko i tego... – nie chciała chyba wobec zmarłego użyć wulgarneho określenia, a inne jej nie przychodziło do głowy, więc darowała sobie epitet i ciągnęła dalej: – Nawet moja własna babcia już ją kocha. Ciekawe, czy braciszek też jest po jej stronie? A tatuś z pewnością przywiezie jej jutro prezencik z Anglii. Co ja tu właściwie jeszcze robię?

– Dominika, przestań! – ostro próbowałam przywołać ją do porządku, choć w głębi ducha wyobrażałam sobie, co biedactwo czuje. – Powiedz, co dokładnie mówiła ta kobieta. Ewelina też ci może zdoła coś wyjaśnić.

– A co tu wyjaśniać? Dominika ma rację, zachowałam się jak najgorsza świnka – powiedziała cicho Ewelina. – Zrobiliśmy to tuż przed jego wypadkiem. Wtedy, gdy poszliśmy nad rzeczkę, a ty spałaś po tabletkach. To była moja wina. Chciałam ci go zabrać, bo ty zawsze miałaś wszystko: kochających rodziców, brata, zakochanego Tomka, którym mogłaś dysponować, jak chciałaś, i urodę, i pełno znajomych. A Damian do ciebie nie pasował, i tak byś z nim nie była na poważnie. Ale on mnie potraktował jak spluwaczkę. Zresztą to był naprawdę kawał chama. Ty też byś się o tym przekonała, wcześniej czy później. A ja sama jestem sobie winna. Dlatego nie chcę mieć tego dziecka przy sobie, żeby wciąż nie przeżywać tego upokorzenia i nie myśleć, do jakiego świństwa byłam zdolna. A mamy ci nie zabrałam. Twoja mama nas po prostu widziała, więc nie musiałam jej się zwierzać. Co, miała ci powiedzieć zaraz po jego śmierci, że był skończonym draniem, że z twoją przyjaciółką tuż przed śmiercią... Uwierzyłybyś?

– O czym wy mówicie, dziewczynki? Co zabrałaś naszej Dominiki? Oddaj jej i pogódźcie się. Nie warto się na siebie dąsać o drobiazgi, bo życie jest takie krótkie – paplała babcia, która naprawdę przez ostatni miesiąc zadziwiająco posunęła się w latach i jakby zdziecinniała.

– Mów, co mówiła matka Damiana – dociekałam, bo wciąż nie mogłam dojść, jakim cudem ktoś jeszcze wszedł w posiadanie tej tajemnicy.

– Mama Damiana dosłownie napadła mnie na przystanku i zaczęła molestować, żebym nie pozbywała się dziecka jej kochanego synka – zaczęła opowiadać Dominika. – Ona rozumie, że ja jestem młoda, a jej syn już nie żyje i że mogę chcieć ułożyć sobie życie, ale

to jej jedyny wnuk, ostatnia najdroższa pamiątka po synu. Nie mogłam jej nic wytłumaczyć, bo całowała mnie po rękach i klękała przede mną, żebym urodziła i oddała jej to dziecko. Niezły cyrk zrobiliśmy w centralnym punkcie naszej gminy. Teraz wszyscy już będą myśleli, że usunęłam ciążę. Nie wytłumaczę ludziom, że nigdy w niej nie byłam. Nie zdołałam też wytłumaczyć tego tej szalonej kobiecie. Początkowo naprawdę myślałam, że z nieszczęścia postradała zmysły. Zanim doszłam do domu, powiązałam fakty i zrozumiałam, że to Ewelina, że ona musi być w ciąży z Damianem, bo przecież nie widywała się z nikim, a ostatnio byliśmy prawie nierozłączni. Teraz wiem już, że nie miałam nigdy przyjaciółki, i Patryk miał rację, gdy chciał mnie chronić przed Damianem. Tak, byliście dla siebie stworzeni.

Dominika wyszła i zamknęła się w swoim pokoju. Babcia upuściła trzymanego w rękę pilota od telewizora i powiedziała:

– A czemu one mówią jak postaci z serialu? No, jaki to jest tytuł? A może uczą się roli? Asiu, co tu się dzieje?

– Pojadę do siebie – oświadczyła Ewelina. Wstała, ale zatoczyła się niebezpiecznie i usiadła znowu.

– Nigdzie nie będziesz jeździła – zdecydowałam kategorycznie. – Musimy cię obserwować po takich silnych emocjach. Dominice przejdzie, tylko muszę z nią jeszcze porozmawiać. Oczywiście, jeśli jutro będzie z tobą wszystko dobrze i nadal będziesz chciała jechać do domu, to cię odwiozę, ale chciałabym, żebyśmy ten incydent potraktowali jako rodzinną awanturę, po której wszystko musi wrócić do normy.

Ewelina rzuciła mi się w objęcia i zaczęła szlochać.

– Jesteście wszyscy dla mnie tacy dobrzy, lepsi niż rodzina, a ja jestem podła. Nie zasłużyłam na to dobro.

– Ewelinko, dziecko, nie martw się niczym, bo zaszkodzisz dziadziusiowi – babcia oderwała ode mnie płaczącą dziewczynę i tuliła ją serdecznie. – Dominika jest rozpieszczona i chyba za bardzo zadziera nosa. Ale jej przejdzie i się pogodzicie. Ja też, wiem, jestem ostatnio niemożliwa, a ty byłaś taka dobra dla mnie, taka wyrozumiała. Pojedziemy do domu, jak chcesz, i ja już nie będę grymasić, ale nie zostawiaj mnie samej. Teraz ja się tobą zajmę, przyrzekam. Koniec roztkliwiania się nad sobą. Jesteś słaba, będę ci gotować cielęcinkę i koniecznie dużo marchewki, żeby dziecko miało dobre oczka.

Babcia gadaniną chciała zażegnać nieprzyjemną sytuację, której nie rozumiała. Ewelina nie przestawała płakać, a ja nie wiedziałam,

co mam robić. Wreszcie zarządziłam:

– Ewelina, do łóżka! Mamo, zaparz jej melisy, a ja pójdę do pokoju Dominiki, żeby pogadać z własną córką.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwała się moja córka, która właśnie stanęła w drzwiach ze śladami łez i rozmazanym tuszem pod oczami. – Skończmy z tymi pierogami, bo trzeba szykować kolację, jeść mi się chce. Nie mam żalu do ciebie, mamus. Zachowałaś się super. Do ciebie, Ewelina, mam żal. Ale nie chodzi mi o tego gnojka, tylko o ciebie. Szkoda, że taki... dobra nie będę źle mówić o zmarłych... był dla ciebie ważniejszy niż ja. Czego ty mi zazdrościłaś? To ja zawsze miałam przy tobie kompleksy, że jesteś kobieca, że masz takie kształty i w ogóle. Teraz niczego ci nie zazdroszczę i współczuję. Czułam do ciebie żal, że mi nie chciałaś powiedzieć, kto jest ojcem. Ale nie przypuszczałam, że to aż tak wygląda. Nie wiem, ale chyba czuję jakąś ulgę. Dobra, udawajmy, że jego w ogóle nie było. Niech wszystko będzie tak, jak jest.

Obie z Eweliną rzuciłyśmy się na naszą dzielną i mądrą Dominiczkę, żeby ją ucałować. Babcia niosąca właśnie Ewelinie świeżo zaparzoną melisę przestraszyła się tego nagłego poruszenia i wylała na siebie wrzątek. Boleśnie poparzyła sobie rękę i stopę. Trzeba było zrobić opatrunek, ale wszystkie trzy biegałyśmy tylko wokół rannej i wyrzucałyśmy z szuflady z lekami i opatrunkami przeterminowane specyfiki, które łądowały na stolnicy z pierogami. Dobrze, że ze stodoły akurat wrócił Patryk. Gdy się zorientował, o co chodzi, pobiegł do samochodu po apteczkę, którą niedawno sam kompletował. Zajął się cierpiącą babcią, która w trakcie opatrywania przepowiadała mu świetlaną przyszłość w zawodzie lekarza.

– Niestety, babciu, już przeputałem tę możliwość. Nie będę miał odpowiedniej średniej, ani fizyki i chemii nie nauczę się już tak, żeby zdać testy na lekarski – odparł smutno.

– Dziecko, w twoim wieku możesz już nie poradzić sobie w balecie, ale jeśli masz zdolności, to opanujesz fizykę i chemię, i co tylko chcesz. Najwyżej rodzice dadzą ci korepetycje – mówiła babcia, sykając od czasu do czasu z bólu.

– Nie wiem, czy mam zdolności, bo nigdy nie próbowałem się uczyć na poważnie tych przedmiotów. Zawsze tylko je jakoś zaliczałem. Ale nie mówmy o mnie, słyszałem dochodzące z domu straszne krzyki. Siostró, co się stało?

Patryk nawet nie wydawał się zbyt zdziwiony tymi rewelacjami i powiedział:

– Szczerze mówiąc, w duchu właśnie Damiana typowałem na

ojca twojego dziecka, Ewelina. Nikt inny z naszego otoczenia nie miał tak lekkiego stosunku do tych spraw. Jesteś niemądra, ale przy najmniej nie wyrachowana świnia, bo po wypadku nie próbowałaś zrobić z niego gwałciciela. Nie miałby już szans się obronić, a wielu by uwierzyło, że był do tego zdolny. Może naprawdę oddanie tego dziecka dziadkom jest dobrym wyjściem? Tylko żeby znów nie wychowali drugiego Damiana.

Wypowiedź Patryka skończyła na ten dzień drażliwy temat i pozwoliła nam zająć się kolacją i cierpiącą babcią. Wrócił on jednak do nas jak bumerang, i to już w pierwszy dzień świąt. Gdy zaczynaliśmy uroczyste śniadanie, zawitali do nas z wizytą rodzice Damiana. Zajechali dużym czarnym audi, ubrani byli od stóp do głów w żałobną czerń i niezwykle poważni. Matka od progu zaczęła błagalnie:

– Jesteście ludźmi wierzącymi, chodzicie do kościoła, nie pozwolicie chyba skrzywdzić bezbronnego dziecka. Też jesteście rodzicami, więc możecie sobie wyobrazić, co to znaczy stracić syna.

– Tak, doskonale rozumiemy, ale nasza córka... – próbowałam jej przerwać, lecz wtedy stała się agresywna.

– Co? Że to wasza córka, to już nie może urodzić dziecka naszego syna? Ona musi je urodzić, a potem może o nim zapomnieć.

– Ale ja nie jestem w ciąży – wtrąciła się nagle Dominika.

– Już żeś jej, skurwysynu, załatwił za granicą skrobankę?! A możesz sam to zrobić? – ryknął nagle ojciec Damiana i schwył mojego męża za kłapy najnowszego garnituru.

– Proszę się opanować! Pan jest nietrzeźwy! – krzyknął nienaturalnie cienko zaskoczony Krzyś, po czym zaatakował napastnika pytaniem: – I prowadził pan samochód w takim stanie?!

– A chuj ci do tego! Co, może na mnie doniesiesz? Ja na was donoszę. Przecież widać, że ta chuda wywłoka w ciąży już nie jest, a to u nas jeszcze jest karalne.

Wtedy w holu za naszymi plecami stanęła Ewelina i głośno powiedziała:

– Proszę zostawić tych państwa w spokoju. To ja noszę dziecko waszego syna. I... i... i... bardzo żałuję, bo... bo... jeśli wdało się w ojca i dziadka, to... – wybuchnęła płaczem.

Po tych słowach nasi agresorzy w mgnieniu oka przeistoczyli się w łagodne baranki i zaczęli łąsić się do Eweliny.

– Córniku, dziecko nasze, my cię ozłocimy. Ptasiego mleka ci nie braknie. – Matka Damiana głaskała dziewczynę po minimalnie powiększonym brzuchu skrywającym jej upragnionego wnuka. – To

ciebie jednak wybrał. A od razu mówiłam mu, że ona nie dla niego. Ale ty też piękna jesteś. Zobacz, ojciec, czy nie piękniejsza? Cze-
muś od razu do nas z tym nie przyszła? Co myślałaś, że my nie
będziemy chcieli uznać? Że przed ślubem? A która to dziś inaczej?

– Państwo wybaczą, ale chciałbym zamknąć drzwi, bo zimno
leci do domu – powiedział oficjalnie Krzysztof z nadzieją, że uda
mu się zamknąć im drzwi przed nosem, ale matka Damiana ochoczo
przeskoczyła próg naszego domu, ciągnąc za sobą spowolnionego
alkoholem męża.

– No to teraz musimy umówić się, co i jak – ciągnęła niczym
niezrażona, jakby ubijała interes. – Oddasz je nam czy będziesz
chciała z nami zamieszkać? Skąd ty jesteś, kochana? A rodzice co
na to?

– Proszę, niech państwo wejdą i porozmawiajcie sobie spokoj-
nie w gabinecie męża – powiedziałam z rezygnacją, bo już i tak
śniadanie mieliśmy z głowy. – Ewelina skończyła osiemnaście lat i
miała prawo decydować o sobie. Nasza rola ograniczała się tylko do
udzielenia jej wsparcia, żeby w rozpaczach nie zrobiła głupstwa,
którego mogłaby całe życie żałować.

– Ja przepraszam za mojego męża. On taki porywczy –
sumitowała się kobieta.

– Sorry, doktor, nie gniewaj się, ale jak pomyślałam, że może
już mojego wnuka spuścili gdzieś do szamba, to mi się wszystko
zagotowało. Ja nie wyglądam, ale bardzo wrażliwy jestem.

Ojciec Damiana wyciągnął do mojego męża wielkie, spracowane
łapsko, które Krzyś przyjął z pewnym ociąganiem i chyba obawą.

– Wie pan, nie przywykłem do takich manier – powiedział z
wyższością i wycofał się do kuchni, a my za nim, podczas gdy
Ewelina udała się do gabinetu na rozmowy o przyszłości swego
potomka.

W kuchni czatowałam na koniec tej rozmowy, bo chciałam zapy-
tać matkę Damiana, jakim cudem dowiedziała się o mającym
przyjść na świat dziecku jej syna. Okazało się, że sama byłam źró-
dłem przecieku. Nie przypuszczałam, iż pani Józia jest spokrewn-
niona także z matką Damiana i doskonale wiedziała o tragedii, jaka
wydarzyła się jeszcze latem w pobliżu naszego domu. Skojarzyła
moje, jak mi się wydawało, bardzo ogólnikowe doniesienia z tym,
czego dowiedziała się od matki Damiana, i dała jej znać, że jakaś
dziewczyna nosi jego dziecko, ale jest z tego powodu bardzo
nieszczęśliwa. Matka Damiana zaś wiedziała od niego samego o
Dominice. Dopadła więc na przystanku moją córkę i zrobiła jej

wspomnianą wcześniej scenę. Właściwie dziwię się sobie, że nie
wzięłam pod uwagę tego, iż spokrewniona chyba z całą gminą pani
Józia okaże się również kuzynką matki Damiana. To przecież proste
i logiczne.

25. OPĘTANA

Ewelina bardzo chętnie obiecała rodzicom Damiana, że odda im dziecko i nawet będzie zadowolona, jeśli oni je adoptują, aby jej nigdy nie szukało i nie dopytywało się o nią. Mieliśmy wrażenie, że po tej rozmowie stała się weselsza i rozmowniejsza. Dzień po świętach, gdy prasowałam mężowi na wyjazd koszułę, usłyszałam z drugiego pokoju następującą rozmowę:

– No, teraz to już widzę kres mojego koszmaru – zaczęła Ewelina. – Jeszcze tylko parę miesięcy, oddam dziecko w najlepsze dla niego ręce i będę mogła o wszystkim zapomnieć. Żeby tylko nie przyjechali moi rodzice i nie skomplikowali sytuacji. Bo dla nich najważniejsze jest, co ludzie powiedzą.

– A ja myślę, że zbyt się pośpieszyłaś i zrobiłaś tym ludziom nadzieję. A jak coś ci się odwidzi? – powiedział Patryk.

– Na pewno nie. Gdyby to dziecko nie było tego... gdybym wpadła tak zwyczajnie z kimś, z kim bym chodziła, to nie oddałabym nikomu, za nic. Co tam studia i inne rzeczy. Kochałabym je i już.

– No widzisz. Teraz jeszcze masz złość do Damiana, a nie poczułaś w sobie tej małej istotki. Ale potem, jak ją zobaczysz, pokochasz na bank. Widzę, jaka jesteś opiekuńcza i dobra dla mojej babci, całkiem obcej osoby. Będiesz miała instynkt macierzyński. To naturalne uczucie, więc dlaczego miałabyś być go pozbawiona? – powiedział bardzo dojrzałe mój syn, czym po raz kolejny wprowadził mnie w zdumienie. – Możesz jeszcze zmienić zdanie. A przyjrzałaś się dokładnie rodzicom Damiana? Naprawdę nie bałabyś się oddać im dziecka? Ja bym im nie powierzył nawet mojego psa, bo z berneńczyka zrobiliby rottweilera.

– Może nie byłoby tak źle – odpowiedziała dziewczyna, śmiejąc się, ale po chwili namysłu dodała: – Damian właściwie był takim rottweilerem. O wszystko chciał walczyć, dlatego nie miałam u niego naprawdę szans. Jaka ja byłam głupia. Czy Dominika kiedyś naprawdę mi wybaczy?

– Dominika wbrew pozorom nie przywiązuje się za bardzo do nikogo, więc nie będzie zbyt długo przeżywać tej sytuacji. Ja tam widzę, że ty się bardzo zmieniłaś, i taką cię wolę – powiedział

Patryk.

– Dzięki ci za dobre słowo. Nawet nie wiesz, ile ono dla mnie znaczy.

Usłyszałam cmoknięcie i domyśliłam się, że Ewelina pocałowała mojego syna w policzek. O matko! – pomyślałam przerażona. – Czyżby coś między nimi zaczynało się dziać? Tylko nie to. Jest tyle fajnych dziewczyn bez takich przejsć i przeszłości. On jej nawet do niedawna nie lubił. Może teraz tylko jej współczuje – pocieszałam się. Życie wokół mnie zamienia się w jakiś kiczowaty serial. Wszyscy ze wszystkimi romansują. Mnie się też, powiem szczerze, ten ogólny trend udziela. Niech się już skończy ten ostatni dla nich rok szkolny i niech już idą na studia i zmieniają otoczenie, żeby poznali jakichś innych ludzi.

Do pokoju Patryka weszła Dominika i nie domyślając się, że ja obok prowadzę nasłuch, powiedziała:

– Słyszeliście, że starsi jadą na sylwestra do Warszawy? Grażyna z Jackiem zapraszają ich do jakiegoś superdrogiego klubu. Po smakują trochę wielkiego świata. Podobno bywają tam często vipy i celebryci. Ciekawe, jak mama sobie tam poradzi.

A to wstrętna zgaga – pomyślałam. Dlaczego to niby ja miałabym sobie nie poradzić? Jeść nożem i widelcem potrafię. Nie wiem, co prawda, jak rozprawić się z homarem i nie gustuję w kawiorze, ale to chyba nie problem.

– O mamę bym się nie martwił, gorzej z panem Jackiem – powiedział mój kochany syneczek. On jest tak zazdrosny o tę swoją Grażynkę, że gotów urządzić jakąś scenę z byle powodu.

– On jest w niej po prostu do szaleństwa zakochany – wtrąciła Ewelina. – To miłe, kiedy mężczyzna jest tak zazdrosny.

– Sama powiedziałas, że do szaleństwa, i jest chyba gotów na każde szaleństwo, a ją to i bawi, i denerwuje, więc może mu na złość wyciąć jakiś numer i szopka gotowa – powiedział Patryk.

Ciekawe, co mama na siebie włoży? Nie kupiła żadnej nowej szalowej kreacji.

– A co to za różnica, w czym się w tym wieku idzie na bal? Nikt i tak nie patrzy już na takie babki – odrzekła moja okrutna córka.

– No coś ty, mama, jak na swój wiek, wygląda super – bronił mnie syn.

– Dobrze, że dodałeś „jak na swój wiek”. Ta cała Grażyna wygląda jednak dużo lepiej, musisz przyznać – ciągnęła dalej Dominika.

– Wcale tak nie uważam – zaperzył się Patryk. – Ja tam wolę

mamę z paroma zmarszczkami niż tę lalę z botoksem. Ona w uśmiechu szczerzy tylko zęby, a reszta twarzy jest nieruchoma. Zauważyłaś?

– Zauważyłam. Ale za to jakie zęby... Zauważyłeś?

– Nawet się zastanawiałem, czy od strony podniebienia nie mają czasem logo firmy, która je wstawiła. Ludzie nie mają takich zębów. Nie uważasz?

Śmiać mi się zachciało z tej dyskusji moich dzieci i jednocześnie pomyślałam, że chyba nie chcę iść na tego sylwestra, bo nie mam się w co ubrać, nie mam też doskonałych licówek na zębach, posiadam własną historię wypisaną na twarzy, której nie zacierał nigdy żaden botoks ani inna cudowna substancja, i, jak stwierdziła Dominika, nie pasuję do wielkiego świata. Już miałam lecieć do swojego pokoju przymierzać kiecki, lecz postanowiłam dokończyć prasowanie, gdyż zaciekał mnie ciąg dalszy rozmowy moich dzieci.

– Daj już spokój. Nie przyszłam tu dyskutować o starszych paniach – ciągnęła Dominika. – Będziemy mieli wolną chatę i zrobimy u nas balangę.

– Okej. Powiem chłopakom, to się ucieszą. Ze względu na załobę po Damianie nie załatwili sobie na pewno żadnej dyskoteki, ale na taką skromną domówkę może dadzą się namówić.

– Miałam na myśli ciekawsze towarzystwo niż twoich wioskowych kumpli – parsknęła moja miastowa gwiazda, ale Patryk zaraz ją sprowadził na ziemię.

– Dopiero co planowałaś podbijać z nimi sceny krajowe i zagraniczne, a teraz już ci nie pasują. Odbiło ci?

– Ja wiem, ja ci nie pasuję – odezwała się Ewelina. – Ale ja pojedę z babcią do Warszawy.

– Przeciwnie. Mam nadzieję, że zostaniesz i jeszcze zaprosisz do nas tego nowego superchłopaka ze swojej klasy i może jeszcze kogoś – Dominika przybrała słodki ton.

– Ale ja nie mam z nim kontaktu, a w ogóle innych też raczej unikam, żeby mnie o nic nie pytali – tłumaczyła się gęsto Ewelina.

– A mówiłaś, że rozmawiacie na Gadu-Gadu – przypierała Dominika. – Pogadamy z nim wszyscy i może się zgodzi.

– Najpierw to rodzice muszą się zgodzić, a wątpię... – Patryk przypomniał o nas, lecz moja układna zawsze córeczka weszła mu arogancko w słowo:

– A po co mamy się pytać?

– Bo są rodzicami. Bo to ich dom. Bo zawsze nam na wiele pozwalali, gdy byliśmy szczerzy. Wyliczać jeszcze? – Patryk mówił

jak dorosły.

– No dobra – zgodziła się wspaniałomyślnie Dominika. – Trudno byłoby ukryć przed sąsiadami taką imprezę i ktoś by na pewno doniósł. Zresztą jakieś fundusze są potrzebne, więc trzeba powiedzieć.

No proszę, jakie to argumenty zadecydowały o tym, że jednak zostaniemy poinformowani o grożącej naszemu siedlisku młodzieżowej imprezie – głównie ekonomiczne. Na szczęście dom jest jeszcze niewykończony, więc i ewentualne ślady zbyt dobrej zabawy łatwiej będzie można usunąć – pomyślałam. Następna moja myśl dotyczyła wyjątkowej akustyczności ścian i stropów w tym domu. Jeśli ja z zamkniętej garderoby tak dokładnie słyszę i rozumiem każde słowo, strach pomyśleć, jakie to dźwięki dochodzą do uszu naszych dzieci, kiedy stęsknieni witamy się z Krzysiem po trzytygodniowym poście seksualnym. Dzieci są wprawdzie dorosłe, ale mimo wszystko trzeba coś z tym zrobić. Przy okazji zapytam Jacka, a okazja będzie, bo za cztery dni przyjeżdża, żeby zabrać nas swoim nowym volvo do Warszawy, a potem mamy się razem bawić całą noc.

Na myśl o tej zabawie po plecach przeszedł mi nieprzyjemny dreszcz. Czy to dla mnie będzie naprawdę zabawa? – pomyślałam. To, co powiedziała Dominika, potwierdziło moje wcześniejsze obawy, nie nadają się do wielkiego świata, a nawet średni wprawia mnie w panikę. Dobrze czuję się tylko w miejscach, które znam, i wśród sprawdzonych ludzi. Kiedyś jeszcze próbowałam z tym walczyć. Pracując nawet w małej rolniczej gazecie, musiałam rozmawiać z różnymi ludźmi i czasem też odezwać się wobec dużego zgromadzenia. Zawsze jednak były to dla mnie sytuacje niezwykle stresujące i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Mama ma rację, wycofałam się do zacisza wiejskiego, żeby mieć święty spokój. Teraz za sprawą mojej przebojowej koleżanki daję się wciągnąć w coś, co mnie przeraża. Mój mąż jest zachwycony perspektywą zabawy w gronie znanych ludzi. Jest teraz w ogóle spragniony kontaktów i wrażeń, gdyż jego praca jest podobno wyjątkowo monotonna. Nie mogę być aż taką egoistką, żeby nie wziąć się w karby i nie pójść na tego cholernego sylwestra, choćbym miała cierpieć tam katusze. Może Zyta ma dla mnie jakąś odlotową reakcję, żebym przynajmniej na pierwszy rzut oka nie odstawała od reszty?

Sylwestrowa impreza młodzieżowa oficjalnie przestała być już dla nas, starszych, tajemnicą jeszcze tegoż wieczoru. Krzys nie

bardzo miał ochotę się zgodzić, ale babcia ofiarowała się, że zostanie i będzie mieć oko na wszystko. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie jest to niestety już bystre oko, ale nie chcieliśmy dać jej odczuć, iż nie wierzymy w jej możliwości jako opiekunki. Cieszyło nas, że stała się nagle taka ożywiona po dniach zupełnego otępienia.

– Ja się zajmę panią Celiną – powiedziała do mnie na stronie Ewelina. – Niech się państwo niczym nie martwią. Ci ludzie, którzy obiecali, że przyjadą, to elita naszej klasy. Głównie nauka im w głowie, dlatego, gdy zaczęłam błyszczeć na kółku z historii sztuki, zwrócili na mnie uwagę.

– Mówiłaś, że to był jeden chłopak – przypomniałam. – I może nie do końca chodziło mu o naukę?

– No tak. A może ja sama chciałam, żeby to było coś więcej. Nie ma o czym mówić w mojej sytuacji. Dobrze, że już zmądrzałam na tyle, iż umiem zachować dystans i nie pcham się w następną historię – odparła Ewelina. – Przyjedzie z nim kuzyn, który też chodzi do mojej klasy, i jego dziewczyna z naszej szkoły, ale z niższej klasy. Oni najbardziej się cieszyli, że w Nowy Rok pojedziemy na stok, a w sylwestra Patryk obiecał załatwić konie i sanie na kulig.

– Ty nie ryzykuj z nadto, pamiętaj o swoim stanie – powiedziałam i przytuliłam Ewelinę z wdzięczności, że tak mnie o wszystkim informuje i wyczuwa moje niepokoje.

– Choćbym chciała, nie mogę zapomnieć, bo Patryk już mi zapowiedział, że będę siedziała razem z babcią w dużych saniach i nawet obmyśla dla mnie drinki bezalkoholowe. – Ewelina odwzajemniła uścisk i uśmiech.

– To miłe z jego strony – odparłam trochę chłodniej, bo myśl o tym, że być może Patrykiem kieruje w tym wypadku nie tylko wrodzona uprzejmość, zmroziła nieco ciepłe uczucie, które zaczęło we mnie kiełkować względem Eweliny.

Tak więc przygotowania do pożegnania starego i powitania nowego roku szły pełną parą. Patryk dwoił się i troił, żeby zorganizować jak najwięcej atrakcji. Z facetem, który mieszka w sąsiedniej miejscowości pod samą górą i hoduje koniki polskie, załatwił, za niewielką opłatą i obietnicą udostępnienia wiosną do wypasu naszej łąki, konie i sanie. Zapraszał też, mimo niezadowolenia Dominiki, swoich kolegów z czasów gimnazjalnych. Chociaż ich ewentualne uczestnictwo w tej zabawie budziło mój niepokój, to doceniłam lojalność syna. Chłopcy jednak po śmierci lidera, jak to się mówi, przebranzowili się i zatrudnili na bramce w miejscowej dyskotecie,

więc w noc sylwestrową będą na służbie.

Ja do swojego balu przygotowywałam się głównie mentalnie, nie licząc rutynowych depilacji oraz manicure i pedicure. W dzień wyjazdu miałam biegunkę i prosiłam Boga, żebyśmy utknęli niegroźnie w zaspie i nie dojechali na ten piekielny bal. Ale potężna maszyna Jacka, całkiem inna niż ta, której używał latem, płynęła szybko i sprawnie przez zaśnieżony, piękny krajobraz i niosła nas nieubłaganie w kierunku Warszawy.

– O ile pamiętam, miałeś znakomity samochód, więc czemu go zmieniłeś? – zapytałam.

– Czy ten, jako szwedzki, lepiej nadaje się na zimę? – dorzucił zartem Krzyś.

– Nie, tamten był dobry na każdą porę, ale Grażynka stwierdziła, że jest w złym guście, za bardzo szpanerski – odpowiedział zupełnie poważnie Jacek. – Mówiła, że czuje się skrępowana, gdy wjeżdżam do garażu pod jej apartamentem.

– To już wiem, dlatego nie chciała, żebyśmy przyjechali naszą corsa, tylko ciebie fatygowała. Taka corsa to dopiero „szpan” – zaśmiałam się i uświadomiłam sobie, że Grażka bała się obciachu w apartamentowcu. Obawiam się, że my też możemy okazać się obciachem – pomyślałam smutno. – Nie zdudziło ci się to jeżdżenie na trasie Kielce – Warszawa? Myślicie o tym, żeby być razem, tu lub tam? – indagowałam dalej Jacka.

– Myśleć to ja myślę i nie raz już Grażynkę namawiałem – odpowiedział Jacek, biorąc z zawrotną prędkością ostry zakręt. – Grażynka nie chce zbyt wiele zmieniać w swoim życiu, a już na pewno nie pracę i miasto. Pozwoliła mi być gościem w jej świecie, ale mnie to nie wystarcza. Muszę się jednak uzbroić w cierpliwość, żeby jej nie zrazić. Uczę się z nią być tak, żeby jej nie denerwować. Ona jest bardzo przywiązana do swoich nawyków i ma własne ustalone ceremoniały. Twierdzi, że stała obecność drugiej osoby może być dla niej uciążliwa.

Pięprznięta stara panna. Ma cudownego chłopaka i to już dla niej ostatni dzwonek, żeby jeszcze założyć rodzinę, a ona celebrytuje swoje przyzwyczajenia – pomyślałam brzydko o koleżance. Nie śmiałam się jednak nic odezwać, gdyż Jacka ten temat wyraźnie zdenerwował. Prowadził samochód coraz bardziej agresywnie, co w tych warunkach pogodowych, nawet przy jego wyjątkowych zdolnościach jako kierowcy i najlepszym aucie na świecie, mogło skończyć się tragicznie. Skierowałam więc rozmowę na doświadczenia Krzysia z Anglii. Oboje z mężem odetchnęliśmy z

ulgą, gdy pędzące jak strzała po śliskiej drodze volvo zatrzymało się wreszcie przed domem mojej siostry. Zwolniliśmy Jacka na dziś z funkcji naszego kierowcy, zapewniając, że na bal stawimy się punktualnie taksówką.

Zyta otworzyła nam drzwi z palcem na ustach.

– Ciii, cichutko, bo chyba śpią.

– Kto? – zapytałam szeptem.

– No, Wiktoria i jej dziecko – wyjaśniła, znów przyciskając palec do ust.

– To ona już urodziła?! – wrzasnęłam z emocji.

– Chicho! – upomniała siostra. – Nie, ma jeszcze miesiąc, ale każe nam się w ten sposób oswajać i chce pewnie sama uświadomić sobie, że nie jest już pojedynczą osobą. Na razie robi to werbalnie, ale myślę, że może to mieć też wpływ na psychikę i obudzi się w niej instynkt macierzyński. Przecież to naturalne uczucie, które zjawia się u większości normalnych matek po porodzie – mówiła uczenie siostra.

– U normalnych tak, zapewne – powiedziałam z przekąsem, ale zaraz się wycofałam z tej złośliwości i dodałam: – Na pewno Wiktoria będzie dobrą matką. Miała przecież dobry wzór. W takich sytuacjach ważny jest wzór własnych rodziców.

– A badania w końcu zrobiła? Była u ginekologa? Wiadomo, ile naprawdę jest tych dzieci? – wtrącił się z konkretnymi pytaniami Krzyś.

– No, niestety nie. Nie udało nam się jej namówić. Przecież nie można tego zrobić bez jej zgody. – Zyta bezradnie rozłożyła ręce.

– Ja to mam nadzieję, że ona chodzi do jakiegoś lekarza, tylko nas tak denerwuje. Nie mieści mi się w głowie, żeby tak ryzykowała.

– Nam też – dorzucił Krzyś.

– Ogólnie czuje się dobrze. Może trochę jest za blada. Co się dziwić, jada dziwnie i nawet nie chce żadnych preparatów witaminowych. Twierdzi, że to wszystko skraca nam życie, a ona odżywia się ziarnem dzikich zbóż i to daje jej energię. Energii też u niej nie widzę. Jak wraca do domu, pada ze zmęczenia. Może ty, Krzysztof, przemówisz jej do rozsądku – Zyta błagalnie spojrzała na mojego męża.

– A gdzie ona ma rozsądek? Żebym wiedział, gdzie przemawiać – Krzyś też nie mógł darować sobie złośliwości. – Mogę spróbować – dodał bez wiary w powodzenie własnej misji.

Usiedliśmy w salonie przy kawie, a tymczasem Zyta poszła na

górze po obiecaną mi suknię balową. Po chwili przyniosła absolutne чудо. Coś na wzór tęczo mieniającej się rybiej łuski miało okryć moją postać od stóp do głów. Suknia nie odsłaniała dekoltu, miała długie, obciste rękawy i takąż mocno dopasowaną resztę. Tylko na samym dole rozszerzała się, tworząc rodzaj wachlarza czy rybiego ogona. Miałam wrażenie, że pod światło ten cudowny materiał jest dodatkowo lekko przejrzysty. Westchnęłam tylko na jej widok.

– Co, nie podoba ci się?! – zapytała całkiem głośno Zyta.

– Jest piękna, ale nie dla mnie. To arcydzieło wymaga pięknej, zgrabnej i odważnej kobiety. Nie posiadam żadnej z tych cech.

– Moim zdaniem jest prosta, skromna i elegancka – powiedziała Zyta.

– Ja też uważam, że zakasujesz w niej młode dziewczyny. – Krzys uśmiechnął się do mnie.

– Nie mam już takiej figury, żeby w niej dobrze wyglądać. Nie te lata, nie te oczy – upierałam się, ale nie mogłam oderwać wzroku od tej odlotowej kiecki.

– Och, jak zwykle się nie doceniasz. – Krzys przygarnął mnie, położył mi ręce na biodrach i pocałował gorąco w usta. – Teraz dopiero masz te krągłości, które tak pociągają facetów. Kiedy brałem cię za żonę, miałaś dopiero zadatki na kobietę. Przy mnie tak rozkwitłaś.

– W tym sęk, że niedługo przyjdzie przekwitać – zażartowałam, choć, jak o tym pomyślę, wcale mi nie do śmiechu. – Jedyna nadzieja w tym, że skoro, jak twierdzisz, mam pewne opóźnienia, to i na klimakterium przyjdzie mi trochę dłużej poczekać. Nie, nie mogę iść w takiej obcistej sukni. Urodziłam przecież bliźniaki i mam rozciągnięty brzuch.

– Gdzie? Nie zauważyłem. – Krzys udawał, że szuka po omacku mojego rozciągniętego brzucha.

– Najpierw przymierz. Najwyżej pożyczę ci moją bieliznę wyszczuplającą, ale obwiśnie na twoim wymyślnym sadle, bo schudłaś ostatnio od tej swojej ciężkiej harówki – powiedziała siostra, wręczając mi migotliwe чудо i popychając lekko w kierunku drzwi łazienki.

Zdjęłam dyżurne dzinsy i sweter i przyoblekłam się w rybią łuskę. Suknia była na mnie idealna. Spojrzałam badawczo na swój brzuch z profilu i wciągnęłam go jeszcze troszeczkę. Obiecałam sobie nic nie jeść i pić niewiele, żeby mi się przypadkiem nie uwypuklił. Byłam gotowa stawić czoło wielkiemu światu. Gdy wyszłam z łazienki, rozpuściwszy wcześniej włosy, męża i moją

własną siostrę zatkało.

– Syreno moja, wyglądasz rewelacyjnie! – wykrzyknął mąż, zapominając o nakazie zachowania ciszy.

– Wiedziałam, że ta sukienka jeszcze kiedyś się przyda – stwierdziła z satysfakcją Zyta. – Ona jest właściwie niedokończona. Miała być jeszcze ozdobiona piórami do rewii, ale w końcu wcale tej rewii nie wystawiono. Wisiała zapomniana w pracowni Lucynki, wiesz, tej naszej mistrzyni krawieckiej.

Nie kojarzyłam Lucynki, ale sądząc po dziele, była mistrzynią, a właściwie była nią moja siostra, która to cudo zaprojektowała.

– Czuję się w niej naprawdę bosko. Ale czy to wypada w moim wieku? – znów dopadły mnie wątpliwości.

– W jakim wieku?! – krzyknęła rozentuzjasmowana Zyta. – Ja bym ją sama już wykorzystyła na jakąś okazję, ale jest dla mnie za mała – użyła zgrabnego eufemizmu w stosunku do swojej figury.

– Przejdź się w niej, usiądź, poczuj się damą, a nie będziesz chciała jej zdjąć. Nie martw się, nic się z nią nie dzieje, nie gniecie się, nie rozciąga, zawsze ułoży się idealnie – zachwalała swoje dzieło niczym Turek towar na bazarze.

Spojrzałam na moją stygnącą kawę i nie chcąc już przeciskać się na zajmowane wcześniej miejsce na kanapie, przesunęłam filizankę na skraj ławy. Dosunęłam sobie skórzany fotel okryty brązowym futrzakiem i usiadłam. Czy to możliwe, że nosząc suknię z rybiej łuski, mam wrażenie zanurzenia w wodzie? – pomyślałam zupełnie idiotycznie i natychmiast podskoczyłam do góry jak oparzona. Miałam mokre siedzenie i suknię zaplamioną jakąś cieczą zawierającą krew i śluz. Zrobiło mi się niedobrze.

– Co to jest?! – wrzasnęłam.

– Coś było na fotelu? To ulubione miejsce Wiktorii – powiedziała Zyta.

– Wygląda to na jakieś ludzkie lub zwierzęce wydzieliny – stwierdził flegmatycznie Krzyś, badając plamę organoleptycznie.

– Mogą to być popłuczyny po mięsie albo na przykład wody płodowe – ciągnął.

– Wody?! – krzyknęła Zyta i rzuciła się w kierunku pokoju córki, jakby się paliło, a my za nią.

Wiktorii leżała na łóżku zwinięta, na tyle, na ile pozwalał jej ogromny brzuch. Była blada, drżąca, oddychała szybko i płytko.

– Zaczął się poród?! Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytała Zyta.

– Chyba to już. Bo ja chcę po swojemu, mówiłam wam – wysy-

czała Wiktoria.

– Zwariowałaś?! Trzeba wezwać pogotowie! – Zyta miała łzy w oczach.

– Mówiłam, że nie. Poradzę sobie. Już wezwałam przyjaciółkę, ona wie, co robić. Jak tylko przyjdzie, zaczniemy rodzić w wodzie. Nie angażujcie się w to.

– Dziecko, zadzwonię chociaż po doktora Masłowskiego, dobrze? – błagała Zyta. – On przyrzekł, że przyjdzie, jakby co.

– Poród jest przed terminem, nie wiemy, ile jest płodów, jakie jest ich ułożenie. Z dziećmi może być źle. Trzeba do szpitala – powiedział rzeczowo Krzysztof i wziął Wiktoria za rękę, żeby ją uspokoić, a przy okazji spróbował zbadać puls, ale dziewczyna wyrwała mu dłoń. – Powinienem ci zmierzyć ciśnienie, ale nie mam czym. Zdaje się, że jest bardzo niskie. Moim zdaniem musisz jechać do szpitala.

– Kazio! Gdyby Kazio tu był... on by na nią może jakoś wpłynął. – Zyta kręciła się w kółko i nie była w stanie nawet zadzwonić po pogotowie.

– Kiedy odeszły wody? Co ile minut masz skurcze? – indagował Krzys.

– Wody to już w nocy, jak oglądałam telewizję – mówiła cicho i z trudem dziewczyna, a krople potu spływały jej z czoła. – Ale potem nic mnie nie bolało. Niedawno zaczął się ten jeden wielki ból. Ja to wytrzymam. W wodzie pójdzie szybko. Tylko, wujku, czy ja mogę wejść do wody, jak tak krwawię? – zapytała, wznosząc na Krzysa zalęknione, dziecięce spojrzenie.

Schwyciłam komórkę i na nic się już nie oglądając, zadzwoniłam po pogotowie. Tymczasem Krzysztof podniósł kołdrę i zobaczyliśmy między nogami dziewczyny zakrwawione, zwinięte prześcieradło.

– Przytrzymajcie ją za kolana! – krzyknął Krzys do mnie i do Zyty, pochylając się nad krwawiącą Wiktoria.

Sprawdzał chyba rozwarcie, czy szukał główki, a może chciał zastosować ucisk, żeby zmniejszyć krwawienie. Nie wiem dokładnie, ale po chwili sam wyglądał jak to pokrwawione prześcieradło. Wiktoria słabła z każdą minutą.

– Cholera! Jest niedobrze. Możemy ją stracić, jeśli karetka nie przyjedzie natychmiast.

Wiktoria blada i spocona, z zamkniętymi powiekami leżała już nieprzytomna. Zaczęły jej się dziwnie wystrzącać rysy.

– Dajemy ją na podłogę! Będzie reanimacja! – krzyknął do

swego całkowicie nieprzeszkolonego personelu Krzysztof.

Niestety, tylko ja starałam się z nim współpracować, gdyż moja siostra klęczała z rękami wzniesionymi do nieba i żarliwie się modliła.

Nie wiem, ile minut upłynęło do przyjazdu karetki. Krzysztof cały czas ugniatał klatkę piersiową dziewczyny i robił jej sztuczne oddychanie. Sądzę, że tylko dzięki temu zabrali ją żywą. My zrzuciliśmy zakrwawione ubrania i także podążyliśmy do szpitala. Wkrótce dołączył do nas powiadomiony o wszystkim Kazio.

Wiktoria przeżyła cesarkę, ale jej stan był bardzo ciężki. Nie miała szans urodzić tego dziecka siłami natury. Kiedy pokazano dziadkom wnuka, mimo iż lekarz starał się przygotować ich do szokującego widoku, Zyta zemdląła, a Kazio zaczął głośno szlochać. Na prośbę Zyty towarzyszył im mój mąż.

– Co z tym dzieckiem? Co stało się Zycie? – odpytywałam niecierpliwie Krzysztofa.

– Ciszej – szepnęła mi na ucho. – Wiktoria miała bliźnięta, ale jedno wchłonęło część drugiego i dziecko ma szczątkowe kończyny, a może i coś więcej swego brata.

– O Boże! – jęknęłam. – Ale żyje?

– Tak, tylko szokująco wygląda. Mam nadzieję, że da się to ładnie zoperować. Może trzeba będzie pomyśleć o leczeniu za granicą. Teraz jednak najważniejsza jest Wiktoria. Straciła mnóstwo krwi.

Zyta, gdy odzyskała przytomność, nadal była w szoku. Przywołała mnie do siebie i powiedziała szeptem:

– Wiedziałam, że to się tak skończy. Ona jest opętana. To dziecko to czarci pomiot. Wiktoria ma jego wizerunek na plecach.

– Swojego dziecka? Skąd wiedziała, jak będzie wyglądać? – pytałam zdziwiona i przerażona.

– Niedawno zrobiła ten tatuaż i ukrywała go przede mną, ale widziałam przez moment, chociaż nie miałam soczewek. To był hinduski Shiva, też taka maskara jak to dziecko. Boże, Boże, tak się za nią modliłam, ale wszystko na nic. Bóg nie słucha moich prośb. Za dużo grzeszyłam. Może to kara za moje grzechy? Co teraz będzie?

– Nie gadaj głupot – zgaśniłam ją.

– To moja wina. Ale ja zawsze żałowałam swoich chwil słabości i w duchu się modliłam. Nie wiem, dlaczego robiłam to Kaziowi. Przecież go kocham i nie wyobrażam sobie życia z kim innym. Sprawdzałam wciąż swoją atrakcyjność. Podświadomie bałam się, że to on któregoś dnia znajdzie sobie młodszą, lepszą. Wydawało mi

się, że tak będę lepiej przygotowana, mniej od niego uzależniona. A może teraz wymyślałam sobie usprawiedliwienia, a tak naprawdę po ojcu mam nie tylko zdolności plastyczne? Czy coś takiego można w ogóle odziedziczyć? Wiktorię przeze mnie szatan opętał, przez moje grzechy. Była przecież ochrzczona i u komunii była, więc dlaczego?

Krzysztof stanął nad Zytą i przysłuchiwał się temu, co mówi, a w końcu zniecierpliwiony powiedział:

– Wstydzilibyś się wygadywać takie rzeczy. Jesteś wykształconą kobietą, a mówisz jak ciemna baba. To jest wyłącznie medyczny problem i nie mieszaj tu teologii. Nie słyszałaś nigdy o takich rzeczach? Słyszałem o podobnym wypadku, chyba w Indiach, tylko tam była dziewczynka. Trzeba amputować organy drugiego bliźniaka i tyle. A może raczej aż tyle. Słyszałaś, co mówił lekarz? Pewnie, że to bardzo nierozsądnie, że robiła ten tatuaż w ciąży, ale twoja córka nigdy rozsądna nie była. W Anglii widuję tak wytatuowane kobiety, że jakby miały rodzić wszystkie te obrazki, mogłyby być fabryką potworków. Weźcie się w garść oboje z Kaziem i myślcie o Wiktorii, której życie jest zagrożone.

Wyszliśmy z Krzysiem na hol. Zyta z Kaziem zostali w szpitalu, więc my w zasadzie byliśmy już wolni. Krzyś spojrzął na zegarek.

– Wszystkiego najlepszego w nowym roku – powiedział. – Przegapiliśmy północ. Chyba na bal już nie pójdziemy. A może zobaczymy, jak się bawią? Teraz chyba zabawa osiąga apogeum.

Zdziwiła mnie ta jego ochota do hulanki po tym wszystkim, ale powinnam się już przyzwyczaić, iż lekarze mają jednak słępią wrażliwość.

– Źarty się ciebie trzymają – powiedziałam. – Nie zawiadomiliśmy Grażyny. Pewnie myśli o nas najgorsze rzeczy, albo nawet obraziła się na śmierć.

– Stawiam na to, że jedno i drugie. Pójdziemy się przespać do mamy, bo to bliżej, a taksówki raczej nie dostaniemy – zauważył przytomnie Krzysztof, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

Ludzie bawili się i radowali. Z wielu mieszkań dochodziła głośna muzyka płynąca z telewizorów. W jednym oknie widać było tańczące przy nikłym świetelku pary. Z dala dochodziły odgłosy jakiejś masowej imprezy na świeżym powietrzu. Sylwester z vipami przeszedł nam koło nosa. Nie było mi pisane pokazać się w rybiej łusce w wielkim świecie. Właściwie moje modlitwy zostały wysłuchane, lecz jak zwykle nie miałam powodów do zadowolenia.

Krzyś wylatywał następnego dnia z Okęcia do Anglii, więc

zostaliśmy w Warszawie. Nie pożegnaliśmy się nawet porządnie. Nie mogłam psychicznie tak szybko dojść do siebie. Dziwił mnie niezmiernie brak wycucia, jaki w tym wypadku wykazał mój mąż. Za wszelką cenę dążył do zbliżenia, myśląc tylko o czekającym go poście seksualnym, a nie licząc się zupełnie z tym, co dzieje się w mojej głowie. Po powrocie z lotniska, mijając kamienicę Rafała, popatrzyłam w ciemne okna jego mieszkania i zapragnęłam z nim pogadać.

26. ZMIANY W SERCACH

Dzieci natomiast były niezwykle zadowolone z sylwestrowej zabawy. Najdłużej jednak atrakcje tej nocy przeżywała babcia.

– Tak się wytańczyłam, jak za młodych lat – opowiadała mi podekscytowana, gdy tylko wysiadła przed swoim domem z samochodu szkolnych kolegów Eweliny, którzy po zabawie i porannych zjazdach na nartach, wracając do Warszawy, zabrali moje panie ze sobą.

– Jesteśmy pani wdzięczni za naukę. Zaliczyliśmy krótki kurs walca i tanga u prawdziwej mistrzyni.

Wysoki, przystojny młodzieniec pochylił się nad wyciągniętą doń drżącą nieco rączką mojej mamy i z uszanowaniem ją ucałował. Drugi, nieco niższy i puciołowaty na twarzy, zrobił to samo, a sympatyczna, ogniście ruda i uśmiechnięta dziewczyna rzuciła się jej w objęcia.

– To była naprawdę wspaniała zabawa, także dzięki pani – po wiedziała, całując siarczyście staruszkę. – Chciałabym mieć taką rozrywkową babcie.

Kiedy auto z młodymi odjechało, wpytałam mamę o szczegóły tej szampańskiej zabawy.

– Naprawdę była szampańska. Mówię ci, wypłam podobno sama całego szampana i wybawiłam się z Tomkiem. Nie miał partnerki. Ten biedaczyna znów snuł się za naszą Dominisią, ale ona tylko z tym wysokim. No, jak mu tam? Aha, Łukaszem. Tak, Ewelinko? Nie wiem tylko, kiedy nasza Dominisią zdążyła się tak zaprzyjaźnić z tym drągałem. Ona chyba niedawno miała jakieś problemy z chłopakiem. Zostawił ją czy umarł... Nie pamiętam. Już znalazła pocieszyciela. Ma gust dziewczyna. Ale zaraz... On jest z Warszawy? To... to... Czy ona nie zawiera znajomości przez Internet? Ty wiesz, Joasiu, jakie to niebezpieczne? Musisz ją lepiej kontrolować.

– To byli koledzy z klasy Eweliny. Już zapomniałaś, mam? Wszystko jest pod kontrolą – uspokołam ją, ale sama się zaniepokoiłam.

Co znowu wyprawia moja córka, która niedawno uchodziła za wzór cnót? – pytałam samą siebie. Zapewne odgrywa się na Eweli-

nie. Nie świadczy to o niej dobrze. Rozumiem, że czuje się zraniona, ale Ewelina została gorzej doświadczona przez los. Dominika chyba już powinna zrozumieć, że źle tamtych razem ulokowała swoje uczucia, i odpuścić, a ona znów pakuje się w jakąś kabałę, żeby sobie czy Ewelinie coś udowodnić.

– Cieszę się, mamo, że po tych wszystkich smutkach miałaś udaną zabawę – powiedziałam. – A ci młodzi naprawdę przemili i tacy dobrze ułożeni, i dorodni, aż miło popatrzeć na taką młodzież.

– Bawiłam się świetnie, ale nie mówcie nic Euzebiuszowi, jak wróci, bo znów się na mnie obrazi i będzie miał pretekst, żeby jechać do Krakowa. – Mama chichotała filuternie, a mnie na chwilę odebrało mowę.

– Mamo, Euzebiusz nie żyje – powiedziałam poważnie. – Pamiętasz, umarł u siebie na podwórku, kiedy dowiedział się...

– Coś ci się pokręciło. W jego wieku ludzie umierają czasem zniecka, ale on jest w Krakowie – chichotała dalej. – Próbuje mnie szantażować, że się ożeni. A niech się żeni, jak go tamta chce. Zobacz, jak to dobrze mieć na co dzień starego dziadka w domu, to mu da szkołę. Niech się żeni – powtarzała.

– Pani Celinko – wtrąciła się Ewelina. – Trochę za bardzo pani się wczoraj i dziś zmęczyła. Trzeba wziąć leki, a jutro może pojedziemy na cmentarz do pana Euzebiusza, zapalić mu świeczkę.

– Dobrze, Ewelino. Zapalimy mu znicz, bo ja się świetnie bawiłam, a on tam leży – zgodziła się nagle mama.

Ewelina zabrała mamę do kuchni i zajęła się nią z ogromną czułością. Z nią staruszka jakoś nie dyskutowała, czy Euzebiusz żyje, czy też przebywa w Krakowie.

– A państwo dobrze się bawiliście? – spytała nagle Ewelina, jakby dopiero przypomniała sobie, z jakiego powodu jestem w Warszawie. – Pani to chyba niechętnie jechała.

Wiedziałam, że muszę im obu jak najogólniej przekazać wiadomość o tym, co wczoraj się stało. Bałam się okropnie o mamę. Ostatnio bywała bardzo krytyczna wobec swej najstarszej wnuczki, ale przecież mocno ją kochała. Spędziła z nią znacznie więcej czasu niż z moimi dziećmi. To ona po przejściu na emeryturę zajmowała się Wiktoria, gdy Zyta wyjeżdżała na dłuższy czas. Nastoletnia Wiktoria wywołała potem kilkakrotnie kłótnię z babcią i ojciec pozwalał jej zostawać w domu samej. On także często wyjeżdżał i prowadzenie firmy pochłaniało go w bardzo dużym stopniu, więc dziewczyna chodziła samopas.

Dla ciężarnej Eweliny wieści o narodzeniu tak nieszczęśliwego

dziecka także nie były pożądane. Nie miałam jednak wyboru i opowiedziałam wczorajszy koszmar. Mama początkowo słuchała przerażona, ale jak się dowiedziała, że Wiktoria żyje i ma się już trochę lepiej, a Krzys powiedział, że dziecko da się zoperować i będzie dobrze, uczepliła się tej myśli i wydawała się nawet niezbyt przybita.

– Jak Krzys tak powiedział, to nie martwmy się na zapas – powiedziała, uśmiechając się do Eweliny. – Dzisiaj medycyna robi cuda.

– Tak, na pewno z dzieckiem i Wiktoria wszystko dobrze się skończy – powtarzała za mamą Ewelina, a ja miałam wrażenie, że jedna przed drugą udaje optymizm i bagatelizuje sprawę.

Wróciłam do domu i natychmiast musiałam przestawić się na myślenie o pracy. W najbliższą niedzielę moja grupa teatralna miała wystawić w kościele współczesne jasełka mojego autorstwa, które przed świętami pokazaliśmy w szkole. Wzbudziły one prawdziwy zachwyt młodzieży i większości moich koleżanek oraz kolegów. Kilka starszych pań szeptało na boku, że są chyba zbyt odważne. Ksiądz Marek, który przyjechał do parafii w odwiedziny i nie zapomniał też o szkole, nie widział w sztuce nic obrazoburczego, a nawet zarekomendował nas proboszczowi. Zrobiliśmy jeszcze kilka prób i dopracowaliśmy wszelkie szczegóły. Byłam bardzo zadowolona z tekstu i z własnych pomysłów reżyserskich, ale najbardziej z odbioru sztuki przez młodzież. Wydawało mi się, że niedzielny występ będzie dużym sukcesem.

Już w trakcie przedstawienia najgrubsza z dewotek rozprawiała coś głośno w pierwszej ławce, nie dając się skupić aktorom i publiczności. Mnóstwo osób, zwłaszcza młodych, zapamiętało klaskanie po zakończeniu spektaklu. Gruby babsztyl wspierany przez dwie inne zniesmaczone kumoszki podszedł do mnie i nie bacząc na miejsce, bezczelnie napluł mi pod nogi.

– Takie rzeczy dzieciom w szkole kazać grać?! Skandal i zgorzenie! – krzyczała baba. – Mojej wnuczce kazać grać zgwałconą i w ciąży?! A pytała pani rodziców, czy na to pozwolą?

– To pewno o swojej córeczce pisała! – krzyknęła druga baba. – Tylko córeczce pozwolili się pozbyć bachora, a tu dzieci uczą, jak to pięknie i że trzeba rodzić. Zakłamane wielkie państwo.

– A proboszcz Boga się nie bał, żeby takie coś ludziom i nawet małym dzieciom w kościele pokazywać? – Trzecie babsko rzuciło w kierunku zdążającego ku mnie proboszcza.

Proboszcz przerażony tą napaścią, zamiast zgromić babę, zaczął

się mitygować.

– Ja właściwie tego wcześniej nie znałem. Ksiądz Marek tak mi zarekomendował. Trochę odważnie, trochę może za odważnie, ale przecież zgorzenia żadnego nie było, przesłanie jest bardzo humanitarne. Trzeba nam, chrześcijanom, bronić każdego życia poczętego...

– No to było bronić! A córce to załatwili skrobankę. Ksiądz nawet nie wie? Nie wypowiedziała się?

– Dość tego! – krzyknął proboszcz i spłoszony popatrzył na mnie bezradnie. Ale że baba bezceremonialnie wkroczyła na teren tajemnicy spowiedzi i gotowa była gnać dalej, dodał jeszcze podniesionym głosem: – Proszę nie robić jarmarku ze świątyni! Ma pani jakieś skargi, to proszę przyjść jutro do kancelarii, a teraz przeproszę panię, bo spieszę się do chorego. – Skłonił się i zdezerterował, a ja wołana przez uczniów pakujących dekoracje i kostiumy weszłam do zakrystii, gdzie ksiądz Marek pomagał aktorom i chwalił ich grę.

Byłam załamana. Nie chodziło mi nawet o przedstawienie ani o mnie samą, ale nie wiedziałam, jak mogłabym zdjąć z mojej córki te niesprawiedliwe posądzenia. A właściwie moje przygnębienie pochodziło stąd, iż zdawałam sobie sprawę, że nie zapobiegnę rozprzestrzenianiu się plotki. Nie uda się już udowodnić prawdy. Komu i w jaki sposób miałabym tłumaczyć?

Kontakty Dominiki z ludźmi z naszej gminy były na szczęście zupełnie sporadyczne, więc niezbyt długo zaprzętała sobie głowę tym, że matka Damiana na przystanku autobusowym stworzyła sytuację, która stała się pożywką dla miejscowych plotkarek. O incydencie po przedstawieniu nic jej nie powiedziałam. O całym zajściu od księdza Marka dowiedział się Patryk, ale sam rozumiał, że nie możemy mówić o tym Dominice i że właściwie nic w tej kwestii nie możemy zrobić. Będą gadać tak długo, aż wybuchnie inny skandal, który naszą aferę przyćmi.

W szkole kończył się semestr i roboty było od groma. Niektórzy rodzice zaczęli się gwałtownie interesować postępami swoich pociech, a inni tradycyjnie mieli to gdzieś. Jedni i drudzy są dla mnie jednakowo wkurzający. Ambitni nękają nauczyciela, żeby podciągnął dziecku stopień, bo im się wydaje, że ich potomek powinien być prymusem, dlatego że jest krwią z ich krwi i kością z kości. Stosują wiele różnych metod nacisku, od błagania począwszy, a na groźbach i szantażu skończywszy. Dzieci tych drugich są notorycznie zagrożone jedynkami. Takim uczniom trochę wcześniej

można by jeszcze jakoś pomóc, skierować na badanie do poradni. Trzeba jednak zgody rodziców. Przydatna byłaby też rozmowa o trudnościach i warunkach dziecka, żeby zrozumieć, co leży u podstaw jego kompletnej negacji świata i siebie samego, ale nie ma z kim rozmawiać.

Nienawidzę swojej pracy właśnie podczas wystawiania ocen, kiedy muszę tak różne zdolności i wielomiesięczny wysiłek lub leniuchowanie zamykać w mało mówiącym dostatecznym lub miernym. Przeżywam potworne rozterki, czy aby nie krzywdzę kogoś cichego i nieśmiałego, nie nagrodzę lenia, który zeruje na innych, czy nie dałam się zrobić w konia i nie postawiłam piątki za prace ściągnięte z Internetu i tak dalej, i tak dalej. Wszystkich mi żal i chciałabym być sroga dla ich dobra.

Z dwójki uczniów indywidualnych jestem bardzo zadowolona. Jurek okazał się inteligentnym, uroczym i dowcipnym chłopcem. Jestem dumna z jego postępów, ale mam też świadomość, że nie nadrobił jeszcze tych wszystkich lat, kiedy to łobuzował, zamiast się uczyć, a potem ciężko zachorował. Dorcia, mój wesoły, kochany mapet, nie robi raczej widocznych postępów, bo pamięć ma słabą i choć ewidentnie rozumie, co do niej mówię, i wykonuje poprawnie jednego dnia ćwiczenia, na drugi niewiele z tego pamięta i trzeba zaczynać wszystko od początku. Najbardziej wzrusza mnie oddanie, z jakim jej matka brnie teraz co dzień przez zasy, pchając wózek inwalidzki córki, żeby mogła ona uczestniczyć w zajęciach. Edukacja nie zmieni w żadnym stopniu sytuacji Dorci, ale jest pewnym dobrem, które jej się należy, i ona tego naprawdę nie marnuje.

Wioletta, nasza pierwsza gimnazjalna mamusia, opuszcza się coraz bardziej, czym, nie ukrywam, sprawiła mi zawód. Na lekcjach wciąż próbuje wyciągać mnie na rozmowy o życiu. Trudno jej się dziwić, nie ma matki, koleżanki jej raczej nie odwiedzają, ojciec się do takich rozmów nie nadaje, a z babcią nie chce nawet zaczynać, bo staruszka prawi jej morały. Odkąd narzeczony się wyprowadził, dziecko przestało bawić Wioletkę, a jej zapał do nauki zgasł. Podrzuca malutką coraz częściej babci i biega na dyskoteki. Tęskni nawet za szkołą, ale nie za nauką, jak sądzę.

– Wie pani? – zagadnęła mnie po lekcji, na której na pewno nie myślała o budowie zdania. – Ja to go nie rozumiem. Poszedł do takiej starej. Chyba musiała być bardziej doświadczona i lepiej mu daje.

Byłam porażona szczerością, a jednocześnie wzruszona tym, że dziewczyna traktuje mnie jak powiernicę.

– A w jakim wieku jest ta pani? – postawiłam pytanie w formie, która w odniesieniu do wypowiedzi Wioletki mnie samej wydała się okropnie śmieszna i sztuczna.

– A ja wiem? Chyba ze dwadzieścia pięć – odparła po namyśle.

– No tak to całe dziesięć więcej niż ty – powiedziałam. – Może jest dojrzała umysłowo, mają więcej wspólnych tematów. Faceci też czasem chcą pogadać. Może za bardzo skupiłaś się na fizycznej stronie waszego związku, a seks to nie wszystko – mówiłam, jakbym czytała kącik porad w „Bravo Girl”.

– W pani wieku to na pewno już się o tym nie myśli – stwierdziła okrutnie i na jakiś czas wyleczyła mnie z roli domorosłego doradcy rodzinnego.

Moje własne dzieci znów mnie zaskakują. Patryk poprosił o forsę na korki z fizyki i chemii, a sam wkuwa biologię z książki, którą ostatnio rzuciła w kąć Dominika. Ta dla odmiany wróciła do rysowania i czyta pozostawionego przez Ewelinę Malraux. Trzeba przyznać, że Dominika odziedziczyła po dziadku zdolności plastyczne i nawet szkoda mi było trochę, że traktowała je jako coś zupełnie zbędnego. Córeczka tatusia bowiem już w podstawówce zdecydowała, że pójdzie na medycynę. To jest niesamowite, jak bardzo rządzą nią jednak uczucia. Wydawało nam się, że o nią nie musimy się bać, bo jest rozsądna i wie, czego chce od życia, a tymczasem miota się ostatnio i jest skłonna pod wpływem chwilowego zauroczenia zmieniać swe plany życiowe. Na szczęście jej poczynania mieszczą się jeszcze w granicach normy, nie ma takich odskoków, jakie w jej wieku miewała Wiktoria.

Nowe warszawskie towarzystwo moich dzieci zjechało do nas znowu jakoś tak wkrótce po sylwestrze. Ewelina została jednak w Warszawie, tłumacząc się koniecznością opieki nad babcią (właśnie tak już nazywała moją mamę) i nauki biologii. Trochę się zdziwiłam tą biologią, bo przecież niedawno chciała iść na historię sztuki. Widać jednak, że przestała już myśleć o Łukaszu, którego miałam teraz okazję poznać bliżej i zrozumiałam ją oraz Dominikę, dla czego tak je oczarował. U nich w Mazowieckiem ferie były w tym roku wcześniej, a u nas jeszcze się nie zaczęły, więc pojeźdzali trochę przez weekend z moimi dziećmi na nartach ze stoku i wrócili do domu.

Dominika znów była ożywiona i szczęśliwa. Szkicowała portret Łukasza, rozkładała pod lasem na śniegu sztalugi i malowała przy kilkustopniowym mrozie pejzaże z natury, a on jej towarzyszył i podziwiał. Doradzał, które prace włożyć do teczek kompletowanej

dla komisji egzaminacyjnej. Zdecydowała bowiem, że złoży papiery na ASP, na malarstwo. Patryk chodził trochę smutny i zamyślony. Chyba brak mu było pary. Kiedy parki zajmowały się sobą, on siedział nad książką od biologii. Krzyś, który właśnie przyjechał na ów weekend, fukał niezadowolony, że tyle ludzi kręci się po naszym domu. Miał do mnie pretensje, że nie może odpocząć i odprężyć się. Miał trochę racji.

– Nie mamy jeszcze warunków, żeby podejmować tylu gości. Czynna dopiero jedna łazienka. Czuję się jak na wczasach z FWP za komuny, gdy czekam w kolejce, żeby się załatwić. Mnie to krępuje – zrzędził.

Ja w ogóle ostatnio nie czuję się dobrze psychicznie ani fizycznie i nie marudzę – pomyślałam. Ta zima chyba mnie wykończy. Do palenia w piecu już jakoś się wdrożyłam, to teraz doszło mi jeszcze odśnieżanie. Szymek Kita proponował pomoc, ale to dla mnie niezręczna sytuacja, korzystać z usług ucznia. Jedni by gadali, że wykorzystuję biedne dziecko, a inni mogliby mi zarzucić, że faworyzuję go w szkole, gdyż pomaga mi w pracach gospodarskich, więc wolę nie. Zresztą najgorzej jest zawsze rankiem, kiedy chłopa nie ma już w domu, bo musi wcześniej wyjść na przystanek, żeby zabrał go gimbus. Jeśli śnieg jest świeży i suchy, odśnieżanie nie stanowi problemu, ale jak tylko zaczyna się odwilż i śnieg staje się ciężki i mokry, mam spore trudności z uniesieniem łopaty. Mówiłam Krzyškowi, że przydałaby się taka niewielka maszyna do odśnieżania, ale mój mąż kompletnie to zignorował.

– Nie żartuj! Mamy przecież globalne ocieplenie i śnieg nie będzie długo leżał – stwierdził mój domowy meteorolog, który nie dawno przestrzegał mnie, żebym się nie przemęczała. Nie wróciliśmy do tematu.

Mąż, choć dużo lepiej teraz zarabia, zrobił się bardziej oszczędny. Sprawdza skrupulatnie moje wydatki i dyskutuje nad ich celowością. Nie wiem, czy to wiek, czy brak zaufania. Mój szwagier na ogół po rosnących gwałtownie wydatkach żony zaczynał podejrzewać, że Zyta ma kogoś na boku. A ona oczywiście wydawała na poprawienie własnej atrakcyjności. Po mnie takich wydatków nie widać. Może palant myśli sobie, że muszę już sponsorować kochanka? To upokarzające – pomyślałam i zaraz na szczęście włączyła mi się samokontrola i powściągnęłam swoje hitchcocki. Może przesadzam w narzekaniu na męża, ale coś między nami nie gra w sferze fizycznej i duchowej również. Chyba oddaliśmy się od siebie.

Kiedyś, gdy wszystko było jak należy, nie myślałam wiele o seksie. Po prostu był na ogół udany. Nie zastanawiałam się nigdy, czy mógłby być lepszy. Teraz myślę o tym zdecydowanie za dużo i jest coraz gorzej. Nie wiem, co tu jest przyczyną, a co skutkiem. Krzys przyjeżdża, ja jestem spięta, żeby było dobrze, bo zaraz wyjedzie. I nie jest dobrze. Zostaję sama i znów za dużo myślę o tym, że jednak mi tego brak. Czuję ciężar w podbrzuszu, aż chce mi się czasami wyć. Czekam na niego, ale mam milion pretensji i znów jest nie tak. Może powinnam z nim porozmawiać? Gdyby jednak mu bardziej zależało, sam by szukał przyczyny. Przecież musi czuć, że coś nie wychodzi. Miałam problem z akustyką domu, a teraz sam się rozwiązał. Nie trzeba już tłumić okrzyków rozkoszy, bo ich nie ma.

Ciekawe, czy tak, jak uważa Wioletka, mój czas na seks już się skończył, czy też mnie i mężowi przeszkadza rozłąka? A może stanęły między nami osoby trzecie? Na przykład doktor Ania jest teraz zadowolona z mojego męża? A Rafał? Jest nadal w Ameryce, więc raczej za daleko, ale... Ale nasze rozmowy pachną coraz częściej erotyzmem. Takim najrozkoszniejszym, bo najlżejszym, mocno zakamufLOWANYM i młodzieńczym. Oczywiście chodzi mi o młodzieńców i panienki z epoki sprzed rozpowszechnionego przez media, wszechobecnego wyuzdania seksualnego.

Na wszelki wypadek telewizji prawie nie oglądam, kolorowych gazet nie czytam i, wstyd się przyznać, do kina ani do teatru ostatnio też nie chodzę, więc z tej strony pokusy mi nie grożą. Ciało umartwiam i odciwzam codziennym odśnieżaniem, dźwiganiem trocin i od czasu do czasu spaniem w zimnie, gdy nie chce mi się rozpalać pieca. Przez dwa i pół tygodnia niewiele mi te praktyki pomagają, a w trzecim, gdy zaczynam się szykować na przyjęcie męża, właśnie mój organizm zaskakuje i jestem jak wygasły wulkan. A potem wszystko zaczyna się od początku.

Dzień mamy już wyraźnie dłuższy, słońce mocniej przygrzewa. Może więc z wiosną coś zmieni się w moim życiu, przynajmniej rozkład dnia. Słońce rozgrzewa zmarzlinę na dachu i niebezpiecznie jest chodzić w pobliżu budynków, bo spadają sopele. Wczoraj dostałam pod garażem potężnie w głowę taką ostro zakończoną bryłą lodu. Czapka ochroniła moją skórę przed rozcięciem, ale pociemniało mi zdrowo w oczach i guza mam ogromnego. Może dlatego wypisuję te wszystkie rzeczy o seksie, choć z natury jestem skromną dziewczyną. No właśnie, dziewczyną, a czas uświadomić sobie że przekroczyłam już dość dawno czterdziestkę. Wiosną życia

mam już za sobą, ale może wkrótce doczekam wiosny astronomicznej, która wybawi mnie z kieratu zimowych zajęć.

Dzieciaki szykują się na studniówkę. Ewelina nawet o niej nie wspomniała. Dominika chciała, żeby ciocia wykombinowała jej jakąś odlotową kreację, ale Zyta teraz żyje już w innym świecie. Na razie jest na zwolnieniu, lecz zdecydowała już, że przechodzi na emeryturę. Wiktoria nadspodziewanie szybko doszła do zdrowia i jest już od dawna z dzieckiem w domu. Nie interesuje się w ogóle małym. Wszyscy baliśmy się jej reakcji na widok ciała jej potomka, a tymczasem spłynęło to po niej jak ślina po kryształ. Nawet nie rozpatruje możliwości załatwiania operacji za granicą czy w kraju, gdyż uważa, że natury nie należy poprawiać.

– Gdyby nie interwencja medycyny, to dziecko nie miałoby szans na przeżycie. Natura sama eliminuje takie przypadki – powiedziała mi z wyrzutem.

– Gdyby nie wujek, natura przy okazji wyeliminowałaby ciebie – odparłam, ale to nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia.

– Pan Bóg cię zachował, bo wysłuchał moich modlitw i ma pewnie wobec ciebie jakieś swoje plany – włączyła się do rozmowy Zyta, która teraz razem z mężem przeżywa fazę wzmożonej pobożności, czym jeszcze bardziej irytuje córkę.

– Dajcie na razie spokój ideologicznym dysputom i zastanówcie się, co zrobić z dzieckiem – starałam się obie skłonić do konstruktywnych działań. – Krzysz robił rozeznanie w Anglii i raczej nie poleca. Uważa, że lepiej już u nas. Chociaż, jakby można było w Stanach...

– Najpierw trzeba dziecko ochrzcić i może nawet sprowadzić egzorcystę – przerwała mi Zyta.

– Ojej, po co tyle zachodu? Przynieś wiadro święconej wody, wykapiemy ten, według ciebie, czarci pomiot i albo mu te dodatkowe kończyny odlecą, albo cały odleci do piekła. – Wiktoria zaśmiała się złowrogo, aż mi dreszcz przeszedł po plecach.

Może ona naprawdę jest opętana, a już na pewno obłąkana – pomyślałam. Nie ma w niej żadnych uczuć. A Zyta niepotrzebnie ją teraz drażni.

W ciągu kilku tygodni moja siostra wraz z mężem odwiedziła wszystkie znaczniejsze sanktuaria maryjne w Polsce, a teraz zapisali się już na pielgrzymki do Lourdes i Fatimy, gdzie zamierzają zabrać nieszczęsne dziecko.

– Traciecie czas i pieniądze, które będą potrzebne na operację i rehabilitację – powiedziałam oschle.

– Ty też jesteś taka jak Wiktoria?! – Siostra spojrzała na mnie z błyskiem fanatyzmu w oku.

– Nie neguję wartości modlitwy, ale operacja jest niezbędna, i to jak najszybciej – odrzekłam, patrząc z niepokojem na nieszczęsnego malucha, który buzię miał słodką, ale leżał w łóżeczku w nienaturalnej pozycji, gdyż przeszkadzały mu w leżeniu na wznak właśnie pozostałości po zaabsorbowanym bracie bliźniaku.

Po tej wizycie w Warszawie wróciłam do domu wstrząśnięta i postanowiłam o wszystkim napisać pani Józi, której zięć był w końcu lekarzem w Stanach, więc może mógłby nam pomóc.

Najbliższe dwa tygodnie spędziłam w domu zupełnie sama. Dzieci zostały u babci na całe ferie. U nas właśnie stopniały śniegi, więc nie było sportowych atrakcji, a w Warszawie młodzi chcieli nadrobić zaległości kulturalne i pouczyć się do matury z rówieśnikami z jednej z najlepszych szkół w stolicy. Tak przynajmniej mnie bajerowali. Dominika z Łukaszem mogli połączyć randki ze zwiedzaniem muzeów. A znów Patryk i Ewelina wkuwali te same przedmioty, bo Ewelina wybrała studia pielęgniarские, Patryk zaś mówił ostatnio, że chciałby zostać ratownikiem medycznym. O swoich nowych wyborach życiowych nasze pociechy ledwie coś tam do mnie bąknęły, a ja zaraz o tym poinformowałam Krzysia. Dobrze, że rozmowa prowadzona była za pośrednictwem Internetu, bo jako posłańcowi przynoszącemu złe wiadomości ściągłaby mi głowę.

– I co ty na to? – zapytał zaczepnie. – Pewnie się zgodziłaś.

– A cóż ja się mogę zgadzać lub nie – odparłam, wzruszając ramionami. – To ich życie i ich decyzje.

– A tobie jest wszystko jedno? – kontynuował napastliwie.

– Nie jest mi wszystko jedno. Dlaczego tak mówisz? – odparowałam. – Nawet się cieszę, że Patryk wybrał takie studia. Myślę, że jest wrażliwy i potrafi być opanowany, sprawdził się ostatnio w kilku sytuacjach. Powinniśmy się cieszyć, że w ogóle wziął się do książek i chce studiować, bo wcale się na to nie zanościło.

– Tak, ale praca ratownika jest trudna i odpowiedzialna, a z jego odpowiedzialnością to wiemy, jak jest.

– Ja widzę, że coraz lepiej. Nasz syn się naprawdę zmienił.

– Oby – mruknął z powątpiewaniem Krzyś. – Ale Dominice to już całkiem odbiło. Miała być lekarzem, kontynuować tradycje rodzinne.

– Tak też będzie kontynuować tradycje rodzinne, tylko z dru-

giej strony. Mój tata to również jej rodzina, no nie? – powiedziałam zgryźliwie.

– No tak, ale z zawodem lekarza wiąże się prestiż i jakieś stałe dochody, a bohomazy albo jej ktoś kupi, albo nie.

– Z tymi dochodami to sam wiesz, że różnie bywa, zwłaszcza u nas w kraju – odpowiedziałam. – A w imieniu mojego taty dziękuję za uznanie. Zaraz pozdejmuję te bohomazy ze ścian, żebyś nie musiał na nie patrzeć.

Po takiej rozmowie mogłam tylko szybko szukać kontaktu z Rafałem, żeby mu się wyzalić. A on umiejętnie dolewał oliwy do ognia. Chwilami nienawidziłam już mojego męża, chciałam, żeby zostawił mnie i dzieci w spokoju i wiódł swoje nudne, poukładane życie z ambitną i równie uporządkowaną doktor Anią. A ja? Ja padłabym w ramiona cudownego, silnego, porywającego mężczyzny, który był mi od dawna pisany, i zazałabym z nim tak niezemskiej rozkoszy, że mój akustyczny dom trząsłby się w posadach.

27. WIOSNA

To już nie była chwilowa odwilż, szła wiosna. Ciepłe strugi deszczu zmyły brudne resztki śniegu, wypłukały jezdnie z soli i pobudziły do wzrostu żdźbła oziminy. Potem powiał mocny wiatr z południa i zaczęły pęcznieć pąki na drzewach. Koty darły się jak opętane. Nawet moje. Zapomniały chyba, że są wysterylizowane i opuściwszy ciepłe domowe pielesze, w napięciu całe dnie i nocę wyczekiwały przed domem na jakąś miłosną awanturę.

Znów zaczęłam pisać wiersze. Z uczniami ostatnich klas przygotowywałam teraz na podstawie własnych tekstów i muzyki Carlosa Santany spektakl o miłości. Carlosa nie pytałam o zgodę, więc może nawet popełniłam przestępstwo. Uważam jednak, że Santana powinien się cieszyć, iż trafił pod strzechy, jeśli nawet nic na tym nie zarobił. Udało mi się zebrać grupkę uzdolnionych, wrażliwych osób, z którymi nadawałam na tych samych falach. Lekcje mijały szybko, a potem bieглиśmy na próbę i czas przestawał dla nas istnieć. Powtarzaliśmy bez zmęczenia i zniechęcenia po wielokroć te same partie, żeby idealnie zgrać tekst i ruch sceniczny z wibrującą, oszałamiającą muzyką. Po każdej próbie byliśmy w stanie jakiegoś wielkiego podniecenia i uduchowienia. Moi uczniowie mówili o tym wprost. Ja czułam to samo, a może nawet mocniej, bo przecież to moja poezja, moje myśli i słowa nabierały tu ciała, otrzymywały nowe znaczenia i niezwykłą oprawę. Odkrywałam je na nowo, gdy wypowiadała je niskim, ciepłym głosem śliczna szesnastolatka, która powolnym, nieświadomie erotycznym ruchem odgarniała w tył opadającą jej na twarz lawinę ciężkich, lśniących, jasnych włosów. Myślałam wtedy, że ja też miałam niegdyś takie włosy. A kiedy spoglądała znad kartki ogromnymi, jasnymi oczyma, otwierając je szeroko, jakby dziwiła się światu, przywoływałam na pamięć stare zdjęcie, które Rafał zrobił mi na szkolnej zabawie. Ożywały wspomnienia i czułam się szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem. Żal było mi młodości i tego, że nic się już w moim życiu nie zdarzy. Szczęściem było jednak móc tworzyć coś, co dawało radość nie tylko mnie, ale i uczniom.

Nie potrzebowałam wielkiej widowni, nie musiałam mieć prawdziwego teatru i aktorów, aby naprawdę czuć radość tworzenia.

Ta wiejska młodzież ze Swarowic Wielkich była cudownym tworzywem, niezwykłym medium, nadawcą i odbiorcą zarazem, O wszystkim opowiadałam w prawie już codziennych rozmowach Rafałowi i czytałam mu niektóre wiersze, a on miał wystarczająco dużo czasu, żeby słuchać. Mąż w naszych internetowych rozmowach domagał się przede wszystkim konkretów: o dzieciach, większych wydatkach i różnych problemach. Trzeba było się streszczać, bo nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy urwie nam się połączenie lub jego wezwą do jakiegoś pacjenta.

Od niedawna w ogóle nasiliły się moje kontakty ze Stanami. Prowadziłam teraz ożywioną korespondencję mailową i częste rozmowy telefoniczne nie tylko z Florydą, ale i z Nowym Jorkiem. Na mój list do pani Józi opisujący nieszczęście, jakie dotknęło rodzinę mojej siostry, bardzo sympatycznie zareagowała jej córka. Poprosiła o przesłanie dokumentacji medycznej dziecka i wkrótce po jej dostarczeniu zawiadomiła, że znalazła doskonały szpital i specjalistów, którzy podejmą się serii operacji i jeśli wszystko dobrze pójdzie, dziecko powinno być całkowicie sprawne.

„Nie wolno zbyt długo odkładać operacji, bo z każdym dniem skrzywieniu ulega kręgosłup maleństwa, które z konieczności leży nienaturalnie odchylone – pisała w liście, już po konsultacjach ze specjalistami. – Istnieje jednak pewne niebezpieczeństwo – zaznaczyła uczciwie. – Trzeba bowiem będzie na pewnym odcinku rozdzielić dwa kręgosłupy. Może się więc zdarzyć, że dojdzie do uszkodzenia rdzenia kręgowego i malec będzie skazany na wózek inwalidzki. Jest to jednak nieporównanie mniejsze kalectwo niż dźwiganie na sobie przez całe życie fragmentów brata – stwierdziła słusznie. – Po świętach wielkanocnych matka z małym powinna przyjechać do nas do Nowego Jorku, aby dokonać szczegółowych badań i ustaleń” – kończyła rzeczowo pani Zatoń. Bardzo sympatycznym gestem z jej strony było zaofiarowanie wszelkiej pomocy, łącznie z finansową, i gościny w swoim domu.

Zyta i Kazio nie posiadali się ze szczęścia. Wiktoria nie wykażała żadnego zainteresowania. Zyta miała ważną wizę, bo niedawno jeździła służbowo do Stanów. Kazio załatwił także wizę dla Wiktorii, której nie robiono żadnych trudności. Dziecko zostało pośpiesznie ochrzczone w zwykły dzień i w obecności tylko naszej rodziny. Otrzymało nareszcie chrześcijańskie imię Paweł, bo dotąd Wiktoria zwracała się do niego Zen i tak też kazała go nazywać. Chrzestnymi rodzicami zostali Dominika i Patryk. Wiktoria nie pofatygowała się do kościoła, a kiedy wróciliśmy, nie było jej ani jej rzeczy w domu.

Na stole leżał krótki i niezbyt zrozumiały dla nas list następującej treści: „Odebraliście mi Zen i chcecie go wywieść na Zachód, ale ja podążę w poszukiwaniu prawdziwego Zen na Wschód, który jest ojczyzną mądrości. Wika”.

Zyta dostała gwałtownych bólów żołądka. Próbowaliśmy z mamą leczyć ją domowymi sposobami, typu ziółka i kropelki, ale ból się tylko wzmacniał. Krzysia nie było z nami i pewnie byśmy ją wykończyły, bo zaczęła już skarżyć się na mroczki przed oczyma, gdyby nie Patryk. On pierwszy pomyślał, że to może być serce, i wezwaliśmy karetkę. Zanim przyjechała, moja siostra straciła już z nami kontakt i znów przydało się ratownicze doświadczenie Patryka. Okazało się, że Zyta miała rozległy zawał.

Wszystko znów się okropnie skomplikowało. Do dziecka Kazio załatwił pielęgniarkę. Sam spędzał dziennie wiele godzin przy żonie, modląc się żarliwie. Był wyjątkowo czuły i widać było, jak bardzo ją kocha. Zbliżał się termin wyjazdu do Ameryki i nie wiedzieliśmy, kto ma jechać z Pawełkiem w roli opiekuna. Rafał, z którym rozmawiałam również o tych sprawach, namawiał mnie.

– Weź w szkole urlop dla poratowania zdrowia. Mąż ma jakichś znajomych lekarzy, to ci załatwi. Zrobisz dobry uczynek, a przy okazji się spotkamy. Wsiądę w samolot i przylecę do Nowego Jorku. Przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzał – szeptał do słuchawki kuszącym, słodkim głosem.

W pierwszym odruchu już chciałam coś takiego zaproponować siostrze i szwagrowi, ale się opamiętałam. Mam przecież swoje obowiązki, dzieci w maturalnej klasie, męża, który przyjeżdża do Polski tylko raz na trzy tygodnie i trzeba go wyszykować na następny okres pobytu na obczyźnie. Są jeszcze psy i koty oraz niewykończony dom. Załatwianie lewych zwolnień i zaświadczeń byłoby także dla Krzysia traumatycznym przeżyciem, gdyż brzydził się nieuczciwością i jak mógł unikał przez całe życie takich sytuacji. Nie, nie mogę, nie powinnam, nie pojadę. Nie mam zresztą wizy i nie wiadomo, jak długo musiałabym na nią czekać.

Z pomocą w tej, zdawałoby się, beznadziejnej sytuacji przyszła znów pani Zatoniowa, którą musiałam w końcu wtajemniczyć, jaką to fiśniętą matkę ma biedny Pawełek. Ta cudowna kobieta zaproponowała, że sama przyjedzie po Pawełka i zajmie się nim jak swoim, a siostra, jak wydobrzeje całkowicie, przyjedzie po dziecko. Czuliśmy się trochę skrupowani dobrocią tej obcej, bądź co bądź, osoby, ale przyjęliśmy jej gest z wdzięcznością i mały poleciał w swą wielką podróż życia z panią, którą pierwszy raz zobaczył na

oczy. Widać było, że zaakceptował ją od razu. Pani Zatoniowa szczebiotała do niego i nie wypuszczała go z ramion od pierwszej chwili, gdy tylko słaba jeszcze Zyta pokazała jej naszego „pajączka”.

Przed świętami mieliśmy jeszcze jedną niesamowitą szopkę w rodzinie. Do domu wróciła niespodziewanie matka Eweliny. Wysiadła w nocy przed swoim domem z busa, który ją tam wyrzucił po drodze na dworzec. Miała klucze, więc weszła po cichu do mieszkania i omal nie padła, zobaczywszy w swoim łóżku i na kanapie śpiących dwoje obcych nastolatków. Szukała córki, lecz jej nie znalazła. Chciała już dzwonić na policję, ale moje przebudzone dzieci wytłumaczyły, co robią w jej domu. Okazało się, że Ewelina nigdy nie pytała ją o zgodę na zamieszkanie z przyjaciółmi. Powoli kobieta skojarzyła Dominikę i Patryka, których raz widziała, ale wiele o nich słyszała, więc zrozumiała, że z mieszkaniem nic się nie dzieje. Nie mogła tylko pojąć, dlaczego córka wyniosła się do Warszawy i tam ponoć kontynuuje edukację. Zadzwoiła do Eweliny na komórkę. Ta, wybudzona gwałtownie, próbowała mętnie się tłumaczyć i uspokajać, lecz matka podejrzewała najróżniejsze rzeczy i żądała, aby córka stawiała się jak najszybciej przed nią. Ewelina powiedziała, iż pisze dziś próbną maturę i absolutnie nie może. Do ostatniej chwili szła w zaparte i wmawiała matce, że w Warszawie uczy się w nagrodę za znakomite wyniki, ale ta nie dała jej wiary. Dziewczyna miała jeszcze nadzieję, że może matka przyjechała tylko na krótko i nie będzie jej się chciało jechać i szukać córki w Warszawie. Zaproponowała więc, żeby mama skontaktowała się ze mną, bo ja się nią opiekuję. W ten sposób wpadłam w sam środek szamba.

Do mnie było stosunkowo blisko, więc rankiem, jeszcze przed pracą, musiałam odbyć z rozsierdzoną kobietą nieprzyjemną rozmowę. Dzieci uprzedziły mnie telefonicznie, żebym miała chwilę na zastanowienie, co jej powiedzieć. Ja z kolei zadzwoniłam do Eweliny, żeby wiedziała, że powiem prawdę, nie wdając się w niewygodne dla niej szczegóły.

Matka Eweliny była niewysoką, fertyczną kobietką o dużym biuście i wyraźnie zarysowanych biodrach. Twarz miała, jak na swój wiek, dość zniszczoną i bardzo pospolite rysy. Pewnie pali dużo papierosów – pomyślałam, patrząc na nią. Ubrana była jednak bardzo młodzieżowo, a wymalowana wyzywająco. Z miejsca ostro mnie zaatakowała.

– Co pani ma do mojej córki?! – krzyknęła od progu. – Jakim

prawem przeniosła ją pani do innej szkoły, do innego miasta?! Jak taka dobra szkoła, to dlaczego pani dzieci zostały w Kielcach?! Ja się prawdy dowiem. Ale jak wykorzystaliście mi dziecko, to... To po was! Jak sądy was uniewinnią, to ja się sama z wami rozprawię! – wygrażała gromkim głosem.

– Proszę wejść, usiąść i posłuchać – zaczęłam spokojnie, ale głos trząśł mi się z emocji. – Nie wiem, dlaczego Ewelina nie potrafi być z panią szczerą, ale zawsze namawiałam ją, żeby porozmawiała i wszystko wyjaśniła. My tylko staraliśmy się jej pomóc, gdy była bardzo zdesperowana i gotowa na każde głupstwo. Może nawet próbowałabym się z panią skontaktować, ale córka nie dała nam pani adresu ani telefonu. Ewelinka zaszła w ciążę z...

– Co, nie chcieliście, żeby się ożenił?! – krzyknęła, sądząc chyba, że sprawcą ciąży jest mój Patryk, a ona już uchwyciła nasze nieczne intencje. – Ukryliście dziewczynę?! –

– Niech pani posłucha do końca – wróciłam do przerwanego wątku i mimo kilku jeszcze gwałtownych jej wtrąceń dotarłam ogólnie do końca historii.

– Jak to, nie pani z tym nie ma wspólnego? – zapytała z niedowierzaniem. – To po co pani to wszystko?... Dziewucha by do mnie przyjechała, powrzeszczałabym, ale dzieciaka by się usunęło w szpitalu, legalnie, i po krzyku.

O, jak to dobrze, że ci, babo, córka nie chciała zaufać. Pan Bóg czuwał nad nią i jej dzieckiem – pomyślałam.

– Nie znałam pani stosunku do aborcji, której ja i mąż jesteśmy zdecydowanie przeciwni. Ewelinka postanowiła urodzić dziecko i oddać je komuś do adopcji, ale rodzice jej zmarłego chłopaka chcą wychować wnuczka jako swoje dziecko. To jeszcze stosunkowo młodzi ludzie i Ewelinie jest to na rękę.

– A ile to już miesięcy? Czy jeszcze można się pozbyć? – zapytała, myśląc cały czas tylko o jednym, a ja poczułam do niej straszliwą odrazę.

– Nie, już nie. Za trochę więcej niż miesiąc Ewelina ma termin, będzie rodzić – odparłam oschle, tłumiąc w sobie chęć wyrażenia odpowiedniego komentarza.

– To szkoda, że tak późno się dowiedziałam. To szkoda – powtarzała. – Ale w Kielcach nikt jej nie widział z brzuchem? Co powiedziała w szkole, jak się przenosiła?

– Nie, w Kielcach nikt nic nie wie. W szkole nie musiała nic mówić. Po prostu nie przyszła któregoś dnia, a potem liceum w Warszawie, gdzie zaczęła chodzić, wystąpiło o jej dokumenty.

– Ale że ją tam tak bez niczego przyjęli. Musieliście coś posmarować? Za to dziecko wam zapłacą? A jej też?

– Dziadkowie mieliby płacić za to, że wychowają własnego wnuczka? Pani mnie obraża. Nie handluję dziećmi. Mogę panią skontaktować z dziadkami dziecka. Tylko proszę z nimi delikatnie rozmawiać, jeśli pani wie, co to znaczy, bo ci ludzie przeżyli straszną tragedię, stracili jedyne syna.

Kobieta chwilę się zastanowiła. Oczka latały jej nerwowo po całym pokoju. Ja też niecierpliwie oczekiwałam jej decyzji, gdyż powinnam już dziesięć minut temu wyjść do pracy. Wreszcie poderwała się i powiedziała:

– Nie, nie potrzeba. Jeszcze nie wiadomo, czy im tego dziecka tak łatwo oddamy. A teraz, zaraz jadę do córki i jak dziś wieczorem wrócę, chcę mieć wolne mieszkanie.

– Dobrze, oczywiście. Mam tylko jedną prośbę, żeby pani nie awanturowała się w obecności mojej mamy, u której Ewelina mieszka, bo to wrażliwa staruszka i bardzo pokochała pani córkę.

– Ja się nie awanturuję – odparła oburzona. – Wezmę dziewczynę i jadę z nią do Niemiec. Dobrze, że jej jeszcze miesiąc został, to się zdąży znaleźć nie takich rodziców, jak te wsiowe dziadki.

– Ale pani córka ma nadzieję, że zdąży zdać maturę i chciałaby iść na studia pielęgniarskie.

– Matura nie zając... Może zdawać później. Ja matury wcale nie mam i nie najgorzej sobie w życiu radzę. A studia to nie takie tam, żeby całe życie koło innych latać za marne parę groszy. Będzie ją stać na najlepsze. To daj, pani, ten adres. Jadę – zdecydowała.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie sceny odbywały się w Warszawie. Mama próbowała mi to powtórzyć, ale nie bardzo mogła zrozumieć, dlaczego matce Eweliny tak zależy na wywiezieniu córki w tym stanie za granicę. Nasza babcia, na szczęście, nie we wszystkim podąża za współczesnym światem. Gdyby zrozumiała intencje tej kobiety, na pewno wyrzuciłaby ją z domu, a może nawet zawiadomiła policję. Ewelina odmówiła wyjazdu z matką gdziekolwiek. Kiedy ta obrzuciła ją stekiem wyzwisk, dziewczyna przyznała jej rację. Potwierdziła słowa matki, że jest i była od najmłodszych lat podłą, małą dziwką. Dodała, iż zawdzięcza to właśnie matce i jej wychowaniu, bo w ich domu liczyły się tylko pieniądze, nieważne, jak zdobyte.

– Chwaliłaś mnie, gdy okazywałam się sprytniejsza od innych, mogłam kłamać i oszukiwać w szkole, byle mi się to opłacało, a ty zawsze potwierdziłaś moją wersję – oskarżała Ewelina. –

Oklamywałaś ojca i mnie w to wciągałaś. Zostawiłaś mnie samą, zanim skończyłam czternaście lat, i cieszyłaś się, że tak dobrze sobie ze wszystkim radzę. A wiesz, dlaczego sąsiad z dołu tak chętnie mi pomagał? Nie udawaj, że nie wiesz. Do ciebie też wcześniej przyłąził. Mam opowiadać więcej?

Mama zapamiętała bardzo dokładnie tę dramatyczną wypowiedź Eweliny i przytoczyła mi ją przerażona, ale i pełna współczucia dla swej młodej opiekunki. Powiedziała też, że Ewelinka w bardzo ładny sposób wyrażała się o nas.

– Teraz poznałam innych ludzi i inne podejście do życia. Zrobiłam okropne świństwo przyjaciółce, a oni mnie nie odrzucili, oni mnie przygarnęli. Ich nawet obchodzi los mojego dziecka, które dla mnie samej było na początku tylko wstrętnym obcym zagnieżdżonym w moim brzuchu.

– Jesteś niewdzięczną suką, ale kiedyś zrozumiesz, że wszystko, co robię, robię dla ciebie. I twój bachor też mnie obchodzi! I to ja chcę dla ciebie dobrze! – wykrzykiwała ponoć matka.

– Jak chcesz dla mnie dobrze, to zniknij z mojego życia – zakończyła Ewelina i zamknęła się w łazience.

Moja mama postąpiła bardzo mądrze, że nie dyskutowała z rozsiedzoną kobietą, tylko rozłożyła bezradnie ręce i delikatnie skierowała ją do drzwi. Na odchodne matka Eweliny krzyknęła jeszcze do szlochającej w łazience córki:

– Jak żeś taka mądra i dobra, to radź sobie sama! Jeszcze przyjdzie koza do wozu! A mieszkania w Kielcach już nie masz, wynajmę je przed wyjazdem!

No i spadł mi na głowę zniecka kłopot, bo musiałam ewakuować, jak to mówią medycy, na cito dzieciaki z Kielc. Nie opłacało się już dla nich wynajmować żadnego lokum. Zgodziliśmy się, że będą dojeżdżać. Autobusy najczęściej im nie pasowały, bo pozapisywali się na różne kursy przygotowawcze i konsultacje, więc teraz oni na ogół brali samochód. A ja, czy słońce, czy deszcz i śłota, zasuwałam do szkoły i do sklepów na rowerku. Dla mojej domniemanej wieńcówki to bardzo dobrze, dla figury też, ale dla mego wizerunku jako poważnej nauczycielki – niestety nie. Mówi się trudno i lata z potarganym włosiem, w zredukowanym do minimum makijażu i w bardzo sportowym stroju po szkole. Nawet fajnie. Uczniowie stwierdzili, że odmłodniałam. Czasem mnie wyprzedzali na swoich motorkach, machając z satysfakcją. Właściwie żaden problem.

Problem to miała z całą pewnością Ewelina. Matka nękała ją

telefonami. Próbowala jeszcze grózb i prósb, ale dziewczyna była twarda. W końcu w którejś rozmowie powiedziała matce, że nie odda tego dziecka nikomu i wychowa je sama na porządnego człowieka. A dziadkowie będą mieli prawo widywać wnuka i cieszyć się nim, ale tylko jako dziadkowie, bo jej dziecko ma matkę. Babcia, rzecz jasna, zaraz przekablowała nam słowa Eweliny i wszyscy nabraliśmy nadziei, że dziewczyna nie tylko tak mówi, ale myśli i czuje. Najbardziej tą zmianą decyzji ekscytował się Patryk, który nieustannie poruszał ze mną temat Eweliny, podkreślając jej dzielność i cudowną transformację. Wcale mnie tak bardzo to nie cieszyło, choć kibicowałam dziewczynie.

Pąki już na drzewach popękały i małe, zieloniutki, lepkie Ustki wypuszczały się na świat. Na horyzoncie pojaśniał las, a w trawie już pojawiły się żółte kwiatki. Przybywało dnia i oznak wiosny, chociaż temperatury nie były jeszcze zbyt zachęcające. Czułam wiosnę całą sobą i chciałam się nią cieszyć z najbliższymi, ale szczerze mówiąc, nie miałam z kim. Dzieci niby sprowadziły się do domu, a prawie w nim nie bywały. W weekendy wyjeżdżały do Warszawy, bo nagle okazało się, że bez stolicy nie można przygotować się do matury i na studia. Dominika miała już wstępne rozmowy na Akademii za sobą i teczkę jej oceniono pozytywnie. Kuła razem z Łukaszem teorię. Nie miałam nic przeciwko, bo choć żal było mi Tomka, Łukasz jest w porzo, jak ostatnio mówi moja mama. Patryk znów był przedmiotem mojej troski. Grzązał w sytuacji, która mogła go przerosnąć. Niby nie przyznawał się do uczuć innych niż przyjaźń wobec Eweliny, ale serca matki się nie zwiedzie tak łatwo. Planował z nią pokrewne studia i wyjazd po studiach na misje, gdzie ich medyczne przygotowanie będzie bezcenne. Jego plany były tyleż szlachetne, co romantyczne i dziecinne. Miło było tego słuchać, ale zawsze pozostawało właśnie jakieś ale.

– Wiesz, że jeszcze niedawno wybierałem się do seminarium? – powiedział któregoś dnia. – Dużo rozmawiałem z księdzem Markiem i doszliśmy do wniosku, że krytyka Kościoła z zewnątrz lub pomijanie go w kontaktach z Bogiem prowadzi donikąd. Trzeba zmieniać go od środka i tak właśnie mieliśmy robić. Byłem z nim nawet w seminarium i po tym, co zobaczyłem, doszedłem do wniosku, że nie odpowiada mi takie życie. Przecież nie muszę wyrzekać się miłości i rodziny, żeby robić coś dobrego dla innych. Myślę, że ukochana osoba może być wsparciem. Nie umiałbym wytrwać w celibacie. – „Nie należy gwałtu przyrodzeniu czynić” – zacytował. – A życie w zakłamaniu też mi nie odpowiada. Chcę mieć dzieci i

patrzeć, jak rosną. To też jest wartość, no nie?

Byłam w szoku. A ja, zrozumiała, myślałam, że wiem coś o swoich dzieciach. Kiedy on zdążył tyle przemyśleć, tak spoważnieć? Czułam się przy nim jak głupi nastolatek. Chociaż ten jego nowy zapał do stworzenia rodziny, który zapłonął pod wpływem zbliżającego się rozwiązania Eweliny, był może także dziecinadą. Chciał być wobec niej opiekuńczy, dobry i szlachetny, a jednocześnie myślał o wyjeździe do Afryki i pomocy ludziom chorym na AIDS. Czy to się da pogodzić? Jak życie będzie weryfikować te jego ideały? Wciąż lękałam się o niego.

Byłam więc samotna, tym bardziej że mąż nie umiał już wsłuchiwać się w moje opowieści o zmianach uczuć i nastrojów moich i dzieci. Kiedy żaliłam się na to, jak potraktowała mnie matka Eweliny, zostałam jeszcze połajana, że dobrze mi tak, bo ciągle zajmuję się różnymi ludźmi. A przecież sam na początku angażował się w tę sprawę i uważał, że należało ratować to dziecko. Od wielu tygodni nie przeszło mi przez gardło wyznanie, że go kocham i bardzo tęsknię. Nie byłam tego już taka pewna. Czułam w sobie złość, a jednocześnie i fizyczne pożądanie, które stawało się coraz bardziej bezosobowe. Nie chciałam przyznać się do tego mężowi, gdyż nabrałam pewności, że zdradza mnie z Anią, a myśl o tym działała na mnie jak afrodyzjak. Zadziwiało mnie to wszystko, co w sobie odkrywałam, i zawstydzalo, zwłaszcza w zetknięciu ze wzniosłością Patolowych zwierzeń.

A przyroda dodawała do pieca. Koty w kwietniu trochę się opamiętały, to znów przyszła pora na psy. Moje szczeniaki nie były już szczeniakami. Odkryłam to któregoś cieplejszego nieco wieczora. Gdy znów dopiekła mi samotność, wyjadłam w domu wszystkie owoce cytrusowe, słodczyce, a następnie zabrałam się do pałaszowania suszonych śliwek. Niestety coraz częściej zdarzały mi się takie napady. Wkrótce w moim brzuchu jakby wszystko ożyło. Śliwki zasuwały w nim jak erka na sygnale, a słodczyce podchodziły mi do gardła. Zdesperowana chwyciłam nieodcedzoną jeszcze nalewkę na owocach orzecha i wyskoczyłam z nią na werandę, aby owiało mnie świeże powietrze. Nie wzięłam nawet w pośpiechu kieliszka, łałam gorzkie i mocne antidotum na wszelkie żołądkowe niedomogi wprost do gardła, wypluwając zmacerowane kawałki orzechów.

Na rezultat nie musiałam długo czekać. Najpierw wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia, a następnie poczułam ogarniającą mnie błogość i ulgę w cierpieniu. Pociągnęłam raz jeszcze i, nie

wzdrygając się już w ogóle, trzeci raz. Było mi ciepło i świat dookoła wydał mi się cudowny. Zapałam nagłą potrzebą przytulenia do siebie moich cudownych berneńczyków. Wówczas spostrzegłam, że Eros obskakuje swoją partnerkę z wyraźnym zamiarem seksualnym.

Był to nieomylny znak, iż nasza szalona, mała Psyche dojrzała – dostała pierwszą w życiu cieczkę. Obawiałam się, że mogę przeoczyć ten fakt, ale Amor bezbłędnie wyczuł hormonalne zmiany u swojej partnerki, choć to dla niego również nowość. Suka chyba zaczęła dopiero krwawić i miała jeszcze trochę czasu do owulacji, więc nie była jeszcze skłonna. Wiedziałam, że nie powinnam dopuścić do jej zapłodnienia, gdyż w tej chwili jej wzrost i rozwój nie był jeszcze zakończony. Wyczytałam to w książkach pisanych przez uczonych hodowców. Należało więc pomyśleć o odizolowaniu jej od Erosa. Muszę też ten doniosły fakt odnotować w kalendarzu – pomyślałam i chciałam poderwać się ze schodka, na którym przysiadłam, ale okazało się to niemożliwe. W dodatku przypomniałam sobie, że ogrodzenie jest uszkodzone i Eros może mieć tu za chwilę na karku konkurentów. Robiłam wszystko, żeby wstać, lecz podłoże mocno trzymało moje siedzenie. No, pięknie, upiłam się – skonstatowałam zupełnie przytomnie.

Mój pies, choć z rodowodem, piękny, lśniący i doskonale umięśniony, nie może mieć żadnej pewności, iż Psyche w hormonalnym zaćmieniu nie wybierze wstrętnego wiejskiego burka zamiast niego na ojca swych pierworodnych, zwłaszcza że Eros jest do przesady łagodny. Trzeba zamknąć Psyche, zanim dojdzie do bezsensownej zdrady. Energicznie spróbowałam wstać po raz trzeci i bez rezultatu. Znikąd pomocy, jak zwykle sama, choć podobno mam męża i dwoje dorosłych dzieci – biadałam nad własnym losem. Może i lepiej, że mnie nie widzą w tym stanie – pocieszyłam się.

Właściwie obserwowanie Psyche kokietującej i odpychającej partnera było dość ciekawe i pouczające. Zaczepiała go, podpuszczała, ale nie była jeszcze gotowa do kopulacji. On już cały dygotał, a ona miała jeszcze kilka dni do namysłu. Kiedy stawał się zbyt natarczywy, ostrym warknięciem przywoływała go do porządku. Gapiłam się jak, nie przymierzając, zboczeniec na tę psią grę wstępną, którą mój mąż skracał ostatnio do minimum. Nagle zobaczyłam, że z mroku, pobrzękując zerwanym łańcuchem, wyłonił się niewielki, podpalany kundel i bez ceremonii przyłączył się do karesów moich rodowodowych wychowanków. Trzeba przyznać, że z dużym znanstwem zabrał się do uwodzenia suki. Musiał

pachnieć samym testosteronem, bo Psyche stała się wobec niego wyjątkowo uległa. Nie przeszkadzała jej pokraczna fizjonomia przybysza upodabniająca go raczej do ławki niż do psa, jego krzywe, krótkie nogi ani to, że w kudłach miał jeszcze resztki słomy i zapewne całe roje pcheł. Poddawała się jego, nazwijmy to; umi-zgom ochoczo. A jej prawowity małżonek pozbawiony agresji w wyniku sztucznej selekcji dokonanej przez człowieka przyglądał się temu bezradnie, przestępując z łapy na łapę i uprzejmie oczekując swej kolejki. Od czasu do czasu nieśmiało przypominał o swoim istnieniu, ale intruz posyłał mu z głębi trzewi wydobywające się obelżywe warknięcia i dalej obracał mu żonę, bezczelnie na jego i moich oczach.

Tego już mi było za wiele. Zebrałam się w sobie i wyciągnawszy spod siedzenia wycieraczkę, zamachnęłam się nią z całej siły i cisnęłam nią w „ławkowca” oraz niewierną. Pierwszy uciekł oczywiście mój Eros, a zaraz za nim spłoszona nierządnicą. Berneńczyki, choć wielkie i potężne, są straszliwymi tchórzami. Nareszcie udało mi się wstać. Nieco chwiejnym krokiem ruszyłam w kierunku bezczelnego kundla, ale zatrzymał mnie groźny pomruk. Ten typ jeszcze śmiał coś pyskować. Podniosłam z ziemi wycieraczkę i zamachnęłam się na niego ponownie. Psisko wczepiło się w nią zębiskami i zaczęło ją zajadłe szarpać, a kiedy mi ją w końcu wyrwało z osłabionych nalewką rąk, doskoczyło do moich spodni. Wrzasnęłam przerażona i na szczęście na te odgłosy, które oznaczały ewidentny atak na moją osobę, zareagowały moje psy. Nawet Psyche, taka dla przybysza dotąd uprzejma, okazała solidarność w stosunku do własnego stada i wraz z Erosem dała wycisk przybłędzie, tak że uciekał z piskiem.

Ludzka niewdzięczność nie ma granic – myślałam, zamykając w garażu tulącą się do mnie słodką Psyche. Kundel jednak zemścił się na mnie straszliwie, sprowadzając pod moje okna swoich kumpli z najdalszych zakątków naszej, a może i sąsiednich wsi. Gryzły się i ujadły całą noc. Następnego ranka nadeszło jednak wybawienie. Wraz z wiosennymi ptakami pod moją strzechę zawitał Marian z braćmi. Co prawda lecieli oni trochę pod prąd, bo z północy na południe, ale radość wstąpiła w moje serce. Pierwszym ich zadaniem był porządnny kojec dla sukki i naprawa ogrodzenia.

Kundel zrobił mi niewątpliwą przysługę. Poszarpał moje dzinsy, te ze szmaciucha, ze szkiełkami na kieszeniach, których od dawna się wstydziłam, zwłaszcza przy Grażce, ale ciągle je nosiłam. Teraz kupię markowe – przyrzekałam sobie.

Nie w głowie były mi jednak fatalaszki, gdy waliła się stodoła, koparka równała grunt, traktor orał i wałował ziemię pod przyszły trawnik, a ja musiałam wciąż o czymś decydować. Próbowалаm ustalać z Krzysiem, gdzie róże, gdzie drzewa i krzewy ozdobne i czy robić warzywnik i malinowy chruśniak na nowo, ale jego wyraźnie irytowały te ciągłe pytania. O zwaleniu stodoły i rewolucji w przestrzeni wokół domu zadecydowałam sama. Uświadomiłam sobie, że to, co było urokliwe wokół małego, wiejskiego domku pani Józki, przestało pasować do naszego dużego i już tylko stylizowanego na wiejski domu. Stodoła jako element rustykalny tła przestała mnie cieszyć, a stała się zawalidroga zasłaniająca widok. Forsa była mi bardzo potrzebna i czekałam teraz na zasilenie konta chyba bardziej niż na męża. Mąż oprotestowywał każdy mój nowy pomysł. Nigdy nie lubił zbyt dużych zmian. Gdybym go słuchała, roboty by się ślimaczyły jeszcze wiele lat, więc działałam energicznie, wykorzystując zapalę ekipy Mariana do burzenia. Słyszałam tylko, jak mistrzunio z zapalem dawał hasło: „No to dawać chłopcy, wypierdalamy tę budę! Przyjebać tu? O kurwa, ale rozpierducha!”, i pozbawiona wcześniej eternitowego pokrycia ogromna stodoła położyła się jak domek z kart, pociągnięta liną przymocowaną do ursusa.

Mimo oporów mąż musiał przyznać, że „chazajstwo”, jak wcześniej nazywaliśmy naszą siedzibę, zmieniało się w posiadłość, której zaczęli nam zazdrościć nasi znajomi. Teraz porzuciłam „Muratora”, a zaczytywałam się w wydawnictwach typu „Mój Piękny Ogród” i oglądałam Maję w ogrodzie na TVN. Sama projektowałam zieleń w moim otoczeniu, uwzględniając oczywiście zamiłowanie męża do badmintona i planując miejsce na dmuchany basen dla dzieci, a może już bardziej dla przyszłych wnuków. Było to ciekawe doświadczenie, ale również męczące i frustrujące, gdy psotne berneńczyki nocą przynosiły usłużnie pod ganek to, co zasadziłam w ciągu dnia. Wiele moich ambitnych zamierzeń w ten sposób udaremniły.

Prace wykończeniowe w domu też ruszyły pełną parą. Marian wykazywał się tu dużym smakiem i pomysłowością, choć, patrząc na jego dom, trudno byłoby się tego domyślić. Schody i poręcze zrobił tak, że pasowały idealnie do rustykalnych mebli. W końcu sam doszedł do wniosku, że łazienki wyszły nam zbyt nowoczesnie i banalnie i zaczął je drewnianymi i kamiennymi elementami dopasowywać do reszty. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność, tym bardziej że doceniałam efekty jego prac i godziłam się na utrud-

nienia w funkcjonowaniu rodziny. Gorzej było z innymi domownikami. Dzieci utyskiwały, szczególnie rano, gdy śpieszyły się do Kielc. Mąż uważał, że są to fanaberie, które pochłaniają czas i pieniądze. Kiedyś próbowałabym go przekonywać, używając kobiecych sposobów, a teraz obrażałam się, czując się niedoceniona w swych staraniach.

Z zapamięłaniem, samozaparciem i z ogromnym wysiłkiem budowałam naszą siedzibę. Mąż ją tylko finansuje – myślałam, wypierając ze świadomości fakt, że on również się poświęcał. Z natury jest domatorem i z dala od rodziny nie czuł się szczęśliwy. Wyrzekł się także ambicji zawodowych, których nie dało się pogodzić z zatrudnieniem jako RMO. On robił swoje tam za granicą i nie narzekał. Ja posądzałam go o używanie życia i sprzeniewierzenie się przysiędze małżeńskiej. Budowałam, jak mi się zdawało, nasze wspólne marzenie – „pałac pod strzechą”. Nie zauważałam równocześnie, że w gruzy wali się to, co było najważniejsze – nasza miłość, zaufanie i przyjaźń. Bez tego wszystkiego nasze wysiłki nie miały sensu.

Chyba nie chciałam tego zauważyć. Coraz lepiej wrastałam w wiejskie środowisko. Moje kontrowersyjne jasełka rozślawiły mnie w całej gminie. Poetycki spektakl został nagrodzony na przeglądzie wojewódzkim i był pokazywany we wszystkich okolicznych szkołach. Wszędzie podkreślano, że jestem jego autorką i reżyserem. Wójt, chciał nie chciał, musiał mi osobiście gratulować. Strażacy i koło gospodyń zgłosili się do mnie z propozycją poprowadzenia zespołu ludowego. Zaczęto mnie rozpoznawać w swarowickich sklepach, już nie jako żonę byłego dyrektora gminnego ośrodka zdrowia, ale jako miejscową poetkę i nauczycielkę, która chce czegoś więcej, niż tylko nauczyć swych uczniów czytać i pisać.

Ostatnio zdobyłam też popularność jako producent znakomitych napojów wyskokowych wśród miejscowych czerwono noszących opojów spędzających czas na filozoficznych dysputach przed jedynymi w rynku delikatesami. Za podszeptem Mariana zatrudniłam ich do zbierania kamieni przed obsianiem trawą prawie hektarowego obszaru za domem. Pracowali za niewielką stawkę godzinową, lecz koszty były większe, gdyż z piwnicy zniknęło moje aroniowe wino na miodzie, z którym wiązałam wielkie nadzieje. Ale w sumie kamienie z grubsza zostały usunięte, a panowie stworzyli swoisty klub moich wielbicieli. Teraz, gdy parkuję w rynku, przerywają egzystencjalne dyskusje i wstają, elegancko się kłaniając. Zawsze usłyszę jakiś komplement na temat mojej „oszałamiającej” urody i

zapewnienie, że jakbym czegoś potrzebowała, to oni zawsze... Raz tytułują mnie „pani doktor”, innym razem znów „pani profesor”, ale zawsze odnoszą się z galanterią, tym bardziej cenną, że utrzymanie równowagi, zwłaszcza podczas głębokich, pełnych szacunku ukłonów wymaga od nich ogromnego wysiłku.

Mój mąż po harówce w Anglii wracał do miejsca, z którym wiązało go coraz mniej. A ostatnio nawet w weekendy najczęściej mijał się z dziećmi, które pędziły do stolicy, bo tam były zaangażowane ich serca.

28. JACEK I GRAŻKA

Nadszedł długi majowy weekend. Rodacy ruszyli gremialnie na łono natury i wielu z nich niestety na tym łonie pozostanie na wieki wieków amen, bo jak pogoda ładna, to można grzać, ile tam jeszcze stare i często powypadkowe, sprowadzone z Zachodu auto wyrobi. Ja na łonie natury mieszkam sobie od kilku lat, więc nigdzie się nie ruszam. Dzieciaki rzuciły w kąć książki i postanowiły się zrelaksować w ten ostatni przed maturą czas, ale pod Warszawą, bo Ewelina bała się zbyt oddalać od szpitala, w którym miała opłacony poród z własną położną. Pożegnałam je i przeżegnałam na drogę, a następnie zadzwoniłam do Grażyny, która dawno u mnie nie była, a mogłaby trochę popodziwiać to, co udało mi się już zrobić w obejściu, oraz podyskutować ze mną o tym, co jeszcze zamierzam.

Od pamiętnego sylwestra coś zaczęło się psuć między Grażynką a Jackiem. On starał się ze wszystkich sił. Wciąż pracował w Kielcach, ale wszystkie weekendy i każdy wolny czas spędzał z nią w Warszawie. Grażyna narzekała, że czuje się osaczona przez jego zazdrość. Z powodu jego ciągłej obecności zaniedbała ćwiczenia na siłowni i rzadziej bywała w salonach kosmetycznych, co ją bardzo niepokoiło i stresowało. Na basen chodzili razem, ale do klubów Jacka bardzo trudno było wyciągnąć, gdyż nie był to jego świat.

– Idź sama, bo ja mam mnóstwo projektów do zrobienia – mówił smutno. – Ale nie wracaj późno i pamiętaj, że masz już kogoś, kto cię kocha, więc niech inni trzymają się z daleka.

Grażynie przyjemność sprawiały wyznania i poczucie, że nie jest już sama, ale nie potrafiła wyrzec się tych wypadów, mimo że Jacek przyjeżdżał do niej i z nią chciał przecież być.

– Może gdybyśmy mieli dziecko, nie chodziłabyś w miejsca, które są targowiskiem próżności? – odezwał się kiedyś nieopatrnie i wywołał u niej istny atak furii.

W następny weekend już do niej nie przyjechał. Grażyna dzwoniła do mnie i skarżyła się, że taki honorowy i zawzięty.

– Cóż to za pomysł, żeby uwięzić mnie w domu dzieckiem? – krzyczała do słuchawki. – Co ja jestem, jakaś kura domowa, żebym siedziała w domu? On sobie nie zdaje sprawy z tego, ile ja mam lat. Wiedziałam, że będzie chciał mieć dzieci, a ja nie będę w tym wieku

ryzykować. Po co mi to było? Teraz bez niego jest mi źle, a z nim to nie ma sensu – zakończyła i w zasadzie zrobiło mi się jej żal.

Teraz, dzwoniąc, chciałam właściwie sprawdzić, czy moja przyjaciółka spędza długi weekend z Jackiem.

– Nie, z Jackiem już nie – odparła ze sztucznym, zbyt głośnym śmiechem. – Daliśmy sobie czas na oddech. Ale trzeba się pogodzić z tym, że to już początek końca. Nie pasujemy do siebie. On w gruncie rzeczy jest zaściankowy i te jego poglądy, prawie jak u islamskich fundamentalistów. Kobieta na wyłączność i przy niej gromada dzieci – śmiała się głośno, jakby mówiła to nie tylko do mnie, ale także do kogoś, kto siedział obok niej.

– Grażka, dobrze się czujesz? – zaniepokoiłam się. – Jesteś u siebie?

– Nie. W taki piękny dzień spędzam cudownie czas w urokliwym miejscu – powiedziała tak, że zorientowałam się, iż ma już trochę promili we krwi. – Właściwie jestem całkiem niedaleko od tej twojej Łysej Góry, w Kazimierzu Dolnym – uściśliła. – Mogłabyś wsiąść w samochód i przyjechać do nas. Poznałabyś fajnych ludzi z mojej firmy. Jest też ten mecenas, który zajął się sprawą waszego łódzkiego mieszkania. Zdaje się, że ma dla ciebie optymistyczne wiadomości. Nie siedź sama, słomiana wdówko, tylko wpadnij. Mam miejsce w swoim pokoju – kusila, ale w tle zrobił się jakiś szum, więc dodała szybko: – Zadzwońię do ciebie za chwilę, a ty nie zastanawiaj się, tylko migiem szykuj się do drogi.

Odłożyłam komórkę, ale za chwilę rozległ się sygnał i wyświetlił jej numer.

– Nie mogłam tam swobodnie rozmawiać, bo wszyscy mają już trochę w czubie i gadają naraz. Przyjedź do nas. Mówiłam poważnie – nalegała.

– Musiałabym chyba lecieć na miotle. Samochód zabrały dzieci – powiedziałam, nawiązując do świętokrzyskiej legendy.

– Szkoda, bo szef się do mnie podwala, a tak miałabym pretekst. Wiesz, tęsknię za Jackiem. On ma rację, że to wszystko nie jest warte funta kłaków, a ja tracę czas. Taka jestem głupia – zaszlochała. – Już niedługo będę stara, a tracę ostatnie dobre lata na takie nic. Właściwie jestem już stara, tylko oszukuję siebie i innych. Na wszystko jestem za stara. Czemu tak późno przyszła do mnie ta miłość i czemu on jest ode mnie tyle młodszy? – rozryczała się na dobre.

– Grażyna, weź się w garść – powiedziałam poważnie. – Nie mogę do ciebie przyjechać, ale ty idź do swojego pokoju i połóż się

spać, a jutro zostaw ich wszystkich i przyjeżdżaj do mnie. Pogadamy. Nie jest tak, jak mówisz, ale z pijaną nie ma sensu gadać. Słyszałaś, co masz zrobić? – mówiłam jak matka do krnąbrnej córki. – A w jakim hotelu jesteście, jakby co? – zapytałam na koniec.

– Widzę, że masz ochotę przyjechać – podchwyciła radośnie. – Weź kostium, bo mamy tu basen. Mówię ci, królewskie warunki i nazwa też...

I rozmowa się przerwała. Trochę się zaniepokoiłam, ale pomyślałam, że przyczyny zaniku łączności mogą być całkiem prozaiczne, na przykład rozładowana bateria. Już miałam się wziąć do konkretnej roboty, gdy na podwórko zajechało granatowe volvo. Od razu poznałam, że to nowy samochód Jacka. Chociaż może dla niego i Grażyny półroczny samochód nie jest już nowy. Auto poznałam, choć nie mam w tej kwestii oka i orientacji, ale z jego właścicielem było gorzej. Zawsze uśmiechnięty pod czarnym wąsem Jacuś, po pierwsze, nie miał już wąsa, po drugie, była to już połówka Jacusia, a po trzecie, nie miał już uśmiechu na twarzy i nawet przygasły mu jego piękne czarne oczy.

– Co się stało? – zapytałam zaniepokojona. – Chory jesteś?

– Tak. Chory z miłości – walnął prosto z mostu szczery do bólu, jak zawsze.

– Na to się nie umiera, ale chudnie, jak widzę. Sprzedaj swoją historię w Internecie – próbowałam obrócić w żart jego smutną odpowiedź.

– Robię wszystko, czego ona sobie życzy. Zgoliłem wąsy, bo są nieeleganckie i niechlujne, chociaż je strzygłem, myłem, czesałem i perfumowałem. Chudnę, bo mój brzuch jest nieestetyczny i świadczy o moim leniwym stylu życia. Ja leniwy? Ale niech będzie, mogę żyć o chlebie i wodzie, a właściwie o samej wodzie, bo od chleba się tyje, byle z nią. A jej wciąż czegoś brak. Dlaczego? Dlaczego tak szybko dała mi szansę, a teraz wciąż coś nie tak? Co ja źle robię? Już lepiej niech mi powie, że jestem wieśniak i nie chce mnie znać, a nie męczy tak – zalił się, aż serce mi się krajało.

– Chyba za bardzo się starasz. Gdyby wiedziała, że może cię stracić...

– Tak też pomyślałem i przestałem przyjeżdżać, i nawet nie odbierałem telefonu, ale ona też nie odbiera i boję się, czy aby wszystko w porządku. Pomyślałem sobie, że pojedę z zaskoczenia dzisiaj i zobaczę, jak się sprawy mają. Jak będzie ktoś u niej, to się wycofam na dobre. Ale jej w domu nie ma. Może do ciebie przyjechała?

– Nie ma jej u mnie, ale wiem, gdzie jest – pochwaliłam się idiotycznie.

– Tak? Gdzie? Mów!

– Jej firma zorganizowała wyjazd integracyjny czy jakieś szkolenie w Kazimierzu Dolnym. Grażyna niedawno dzwoniła i nawet mnie zapraszała, ale rozmowa nam się urwała. Myślę, że komórka jej padła. Mówiła, że wcale nie jest jej tam wesoło, bo szef się przystawia czy coś takiego, a ona tęskni i myśli o tobie. Nie martw się, chłopie, niech jeszcze trochę potęskni i popatrzy na tych firmowych błaznów, to cię lepiej doceni – nawijałam jak potłuczona, a Jackowi tylko złowrogo błysnęły oczy.

– Gdzie się to tarło firmowe odbywa? – zapytał przez zaciśnięte zęby, aż się przestraszyłam.

– Nie wiem dokładnie. Mówiła, że hotel królewski. Nie załapałam, czy to nazwa, czy ocena – próbowałam się wykręcić.

– Sprawdzę wszystkie, dużo ich tam nie ma! – krzyknęła i już siedział za kierownicą swej pięknej limuzyny.

– Ale poczekaj! Nie jedź dzisiaj! Jutro z rana ja bym też się zabrała...

– Sorry, Joasiu, muszę.

Wiedziałam, że narozrabiałam. Za dużo gadam. Już nie raz obiecywałam sobie, że będę bardziej powściągliwa. Co mnie podkuśiło, żeby wspomnieć o tym szefie? – wyrzucałam sobie poniewczasie. Powinnam przebadać swoją korelację między językiem a korą mózgową. Jak włączam język, odłącza mi się mózg – chłostałam się w myślach ze strachu. Obawiałam się, że z powodu mojego jęzora może nawet dojść do tragedii. Właściwie Jacka znam niewiele. Jest bardzo uczuciowy i prędko w działaniu. Jego cygańska uroda przywodzi mi na myśl jakieś sceny z nożem i krwawą zemstą, ale to tylko podświadome działanie stereotypu. Nie jest Cyganem. Jest wykształconym, młodym człowiekiem. Ale z drugiej strony to od dziada pradziada „kielecki scyzoryk”, też honorowy i odważny aż do brawury. Gdybym miała samochód, pojechałabym za nim, tak na wszelki wypadek.

Chciałam pogadać na Skypie z mężem, lecz nie było go w pokoju, choć to już późny wieczór i dzisiaj miał wolne. Puściłam esemesa: „Gdzie jesteś i co porabiasz?”. Odpowiedź przyszła trzy godziny później: „Już jestem u siebie”. Leżałam w łóżku i nie chciało mi się włączać komputera. Na temat Grażyny i Jacka odbyłam długą rozmowę z Rafałem. Pocieszył mnie, że cała ta sprawa może mieć dobre zakończenie, zamiast szefa w łóżku Grażynki

zjawi się Jacek i dojdzie do pojednania. Stało na tym, że zrobiłam dobry uczynek.

– Mnie osobiście to bardzo cieszy, że dużo mówisz – pocieszył mnie Rafał. – Dzięki temu wiem o tobie już prawie wszystko. Mogę sobie wyobrażać, co w danej chwili robisz, wyczuwam, kiedy się do mnie odezwiesz.

Faktycznie – pomyślałam. – On o mnie wie dużo więcej niż ja o nim. Muszę przestać tyle paplać, a zacząć słuchać. Czyżbym na stare lata stała się egocentryczką? Wydaje mi się jednak, że często się wstrzymuję ze stawianiem ludziom pytań, bo nie chcę być wścibska, nie chcę wprowadzać ich w zakłopotanie zbyt osobistymi pytaniami. Gadam o sobie w nadziei, że ktoś mi się odwzajemni tym samym. Gorzej jest, gdy nie mówię o sobie, a o kimś innym, tak jak w tym wypadku.

Następnego dnia wieczorem znalazłam już efekty działania swego zbyt długiego jęzora. Grażyna i Jacek zjawili się u mnie zapatrzeni w siebie, przytuleni i całujący się co trochę.

– Wszystko zmieniam w moim życiu – zaczęła entuzjastycznie Grażka. – Czuję, że teraz będę naprawdę szczęśliwa.

– Zrobię wszystko, żebyś była ze mną szczęśliwa – deklarował Jacek, aż mi się mdło zrobiło od tego cukrzenia.

Jacek wyciągnął rękę po mleczko do kawy i zobaczyłam, że ma otartą skórę nadgarstka. Przypomniałam sobie moje wczorajsze obawy i spytałam:

– Co to?

– Zetknięcie z porcelanowymi koronami tego dupka.

– Jakiego? – spytałam, choć dobrze wiedziałam, o kogo chodziło.

– Jacek wtargnął tam wczoraj jak burza. Siedziałam jeszcze w barku z szefem. Ale swoją drogą, musiałaś mu powtórzyć, że szef... no wiesz?

– Sorry, jakoś samo wyszło – bąknęłam.

– Sama bym sobie dała radę. Jemu nie wolno mówić takich rzeczy. To furiat. Ale kochany furiat – Grażyna się poprawiła i ucałowała w usta swego furiata.

– Dostał w mordę za chamstwo – odezwał się Jacek.

– To co się tam w końcu zdarzyło? – spytałam podekscytowana.

– Jacek wpadł do baru i od razu podniósł mojego szefa ze stołka za klapy, krzycząc: „Trzymaj się z daleka od mojej narzeczonej, bo ci przemodeluję ten gogusiowaty, wredny pysk!”.

– Dupek okazał się mięczakiem i ze strachu wyparł się wszystkiego. – Jacek z lekceważeniem machnął skaleczoną ręką.

– To trzeba było dać mu już spokój – powiedziałam.

– I tak bym zrobił, ale ten pieprzony gnój powiedział, że on nie leci na kobiety w wieku przedemerytalnym, bo żonę ma dużo młodszą.

– A to gnój i dupek! – Poczułam się solidarnie obrażona jako rówieśnica Grażki. – My w wieku przedemerytalnym?! Trzeba mu było dobrze nakłąć. Sama bym mu chętnie nawtykała – powiedziałam zapalczywie.

– Padł od pierwszego ciosu Jacka i wypluł chyba jakąś koronkę – powiedziała z satysfakcją Grażyna. – Przy Jacku nie miał żadnych szans.

– Zostawiłem go tam na podłodze, bo biegła już ochrona. Zwialiśmy przez taras. Następnym ciosem bym to chuchro wykończył – przechwalał się Jacek.

– Całe szczęście, że mu już odpuściłeś. I tak zapłacimy za te jego wybielone zęby. – Grażyna już pewnie w myślach obliczyła, ile ta bohaterska obrona jej czci będzie kosztować.

– To zapłacę. Stać mnie na to – odparł dumnie jej obrońca. – Najwyżej sprzedam volvo.

– Ale ja jestem bez pracy – stwierdziła już mniej entuzjastycznie Grażka.

– I bardzo dobrze. Znajdziemy ci pracę. A może troszkę odpoczniesz?

Jacusz szczęśliwy patrzył w oczy Grażynce, a ona spoglądała na niego tak, jakby chciała powiedzieć, że nareszcie będzie pozwalała mu otaczać się opieką i rozpieszczać.

– Jest świetna okazja, żeby pomyśleć o dziecku – walnęłam, jak to mówią moje dzieci, jak dentysta w spluwaczkę, czyli prosto z mostu, i zmroziłam atmosferę.

Grażyna spjrzała na mnie, jakby chciała mnie zabić, a Jacek za jej plecami dramatycznie przykładał palec do ust, pokazując, że nie czas na takie tematy.

– To w sumie wasza sprawa, ale ja wciąż ostatnio obracam się w tej tematyce, więc tak mi przyszło do głowy – próbowałam jakoś z tego wybrnąć.

– No właśnie, a co u twojej siostry, bo dawno o tym nie rozmawialiśmy – zainteresowała się Grażka.

– Siostrze mieli robić by-passy, ale jak tylko jej się trochę poprawiło, poleciała do wnuczka, bo Pawełek był już po pierwszej

operacji. Była pod wrażeniem, jaką opiekę zapewniła dziecku pani Zatoniowa. Mówi, że najczulsza matka lepiej by się nim nie zajmowała. Dziecko jeszcze wiele się wycierpi, bo tych operacji będzie chyba z pięć. Trzeba je rozciągnąć w czasie, gdyż mały urodził się w ogóle słaby. Ale Zatoniowa jest dobrej myśli, chociaż prawie nie śpi, nie dopuszcza nikogo do opieki nad dzieckiem. W ogóle podobno nie wypuszcza małego z ramion i zachwyca się jego wyjątkową urodą – powtarzałam relację siostry.

– I co, jak już wszystko będzie dobrze, zabiorą jej to dziecko i powiedzą dziękuję? – spytał nagle Jacek.

– No właśnie, zrobiła się koszmarna sytuacja. Siostra przez dwa tygodnie bardziej przyglądała się, niż pomagała przy dziecku. W końcu córka pani Józi jest pielęgniarką, więc najlepiej wie, jak co robić przy takim chorym. Zycie ręce się trzęsły, gdy dotykała małego, bo się bała, że sprawi mu ból. Wróciła do Warszawy, gdyż zaczęła znów odczuwać jakieś problemy sercowe i teraz czeka na tę odłożoną operację. Ma jednak takie obiekcje, o jakich mówił Jacek. Kazio nie chce tego słuchać. Upiera się, że dzieciak musi wrócić jak najszybciej do rodziny, bo to krew z krwi jego córki. A córka ma to gdzieś. Jak dobrze pójdzie, to kiedy skończą się te wszystkie zabiegi, mały może mieć około dwóch lat. Jeśli zostanie cały czas w Ameryce, co jest dla niego najkorzystniejsze, będzie uważał Zatoniową za swoją matkę. Wiktoria zniknęła i nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle wróci do domu. Zyta nie może siedzieć na głowie Zatoniom tyle czasu i ryzykować swoje życie. Kazio nie zarobi na operację dziecka i jeszcze ewentualne leczenie żony w Stanach. Pat na całym froncie – zakończyłam.

– A Zatoniową chciałyby małego adoptować? – zapytała Grażyna.

– Marzy o dziecku, ale przez delikatność nie proponowała niczego takiego.

– Nie wiem, czy mogłabym pokochać cudze dziecko, nie mając pewności, że będzie kiedyś moje – zastanowiła się Grażka.

– Jakie to ma znaczenie, czy dziecko jest jej, czy nie. Kocha je, bo poświęciła mu wiele czasu, bo czuje się za nie odpowiedzialna, bo ono jest bezbronne... i tak dalej. Pamiętasz nauki z „Małego Księcia” Saint-Exupery'ego?

– No, może tak jest. A jeśli tak jest, to jej nie zazdroścę. Tam dopiero będzie dramat – rozważała Grażka.

– Przez te wszystkie wyzwolone i poszukujące mocnych wrażeń oraz niezwykle szczęścia kobiety najbardziej cierpią dzieci –

poważnie stwierdził Jacek, a Grażyna popatrzyła na niego badawczo i rzekła:

– Czasami więc powstrzymanie się od powoływania ich na świat to dowód największej dojrzałości.

– Masz na myśli nasz przypadek? – spytał Jacek.

– Jasne. Wiesz, jaki jest odsetek narodzin downów u kobiet po czterdziestce? – zapytała coraz bardziej zdenerwowana.

– Nie. Ale są przecież badania prenatalne – odpowiedział.

– I co? Gdyby się okazało, że noszę downa, odmówilibyśmy mu prawa do życia? – Grażyna była czerwona z emocji.

– Nie. Na pewno nie. Kochalibyśmy downa – rzekł Jacek zupełnie spokojnie.

– I tego właśnie nie potrafię sobie wyobrazić – powiedziała Grażyna, spuszczać głowę. – Nasza sytuacja też jest patowa.

– Grażynko, tylko się nie martw. Będę kochał cię z dzieckiem i bez i jakie by ono nie było, ty też będziesz je kochać. Jestem tego pewien.

Wzruszył mnie ten chłopak prawie do łez. Zazdrościłam przyjaciółce, że może przeżywać takie chwile. Ja właściwie do niedawna też czułam się kochana. Teraz jakby mniej, ale to wszystko wróci do dawnego stanu, jak tylko spłacimy kredyt i Krzys będzie z powrotem w domu – myślałam późną nocą, gdy zostałam sama. Z głębi duszy jednak wyłaziły wątpliwości i malowały na czarno wizję naszego przyszłego wspólnego życia. Wczoraj wieczorem mój mąż na pewno był u Ani. Nie sądzę, aby spędzając ze sobą niemalże od roku praktycznie wszystkie wolne chwile na obczyźnie, rozmawiali jedynie o medycynie i trzymali ręce przy sobie. Kiedyś może traktował ją jak młodszą siostrę, ale teraz jest nią zafascynowany. Wciąż słyszę: „Ania to... Ania tamto...”. Podobno kiedyś nie była w jego typie, ale jakie to ma teraz znaczenie? Ja dziś chyba nie jestem już w niczym typie. Rafał opowiada mi dyrdymały o moim wyglądzie, ale mówi wciąż o mnie z młodości. Miłe to i pomarzyć można, lecz właśnie to wstrzymuje mnie przed dążeniem do spotkania z nim. Ciągnie mnie do niego, ale nie rzuciłabym nigdy rodziny i Krzysia.

Krzys jest uczciwy aż do przesady i można się spodziewać, iż lada moment powie mi w oczy, że zdarzyło się coś między nim a Anią. Nie wiem, czy będę umiała przebaczyć i zapomnieć. Pytanie, czy on w ogóle będzie chciał mojego przebaczenia? Dzieci mamy już w zasadzie dorosłe, więc może resztę życia zechce spędzić z Anią. Uszczęśliwi na starość swoich rodziców i... Dość tego! Znowu snuję hitchcocki. Mój mąż jest religijny, więc nie zdecyduje

się na związek, który uniemożliwi mu przyjmowanie komunii. Religijność religijnością, ale czasem człowiek wobec natury jest bezsilny. Sprzyjające okoliczności, niezaspokojone żądze, poczucie osamotnienia i chętna Ania to może być zbyt wiele, nawet jak na mojego opanowanego Krzysia.

A co ja, znacznie mniej opanowana i rozsądna istota, zrobiłabym, gdyby tak los zetknął mnie w realu z Rafałem i ten nie zniechęcił się moim niezupełnie już świeżym wyglądem? Moje żądze są niezaspokojone od znacznie dłuższego czasu niż mojego męża. Rafał jest nadal obezwładniająco przystojny i w dodatku zawsze był w moim typie. Czuję, że mogłabym liczyć tylko na interwencję Boską, bo sama nie byłabym w stanie mu się oprzeć. Gdyby tak teraz nachylił się nade mną i... – myślałam, leżąc w pachnącej pościeli z przymkniętymi oczami, i poczułam znów to ciśnienie w dole brzucha i nagły ruch mięśni podbrzusza ku górze. Trochę tak, jakbym leciała w dół szybką windą. Świat mi zawirował i poczułam wilgoć zwiastującą, że trochę za daleko posunęłam się w moich marzeniach.

Nagle warkot samochodu i spóźniony nieco, radosny skowyt psów oraz chrobot klucza przekręcanego w zamku oznajmiły mi obecność dzieci. Od razu wróciło mi poczucie rzeczywistości. Skończył się najdłuższy weekend współczesnej Europy. Jutro do pracy, a za kilka dni matura. Maj, maj – niebezpieczna pora nawet dla rodziców maturzystów, a cóż dopiero mówić o samych maturzystach.

29. ZAZDROŚĆ

Maj, maj, maj! Jest ciepło, cudownie, powietrze świeże i jędrne jak ciało młodej dziewczyny. Zieleń we wszystkich odcieniach. Zakwitły kasztany, a bzy szykują się do szaleństwa. Bociany przyleciały i poważnie brodzą po łące. Komu teraz chce się uczyć? To prawdziwy sadyzm wobec młodzieży, żeby wymyślić matury w taki czas.

Wydawałoby się, że tego jednego ranka przy śniadaniu panował będzie tylko jeden jedyny temat – rozpoczynającego się dziś egzaminu dojrzałości. Ale Dominika wróciła z Warszawy zaniepokojona, bo jak była ostatnio z Łukaszem w sprawie konsultacji na Akademii, jakaś studentka wyraźnie go rwała na jej oczach.

– I co, udało się jej? – spytałam.

– Nie, bo miała za mało czasu – odparła Dominika.

– Więcej wiary w siebie i w Łukasza, córuś – powiedziałam, ale wiem, jakie to trudne, a czasem nawet niewykonalne.

– Dobrze ci mówić, bo masz za męża naszego tatę. A zresztą kiedyś nie było tak bezczelnych i bezwzględnych dziewczuch – wypowiedziała się moja córka, jako osoba znająca realia życia w zamierzonych czasach mojej młodości.

– Były, zapewniam cię, że były.

– A tak, sorry, zapomniałam, że ten twój... Jak mu tam? Też został wyrwany. No, ale tata to co innego.

Dobrze, że nie wiesz o nas wszystkiego, córko – pomyślałam. Matka też powinna być wzorem cnót, a o te cnoty ciężko jest i w późniejszym wieku. Ciężko jest, ale starać się trzeba – westchnęłam, wyrzucając z sitka osaczony twarożek.

– Czemu, mamo, tak ciężko wdychasz? Czy coś nie tak? – spytał Patryk. – Ciekawe, jak się dzisiaj czuje Ewelina. Żeby tylko z nerwów nie zaczęła rodzić na sali. Chociaż nie powinna się denerwować, bo jest naprawdę dobra. Szkoda jej nawet na to pielęgniarstwo. Ona jest piekielnie zdolna.

– Uważasz, że pielęgniarki mogą mieć niższy iloraz inteligencji? – spytała nieco złośliwie Dominika.

– Nie o to chodzi, ale Ewelina mogłaby iść na lekarski, a wybiera łatwiejsze studia, żeby móc zajmować się dzieckiem – odparł

Patryk.

– O to już taka poważna zmiana planów? Nic o tym nie wiem – powiedziałam miło zaskoczona.

– Tak. Zamieszka teraz na razie u rodziców Damiana. Jego matka pomoże jej przy dziecku, ale Ewelina chce je wychowywać i jak sama stanie na nogi, wyprowadzi się od nich. Oczywiście dziadkowie pozostaną dla małego zawsze dziadkami i będą go widywali, kiedy zechcą. Matka Damiana rozumie, że Ewelina nie zostanie wiecznie sama – Patryk mówił z dumą, jakby miał swój udział w tych doniosłych i mądrych decyzjach.

– Strasznie się cieszę. Widzicie, dzieci, jak wszystko się dobrze układa? Ewelina swój egzamin z dojrzałości już zdała – mówiłam naprawdę wzruszona.

– Zauważyłaś, mamó, jak ona, mimo tej ciąży, wypiękniała? Nie doceniałem jej, ale teraz... – Patryk nabrał powietrza, jakby chciał nam całą mocą coś obwieścić, a moje serce zamarło.

– Ale teraz pewnie ją przeceniasz, braciszku. Daj sobie trochę czasu i nie deklaruj się za szybko, bo nie tak łatwo ludzie się zmieniają – przerwała mu wyjątkowo dojrzałą uwagą Dominika.

– No proszę, następna dojrzała jeszcze przed maturą. Masz świętą rację, aniołku. Ale jedźcie już, bo mogą być korki i w końcu spóźnicie się na egzamin. Ja mam jeszcze trochę czasu, to odmówię w waszej intencji Różaniec.

Popatrzyłam z ganku, jak wsiadają do samochodu tacy uroczyści, śliczni i mądrzy. Duma mnie rozpierała, że to moje dzieci. Zaraz też rzuciłam się do odmawiania modlitwy. Po chwili opanował mnie spokój, jakiego dawno już nie doświadczyłam.

Dotąd unikałam odmawiania Różańca jak ognia. Nie potrafiłam się tak długo skupić. Nie widziałam sensu w mechanicznie odklepywanych zdrowaśkach. Ale wciąż mam w pamięci moją ukochaną babunię, która podkurczywszy nogi w pozie bardziej stosownej dla przedszkolaka niż staruszki, cichutko siadała w kąci i poruszając ustami, przesuwała paciorki różańca. Kiedy ja albo Zyta szłyśmy na egzamin lub miałyśmy jakiś problem, babcia żegnała nas znakiem krzyża, mówiąc: „Poproszę Najświętszą Pannienkę i wszystko pójdzie dobrze”. I szło, choć czasem, logicznie rzecz biorąc, nie miało szans. Mój tata nigdy się nie modlił i filozofował na temat wiary. Kontakt z Kościołem jako instytucją raczej unikał, chociaż nie deklarował się też jako agnostyk. W szczególnie ciężkich dla siebie chwilach prosił trochę wstydliwie teściową o odmówienie Różańca w jego intencji.

Kiedy babcia była już śmiertelnie chora i doskonale, mimo wielkiego cierpienia, pogodzona ze swą sytuacją, modliła się prawie bez przerwy. W jej bledziutkich, chudziutkich palcach koraliki przesuwały się prawie same. Sinawe wargi już się nawet nie poruszały, a oczy wpatrzone były w wieczność. Ona nie klepała pacierzy, ona się naprawdę modliła. A ja mówię już ósmy raz „Zdrowaś Maryjo” i nie rozważam żadnej tajemnicy, tylko myślę o babci. Od czegoś trzeba jednak zacząć. A może właśnie myśląc o babci, odkrywam tajemnicę sensu ludzkiego żywota, ludzkiej wiary i miłości do Boga i bliźnich. A przede wszystkim proszę, proszę i proszę, zanudzam Boga w Trzech Osobach i Matkę Chrystusa, ale przecież powiedziano: „Proście, a będzie wam dane”.

Pierwszy, drugi i następne dni egzaminów maturalnych minęły bez zakłóceń. Dominika i Patryk wracali zadowoleni. W Warszawie też wszystko grało. Ewelina trzymała się dzielnie. Łukasz i Dominika byli pewni, że dzięki wyjątkowemu połączeniu telepatycznemu wybrali z polskiego ten sam temat i podobnie go ujęli. Ja nabrałam przekonania, iż moja, nawet tak ułomna, modlitwa wiele wskórała, zwłaszcza w przypadku Patryka, a moje dzieci cieszyły się, że są genialne.

Mąż miał dostać dwa tygodnie urlopu, więc cieszyłam się, że będziemy dłużej razem. Może uda się nam gdzieś wyjechać, chociaż na jeden tydzień – myślałam z nadzieją. Jak będziemy sami, z dala od obowiązków, zapomnimy o stale ostatnio wybuchających między nami utarczkach. Kłóciliśmy się na odległość z powodu różnych nowych rozwiązań, które kazałam wprowadzić Marianowi, a które mąż uważał za szafowanie pieniędzmi, ale najczęściej chodziło o postępowanie z dziećmi. Odnajdziemy dawnych siebie – marzyłam. I powróci zapewne erotyczne porozumienie, które odfrunęło wraz z pojawieniem się tych wszystkich pretensji i dąsów. Z moich nadziei zwierzyłam się nawet Rafałowi. Chwilę się nad tym zastanowiłam, ale właśnie chciałam podkreślić, że traktuję go wyłącznie jak przyjaciela. Od niego zaś usłyszałam:

– Pragnę z całego serca twojego szczęścia, tym bardziej że kiedyś je zburzyłem. Życzę ci spełnienia tych wszystkich nadziei. Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela, a nawet więcej, chociaż nie chcesz o tym słuchać. Będę blisko. Nie załapałem się na przyłot bocianów, lecz zdecydowałem, że już pora wrócić definitywnie do Polski.

Przez chwilę po tej rozmowie znów poczułam zamęt w myślach i niepokój w sercu, ale odegnałam to szybko, bo miałam mnóstwo

szkolnej roboty. Znow trzeba było sprawdzać prace tych, którzy usiłowali się poprawić z jedynek i wmawiali mi, że się uczą, choć nic o tym nie świadczyło. Znow pytałam w kółko o te same podstawowe rzeczy i odpowiedzi były dołujące mnie jako nauczycielkę. Naprawdę nie chciałam stawiać pał i po ludzku współczułam moim „barankom”, że nie uczą się jakiegoś prostego, pożytecznego rzemiosła, a są zmuszani do kucia czegoś, co wydaje im się bzdurną, nieprzydatną w życiu abstrakcją, jak na przykład analiza zdania czy kategorie gramatyczne, nie mówiąc już o cechach epiki, liryki i dramatu. Ale belferska uczciwość kazała mi złością i dobrocią, prośbą i groźbą, a czasem wręcz szantażem próbować wyryć w głowinach uczniów choć parę procent tego, co przewiduje program. Stale więc sprawdzałam, czy już coś tam ze wspomnianych powyżej rzeczy zagnieżdziło się i siedzi.

Wioletka, jak już wspomniałam, była załamana odejściem ukochanego i postawiła lachę na nauce. My, to znaczy nauczyciele udzielający jej indywidualnie nauk, jako ludzie świadomi, że przetrzymywanie jej jeszcze rok w gimnazjum kompletnie mija się z celem, postanowiliśmy, że otrzyma ona już świadectwo ukończenia szkoły, nawet wbrew swojej woli. Chcieliśmy tylko stworzyć przed nią pozory, że coś umie. Właśnie z takim nastawieniem jechałam w ciepłych strugach wiosennego deszczu do oddalonych o pięć kilometrów od gimnazjum Wojkowic, gdzie mieszkała Wioletka. Ojciec jej zmarł jakieś trzy tygodnie temu i teraz sama z dzieckiem zajmowała dwa pokoje z kuchnią od frontu, a babcia przeniosła się do malutkiej przybudówki, do której wchodziło się od podwórka. Wyglądałam jak zmokła kura, gdy zsiadłam z roweru i zastukałam do drzwi frontowych. Nikt nie otwierał, lecz zdawało mi się, że w mieszkaniu słyszę jakieś głosy. Waliłam coraz głośniejszy, bo w końcu miałam obowiązek przeprowadzić lekcję zgodnie z planem. Bałam się trochę wejść na podwórko, aby zapytać babcię, co z wnuczką, gdyż za bramą jazgotał zajadle średniej wielkości, krępy, łaciaty kundel. Ale to babcia, słysząc ujadanie psa, wyszła przed furtkę.

– Cicho być! Do budy! – krzyknęła do kundla i zwróciła się do mnie: – Pani wali mocno, bo ona jest w domu. Mnie też nie wpuszcza, ale panią przecie musi. Jest objęta obowiązkiem. Tak czy nie?

– Tak, naturalnie – potwierdziłam skwapliwie. – Ale nic złego się z Wioletką i dzieckiem nie dzieje? – spytałam zaniepokojona.

– Złego to nic. Ja się tam już nie wtrącam, żeby nie było, że ja jej na drodze do szczęścia stoję. Co ja pani mogę, tu matki trzeba. Ojca ledwo co pochowała i o weselu myśli. Ja tam się nie wtrącam,

ale już raz to wesele miało być i co? Żeby tylko zamiast wesela drugich chrzcin my nie musieli robić. Pani puka mocno i się z nią rozmówi. Może pani posłucha – rzekła staruszka, ocierając łzy brudnym fartuchem i wróciła do siebie, zamykając furtkę.

Waliłam więc dalej. Wioletką musiała się zorientować, że nie ustąpię i wreszcie otworzyła. Stanęła przede mną na mokrym ganku bosa, ubrana jedynie w zapiętą pośpiesznie na jeden guzik męską koszulę. Długie, gęste, kręcone włosy opadały jej na ramiona ciemnożółtą falą. Pod lekko przezrzystym materiałem koszuli widać było jędrne, obfite piersi ciekawie wyglądające na świat, a powyżej linii ud przebijał zarys ciemnego owłosienia łonowego. Poczulałam się mocno zażenowana i chyba nawet spiekłam raka. Policzki Wioletki także były zaróżowione, ale bynajmniej nie od wstydu. Choć może trochę jak na swój młody wiek za ciężka i za pulchna, była piękna jak ta późna wiosna. Usta miała czerwone, mięsiste i musiały być słodkie jak rosnące przy ganku czereśnie. Wpatrywałam się w nią przez chwilę olśniona i onieśmielona, jakbym zapomniała, po co tu przyszłam.

– No wiem, że teraz mam lekcję, ale widzi pani, że nie mogę. On wrócił przedwczoraj i taka jestem szczęśliwa, że nie wypuszczam go prawie z łóżka. Dzieciakowi tylko piersi i dalej – mówiła z porażającą szczerością. – Pani mnie rozumie? Niech tam pani już wstawi, co uważa. Na co mi szkoła? Bierzymy ślub. Nie gniewa się pani? – Spojrzała na mnie prosząco.

Stałam jak słup soli. Chociaż to chyba nie najlepsze porównanie, bo słup soli już dawno by się rozpuścił na takim deszczu. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć i jak zachować się w tej sytuacji. Przecież nie mogłam wejść i nie zważając na gołego faceta w łóżku, zażądać, żeby dziewczyna rozłożyła podręczniki, gdy ona paliła się do rozkładania nóg. A co z poprawą? – pomyślałam bez sensu.

– Nie gniewam się, chociaż – już miałam walnąć parę umoralniających zdań, ale się powstrzymałam. – Wejdz do domu, bo się przeziębisz, i uważaj na bociany, widziałam ich mnóstwo niedaleko, na łące. Ja ci postawię mierny, żebyś mogła jeszcze skończyć jakąś szkołę, jak oprzytomniejesz. I życzę szczęścia.

– Och, pani jest kochana!

Goła prawie dziewczyna rzuciła się na mnie i zaczęła mocno całować moją mokrą twarz ustami, które nie wiadomo co pieściły równie gorąco przed chwilą. Wyrwałam się jej z objęć i wskoczyłam na swój rower.

– Zaprosimy panią na ślub! Na pewno! – krzyczała za mną,

podskakując wciąż z radości na mokrym ganku.

Wiosna dojrzała i podgrzewała atmosferę. Liście nie były już tak młodziutkie, a nawet czasem bywały zmęczone upałem. Jak piękny, dorodny owoc dojrzała też nasza ciężarna Ewelina i w piątek wieczorem, tuż przed weekendem, otworzyło się jej łono, wydając bez najmniejszych komplikacji na świat pięknego, czterokilogramowego syna. Teraz już swoich dzieci prawie nie widywałam, siedziały w Warszawie.

Grażyna z kolei porzuciła stolicę i urządziła się z Jackiem na nowo budowanym ekskluzywnym osiedlu pod Kielcami. Sprzedawali dom Jacka, bo staroświecki i za bardzo wsiowy. Szukali kupca także na apartament Grażyny w Warszawie, żeby zakończyć ten etap jej „snobistycznego życia” i raz na zawsze zerwać kontakty z „hedonistami z firmy”. Jej własne określenia, słowo daję. Planowali wszystko od nowa, razem, zgodnie i niezwykle optymistycznie. Wypracowali nawet wspólne stanowisko w kwestii potomstwa. Będą przez rok „szli na żywioł” i zdadzą się na los. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, pomyślą o leczeniu, a w ostateczności o adopcji. Wesele ma się odbyć już we wrześniu i jesteśmy oczywiście prośzeni na świadków, czyli, jak to się tu mówi, na „starszych”.

Jeśli traktować poważnie zapowiedzi Wioletki, to już drugie wesele w niedalekiej przyszłości. Chyba warto kupić sobie wystrzałową kieckę – powiedziałam do Krzysia, któremu zrelacjonowałam ostatnie wydarzenia. Wykazał niewiele optymizmu w stosunku do nowych zamierzeń Jacka i Grażki, a zachowanie Wioletki go zbulwersowało w największym stopniu.

– A może ja bym przyleciała do Anglii i skoczylibyśmy na zakupy, a potem jeszcze coś niecoś pozwiedzali? – zapytałam zniebna nacka męża. – Podobno u was są naprawdę genialne wyprzedaje, nie tak, jak te nasze krajowe. No co tam, bilet kupię raz dwa, wrzucę coś do walizki i już jesteśmy razem. Dzieci parę dni mogą się zająć domem i Marianem, no nie? – ćwierkałam i spodziewałam się entuzjazmu, a tu zapadła krępująca cisza.

– Wiesz, miałem ci już powiedzieć wcześniej, ale jeszcze nie wszystko było dograne, więc nie chciałem cię denerwować... – zaczął pokrętnie.

– Nie będziesz miał tego urlopu?! – przerwałam mu.

– Nie, urlop będę miał, ale Loniak chce koniecznie do mnie przyjechać i wyciąga mnie na parę dni do Szkocji. To mój jedyny przyjaciel, a nie widzieliśmy się już ładnych parę lat. Mówił, że musi mi się z czegoś zwierzyć i dlatego wolałby z dala od naszego i

jego domu. Mówił też, że nie może korzystać z maili, gdyż Jolka kontroluje jego pocztę. On uważa też, że podsłuchuje jego rozmowy, dlatego dzwonił do mnie z pracy i ponoć zacierał ślady. Myślę, że nie zwariował. Odniosłem wrażenie, że to coś poważnego, i nie chciałem mu odmawiać. Kiedyś, jeszcze na studiach, robiliśmy sobie wypad w góry i o Szkocji marzyliśmy, ale to było wtedy dla nas niemożliwe. Nie gniewaj się, będę w domu, jak zawsze, tylko tydzień – powiedział mąż, a ja poczułam się jak ktoś rażony piorunem.

– Skoro Loniek cię potrzebuje... Ja oczywiście nie będę się nudzić w tym czasie, mam tyle do roboty, że starczy na parę osób – odrzekłam wściekła. Teraz miałam już pewność, a nie tylko podejrzenia. Mój mąż się bardzo zmienił. Kłamie i oszukuje.

– Od razu mu mówiłem, że nie będziesz zła – powiedział, nie zauważwszy ironii i goryczy w moim głosie. – Jak mu opowiadałem, że jesteś taka dzielna i dajesz sobie radę z budową domu i tyloma różnymi sprawami, to nie chciał mi wierzyć. Miał cię zawsze za taką cieplarnianą roślinkę.

Skąd nagle ni z gruszki, ni z pietruszki Loniek? – pytałam samą siebie. Teraz mi się podlizujesz, a dopiero co o wszystko musiałam się wyklócać. Już ja widzę, jak wygląda ten Loniek. Nazywa się pewnie doktor Ania. Dobrze się koło ciebie zakręciła. Wspólne weekendy nie wystarczą? Już musi być wspólny urlop? A o wspólnym życiu już wspominała? Może powie mimochodem nad sinym oceanem? No tak, jedni się żenią, a inni będą się rozwodzić. Tak się najczęściej kończą te zagraniczne wojaże. Widziałam przecież, co się dzieje wokół, ale naiwnie myślałam, że nas to nie dotyczy. My tacy sprawdzeni i zawsze zgodni. Dom splecimy i będziemy go musieli sprzedać. Szkoda tej harówki.

Zupełnie jakbym się już pogodziła z rozwodem, zaczęłam zastanawiać się nad dalszym samotnym życiem. Tu mam pracę i marne szanse na znalezienie jej gdzie indziej. Takiej dużej chałupy ze swojej pensji nie utrzymam. Dominika będzie mieszkać u babci w Warszawie, ale Patryk złożył papiery do Kielc. A co z psami i kotami? Kto adoptuje moje „pluszaczki”, gdy będę mieszkać w jakimś wynajętym pokoiku? Nie, nie dam rady. Ta zmiana mnie dobije.

Przez kilka dni chodziłam jak struta, ale nic nikomu nie wspominałam. Chciało mi się płakać i złość mną targała. Chciałam walczyć z tą wstrętną małpą Anią i nawymyślać mężowi od najgorszych wiarołomców. Chciałam z kimś pogadać i zrzucić trochę tego

ciężaru, który niespodziewanie spadł na moje barki, ale nie miałam nawet z kim. Grażyna była niedostępna, mamy nie chciałam martwić, dzieci straszyć na zapas, a Rafał też nie siedział od wielu dni przy komputerze i nie dzwonił.

Może zatelefonować do Jolki, żony Łońka? – przemknęło mi przez myśl na kilka dni przed weekendem, w który Krzysiek zaczynał urlop. Powinna coś wiedzieć, jeśli jej mąż z moim wybierają się na tę wspólną wycieczkę po Szkocji. Może coś podsłuchiwała? Czułam się skrupowana i nie wiedziałam, o co zapytać. Z Jolką rozmawiałam dotychczas wyłącznie podczas spotkań naszych mężów, nie łączyła nas jakkolwiek zażyłość. Może poproszę, żeby Łoniek zabrał coś dla Krzyśka. Ale co? Nic takiego nie przychodziło mi do głowy. Zresztą taka prośba była ryzykowna, bo jeśli jest tak, jak podejrzewam, że mój mąż coś ściemnia, Jolka i Łoniek pierwsi się o tym dowiedzą, a tego bym nie chciała. A jeśli Łoniek naprawdę coś przed żoną ukrywa, narobię kwasów w ich małżeństwie. Lepiej będzie, jeśli się uspokoję i udam, że we wszystko wierzę. Skończy się kontrakt i jakoś wrócimy do równowagi. Może Krzyś ma tylko chwile słabości i nie chce mnie porzucić. Lepiej chyba udawać, że nic nie wiem.

Już mi się przez chwilę wydawało, że osiągnęłam smutny, bo smutny, ale spokój. Okazało się, jednak, że nie tak łatwo pogodzić się ze zdradą partnera. Poszukałam w końcu numeru telefonu Łońków i w piątek zadzwoniłam.

– Co porabiacie? – zaczęłam z głupia frant. – Jakie plany wakacyjne? Może byście wstawili Góry Świętokrzyskie gdzieś do swojego grafiku?

– Och, jak miło, że dzwonisz – ucieszyła się może nawet szczerze Jola. – Myślałam niedawno o was. Właściwie nie mieszkamy tak daleko od siebie, a tak rzadko się widzimy. Macie jeszcze to mieszkanie w Łodzi?

– Mieszkania już nie mamy, ale nie możemy odzyskać za nie pieniędzy. Procesujemy się.

– Łoniek mówił mi, że Krzyś haruje w Anglii, żeby pospłacać kredyty.

– Łoniek wybiera się do Krzysia? Już się spakował? – spytałam zniechęta.

– Nie, no bez przesady. Kiedyś może go odwiedzi. On też jest strasznie zatany, szpital, przychodnia, dyżury. Teraz sobie trochę odpocznie, bo dał się skorumpować jakiejś firmie farmaceutycznej i jedzie do Austrii na szkolenie. Odradzałam mu, bo może wyjść z

tego afera. Teraz bardziej pilnują tych spraw. Ale on mówi, że dużo się o tym krzyczy w mediach, a większość i tak korzysta z różnych takich. Już wyjechał. Samolot ma z Krakowa, ale chce odwiedzić po drodze rodziców w Częstochowie.

No, to teraz już nie miałam wątpliwości, że nie z Łonkiem mój mąż zamierza spędzić część swojego urlopu. A jaki łaskawca, podzielił urlop na pół – pół dla przyjaciółki, pół dla żony. I on naiwniak wierzył, że to da się ukryć? Myśli, idiota, że Ania po upojnych doznaniach będzie mu tak jeszcze długo pozwalać na powroty do domu i rodziny? Może by tak chciał? Tacy są faceci. Może nie myśli o rozwodzie? Ale ona jest sama i zagra o wszystko. Ma w dodatku akceptację jego rodziców. Mimo całej swej bogobojności przełkną gładko rozwód syna, bo nareszcie spełni ich wolę. Najwyżej będą szukać różnych kruczków prawnych, żeby nas rozwieść w Kościele. Zrobią ze mnie wariatkę od urodzenia albo terrorystkę, która doprowadziła do przysięgi małżeńskiej pod przymusem – nakręcałam się, wymyślając bardzo dalekosiężne scenariusze. Byłam już strasznie nabuzowana, gdy zadzwonił telefon. Ku swemu zdziwieniu usłyszałam głos teściowej.

– No, co tam u was słychać? – zaczęła przyjaźnie. – Dzieciaki pewnie szczęśliwe, że tak dobrze poszła im matura? Ale że Patrykowi też się udało. Ściągnął od kogoś?

– Nie. Dużo się ostatnio uczył – powiedziałam oschle.

– Tak, wiem. Dominika dzwoniła i wszystko mówiła. Ona jedna jeszcze pamięta o starych dziadkach, którzy żyją waszym życiem i czekają na każdą wiadomość. A ty też mogłabyś czasem zadzwonić i powiedzieć co i jak, choćby co z naszym synem. My nie mamy tych nowoczesnych połączeń i ciągłej gorącej linii – wyrzekała.

– Nasza też się rwie ostatnio.

– A co, te wichury miały jakiś negatywny wpływ na połączenia?

– Nie wiatry, ale zmiany aury uczuciowej.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Będzie mamusia zadowolona, jak się dowie. Nie będzie już mamusia narzekać na synową. Ania przecież jest idealna – klapnęłam jak głupia.

– Co ty za głupstwa sugerujesz?! – krzyknęła oburzona. – Mój syn jest poważnym człowiekiem i jak raz zrobił błąd w życiu, ponieś się już jego konsekwencje do końca. Tak go wychowałam.

– A więc mamusia uważa, że ja, jako ten błąd, powinnam się

godzić na to, iż mój mąż będzie teraz wiódł podwójne życie? Szczęśliwe z Anią w Anglii i obowiązkowe ze mną. Już najbliższy tydzień spędzi z tą, tak zwaną, prawidłową opcją na wycieczce po Szkocji. A potem ja mam go przyjąć jakby nigdy nic? Niech mnie mamusia uświadomi, bo nie wiem, jak to się robi w eleganckim świecie. Niestety mam duże luki w wychowaniu. Czy mamusię synek informował o swoich planach urlopowych? Czy jest mamusia zaskoczona tak samo jak ja? – sęczyłam jad przez łyż.

– Tobie do reszty pomieszało się w głowie?! Co ty insynuujesz?! Dzwoniłam, żeby właśnie zaprosić was na Mazury, jak już dzieci będą wiedziały, czy są przyjęte. Z Anią rozmawiałam w Wielkanoc i mówiła, że w Anglii znalazła wreszcie miłość swego życia, ale nie sugerowała, że chodzi o Krzysztofa. Sądzę, że to ktoś miejscowy. Mnie by powiedziała, gdyby...

– Może czekali na dogodną chwilę, żeby razem ogłosić wam tę radosną nowinę, a tu, jak zwykle, ja wszystko popsułam. Ale to już ostatni raz. Cieszy się mamusia, prawda? – głos mi się załamał.

– Nie zrzucaj teraz winy na mnie. Jak wyglądało wasze życie? Ściągałaś go zawsze w dół. Zawsze ci powtarzałam, że kobieta powinna być oparciem dla męża, wspierać go, żeby robił karierę. Krzys jest ambitny i niespełniony zawodowo nie będzie nigdy szczęśliwy. Od początku wiedziałam...

– Na szczęście nie muszę już tego słuchać! – wrzasnęłam i rzuciłam słuchawkę.

Chyba nawet dobrze zrobiła mi ta rozmowa. Byłam teraz w bojowym nastawieniu, a to zawsze lepsze niż załamywanie rąk. Teściowa ma rację – nigdy nie byliśmy dla siebie. Krzysiek zawsze był mentalnym maminsynkiem i teraz to wyszło. Zrobił, co mu mamusia w głowie wydrukowała. Niech sobie robi karierę, niech goni po jej stopniach swoją Anię. Tylko co będzie, jak jej nie zdoła dogonić? Co z jego ambicją, którą wszczepiła mu mamusia?

Ja jestem szczęśliwa tu na wsi. Właściwie lubię być nauczycielką i tylko mam takie chwile, kiedy narzekam. Uwielbiam przygotowywać przedstawienia i uczniowie też to lubią. A nawet już doskonale porozumiewam się z tutejszymi ludźmi, kocham moje psy i koty, kocham te karłowate góry i lasy. Mam już pomysł na ludowy zespół kabaretowy, który stworzą gospodynie i strażacy. Ja tu zostanę – zdecydowałam. Tylko gdzie będę mieszkać, gdy sprzedamy ten dom? – ta cholerna myśl wyczołgała się spod całej masy pozytywnych postanowień.

Wzięłam psy i poszliśmy na spacer. Może to już jedna z ostat-

nich takich przechadzek. Co ja z nimi zrobię? A koty? – pomyślałam kolejny raz i znów zrobiło mi się smutno. Czułam się zbita i skopana, chociaż starałam się być dzielna. Zawsze szalenie wesołe moje berneńczyki jakby wyczuły mój nastrój i poważnie dreptały, skrobiąc mi marchewki i dysząc głośno tuż przy mnie. Las był taki świeży, zielony, pachnący, rozśpiewany tysiącem ptasich gardeł i nieprzyzwoicie radosny. Dojrzewały już poziomki przy drodze. Uwielbiam te czerwone, słodkie, wonne owoce. Gdzieś w tym miejscu w ubiegłym roku opadła mnie chmara motyli. Przypomniałam sobie to cudowne uczucie spowodowane lekkimi muśnięciami, jakby pocałunkami, setek bajecznie kolorowych, aksamitnych skrzydełek. Znów łzy zakręciły mi się w oczach i jednocześnie zacisnęły moje pięści. Nie, nie dam sobie tego odebrać. Ja tu zostanę. Znalazłam swoje miejsce na ziemi. A on niech spierdala – myślałam w języku Mariana.

Przyszedłam do domu i z przerażeniem stwierdziłam, że Marian z braćmi podczas mojej nieobecności błyskawicznie się zwinęli i swoim zwyczajem znikli bez słowa wyjaśnienia. Już tak niewiele zostało, a te skurczybyki znów wszystko przeciągną – myślałam wściekła. Miałam ich dość i całej tej budowy, która mnie „ściuchrała”, jak mówi moja mama, i na nic nikomu się nie przyda. A jeszcze niedawno marzyłam, że kiedyś będą tu przyjeżdżać nasze wnuki i biegać po ogrodzie.

Przypomniała mi się teściowa, która, trzeba przyznać, zawsze zabiegała o bliski kontakt z wnukami. Spędzały u niej część wakacji i wracały zadowolone, wyjąwszy ostatni rok. Zrobiło mi się głupio, że tak napadłam na, bądź co bądź, staruszkę. Nie powinnam jej tego wszystkiego mówić. Nie powinnam teraz chyba z nikim rozmakać, bo naplotę bzdur, a potem będę żałować – pomyślałam i wyłączyłam telefony oraz postanowiłam nie włączać komputera. Najpierw jeszcze zawiadomiłam dzieci, że moja komórka nawala, żeby się nie niepokoili. Jakby co, będę dzwonić na babci stacjonarny. Planowałam, że wezmę kąpiel, zrobię sobie maseczkę z ogórków i twarożku, wymoczę ręce w ciepłej parafinie. Jak naprawdę zadbam o siebie, to mu oko zbieleje. Zobaczy, co stracił. Ania ma za szerokie biodra i łydy takie toporne. Tego nie zmieni, choćby wpompowała w siebie wiadro botoksu i odessała cysternę tłuszczu – myślałam mściwie, masując pięty.

A może by tak gdzieś się wypuścić, jak zrobię się taka piękna? W końcu kursują autobusy. Mogę jechać do Kielc, połączyć po sklepach. To podobno dobrze robi na chandrę. Kupię sobie trochę ciuchów, na

złość mu, póki jeszcze mamy wspólną majątkową. Teraz wiem, dlaczego zrobił się taki oszczędny. Po co wydawać forszę na starą żonę i dom, w którym i tak nie zamierza się mieszkać? Wszystko układało mi się w sensowną całość, a moja złość wzmagala się i wzbierała jak wulkan. Jak ja mogłam nie zauważyć wcześniej, że on już planuje nowy związek? Swoją drogą, przyjeżdżał i udawał, że wszystko gra. Ale ja czułam, ja czułam przez skórę, że to nie jest mój dawny Krzyś. Zaharowywałam się przy budowie wspólnego domu, użerałam się z niefrasobliwym Marianem. Gotowałam tym cholernym majstrom, sprzątałam po sto razy te same kąty, bo Marian robił wszystko chaotycznie i bez planu. Ale dość tego, będę teraz inną kobietą. Zacznę myśleć o sobie – postanowiłam.

Odszykowałam się tak, że baby przyglądały mi się, gdy szłam drogą do przystanku. W rynku klub moich wielbicieli konsumujących w pełnym słońcu przed delikatesami tanie wino uniósł się zgodnie z ławeczki i wymamrotał chórem: „Dzień dobry szanownej, pięknej pani doktor”.

– Nie jestem doktorem i z doktorami nie chcę mieć nic wspólnego – warknęłam do nich złowrogo, aż zachwiali się, jakby powiał huraganowy wiatr. Wsiadłam do autobusu, który całkiem elegancko zawiózł mnie do stolicy naszego województwa.

30. ZNALAZŁEM CIĘ NA ZUMI

Obladowana torbami, zadowolona z zakupów i głodna jak stado wilków klapnęłam w ogródku przy pierwszej z brzegu restauracji nad Sinicą. O tej porze ludzi było mnóstwo, więc na kelnerkę trzeba było trochę poczekać. Wyciągnęłam komórkę, żeby sprawdzić godzinę. Ktoś się do mnie dzisiaj od południa dramatycznie wprost dobijał. Jakiś nieznany numer szturmował dwadzieścia trzy razy. Numer był krajowy, więc nic w związku z Krzysztofem. Może coś z dziećmi? – pomyślałam i już serce mi zrobiło dwa fikołki. Myśl o mamie i jakby niewidzialna pięść walnęła mnie w klatkę, aż zaczęłam kaszleć. Zamiast wybrać numer Patryka czy Dominiki, drżącymi palcami wcisnęłam „połącz”. Usłyszałam muzykę w tle i męski ciepły głos:

- No, nareszcie cię mam!
- Dzwonił pan do mnie dzisiaj kilkakrotnie. Słucham – powiedziałam poważnie.
- Asiu, to ja. Mam już polski numer i próbuję się z tobą skontaktować – to był głos Rafała. Na pewno teraz nie miałam wątpliwości. – Coś masz z komórką?
- Nie, po prostu wyłączyłam, żeby sobie odpocząć.
- To może odpoczniemy razem? Taki piękny dzisiaj dzień. Mam ogromną ochotę cię odwiedzić. Mąż w domu czy w Anglii? Miał jakieś problemy z urlopem, jeśli dobrze pamiętam.
- Tak, dobrze pamiętasz. Dobrze, że zadzwoniłeś wcześniej, bo mnie dzisiaj nie ma w domu. Od rana bujam po Kielcach i wrócę dopiero późnym wieczorem. Spróbuję jeszcze zaliczyć teatr, jak się już wyrwałam – mówiłam, żeby odegnać niebezpieczeństwo tej wizyty. – Teraz nareszcie po forsownych zakupach usiadłam pod parasolem w restauracji nad rzeczką, która zwie się Sinicą, i jeśli zaraz nie dostanę czegoś do zjedzenia, połknę ten parasol.
- A co to za restauracja?
- Och, jej nazwa wiąże się z rozwiązywaniem zagadek, więc zgaduj – przeciągałam rozmowę w oczekiwaniu na kelnerkę.
- A mam szansę zgadnąć, nie znając Kielc?
- Masz, bo to sieciówka.
- A zamówiłaś już coś? Co tam dobrego dają?

– Wybrałam dużą shoarmę z drobiu i leci mi ślinka na samą myśl o niej, a kelnerka już od kilku minut przyjmuje zamówienie od strasznie marudnych dwóch wypindrowanych starych pudernic. Boże, słabnę z głodu. O, chyba idzie do mnie. Zadzwoń potem albo do jutra, do usłyszenia na Skypie. Pa – rozłączyłam się, żeby złożyć zamówienie. Oprócz wspomnianej shoarmy zamówiłam kolorowego, mocnego drinka. A co? Jak szaleć, to szaleć!

Drinka dostałam dość szybko, ale na danie zasadnicze znów musiałam poczekać. Kiedy więc otrzymałam upragniony talerz pełen sałaty i pachnącego mięsa, nie miałam już co pić. Zupełnie nierozsądnie zamówiłam jeszcze raz to samo. Już pierwszy drink wypity na pusty żołądek zaszumił mi w głowie i przyjemnie rozluźnił. Drugi pozbawił mnie wszelkich hamulców. Kończyłam shoarmę i wciąż czułam niedosyt szaleństwa, więc kiedy kelnerka przechodziła obok, zamówiłam jeszcze kawę i lody. W oczekiwaniu na deser wyjęłam lusterko, podmałowałam usta, przyjrzałam się sobie z zadowoleniem, następnie rzuciłam okiem na dwa stojące obok mnie krzeselka zajęte przez kolorowe torebki i torebeczki zawierające moje dzisiejsze sprawunki. Było wśród nich pudło z najmodniejszymi sandałami ciągnącymi się powyżej kostki na niewiarygodnie wysokim obcasie. Miałam ogromną ochotę założyć teraz te buty i jeszcze dziś zadawać w nich szyku na Sienkiewce. A może naprawdę przejdę się w stronę teatru i zobaczę, co dzisiaj grają – pomyślałam i wydobyłam sandały z pudełka. Na trzeźwo nigdy w życiu nie zachowałabym się w ten sposób, ale teraz spokojnie wyskoczyłam z wygodnych balerinek i wsunęłam stopy w nowe, odlotowe buciki. Krzys nie dałby mi kupić takich butów i gadałby do znudzenia o bólach kręgosłupa. A ja mam gdzieś chwilowo kręgosłup, gdy moje nogi wyglądają tak świetnie – myślałam. Nagle ktoś pochylił się nade mną i szepnął mi do ucha:

– Te nogi poznałbym na końcu świata.

Podskoczyłam tak gwałtownie, że szepczący facet nie zdążył się wyprostować i oberwał moją głową boleśnie w wargę. To był Rafał. Naprawdę, nie śniło mi się. Stał przede mną w samym centrum Kielc wysoki, smagły, piękny jak dawniej i uśmiechał się, mimo że na jego ustach pojawiła się krew. Dostałam hopla? – przemknęło mi przez myśl. Ale Rafał był prawdziwy. Naprawdę wyciągnął do mnie rękę, chwycił moją dłoń i przyciskał ją do zranionych ust. Czułam ten pocałunek, który trwał dłużej niż kurtuazyjne cmoknięcie, i dotyk ramienia, którym mnie bezceremonialnie otoczył, i znów pocałunek, tym razem w policzek. Czułam i wciąż nie wierzyłam.

Byłam jak sparaliżowana, siedziałam z głupawym uśmiechem i wgapiałam się w niego. Kiedy zimą widziałam go w Warszawie w piekarni, to było co innego. Mogłam się go spodziewać, gdyż był to sklep w pobliżu domu jego rodziców. Ale tu i właśnie teraz, kiedy sama wiem, że wyglądam, jak na siebie, doskonale? I po tym wszystkim, co mnie spotkało ze strony Krzyśka? To musi być przeznaczenie – jakiś głos szeptał mi na ucho.

– Ale spotkanie, co? Widzisz, jak niewiele się zmieniłaś? Poznałem cię w tłumie ludzi – powiedział, uśmiechając się i sadowiąc bez pytania na wprost mnie.

– Skąd się tu wzięłaś? Jak mnie znalazłaś? – pytałam oszołomiona.

– Znalazłem cię na Zumi peel. – odpowiedział jak w reklamie i znów pokazał w uśmiechu dwa rzędy cudnych, białych zębów.

– Za dużo już wypitał. Nic nie rozumiem – powiedziałam rozbijając.

– Widzisz, jestem całkiem niezły w rozwiązywaniu zagadek. Skojarzyłem Sphinksa i jak powiedziałem, znalazłem na Zumi. Miałem wyjątkowy fart, że właśnie mijałem Kielce, już miałem zjechać na obwodnicę, jak zadzwoniłaś do mnie. Dzisiaj załatwiłem kilka spraw w Krakowie i planowałem w drodze powrotnej pokręcić się blisko ciebie i może wprosić się na kawę, ale mnie spławiłaś.

– I dałam namiary na restaurację, w której siedzę – powiedziałam, śmiejąc się.

– Popatrz, czy to nie zrządenie losu? Mam dzisiaj taki szczęśliwy dzień. Znalazłem wykonawcę jednego elementu mojego patentu. Mówiłem ci, co będę produkować? Sprawy administracyjne też mam właściwie już na finiszu. Ale to droga przez mękę. Uff! Czy w tym kraju nie może być tak do końca normalnie?

– Tak. Mówiłeś, że zamierzasz u nas produkować ten, ten... – zaczęłam się jękać, bo, cholera, znów zapomniałam, co to jest. – Ale wciąż mi się wydaje, że to spotkanie nie jest prawdziwe, że to mi się śni – powiedziałam, pociągając duży łyk ze szklanki.

– Dla mnie to spotkanie też jest niesamowite. Chciałem właściwie powłóczyć się gdzieś tam bliżej ciebie. Wpaść na Święty Krzyż, poszukać tych dawnych szlaków i wspominać chwile, kiedy byłem szczęśliwy naprawdę, gdy wymienialiśmy pierwsze uściski dłoni i pocałunki. Ale ja nawet nie znam twojego adresu, więc gdybyś nie oddzwoniła, pojechałbym dalej. Może trzeba było spróbować z samego rana na domowy? Ale trochę się bałem, że

odbierze mąż lub któreś z dzieci. Czy oni wiedzą coś na mój temat?

– Dobrze, że nie dzwoniłeś, bo też byś się nie dodzwonił – odparłam, a drugie pytanie pozostawiłam bez odpowiedzi.

– A co, jakaś lokalna trąba powietrzna?

– Domowa trąba powietrzna. Wyłączyłam telefony i postanowiłam od wszystkich i wszystkiego odpocząć. Ale nie pytaj dlaczego. – Znowu duży haust i lekki szum w głowie.

– Zostaw mi trochę tego soku, bo strasznie, chyba z wrażenia, zaschło mi w gardle, a kelnerka gdzieś zniknęła.

Trzymałam jeszcze w ustach słomkę, a Rafał wyjął mi z ręki szklankę i wychylił ostatni łyk mojego drinka.

– O! Z alkoholem? Sama popijasz tak wcześnie?

– Jestem pełnoletnia. Alkohol w małych ilościach to doskonały sposób na upał. Angole w krajach kolonialnych dla ochłody zawsze popijali. Nie słyszałeś o tym?

– Każdy pretekst jest dobry. – Rafał śmiał się, a ja tłumaczyłam się jak pacjent podczas odwyku przyłapany przez lekarza na gorącym uczynku.

Podeszła do nas kelnerka. Nie byłabym w stanie już nic wcisnąć w siebie, ale Rafał był pewnie głodny.

– Dla mnie shoarma, która od dziś będzie moim szczęśliwym daniem, i sok. A dla tej pani jeszcze jeden taki sam drink.

– Chcesz mnie upić zaraz na wstępie? To będzie już mój trzeci dzisiaj. Zasnę przy stoliku i nie będę pamiętała, że cię widziałam, albo pomyślę, że mi się tylko śniłeś – powiedziałam po odejściu kelnerki.

– A śnię ci się czasem? – zapytał, nachylając się do mnie, aż poczułam subtelną woń jego wody toaletowej, i zrobiło mi się naprawdę gorąco.

– Muszę cię rozczarować, ale nie. Nie powinnam pić już tego trzeciego drinka, bo wsiądę do niewłaściwego autobusu lub przegapię swój przystanek – odparłam, siląc się na spokój.

– Myślisz, że pozwoliłbym ci wracać do domu autobusem? Aż tak nie schamiałem w tej Ameryce. Zamówiłem tego drinka, bo widziałem, jak ci smakuje, a ja wypilem ci jeszcze spory łyk, ale nie musisz go pić, jak się mnie obawiasz. Kiedyś zawsze przy tobie byłem raczej onieśmielony. Mówiąc po prostu, zachowywałem się jak dupa, nie wykorzystałem żadnej z tysiąca znakomitych sytuacji. Ale młody wiek mnie usprawiedliwia.

– Jestem ci wdzięczna, że nie wykorzystałeś. Ale nie wracajmy do przeszłości, bo to nie ma sensu. Byliśmy nastolatkami i tyle

rzeczy się od tamtego czasu wydarzyło, że właściwie trudno powiedzieć, iż jesteśmy starymi znajomymi. Szczerze mówiąc, my się właściwie nie znamy.

– Dobrze, będę panią podrywał na nowo. To jest niezły pomysł, żeby zresetować wszystko.

– Więc niech się pan z łaski swojej wyniesie do innego stolika, bo ja nie zawieram przygodnych znajomości – śmiałam się już swobodnie.

– Tak podejrzewałam, że nie zechce pani ze mną rozmawiać. Ale czy mogę zjeść przy pani stoliku zamówioną shoarmę? Bo... bo niech się pani rozejrzy, naprawdę nie ma wolnych miejsc.

Rafał stał przy stoliku i błaznował, a ja śmiałam się i zapomniałam zupełnie o trapiącym mnie problemie, o zazdrości, doktor Ani i moim przypuszczalnie wiarołomnym mężu. Po tym następnym drinku nie tylko nie zasnęłam, ale pozwalałam się Rafałowi obejmować i cmokać w szyję, nie myśląc nawet, że mógłby mnie tu zobaczyć ktoś z moich uczniów lub sąsiad z naszej wsi. Przedtem prawie za każdym razem podczas zakupów w Kielcach zdarzało mi spotkać kogoś znajomego, przynajmniej z widzenia.

Opuściliśmy taras restauracji po godzinie czy dwóch, nie wiem, bo straciłam poczucie czasu. Rafał zaprowadził mnie na parking, skąd odjechaliśmy srebrnym autem, długim i szybkim. Tyle zakonotowałam. Kręciło mi się w głowie, a serce podlatywało do góry jak motyl. Czułam zapach i ciepło dłoni Rafała, który od czasu do czasu, niby przypadkiem, dotykał mojego uda. Zatrzymał w końcu samochód tuż za tabliczką oznaczającą koniec Swarowic Wielkich.

– To jeszcze dwa kilometry – powiedziałam.

– Ale tu chciałem się z tobą pożegnać, bo pod domem twój mąż może mnie przywitać siekierą.

– Męża przecież nie ma – powiedziałam nierozsądnie.

– Przy dzieciach też nie miałbym śmiałości cię całować – zażartował i objąwszy mnie mocno, wtopił się ustami w moje rozgrzane już chyba do białości wargi.

Świat zawirował i odpłynął w dół, a my ulecieliśmy do nieba. Ćwierć wieku pamiętałam te pocałunki. Nie zmienił się ich smak, ale jak wino z latami nabrały mocy. Krzysiek nie całuje tak dobrze – pomyślałam.

– Podjedź pod dom. Nie ma u mnie nikogo – szepnęłam.

Wydawało mi się, że nie przekraczam jeszcze żadnej granicy, ale jego szczęście w głosie, w oczach uświadomiło mi, że poszłam o

krok za daleko. Ruszył wskazaną przeze mnie drogą.

– Ten pocałunek nie powinien się zdarzyć – powiedziałam już przytomniej. – Ja mam męża i dzieci, a ty też nie jesteś wolny. Umawialiśmy się przecież, że nie wracamy do przeszłości.

– Ale to był zachwyt nad tą nowo poznaną panią. Nie mogłem się opanować. Zbyt śmiało sobie zacząłem poczynać? Przepraszam, to się nie powtórzy. Trzeba było walnąć mnie w pysk – zażartował i jakoś tak fajnie rozładował napięcie, że gdy zobaczyłam strzechę mojego domu, powiedziałam konspiracyjnie:

– Wypuść mnie tu i chwilę poczekaj, a ja otworzę garaż, żebyś jak najszybciej wjechał. Wiesz, jeśli o tej porze nasze plotkary zobaczą u mnie na podjeździe obcy samochód, będzie afera. Nie myśl tylko, że zapraszam cię na noc. Pogadamy jeszcze chwilę, bo chyba nie jest zbyt późno, a potem pojedziesz. Tylko już proszę, bez takich numerów. Otworzę ci garaż.

– Okej, będę jak... jak... jak eunuch – zachichotał.

Konspiracja niezupełnie się udała. Wprawdzie Rafał wprowadził samochód bez świateł, lecz kiedy zamknęliśmy drzwi garażu, moje psy zrobiły potworne larum. Cieszyły się bardzo głośno, że mnie widzą. Musiałam je uspokoić i potem weszliśmy do domu po ci-chutku.

– Fajny dom – pochwalił Rafał. – Jak opowiadałaś o tych two-ich majstrach, to nie sądziłem, że taki może być efekt. Z tego co pamiętam, większość rozwiązań wymyślił ten Marian. Dobrze mówię?

– Dobrze, dobrze. Słuchałeś mnie uważnie – pochwaliłam. – Zrobię szybko coś na kolację. Poczęstowałabym cię jakimś alkoholem, ale będziesz musiał jechać, a ja też mam już dość na dzisiaj. Strasznie mi zaszumiało w głowie od tych drinków. Powinnam zapamiętać ich nazwę, żeby już więcej nie ryzykować. Normalnie nie piję tak sama w lokalach, ale dzisiaj miałam taką chandrę. Najpierw oddałam się rozpuście zakupów, a potem jeszcze postawiłam sobie drinka na zabicie smutków – usta mi się nie zamykały, gdyż cisza wydawała mi się nagle jakaś krępująca.

– Opowiedz mi o swoich smutkach – powiedział ciepło Rafał, zaglądając mi w oczy.

– Nic takiego, po prostu planowaliśmy z mężem wspólny wyjazd, a on nie dostał urlopu – łąłam jak z nut.

Wyjęłam różne produkty z lodówki i zaczęłam szykować talerze. Rafał w zupełnie naturalny sposób włączył się do przygotowań. Pokroił wędlinę i chleb, ja naszykowałam warzywa na grecką sa-

łatkę, a on w lot uchwycił, o co mi chodzi, i już darł sałatę i wyciągał kawałki fety z zalewy. Czułam się tak, jakby to on był moim mężem i teraz zwyczajnie szykowałibyśmy kolację. Gwarzyliśmy, dowcipkowaliśmy, a potem pałaszowaliśmy z apetytem. Uleciało gdzieś to całe moje skrepowanie.

Było świetnie, dopóki Rafał znieńacka nie schwycił klamry spinającej w kok moje włosy. Strasznie dawno ich nie podcinałam, więc spłynęły na plecy, rozsypując się i zakrywając je niemal w całości.

– Do takiej ciebie tęskniłem tyle lat. Taką cię wciąż oglądałem na jedynym zdjęciu, jakie udało mi się zachować z tamtych lat. Resztę Gośka poniszczyła w amoku. Jesteś wciąż tak samo piękna, a może nawet piękniejsza, bo wysniona, wytęskniona. Dziękuję ci, że nie ścięłaś włosów, jak większość dojrzałych kobiet, które wraz z przyborem wagi obcinają włosy, jakby chciały mieć mniej na wadze przynajmniej o te parę dekagramów.

– Niemożliwy jesteś. Mnie też przybyło kilogramów – zaśmiałam się nerwowo i chciałam ponownie spiąć włosy, ale Rafał powstrzymał moją rękę.

– Chyba dekagramów? W najważniejszych miejscach ci przybyło. Nie, zostaw. Niech się chociaż nacieszę tym widokiem – powiedział, więc odłożyłam na bok klamrę.

Ujął moją dłoń i pocałował w podziękowaniu, a potem odwrócił ją i całował jej przegub po wewnętrznej stronie. Pozwoliłam na to o ułamek sekundy za długo. Moim ciałem przeszedł dreszcz, który on uchwycił. Chciałam się uchylić i znów zwiększyć dystans, ale podniósł moje włosy i dotknął ustami karku. Piersi mi zafalowały, serce wykonywało jakieś niezrozumiałe dla mnie ewolucje. Czy to domniemana wieńcówka, czy stara, niezardzewiała miłość? – pytałam siebie z lękiem. Boże, ratuj mnie, bo sama nie zdołam się oprzeć tej sile, która wyła we mnie z taką mocą, że aż dziw, iż w okolicy nie było słychać. Ale Rafał słyszał, doskonale słyszał i nie robił już nic, tylko gładził moje włosy.

– Sorry, wybacz. Nie dotrzymuję umowy. Wiem, miałem zachowywać się jak eunuch. Pozwól mi być raczej jak gej i teraz zająć się twoimi włosami. Oni przecież najczęściej są stylistami, fryzjerami, no nie? – żartował tak swobodnie, że i mnie udzieliła się ta swoboda.

Uśmiechnęłam się i uspokoiłam trochę. Wiedziałam, że powinienam go jak najszybciej wyprawić w drogę, bo już następnego takiego ataku nie wytrzymam i sama rzucę się na niego. Był pewnie

wytrawnym kobieciarzem i na to czekał, bawiąc się ze mną w kotka i myszkę. Rafał, którego dawniej znałam, był nieporadny i niedoświadczony, podobnie jak ja. Mnie nie przybyło wiele doświadczenia, ale on z taką aparycją musiał mieć powodzenie u kobiet – myślałam. Spojrzałam na zegar. Było po północy, stanowczo niestosowna pora na przyjmowanie gości przez samotne kobiety. Jaką ja właściwie jestem kobietą? Jeszcze zamężną czy już samotną? Jeśli samotną, to po co, u licha, ja się tak męczę? Może poddać się urokowi chwili i jeśli znów przygarnie mnie i... a zrobi to na bank, zamknąć oczy, zablokować myśli i oddać się rozkoszy? Właściwie gdyby nie moja wciąż nastawiona na czuwanie kora mózgowa, mogłam to zrobić tyle lat temu. Myślę, że wtedy nie byłoby tak cudownie, jak może być teraz. Moja błona dziewicza i jego niewinność nie wróżyły zbyt obiecująco. Teraz byłoby fantastycznie, gdybym tylko potrafiła wyłączyć ten gderający głos wewnętrzny, który skrzeczy, że nie powinnam, bo mogę sobie jeszcze bardziej skomplikować życie. Nie można wpadać w ramiona pierwszego lepszego, gdy się coś nie układa z mężem. Jeszcze nie wiem, jak naprawdę jest z Krzyśkiem i Anią. Nie można tak w jednej minucie przekreślać ponad dwudziestu lat małżeństwa. Ale Rafał nie jest pierwszym lepszym. To moja dawna miłość. A może ja go kochałam przez te wszystkie lata, tylko oszukiwałam siebie i Krzysia? – pomyślałam. Może Krzyś wyczuwał ten fałsz i nie był ze mną szczęśliwy? Może to pchnęło go w ramiona Ani? Może z nią będzie naprawdę szczęśliwy? Może powinniśmy naprawić te pomyłki, żeby uspokoić wszechświat, żebyśmy wszyscy byli kochani, kochający i szczęśliwi? Z zamyślenia wyrwał mnie głos Rafała.

– Widzę, że masz tu świetne płyty. Może puścimy coś po ci-chutku? – wyciągnął moją ulubioną płytę Sade.

Nie, tego już za wiele. On czyta we mnie jak w otwartej książce. Według mnie głos tej piosenkarki powinien być sprzedawany jako afrodyzjak. Nie powinnam dopuścić, aby włączył właśnie tę płytę. Ale widać wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie i prowadziło do mojego upadku.

– Puść – powiedziałam z rezygnacją.

Kręciło mi się w głowie, choć alkohol wypity w Kielcach już dawno wyparował z mojego organizmu. Przymknęłam oczy i próbowałam wrócić do przerwanych rozważań. Przecież możemy jeszcze wszyscy być szczęśliwi i rozstaniemy się bez urazy – myślałam, a Rafał znów delikatnie pieścił mój kark. A co z moimi dziećmi? Jakie jest ich miejsce w tej historii? Co z tego, że są duże?

Nie będą już nigdy dziećmi Rafała. W ich życiu zmieniliby się zbyt wiele. Czy mogłyby to zrozumieć? A czy ja mam jakąkolwiek pewność, że on tam w Stanach nie zostawił gromadki własnych dzieci? Czy mogę mu zaufać? Raz już się na nim zawiodłam. Otworzyłam szeroko oczy i zobaczyłam Rafała klęczącego u moich stóp. Sade pieściła głosem, a on rozbierał oczami.

– Jesteś cudowna, piękna i dobra. Wybacz mi tamto i nie marnujmy już więcej czasu.

Wstałam z kanapy, żeby odejść dalej, ale właśnie wtedy zatrzymał mnie, obejmując moje uda. Jego usta znalazły się na wysokości mojego łona. Przez delikatną tkaninę zwiewnej sukienki poczułam jego gorący oddech. Opadłam bez sił z powrotem na kanapę. Zaczął mnie okrywać pocałunkami, a gdy przestałam się wzbraniać, uniósł mnie lekko jak piórko i położył na miękkiej skórze, którą niedawno rozciągnęłam przed kominkiem, a której zakup wywołał prawdziwą wściekłość Krzyśka. Suknia sfrunęła ze mnie i właśnie Rafał ściągał z siebie w pośpiechu koszulę, gdy za oknami rozległ się jakiś dziwny zgrzyt, jakby ktoś otworzył drzwi od garażu i następnie potworny jazgot moich berneńczyków. Resztkami przytomności dotarło do mnie, że psy szczekają, jakby się ogromnie cieszyły.

Sukienka przewrócona na lewo znalazła się z powrotem na mnie, jeszcze szybciej niż się jej pozbyłam. O Boże! Krzyś zrobił mi podpuchę i wrócił do domu – pomyślałam ze zgrozą. Rafał guzdrał się jeszcze z koszulą i też był błydy ze zdenerwowania. Nagle do moich uszu dotarły okropne przekleństwa i poznałam głos Mariana. Dałam znak Rafałowi, żeby się nie ujawniał i że wiem, o co chodzi. Wyszłam z domu od strony podwórka i skierowałam się prosto do pomieszczenia gospodarczego przy garażu. Czerwcowa noc jest krótka, więc na dworze robiło się już szaro. Na podjeździe stał zaparkowany bez świateł fiat ducato Mariana. On sam leżał na pełnej pyłu podłodze budynku gospodarczego przygnieciony cielskami moich już docelowo wyrosniętych i dobrze wykarmionych berneńczyków, które konkurując ze sobą, wylizywały zapamiętałe każdy skrawek jego ciała. Znały go przecież i uznawały za swego, więc chciały mu pokazać, jak go kochają i jak doceniają to, że je odwiedził nad ranem, gdy zawsze są skazane na samotność. Marian, choć silny i wytrzymały, nie zdzierzył, gdy oba naraz skoczyły nań znieścacka i wałnął jak długi na ziemię. Podnieść się potem już nie mógł, więc tylko swoim zwyczajem miotał wyrazy na „k” i „eh” i jeszcze wiele czasowników określających wulgarnie to, w czym mnie i Rafałowi przeszkodził.

– Można wiedzieć, co pan tu robi o tej porze?! – spytałam wściekła. – Włamał się pan do mnie? Po co? Przecież tu są głównie pana rzeczy.

– No właśnie, potrzebuję tego fleksa i wiertarki. Jedziemy do kuzyna do Niemiec. Prosił o pomoc, bo tam ktoś się pochorował, inny znów dostał lepszą fuchę, a on musi dotrzymać terminu. Parę dni tylko. Pani to nie zrobi różnicy. I znów samochód po drodze przywieziemy. Trochę forsy skapnie, to się podróż zwróci i jeszcze coś zostanie. Wie pani, taki, żeby VAT odliczyć, bo ponoć już niedługo nie będzie można – Marian gadał jak najęty, a psy cały czas na nim warowały i słuchając, przekrzywiały zabawnie wielkie, trzykolorowe mordy.

Przegoniłam je wreszcie i zapaliłam światło w garażu. Stałam teraz przed nim we wzorzystej, żorzetowej, lekkiej sukience założonej na lewo i w dodatku na gołe ciało oraz w ogromnych brudnych gumiakach, w które w pośpiechu wskoczyłam na ganku. Trzęśłam się z zimna i emocji. Wobec planów Mariana byłam zupełnie bezradna. Mogłam tylko stać i patrzeć, jak pakuje wspomniane narzędzia, a następnie czekać, że kiedyś wróci i skończy prace w budynku, który wkrótce może przestać być moim i Krzysia wspólnym domem.

– Ale widzę tu jakiś nowy model audi. Superlimuzyna! Doktor takim przyjechał? Można zajrzeć? Ale kierownicę ma po naszymu, znaczy nie u Angoli kupywał? – nocny intruz zaskoczył mnie pytaniem.

– To kuzynka przyjechała na jedną noc – skłamałam z reflekssem.

Marian popatrzył na mnie spode łba i uśmiechnął się pod wąsem.

– Strasznie wysoka ta kuzynka.

– A co? Widział ją pan? – spytałam spłoszona.

– Nie, tylko fotel od kierownicy daleko – odparł cholerny wsiowy Sherlock Holmes. – I z taką męską teczką chodzi – dodał, z nieukrywaną satysfakcją wskazując na leżącą na tylnym siedzeniu czarną, elegancką, skórzaną aktówkę Rafała.

– A czy ja mówiłam, że ona jest sama? Kuzynka z mężem znad morza do Austrii jadą i przenocowali – kłamstwa przychodziły mi coraz łatwiej.

– Ano, chyba że tak – powiedział. – Pani ładna babka, to doktor powinien kogoś do pilnowania wyznaczyć, no nie? – uśmiechał się głupkowato, pokazując żółte zęby.

– A pan, jak wyjeżdża, to pas cnoty żonie zakłada czy eunucha

przy niej stawia? Bo wie pan, przyjaciołom lepiej nie ufać – odciełam się.

– Moja to z teściową mieszka. Już jej tam mamusia przypilnuje.

– A mój mąż ma do mnie zaufanie – pochwaliłam się i po tych słowach coś mnie zakłuło w okolicy serca.

Faktycznie jestem godna zaufania – pomyślałam o sobie z sarkazmem. Poranny chłód otrzeźwił mnie całkowicie. Gdy Marian zamykał z trzaskiem drzwi od swego samochodu, ja już kombinowałam, że muszę Rafała wyprawić teraz, nad ranem, gdy wszyscy najlepiej śpią. Boże, na co mi to wszystko? Grzęznę w kłamstwach. Tłumaczę się jakiemuś Marianowi i będę jeszcze długo drzeć ze strachu, żeby nie zgadał się z moim mężem na temat naszej kuzynki, która mieszka nad morzem i posiada audi.

Czar tej nocy prysł, zanim się jeszcze na dobre skończyła. Wyszłam od podwórka cichutko do domu i kiedy ściągałam w przedśionku gumowce, usłyszałam rozmowę, którą Rafał prowadził przez telefon po angielsku. Zapewniał kogoś, pewnie żonę, że wkrótce przyjedzie, bo w zasadzie dobrze mu poszło. Pozdrowiał dziewczynki i zapewnił, że tęskni i całuje.

– Boże, dzięki Ci za Mariana – powiedziałam półgłosem. – Proszę cię, wyjedź teraz, jak najszybciej, bo to najlepszy moment – zwróciłam się do zaskoczonego moją obecnością Rafała.

– Ale... – zaczął.

– Bez żadnego „ale”. Teraz, natychmiast – powiedziałam cicho, lecz stanowczo.

– Słyszałaś? – zapytał.

Nie odpowiedziałam nic, tylko wręczyłam mu koszulę, z której zakładania zrezygnował podczas mojej nieobecności, sądząc, że to tylko mała przerwa w upojnej nocy ze starą i wciąż głupią swoją byłą dziewczyną.

– Wszystko, co mówiłem o tobie i o mnie, to prawda – gadał jeszcze, gdy ja wypychałam go na ganek i wsadzałam na siłę do samochodu. – Ja nie potrafię z nią zerwać. Interesy, wiesz, jak to jest. Ale ty... Zawsze taki byłem. Z Goską też męczyłem się kilka lat i nie potrafiłem skończyć.

– Ze mną jakoś umiałeś – powiedziałam, zatraskując z irytacją głośno drzwiczki, już bez strachu, czy nas ktoś usłyszy, czy nie.

– Przecież to ty ze mną zerwałaś, jak mnie nakryłaś z Goską! – krzyknął, otwierając okno, bo trzymałam kolaniem drzwi, żeby nie mógł wysiąść. – Gdybyś ze mną nie zerwała, ja bym ją przeleciał i dał sobie spokój.

– To leć teraz! Spieprzaj raz na zawsze z mojego życia! Biedna Gośka, jej życie zmarnowałaś zupełnie. Wracaj do Ameryki, może uda ci się nie zmarnować życia tamtej kobiecie. A te dzieci są twoje? Przyznaj się.

– Nie mam pewności.

– Kanalia! – Zostawiłam otwarty garaż i weszłam do domu, zamykając drzwi na wszystkie zamki.

Jeszcze dłuższą chwilę nie słyszałam startera, ale w końcu Rafał zapalił silnik i nie włączając świateł, odjechał.

– A goń się, ty dupku! – mruknęłam do siebie i weszłam pod prysznic.

Ciekawe, całe życie myślałam, że to on zerwał ze mną, a tu okazuje się, że było odwrotnie. Chyba było tak, jak mówił. Ja byłam wówczas kompletnie zszokowana i wydawało mi się, że kiedy wybiegł za mną... Ale faktycznie musiało być tak, że ja z nim zerwałam, kiedy zobaczyłam Gośkę rozebraną do rosołu na kanapie. Jakie to zresztą ma znaczenie? – pomyślałam, przewracając się po raz tysięczny piąty w łóżku. Żeby tak mógł się stać cud i okazałoby się, że tego spotkania w ogóle nie było. Odmówię jutro Różaniec dziękczynny i o nic nie będę prosić, tylko dziękować za ratunek, za wejście smoka w wykonaniu Mariana. A może między mną a Krzysiem jakoś wszystko się ułoży? Może tam na wyspach też chodzi jakiś Marian czy Mary i przeszkadza w popelnieniu piramidalnego głupstwa? – myślałam, zasypiając, gdy słońce już jasno świeciło na niebie.

31 . OKSYMORON

Wydawało mi się, że dopiero zasnęłam, gdy obudził mnie odgłos dzwonka. Nie będę wstawać – zdecydowałam i nakryłam głowę kołdrą. Dzieci wrócą wieczorem, a Krzyś za tydzień, kto, u licha, zawraca mi gitarę o tej porze? Ale dzwonienie przeszło w kołatanie. Co za bezczelność?! – pomyślałam wściekła. Rafał chyba by nie wrócił? A może przez roztargnienie coś ważnego zostawił? Tym bardziej nie otworzę. Muszę tylko potem dokładnie przeszukać mieszkanie. Mógł zadzwonić. Nie, nie mógł, telefony wciąż mam wyłączone. Psy nie szczekają, tylko popiskują – kombinowałam. Czyżby Marian czegoś zapomniał? Niemożliwe, o tej porze pewnie już przekroczył granicę. Diabli wzięli moje spanie.

– Aśka, otwieraj! Co z tobą?! – usłyszałam głos Grażki.

– A nic. Śpię. Czy to już czynność zabroniona? – mamrotałam, otwierając drzwi. Na progu stała świeżutka i elegancka Grażyna.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła tak dramatycznie, że nawet szerzej otworzyłam zapuchnięte oczy. – Wszyscy wariujemy z niepokoju. Od dwóch dni nie można się z tobą skontaktować. Łatwiej zlokalizować twojego męża na Wyspach Brytyjskich niż ciebie. Miałam już przyjechać wczoraj w nocy, ale mnie Jacek nie puścił. Ustaliliśmy jednak, że musisz być w domu, i gdy nie można było rano znów się dodzwonić, postanowiłam sprawdzić, co się dzieje.

– Kto z kim ustalał, że muszę być w domu? – zapytałam nieprzytomnie.

– No, dodzwoniłam się do twoich dzieci i twojego męża...

– I oni ustalili, że nie wolno mi opuszczać mieszkania? Znaczy, mam areszt domowy? – zaczynałam już sobie pokpiwać.

– Nie wygłupiaj się. Wiesz, o co chodzi – zirytowała się Grażyna. – Nałykałaś się jakichś prochów czy co? Co jest grane?

– Poszłam późno spać i teraz chciałam odespać. Za proste? Nie wierzysz? – odpowiedziałam, zastanawiając się, czy mówić Grażynie cokolwiek o Rafale.

– A wczoraj cały dzień? – nie dawała za wygraną.

– Robiłam zakupy, byłam u kosmetyczki, relaksowałam się. Czy to ja już nie mogę?

– I do mnie nawet nie zadzwoniłaś z propozycją? Przecież jestem teraz tak blisko – mówiła z wyrzutem.

– A po co miałabym szczęśliwej narzeczonej zawracać głowę swoimi małżeńskimi smutkami. Sama sobie zorganizowałam rozrywkę, ale mi nie za bardzo pomogło. A nawet jest gorzej i o mało co nie wpakowałam się w gorszą kabałę – wysypałam.

– O jakich małżeńskich smutkach mówisz? Dlaczego ja nic nie wiem? – indagowała Grażka.

– Można się było tego spodziewać. Takie rozstania są zawsze ryzykowne, ale ja myślałam, że nas to nie spotka. Może byłoby inaczej, gdyby akurat ta piekielna Ania nie znalazła się w pobliżu. Nie wiem, czy to my tak beznadziejnie kierujemy swoim życiem, czy też ślepy los bawi się nami.

– Ale co, podejrzewasz, że Krzyś z tą Anią?... Powiedział ci już?

– Nie powiedział wprost. Może chce, żebym sama wysnuła wnioski. Między nami jest coraz gorzej. Wiesz, pod każdym względem. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu. Teraz miał przyjechać na urlop i nagle okazuje się, że wymyślił wypad do Szkocji, niby z kolegą ze studiów. Kłamie i tyle.

– Ale po co miałby kłamać? Przecież może być z Anią cały czas w Anglii.

– No, niezupełnie cały czas. Spotykają się tylko w niektóre weekendy.

– Ale wyobrażasz sobie swojego Krzysia kręcącego i snującego jakieś intrygi? On się do tego nie nadaje. Jeśli zakochałby się nagle w Ani, w co wątpię, to by ci powiedział, a nie mieszał do tego jakiegoś kolegi. Im więcej ludzi zamieszanych w kłamstwo, tym szybciej może się wydać.

– A może on kłamie, bo nie jest jeszcze pewny? Wiesz, Krzyś jest rozsądny. Nie będzie rujnował swojej rodziny dla jakiegoś pierwszego porywu serca. Musi być przekonany, że to jest to.

– O właśnie, mądrze mówisz. Krzyś jest do przesady rozsądny i nie pozwoliłby sobie na romans, jeszcze w dodatku z osobą, która była w nim kiedyś zakochana. Z takiego czegoś nie mógłby się już rakiem wycofać. A zresztą co to za głupie spekulacje? On jest uczciwy i naprawdę do przesady rozsądny – powtarzała, a to „do przesady” zabrzmiało jak mojej mamy „ciapowaty”, ale nie zaprotestowałam, tylko powiedziałam cicho:

– Tak, jest rozsądny, w przeciwieństwie do mnie.

– Coś masz na sumieniu. – Grażka spojrzała na mnie badawczo,

a ja spuściłam głowę. – Co za numer wycięłaś? Mów! Chciałaś odebrać sobie życie?

– No nie, aż tak głupia to nie jestem – odparłam urażona. – Zaaplikowałam sobie Rafała, jako antidotum. No, prawie zaaplikowałam – dodałam ciszej.

– Skąd go wzięłaś tak nagle? Zaplanowałaś to od dawna, a teraz wciskasz mi ciemnotę. Ale nikt nic nie wie? To jeszcze możesz się wycofać – powiedziała. – Daj herbaty i opowiadaj – zdecydowała za mnie, rozsiadając się w fotelu, a ja posłusznie włączyłam czajnik i zaczęłam po kolei. Doszłam do momentu, gdy Rafał pozbawił mnie ubrania.

– Więc jednak zdradziłaś Krzysia? – Grażyna miała wypieki na twarzy.

– Nie.

– On zawiódł? Ale numer! – Grażka nie dopuszczała mnie do głosu.

– Nie. Poczekaj, daj mi skończyć – zniecierpliwiałam się. Opowiedziałam jej w miarę poważnie, bo wcale nie było mi wesoło, resztę historii. Grażka omal nie popłakała się ze śmiechu, ale na końcu spoważniała i zawyrokowała:

– Ale świnią! Kto był gnojkiem, to gnojkiem zostanie.

– Amen – powiedziałam i przypomniało mi się, że dziś niedziela i muszę jeszcze zdążyć na wieczorną mszę. Tylko czy ja w ogóle jestem godna przekroczyć progi świątyni?

– Ale nic na pewno między wami się nie stało? – Grażyna chciała się upewnić.

– To zależy, jak na to spojrzeć, bo byłam już zdecydowana.

– Zapomnij o nim, masz fajnego męża.

– Już zapominam. Kocham Mariana.

– Jakiego znów Mariana?! Odbiło ci?! – zawołała zdezorientowana Grażyna.

– Ojej, żartuję. Chodzi mi o tego majstra, który nam przeszkodził.

– Aha. Żartujesz, to nie jest źle – zaśmiała się z wyraźną ulgą. – Muszę lecieć, bo Jacek teraz z kolei zacznie mnie szukać.

Już siedziała w samochodzie, a ja w piżamie stałam na ganku, gdy nagle wyłączyła silnik i zawołała:

– Na śmierć zapomniałam! Mam dla ciebie dobrą wiadomość, którą usiłuję przekazać ci od kilku dni. Twojemu mężowi już powiedziałam i bardzo się ucieszył. Stwierdził nawet, że mnie wyczuł, jak wróci. I że może wróci.

– Grażyna, chcesz wypróbować moją cierpliwość?! Gadaj wreszcie, co to za wiadomość! – przerwałam jej, nie zwracając uwagi na końcowe zdanie.

– Wygraliście w sądzie sprawę o to mieszkanie w Łodzi.

– Oddadzą nam mieszkanie?

– Nie, ale forszę. Będzie to według cen obowiązujących w tamtym czasie i trzeba odliczyć honorarium prawnika, więc nie za dużo, ale zawsze.

– Superwiadomość! Strasznie się cieszę! Jesteś moim dobrym duchem. Doprawdy nie wiem, jak ci dziękować, Grażka.

– „Nie dziękuj, wyznam ci szczerze...”. To ty jesteś moim dobrym duchem. Wiesz, jaka jestem szczęśliwa z Jackiem z dała od Warszawy i tej wysysającej ze mnie wszystkie soki firmy, bez której nie wyobrażałam sobie życia?

– Tak trzymaj!

Grażka odjechała, a ja rzuciłam się do sprzątania i zacierania śladów po wczorajszej uczcie. Ledwie zdążyłam na ostatnią mszę. Nie mogłam się skupić na tym, co mówi ksiądz, ale modliłam się żarliwie. Dziękowałam Bogu, przepraszałam i błagałam o łaski dla dzieci i o to, żebyśmy znów mogli być szczęśliwą, jak niegdyś, rodziną. Krzyś musi już wrócić do domu. Pieniądze za mieszkanie chyba nie wystarczą na całkowitą spłatę kredytu, ale go na pewno bardzo mocno zmniejszą. Będziemy żyć oszczędnie, ale będziemy razem. Tylko czy Krzyś mnie jeszcze kocha? Czy Grażka miała rację, że moje podejrzenia są bezpodstawne? Znów opadły mnie złe myśli, ale postanowiłam z nimi walczyć i walczyć także o niego.

Było już późno, lecz dzień się dopiero kończył. Na zachodzie, z jednej strony domu, ogromna kula ognistego słońca chowała się za czerniejący na tle złotawego nieba las, a z drugiej strony, na wschodzie, na ciemnoszafirowy już firmament wkraczał łysy, pyzaty księżyc, jakby nie mógł doczekać się swojego występu. Siedziałam na werandzie zasluchana w cykanie świerszczy i pisk nietoperzy. Psy, wyjątkowo spokojne, tuliły się do moich kolan i delikatnie, ale konsekwentnie chciały z nich łbami wyprzeć kota. Kocica wołała zachować wobec nich większy dystans, więc usadowiła się na moim ramieniu i mruczała słodko. Czy jest miejsce na ziemi, gdzie mogłabym czuć się szczęśliwsza? Jaśmin pachniał tak, że kręciło w nozdrzach. Rozkwitały białe kiście kwiatów tulipanowca. Lepkie i gładkie pąki aromatycznych piwonii pęczniały i lada chwila miały się przekształcić w zmierzwiłone ogromne czupryny. Bratki mrużyły oczy do snu. Raj, raj, raj – westchnęłam

sobie. Może nie zostaną z niego wygnana, bo kusiciela wszak udało mi się przepędzić. Ale mój Adam gdzieś się zapodział i uległ pewnie innej Ewie na ziemi, którą z rajem trudno byłoby porównywać. Odkrywają teraz surowe i zimne, nawet o tej porze roku, piękno skalistych szkockich wybrzeży – myślałam ze smutkiem.

Nagle przed dom zajechały dwa samochody. Z naszej poczciwej corsy, którą kierował Patryk, wysiadła Ewelina z dzieckiem. Z drugiego samochodu, gdzie za kierownicą siedział Łukasz, wyskoczyła Dominika, a nieco później wygramolił się obładowany różnymi pakunkami mój mąż.

– A skąd wy tutaj wszyscy? – spytałam oszołomiona i obcałowywana. – A ty nie w Szkocji? – zwróciłam się do męża.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytał Krzyś.

– Cieszę się, tylko jestem zaskoczona – odpowiedziałam zimno, ale uprzejmie ze względu na obecność dzieci. – Trzeba było zadzwonić. Mogliście mnie nie zastać w domu – mówiłam zupełnie bez sensu i nie posiadałam się z radości, że ich widzę wszystkich razem.

– Chętnie byśmy to zrobili, ale wciąż masz wyłączone telefony, mamus. – Dominika ścisnęła mnie rozbawiona. – Dobrze, że pani Grażyna zrobiła rekonesans i dała cynk że wszystko z tobą okej, bo mieliśmy już uruchamiać telefon alarmowy.

– Mieliśmy przyjechać wcześniej, ale tata zadzwonił do nas i poprosił, żeby na niego poczekać, bo o siedemnastej przyleci z Edynburga do Warszawy – tłumaczył Patryk, dźwigając już nosidełko z małym Frankiem i obejmując Ewelinę.

– Ja przepraszam, że tak bez zaproszenia – odezwał się Łukasz – ale Patryk namówił nas do uczestnictwa w nocnym modlitewnym czuwaniu w sanktuarium. Dla mnie to zupełnie nowe doświadczenie. Rodzice nie są religijni, ale też nie mają nic przeciwko takim praktykom. Nie będę więc państwu w zasadzie przeszkadzał. Zaraz sobie pojedziemy.

– Mamy za co dziękować Bogu, zwłaszcza ja, a i próśb się nabierało – tłumaczył się trochę zażenowany Patryk. – Ksiądz Marek nam przypomniał. On też będzie z grupą z Lublina.

– Wspaniale! – podchwyciłam. – Możecie jechać wszyscy. Ja się zajmę Frankiem – zaproponowałam.

– Nie ma takiej potrzeby. Chcemy zawieźć małego do dziadków. Niech się nim nacieszą – powiedziała Ewelina. – Ja pojedę z nimi tylko na chwilę i Patryk później mnie odwiezie do rodziców Damiana, a sam wróci na czuwanie. Karmię jeszcze w nocy. Tak się

z nimi umówiłam. Nie macie państwo nic przeciwko temu, żeby Patryk wziął samochód? – zapytała.

– Kochana, ja się od samochodu odzwyczaiłam, a mąż, jak już przyjechał, to się pewnie też zaraz nigdzie nie wybiera. Nie ma tu przyjaciela ani przyjaciółki, z którymi lubi robić wycieczki – powiedziałam, próbując przy okazji wkluczyć szpileczkę Krzysiovi, ale ten spojrział na mnie zdziwiony, jakby nie rozumiał mojej złośliwości.

Dzieciaki w pośpiechu połknęły kolację i zniknęły w mroku. Zostaliśmy z mężem sami. Ja jeszcze w milczeniu sprzątałam po kolacji, a on snuł się po domu. Wychodził też z dużą latarnią na zewnątrz i gospodarskim okiem oglądał wszystkie zmiany. Myślałby kto, jaki raptem gospodarz. Ostatnio to tylko słyszałam: „Zrób, jak uważasz” albo „Zostawiam to do twojej decyzji”, a najczęściej: „Nie przesadzasz z kosztami?”. Myślałam i czułam, że znów złe emocje biorą nade mną górę, a wcale tego nie chciałam. Wreszcie wyrzuciłam z siebie z jadowitym uśmieszkiem:

– To co, nie wyszło coś z Anią? A może pośpieszyłeś tak do domu, żeby mi powiedzieć, że to już koniec?

– O czym ty mówisz? Co ma do tego Ania? Czego koniec? – mąż udawał, że nie rozumie, o czym mówię. Albo jest mistrzem aktorstwa, albo naprawdę nie wie, o co pytam, przemknęło mi przez myśl, ale parlałam dalej do zwarcia.

– Z tym Łońkiem to źle wymyśliłeś. Jolka powiedziała mi, że on jest w Austrii na jakimś wyjeździe sponsorowanym przez firmę farmaceutyczną.

– Sprawdzałaś mnie? Nie poznaję cię – zachnął się Krzysiek.

– Nie ja cię sprawdzałam, tylko Jolka zadzwoniła, że nie podobają jej się zachowanie Łońka i nagłe nasilenie kontaktów z tobą – skłamałam.

– A co, ja jestem jakiś podejrzany element? Łoniek miał jednak rację, że go podsłuchuje. Sam sobie jest winien. Ale ty jesteś taka zła o jeden dzień spóźnienia? Czy chodzi o to, że przyjechałem wcześniej, niż zapowiadałem? Miałaś jakieś plany, które pokrzyżowałem? – dowcipkował. – Już wczoraj chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie miałem jak. Czemu miało służyć to twoje odcięcie komunikacyjne?

– Nie wciskaj mi kitu na temat Łońka – powiedziałam groźnie.

– Nie jestem taka głupia, żeby się nie domyślić. Czas sobie wszystko wyjaśnić i nie wciągać w to innych. Nie uważasz, że to jest nie fair wobec mnie? To co, postanowiliście być razem?

– Ja z Łońkiem? – zapytał Krzysiek niepomiernie zdziwiony. –

Opamiętaj się, kobieto! Czy ty sama słyszysz, co mówisz? Nie wiem, jakie tam hitchcocki znów powstały w twojej głowie. Dzieci mają rację, powinnaś te zdolności wykorzystać do pisania scenariuszy kryminalnych.

– Nie rób ze mnie wariatki! – podniosłam głos ze złości, że on bezczelnie naigrawa się ze mnie. – Chodzi mi o Anię.

– Co ty z tą Anią? Nie rozumiem. Nie widzę żadnego związku Ani i Łońka.

– Chodzi mi o twój związek z Anią! – wrzeszczałam na całego.

– Z Anią się przyjaźnię, przecież wiesz. O jaki związek ty nas podejrzewasz?

– Jak to o jaki? Normalny.

– Normalny to on jest. Ale dlaczego cię to teraz tak denerwuje? Ania właśnie pojechała na urlop.

– Bez ciebie?

– A dlaczego miałyby ze mną? Czy chcesz się dowiedzieć, o co chodziło Łońkowi? On okłamał Jolkę, że jedzie do Austrii, a przyleciał do Edynburga.

– Ja chyba zwariuję. Dlaczego wmawiasz mi, że Loniek ukrywa przed Jolą chęć spotkania z tobą?

– Możesz mnie posłuchać i nie przerywać? – teraz Krzys był poirytowany.

– Mów.

– Loniek ma nieślubne dziecko w Szkocji i ukrywa to przed Jolką – powiedział Krzys.

– A kiedy on tam był? – spytałam, węsząc znów jakieś kłamstwo.

– Nigdy. Pierwszy raz teraz ze mną.

– To co, cud?

– Daj skończyć – błagał już prawie mąż. – Przyznał mi się, że w czasie jak był dyrektorem, bzyknał swoją sekretarkę. Pamiętam tę dziewczynę. Po jakimś czasie ona powiedziała, że jest z nim w ciąży. Myślał, że chce wyciągnąć od niego forszę albo działa na zamówienie tych, co go próbowali odwoływać. Potraktował ją paskudnie, a ona ujęła się honorem i wyjechała za granicę. Jego zaraz potem zdjęli z tej funkcji. Miał mnóstwo kłopotów i o dziewczynie nie myślał. Był przekonany, że to podpucha. Za jakiś czas dostał jednak w kopercie zdjęcie malutkiej dziewczynki i ani słowa wyjaśnienia. Zdjęcia przychodziły regularnie co rok.

– I co, nie szukał tej dziewczyny i dziecka? – zapytałam zainteresowana.

– Raczej skupił się na tym, żeby Jola nie przejęła którejs z tych przesyłek.

– To trzeba być facetem, żeby wiedzieć, że gdzieś tam żyje i dorasta moje dziecko, i nic – powiedziałam z odrazą.

– Nie będę z tobą dyskutować, czy to jest akurat zdolność typowo męska. Ja bym tak nie mógł, a twoja siostrzenica owszem – zauważył słusznie Krzyś.

– No dobrze, ale wciąż nie rozumiem, jaka miała być twoja rola w tej sprawie.

– Loniek dostał ostatnio zamiast zdjęcia dziwny list pisany jakąś łamaną angielszczyzną. Jolka go przejęła, ale nie mogła rozszyfrować. Jednak wzmogła swoją czujność. Loniek też nie umiał sobie dać z nim rady, ale coś go tknęło, że powinien potraktować go poważnie. Przysłał go mnie, żeby może ktoś z miejscowych rzucił na to pismo okiem, lecz nie uprzedził, że może dotyczyć jakiegoś pozamałżeńskiego dziecka. Nasze pielęgniarki szybko ustaliły, że list napisany jest mieszanką szkocko-angielską i przez osobę, która chyba nie chodziła zbyt długo do szkoły. Treść wskazywała, że pisząca opiekuje się umierającą na raka mózgu kobietą, która prosi Lońka o zajęcie się ich wspólnym dzieckiem. Ja nic z tego nie pojmowałem, ale po szpitalu rozeszło się, że mam w Szkocji jakieś dziecko. Zażądałem wyjaśnień od Lońka i wtedy się przyznał i poprosił o dalszą pomoc w ustaleniu miejsca pobytu dziecka i matki, jeśli jeszcze żyje. Miałem z tym niemało kłopotu, bo pisząca nie podała żadnych swoich danych. Ale pomagał mi prawie cały personel szpitala i udało się ustalić, że chora, która przed śmiercią zaniewidziała, zmarła już kilka miesięcy temu, a jej córka trafiła do rodziny zastępczej.

– Ale historia. I co, widział się z tą dziewczynką? A w czym ty mógłbyś mu pomóc?

– Wiesz, ja mam wobec niego pewien dług wdzięczności. Zaproponował mi zaraz po powrocie z RPA stanowisko swojego zastępcy i dużo wtedy nam pomógł z mieszkaniem i w ogóle. Wyszło, jak wyszło. Nie mógł tego przewidzieć, ale chciał dobrze. Teraz poprosił, żebym mu pomógł choćby się porozumiewać, bo on nie radzi sobie za dobrze z angielskim. Nie mogłem odmówić, a jednocześnie zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy, więc nie mogłem nawet tobie powiedzieć, w jakiej misji mam uczestniczyć.

– Ale co z tym dzieckiem? – dopytywałam.

– Na razie nic więcej nie wiadomo. On był naiwny, sądząc, że przyzna się przed urzędnikami do ojcostwa i zaraz mu dadzą na-

miary na dziecko. Na własną rękę też nic nie dało się załatwić. Tam ludzie nie interesują się sprawami innych. Ta jego była sekretarka wynajmowała jakieś mieszkanie i jej następcy ani administrator nie mają nawet pojęcia, co się z nią stało. On nie ma żadnego dowodu, że jest ojcem poza listem jakiejs anonimowej półanalfabетки. Nie da się takiej sprawy załatwić po partyzancku. Loniek nie jest jeszcze pewien, czy starczy mu odwagi, żeby przyznać się Joli. Na razie miał nadzieję, że uda mu się popatrzeć chociaż z daleka na tę dziewczynkę i zastanowić się.

– I na czym stało?

– Ja nie widziałem sensu prowadzenia dalszych poszukiwań. On chciał jeszcze inwestować w detektywa, ale mu odradziłem. Można wszystko załatwić legalnie za pośrednictwem ambasady. To trochę potrwa, ale najpierw powinien odpowiedzieć sobie na pytanie, czy naprawdę jest gotowy zająć się tą małą, żeby nie skomplikować jeszcze bardziej jej życia.

– A przede wszystkim rozmówić się z własną żoną – dodałam z naciskiem. Zrobiło mi się wstyd za te wszystkie paskudne podejrzenia w stosunku do własnego męża. Ale zaraz pomyślałam sobie, że w tej sprawie jest wprawdzie niewinny, lecz tak ogólnie nie wiem, co z tą Anią robią. Faceci są okropni, taki Loniek na przykład.

– Ja w każdym razie nie widziałem już dla siebie roli w tej całej historii. Wsiadłem w samolot do Warszawy i udało mi się zabrać z dziećmi. O mało co byłbym już wczoraj w nocy. Miałem nawet taki plan, żeby wziąć od dzieciaków auto i zrobić ci niespodziankę, ale nie było już biletów na ostatni samolot.

W tym momencie uczułam potworne gorąco i nogi się pode mną ugęły. Miałbyś, człowieku, niespodziankę – pomyślałam z przerażeniem i wysłałam dziękczynnego esemesa do nieba. Krzys tymczasem przysunął się i objął mnie, całując w szyję.

– Teraz mi wytłumacz, co miała z tym wszystkim wspólnego Ania? – uśmiechnął się, kręcąc z dezaprobatą głową, i całował mój kark.

– Bo nie powinniśmy nigdy się rozstawać, bo ja dostaję świra, jak ty się z nią spotykasz i jestem zazdrosna. A w ogóle wygraliśmy sprawę i dostaniemy z powrotem nasze pieniądze za łódzkie mieszkanie – mówiłam coraz słabszym głosem, bo znów jakieś diable zaczynało się we mnie szamotać i coś jakby omdlewało i nabierało mocy jednocześnie.

Myślałam, że nie wróci już między mną a Krzysiem dawne

napięcie erotyczne, że zabrał je na zawsze w daleki świat Rafał. Byłam gotowa na dobry, łagodny, przyjacielski związek, który doprowadziłby nas do spokojnej starości. Byłe się pozbyć tej idealnej Ani i szatańskiego, zdradliwego Rafała, a wszystko będzie dobrze – myślałam jeszcze przed chwilą. A tymczasem w moim wnętrzu diabeł palił znów na całego. Z rozanielonym uśmiechem poddałam się pieszczotom męża.

– Wiesz, pięknie wszystko urządziłaś. Jestem pełen uznania. Jest tak urocz w domu i wokół, że aż się boję zająrzeć na nasze konto – mówił Krzys, całując mnie i rozpinając po trochu moje i swoje ubranie. – Ale ta brunatna duża skóra pod kominkiem chyba nie pasuje do tego pokoju.

– To dajmy ją psom – powiedziałam zgodnie.

– Ale mówiłaś, że była droga – zauważył mój oszczędny mąż, czym trochę mnie otrzeźwił. – Z czego ona w ogóle jest?

– Z diabła – powiedziałam już trochę poirytowana.

Krzys chyba się zorientował, że może tym dochodzeniem więcej stracić niż zyskać, więc przestał gadać i znów zaczął mnie całować. Odpowiedziałam mu gorącymi pieszczotami. Nasza skórzana kanapa jest niezbyt wygodna do takich zabaw małżeńskich, więc Krzys przeniósł mnie na niewiadomego pochodzenia skórę, która jakby tylko na to czekała. Gdy jego usta przebiegły znów moją szyję, poświęciły nieco uwagi piersiom i zniżyły się do łona, czarcia skórka zafalowała, uniosła się w górę i poszybowała z nami w przestworza. Nasze dzieci oddają się modlitwemu czuwaniu, a tymczasem ich rodzice... – przemknęło przez moją głowę. „Seks jest boski”, mówił jeden kapucyn w telewizorze i zaprawdę wiedział, co mówi – pomyślałam. A może tylko zdawało mi się, że myślę, bo nie sądzę, żebym umiała myśleć w tym stanie o czymkolwiek. Nasza czarcia skórka szła chyba na zderzenie ze słońcem, gdyż tysiące iskier pojawiło się pod moimi powiekami i oślepiło mnie całkowicie. Krzyk rozkoszy jak odgłos z innego świata wyrwał się prawie równocześnie z mojej i męża krtani. Czarcia skórka delikatnie opadła znów przed naszym kominkiem. Jeszcze nie mogłam rozpoznać wszystkich sprzętów, gdyż duch mój wolniej niż ciało powracał na ziemię. Krzys z miną najwyższego szczęścia scałowywał lzy, które zjawily się na moich policzkach.

– Czy możesz już myśleć logicznie? – zapytał w pewnym momencie.

– A o co chodzi? – spytałam zdziwiona.

– Powiedz mi, moja filolożko, jaka to figura stylistyczna, „być

w niebiosach na skórze z szatana”?”

- Chyba oksymoron – wymruczałam.
- Nigdy nie słyszałem o chybaoksymoronie – odpowiedział całkiem poważnie i dodał: – Ta skórka jest warta każde pieniądze.
- No nareszcie mówisz z sensem – pochwaliłam.
- Kto rano przyjdzie pierwszy, dzieci czy Marian? – zapytał, ziewając.
- Dzieci – odparłam. – Na Mariana znów nam przyjdzie poczekać.

SPIS TREŚCI

1. Jak znalazłam się w tych stronach
2. Spotkanie po latach
3. Mamina inspekcja
4. Rozrabiamy
5. Mały biały domek
6. Decyzja
7. Marian
- 8 Dzieciaki i reszta
9. Nie pasujesz do nas
10. Jak się wali, to się wali.
11. Wychowaliśmy głupka
12. Burza
13. Nieobyta z mediami
14. Rywalizacja
15. Szkoła
16. Pożegnanie
17. Pomol
18. Wypadek
19. Zemsta
20. Ewelina
21. Strzecha
22. Zwyczajne życie palacza
23. Euzebiusz
24. Burzliwe święta
25. Opętana
26. Zmiany w sercach
27. Wiosna
28. Jacek i Grażka
29. Zazdrość
30. Znalazłem cię na Zumi
31. Oksymoron